

# Smok, Earl i Troll

Dickson Gordon R



calibre 0.7.3

Gordon R. Dickson

**SMOK,**

**EARL**

**I TROLL**

Przełożył Zbigniew A. Królicki

**GTW**

DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 1998

Tytuł oryginału

The Dragon, the Earl, and the Troll

Copyright © 1994 by Gordon R. Dickson

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by

REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 1998

Redaktor

Renata Bubrowiecka-Kraszkiewicz

Opracowanie graficzne okładki

Jacek Piętrzyński

Ilustracja na okładce

Den Beiuvais

Wydanie 1

ISBN 83-7120-495-7

Dom Wydawniczy REBIS, Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax. 867-37-74

e-mail: [rebis@pol.pl](mailto:rebis@pol.pl)

<http://www.rebis.com.pl>

Druk i oprawa:

Zakłady Graficzne im. KEN S.A.

Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 1, Fax. (0-52) 21-26-71

*Dla Kirby McCauley,*

*z szacunkiem i wdzięcznością*

## Rozdział 1

W kuchni znowu pojawił się skrzat.

- Nie mogę tego pojąć! - rzekł Jim. - Pchły, wszy, szczury, jeże szukające ciepłego miejsca do spania. Ale skrzaty?!

- Uspokój się - powiedziała Angie.

- Dlaczego musimy mieć też skrzaty? - dopytywał się Jim.

Wszystkie skrzaty mieszkały w kominach. Były małymi, nieszkodliwymi, czasem nawet pożytecznymi istotami naturalnymi. Co wieczór zostawiało się dla nich miseczkę mleka lub czegokolwiek innego.

Skrzat wypijał to albo zjadał i nikogo nie niepokoił. Jednak ten w kuchni w Malencontri najwyraźniej miewał napady złego humoru. Zazwyczaj nie pijał niczego prócz mleka, ale kiedy popadał w podły nastrój, pałaszował wszystko, co nadawało się w kuchni do jedzenia - a potem służba kuchenna z przesadnego lęku nie chciała tknąć niczego, czego on dotknął.

- Uspokój się - powtórzyła Angie...

- Pamiętasz? - zapytała, - A to było zaledwie przedwczoraj.

Jeszcze bardziej wtuliła głowę w zagłębienie ramienia Jima, gdy jako jedyni czuwający i trzymający się na nogach ludzie stali razem na drewnianym pomoście tuż pod zwieńczeniem otaczającego ich dom - Malencontri - muru, który w późniejszych wiekach otrzyma nazwę zamkowych blanek.

Właśnie na ciężkim od chmur niebie wstawało mroźne grudniowe słońce. W jego szarym świetle ujrzeli zdeptaną otwartą przestrzeń pod murem i gąszcz oddalonego o jakieś sto metrów lasu, nad którym zaczynały się unosić cienkie smużki siwego dymu z ognisk rozpalonych nieco dalej, za pierwszymi koronami drzew.

Krew z poprzedniego dnia czerniała już na śniegu, stapiając się barwą z błotnistym terenem, na którym ciężkie buciory i podkute kopyta mieszały wszystko w jedną, czarną maź.

Po południu spadł śnieg i trochę przysypał ciemne, leżące nieruchomo na ziemi kształty - ciała napastników pozostawione krukowi i innym padlinożercom, którzy ściągają tu, gdy Malencontri padnie. A niewątpliwie stanie się to dzisiaj.

Jego obrońcy byli nieliczni, a teraz dodatkowo zbyt wyczerpani. Na prawo i lewo od miejsca, w którym stali Jim i Angie, wszędzie na pomoście leżeli znużeni łucznicy, kusznicy i zbrojni - ci jeszcze zdolni do walki mimo odniesionych ran - zmorzeni snem na stanowiskach, z których odpierali ataki napastników usiłujących wspiąć się po drabinach przystawianych do zamkowego muru.

Mając na murach odpowiednią liczbę obrońców, Malencontri mogłoby odeprzeć atak całej

armii, a nie tylko te skromne siły dwóch czy trzech rycerzy, około półtorej setki wyćwiczonych zbrojnych i łuczników oraz kilkuset hołoty uzbrojonych we wszystko, co im się udało znaleźć lub zrabować podczas najazdu na ten zakątek Somerset.

Jednak Malencontri zaatakowano bez ostrzeżenia, nie było więc czasu zwołać z okolicznych lasów i pól ludzi należących do tego lenna, którzy mogliby zasilić szeregi obrońców w takim stopniu, że napastnicy nie mieliby żadnych szans.

Atakujący najwyraźniej nie mieli pojęcia, że Jim jest w zamku. W przeciwnym razie nigdy by się nie odważyli napaść na kasztel maga klasy C - a już na pewno nie maga cieszącego się taką sławą, jaką Jim zdobył jako Smoczy Rycerz.

- Zaczynają się budzić - mruknęła Angie.

- Tak - rzekł Jim. On też obserwował smużki dymu z dogasających nocnych ognisk; patrzył, jak grubieją, gdy dokładano do ognia, aby ugotować lub podgrzać jakąś strawę dla tych, którzy później znów mieli ruszyć do ataku.

- W każdym razie - powiedziała Angie, mocno obejmując Jima ramieniem - to koniec naszych nadziei na dziecko. - Milczała chwilę. - Czy naprawdę byłam niezdolna z tymi moimi obawami o nie?

- Nie - odparł Jim. Pocałował ją, - Nigdy nie byłaś niezdolna. Dobrze wiesz.

Temat ten od przeszło roku stanowił przedmiot rozważań Angie. Miała dopiero dwadzieścia kilka lat, jednak tutaj panowało jeszcze średniowiecze i o wiele młodsze kobiety - a nawet dziewczynki - miały potomstwo. Walczyły w niej chęć posiadania dziecka i przekonanie, które dzieliła z Jimem, że byłoby nie w porządku, gdyby urodziła je tutaj. Nie mówiąc już o wychowywaniu go w tych średniowiecznych czasach, które jako przybysze z dwudziestego stulecia określali czternastym wiekiem.

Dlatego po prostu nie zdecydowali się na dziecko. Teraz było na to za późno - to chyba nawet dobrze, zważywszy, że po zdobyciu zamku oblegający zabiją wszystkich jego mieszkańców.

- Prawdę mówiąc - odezwał się Jim - już dawno powinienem znaleźć jakiś sposób, żeby nas stąd wydostać.

- Raz to zrobiłeś, na początku - powiedziała Angie. - Ja ci to wyperswadowałam.

- Nie, nie ty.

- Tak, ja.

W pewnym sensie oboje mieli rację. Przez krótki czas, po przybyciu Jima w celu uratowania Angie przed Ciemnymi Mocami usiłującymi naruszyć równowagę między przypadkiem a historią tego średniowiecznego świata, mężczyzna dysponował wystarczającym zasobem magicznej mocy, aby przenieść ich oboje z powrotem w dwudziesty wiek.

Angie powiedziała wówczas, że chce tego, czego pragnie on; Jimowi zaś, tak naprawdę, zależało na tym, by zostać tutaj. Tak więc chcieli tego oboje - i nadal nie zmieniliby zdania, gdyby nie pragnienie dziecka.

Wtedy żadne z nich nie brało pod uwagę tego, że będą tu żyć i się starzeć; że może nadejść taki dzień jak ten, kiedy jest praktycznie pewne, iż oboje zginą. Daj Boże, żeby to się stało, zanim zostaną pojmani, ponieważ w przeciwnym razie mogą oczekiwać tylko ukrzyżowania, nabicia na pal lub innych tortur z rąk tych, którzy zdobędą i splądrują zamek; a z pewnością stanie się to przed zachodem słońca.

Podczas wojny, którą w średniowieczu uważano za „prawną”, Jim i Angie oraz ich dzieci zostaliby uwięzieni dla okupu. Jednak nie w wypadku takiego napadu jak ten, który był „bezprawny”.

Jim znów spojrzał na smugi dymu. Nie dało się stwierdzić, czy gęstniały lub ciemniały. Robiło się jednak zdecydowanie jaśniej, więc już niedługo tamci zaczną wstawać i ruszą do walki. Niektórzy ze zbrojnych Malencontri rozpoznali ludzi usiłujących się dostać do zamku. Byli to słudzy sir Petera Carleya, rycerza będącego uprzednio lennikiem earla Somerset, któremu wypowiedział posłuszeństwo, a obecnie earla Oksfordu.

Od czasu gwałtownego rozstania z earlem sir Peter, w sposób typowy dla czternastego wieku, uznał wszystkich mieszkańców Somerset za swój prawowity łup i wykorzystał niedawny marsz tłumy zbuntowanych wieśniaków na Londyn jako pretekst do najazdu na ziemie Somerset - dlatego znalazł się pod murami Malencontri.

- Nie chcę ich budzić - powiedziała Angie, spoglądając na łuczników i zbrojnych przytulonych do kamiennego muru i skulonych tak, aby podczas snu zachować jak najwięcej ciepła. - Nie wiem, jakim cudem nie pozamarzali, leżąc tak pod gołym niebem.

- Niektórzy pewnie zamarzli - odparł Jim.

- Może to dla nich lepiej - stwierdziła Angie. - Nie mogę uwierzyć, że żaden z naszych posłańców nie zdołał się przedostać. Mieliliśmy tylu przyjaciół,...

Istotnie, mieli wielu przyjaciół. To był jeden z powodów, które wiązały ich z tym średniowiecznym światem pomimo skrzatów, jeży, szczurów, pcheł i wszy... Naturalni, magowie, czarodzieje, Ciemne Moce - wszystko to czyniło życie tutaj tak interesującym lub niebezpiecznym.

Rzeczywiście, niektórzy z ich znajomych byli więcej niż dobrymi przyjaciółmi - niewiarygodnie lojalni, solidni, zawsze-gotowi-do-pomocy-bez-zadawania-pytań. Przedziwne, że żaden z nich nie pospieszył tym razem z pomocą.

To prawda, rozmyślał Jim, że gońców wysłano do przyjaciół dosłownie zaledwie kilka minut po tym, gdy zauważono napastników w odległości niecałego kilometra od zamku. Być może wszyscy posłańcy zostali schwytani przez usiłujących zdobyć Malencontri zbrojnych i zginęli. Jednak kilku powinno się przedrzeć.

Rzeczywiście, Dafydd ap Hywel i Giles o'the Wold znajdowali się tak daleko stąd, że mogli jeszcze nie otrzymać wiadomości lub nie zdążyć tu dotrzeć w ciągu tych dwóch dni, które upłynęły od czasu przybycia napastników.

Jednak zamek Smythe sir Briana Neville'a-Smythe'a był oddalony od Malencontri o mniej niż piętnaście minut jazdy galopem, zamek Malvern zaś, którego kasztelanką była lady Geronde Isabel de Chaney - dama sir Briana - również leżał niedaleko. Sir Brian powinien przybyć, a Geronde wysłałaby na ratunek swoich wojowników, gdyby posłańcy zdołali ją zawiadomić. Tymczasem nie widać pomocy z żadnej strony.

A najdziwniejsza była nieobecność angielskiego wilka Aargha, który zawsze wiedział o wszystkim, co dzieje się w okolicy na przestrzeni wielu kilometrów. Po nim można byłoby oczekiwać, że wykaże inicjatywę; na pewno by coś zrobił, gdyby wiedział, co się tu dzieje. Kilka miesięcy wcześniej dołączył przecież do nich w obleganym zamku, dosłownie przebiegając po grzbietach setek stłoczonych węży morskich. Trzeba go było tylko wyciągnąć z fosy, uczeplonego zębami liny rzuconej z zamkowego muru. Skoro już o tym mowa, równie zagadkowe było to, że nie pojawił się Carolinus. To prawda, Jim nieroztropnie wyczerpał swoją magiczną moc - tym razem w sprawie, którą nawet Angie uznała za słuszną (ale Carolinus na pewno nie) - pomagając przy żniwach i przygotowując zamek do zimy.

Jednak nikt się nie zjawił.

- Prawdopodobnie posłańcy się nie przedostali - rzekł Jim, starając się nie pamiętać o tym, że Angie równie dobrze jak on wie, iż ani Aargha, ani Carolinusa wcale nie trzeba wzywać. Powinni wiedzieć, że Malencontri jest oblegane, i przybyć na pomoc z czystej przyjaźni, chociaż żaden z nich nie przyznałby się do takiej słabości. Carolinus zaś powinien pojawić się także dlatego, że czuł się odpowiedzialny za los swojego ucznia, Jima.

- Trudno - mruknęła Angie, wtulając twarz w pierś Jima.

- Najlepsze życzenia! - huknął donośny głos.

Jim i Angie spojrzeli, zaskoczeni, i zobaczyli olbrzyma, prawdziwego olbrzyma wysokiego na bez mała dziewięć metrów, podchodzącego do zamkowego muru od strony lasu długimi, sześciometrowymi krokami.

## Rozdział 2

- Rrrnlf!!! - zawołała Angie.

Istotnie, to był diabeł morski, którego spotkali kilka miesięcy wcześniej, kiedy węże morskie wraz z Francuzami usiłowały dokonać inwazji na Anglię. Zupełnie nieoczekiwany wybawca, jeśli nim był.

Spojrzenie Jima pobiegło ku smużkom dymu nad koronami drzew. Rrrnlf nadchodził od strony otaczających zamek drzew, mniej więcej stamtąd, gdzie unosiły się owe dymy. Teraz Jim zauważył,

że choć wciąż były widoczne, z pewnością nie gęstniały i nie ciemniały - co świadczyło o tym, że nie dołożono do ognia - a nawet zdawały się rzadsze i cieńsze niż przedtem, jakby ogniska zaczynały dogasać.

Jim szybko popatrzył na diabła morskiego. Rrrnlf znajdował się już prawie pod murem i z każdą chwilą wydawał się większy,

Rrrnlf był nie tylko naturalnym, lecz także jednym z największych mieszkańców oceanów tego świata, a na lądzie czuł się równie dobrze jak w wodzie. Jednak, pomijając dziewięciometrowy wzrost, jego ciało miało dziwną budowę.

Właściwie przypominało klin, ostrym końcem skierowany ku dołowi. Rrrnlf dosłownie zwęzał się od czubka głowy do pięt. Głowę miał zbyt dużą w stosunku do reszty ciała. Ramiona nieco szczuplejsze, niż powinny być według ludzkich proporcji - ale tylko trochę. Jednak poniżej barków nie tylko jego tułów zwęzał się do pasa, ale i ręce stawały się chudsze, chociaż dłonie i tak miał jak szufle. Od pasa w dół był coraz cieńszy, a stopy miał zaledwie kilkakrotnie większe niż Jim. Zadziwiające, jak te stosunkowo drobne stopy mogły tak szybko i sprawnie przenosić resztę jego ciała. Oczywiście, jak każdy naturalny, miał w sobie odrobinę magii, chociaż podobnie jak wszystkie te istoty, nie potrafił nad nią panować.

Teraz dotarł do muru. Położył na nim potężną dłoń, przeskoczył przez sześciometrową ścianę i wylądował na dziedzińcu, Mur zadygotał, śpiący pod nim obrońcy obudzili się, potężne ciało zaś, spadające z impetem na ubitą ziemię, wywołało łoskot wystarczający, aby wyrwać ze snu resztę mieszkańców.

- Thu ne grele... - zaczął w anglosaskiej mowie sprzed tysiąca lat. Urwał. - Chcę powiedzieć, że nie złożyliście mi życzeń! - poskarżył się, z wysokości jakichś czterech metrów spoglądając z wyrazem nagany w niebieskich oczach na stojącą na szczycie muru parę.

- Najlepsze życzenia! - powiedzieli pospiesznie i zgodnie Jim i Angie.

Oblicze Rrrnlfa rozjaśniło się. Wydawało się teraz dość pospolitą, przyjazną twarzą, w której poza jej rozmiarami nie było nic przerażającego.

- Mama zawsze mi mówiła, że dla was, małych ludzi, to pora składania życzeń! - zagrzmiał. - A może straciłem poczucie czasu albo od mojej ostatniej wizyty zmieniły się zwyczaje?

- Nie, Rrrnlfie - powiedziała Angie - byłeś tu zaledwie pięć miesięcy temu.

- A więc tak! - rzekł Rrrnlf. - Nie sądziłem, że minęło już tyle czasu. Ledwie zdążyłem znaleźć dla was jakieś prezenty. Moja mama... czy opowiadałem wam kiedyś o mojej mamie?

- Tak - odparł Jim - i to nie raz.

- Miałem piękną mamę - rzekł Rrrnlf z rozmarzeniem, nie zważając wcale na to, co powiedział Jim. - Była piękna. Niezbyt pamiętam, jak wyglądała, wiem tylko, że była piękna. Troszczyła się o mnie przez pierwsze czterysta czy pięćset lat, kiedy byłem dzieckiem. Nie było lepszej matki od niej.



Ponadto opowiedziała mi o wielu sprawach, na przykład o tym, że o tej porze roku, gdy zmieniają się prądy morskie, wy, mali ludzie, składacie sobie życzenia i dajecie upominki. Ponieważ pomogliście mi odzyskać moją damę, chciałem wam w tym roku wręczyć prezenty. Miałem trochę kłopotu ze znalezieniem czegoś odpowiedniego, ale w końcu je mam.

Dama Rrrnlfa, jak to wcześniej odkrył Jim, była figurą z dziobu jakiegoś statku - jak wizerunki smoczych łbów, które wikingowie zabierali ze sobą, schodząc ze swych długich łodzi na ląd, gdyż uważali, że w ten sposób rzucają wyzwanie miejscowym trollom. Jednak w wypadku damy Rrrnlfa była to drewniana rzeźba z jakiegoś zatopionego statku, mająca wyobrażać dziewiątą falę.

Przysłowie ludowe głosi, że „Dziewiąta fala zawsze wchodzi najdalej w głąb lądu”, a Skandynawowie zwali dziewiątą falę Jarnsaxa, czyli Żelazny Miecz.

Jarnsaxa była córką Aegira, skandynawskiego boga mórz, oraz olbrzymki Ran. Tych dwoje to rodzice wszystkich dziewięciu morskich fal. Ostatnią i największą z nich była Jarnsaxa i Rrrnlf twierdził - choć brzmiało to niewiarygodnie - że on i Jarnsaxa byli kochankami. Utracił ją, gdy Aegir i Ran odeszli z innymi skandynawskimi bogami i olbrzymami, zabierając ze sobą córki.

Dlatego tak bardzo cenił tę figurkę, a skradziono mu ją podczas wydarzeń poprzedzających atak węży morskich na Anglię.

Jim wyrwał wtedy Carolinusa, jednego z trzech na świecie magów klasy AAA+, z głębokiej depresji w samą porę, żeby ten zdążył pokonać olbrzymiego krakena, który spowodował najazd gadów. Przy okazji udało się też odzyskać posążek Rrrnlfa.

- A więc mam je tutaj - rzekł Rrrnlf i zanurzył rękę w sakwie zawieszanej na czymś, co wyglądało jak konopna lina. Olbrzym był nią opasany w talii, a skórę (czy cokolwiek to było) nosił na modłę jaskiniowców, zwisającą z jednego ramienia i opadającą mu prawie do kolan. Skrywając w zaciśniętej dłoni pierwszy wyjęty dar, wyciągnął wielgachną pięść w stronę Angie, która odruchowo cofnęła się o krok. - Proszę! - rzekł, najwidoczniej nie zauważając tego. - To dla ciebie, mała lady. Wyciągnij rękę.

Angie nadstawiła złączone dłonie, a Rrrnlf bardzo ostrożnie i powoli rozwarł swą pięść, potrząsnął nią lekko i w dłoniach Angie znalazło się coś, co wyglądało na masę połączonych ze sobą kulek, lśniących czerwono w świetle pochmurnego ranka.

Angie westchnęła.

Jim wytrzeszczył oczy.

Dziewczyna trzymała w rękach coś w rodzaju naszyjnika złożonego z kilku pasm połączonych jednym dłuższym, prawdopodobnie przeznaczonym do zawieszania na szyi. Każde pasmo było wysadzane kamieniami przypominającymi, choć trudno w to uwierzyć, zważywszy na ich rozmiary, olbrzymie rubiny. Nie zostały przycięte i oszlifowane, jak to robiono w dwudziestym wieku, ale były wypolerowane i lśniły cudownie ciepłym blaskiem w nikłych promieniach słońca na tle nagich drzew, głązów, śniegu i zdeptanej ziemi.

- A to dla ciebie, mały magu - rzekł Rrrnlf.

Jim też wyciągnął przed siebie ręce, w samą porę, aby przyjąć pudełko długości dziesięciu, szerokości ośmiu i wysokości czterech centymetrów, pięknie rzeźbione i malowane. Pokrywkę i wszystkie ścianki zdobiły jakieś hieroglify przypominające inskrypcje sanskryckie.

Pudełko było bardzo lekkie. Ponieważ Rrrnlf zdawał się na to czekać, Jim spróbował podnieść wieczko. Otworzyło się bez trudu.

Kasetka o równych, białobrązowych, doskonale dopasowanych ściankach była pusta. Jej wnętrze wypełniał tylko lekki, lecz przyjemny zapach cedru.

Jim przywołał na wargi szeroki uśmiech i otworzył usta, żeby podziękować olbrzymowi. Uprowadziła go Angie, która otrząsnęła się już z szoku.

- Rrrnlfie! - powiedziała. - One są ogromne! Gdzie je znalazłeś?

- Na dnie morza. W jakimś wraku starego okrętu. - Rrrnlf zerknął na rubiny, które Angie ciągle trzymała w złożonych dłoniach. - Ogromne? Nie, nie. Jesteś, mała lady, jak zwykle uprzejma. Ale znajdę dla ciebie coś jeszcze, żeby twój prezent był równy temu, który dałem małemu magowi. Obiecuję. Przy okazji, jak podoba ci się jego prezent? Natrudziłem się, żeby go zdobyć, mówię wam! To pudełko, w którym będzie mógł przechowywać swoją magię.

- Ach, doprawdy? - zdziwił się Jim. - Chciałem powiedzieć... oczywiście! Właśnie takie było mi potrzebne. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę dostałem coś takiego! Patrząc na to i po prostu nie wierzę własnym oczom! - Pochwycił spojrzenie Angie.

- Tak - powiedziała dziewczyna. - Tak, rzeczywiście. Jim nigdy nie zapomni tego prezentu, Rrrnlfie. Mogę ci to obiecać!

- No cóż... - Rrrnlf lekko się uśmiechnął. - No, cóż - powtórzył. - To naprawdę drobiazg. Na razie ujdzie jako skromny prezent. Mimo to obiecuję ci, mała lady, że wkrótce ofiaruję ci coś cenniejszego.

- Nie musisz, Rrrnlfie - zapewniała go szczerze Angie.

Jim zbyt późno uświadomił sobie, że dziewczyna na pewno nie zdaje sobie sprawy z tego, iż to mogą nie być prawdziwe rubiny, lecz spinele. Rubin Czarnego Księcia z czternastego wieku ich świata był spinelem - i nikt wówczas tego nie zauważył. W tamtych czasach kamieni nie cięto, a nawet ekspert z trudem dostrzegłby różnicę między odcieniem prawdziwego rubinu a jego izotropową odmianą. W tym zaś świecie i czasie to, co Rrrnlf właśnie dał Angie, równie dobrze mogło być prawdziwymi rubinami.

Najlepiej po prostu nie mówić i udawać zdziwienie, jeśli później się okaże, że te rubiny rzeczywiście są spinelami.

Próbując wymyślić jakieś podziękowanie dla Rrrnlfa za puste, choć piękne pudełeczko, Jim

spojrzał za mur j natychmiast zauważył, że pionowe smugi dymu nad lasem prawie całkiem zniknęły. Sytuacja kazała mu zapomnieć o wszystkim innym. Szybko odwrócił się do Rrrnlfa.

- Przyszedłeś stamtąd - powiedział, wskazując kierunek. - Powiedz mi, czy widziałeś w lesie jakichś nap... eee... jakichś ludzi?

- Nie - odparł po namyśle Rrrnlf. - Oczywiście, mogłem nie zwrócić na nich uwagi. - Nagle się rozpromienił. - Chyba rzeczywiście widziałem tam jakąś grupkę małych ludzi. Dość szybko oddalali się w tamtym kierunku. - Wskazał ręką na wschód, prostopadłe do drogi, którą sam przybył na zamek.

Angie i Jim popatrzyli na siebie i instynktownie uścisnęli się z ulgą.

- Pewnie zobaczyli, jak nadchodzisz, i uciekli! - zwróciła się Angie do diabła morskiego, kiedy złapała oddech. Puściła Jima.

- Nie zrobiłbym im krzywdy - zaprotestował Rrrnlf. - Porozmawiałbym z nimi. Powiedziałbym: „Jestem Rrrnlf. Jestem diabłem morskim. Jestem waszym przyjacielem”.

- Nic nie szkodzi, Rrrnlfie - powiedziała Angie. - My jesteśmy twoimi przyjaciółmi, tak samo jak wszyscy w tym zamku. Masz tu mnóstwo przyjaciół.

- Prawda - rzekł rozpromieniony olbrzym.

- Prawda? Jaka prawda? - zapytał Carolinus, zjawiając się nagle na pomoście obok Jima.

- Teraz się zjawiasz! - rzuciła Angie tonem zdradzającym niezadowolenie.

- Taka prawda, że mam mnóstwo przyjaciół - powtórzył Rrrnlf mistrzowi magii. - Pewnie dobrze o tym wiesz, magu.

Sposób, w jaki Rrrnlf wymawiał słowo „mag”, mówiąc do Carolinusa, znacznie różnił się od tego, w jaki akcentował je, zwracając się do Jima jako do „małego maga”. Ani Rrrnlf, ani nikt inny nigdy nie nazwałby Carolinusa małym, chociaż nie musiało się to odnosić do jego wzrostu. W istocie mag był wątłym, siwobrodym i dość chudym, chociaż wysokim staruszkiem w czerwonej szacie, która zawsze wyglądała tak, jakby przydałoby się jej pranie. Angie wiedziała, że miał wiele takich szat. Gromadził je jednak w kącie swej chatki przy Dźwięczącej Wodzie, gdzie czekały, aż rzuci na nie zaklęcie, żeby znów były czyste - dlatego zawsze wyglądał tak, jakby nosił ubrania po lepiej prosperującym czarodzieju.

- Właśnie dałem małemu magowi i jego małej lady prezenty, ponieważ pomogli mi odzyskać moją damę. Ty też mi pomogłeś, magu. Przepraszam, że nie mam dla ciebie podarku. Ale spójrz tylko, co przyniosłem małemu magowi!

Carolinus spojrział.

- Kojąca skrzynka! - rzekł. Wziął ją z rąk Jima, otworzył, zajrzał do środka, powąchał, zamknął wieko i oddał właścicielowi. - Powinieneś być mu wdzięczny, Jim.

Głos Carolinusa brzmiał bardzo sucho, szczególnie przy dwóch ostatnich słowach. I nazwał swego ucznia „Jim”, czego w owym czternastym wieku nikt poza Angie nie robił. Zawsze nazywano go Jamesem, sir Jamesem, Smoczym Rycerzem lub milordem.

Zazwyczaj Jim nie miał nic przeciwko temu, kiedy zwracano się doń tak poufale, tyle że Carolinus powiedział to trochę wzgardliwie, jakby zwracał się do kiepsko wytresowanego psa. Carolinus, będący obecnie jednym z trzech magów klasy AAA+ na świecie (Jim miał tylko klasę C i Carolinus otwarcie wyrażał swoje wątpliwości, czy jego uczeń kiedykolwiek awansuje), do wszystkich zwracał się poufale - do plebsu, królów, naturalnych, kolegów magów, a nawet do Wydziału Kontroli, który pilnował poziomu zasobów sił magicznych każdego maga. Jim słyszał kiedyś basowy głos Wydziału Kontroli, od którego drżała ziemia, woda i powietrze, jednak wobec Carolinusa głos ten był zawsze uprzejmy.

Jim przywykł już do zachowania maga, jednak Angie nie mogła go zaakceptować, szczególnie teraz. Jim widział, że zeszywniała z oburzenia. W tej chwili nie była w odpowiednim nastroju, żeby słuchać, jak ktoś zwraca się wzgardliwie do jej męża. A zwłaszcza Carolinus, którego nie było tutaj, kiedy go potrzebowali.

- Może w nim przechowywać swoją magię - mówił Rrrnlf, uśmiechając się do Carolinusa.

- Diabeł morski nie musi mi tego mówić! - warknął Carolinus.

- Nie, magu - rzekł skruszony Rrrnlf. - Oczywiście. Ja tylko...

Wypowiedź Rrrnlf'a przerwał, co było niezwykle trudne z powodu siły jego głosu, hałaśliwy dźwięk myśliwskiego rogu. A raczej krowiego rogu z ustnikiem, dzięki któremu wydobywający się z tego instrumentu odgłos był bardziej melodyjny i mniej przypominał przeraźliwy pisk.

Wszyscy odwrócili się i wyjrzeni za mur. Z tej części lasu, z której nadszedł Rrrnlf, maszerowała kolumna zbrojnych. Na jej czele jechała jakaś postać w szyszaku. Wszystko wskazywało na to, że był to najlepszy przyjaciel Jima i Angie, sir Brian Neville-Smythe, Obok niego podążała drobna postać kobieca w wysokim, ozdobionym piórami kapeluszu podróżnym z przymocowanym doń gęstym welonem osłaniającym przed kurzem i innymi nieprzyjemnymi, unoszącymi się w powietrzu substancjami.

Była to ukochana Briana, lady Geronde Isabel de Chaney, istotnie, na swój sposób wystrojona, Od czasu kiedy jej ojciec wyruszył na krucjatę, była kasztelanką zamku Malvern, którym rządziła niepodzielnie już od prawie trzech lat.

- Cześć, cześć, zjeżdża się cała banda! - mruknęła Angie.

Jim bynajmniej nie pomylił się co do jej humoru. Była w kiepskim nastroju, rozzłoszczona nie tylko na Carolinusa, ale i na tych przyjaciół, do których posłali o pomoc, a którzy zjawili się dopiero teraz, kiedy przypadkowe nadejście Rrrnlf'a zmusiło napastników do ucieczki.

Na domiar wszystkiego jeszcze jedna znajoma postać wybiegła klusem z lasu i dołączyła do

grupy sir Briana. Szła po drugiej stronie lady Geronde i machała do niej ogonem. To był Aargh, angielski wilk.

- Carolinusie! - wybuchła Angie. - Co to ma znaczyć?! Tylko nie próbuj mi wmówić, że nie masz z tym nic wspólnego! Czy celowo powstrzymałeś wszystkich, którzy chcieli nam pomóc?

- Och, Aargh zauważył, co się dzieje, i przyszedł do mnie po pomoc - odparł Carolinus. - Napastników było zbyt wielu, by sam zdołał sobie z nimi poradzić. Tak się złożyło, że akurat byłem na nadzwyczajnej naradzie magów klasy A i wyższych. Ponieważ sir Brian mieszka najbliżej was, Aargh poszedł go szukać, ale w zamku nie było już ani jego, ani większości jego rycerzy. Ci, którzy pozostali, znali Aargha i powiedzieli mu, że Brian pojechał do zamku Malvern po Geronde i jej świętę, ponieważ oboje wybierają się na święta na dwór earla. Wilk dogonił ich dopiero wtedy, kiedy i ja ich znalazłem.

- Znalazłeś? - spytał Jim.

- Tak - rzekł mag. - Właśnie wróciłem z nadzwyczajnego zebrania.... - urwał. - Rrrnlfie - rzekł - czy nie masz czegoś diabło pilnego do roboty?

- Hmm, tak! - huknął Rrrnlf z szerokim uśmiechem. - Zamierzałem poszukać dla małej lady czegoś lepszego od tych czerwonych świecidełek, które jej dałem, żeby miała równie wspaniały prezent jak mały mag.

- No, to chyba powinienes już ruszać - rzekł mag.

- Tak, magu! - Rrrnlf odwrócił się, przeskoczył mur, podpierając się ręką, i odprowadzany spojrzzeniami wszystkich obecnych pomaszerował w kierunku lasu.

Jim skrzywił się, widząc, jak kamienna ściana jęknęła pod ciężarem Rrrnlf a niczym żywe stworzenie. Znowu zerknął na Carolinusa, który rozglądał się na boki, jakby upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu.

- Powinienem zakazać mu tych skoków! - oświadczył Jim.

- Daj spokój i posłuchaj! - rozkazał Carolinus. - Jak już mówiłem, rozmawiałem z Brianem, Geronde i Aarghem; jednak najważniejsze było to, że gdy tylko wróciłem z zebrania, natychmiast ujrzałem w mojej magicznej kuli, co się dzieje, i magicznym sposobem przeniosłem się tam, gdzie sir Brian z Geronde oraz ich świta podążali na świąteczną biesiadę u earla. Oznajmiłem im, że widziałem diabła morskiego zmierzającego w kierunku Malencontri i że Rrrnlf dotrze tu przed wszystkimi - oprócz mnie, oczywiście - tak więc to on przepłoszy napastników. Ci wiedzieli, że zamek należy do Jima, a ujrzawszy nadchodzącego olbrzyma, przekonali się, iż Smoczy Rycerz też już wrócił. No cóż, krótko mówiąc, powiedziałem Brianowi i Geronde, żeby przyjechali tu za mną, ponieważ ty i Angie udacie się z nimi do earla.

Jim i Angie wytrzeszczyli oczy.

- Nie jedziemy - rzekł Jim.

- Ależ tak - stwierdził ponuro Carolinus. - Koniecznie.

- Koniecznie... - zaczął Jim i w samą porę powstrzymał się od powiedzenia magowi, co może sobie zrobić z koniecznością wycieczki na dwór earla połączonej z dwunastodniowym obżarstwem, opilstwem, lenistwem, gadulstwem i fizyczną przemocą ukrytą pod nazwą rycerskiego turnieju. Nie sądził, żeby Angie spodobała się taka wyprawa, sam również nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Odpowiedź brzmi „Nie” - rzekł.

- Jim! - powiedział chłodno Carolinus. - Wysłuchasz mnie?

Carolinus potrafił przemawiać gniewnym tonem. Nie było w nim złości. Teraz mówił tak śmiertelnie poważnie, że Jimowi dreszcz przebiegł po plecach.

- Oczywiście, wysłucham - powiedział.

- Nadzwyczajną naradę, na której byłem - powiedział powoli Carolinus - zwołano, ponieważ wielu wysokiej rangi magów na naszej planecie dostrzegło znaki świadczące o tym, iż Ciemne Moce spróbują zmienić historię podczas pewnej uczty, a dokładnie - w trakcie bożonarodzeniowej biesiady u waszego earla, za kilka dni.

- Przecież nie mogą tego zrobić, prawda? - spytała Angie. - To Boże Narodzenie. Ciemne Moce nie mają wtedy władzy. A nawet gdyby, to pomijając już fakt, że to święto, obecni tam księża pobłogosławiają miejsce, tak iż Ciemne Moce nawet nie będą w stanie się tam zbliżyć.

- Zgadza się - odparł Carolinus - właśnie dlatego sytuacja jest tak poważna. Nie mamy pojęcia, jak w tych warunkach mogłyby coś zdziałać. Jednak znaki są zbyt liczne i zbyt wyraźne, żeby je zignorować.

- Jakie to znaki? - zapytał Jim.

- Teraz nawet nie będę próbował ci ich wyjaśniać. Na przykład, gdybyś widział, co się dzieje na końcu świata... nie, nie będę się wdawał w szczegóły. Po pierwsze, nie jesteś dostatecznie biegły w sztuce magicznej, żeby zrozumieć choć część tego, co mógłbym ci powiedzieć. Musiałbyś mieć co najmniej klasę A. Jednak wszystko to, co powiedziała Angie, jest prawdą. Logicznie rzecz biorąc, nie istnieje sposób, w jaki Ciemne Moce mogłyby działać przy takiej okazji. Jednak uwierz mi na słowo, zachowują się tak, jakby mogły - a to nas niepokoi.

- Przecież jeśli nie mogą... - zaczęła Angie.

- My nawet nie chcemy, żeby choć spróbowały - rzekł ponuro Carolinus. - Jeśli uważają, że może im się to udać, to widocznie opracowały jakiś plan rozszerzenia swych wpływów w sposób, jakiego żaden z magów na świecie nie jest w stanie przeniknąć. To nie był mój pomysł, ale zgromadzenie zdecydowało większością głosów, że wy, z waszym doświadczeniem z innego świata, powinniście pojechać tam i sprawdzić, czy uda wam się dostrzec coś, czego my nie zdołaliśmy zauważyć. Jeżeli tak, powiecie mi. Ja też tam będę. Wytrzeszczyli oczy.

- Ty? - wykrztusiła Angie.

- Ja! - odparł Carolinus. - Czy jest w tym coś dziwnego? Jestem starym znajomym biskupa Bath i Wells, który też tam będzie. Jeśli pojawią się jakieś trudności, możecie się zwrócić do mnie.

Obrzuci! ich złowrogim spojrzeniem.

- No co? - rzekł. - Chyba nie proszę cię o zbyt wiele, Jim?

Jim chętnie powiedziałby mu, że wymagając od niego udziału w dwunastodniowej świątecznej uczcie u earla, stanowczo prosi o zbyt wiele. Najwyraźniej w tym wypadku Jim, zgadzając się na użycie magii tego świata dla własnych celów, nie mógł odwrócić się plecami i odmówić oddania przysługi. Miał jednak wiele powodów, aby tam nie jechać, chociaż nie będzie łatwo wytłumaczyć to Carolinusowi.

Na szczęście uprzedziła go Angie.

- Jak już Jim powiedział - oświadczyła Carolinusowi, - Odpowiedź brzmi „Nie”.

Mag jakby urósł o kilka centymetrów. Jego oczy niemal dosłownie sypały skrami.

- Bardzo dobrze! - warknął. - No, to zobaczcie sami!

Nagle wszyscy troje znaleźli się na końcu świata.

### Rozdział 3

To był z całą pewnością koniec świata. Wprawdzie nigdzie nie było widać żadnej tabliczki ani wykutego na głazie napisu, ale to po prostu nie mogło być nic innego.

Pozornie koniec świata wyglądał jak górski odnoga niezwykle wysokiego szczytu. Jednak góra, do której mogłaby należeć, była kompletnie ukryta we mgle, tak że widoczna skała tworzyła swego rodzaju półkę, której jeden skraj wznosił się na pięć czy sześć metrów.

Odnoga powoli zwężała się w szpic, zdający się ciągnąć w nieskończoność, niewidoczną w kryjącej szczyt mgłę i nie pozwalającą dostrzec, jaka odległość czy przepaść znajduje się na końcu.

W miejscu, gdzie skalna platforma stykała się z urwiskiem, mniej więcej sześć metrów od krańca półki, było ogromne gniazdo uwite ze złotawożółtego materiału podobnego do jedwabiu, a w nim drzemał ptak na pierwszy rzut oka wyglądający jak większy od strusia paw.

Jednak nie był to paw. Po pierwsze, nie ma tak pięknych pawi. Wachlarzowate pióra jego ogona grały wszystkimi barwami tęczy, mieniać się do tego stopnia, że Jimowi zakręciło się w głowie.

Ptak drzemał z uśmiechem zadowolenia na dziobie. Natomiast nie spała wielka, stojąca obok gniazda klepsydra. Była wyższa niż Jim i zbudowana tak, by pomieścić w ogromnych szklanych

kulach bardzo dużą ilość piasku, który naprawdę wolno przesypywał się z jej górnej do dolnej połowy przez miniaturowy otwór wąskiej szyjki.

Klepsydra osadzona była w cienkim rusztowaniu z ciemnego drewna. W momencie pojawienia się tutaj Jima i Angie cały piasek zdawał się być w górnej komorze klepsydry, na której nakreślono lub namalowano uśmiechniętą twarz - a raczej twarz, która miała być uśmiechnięta, ale teraz na taką nie wyglądała. Ponieważ klepsydra była odwrócona do góry nogami, Jim musiał spojrzeć po raz drugi, zanim pojął, że wargi na tym obliczu były wygięte w dół, a nie w górę. Prawdę mówiąc, była to twarz bardzo nieszczęśliwa, odwrócona do góry nogami.

- Feniks! - warknął Carolinus. - I jego tysiącletnia klepsydra!

Jim i Angie spojrzeli na gniazdo i klepsydrę, które znajdowały się tuż obok siebie pod skałą.

- Dlaczego... - zaczął Jim, ale wtrąciła się klepsydra, której uśmiechnięte usta nagle przerwały mu i przemówiły.

- No właśnie, dlaczego? - zawołały piskliwym, gniewnym tonem. - Czy musisz o to pytać? Robię swoje, no nie? Jestem cierpliwa, prawda? Czekam moje tysiąc lat, może nie? Czy proszę o zapłatę za nadgodziny? Czy żądam rekompensaty za nie wykorzystany urlop? Nic! Niezliczone mnóstwo Feniksów od zarania tego świata i żadnych kłopotów, dopóki nie zjawił się ten. Miał czelność ten drań...

Uśmiechnięta twarz pokryła się śliną i Carolinus podniósł rękę.

- Dobrze, dobrze - rzekł uspokajającym tonem - doskonale to rozumiemy,

- No to cieszę się, że wreszcie ktoś to rozumie. - stwierdziła klepsydra zaskakująco głębokim basem. - Czy wyobrażacie sobie, Jimie i Angie, że...

- Skąd znasz nasze imiona? - spytała Angie.

- Eee, tam! - ucięła niecierpliwie klepsydra.

- Eee, tam! - zawtórował jej Carolinus.

- Ale skąd je znasz? - nalegała Angie.

- Ja wiem wszystko! - odparła, znów przechodząc w falset. - Możecie to sobie wyobrazić? Widzicie go, jak śpi. A powinien wstać! Już przed dziewięcioma dniami, trzynastoma godzinami, czterdziestoma sześcioma minutami i dwunastoma sekundami, a on śpi! To nie moja wina. Obudziłam go dokładnie o wyznaczonej porze, kiedy upłynęło tysiąc lat. Czy kto widział kiedy Feniksa z tak niewielkim poczuciem obowiązku, takiego...

Znów się zaplula.

- Spokojnie, spokojnie - rzekł Carolinus.



- No, jak wiesz, magu, to nie do zniesienia - stwierdziła klepsydra.

- To nie twoja wina - powiedział Carolinus. - Obudziłaś go. Reszta cię nie obchodzi: on za to odpowiada.

- A co ze mną? - zawołała klepsydra. - Stoję tu, odliczając sekundy tysiąclecia. Uważacie, że ten leń zamierza spać przez następne tysiąc lat, podczas gdy świat na niego czeka? Może to i jego wina, ale przecież najpierw mnie dopadną. „Dlaczego czegoś nie zrobiłaś?” - zapytają.

- Nie, nie zrobią tego - rzekł Carolinus. - Opowiedz o tym Jimowi i Angie, a zobaczysz, czy nie przyznają, że to nie twoja wina i nikt nie powinien mieć ci tego za złe.

- Tylko sobie wyobraźcie, JimiAngie - powiedziała klepsydra i ze wzburzenia wymówiła razem ich imiona, tak że zabrzmiały, jakby byli jedną osobą. - Obudziłam tego Feniksa... a było to strasznie trudne! Zawsze miał twardy sen. Obudziłam go, on wstał, pokręcił się trochę, pogmerał w swoim gnieździe, znalazł krzesiwo i hubkę, usiłował skrzesać iskrę i nawet udało mu się to parokrotnie, ale nie zdołał się podpalić, żeby przelecieć po niebie jak płonąca gwiazda, co powinien zrobić, dając wróżebny znak światu, że za kolejne tysiąc lat rozpocznie się nowe tysiąclecie. Dwudziesty czwarty wiek, rozumiecie?

Oboje kiwnęli głowami.

- Jednak ogień nie chciał chwycić i... i... nie wiem, jak to powiedzieć - wyznała klepsydra, wybuchając szlochem - ale on po prostu rzucił krzesiwo i hubkę na ziemię, a potem usłyszałam, jak mówi: „A do diabła z tym!” Powlókł się z powrotem do gniazda i zaraz zasnął!

Krople wody wypłynęły ze szkła na dole, z miejsca, gdzie łączyło się ono z obudową, i potoczyły się w górę po wyrzuceniu dolnej części klepsydry, po wąskiej szyjce między obiema połowami i po górnej bańce.

- A teraz, sami widzicie - zaszlochała klepsydra falsetem - nawet moje łzy płyną w niewłaściwym kierunku!

- Dobrze już, dobrze - powiedziała Angie.

- I powiedzą, że to moja wina!

- Nie, nie powiedzą - odparli jednogłośnie Jim i Angie.

Łzy przestały płynąć w górę i na obliczu dolnej połowy klepsydry pojawił się drżący uśmiech.

- Naprawdę tak uważacie? - spytała.

- Jestem pewna! - odparła Angie. - Nikt nie będzie tak niesprawiedliwy!

- Rzecz w tym - powiedziała klepsydra nieco spokojniejszym, ściszym i bardziej rozważnym tonem - że tutaj nikt mi nie pomaga. Gdyby ktoś z nich chciał wziąć się do roboty i rozwiązać parę

problemów, których sami są przyczyną, wtedy nawet Feniks zbudziłby się, czy by tego chciał, czy nie; i na pewno nie zdołałby znów zasnąć. Myślicie, że zajmą się tym?

- Na pewno! - rzekła stanowczo Angie.

- Co za ulga! - powiedziała klepsydra. Teraz uśmiechała się naprawdę radośnie. - Będę wiedziała, że to się stało, gdy prawidłowa część znajdzie się u góry, a piasek, który zdążył się przesypać, polecą do górnej połowy, gdzie jest jego miejsce. Och, nie mogę się tego doczekać!

- Myślę - rzekł stanowczo Carolinus - że chyba powinniśmy zakończyć tę rozmowę. I wracać. Żegnaj.

- Żegnaj - powiedziała klepsydra. - Żegnajcie, JimiAngie.

Nagle znów znaleźli się na pomoście zamkowego muru Malencontri. Słońce trochę przesunęło się na niebie i zrobiło się nieco cieplej. Brian, Geronde i Aargh oraz ich świta już dojeżdżali do bramy.

- No cóż - rzekł Carolinus. - Tak to wygląda. Ciemne Moce znów zabrały się do roboty i trzeba je powstrzymać. Macie zadanie do wykonania. A zaczyna się ono od waszej wizyty na dworze earla.

- Właśnie - rzekł kwaśnym tonem Jim, - Znowu ja przeciw Ciemnym Mocom!

- Otóż to! - dorzuciła Angie. - To nie w porządku, Carolinusie! Sam tak powiedziałeś: Jak można posyłać maga klasy C, żeby zrobił coś, czego nie potrafią dokonać najpotężniejsi magowie tego świata?!

- Pewnie, że to nie w porządku! - warknął Carolinus. - Skąd ci przyszło do głowy, że na tym świecie wszystko będzie w porządku? Czy na waszym - tym, z którego przybyliście - tak było?

Angie nie odpowiedziała.

- Nieważne - odparł ze znużeniem Jim. - Oczywiście, pojedę. Angie...

Okrzyk stojącego przed bramą herolda zmieszał się z głosami straży, obwieszczającymi, że to sir Brian i lady Geronde chcą wjechać do zamku. Angie ścisnęła rękę Jima, dając mu znać, że jest gotowa udać się z nim na dwór earla.

- Wpuśćcie ich! - zawołał Jim do wartowników. Potem odwrócił się do Carolinusa.

- A czego dokładnie mam szukać? - zapytał.

- Nie mamy pojęcia - odparł mag. - Ciemne Moce nie mogą działać bezpośrednio; posłużą się innymi sposobami lub środkami. Po prostu musicie szukać czegoś niezwykłego. Czegoś, co wydaje się bezsensowne, co mogłoby posłużyć Ciemnym Mocom do zapewnienia przewagi historii nad przypadkiem lub odwrotnie. Jak już mówiłem, one mogą działać rozmaicie. - Zamilkł na moment, mierząc ich uważnym spojrzeniem. - Jeszcze jedno. Ponieważ będą działać nieprzewidywalnie, a

może nawet posługiwać się ludźmi bez ich wiedzy, nie wolno wam przed nikim zdradzać swoich podejrzeń, przed nikim. Nawet w rozmowie z tak bliskimi przyjaciółmi, jak sir Brian i lady Geronde, ponieważ mogą oni nie wiedzieć, że są wykorzystywani.

- Oczywiście, Aarghowi również ani słowa - rzekł Jim z mimowolnym sarkazmem.

- Wątpię, czy Aargh będzie w pobliżu - rzekł Carolinus. - Pomysł z przyjęciem u earla nie podoba mu się tak samo jak tobie, a ponadto znalazłby się w ogromnym niebezpieczeństwie, gdyby zobaczył go ktoś, kto go nie zna. Twoi koledzy biesiadnicy, a zwłaszcza rycerze, będą chcieli polować na wszystko, co się rusza, więc Aargh byłby dla nich jeszcze jednym zwierzęciem, które trzeba doścignąć i zabić.

Brian i Geronde ze swą świtą przejechali przez otwartą główną bramę, po czym już bez orszaku przekroczyli próg wielkiej sieni.

- Powinniśmy tam zejść - stwierdziła Angie, patrząc jak znikają za ogromnymi, podwójnymi drzwiami.

- Bardzo dobrze - rzekł Carolinus. - Rozumiecie jednak, ty też, Angie, że nikt nie może się dowiedzieć o tym, iż Jim zajmuje się sprawą, którą tu wyłuszczyłem.

- Tak, tak - mruknęła Angie, wciąż patrząc w stronę wielkiej sieni.

- Bardzo dobrze - powtórzył Carolinus. - Chodźmy.

Po czym zniknął. Gdy po chwili Angie i Jim szli pomostem ku najbliższej drabinie, po której mogli zejść na dziedziniec, Carolinus ponownie zjawił się obok, patrząc na nich spode łba.

- Dlaczego tak mitręzysz czas? - warknął do Jima. - Użyj swojej magii, chłopcze! Chociaż raz wykorzystaj ją jak należy!

To ostatnie stwierdzenie jest raczej niesprawiedliwe, pomyślał Jim. Jego zdaniem, zawsze robił właściwy użytek ze swej magii. Teraz jednak, niestety, musiał się przyznać do jej braku.

- Chwilowo nie dysponuję magiczną siłą - powiedział do Carolinusa.

Ten wytrzeszczył gezy.

- Wyczerpałeś wszystkie zasoby? - wykrztusił. - Znowu?

Chociaż raz wydawał się bardziej zdumiony niż rozzłoszczony.

- No cóż... - rzekł Jim. - Widzisz, to było tak, Siedziałem w domu w porze żniw, a przygotowanie Malencontri na zimę... było tyle do zrobienia... drobne przeróbki na zamku...

Carolinus zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Proszę - rzekł - nie chcę słyszeć tych ponurych szczegółów. Zdziwiał mnie tylko, jak zdołałeś wyczerpać wszystkie siły magiczne, mając nieograniczone konto!

- Nieograniczone? - powtórzył Jim.

Carolinus szeroko otworzył oczy.

- Nieograniczone mówię! - odparł nieco głośniejszym głosem niż zwykle. - Nie-o-gra-ni-czo-ne! Pamiętasz, jak po twoim starciu z tymi Wydrążonymi Ludźmi na szkockiej granicy poszedłem do Wydziału Kontroli i wszystko z nimi załatwiłem? Otrzymałeś awans do klasy C i specjalne konto, ponieważ jesteś - przynajmniej pod pewnymi względami - nieco innym przypadkiem niż zwyczajny mag praktykant. Z trudem mogę sobie wyobrazić, że zdołałeś wyczerpać zasób magii przysługujący klasie C. Z trudem, ale mogę. Jednak nieograniczone konto?

- Było nieograniczone? - spytał Jim.

- Oczywiście! - rzekł Carolinus. - Przecież ci mówiłem,

- Nie, nie mówiłeś - rzeki Jim. - Powiedziałeś, że zająłeś się wszystkim. Ponadto byłem świadkiem twojej rozmowy z Wydziałem Kontroli. Nie słyszałem, żebyś mówił coś o nieograniczonych zasobach, tylko o tym, że mam zwiększony limit. Jednak nie wiedziałem, jak z niego korzystać.

- Nie wiedziałeś jak... - Carolinus urwał i wytrzeszczył oczy. - Przecież każdy mag klasy C wie, jak korzystać ze zwiększonego limitu.

- Ale ja nie miałem jeszcze klasy C - zirytował się Jim. - Pamiętasz, miałem dopiero klasę D, a ty załatwiłeś mi awans do C, chociaż nie miałem odpowiednich kwalifikacji.

Carolinus zmierzył go gniewnym spojrzeniem, otworzył usta, zamknął je i ponownie otworzył.

- Wydział Kontroli! - wrzasnął.

- Tak? - zapytał głębokim basem głos dochodzący z powietrza między nimi, mniej więcej na wysokości dolnych żeber Jima.

- Nie wyjaśniliście mu, jak może uzyskać dostęp do konta?! - warknął Carolinus,

- Zgadza się - przytaknął bas.

- Dlaczego?

- Nie mam żadnych mechanizmów ani procedur udzielania takiej informacji - odparł Wydział Kontroli.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może nie przewidziano podobnej potrzeby.

- No to zrób to teraz! - wrzasnął Carolinus. - I powiedz mu!

- Nie mogę - powiedział Wydział Kontroli. - Musi go poinstruować mag posiadający co najmniej klasę AAA.

- Ty... - Carolinus urwał. Odwrócił się do Jima i niemal łagodnym głosem powiedział: - Jim, gdybyś potrzebował dodatkowej magii, którą ci załatwiłem, na wypadek gdybyś potrzebował jej więcej ze względu na twoją niezwykłą historię i sytuację, wezwiesz Wydział Kontroli i powiesz: „Chcę skorzystać z mojego dodatkowego limitu. Proszę przelać na moje konto ekwiwalent pełnego przydziału dla maga klasy C albo dwa, pięć czy pięćset razy tyle"! Ile chcesz. Słyszysz mnie i rozumiesz?

- Tak.

- A wy, w Wydziale Kontroli - ciągnął Carolinus, nadal tym łagodnym głosem - czy teraz rozumiecie i macie już odpowiednią procedurę, aby w razie potrzeby uzupełnić konto Jima Eckerta, jeśli tego zażąda?

- Jeśli wolno mi zasugerować - odparł głos z Wydziału Kontroli - pięćsetkrotna wysokość limitu klasy C to...

- ...nawet nie tyle, ile dodał do światowych zasobów magii, powstrzymując pochód Ciemnych Mocy z twierdzy Loathly, kiedy tu przybył! - uciął Carolinus. - Pytam jeszcze raz, czy macie już odpowiednią procedurę? I dostarczycie mu magię, jeśli jej zażąda?

- Tak - powiedział Wydział Kontroli. - Teraz to tylko kwestia...

Jednak Jim już nie słuchał. Nagle przyszła mu do głowy zdecydowanie niegodna, ale kusząca myśl. Nie miał pojęcia, że zwycięstwo, które odniósł pod twierdzą Loathly, kiedy zjawił się w tym świecie, spiesząc na pomoc Angie, było warte tak wiele w przeliczeniu na magię,

Wtedy Carolinus powiedział mu tylko, że Jim ma dość magii, aby przenieść ich oboje z powrotem do dwudziestowiecznego świata. Teraz pojął, że gdyby zaczął przelewać ją ze swego dodatkowego konta na zwyczajne - małymi porcjami, żeby nie zwracając na siebie uwagi, powiększyć własną moc - mogliby oboje tam wrócić.

W tym świecie, w którym oboje wyrosli, Angie mogłaby mieć dziecko. Wprawdzie uciekając, nie przysłużyliby się Carolinusowi oraz wszystkim swoim przyjaciołom na tym świecie, jednak taka możliwość teraz istniała i nie można jej było lekceważyć. Tkwiła w jego podświadomości i wiedział, że nie da mu spokoju.

Wrócił myślą do rzeczywistości.

- ..bardzo dobrze. A więc do widzenia - rzekł lodowatym tonem Carolinus. Ponownie obrócił się do Jima. - A teraz - rzekł - dlaczego tak stoisz? Wezwij Wydział Kontroli i zażądaj trochę magii.

- Wydział Kontroli? - rzekł Jim z lekkim wahaniem. Nie potrafił rozmawiać z tą instytucją tak swobodnie jak Carolinus.

- Tak? - odparł basowy głos.

- Czy możecie przelać na moje konto magię... powiedzmy w wysokości dwukrotnego limitu dla klasy C?

- Zrobione.

- Dziękuję - rzekł Jim. Jednak Wydział Kontroli nie odpowiedział.

- Teraz, kiedy wreszcie wszystko jest załatwione - ponaglał mag - może skorzystasz z tych świeżych zasobów i przeniesiesz nas na zamek, aby twój utrudzony stary mistrz nie musiał tego robić za ciebie. No, już.

Jim zrobił, co mu kazano.

Wszyscy troje pojawili się nagle na podium, na którym stał długi stół. Brian i Geronde już przy nim siedzieli, pijąc wino i zajadając ciasteczka przygotowywane w kuchni na święta, do których pozostało zaledwie pięć dni.

Brian, ze swą wyrazistą twarzą, błyszczącymi niebieskimi oczami i wydatnym haczykowatym nosem, wyglądał na prawdziwego rycerza. Szczękę miał kwadratową i wystającą. Jim wiedział, że Brian był co najmniej o kilka lat młodszy od niego, jednak może z powodu ogorzałej cery i licznych drobnych szram na twarzy sprawiał wrażenie nie tylko starszego, ale także niezwykle doświadczonego i zręcznego. Jednym słowem - marzeniem Jima było tak wyglądać.

Geronde była niższa od Angie o dobre kilkanaście centymetrów. Ponadto miała tak drobna budowę ciała, że wydawała się krucha. Wyglądała jak duża, czarnowłosa, bardzo ładna lalka - Jim wiedział z doświadczenia, że to bardzo zwodnicze opakowanie - o niebieskich oczach, niezwykle podobnych do oczu Briana. Miała na sobie podróżną opończę w barwie jesiennych liści, ściągniętą w pasie i ozdobioną wysokim kołnierzem, oraz sięgającą do kostek suknię.

Wyglądała, pomyślał Jim, jakby miała się rozsypać przy najlżejszym dotknięciu, gdyby nie ta paskudna blizna na lewym policzku pozostawiona przez sir Hugh'a de Bois de Malencontri, dawnego właściciela zamku, w którym obecnie zamieszkiwali Jim i Angie. Sir Hugh, bardziej rabuś niż rycerz, podstępem dostał się na zamek Malvern, pokonał jego obrońców i oznajmił Geronde, że ma go poślubić, gdyż chce zostać panem Malvern.

Geronde odmówiła, a wtedy rozciął jej lewy policzek i obiecał, że jeśli będzie uparta, nazajutrz rozetnie jej drugi; następnie lewe oko, później prawe - i tak dalej, aż się podda.

Teraz, kiedy Jim dobrze poznał Geronde, wiedział, że nigdy by się nie poddała. Po raz pierwszy spotkał ją, gdy będąc w ciele smoka, niespodziewanie znalazł się w tym czternastowiecznym świecie. Wylądował na dachu kasztelu Malvern i jedyny stojący tam wartownik w panice uciekł na jego widok po schodach, Kiedy Jim też zaczął schodzić, Geronde zaatakowała go

włócznie na niedźwiedzia. Dużo później kobieta wyjawiała Jimowi, że ma nadzieję pochwycić pewnego dnia swego dręczyciela, Hugh'a de Bois, i upiec go na wolnym ogniu. Wcale nie żartowała. Geronde, niezwykle lojalna i delikatna jak na czternastowieczne realia, nie była osobą, w której rozsądny człowiek chciałby mieć wroga.

Jednak teraz zarówno ona, jak i Brian na widok Jima i Angie zerwali się z krzesel. Geronde uściskała Angie, a Brian Jima - serdecznie i boleśnie, ponieważ obaj mieli pod opończami kolczugi ozdobione swoimi herbami. Potem Brian ucałował Jima w oba policzki.

Jim w końcu zaakceptował ten czternastowieczny zwyczaj.

Znosił go z pogodą, a nawet czasem żartował sobie z niego. Na szczęście, tym razem Brian był ogolony, zapewne ze względu na towarzystwo Geronde.

- Wspaniała wiadomość, Jamesie! - zawołał uradowany Brian, - To wspaniała wiadomość, że będziecie z nami przez całe święta. A ja mam dla ciebie jeszcze inne wieści. Usiądźmy i porozmawiajmy. Właśnie udzielałem twemu giermkowi, Johnowi Stewardowi, kilku rad, jak przygotować tych, którzy ruszą z wami do earla, oraz tych, którzy pozostaną tu, aby bronić zamku pod waszą nieobecność.

Dopiero teraz Jim zauważył Johna Stewarda - wysokiego, krępego mężczyznę po czterdziestce, dość dumnego z tego, że posiadał jeszcze większość przednich zębów. Był z nim Theoluf - posępny, śniadoliczy dawny dowódca przybocznej straży Jima, a teraz jego giermek; stali obok tego końca stołu, przy którym siedział Brian.

- Teraz możecie odejść - rzekł do nich Brian. - Niebawem sir James i lady Angela wydadzą wam odpowiednie rozkazy. Jednak teraz chcemy porozmawiać na osobności. Siadajcie, siadajcie wszyscy!

Carolinusa nie trzeba było zachęcać. Usiadł zaraz, gdy tylko się tu zjawił. Jednak Angie wciąż stała, tak samo jak Geronde.

- Muszę wyjść na werandę - powiedziała Angie do Geronde. - Chodź ze mną. Chcę z tobą porozmawiać.

Wyszły.

- No i dobrze - stwierdził Brian, spoglądając za nimi. - Geronde wie, co mam ci do powiedzenia. Chcę się dowiedzieć, jak to się stało, że byłeś oblegany, i w ogóle, a ponadto przekazać ci ważne wiadomości. Wspaniałe wiadomości, Jamesie, naprawdę.

Do tego stopnia, że chyba zacznę właśnie od nich.

Jim z lekkim przygnębieniem usiadł na jednej z wyściełanych ław o wysokim oparciu stojących wokół długiego stołu, którym szczycił się zamek Malencontri. Były to meble sporządzone według projektu Jima i Angie, którzy starali się upodobnić je do nowoczesnych, wygodnych foteli w takim

stopniu, jaki był do przyjęcia w tym miejscu i czasie.

- Podczaszy, nalej swemu panu wina! - warknął Brian. - Na świętego Ivesa! Gdybyś był moim sługą, nie ociągałbyś się tak, mówię ci!

Służący, skory do uśmiechu młodzieniec o szerokich ustach, miał niezwykle ponurą minę, ale szybko napełnił kielich Jima. Mimo iż Brian zarzucał mu lenistwo, młodzian prawdopodobnie nie przejął się groźbą w głosie rycerza. Wiedział równie dobrze jak Jim, że Brian w ten sposób troszczy się o swego przyjaciela, którego często traktował tak, jakby ów był zupełnie zagubiony w tej średniowiecznej rzeczywistości.

- No cóż - rzekł wreszcie, kiedy podczaszy odszedł w ślad za Theolufem i Johnem Stewardem.  
- Tylko ty, ja i Carolinus...

Gdzie jest Carolinus?

Jim rozejrzał się. Mag zniknął.

- Pewnie wezwały go jakieś pilne sprawy - powiedział dyplomatycznie Jim. Osobiście podejrzewał, że mag wcale nie miał ochoty z nimi zostać.

- Pijmy! Właśnie tak, Jamesie. Wlej w siebie trochę dobrego, mocnego wina! Ucieszysz się i zadziwisz tym, co ci mam do powiedzenia. I tak przybyłbym tu, by cię namówić, a nawet przymusić, żebyś pojechał z nami. Miałem taki zamiar, zanim jeszcze Carolinus odnalazł nas i wyjawiał, że i tak to zrobisz. Czyżbyś już słyszał o księciu?

- O księciu? - zdumiał się Jim. - Nie.

- No, będzie wśród nas na biesiadzie u earla. Również John Chandos oraz wiele zacnych osób, których nie byłoby tutaj, gdyby nie ten szczęśliwy traf. Nie jesteś zdziwiony?

Jim nie był zdziwiony. Wydał jednak stosowne dźwięki, nie chcąc robić Brianowi przykrości,

- I będzie tam Giles de Mer. Pewnie ci wspominałem, że ma na to chęć! - ciągnął Brian. - Pamiętaj, że obiecałem skrzyżować z nim kopie, by dać mu okazję nauczenia się paru sztuczek. Ze smutkiem usłyszałem kilka miesięcy temu, iż prawdopodobnie w te święta earl nie urządzi turnieju, ponieważ jak powiedziano mi w zaufaniu, jest zmartwiony wysokimi kosztami.

- O? - zdumiał się Jim. Zakładał, że turniej był stałym punktem programu spędzanych u earla Świąt.

- Tak - rzekł Brian. - Dziedziniec jego zamku jest za mały na kruszenie kopii, nie mówiąc już o rozstawianiu namiotów czy innych niezbędnych akcesoriach. Tak więc turniej musi się odbywać za murami, a trudno prosić tych z podzamcza - chociaż nie ma innego wyjścia - żeby pracowali w święta, odgarniali śnieg, czy co tam trzeba będzie robić, aby przygotować teren. W takim wypadku trzeba ich jakoś wynagrodzić, co w przeszłości okazywało się dość kosztowne. Wiesz, Jamesie, tam już są prawie sami wyzwolenicy.



- Tak, wiem - przytaknął Jim. Jego własni poddani nie omieszkali przypominać mu o tym fakcie: grzecznie i pokornie, zarówno indywidualnie, jak i zbiorowo.

- Jednak wygląda na to - mówił dalej Brian - że sami wyzwoleńcy, jako ludzie prawdziwie angielskiej krwi, równie niecierpliwie jak inni goście wypatrują turnieju. Dlatego zaoferowali się zupełnie dobrowolnie przygotować pole. Oczywiście i tak będą chcieli porządnie sobie podjąć i popić, a także odnieść inne korzyści, na przykład znaleźć miejsca lepsze niż pospólstwo, które ściąganie obejrzeć turniej.

- Rozumiem - powiedział Jim. - I mówisz, że Giles tam będzie?

- Tak! - odparł Brian. - Dostałem od niego list... no, właściwie od jego siostry. Pewnie wiesz, że Giles nie ma ręki do pióra. Jednak obiecał mi to. Miło będzie znów go zobaczyć!

- Uhm! - przytaknął z entuzjazmem Jim. On także lubił sir Giles'a de Mer, towarzyszącego im, kiedy ratowali księcia Anglii z rąk maga klasy AAA, który zszedł na złą drogę.

Giles był silkie, co oznaczało, że na lądzie przyjmował postać człowieka, ale po zanurzeniu w morskiej wodzie zmieniał się w fokę. Najwidoczniej w jego rodzinie były jakieś geny naturalnych; Jim pamiętał, że w swojej zwierzęcej, morskiej postaci Giles rzeczywiście wyglądał jak foka.

Jednak zazwyczaj przybierał postać dość niskiego, wojowniczego młodego rycerza o wspaniałych sumiastych blond wąsach - dość niezwykłych w czasach, gdy większość rycerzy była gładko wygolona lub nosiła cienkie wąsiki i równie starannie przystrzyżone koczki bródki.

Był również Northumbrianinem. Zamieszkiwał na północnym krańcu Anglii, graniczącym z niepodległym królestwem Szkocji, i marzył o wielkich rycerskich czynach. Kiedy usłyszał, że Brian nie tylko często bierze udział w turniejach, ale również je wygrywa, zapalał całkiem zrozumiałą ochotę, aby nauczyć się od niego jak najwięcej o tej brutalnej zabawie. Niestety, mieszkając na północy Anglii, nigdy nie zdołał wziąć udziału w jakimś turnieju. Nie było to niczym niezwykłym na pograniczu.

Brian chciał porozmawiać o innych ludziach, którzy mogli być u earla. Przybędzie John Chandos, należący do orszaku księcia. Ten orszak będzie spory, tak więc Brian i Geronde - a teraz także Jim - okażą earlowi uprzejmość, ograniczając liczebność swojej świty. A to wymaga roztropnej decyzji, żeby nie tylko się pokazać, ale i zapewnić sobie bezpieczną drogę tam i z powrotem, Earl i tak z najwyższym trudem poradzi sobie z orszakami swoich gości. Wszystkich ich będzie musiał karmić i zabawiać przez całe dwanaście dni świąt.

- ...skoro lady Angela i Geronde jeszcze nie wróciły - ciągnął Brian, zniżając głos i zerkając w kierunku drzwi, w których mogły się pojawić obie wymienione - może chciałbyś usłyszeć moją opowieść o podróży do Glaslonbury, którą odbyłem zaledwie półtora miesiąca temu?

- No pewnie - powiedział Jim.

- Geronde towarzyszyła mi, ale nie ma pojęcia o paru drobnych sprawach, które miały miejsce

po drodze - mówił Brian. - Przypadkiem, w pierwszej gospodzie, w jakiej stanęliśmy, karczmarzowa była całkiem niebrzydka. Naturalnie, nie zwracałem na nią uwagi i, oczywiście, była ze mną Geronde. Tak więc udaliśmy się do naszej komnaty i tam zjedliśmy wieczerzę. Jednak kiedy Geronde poszła wcześniej spać, ja nie mogłem zasnąć. Wstałem i zszedłem poszukać kapki wina, a może i wesołej kompanii. Tego wieczoru w gospodzie był jeszcze jeden rycerz... - sir Brian mówił dalej ściszym głosem i niebawem Jim zrozumiał, iż przyjaciel chce mu określną drogą wyjaśnić, że ten drugi rycerz również zauważył urodę karczmarki i, zupełnie nie wiadomo dlaczego, wpadł na pomysł - bezsensowny, rzecz jasna - że sir Brian także dostrzegł jego zainteresowanie. - ...nie mam pojęcia, skąd mu to przyszło do głowy - kontynuował.

Oczywiście, Brian wyluszczał punkt po punkcie, że tamten był w błędzie. Przecież był z Geronde, a gdy miał ją przy sobie, zupełnie nie dostrzegał innych kobiet. Jednak najwidoczniej ów rycerz wbił sobie coś do głowy i sytuacja powoli zbliżała się do krytycznego punktu, kiedy to obaj musieliby wyjść przed gospodę, żeby w milczeniu rozstrzygnąć ten spór za pomocą mieczy.

- Rozumiesz, padły takie słowa - mówił Brian - jakich szlachcic nie może puścić płazem. W rezultacie nie miałem innego wyboru, musiałem się rwać do miecza tak samo jak on. No cóż, krótko mówiąc...

Jednak było już za późno na skracanie tej długiej opowieści. W tym momencie Angie z Geronde pojawiły się w drzwiach, które Jim z Brianem czujnie obserwowali kątem oka. Podeszły do stołu i dołączyły do mężów; obie miały charakterystyczne miny pełne skrywanej satysfakcji, zazwyczaj świadczące o tym, że właśnie udało im się zrobić coś, od czego nie ma już odwrotu.

- No, no! - przerwał swoją relację Brian, witając je głośno i serdecznie. - Naprawdę miło nam was widzieć, moje panie!

Było nam nudno i smutno samym, prawda, Jamesie?

- Tak - potwierdził Jim, - Och. tak. Naprawdę.

Brian wysączył resztę wina i wyprostował się na krześle.

- No cóż - powiedział. - Siedzimy tu sobie, choć już dawno po rannych zorzach, a i tercja niedługo. Jeśli zaraz nie ruszymy, to nim się obejrzymy, będzie południe. Przed nocą musimy dotrzeć do klasztoru w Edsley, skoro mamy znaleźć się u earla w dniu świętego Tomasza Apostoła. Jeśli nie zdążymy na czas, wolę nie myśleć, jakie zostaną dla nas kwatery. Na koń!

Jim poderwał się z krzesła. Tercja była liturgicznym terminem oznaczającym dziewiątą rano. Niekoniecznie była to wczesna godzina, jeśli wstawało się skoro świt na pierwsze poranne nabożeństwo - co teoretycznie powinni robić wszyscy.

- Racja - rzekł. - Zaraz...

- Wszystko już przygotowane - powiedziała Angie.

- Istotnie - dodała Geronde swym słodkim głosikiem. - Malencontri będzie pod dobrą opieką,

kiedy wyjedziecie. Lady Angela ma dobrą służbę, a wasza eskorta już siedzi w siodłach,

- Nie musimy się pakować? - Jim spojrzał ze zdziwieniem na Angie.

- Wszystko gotowe - powiedziała.

Znów wyręczyła go we wszystkim. No cóż, nie było sensu protestować. Wizyta u earla była nieunikniona.

- A kiedy tam dojedziemy, Jamesie, ty też będziesz mógł skrzyżować ze mną kopie! - rzekł uradowany Brian, jakby to był najwspanialszy gwiazdkowy prezent, jaki mógłby wręczyć najlepszemu przyjacielowi.

Jim zdobył się na kwaśny uśmiech.

## Rozdział 4

Okazało się, że zabierają ze sobą tylko piętnastu malencontryjskich zbrojnych oraz Theolufa, Jimowego giermka, który koniecznie musiał towarzyszyć swemu panu przy takich okazjach. Razem szesnastu zbrojnych plus trzy służebne - dwie dla Geronde z Malvern i jedna dla Angie. Tak więc łącznie, wliczając dziewięciu zbrojnych z zamku Briana i dwudziestu pięciu z Malvern, były pięćdziesiąt trzy dodatkowe gęby, które earl będzie musiał wykarmić.

Tak liczny orszak jednego tylko gościa byłby nadużyciem gościnności earla. Jechały jednak cztery szlachetnie urodzone i znamienite osoby; taka świta nie powinna wywołać sprzeciwów.

Jim miał tylko trzy minuty na ubranie się w szaty odpowiednie do konnej jazdy w zimowy dzień, w tym w kolczugę i lekką zbroję, którą za przykładem Briana założył na drogę. Najlepsza zbroja załadowana została na jucznego konia prowadzonego przez jednego ze zbrojnych.

Nie była to zbroja płytowa, która jeszcze się tutaj nie upowszechniła, i mieli ją tylko ludzie sławni lub bogaci, tacy jak John Chandos i inni z otoczenia samego króla. Jednak zupełnie aby wystarczył, aby sprostać wymaganiom, jakie mogły stanąć przed jej właścicielem podczas dwunastodniowej biesiady, gdyby nie to, że brakowało jej jednej części.

- Przecież mogę pożyczyć ci hełm! - zaproponował uprzejmie Brian, gdy wsiadali na konie. - Możesz wziąć mój najlepszy, gdyż stary zupełnie mi wystarczy. Zabrałem dwa tylko dlatego, że przewidywałem, iż będę musiał pożyczyć jeden Giles'owi,

- Jesteś dla mnie zbyt dobry - rzeki Jim.

- Jamesie! - powiedział Brian udreńczonym głosem. - Nigdy tak nie mów!

Jim poczuł się jak nędzny kundel.

Jazda w ten zimowy dzień - na szczęście śnieg przestał padać - z początku była przyjemna i niemal pobudzająca. Kiedy jednak po krótkim postoju na posiłek około południa przez całe

popołudnie podążali dalej w opadającym coraz niżej słońcu, zaczęli niecierpliwie wypatrywać murów i wygód klasztoru w Edsley,

- Sądzę - powiedział Brian, gdy zatrzymali się, aby dać wytchnąć koniom po długim podejściu z boku przez gęsty las - że do celu mamy już niecałe dwa kilometry. Ugoszczą nas pewnie postną strawą, mamy bowiem post, który kończy się z nadejściem Bożego Narodzenia. Jednak nie wątpię, iż lady Angela umieściła w jukach jakieś dozwolone, lecz pożywniejsze wiktuały. Wiem, że zrobiła tak Geronde... Ooo, co się dzieje?

Staął w strzemiączkach, a Jim poszedł w jego ślady. Las był tak gęsty, że niewiele mogli zobaczyć. Jednak usłyszeli tętent galopującego w ich kierunku rumaka i po chwili ujrzeli nadjeżdżającego żołnierza, jednego z trzech, których sir Brian, nie chcąc podejmować niepotrzebnego ryzyka, wysłał przodem na zwiady.

- Panowie! - wysapał zbrojny, jeden z ludzi Briana (w tym momencie Jim nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska), gwałtownie osadzając rozpędzonego konia. - Usłyszeliśmy jakiś dźwięk na prawo od drogi. Alfred podjechał sprawdzić jego źródło i kawałek dalej znalazł drugą ścieżkę zbiegającą się z naszym traktem oraz miejsce, gdzie jakaś grupa podróżnych została napadnięta i wymordowana. Wrócił powiedzieć nam o tym, a kiedy pojechałem obejrzeć to miejsce, znów usłyszeliśmy ów mrozący krew w żyłach dźwięk, który słyszeliśmy przedtem - jakby ptasi pisk, chociaż nie było tam nikogo żywego, kto mógłby go wydać. Znalazłem zwłoki jakiegoś szlachcica i młodej damy, dwóch kobiet z plebsu i ośmiu zbrojnych. Wszyscy zabici i obrabowani.

Angie i Geronde, które do tej pory, rozmawiając z ożywieniem, jechały tuż za Jimem i Brianem, teraz popędziły konie.

- Opowiedz mi jeszcze raz o tym dźwięku! - rozkazała Angie.

- Jak już mówiłem, milady - odparł żołnierz - przypominał pisk ptaka, ale żadna żywa istota...

- Chcę to zobaczyć! - oznajmiła Angie.

Razem z Geronde popędziły konie i ominąwszy Jima oraz Briana, ruszyły drogą.

- Czekać, do licha! - krzyknął Brian, spinając swego rumaka za ledwie pół sekundy wcześniej, niż zrobił to Jim. - Błagam o wybaczenie, moje panie, ale natychmiast się zatrzymajcie!

Obaj już je dogonili. Kobiety przystanęły, a Brian obrócił się w siodle i wydał rozkazy jadącym za nimi giermkom i zbrojnym. Otoczywszy Angie i Geronde dobrym tuzinem wojów, Jim i Brian poprowadzili oddział za żołnierzem, który przyniósł wieści. Przejechali drogą przez las i znaleźli miejsce, o którym mówił goniec.

Jeden z wysłanej przodem szpicy, w którym Jim rozpoznał wspomnianego przed chwilą Alfreda, siedział na koniu jak strażnik pilnujący poboju. Na niewielkiej, zasypanej śniegiem polanie leżały wśród drzew nie tylko ciała ludzi, ale i koni.

- Czy słyszałaś znowu... ten dźwięk? - zawołała Angie, gdy tylko wyjechali na otwartą

przestrzeń.

Czekający tam zwiadowca odwrócił się i spojrzął na przybyłych.

- Trzykrotnie, mi lady - odrzekł. - Nie cichł przez jakiś czas, trwał tak długo, że szczerzy chrześcijanin mógłby zacząć odmawiać pacierz. Zdążyłem powiedzieć Pater noster, qui est in caelis...

- Kiedy słyszałeś go ostatni raz?

- Zaledwie przed chwilą, milady. Jednak nikogo tu nie ma.

Alfred obrzucił pobojuwisko spojrzeniem pełnym przesadnego lęku.

Istotnie, ta scena mogła na długo pozostać człowiekowi w pamięci. Jednak, pomyślał Jim, na pewno nie wśród przyjemnych wspomnień.

Szlak, którym nadjechali martwi teraz podróżni, był zaledwie ścieżyną biegnącą wśród drzew, widoczną głównie dzięki śladom kopyt pozostawionym przez ich wierzchowce.

W tym miejscu ścieżka wychodziła na otwartą przestrzeń mającą dziesięć metrów długości i najwyżej pięć szerokości. Ta prawie owalna polanka otoczona była gęsto rosnącymi drzewami. Atakujący mogli ukryć się wśród nich w odległości zaledwie kilku metrów od tych, w których wycelowali strzały.

- Niech wszyscy nasłuchują! - powiedziała Angie. – Jeśli ten dźwięk się powtórzy, chcemy wiedzieć, skąd dochodzi.

W jej głosie było słychać napięcie. Jednak Jima mniej interesował jakiś tajemniczy dźwięk, bardziej sama sceneria zdarzeń. Czarne pnie i konary bezlistnych drzew, szare popołudniowe niebo nad głową i martwa biel śniegu nadawały wszystkiemu wygląd surrealistycznego obrazu.

Najwyraźniej większość podróżnych zginęła na miejscu od strzał. Wypuszczono je z bardzo bliska, spośród otaczających szlak krzaków i drzew. Drzewca przeszły bez trudu przez utwardzaną skórę kaftanów, które w innym wypadku powinny ochronić właścicieli.

Zbrojnych było tylko ośmiu - nieliczna eskorta na podróż przez taką dzicz jak ta, podróż rzadko uczęszczanym szlakiem i o tej porze roku, kiedy bandyci w lasach głodują, co czasem pozbawia ich wszelkich ludzkich cech. Wszyscy zginęli niemal natychmiast; dwaj, którzy uniknęli strzał, odnieśli inne śmiertelne rany. Prawdopodobnie zostali zrzućeni z koni i zanim zdążyli wstać, poderżnięto im gardła.

Oprócz ciał żołnierzy były jeszcze cztery inne. Jedną z ofiar był wysoki, szczupły mężczyzna co najmniej po pięćdziesiątce. Pod opończą z wyszytym na niej herbem rodowym miał płytową zbroję, lecz cenny rycerski miecz zniknął z przytroczonej do pasa pochwy.

Stalowy hełm spadł mu z głowy i siwe włosy lekko powiewały na wietrze. Okolona nimi twarz

była dziwnie spokojna jak na człowieka, który zginął tak gwałtowną śmiercią. On także umarł natychmiast; strzała trafiła go w sam środek piersi. Miał oblicze uczonego, wysokie czoło i spokojne niebieskie oczy, które teraz spoglądały nieruchomo na ciemniejące niebo. Tylko on i leżąca obok niego kobieta mieli na sobie na tyle kosztowne stroje, aby można ich zaliczyć do szlachty.

Zabita kobieta nie umarła tak szybko. Trafiono ją w brzuch, a potem poderżnięto gardło. Nie leżała na plecach, tak jak jej towarzysz. Spoczywała na boku, z wykrzywioną cierpieniem twarzą na wprost ukrytą w okrywającej to miejsce zaledwie siedmiocentymetrowej warstwie śniegu. Wyglądała na dwadzieścia parę lat.

Zarówno jej szary podróżny płaszcz, jak i ciemnoczerwony kaftan mężczyzny zostały rozcięte i podarte - zapewne podczas pospiesznych poszukiwań jakichś cennych rzeczy, które oboje mogli mieć lub nosić. Ciała pozostałych były nietknięte, zbrojnych pozbawiono tylko butów i oręża, tak jak martwego rycerza jego miecza.

- Zapewne usłyszeli, że nadjeżdżamy, sir Brianie - powiedział Alfred. - Ci, którzy to uczynili, nie zwlekali, jak to zwykle robią zbójcy, żeby dokładniej obszukać trupy, tylko porwali żywność oraz broń, po czym uciekli. Kiedy znaleźliśmy te ciała, były jeszcze całkiem ciepłe - nawet przy tej pogodzie.

- Cii! - syknęła Angie. - Niech wszyscy nastawią uszu.

Jeśli znów usłyszemy ten pisk, będziemy mogli stwierdzić, skąd dochodzi!

Popędziła swego wierzchowca kilka kroków dalej, gdzie stanął łeb w łeb z rumakiem Geronde.

- Czy możemy być tego pewni? - zapytał Jim. - Czy zwłoki nie mogły pozostać ciepłe przez piętnaście, a nawet dwadzieścia minut? Jest zimno, ale nie aż tak.

- Tamten człowiek ma rację - rzeki chrapliwy, dobiegający gdzieś z dołu głos. - Uciekli, jak tylko zorientowali się, że nadjeżdżają twoi ludzie. Chociaż ja usłyszałem ich znacznie wcześniej. Napadu dokonali ludzie w podartych szatach, a trwał zaledwie kilka minut.

Wilk, zgodnie ze swym zwyczajem, wyrósł jak spod ziemi. W gasnącym blasku dnia zdawał się jeszcze większy niż zwykle, tak że wyglądał niczym kucyk wśród koni, które usiłowały znaleźć się jak najdalej od niego.

- A ty stałeś i patrzyłeś? - warknęła Geronde. - I nic nie zrobiłeś?

- Jestem angielskim wilkiem! - rzekł Aargh. - Co mnie obchodzi, czy wy, ludzie, zabijacie się, czy nie? - Obrzucił ich szybkim spojrzeniem, ale potem dodał mniej ponurym tonem: - Tak się złożyło, Geronde, że byłem jeszcze daleko, kiedy do tego doszło. Jednak słyszałem ich rozmowy i inne dźwięki, jak również odgłosy zbliżających się ludzi, których pozabijali. Nie mówiąc już o tętencie waszych koni,

- I nic nie zrobiłeś, kiedy uciekali! - wyrzucała mu Geronde.

- A jaką sprawiłoby to różnicę? - odparł Aargh, - Czy przywróciłoby życie zabitym? Nie osądzaj mnie według waszych ludzkich praw, Geronde!

- Sądziłam - stwierdziła lodowatym tonem Geronde - że nawet wilk ma jakiś honor!

- Honor jest dla mnie niczym - rzekł Aargh. - Wiem, że wy wszyscy żyjecie i umieracie zgodnie z jego nakazami, ale dla mnie to słowo nic nie znaczy. Zabijać i być zabijanym - tak zawsze było i będzie. Ja również zginę pewnego dnia, zupełnie jak ci tutaj.

- Cicho, mówię! - wtrąciła Angie głośnym i gniewnym szeptem. - Słuchajcie!

Popędziła konia jeszcze kilka kroków, aż znalazł się tuż obok jednej z dwóch martwych służących, które widocznie towarzyszyły rycerzowi i szlachciance. Nawet nie spojrzała na leżące na ziemi ciało dość krępej kobiety w średnim wieku, odzianej w siermiężne szaty, która też zginęła szybką śmiercią od trafienia strzałą w pierś. Druga służąca padła kawałek dalej, skulona, ze strzałą w plecach, prawdopodobnie postrzelona w chwili, gdy pochylała się nad czymś.

Nagle wszyscy usłyszeli ten dźwięk.

Był wysoki i cichy, lecz ponieważ rozległ się w chwili przerwy w rozmowie, wszyscy wyraźnie go usłyszeli. Jednak nie mogli stwierdzić, skąd właściwie dochodzi. Miał tę dziwną właściwość, jaką posiadają niektóre odgłosy, że zdawał się dobiegać ze wszystkich stron jednocześnie.

- Nie podoba mi się to - mruknął Alfred.

Jednak Angie już spięła rumaka i ruszyła w kierunku drugiej służącej. Złapała trupa za ramię i obróciła go na bok i na plecy, odsłaniając twarz zabitej. Dziewczyna miała najwyżej kilkanaście lat, lecz wydatne piersi wypychające suknię można było zauważyć nawet pod grubą odzieżą założoną na tę podróż zimową porą przez lasy.

Nie zwracając uwagi na martwą dziewczynę, Angie porwała z ziemi jakieś zawiniątko, dotychczas skryte, jakby osłonięte ciałem. Kiedy to zrobiła, pisk rozległ się ponownie, tylko wyraźniejszy, i natychmiast dał się rozpoznać jako płacz dziecka.

- Dziecko! - krzyknęła Geronde i chwyciwszy wodze wierzchowca towarzyszki, podprowadziła go do stojącej kilka kroków dalej Angie, tulącej w ramionach to białe zawiniątko usztywnione kawałkiem deseczki.

- Wsiadaj, Angelo! Na ziemi jest niebezpiecznie!

- Nie wtedy, kiedy ja tu jestem - usłyszeli chrapliwy głos Aargha, który szedł w ślad za Angie, Geronde i dwoma rumakami. Geronde napadła na niego:

- Przez cały czas wiedziałeś, że ono tu jest! Dlaczego nam nie powiedziałeś?

- Chciałem sprawdzić, jak szybko sami je znajdziecie - wyjaśnił Aargh, Rozdziawił pysk w

cichym, wilczym uśmiechu. - Jednak nie czekałbym, aż szczenię umrze. W rzeczy samej chętnie ocaliłbym i tę dziewczynę, która je niosła - za to, że próbowała osłonić je własnym ciałem.

- Podaj mi to dziecko, Angelo! - powiedziała rozkazująco Geronde, Angie bowiem usiłowała wsiąść na koń, nie wypuszczając węzła z rąk.

Angie niechętnie podała dziecko Geronde, która przytrzymała je, aż przyjaciółka znalazła się w siodle, po czym natychmiast zabrała je z powrotem.

- Słyszałaś to?! - spytała. - Usiłowała uratować swoje dziecko, oddając za nie życie, a i tak ją zabili.

- To była tylko niańka! - odparła z lekkim zniecierpliwieniem Geronde. - Spójrz, dziecko zostało zawinięte w becik z najlepszej wełny, tak dobrej, jak szaty zabitych rodziców. Ta dziewczka była tylko karmicielką. Popatrz na jej ubogi strój!

Jednak Angie nie słuchała. Tuliła niemowlę w ramionach, nie zważając na kanciastą deseczkę, do której przywiązano becik. Zdumiewające, ale dziecko przez wąską szczelinę w zawiniątku niemal całkowicie zasłaniającym mu twarz wyraźnie wydawało w jej kierunku radosne dźwięki, co było zaskakujące, zważywszy, że leżało porzucone w śniegu, chociaż chronione od bezpośredniego z nim kontaktu przez przymocowaną na plecach deseczkę. Jednak po krótkiej chwili ten wesoły szczebiot ustał i znów rozległ się piskliwy płacz.

- Musi być głodne! - orzekła Angie.

- No cóż, nie ma wśród nas mamki! - powiedziała zdecydowanie Geronde. - Jednak w jukach mam trochę cukru. Możemy rozpuścić go w odrobinie wody i skrócić z kawałka materiału rożek, który dziecko possie.

- Trzeba zagotować wodę! - rzuciła szybko Angie.

- Zagotować! - obruszył się Brian. - Milady, znajdujemy się w samym środku lasu, zapada noc, a do klasztoru Edsley jeszcze kawał drogi. Nie możemy tu popasać tylko po to, żeby zagotować trochę wody. Wokół jest pełno śniegu, który można stopić w mgnieniu oka. Jednak zagotowanie wody to zupełnie inna sprawa...

- Prawdę mówiąc, Brian ma rację, Angelo - powiedziała Geronde.

- Muszę mieć przegotowaną wodę! - upierała się Angie. Spojrzała na Jima.

- Tak! - wybełkotał Jim, natychmiast pojmując znaczenie tego spojrzenia. - W tym przypadku trzeba ją zagotować, żeby... żeby zapobiec defranchisingowi przyszłości tego dziecka przez simulacra śmierci!

Nikt się nie spierał. Mag przemówił, w dodatku słowami tak niezrozumiałymi, że nikomu nie przyszło do głowy, by się z nim kłócić. Brian natychmiast zaczął wydawać niezbędne polecenia,



- Alfredzie - rzekł - skocz galopem do reszty, powiedz im, żeby wzięli jeden z moich stalowych hełmów, nałożyli do niego tyle śniegu, by wystarczyło na kubek wody - tylko kubek, Alfredzie, nie więcej - i zagotowali ją na ognisku. Ma wrzeć, zanim do was dojedziemy.

Alfred pogalopował traktem.

- Czterech z was - powiedział Brian do pozostałych zbrojnych - zrobi nosze z gałęzi i powiezie ciała zabitego rycerza oraz damy. Zabierzemy je do klasztoru Edsley i wyprawimy chrześcijański pogrzeb. Kto nie jest tu potrzebny, pojedzie teraz z nami.

Przeżegnał się i wymamrotał kilka słów - zapewne modlitwy - spoglądając na leżące w śniegu ciała. Geronde poszła za jego przykładem, a potem oboje ruszyli z powrotem w stronę traktu. Jim i Angie pojechali za nimi z resztą zbrojnych. Jechali stępa, nie tyle dla wygody, ile dlatego, że trzymająca niemowlę Angie nie chciała jechać szybciej, żeby niepotrzebnie nim nie potrząsać.

Kiedy dołączyli do głównego orszaku, ognisko już się paliło. Śnieg topił się na ogniu w hełmie pomysłowo wciśniętym między dwie kłody zbyt grube, aby mogły się przepalić, zanim woda zacznie wrzeć.

Woda oczywiście jeszcze się nie gotowała. Jednak nikt nie komentował tego faktu. Poza tym mężczyznom kazano trzymać się z daleka - co chętnie uczynili - podczas gdy Angela, Geronde oraz ich trzy służące zajmowały się dzieckiem.

Minęło trochę czasu.

- Do licha - rzekł Brian, ale po cichu i tylko do Jima, którego koń niespokojnie kręcił się obok jego rumaka, gdyż obaj przyjaciele trzymali się nieco na uboczu. Brian westchnął. Napotkał spojrzenie Jima. - Och, no dobrze!

Właśnie wtedy płacz dziecka ucichł i wkrótce potem kobiety dołączyły do nich, oświadczając, że niemowlę śpi.

W gasnącym blasku dnia dalsza jazda do klasztoru Edsley była dosyć męcząca. Angie w końcu dała się przekonać, głównie Geronde, że dziecku, które przed śmiercią swych rodziców zajechało tak daleko na końskim grzbiecie, z pewnością nie zaszkodzą podskoki kłusującego wierzchowca. Ustąpiła, chociaż niechętnie. Od razu pojechali zwawiej i słońce znajdowało się jeszcze na horyzoncie, kiedy wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń otaczającą kamienne budynki klasztoru, a właściwie małego zamku, do którego zostali niezwłocznie wpuszczeni po zameldowaniu się wartownikowi przy bramie.

Jim był niezmiernie szczęśliwy, wjeżdżając konno na wewnętrzny dziedziniec, a jeszcze bardziej, gdy rzucił wodze jednemu ze swych ludzi i wszedł do pospiesznie oświetlanej sieni. Jednak w środku było niemal równie zimno, jak na zewnątrz, tyle że lodowaty wiatr nie przeszywał do szpiku kości jak na dworze.

Zbrojni już podążyli do stajni, gdzie sterty siana oraz grube warstwy odzieży powinny im

wystarczyć do uwicia ciepłych legowisk, w których nie zamrzną przez noc. Gdyby stało się inaczej, przeor z pewnością ubolewałby nad tym faktem, ale uznałby go za przejaw woli bożej. Dwóch giermków - Jima i Briana - umieszczono natomiast w niewielkiej komórce obok kuchni.

Kiedy prowadzono ich przez sale, Jim i jego towarzysze zauważyli tylko kilka kominków z ledwie tłącymi się węglami. Jednak w przydzielonej Angie i Jimowi komnacie o kamiennych ścianach i jednym, zasłoniętym kotarą oknem, na palenisku wesoło buzował ogień.

Niestety, Jim niemal natychmiast został wypędzony z tego ciepłego pomieszczenia, które Angie, Geronde oraz ich służące zmieniły w żłobek. Miały mnóstwo roboty przy niemowlaku, szczególnie że dostał się w ich ręce bez zapasowych ciuszków i bez opieki.

Jim jak przez mgłę przypominał sobie, że w jego dwudziestowiecznym świecie twierdzono, iż pod wpływem odpowiednio silnego bodźca nawet bezdzietne kobiety mogą czasem karmić piersią. Angie, oczywiście, wiedziała o tym. Ponadto okazało się - chociaż nie miał pojęcia, jakim cudem ta wieść rozeszła się tak szybko - że przeor już rozesłał gońców do swoich włości po karmiącą matkę, która w nocy mogłaby użyć dziecku pokarmu.

Jim musiał się przyłączyć do zakwaterowanego w klitce Briana, bo trudno było nazwać pokojem pomieszczenie, w jakim umieszczono przyjaciela. Jednak tu też palił się ogień, a salka była tak niewielka, że już było ciepło.

Brian raczył się jedzeniem i winem - prawdopodobnie dostarczonym przez gospodarzy - ustawionym na niewielkim stoliku. Wino było jasnoczerwone i klarowne, zapewne dobry rocznik zarezerwowany dla znamienitych gości. Jednak posiłek składał się z półmiska sztokfiszki, jak powszechnie nazywano suszone śledzie, które Jim wyczuł w chwili, gdy przestąpił próg komnaty. Brian zignorował je - przynajmniej na razie. Zaiste, postny posiłek.

- Spocznij i wznies kielich, Jamesie! - rzekł Brian. Siedział wygodnie na miękkim, masywnym krześle wyciągając przed siebie nogi i opierając łydki o jedną ze swoich sakw, tak że przemoczone podeszwy jego butów do konnej jazdy - swoim czternastowiecznym, pozbawionym obcasów fasonem bardziej przypominające skórzane skarpety - były zwrócone w kierunku buzujących płomieni. - Nie - mówił dalej - nie lej z karafki. Z flaszki stojącej za nią. Wziąłem ze sobą trochę przedniego wina, szkoda byłoby marnować je na jakiegoś przypadkowego gościa, któremu przyjdzie chęć odwiedzić mnie w mojej komnacie na dworze earla.

Jim natychmiast poszedł za jego radą. Z pucharkiem w ręku usiadł przy ogniu na drugim z foteli, które stanowiły jedyne oprócz łóżka umeblowanie tego pokoju. Ze swojego bagażu wyjął flaszkę przygotowanej przez Angie wody, dolał trochę do wina i wypił.

Żar kominka grzał go przyjemnie w twarz, rozgrzewał dłonie i całą resztę ciała, podczas gdy płyn z flaszki Briana oddawał tę samą przysługę gardłu i żołądkowi, Jim doszedł do wniosku, iż to naprawdę przedni trunek, i przypomniał sobie, że kiedy zjawiał się w tym świecie, rozróżniał tylko kolory wina.

Odetchnął z ulgą.

- Zaiste - rzekł Brian - miło znaleźć się w ciepłe i pod dachem, prawda, Jamesie? I kto by pomyślał, że ty i lady Angela przybędziecie do earla z dzieckiem na rękę? Na takie biesiady nie przywozi się dzieci, dopóki nie są dostatecznie duże, żeby mogły same się bawić i chodzić do wygódki; a nawet wtedy nieczęsto. Jednak...

- Czy jutro czeka nas długa jazda do earla?

- Mniej niż pół dnia - odparł Brian. - Jeśli mogę radzić, lepiej prześpij się tu ze mną. Komnata lady Angeli przez całą noc będzie pełna zaaferowanych kobiet.

- Pewnie masz rację - przyznał Jim. - Chyba nie ma obawy, że w drodze stąd wpadniemy w jakieś tarapaty, teraz kiedy Angie ma jeszcze to dziecko pod opieką?

- Nie, nie - rzekł Brian. - Będziemy na otwartej przestrzeni. Możesz spokojnie radować się napitkiem i jadłem. Nie mam złych przeczuć co do jutrzejszego dnia.

Wyciągnął rękę, w której nie trzymał kubka z winem, wziął jednego suszonego śledzia i zaczął ogryzać go z filozoficzną zadumą, patrząc w ogień, popijając każdy kęs i najwyraźniej ciesząc się życiem.

Jim siedział, pijąc wino, nieco mniej zadowolony od przyjaciela. Brian zawsze przyjmował wszystko pogodnie, czy działo się dobrze, czy źle. Jim nigdy nie potrafił się zdobyć na taką samodyscyplinę. W tej chwili ciałem był tutaj, lecz duchem znajdował się w komnacie z Angie, resztą kobiet i bezimiennym dzieckiem, które znaleźli.

Mimo przepracowania wszystkie kobiety wyglądały na zadowolone z obecności najmłodszego członka świty. W przypadku Angie określenie „zadowolona” było stanowczo eufemistyczne. Po prostu promieniała ze szczęścia. Właśnie ten fakt nie pozwalał Jimowi podzielać znakomitego humoru Briana.

Na razie wszystko wyglądało bardzo dobrze. Jednak w przyszłości Angie będzie musiała oddać komuś dziecko. Jim nie bardzo mógł sobie wyobrazić, co może wtedy nastąpić. Nawet tak niejasna wizja napawała go obawami.

Teraz to on miał złe przecucia.

## Rozdział 5

- No, tak już lepiej - stwierdziła Angie.

Jim przytaknął. Mówiła o dwóch pokojach, jakie przydzielono im na dworze earla. Kwatera była znacznie lepsza, niż Jim oczekiwał. Zapewne zawdzięczali to temu, że młodego maga uważano za barona. A to z kolei było rezultatem naprędce wymyślonej historyjki, jaką opowiedział, przedstawiając się, kiedy przybył do tego świata.

Podał się za barona Riveroak, W miasteczku Riveroak znajdował się college, w którym oboje z Angie pracowali jako asystenci.

Nawet szlachecki tytuł, pomyślał teraz, nie uprawniałby ich do zajęcia dwóch pokoi, gdyby nie dziecko. Wprawdzie niemowlę samo w sobie nie było zbyt ważne w tym stuleciu, w którym śmiertelność noworodków była bardzo wysoka, ale ciekawą historię cenili wszyscy.

I właśnie o to chodziło. Wszystkich poruszyła dramatyczna opowieść o znalezieniu w lesie pomordowanych podróżnych oraz fakt, iż w zabitym mężczyźnie - na podstawie podanego przez Briana opisu herbu na płaszczu - rozpoznano sir Ralpa Falona, marzyciela (któż inny podróżowałby z tak nieliczną eskortą, jeśli nie szaleniec), bogatego, a co za tym idzie potężnego barona Chene. Przywieźli do klasztoru Edsley zwłoki Falona i znalezionej przy nim kobiety, która okazała się jego trzecią, bardzo młodą żoną. Fakt, że ona również została zabita i z całej grupki ocalało tylko to dziecko, stał się doniosłym wydarzeniem i tematem wielu rozmów. Szczególnie że miało to miejsce tuż przed narodzinami Dzieciątka Jezus, co nadawało wszystkiemu prawie biblijny wymiar.

W ten sposób earl miał szansę okazać iście królewski gest - sposobność chętnie wykorzystywana przez górne warstwy średniowiecznego społeczeństwa. Sprostął sytuacji, robiąc wiele zamieszania wokół Jima, Angie i dziecka. Postarał się, żeby dostali wszystko, co najlepsze. Wszystko, to znaczy te dwa pokoje, według średniowiecznych norm duże, czyste, nieźle umeblowane, a nawet posiadające dwa spore okna z okiennicami, gdyż komnaty znajdowały się w wysokiej wieży.

W wyniku takiego obrotu spraw Jim i Angie mieli swoje własne, małe królestwo. Jeden pokój przeznaczyci wyłącznie dla dziecka i przywiezionej z Edsley mamki. Była wolna, ponieważ jej dziecko umarło. Drugi pełnił jednocześnie funkcję sypialni i saloniku. W obu pomieszczeniach były duże kominki i znaczny zapas opału.

Ponadto mieli przyjemną świadomość tego, że ze względu na dziecko żaden pijany gość earla nie zacznie się po północy dobijać do ich drzwi w poszukiwaniu towarzystwa, powodowany działaniem alkoholu, a nie zdrowym rozsądkiem. Zezwolono im nawet postawić strażnika przy drzwiach.

- Tak - rzekł Jim. - Jest lepiej, niż oczekiwałem.

Na chwilę zostali sami w pierwszym pokoju. Drzwi na korytarz były zamknięte. W przejściu do drugiego pomieszczenia nie było drzwi, tylko gruby gobelin zasłaniający wejście do komnaty, w której teraz znajdowali się Jim i Angie. Wprawdzie słyszeli głośne marudzenie dziecka i inne odgłosy dochodzące z kuchni, ale nie mogli przecież wymagać idealnego spokoju.

- Ta kruszynka - powiedziała Angie, siadając obok Jima na stojącym przed kominkiem fotelu i podnosząc kubek wina, które mąż nalał jej dobre dwie godziny wcześniej, a którego ledwie skosztowała - jest baronem Chene!

- Nie jestem pewny, czy on już jest prawowitym baronem, czy nie - rzekł Jim. - Może powinien zostać w jakiś sposób uznany albo osiągnąć określony wiek, zanim legalnie odziedziczy tytuł? - Urwał, a potem mówił dalej: - W każdym razie teraz jest pod opieką króla.

- Króla! - powtórzyła Angie, prostując się na fotelu.

- Owszem - rzekł Jim, nie patrząc na nią. Celowo o tym wspomniał, żeby zacząć przygotowywać ją na to, że mogą niemal bez ostrzeżenia odebrać im dziecko. - W przypadku, gdy małżeństwo włościń umiera, a ich dziecko żyje, dostaje się pod opiekę króla. Ten może przekazać prawo do niej każdemu, komu zechce.

- Ten stary pijaczyna z Londynu? On równie dobrze mógłby oddać Roberta każdemu.

Imię dziecka odkryto wyszyte na ubranku.

- On czasami bywa trzeźwy - uspokajał ją Jim. - Ponadto o losach bogatych podopiecznych zapewne nie zdecyduje sam król, lecz otaczający go wielmożowie, tacy jak John Chandos.

- A sir John lubi cię - przypomniała Angie.

- Tak, chyba tak - odparł Jim. - Jednak to tylko jeden głos. Ważniejszy jest fakt, że król ma o mnie dobre zdanie, ponieważ ta historia pod twierdzą Loathly okryła go sławą.

Mówił o tuzinach popularnych ballad opiewających historię uratowania przez Jima Angie przed Ciemnymi Mocami z twierdzy Loathly - przy pomocy Briana, Aargha, walijskiego łuczника Dafydd a Hywela i Carolinusa. Pierwsi bardowie układający taką pieśń wprowadzili do niej zwrotkę, w której Jim najpierw zobaczył się z królem i poprosił go o pozwolenie zaatakowania złych mocy w twierdzy Loathly. Władca łaskawie udzielił mu zezwolenia. Tak więc wyszło na to, że wszystko nastąpiło z inicjatywy i na rozkaz króla. Monarsze bardzo się to podobało.

- To prawda - powiedziała Angie, odprężając się trochę. Widząc to, Jim postanowił zaryzykować i przekazać jej kolejne złe wieści.

- Siostra sir Ralpa Falona jest już tutaj, u earla - powiedział.

Angie znów zeszywniała na fotelu. Odstawiła kubek z winem, nawet nie skosztowawszy napoju.

- Siostra?

- Tak, lady Agatha Falon. Młodsza siostra sir Ralpa. Byli jedynymi dziećmi poprzedniego barona. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że ona jest tylko przyrodną siostrą. Urodziła ją druga żona barona - ta przed Mary Briten - jednak wciąż ma ona prawo do majątku... - Usiłował złagodzić ostatnią wiadomość. - Oczywiście - rzekł - skoro sir Ralph miał kolejną żonę i jego syn żyje, siostra raczej nie może dziedziczyć.

- Naprawdę? - spytała ponuro Angie.

- Tak - odparł Jim.

- No cóż, tak powinno być - powiedziała Angie. - Mały Robert powinien dostać wszystko. W końcu to on, kiedy dorośnie, będzie musiał zebrać drużynę i poprowadzić ją do boju w imię króla, podczas gdy ona nigdy w życiu nie zrobiła niczego pożytecznego!

Jim nie mógł sobie przypomnieć jakiegokolwiek kobiety napotkanej w tym średniowiecznym świecie, która nigdy nie zrobiła niczego pożytecznego. One wszystkie wydawały się przeraźliwie zajęte - tak samo, jeśli nie bardziej niż mężczyźni. Jednak znał Angie dostatecznie dobrze, żeby nie mówić takich rzeczy głośno. Ponadto miał dla niej jeszcze jedną gorzką pigułkę do przełknięcia.

- To całkiem naturalne, że jest zainteresowana - rzekł. - Ktokolwiek zostanie opiekunem młodego Roberta, będzie ściągał daninę i zarządzał dobrami Chene do czasu pełnoletniości chłopca. A te włości... no cóż, słyszałaś o nich: dochody z nich uszczęśliwiłyby nawet diuka. Nie wiem, jakie przedziwne motywy skłoniły barona do wyruszenia w drogę z zaledwie ośmioma uzbrojonymi ludźmi, szczególnie przez taką okolicę.

- Chcesz powiedzieć - drażyła Angie, ignorując resztę wypowiedzi Jima - że ta Agatha będzie zainteresowana dochodami z dóbr Chene czerpanymi w czasie sprawowania kurateli?

- Na to wygląda - odparł Jim. - Nie wyobrażam sobie, żeby nie była zainteresowana.

W tym momencie usłyszeli jedno głośne uderzenie w drzwi, a po krótkiej przerwie dwa dość nieśmiałe puknięcia, jakby osoba znajdująca się w przedsionku nagle przypomniała sobie, kto przebywa w komnatach, do których chce wejść.

- Tak? - zawołał głośno Jim.

Drzwi uchyliły się odrobinę i w szparze pojawiła się szczupła, zatroskana twarz Briana,

- Jim, Angelo! - powitał ich. - Jim, Carolinus prosił mnie, abym wpadł tu i namówił cię, żebyś zszedł i dołączył do innych gości w głównej sali. Wszyscy jut tam są.

Jim podniósł się z fotela.

- Lepiej pójdę - powiedział do Angie. - Ty możesz spędzać tu większość czasu, Angie. Ode mnie jednak oczekują, że będę wśród gości.

Ruszył do drzwi.

- Hmm - mruknęła z roztargnieniem Angela, również wstając i idąc w kierunku drugiego pokoju. Pomachała mężowi ręką i zamyślona zniknęła mu z oczu za zasłaniającą wejście kotarą.

W wielkiej sali rzeczywiście było tłoczno od zaproszonych na tę świąteczną ucztę pan i panów. Wszyscy, tak jak Jim, wsiali wcześniej rano, aby wziąć udział w obowiązkowym nabożeństwie - pierwszej w tym dniu mszy. Później wielu z tych, których mag widział tu teraz, zapewne zrobiło to samo, co czynił zwykle Jim - po cichu wracali do swoich komnat, żeby zdrzemnąć się jeszcze trochę. Nadchodząca północ rozpoczynała święta, wigilię Bożego Narodzenia, Będzie musiał wziąć udział w uroczystościach, a ponadto przez cały dzień pokazywać się zebranim gościom.

Wcześniej, po porannej mszy, co młodszy i energiczniejsi mężczyźni ruszyli na łowy na dzika. Spędzili zimny ranek, uganiając się z psami po lasach, i nie napotkali żadnego zwierza. Mimo to, tak jak powiedział Brian, prawie wszyscy byli teraz w sali. Choć oczywiście, nie każdy rycerz z

Somerset i jego dama otrzymali zaproszenie. Do tych należał sir Hubert, kłótniwy sąsiad Jima. Jednak i tak przebywało tu tylu gości, że w długiej zamkowej sali zrobiło się tłoczno.

Komnata była powiększonym czternastowiecznym odpowiednikiem salonu wyższych sfer. Wzdłuż jednej ściany stał zapasowy stół, którego (w przeciwieństwie do większości średniowiecznych stołów) nigdy nie sprzątano między posiłkami, lecz pozostawiano nakryty, z przekąskami dla głodnej szlachty. Jak każdy porządny stół w owych czasach, nakrywano go śnieżnobiałym lnianym obrusem.

Teraz znajdowały się na nim liczne potrawy spełniające wymogi postu w adwencie. Innymi słowy, nie było żadnego mięsa, jajek czy tłuszczu, takiego jak masło lub śmietana. Jednak można było spróbować licznych dań ze świeżych ryb - wspaniałe upieczonych, usmażonych, zapiekanych i przyrządzonych na rozmaite sposoby - umieszczonych przeważnie w salaterkach z kremem ze sproszkowanych migdałów zastępującym krowią śmietaną i masło, którymi zazwyczaj doprawiano te potrawy. Oczywiście nie brakowało wina i takich przekąsek, jak nie zawierające zakazanych składników paszteciki, oraz innych smakowitości, zapewne również przygotowanych z mlecza migdałowego, a nie, tradycyjnie, mleka czy śmietany.

W rezultacie zgromadzeni goście mogli z kielichem wina i przekąską krążyć, rozmawiać albo zerkać przez jedyne wielkie i oblodzone okno na poddanych earla. Wielu z nich dla rozrywki (praca w taki dzień byłaby grzechem) odgarniało plac ze świeżego śniegu, który spadł w nocy. Tak więc panowie mogli stać, rozmawiać, jeść i obserwować, jak poddani krzątają się w obejściu - widok zawsze przyjemny dla tych, którzy patrzą.

Większości zaproszonych Jim nigdy przedtem nie spotkał. Zauważył, że Carolinus pogrążony jest w rozmowie z sir Johnem Chandosem i odzianym w czarny habit benedyktyna roslym, muskularnym mężczyzną w średnim wieku, o długich, stalowoszarych włosach i kwadratowej twarzy. Poprzedniego dnia powiedziano Jimowi, że to biskup Bath i Wells. Jednak wcale nie wyglądał na biskupa. Sprawiał wrażenie kogoś, kto raczej okładałby grzeszników pięściami, niż pocieszał zbłąkane duszyczki.

Jim i Brian powoli podeszli do stołu i Brian zaopatrzył się w kielich pełny wina oraz garść pasztecików. Jim wziął drugi puchar, ale tylko trzy małe zakąski. Wkrótce nadejdzie południe i zaczną się ucztować. Odeszli od stołu, dopuszczając do niego innych,

- Nie pozwól się skrępować temu dziecku oraz trosce Angeli o nie, Jamesie - zaczął Brian. - Powinieneś... ha!

Spojrzenie Briana pobiegło nad ramieniem Jima do czegoś lub kogoś za nim. Nabrało innego wyrazu; niestety, takiego jaki Jim już wiele razy widział u przyjaciela - zawsze tuż przed wyruszeniem tegoż do boju.

Jim obrócił się na pięcie i ujrzał, jak Brian maszeruje w kierunku mężczyzny mniej więcej równego mu wiekiem, trochę wyższego i szczuplejszego, lecz pod innymi względami bardzo do niego podobnego. Tamten również był rycerzem, nosił bowiem rycerski pas - oczywiście bez miecza, jak przystoi gościowi. Włosy miał kruczoczarne, oczy piwne i ubrany był w kosztowny kaftan śliwkowej

barwy oraz szare, obcisłe spodnie wpuszczone w wysokie buty bez obcasów.

- Ha! - powtórzył Brian, stając krok przed nieznanym.

- Ha! - odparł tamten.

Oba okrzyki przebiły się przez pomruk i gwar rozmów. Zapadła cisza, a wszystkie spojrzenia pobiegły w kierunku Briana i drugiego rycerza. Najwyraźniej owo „ha!” nie było zwykłym pozdrowieniem, lecz czymś zdecydowanie bardziej wyrażającym emocje.

- Sir Harimore! - warknął Brian. - Widzę pana w dobrym zdrowiu?

Sir Harimore miał nad górną wargą cienki, starannie przystrzyżony wąsik. Poza tym był gładko ogolony. Wąsy nosił zbyt krótkie, aby mógł je podkręcić, teraz jednak sięgnął ręką, usiłując to zrobić.

- W najlepszym, sir Briane - odwarknął. - A jak pańskie?

- Dzięki Bogu nigdy nie czułem się lepiej! - rzekł Brian.

- Ha! - powiedział sir Harimore, udając, że podkręca wąsa.

- Ha! - odparł Brian.

Nastała chwila napiętego milczenia.

- Zatem ujrzę pana tutaj w nadchodzących dniach? - spytał sir Harimore.

- Z pewnością, sir!

- Będę czekał na to z niecierpliwością!

- I ja również!

Przy tych słowach obaj najwyraźniej zorientowali się, że wokół nich zapadła głucha cisza. Nieco sztywno pokłonili się sobie, po czym sir Harimore podszedł do dwóch kobiet i mężczyzny, z którymi przedtem rozmawiał, a Brian powrócił do Jima. W sali znów rozległ się gwar rozmów.

- Kto to był? - zapytał Jim ściszym głosem, aby nie usłyszano go w gwarze.

- Sir Harimore Kilinsworth! - rzekł Brian.

Jim jeszcze nigdy nie widział takiej wściekłości w jego oczach. Jednak nazwisko to nic mu nie mówiło.

- Nie znam - powiedział. - Kim on jest? Dlaczego... - Nie wiedział, jak uprzejmie sformułować pytanie, które chciał zadać: „Dlaczego widok tego człowieka wywołał taką niezwykłą reakcję sir Briana?” Ten zaś pociągnął wina z kielicha tak gwałtownie, jakby chciał odgryźć brzeg pucharu. -



Chcę powiedzieć, że... - zaczął niezręcznie Jim, kiedy przyjaciel przerwał mu.

- Sir Harimore Kilinsworth - oznajmił - jest wspaniałym szermierzem. Rzadko widywałem takich jak on. Równie zręcznie posługuje się innym orężem, jednak kopią włada w sposób wręcz niezrównany... Nie znoszę tego faceta!

- Ach tak? A dlaczego? Co jest z nim nie tak?

- No cóż, istotnie jest dobry. Jednak można by rzec, iż jest z tego zbyt dumny. Jego zachowanie działa mi na nerwy. Niewiele brakowało, a wyszlibyśmy przed tę gospodę, o której ci opowiadałem, szczególnie po tym, co rzekł o Geronde.

- Powiedział coś o Geronde? - zdziwił się Jim. To musiała być część tej opowieści, której Brian nie zdążył dokończyć w Malencontri. Po trzech latach pobytu tutaj Jim zaczął rozumieć niezwykłą wrażliwość takich ludzi jak Brian na niektóre zwroty i sformułowania. - Co mówił?

- Nie pamiętam dokładnie słów - odparł Brian - lecz ich znaczenie było aż nazbyt oczywiste; tak jak zamierzał. Prawie otwarcie oskarżył mnie o złamanie ślubowania.

- Ślubowania?

- Właśnie, właśnie - mruknął Brian, ścisząc głos, mimo wszystko jednak zdradzając pewne zniecierpliwienie. - Słowa, które dałem Geronde, oczywiście. Paskudna insynuacja. Przecież człowiek może czasem zerknąć na ładną kobiecie, nawet jeśli jest związany ślubem! Chyba wszyscy jesteśmy synami Adama?

Jim już miał spytać, co ma z tym wspólnego Adam, nie mówiąc już o jego synach, kiedy poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Odwrócił się i ujrzał stojącego przed nim Carolinusa.

- Chcę... - zaczął mag.

Jednak w tym momencie podłoga zadrżała, ściany zadygotały i wszystko wokół zatrzęsło się jak przy małym trzęsieniu ziemi.

## Rozdział 6

- Córy Belzebuba! - warknął Carolinus. Jego głos utonął w ogólnym gwarze, jaki powstał nagle wokół nich, lecz już zaczynał cichnąć. - Ma z tym zaraz skończyć! Właśnie miałem ci to powiedzieć: żadnych wstrząsów w tym i następnym tygodniu!

Zejdź i powiedz mu to natychmiast!

Jim nie wiedział, że Belzebub w ogóle ma jakieś córki. Jednak przyłapał się na zwariowanej myśli, że skoro Adam miał synów, a miał, to zapewne zupełnie logiczne jest, że Belzebub miał córki. Tylko kim był ten „on”?

- Komu mam powiedzieć? - zapytał.

- Olbrzymowi z tego zamku! - odparł Carolinus, przezornie ścisząc głos, gdyż gwar wokół nich już ucichł. Stali bywalcy tego miejsca uspokajali gości będących tu pierwszy raz, że „to tylko zamkowy olbrzym”. - Właściwie nie jest olbrzymem - ciągnął mag - ale nie o to chodzi. Idź na dół, Jim, a ty, Brianie, lepiej pójź razem z nim, żeby na pewno tam trafił i wrócił!

- Tak, magu! - odparł rycerz.

Carolinus odwrócił się i ponownie dołączył do Chandosa oraz biskupa Balh i Wells. Jim znów poczuł szarpnięcie za rękaw. Jednak tym razem z drugiej strony i teraz ciągnął go Brian. Ruchem głowy wskazał mu drzwi na korytarz i Jim bez słowa poszedł za przyjacielem. Kiedy wyszli z sali, Brian skręcił i poprowadził go w kierunku głównych schodów wieży, znajdujących się na końcu sieni.

- O co chodzi z tym olbrzymem w zamku? - zapytał Jim.

W tym momencie wokół nic było nikogo, więc nikt nie mógł ich podsłuchać.

- Och, w zamku diuka zawsze był olbrzym - powiedział Brian. - Każdy to wie.

- I dlaczego teraz nazywasz go diukiem? Pamiętam, że pierwszy raz nazwałeś go tak, gdy wspomniałeś o tych jego ucztach. Ja sam przez jakiś czas mówiłem o nim jako o diuku, zanim stwierdziłem, że wszyscy inni nazywają go earlem. A więc kim on jest?

- Och, jest earlem - rzekł Brian. Przez chwilę spoglądał przez ramię na pusty korytarz za nimi i lekko ściszył głos. - Po prostu uważa, że powinien być diukiem. Widzisz, jego ród wywodzi się jeszcze z czasów starożytnych Rzymian. Przodek earla był diukiem, a właściwie sądzę, że nazywano go wtedy dux. W każdym razie nasz gospodarz marzy o tym, aby zwracano się do niego per diuk, i ci z nas, którzy dobrze go znają, czasami tytułują go tak w prywatnej rozmowie - no wiesz, tylko między nami. Nigdy nie nazwałbym go diukiem publicznie. Jednak to jeden z powodów zaproszenia księcia na te święta. Pewnego dnia earl zechce zostać prawdziwym diukiem, a ten dzień może nadejść, kiedy nasz młody książę zostanie królem i spełni życzenie naszego gospodarza - jeśli oczywiście Edwardowi spodoba się ta ucztą i sam earl.

Zeszli piętro niżej, mijając szerokie główne wejście do wielkiej sali, gdzie służba rozstawiała stoły i starannie nakrywała je pięknymi, świeżo upranymi obrusami.

- Zarazem - ciągnął Brian - z punktu widzenia księcia, im więcej możliwych panów ma za przyjaciół, tym mocniejsza będzie jego pozycja, gdy powstanie kwestia sukcesji po ojcu. Nikt nie wie, czy skądś nie pojawi się inny pretendent do tronu - jakiś daleki kuzyn lub ktoś tego typu. Najlepszy sposób, aby zabezpieczyć się przed taką niespodzianką, to upewnić się, że możni królestwa są po stronie księcia. Tak powiedzieli mu jego doradcy, tacy jak John Chandos. Widzisz więc, iż wszystko to ma pewien głębszy sens.

- Istotnie - przyznał Jim.

Minęli suterенę, w której mieściły się stajnie koni diuka i jego drużyny. Tutaj zamykano je, gdy

zamek był atakowany, a jego obrońcy wycofywali się do wieży będącej ostatnim punktem obrony, Nie dochodził do tych pomieszczeń słoneczny blask i w miarę jak schodzili coraz niżej, mrok gęstniał, rozświetlany tylko palącymi się pękami łuczywa wetkniętymi w żelazne kosze na ścianach. Jim nie miał pojęcia, dlaczego miałoby tutaj znaleźć jakiegoś olbrzyma, a jego zdumienie jeszcze się powiększyło, kiedy Brian przeprowadził go przez stajnie do następnych, wiodących jeszcze niżej schodów.

- Hej! Wy! Zaraz! Zaczekajcie chwilkę! Dokąd to?

Jim i Brian odwrócili się, stojąc na szczycie tych kolejnych stopni, i w słabym świetle ujrzeni przed sobą niewysokiego człowieka o okrągłej twarzy ze zjeżonym siwym wąsem, białą bródką i niebieskimi oczami groźnie błyszczącymi spod białych brwi. Jego włosy również były zupełnie siwe. U pasa opinającego w talii ciemnoczerwoną szatę z najprzedniejszej wełny miał zawieszony ciężki miecz. Tuż za nim szli dwaj zbrojni, obaj trzymali w dłoniach obnażone miecze.

- Milordzie! - rzekł Brian, rozpoznając twarz majaczącą w ciemnościach. - Sądzę, że znasz sir Jamesa, barona Malencontri et Riveroak, ucznia...

- Ucznia? - wybuchnął siwowłosy, zagłuszając ostatnie słowa Briana. Białe brwi uniosły mu się do połowy czoła, ale Brian już odwrócił się do Jima.

- Sir Jamesie - ciągnął - poznaj naszego gospodarza i earla, sir Hugona Siwardusa, lorda Somerset.

- Uczeń? - warknął earl do Briana. Jim wiedział, dlaczego tamten tak zareagował. Jakiś uczeń to mała ważna osoba, a ktoś taki wśród jego gości, czy nazywał się rycerzem, czy nie...

- Uczeń maga Carolinusa, milordzie - dokończył Brian.

Na dźwięk imienia Carolinusa brwi earla opadły nieco i nastąpiła krótka cisza.

- Smoczy Rycerz, oczywiście - powiedział. Jego brwi opadły na najniższy poziom. - Drogi panie - z uśmiechem na czerstwej twarzy wyciągnął rękę do Jima - jestem niezmiernie szczęśliwy, mogąc gościć cię tutaj! Nie chciałem zakłócać spokoju panu i milady po tych przygodach, jakie mieliście w czasie podróży. Mam nadzieję, że moi leniwi słudzy zatroszczyli się o was odpowiednio, tak jak im kazałem?

- Nadzwyczaj dobrze, milordzie - odparł Jim. Trochę obawiał się, że earl zechce go uściskać, jak to często robili Brian i Giles, ale gospodarz tym razem poprzestał na przyjaznym, choć mocnym uściśnięciu ręki i promiennym uśmiechu. Jim uprzejmie ścisnął jego przedramię. Potem obaj rozwarli dłonie.

- A zatem... - czoło earla znów przecięła zmarszczka. - Co was sprowadza do moich lochów? Nikomu nie wolno tam wchodzić! Nikomu... - Lekko wydał wargi. - Nawet ja prawie nigdy tam nie schodzę. - Jego policzki zapadły się, a spojrzenie, które śmiało napotkało wzrok Jima, teraz umknęło w bok. - Właściwie nigdy... - mruknął, pod nosem.

- Carolinus przysłał tu sir Jamesa i polecił mi iść z nim - wyjaśnił Brian - żeby zaprotestować przeciw tym wstrząsom.

- Ha! - rzekł earl ze zdumiewającym ożywieniem. - Tak zrobił, doprawdy! Doskonały pomysł! Tak, tak, oczywiście. Ładnie ze strony starego Carolinusa, że o tym pomyślał. Oczywiście nie chciałbym wykorzystywać gościa, ale z drugiej strony, Smoczy Rycerz...

- Jednak - dorzucił Brian - jeśli wasza lordowska mość oponuje...

- Nie - powiedział pospiesznie earl - w żadnym razie. Proszę, czyń swoją magiczną powinność, sir Jamesie. Wybitny mag ten Carolinus. Nie ma lepszego! Tak., zróbcie, co powiedział. Ja... ja muszę teraz iść na górę do moich gości, ale z niecierpliwością będę oczekiwał naszego ponownego spotkania.

- Dziękujemy, milordzie - powiedzieli chórem Jim i Brian.

Earl i jego dwaj zbrojni odwrócili się i pospiesznie odeszli.

Jim i Brian zaczęli schodzić po schodach.

Nic nie mówiąc, zeszli kilka kondygnacji. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno, więc Brian wyjął z uchwytu w ścianie świecę z knotem z sitowia, którą oświetlał drogę. Wreszcie dotarli do najniższego poziomu zamkowych podziemi. Kamienie i belki sklepienia nad ich głowami podtrzymywały wykute w skale łuki, a pod nogami, jak okiem sięgnąć, mieli tylko ubitą ziemię.

- Musi gdzieś tu być - orzekł Brian. - Smród jest dostatecznie wyczuwalny. Czy zauważyłeś, Jamesie, że na wszystkim, aż do wysokości dorosłego człowieka, wiszą strzępy futra?

- Myślę, że to włosy. Może czochra się o głazy, kiedy go coś swędzi - stwierdził Jim. Ostrożnie obwąchał pobliski kamienny filar. Smród nie był aż tak straszny, żeby zatykał. Jim uznał, iż przypomina ostry zapach jakiegoś zwierzęcia. - Chyba te włosy tak śmierdzą,

Brian rozglądał się wokół przy blasku świecy. Jego głos nie zdradzał lęku, ale zwykłą przezorność.

- Carolinus mówił, że ten olbrzym nie jest prawdziwym olbrzymem, prawda? - spytał, obracając się do Jima.

- Tak właśnie powiedział.

- To i dobrze - mruknął Brian, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność za kręgiem rzucanego przez świeczkę światła - przecież głazy i belki nad nami są zaledwie kilka centymetrów od czubka twojej głowy, Jamesie. No cóż, rozejrzyjmy się.

Ruszył naprzód, prosto przed siebie w ciemność. Jim poszedł za nim. Przez krótki czas wędrowali podziemnym korytarzem, spoglądając najdalej jak mogli przy wąłym blasku świecy; jednak nie ujrzeli i nie usłyszeli nikogo.

- To na nic - stwierdził wreszcie Brian, przystając. - Możemy tak chodzić bez końca. - Podniósł głos. - Hej! Olbrzymie! - zawołał. - Jeśli nie obawiasz się stanąć przed nami, pokaż się. Wychodź!

Odpowiedź nadeszła tak szybko, że Jimowi zaparło dech.

Nagle nowe światło przyćmiło blask świecy, tak że stał się ledwie dostrzegalny. Filary i belki wokół nich - a nawet ziemia pod nogami - jarzyły się niesamowitą i silną poświatą, więc widzieli wszystko w promieniu około trzech metrów, tam gdzie drogi nie zasłaniała skała.

Jednak nie potrzebowali patrzeć tak daleko, żeby dostrzec stojącego przed nimi stwora. Zatrzymał się niecałe trzy metry od nich, a jego wygląd nie zachęcał do podejścia bliżej i przywitania się, co mogliby zrobić, spotkawszy kogoś innego.

- Wszyscy święci! - wykrzyknął Brian. - Troll. Większy niż jakikolwiek, o którym słyszałem! Umiesz mówić, trollu?

- Umiem, człowieku! - odpowiedział mu ochryply, głęboki i donośny głos, przy którym słowa Briana brzmiały jak dziecinny dyszkant. - Zanim rozszarpie was na strzępy i zjem, powiedzcie, jak śmieliście tu przyjść.

Zamkowy olbrzym sprawiał wrażenie, że mógłby to zrobić. Carolinus miał rację. Wprawdzie troll nie był olbrzymem, jednak niewiele mu do tego brakowało. Był najwyżej kilka centymetrów niższy od Jima, ale wyższy od Briana. Jim przypomniał sobie stare dwudziestowieczne powiedzenie o barach jak stodoła, jednak pierwszy raz zobaczył kogoś, kto naprawdę miał tak szerokie ramiona.

Szerokość ramion tego trolla, pomyślał Jim, musiała być co najmniej równa jego wysokości. To zdumiewające. Uważano, że większość trolli, nawet największe - nocne, ważyło najwyżej sześćdziesiąt kilogramów. Ten wyglądał tak, jakby ciężarem ciała dorównywał gorylowi.

Ponadto miał długie ręce. Ogromne dłonie zwisały mu poniżej kolan, a jego ramiona i nogi były potężnie umięśnione. Jim wiele słyszał o trollach, ale jeszcze nigdy żadnego nie spotkał. Zafascynowała go głowa i twarz tego, na którego teraz patrzył. Ogromna czaszka wyglądała jak spłaszczona. Była szersza od ludzkiej, z dużym nosem o szerokich nozdrzach. Głęboko osadzone oczy były ciemnej barwy, której przy tym świetle Jim nie mógł określić. Usta miał niezwykle szerokie i wystawała mu dolna szczeka. Ściągnięte teraz wargi odsłaniały ostre, spiczaste zęby, których mógłby pozazdrościć trollowi tygrys szablastozębny.

Na pierwszy rzut oka Jimowi wydawało się, że troll ma na sobie jakiś strój z wyprawionej skóry. Teraz stwierdził, że to po prostu skóra. Troll nie nosił żadnego odzienia oprócz krótkiej i dość brudnej przepaski na biodrach; na niej widniały rzędy czarnych, pojedynczych i niestaránie wydrapanych kresek, jakby ktoś niewykształcony lub niewprawny usiłował coś sobie zaznaczyć.

- Wiedz, trollu - rzekł Brian - iż ten szlachcic obok mnie to sir James Eckert, baron de Malencontri et Riveroak, a ponadto mag. Przynosi ci rozkaz swego mistrza magii, samego Carolinusa. Przemyśl to sobie. Czyżbyś tak długo siedział w tych lochach, że nie wiesz, kim jest Carolinus?

- Oczywiście, że słyszałem o Carolinusi! - warknął troll. - Wilk mi powiedział. Pokażę wam, co myślę o Carolinusi. Zjem was obu i pošlę mu wasze kości!

W ciemności za kręgiem światła rozległo się ciche warczenie. Zbliżało się i narastało, zdawało się odbijać echem od kamiennych ścian wokół nich.

Wszyscy obrócili się w stronę, z której dobiegał ten dźwięk.

- Dobrze to przemyśl, trollu! - rzekł równie chrapliwy, chociaż nie tak głęboki głos i w kręgu światła pojawił się Aargh. Miał nastawione uszy, ogon sztywno wyprostowany i paskudny, morderczy błysk w ślepiach.

- To moi przyjaciele - rzekł Aargh, - Nigdy nie wbijesz zębów w ich kości.

- Nie przyjmuję rozkazów od ciebie, Aarghu - powiedział troll. - Byłeś mi przydatny przynosząc wieści z zewnątrz, i ośmielałeś się przychodzić z lasu moim tunelem, z którego muszę korzystać, wyruszając po pożywienie. Przez te osiemnaście stuleci nikt nie zszedł tutaj dobrowolnie. Nikt, tylko ty. Jednak nigdy nie myśl, że nie mogę pożreć i ciebie, żeby posłać twoje kości... więc lepiej trzymaj się z daleka!

Aargh się uśmiechnął. Nie był to jednak jego zwykły uśmiech. Ten grymas był pionowy, nie poziomy. Wargi najpierw zmarszczyły się, a potem wywinęły na zewnątrz, odsłaniając lśniąco sztylety wygiętych kłów.

- Aargh ma się trzymać z daleka? - rzekł. - Wszystkie trolle są głupie, a ty, Mnrogarze, najstarszy i największy z nich, jesteś także najgłupszy. Dotknij któregoś z nich, a zobaczysz, jak Aargh trzyma się z daleka!

Troll warknął ogłuszająco i zrobił krok w kierunku Aargha, Wilk z trzaskiem kłapnął zębami. Jeszcze bardziej ściągnął wargi i przyczaił się do skoku. Jednak w tym momencie Jim wskazał palcem na trolla i w kamiennych lochach odbił się echem jego głos:

- Bezruch!

Mnrogar stanął jak wryty w pół kroku, prawie tracąc równowagę. Aargh powoli rozluźnił mięśnie i wyprostował się. Znów rozdziawił pysk w swym zwykłym, wilczym uśmiechu.

- No i co z tym pożeraniem i odsyłaniem kości, Mnrogarze? - zapytał. - Nawet uczeń cię pokonał. A co byłoby, gdybyś stanął przed jego mistrzem?

Mnrogar nie odpowiedział, gdyż po prostu nie mógł. Aby to uczynić, musiałby użyć strun głosowych, a magiczny rozkaz Jima pozbawił go władzy nad wszelkimi mięśniami ruchowymi. Mag - w przeciwieństwie do czarnoksiężnika - nie może wykorzystać swej mocy do ataku. Jednak unieruchomienie kogoś, chyba że w pozycji zagrażającej życiu, nie jest nadużyciem magicznych zdolności. Mnrogar stał się posągiem trolla, chociaż z krwi i kości, to jednak nieruchomym.

Jim podszedł i stanął tuż przed znieruchomiałym trollem.

- Ani ja, ani nikt z nas nie szuka z tobą zwady, Mnrogarze - powiedział. - Jednak musisz wiedzieć, że chociaż jesteś tak silny, nie masz szans w starciu z magiem...

- Mów za siebie, Jamesie - rozległ się ochryply głos Aargha, który otarł się o jego nogę, a potem uniósł pysk prawie pod nos zastygłego Mnrogara.

- Widzisz tę wypukłość pod jego pachą, Jamesie? W swoim czasie musiałem walczyć z wieloma trollami i zabijać je. To nie jest mięsień, lecz jedna z rurek w jego ciele, którymi płynie krew. Duża rurka i wiele krwi. W tym miejscu znajduje się tuż pod skórą i bez trudu mógłbym ją rozerwać. Znam też inne takie miejsca na jego ciele. Nie myśl sobie, Mnrogarze, że Aargh nie mógłby cię zabić. Wy, trolle, wszystkie walczyacie tak samo, ponieważ przywykłyście chwytac, gryzc i szarpać pazurami. Wszystkie ruszacie się tak samo. A angielski wilk wie, jak ciac kłami i odskoczyc na bezpieczną odległość, aż z twojego ciała wypłynie cała krew. A tak się stanie po chwili czy dwóch, jeśli przegryzę jedną z tych rurek. Ja umrę, kiedy przyjdzie mój czas, ponieważ jestem wilkiem. Ty będziesz żył jeszcze tysiące lat, jeśli nikt cię nie zabije. Ale powiem ci coś: nawet gdybyś żył tak długo, że na tej ziemi zapomną, co to dąb, popiół i cierń, nigdy nie zdołałbyś zabić Aargha.

Cofnął się, znikając za plecami Jima.

- Mnrogarze - rzekł Jim - zamierzam zdjac zaklęcie, więc zaraz odzyskasz władzę nad swym ciałem. Pamiętaj jednak, że nikt z nas nie żywi do ciebie wrogich uczuć. Lecz nawet gdyby było inaczej, nic nie mógłbyś mu zrobić. Twoja siła jest niczym wobec mojej magii. Pamiętaj o tym. I zapamiętaj wiadomość, którą przynoszę od Carolinusa. Nie wiem, jak tego dokonasz, ale nie wolno ci trząc zamkiem przez następne dwa tygodnie! - Zaczekał chwilę, żeby ta wiadomość dotarła do trolla. - Możesz się ruszac – powiedział.

Mnrogar skoczył, lecz nie na żadnego z nich. Wyjąc przeraźliwie, rozłożył ramiona, którymi sięgał na niewiarygodną odległość, i chwytac nimi kamienne filary po obu stronach korytarza.

Szarpnął z całej siły i wszystko wokół zatrzęsło się, gdy rzucał się tam i z powrotem.

- Bezruch! - warknął Jim,

Mnrogar zastygł i wstrząsy ustały. W nagłej ciszy Jim usłyszał swój chrapliwy oddech. Poza tym nie było żadnych dźwięków; Aargh i Brian nie odezwali się nawet słowem. Dopiero po chwili Jim zdołał opanować gwałtowny, ślepy gniew, jaki wzbudziło w nim postępowanie ogromnego trolla.

- Mnrogarze - rzekł w końcu spokojnym głosem. – Mógłbym zostawić cię tu, żebyś tak stał, dopóki utrzymas się na nogach. Może byłbyś unieruchomiony przez wieki, nie mam pojęcia, czy umarłbyś, zanim twoje ciało upadłoby na ziemię, czy nie. Jednak nie zostawię cię tak. Nie uczynię tego, ponieważ nie jestem taki jak ty, który robisz różne rzeczy tak sobie, tylko po to, żeby krzywdzić innych. Teraz dam ci jeszcze jedną szansę i zdejmę zaklęcie. Tylko tym razem nie rób niczego, co zmusiłoby mnie do powstrzymania cię, ponieważ w przeciwnym razie już cię nie uwolnię. - Zaczekał chwilę, aż jego słowa dotrą do umysłu trolla. Potem powiedział: - Znów możesz się ruszac.

Mnrogar drgnął. Odrzucił łeb w tył i zawył; wycie odbiło się echem w kamiennych korytarzach. Pysk trolla wykrzywił okropny grymas żalu. Otworzył zębatą paszczę i zawył z bólu jak zwierzę.

- Tak sobie? - zawołał. - Przecież to moje! Mój zamek, moja ziemia! Żaden troll jej nie dostanie!

Rzucił się na ziemię i zaczął walić o nią łbem z taką siłą, że wydawało się, iż głowa odpadnie mu od tułowia.

- Boże miłosierny! - odezwał się cicho Brian, stojący po lewej ręce Jima. - Ten stwór płacze!

## Rozdział 7

Miał rację. Po brzydkim obliczu trolla spływały wielkie łzy, a jego szeroką, muskularną pierś wstrząsało łkanie.

- Osiemnaście wieków! - bełkotał, spoglądając na Jima jak zwierzę uwięzione w klatce. - Osiemnaście wieków pilnowałem tego wzgórza i ziemi, żeby nie powstała tu noga żadnego innego trolla. Osiemnaście wieków... - Złapał za skraj przepaski biodrowej i uniósł ją, pokazując Jimowi. - Patrz! Licz! Każdy znak to dziesięć lat i świadczy o tym, że to miejsce jest moje!



- Widzę - rzekł Jim, bo pomimo tego, co zaszło, ów wybuch żalu był tak nieoczekiwany i gwałtowny, że obudził w nim mimowolne współczucie. - Wierzę ci, Mnrogarze. Widzę znaki. Tak, wierzę ci - osiemnaście wieków.

- Tyle czasu! - bełkotał troll. - A teraz ty, ze wszystkich mężczyzn i kobiet, sprowadziłeś na moją ziemię, do mojej siedziby innego trolla i nie pozwalasz mi nic zrobić!

Męka trolla była tak widoczna i dotkliwa, że Jim nie mógł jej dłużej znieść. Pospieszenie szukał w pamięci jakiegoś zaklęcia, którym mógłby ulżyć cierpieniom naturalnego. Jego zasób czarów był tak ubogi, że z początku myślał, iż niczego nie znajdzie. Potem uświadomił sobie, że jednak coś ma.

- Śpij! - rzekł, wskazując na Mnrogara.

Troll zamilkł w pół szlochu. Zamknął oczy i osunął się na ziemię. Spał. Jego twarz się wygładziła i łzy przestały mu płynąć spod powiek. We śnie zniknął z jego oblicza grymas udręki.

- O czym on mówił? - zapytał Brian, stając przed Jimem. - Inny troll? Tutaj? Sprowadzony do zamku przez jednego z gości? To niemożliwe!

- Ja też tak sądzę - rzekł Jim, potrząsając głową. Spojrzał na Aargha, który też podszedł bliżej i obwąchał śpiącego Mnrogara. - Aarghu, czy wyczuwasz w zamku jakiegoś trolla?

W dwudziestowiecznym świecie, z którego przybył Jim, wilki słynęły z umiejętności wyczuwania zapachów, a w czasie trzyletniej znajomości z Aarghem mag przekonał się, że w tym twierdzeniu nie było bynajmniej przesady. Jednak tym razem wilk nawet nie pofatygował się, żeby unieść pysk i powęszyć.

- A co innego mógłbym czuć - odparł Aargh - mając pod samym nosem tego trolla?

Łatwa do przewidzenia odpowiedź. Jimowi zrobiło się głupio. Na szczęście wilk wydawał się bardziej zainteresowany czymś innym.

- Czy ślady na owej rzeczy, którą on ma na biodrach, naprawdę świadczą, że pilnuje tego miejsca od osiemnastu wieków? - zapytał.

- Raczej tak - powiedział Jim.

- Jeśli tak - rzekł Aargh, unosząc łeb, aby spojrzeć na Jima - to dokonał wielkiej rzeczy. Nie znam innego trolla, który upilnowałby swego terenu dłużej niż czterdzieści lat. Może lepiej się zastanów, Jamesie, zanim wymienisz go na innego trolla.

- Jakiego innego trolla? - zdziwił się James.

- Tego na górze, o ile jest tam jakiś - odrzekł Aargh. - Jeśli ten będzie spał, prędzej czy później jakiś inny troll zejdzie do lochu i zabije go we śnie dla jego ziemi. Ja to rozumiem, Jim. Może ty jako człowiek nie możesz tego pojąć. One mają swoje terytoria, których strzegą przed obcymi - tak samo jak mój lud, Jednak poza tym mają z nami niewiele wspólnego, Każdy zaraz po urodzeniu zostaje

porzucony przez tę, która go urodziła. Dorasta - jeśli zdoła przeżyć - i walczy, żeby zdobyć swoją ziemię. Potem pilnuje jej, aż przyjdzie inny troll, który go zabije i przejmie jego teren. Tak dzieje się wśród nas, wilków. Tak samo dzieje się wśród trolli.

- Aarghu! - rzekł Jim. - Czy ten troll jest... twoim przyjacielem?

- Przyjacielem? - odparł Aargh. - Zaledwie przed chwilą byłem gotów go zabić. Rozumiem go, to wszystko.

Jim był zmieszany. Jednocześnie jego umysł pracował gorączkowo. Jeżeli do zamku na górze jakimś cudem dostał się troll, to Aargh wywęszy go bez trudu, gdy tylko intruz znajdzie się gdzieś w pobliżu. Jednak nie potrafił znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi na pytanie, co robiłby tam jakiś troll i w jakim celu ktoś miałby go tam sprowadzać.

- Słuchaj, Aarghu - rzekł. - Czy znalazłbyś trolla tam, na górze, gdzie są wszyscy, gdybym wymyślił jakiś sposób uczynienia cię niewidzialnym albo prawie niewidzialnym, żebyś mógł powęszyć z daleka od Mnrogara? Oczywiście, o ile on tam jest.

- Mógłbym, ale nie zrobię tego - odparł wilk. - Wiesz, że nie lubię tych miejsc, zwanych zamkami i gospodami, oraz innych pułapek, w jakich tłoczycie się wy, ludzie. Nie, nie pójdę z tobą na górę. Nigdy więcej nie zadawaj mi takich pytań, Jamesie. Moja odpowiedź brzmi zawsze tak samo. A ponadto nie mam powodu pozostawać tu dłużej. Pójdę już.

I natychmiast zniknął w mroku za kręgiem światła świecy.

Jim milczał, a i Brian nie podsuwał mu żadnego pomysłu. Skoro Aargh stawiał sprawę w taki sposób, próby zmienienia jego zdania byłyby stratą czasu i śliny. Średniowiecze, w którym teraz żyli Angie i Jim, było światem, gdzie chyba nikt nigdy nie zmieniał zdania.

Dotyczyło to nie tylko Aargha, pojął nagle Jim. Zasadniczo była to prawda w przypadku Briana, Carolinusa, a nawet zbrojnych Jima, służby zamkowej i ludzi żyjących na ziemi Malencontri - teoretycznie obowiązanych wypełnić każdy jego rozkaz. Tych ostatnich mógł zmusić do posłuchu, ale nie potrafił zmienić ich punktu widzenia.

Dziwne, lecz zachowywali się, jakby odpowiadali tylko za to, co uważali za swoją pracę lub obowiązek, które wypełniali tak, jak to robiono zawsze. On w najlepszym razie był ich czasowym nadzorcą. Tak, jakby znalazł się tutaj tylko po to, żeby spełnić swoje zadanie, czyli dopilnować, by wszyscy pracowali w tradycyjny sposób. Jeżeli ich obowiązki wymagały, aby poszli i zginęli za niego, to robili tak - jednak tylko wtedy, jeśli wydawało się to częścią niepisanej umowy między nimi a nim. Natychmiast spełniliby jego najdziksze zachcianki, gdyby nie naruszały tej umowy. Natomiast spokojnie, grzecznie, lecz niewzruszenie odmówiliby wszystkiego, co by się z nią nie zgadzało.

Oboje z Angie przekonali się o tym wielokrotnie, ku swej ogromnej rozpaczy i frustracji, gdy usiłowali zmienić zamek Malencontri w miejsce bardziej odpowiadające ich dwudziestowiecznemu wyobrażeniu wygody.

- I co zrobisz, Jamesie? - spytał Brian.

Właśnie, pomyślał Jim, to znów ta umowa. Brian był w tym świecie jego najlepszym przyjacielem, oczywiście po Angie. Był niewiarygodnie odważny, pogodny w obliczu przeciwności losu, niesamowicie lojalny. Z poczucia odpowiedzialności za dane słowo lub za wiarę zniósłby najgorsze tortury i śmierć. Jednak był także prostym rycerzem. Problemy z naturalnymi, takimi jak ten troll, Mnrogar, nie leżały w zakresie jego zwykłych obowiązków. Mając przy sobie kogoś bardziej obytego z takimi sytuacjami, sir Brian po prostu wykonywał polecenia, a nie wydawał je.

Tak więc wszystko zależało od Jima. Nagle w przypiływie inspiracji Jim złośliwie uśmiechnął się w duchu. Napisał w myślach magiczne zaklęcie: CAROLINUSIE, POTRZEBUJĘ CIĘ - JIM.

Jeśli uczeń jest winien posłuszeństwo swemu mistrzowi, to z kolei mistrz powinien się opiekować uczniem i pomagać mu. Pod tym względem warunki umowy były dogodne dla Jima. On też mógł wyciągnąć z niej pewne korzyści. Przez moment utrzymywał w myślach zaklęcie, a potem puścił je. Uśmiechnął się do Briana, który wyglądał na zaskoczonego, i... nie zdążył zrobić nic więcej. Spodziewał się krótkiej zwłoki, jednak Carolinus po prostu nagle znalazł się obok nich. Spojrzał na Jima, na śpiącego Mnrogara, na moment, jakby odtwarzając wydarzenia kilku ostatnich chwil, zamknął oczy, znów je otworzył i spojrzał na Jima swoim zwykłym, urażonym spojrzeniem.

- Nie przyszedłeś tu rozpieszczać trolli! - warknął.

Jim chociaż raz poczuł się pewnie.

- Nie w tym rzecz - powiedział, - Problemem jest ten drugi troll gdzieś w zamku, a jeszcze bardziej komplikują sytuację ewentualne szkody wyrządzone przez Mnrogara potrzęsającego zamkiem przez tysiąc czy więcej lat.

Reakcje Carolinusa często były zaskakujące - nie dawał się podporządkować żadnym regułom, zdarzało się, że nieoczekiwanie postępował całkiem inaczej, niż wszyscy przewidywali. I to była jedna z takich sytuacji.

- Hmm - mruknął, zerkając na trolla, a potem na kamienne sklepienie. - Nie wierzę... no cóż, zobaczymy. - Odwrócił się do Briana. - Brianie - rzekł - dasz radę sam odnaleźć powrotną drogę, prawda?

Ten spojrzał w ciemność za kręgiem światła, zdającą się otaczać ich jak lita kapsuła.

- Świeca, którą zabrałem po drodze dla Jamesa i dla mnie - odparł, zerkając na płonąca wcześniej świeczkę, która teraz była tylko okopconym, zimnym ogarkiem - wypaliła się. Po ciemku, magu, będę błądzić przez dłuższy czas. Może...

Nagle w jego dłoni pojawiła się zupełnie nowa, jasno płonąca świeczka.

- Idź niezwłocznie - polecił Carolinus. - Idź szybko, ale nie zwracaj na siebie uwagi. Nie biegnij i nie poruszaj z niepotrzebnym pośpiechem. Pójdiesz prosto do kwatery Jima, gdzie może jeszcze być Angie. W każdym razie niech służąca wprowadzi cię do pierwszego pokoju i zaczekaj

tam na Jima. My z Jimem przeniesiemy się tam w magiczny sposób.

- Rozumiem, magu, ale... - zaczął szczerze Brian.

Jim nigdy nie usłyszał tego, co tamten powiedział. Loch wokół niego i Carolinusa zamigotał, poczym zniknął i w następnej chwili obaj znaleźli się w jakimś zakurzonej pokoju. Pomieszczenie zawierało mnóstwo starych, spiętrzonych wysoko pod ścianami mebli i zapewne znajdowało się wysoko na wieży, ponieważ jedna ściana była lekko wygięta, a spoza leżących pod nią gratów oraz innych rupieci sączyły się promyki słońca.

- Zaczekaj chwilę - poprosił Jim. - Zostawiliśmy tam Mnrogara. Uśpiłem go. Będzie spał przez wieki, jeśli nie zdejmujemy...

- Myślisz, że jestem takim niewydarzonym młodym niezdara jak ty? - warknął Carolinus. - Nie ucz babci szukać jajek. Kazałem mu się zbudzić za pięć minut. I nie tylko to: jeśli znów spróbuje potrząsnąć zamkiem, na pięć minut straci czucie w rękach. To powinno go powstrzymać! - Carolinus skupił uwagę na ścianie, skąd sączyło się światło. - Z drogi, wszystkie! - rozkazał spiętrzonej tam meblom.

Z przepaszającym trzaskiem, postukiwaniem i piskiem meble oraz wszystkie rupiecie natychmiast zaczęły się odsuwać na bok, tak że po chwili cała ściana była odsłonięta. Światło wpadało przez umieszczoną tam małą furtkę strzelniczą. Jednak niecałe sześć centymetrów na prawo od niej biegło pionowe, dwumetrowej długości pęknięcie w ścianie, na końcu wyglądające jak rysa w skale, lecz na środku zmieniające się w otwór dostatecznie szeroki, aby wpadało przezeń prawie tyle światła, ile przez okienko.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – stwierdził w zadumie Carolinus, zerkając na szczelinę. - Nasz gospodarz zwrócił się do mnie z tym problemem. Jednak Hugo nie jest człowiekiem, z którym można omawiać sposób wyjścia z sytuacji, ponieważ kieruje się bardziej uczuciami niż rozsądkiem. Cała główna wieża ma takie pęknięcia - są ich chyba ze dwa tuziny – na szczęście przeważnie mniejsze od tego. Do tej pory gospodarz trzymał ten fakt w sekrecie.

Po tym jednym spotkaniu z earlem Somerset Jim łatwo mógł sobie wyobrazić, jak impulsywnie ten opowiada się za lub przeciw każdemu zaproponowanemu rozwiązaniu, nie zastanawiając się nad tym, czy jest ono praktyczne, czy nie.

- Dlatego - mówił Carolinus - musiałem znaleźć powierników w osobach Johna Chandosa, posiadającego tęgą głowę, oraz biskupa Bath i Wells, którego sądu w takich sprawach nie należy lekceważyć. Ponadto obaj mają doświadczenie i wiadomości, jakich ja nie posiadam. John widział wiele starych i nowych zamków, a dobry biskup nadał zatrudnia architektów, murarzy i tym podobnych robotników wznoszących katedrę w Wells. Teraz posłał po kilku z nich, żeby przyjechali to obejrzyć i zobaczyli, co się da zrobić. Mają po cichu naprawić szkody, a także zadbać, żeby nie było dalszych. Jednak w jaki sposób i dlaczego w ogóle do nich doszło, nadal pozostawało dla nas zagadką. - Spojrzał na Jima. - Wtedy - powiedział - przyszło mi do głowy, że ty...

- Rezonans! - powiedział głośno Jim, nie zastanawiając się, co mówi.

- A-ha! - Carolinus zmierzył go bystrym spojrzeniem. - Zatem miałem rację. Część twojej wiedzy z innego świata znajduje tu zastosowanie.

- Nic o tym nie wiem - upierał się Jim.

Był wściekły na siebie za to, że wypalił coś, nie zastanawiając się nad ewentualnymi skutkami.

- Moje wiadomości z mechaniki są równie niewielkie, jak twoje i innych - rzekł. - Po prostu zgadywałem.

- Przecież... - zaczął Carolinus, - Mów dalej!

- No cóż - rzekł niechętnie Jim - jest coś, co nazywa się rezonansem. Dzięki temu szarpnięta struna harfy wydaje dźwięk, kiedy powoli przestaje drgać. Można wprowadzić w rezonans również inne przedmioty, chociaż ich drgania mogą nie być tak widoczne. Nie pamiętam, czy stosuje się to od czasów rzymskiej armii, czy nie, ale we wszystkich armiach świata regulamin nakazuje kolumnie maszerujących wojsk zmieniać krok przy przechodzeniu przez most. Innymi słowy, muszą postawić prawą nogę zamiast lewej, wykonując jakby wolny podskok i przerywając miarowy rytm stóp uderzających o most, a przez to i drgania, w jakie go wprowadzili, idąc po nim.

Jim spojrzał na Carolinusa, sprawdzając, czy ten go rozumie.

- Aha? - powiedział inteligentnie Carolinus.

- Tak - ciągnął Jim - w przeciwnym razie most mógłby załamać się pod nimi. Chociaż drgania są niewielkie, zostają wzmocnione i zwiększone za każdym razem, gdy mnóstwo stóp uderza jednocześnie przez pewien czas.

- Aha! - powiedział Carolinus.

- No cóż - rozkręcił się Jim - nie wiem, czy istnieje jakiś związek między tym a tamtym, jednak sądzę, że to możliwe. Ponieważ jeśli Mnrogar w ciągu tych setek lat znalazł dwa odpowiednie, szczególnie nadające się do potrząsania filary i szarpał nimi, mógł wywoływać rezonans, w wyniku którego w końcu zawali się cała wieża.

Przestał mówić. Zdał sobie sprawę, że Carolinus spogląda na niego z promiennym uśmiechem.

- Drogi chłopcze - powiedział mag - dobierasz słowa w sposób godny podziwu. Połowa z nich nie ma sensu, ale jestem skłonny przypuszczać, że w miejscu, skąd przybyłeś, mogą go mieć. A skoro tak, może i tu mają jakiś sens. Hmm, jeśli masz rację, co zrobimy z tym rezonansem? Czy jeśli powstrzymamy trolla, wieża sama się naprawi?

- Nie - odparł Jim. - Jeśli mam rację, poczynione zniszczenia jeszcze się pogłębią, nawet gdy na zawsze powstrzymasz Mnrogara.

- Nie wiem, czy to byłoby etyczne - mruknął Carolinus, tarmosząc swoją brodę. - Skoro siedzi tu od osiemnastu wieków, mogłaby to być z mojej strony zakazana ingerencja w bieg historii. -

Zastanawiał się chwilę, nadal szarpiąc brodę. - Na pewno pamiętasz, Jimie, jak wyjaśniałem ci miejsce maga między historią a przypadkiem. Pomagamy historii, jeśli przypadek ma nad nią przewagę, ponieważ gdybyśmy pozwolili mu swobodnie działać, zapanowałby całkowity chaos. I wspomagamy przypadek, gdy wszystkie okoliczności sprzyjają historii, co grozi całkowitą eliminacją przypadku i mogłoby skończyć się zastojem. Jednak nie wolno nam zmieniać normalnego biegu historii ani szans przypadku. Zresztą to nieistotne... Powiedziałeś, że te uszkodzenia jeszcze się pogłębią, nawet jeśli on przestanie trząść?

- Tak - odparł Jim - ponieważ oprócz tych niewielkich pęknięć została uszkodzona główna struktura wieży i wpływ czasu powiększy zniszczenia.

- No tak - rozmyślał głośno Carolinus. - W każdym razie troll nie może dłużej trząść zamkiem, to pewne. Jednak te szkody również stanowią problem, chociaż mógłbym - tylko mógłbym, rozumiesz - dokonać pewnych napraw za pomocą magii, oczywiście z zachowaniem zasad etyki. Będę musiał to rozważyć, a może nawet skonsultować się z dwoma pozostałymi na tym świecie magami klasy AAA+. - Zamilkł i zapatrzył się w przestrzeń. Jim pozwolił mu spokojnie patrzeć. - No cóż, tej sprawie trzeba będzie nadać bieg - wymamrotał Carolinus. Znow zwrócił uwagę na Jima. - A co do załatwienia pierwszej części tej kwestii, najwidoczniej jedynym sposobem, żeby na dobre powstrzymać Mnrogara, jest znalezienie przyczyny takiego zachowania trolla. Nie wątpliwie, już od lat tak trzęsie fundamentami zamku - zapewne częściowo w wyniku odwiecznej waśni z earlem i jego poprzednikami - jednak pojawienie się tutaj innego troilla, o którego obecności my nie mamy pojęcia, postawiło sytuację na ostrzu noża. Przysięgam na wszystkie zasoby magii, jakimi dysponuję, że nie wyczuwam i nie mogę odkryć ani śladu innego trolla. Jednak skoro Mnrogar twierdzi inaczej, zapewne ma rację.

- Zatem jak możemy go znaleźć? - spytał Jim.

- Właśnie do tego zmierzałem. - Carolinus obrzucił go poważnym spojrzeniem. - Musisz się natychmiast wziąć do roboty, Jimie.

- Ja? - zdziwił się Jim. - Co mam robić?

- Znaleźć tego drugiego trolla, rzecz jasna. Zabieraj się do tego, już! - rzekł Carolinus. - Tymczasem ja zajmę się innym aspektem tej sprawy.

Z tymi słowami zniknął, pozostawiając oszołomionego Jima, który nagle zrozumiał, że tak właśnie wygląda druga strona umowy z punktu widzenia kogoś, kto zwykle ponosi odpowiedzialność. Po prostu zwracasz się do podwładnego i mówisz mu:

- Ty to zrobisz.

## Rozdział 8

- Drogiego synu - powiedział do Jima biskup Bath i Wells. - Czy mogę zaproponować ci trochę tego wspaniałego gotowanego węgorka?

Jim spojrział na prawo. Biskup trzymał głęboki półmisek ze srebra, z którego właśnie zdjął pokrywkę. Jej część kiedyś odpadła, ale to, co zostało i samo naczynie było wyczyszczone na wysoki połysk. Jim nienawidził węgorki pod jakąkolwiek postacią. Jednak biskup okazywał mu tylko zwykłą przy stole uprzejmość.

- Dziękuję, milordzie - rzekł Jim, patrząc, jak Biskup zsuwa nożem kawałek węgorki z półmiska na pełniącą funkcję talerza grubą kromkę chleba, która później zostanie rzucona biednym lub psom, ponieważ do tego czasu nasiąknie gęstymi sosami i będzie niezwykle pożywna. - Tylko odrobinę, proszę, milordzie. To dobra rzecz podczas adwentu, jednak miałbym wyrzuty sumienia, jedząc zbyt wiele czegokolwiek przed kończącą post dzisiejszą pasterką.

Biskup stanowczo ujął swój nóż - a właściwie ostry, mały sztylet - i odciął nieco mniejszy kawałek z porcji, której obawiał się Jim, po czym położył rybę na jego chlebie. Spojrzął z aprobatą na Jima. Trudno powiedzieć, żeby był rozpromieniony. Richard de Bisby nie był człowiekiem, który obdarzałby kogokolwiek promiennym uśmiechem, jednak słowa Jima uznał najwidoczniej za bardzo właściwe.

Odstawił naczynie z węgorkiem na stół i nakrył je pokrywką.

- Muszę przyznać - zaczął ściszym głosem - że poprosiłem naszego gospodarza, by posadził nas obok siebie, tak byśmy mieli okazję porozmawiać nie słyszani w ogólnym rwetesie. Może wolałbyś towarzystwo kogoś innego, na przykład lady Agathy Falon, aczkolwiek ona zdaje się najbardziej interesować naszym earlem.

- Lady Agatha Falon? - powiedział Jim z nagłym zaciekawieniem. Popatrzył.

A więc ta kobieta obok earla była siostrą zabitego mężczyzny, którego znaleźli w lesie. Rzeczywiście, pomyślał, musiała być młodszą i przyrodnią siostrą, gdyż od tamtego martwego szlachcica dzieliła ją co najmniej dwudziestoletnia różnica wieku. Była trochę więcej niż średniego wzrostu, chociaż nie tak wysoka, jak Angie, siedząca niedaleko Jima i prowadząca ożywioną rozmowę z towarzyszącym jej sir Johnem Chandosem - oboje zajmowali miejsca za earlem i Agathą Falon.

Na pierwszy rzut oka Agatha Falon wyglądała niepozornie. Była dość atrakcyjna, chociaż koścista. Wcale nie przypominała zabitego brata. Włosy miała czarne, oczy piwne, trochę zbyt szeroko osadzone, nos perkaty i duże usta o zbyt cienkich wargach wyglądające tak, jakby łatwo wykrzywiały się w grymasie niezadowolenia - a wszystko to mieściło się na owalnej, nieco bladej twarzy uzupełnionej wystającym podbródkiem.

W tym momencie jej oblicze było ożywione, a ubrana w niebieską suknię z bufiastymi rękawami i opiętym stanikiem, pogrążona w żywej rozmowie z earlem, wydawała się prawie ładna. Earl, wytrzeszczając oczy bardziej niż zwykle - Jim pomyślał, że znacznie przyczyniło się do tego wino i towarzystwo kobiet - był wyraźnie zafascynowany nią lub tym, co do niego mówiła.

- Dziękuję, że mi ją pokazałeś, milordzie - rzekł Jim do biskupa. - To siostra tego nieszczęsnego szlachcica, którego, jak zapewne wiesz znaleźliśmy zabitego, jadąc tutaj.

- Tak - odparł de Bisby, ocierając usta serwetką utrzymaną z gracją w drugiej ręce - nędzny i nieszczęśliwy koniec dla dobrze urodzonego. Jednak ufam, że ojcowie z klasztoru Edsley wyprawili godny chrześcijański pochówek jemu i jego młodej żonie?

- Istotnie - powiedział Jim. - Ale, milordzie, wspomniałeś przed chwilą, że chciałeś ze mną porozmawiać?

- Tak - odparł biskup, znów zniżając głos, który zdążył podnieść niemal do zwykłego, spokojnego, lecz dźwięcznego tonu. - Chodzi o sprawę, o której wspominał Carolinus. O ten zamek. - Spojrzał porozumiewawczo na Jima. Ten odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Byli dwoma zakulisowymi manipulatorami, rozprawiającymi o czymś, co stanowiło niemal tajemnicę państwową, - Nieszczęśliwie się złożyło, że wasze przybycie na ucztę uległo opóźnieniu - rzekł de Bisby. - Jednak ta zwłoka jest zupełnie zrozumiała, zważywszy, że mieliście pod opieką młodą chrześcijańską duszę - miejmy nadzieję, że już ochrzczone... Nawiasem mówiąc, pewnie nie zaszkodziłoby ponownie ochrzcić dziecko, skoro nie ma rodziców i jego nieśmiertelna dusza może być wciąż zagrożona. W każdym razie doskonale rozumiem, że razem z lady Angielą nie mogliście zjawić się tutaj tak szybko, jak inni. Mimo wszystko przyznaję, iż martwiłem się, że możecie wcale nie przybyć.

- Och, nie było takiej obawy, milordzie.

Zwłoka, istotnie, okazała się nieunikniona. Carolinus zniknął z komnaty o pękniętej ścianie, najwidoczniej zapominając zabrać ze sobą Jima, który musiał sam znaleźć drogę do Angie, Briana i sali bankietowej.

Nie było to trudne. Jim wyszedł z komnaty i zamknął za sobą drzwi. Nie znał jednak magii na tyle, aby bez problemu przesunąć meble z powrotem, tak żeby zasłoniły szczelinę. Mógł tego dokonać jedynie żmudnymi, krótkimi, czasochłonnymi poleceniami. Miał wrażenie, że skoro to Carolinus odsłonił pęknięcie, odpowiedzialność za ewentualne odkrycie szczeliny przez kogoś innego spadłaby na maga.

Wyszędłszy na korytarz, przekonał się, że komnata, którą właśnie opuścił, znajdowała się w głównej wieży, mieszczącej również pokój Angie i jego. Wystarczyło przejść korytarzem aż do ściany na jego końcu, wrócić tą samą drogą do głównych schodów, a potem chodzić w górę i w dół, szukając piętra, na którym mieściła się ich kwatera. Potem jej znalezienie nie było już żadnym problemem.

Brian czekał na niego z niecierpliwością. Ubrana do wyjścia Angie także była już zniecierpliwiona, ale nie robiła mu żadnych wyrzutów. Ona, oczywiście, znała Carolinusa równie dobrze, jak Jim i doskonale wiedziała, czyja to wina, że mąż pojawił się dopiero teraz.

Nastąpiły krótkie, gorączkowe przygotowania, podczas których Angie wydawała ostatnie polecenia piastunce pilnującej dziecka w sąsiednim pokoju.

- ...i nie wpuszczaj tu nikogo oprócz nas trojga, dopóki nie wrócę! - rzuciła przez ramię, wychodząc zza gobelinu zasłaniającego przejście do następnej komnaty. - Jestem gotowa.



Ostatnie dwa słowa skierowała do Jima. Wyszli i usłyszeli szcęk zamykanych za nimi drzwi. Jim skinął głową jednemu ze swych zbrojnych, pełniącemu wartę przed kwaterą.

We troje zeszli głównymi schodami na parter, gdzie wielka sala łączyła się z wieżą. Bankiet już trwał. Wokół stołów uwijali się służcy z niezliczonymi półmiskami podawanych z przykłonieniem, szczególnie przed znamienitszymi lub lepiej urodzonymi gośćmi. Muzycy przygrywali ochoczo na znajdującej się w połowie wysokości jednej ze ścian galerii. Jim zauważył, że wśród puźonów, lutni oraz bębenków była irlandzka harfa i zapragnął - zapewne na próżno - żeby ktoś zagrał na niej solo.

Jednak muzycy grali wszyscy naraz, dmąc w ustniki i piłując smyczkami, co zapewne mieli robić do końca uczty.

Steward earla wyszedł im naprzeciw i zaprowadził do sali.

Tu ich rozdzielono.

Briana posadzono przy jednym z dwóch stołów ciągnących się przez całą długość sali, a Angie i Jima na honorowych miejscach przy trzecim, ustawionym prostopadle do pierwszych dwóch. Siedział już przy nim książę, earl oraz inni znamienici goście.

Jim wcale nie był pewny, czy jego i Angie posadzą właśnie tam. To prawda, że miał tytuł barona. Jednak czternastowieczna Anglia była krainą, w której baron mógł być kimś ważnym lub prawie nikiem.

Roczne zyski z włości mogły, zależnie od przeróżnych okoliczności, wynieść od pięćdziesięciu (właśnie z tego powodu Brian wciąż brał udział w turniejach, usiłując wygrać zbroje i konie, których sprzedaż pozwalała mu utrzymać niewielką posiadłość) do pięciuset funtów rocznie. Taki dochód stawiał barona pod względem finansowym na równi z arystokratami, a nawet niektórymi członkami królewskiego rodu. Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o wysokość przychodów, Jim znajdował się na liście pod koniec trzeciej dziesiątki. Tylko dlatego, że był magiem i zdobył sławę jako Smoczy Rycerz, który uwolnił swoją przyszłą małżonkę (twórcy ballad uwielbiali podkreślać, że wówczas jeszcze nie byli małżeństwem - to dodawało wszystkiemu romantyzmu) od Ciemnych Mocy w twierdzy Loathly, darzono go większymi względami niż większość baronów o jego dochodach. Pomyślał też, iż być może razem z Angie zawdzięczali swoje honorowe miejsca wpływowi biskupa i Chandosa, jeśli nie samego Carolinusa - chociaż mało prawdopodobne, aby mag w taki sposób wykorzystywał swoje możliwości.

Jim otrząsnął się z tych rozmyślań i stwierdził, że biskup oczekuje od niego jakiejś odpowiedzi.

- Jak mogę panu służyć, milordzie? - spytał pospiesznie.

- Wyjawiając mi wszystko, co wiesz o tej sprawie - rzekł biskup. I dodał mniej pompatycznie:  
- A także, oczywiście, przekazując swoje opinie i rady, jeśli o nie spytam.

- Z przyjemnością, milordzie.

- A zatem, sir Jamesie - rzekł biskup, zarzucając kościelną formę na rzecz mniej formalnego zwracania się do Jima jego szlacheckim tytułem - o ile dobrze zrozumiałem, udałeś się na poszukiwanie olbrzyma pod zamkiem i rzeczywiście spotkałeś bestię.

- Ściśle mówiąc, trolla - rzekł Jim. - Bardzo dużego i niezwykle silnego jak na istotę jego gatunku. Jednak jak wasza miłość wie, trolle należą do naturalnych i nie zawsze są niegodziwe, więc chyba trudno zaliczać je do bestii.

- Oczywiście, jestem świadom, w jaki sposób definiuje tę kwestię Święty Kościół! - rzekł sztywno de Bisby. - Jednak myśląc o takim trollu - tak samo jak o jednym z dzinów, które ten niewierny Saladyn pozamykał w dzbanach i cisnął do morza, aby nie niepokoiły ludzkości - trudno nie uznać, iż w tego typu stworach może tkwić choć odrobina bestii. Troll żywiący się ludzkim mięsem - ha!

- Rekiny w oceanach również jedzą ludzkie mięso, milordzie - powiedział dyplomatycznie Jim - tymczasem nie nazwałbyś ich bestiami.

- Nie wiem, jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje Kościół - odparł biskup. I dodał z rozrzewnieniem: - Mimo to w przypadku trolli jest możliwe, że te istoty zostały skażone nasieniem szatana, tak więc po części można je uznać za bestie. A skoro tak, moim obowiązkiem jest próbować je zniszczyć wszelkimi możliwymi środkami - od silnego ramienia zaopatrzonego w maczugę, po skorzystanie z władzy udzielonej mi przez Kościół.

Pod koniec tej krótkiej przemowy biskup lekko podniósł głos i Jimowi wydało się, że pochwycił w nim ton świadczący o tym, że pod episkopalnymi szatami kryje się ten sam zapal bitewny, który wykazywało wielu rycerzy, takich jak Brian. Teraz Jim przypomniał sobie, że chyba słyszał gdzieś o sir Rogerze Bisbym, zapewne bliskim krewnym biskupa, który wykazał się męstwem i walecznością w Niderlandach - ziemiach znanych w dwudziestowiecznym świecie Jima jako Holandia i Belgia.

- W rzeczy samej - mówił dalej biskup, zanim Jim zdążył coś powiedzieć - z przyjemnością powiódłbym w te podziemia oddział zbrojnych i raz na zawsze pozbył się owego stwora.

- Obawiam się, że wasza miłość niczego by w ten sposób nie zyskał - rzekł Jim najbardziej jak mógł dyplomatycznie. - Oczywiście, jestem tylko uczniem, ale obawiam się, że po zejściu tam, niczego nie zdołalibyście znaleźć. Gdybyście zaczęli szukać trolla, zniknąłby i poszukiwania okazałyby się daremne.

- Nie mógłby! - rzekł biskup. - Pobłogosławiłem ten zamek i jego otoczenie. Żadna magia, dobra czy zła, nie ma tu mocy przez następne dwanaście dni, dopóki ja stąd nie odjadę.

- Oczywiście, milordzie - przytaknął Jim. - Jednak chyba przypominam sobie, że mój mistrz, Carolinus, mówił mi, iż chociaż naturalni potrafią dokonywać rzeczy, jakich my, ludzie, nie jesteśmy w stanie robić, nie jest to naprawdę magia. Faktycznie jest to coś, czego oni sami nie rozumieją i po prostu nie potrafią kontrolować - jak na przykład oddychanie zarówno w wodzie, jak i w powietrzu. Albo, tak jak w przypadku tego trolla, stawanie się niewidzialnym, gdyby został otoczony przez

zbrojny oddział i nie mógł ująć z życiem. Jak powiedziałem, jestem tylko uczniem. Mogę się mylić. Mój mistrz lepiej to wyjaśni.

- To siła nieczysta! - warknął biskup przyciszonym głosem. - Jeżeli to prawda. Zaiste, zapytam Carolinusa. Jednak musi być jeszcze inny sposób, żeby pozbyć się tego trolla.

- Nie sądzę, aby łatwo było taki znaleźć - stwierdził Jim. - W tej chwili wydaje się, że jedynym wyjściem jest odszukać tego drugiego trolla, który według mieszkańca podziemi wślizgnął się tu z innymi gośćmi. Odszukać i pozbyć się go, ponieważ jego obecność jest wyzwaniem dla suwerenności trolla zamkowego, który nie dopuszczał tu innych przez osiemnaście wieków... Zakładam, że mój mistrz przekazał milordowi wszystko, co troll wyjawiał sir Brianowi i mnie?

- Owszem - mruknął de Bisby. - No cóż, zatem nie zwlekajmy i odszukajmy tego drugiego.

- Właśnie usiłujemy wymyślić, jak tego dokonać – odparł Jim. - Najwidoczniej kryje się on wśród nas, uchodząc za normalną ludzką istotę. Nawet Carolinus nie ma pojęcia, jak go zdemaskować.

- Tego też nie mogę pojąć! - wycodził de Bisby przez zaciśnięte zęby. - I pomyśleć, że w taki święty czas, w tym poświęconym miejscu jakiś troll kryje się wśród nas w ludzkiej postaci! Nie mogę tego znieść! - Obrzucił Jima gniewnym spojrzeniem. Jim patrzył przepraszająco i czekał, - No cóż - kontynuował de Bisby po chwili - a czy zamkowy troll mógłby znaleźć tego drugiego, gdyby wpuszczono na górę, żeby sam poszukał wśród gości? Ja towarzyszyłbym mu przy tym i zapewniałbym wszystkich zebranych, że będę ich strzegł przed nim, chyba że któryś okaże się poszukiwanym trollem. Istotnie... - de Bisby rozpogodził się. - Istotnie, to chyba idealne rozwiązanie! Dlaczego nie wpadłem na to od razu?

- Proszę mi wybaczyć, milordzie - wtrącił Jim. - Nie jestem pewien, czy troll nam zaufa.

- Co masz na myśli? - spytał ostro biskup. Wyraźnie miał na ustach nie wypowiedziane, oburzone „mospanie!”, lecz jakoś zdołał się powstrzymać.

- Może się obawiać - rzekł Jim - że zostanie zniecka zabity podczas tych poszukiwań.

- Wątpiłby w słowo przedstawiciela Kościoła? - De Bisby zmierzył go gniewnym wzrokiem.

- Tak... tak się obawiam - powiedział Jim. - Oczywiście i w tej sprawie lepiej spytać mojego mistrza. Carolinus będzie wiedział na pewno.

- Tak też zrobię! - obiecał biskup.

Na jego czoło znów powróciła gniewna zmarszczka, tak głęboka, że Jim nieświadomie napiął mięśnie, jakby spodziewał się ataku, chociaż było to po prostu niemożliwe, szczególnie na oczach tyłu zgromadzonych tu gości. Żaden biskup nie naraziłby w ten sposób swojej godności.

- Proszę pamiętać - dodał Jim - że to tylko troll, który o niczym nie ma pojęcia.

Czoło dostojnika powoli wygładziło się i twarz biskupa odzyskała normalny wygląd, nawet zdobył się na wymuszony, pokrzepiający uśmiech.

- W każdym razie - powiedział bardzo cicho - dotychczas spisałeś się całkiem dobrze, mój synu.

- Dziękuję, milordzie - rzekł Jim.

- A zatem... - zaczął de Bisby.

- Lordzie biskupie! Lordzie biskupie! - zawołał piskliwy kobiecy głos z końca stołu, na prawo od nich. Jim i biskup wyciągnęli szyje, sprawdzając, kto woła. Agatha Falon pochylała się nad stołem, machając ręką i patrząc na biskupa.

- Milady? - zwrócił się do niej dostojnik.

- Czy możemy chwilę porozmawiać? Jego lordowska mość i ja... mógłby nam pan poświęcić chwilkę czasu?

Zarówno książę - teoretycznie zajmujący miejsce pośrodku stołu - jak i earl siedzieli między Agathą a biskupem. Ten wstał z ławy (nadal bowiem była to ława, chociaż z wysokim oparciem oraz miękkim siedzeniem, co zapewniało znacznie większy komfort niż zwykle, na których posadzono większość gości przy dwóch pozostałych stołach) i przeszedłszy kilka kroków, życzliwie wsunął głowę w wolną przestrzeń dzielącą kobietę i earla. Siedzący po drugiej stronie Agathy sir John Chandos, uprzejmie ignorując jej okrzyk, nadal wesoło gawędził ze spoczywającą obok niego Angie.

Earl mruknął coś tak cicho, że Jim nie zdołał pochwycić sensu słów. Jednak zaraz dowiedział się, o co chodziło, gdy tę samą informację powtórzył głośniejszy i wyższy głos Agathy Falon.

- Właśnie dyskutujemy, milord i ja - paplała kobieta - czy między ludźmi, których dzieli różnica wieku, może istnieć prawdziwa miłość. I nie tylko o tym, lecz czy może być to miłość od pierwszego wejrzenia.

- Nie uważam się za autorytet w sprawach miłości, milady - rzekł surowo biskup. - Jednak...

- Przecież wasza wielebność musiał mieć do czynienia z wieloma parami, w których, powiedzmy, mąż był nieco starszy od żony. Tak więc może biskup potwierdzić, że - tak jak ja uważam - różnica wieku wcale nie musi wpływać na uczucia?

Jim poczuł szarpnięcie za połą opończy. Lekko się zirytował - teraz już tylko lekko, ponieważ zdążył przywyknąć do tego typu zachowań. Jednak zawsze dziwiło go, że w tym świecie, gdzie ktoś mógł rozłupać czaszkę, jeśli krzywo na niego spojrzaleś, ludzie używali tak wielu denerwujących gestów. Służący skrobali do drzwi, zanim weszli - o ile po prostu nie wchodzili bez ostrzeżenia - a ludzie, niezależnie od stanu, lekko pociągali za ubranie, chcąc zwrócić na siebie uwagę, zamiast zawołać lub dotknąć ramienia. Jednak nie. Od przepychanki był już tylko krok do policzka, który stanowił wyzwanie do walki.

Jim oczekiwał służącego z następnym daniem, którym powinien poczęstować nie tylko siebie, ale i siedzących w pobliżu współbiesiadników. Jednak biskup opuścił swoje miejsce, a następną siedzącą za nim osobą był książę, który w tej chwili nie jadł, tylko pił. Pozostawała więc jeszcze dama w średnim wieku, siedząca po lewej stronie Jima. Jednak ta niedawno zasnęła i teraz cicho pochrapywała. Może spędziła w kościele ten ostatni dzień adwentu i wigilię Bożego Narodzenia. Niektórzy goście byli bardziej religijni od innych. Albo wypłała trochę więcej wina, niż powinna. Jim odwrócił się. To nie był służący. Zamiast sługi earla ujrzał postać w kosztownej zielonej opończy z kapturem, dosłownie skuloną za krzesłem. W następnej chwili rozpoznał opończę i kaptur jako należące do Angie części garderoby, które nosiła podczas podróży. Nie mogła to być sama Angie, ponieważ siedziała nieco dalej przy stole, rozmawiając z wyraźną przyjemnością z Johnem Chandosem. Uważnie zajrzawszy pod kaptur, Jim poznał przerażoną twarz mamki, która powinna siedzieć w komnacie na wieży, zamknięta z młodym Robertem Falonem, dopóki nie wrócą Jim i Angie lub Brian.

- Wybacz mi, milordzie. Och, milordzie, proszę wybacz mi! - szepnęła mamka.

- O co chodzi? - zapytał cicho Jim nagle czujny i zaniepokojony.

- Milordzie, przebacz mi, ale myślałam, że dobrze czynię,,,

- O czym ty mówisz? Wykrztuś wreszcie! - warknął Jim.

- Wiem, że milady kazała nie otwierać drzwi nikomu prócz was trojga - powiedziała - lecz to była dziewczka służebna Agathy Falon, która przyniosła dar dla młodego bratanka lady Falon - jej pierścień z herbem rodowym. Poprosiła mnie, żebym tylko uchyliła drzwi na tyle, by mogła mi go podać.

Mamka wyglądała tak, jakby miała się zalać łzami.

- Ja... zrobiłam to.

- Tak? - powiedział Jim. - I co z tego? Czy dlatego jesteś taka rozemocjonowana?

- Rozemocjonowana, milordzie? - wytrzeszczyła oczy niańka.

- Zdenerwowana. Wzburzona! - poprawił się niecierpliwie Jim.

- Och, nie. Ta dziewczka zrobiła tylko to, co powiedziała. Wsunęła w szparę pierścień dla młodego pana, a potem cofnęła dłoń. Zatrzasnęłam i zaryglowałam drzwi tak szybko, że prawie przycięłam jej palce.

- No tak - wymamrotał Jim. Teraz był już kompletnie skołowany. - I o co ten rwetes?

- Dopiero potem, milordzie, pomyślałam, że skoro jesteś magiem, a wokół jest tyle niewidzialnych rzeczy, to w komnacie mogą się znajdować jakieś magiczne przedmioty, ten zaś pierścień może kryć w sobie jakiś zły czar albo coś innego, a ja go przyjęłam. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam wystraszona. Na szczęście Wilfred, ten zbrojny...

- Tak, tak - przerwał jej Jim. - Postawiłem go na warcie przed drzwiami.

- Właśnie - ciągnęła mamka. - Kazałam mu wejść do środka i otworzyć drzwi, kiedy wrócę. Wzięłam ten płaszcz lady Angeli - och, wiem, że źle zrobiłam, milordzie, dotykając go, nie mówiąc już o włożeniu, ale chciałam jak najszybciej powiedzieć o tym tak, żeby nikt nie wiedział, kto przyniósł tę wieść.

- No cóż, nie rozumiem... - zaczął Jim i urwał.

Nagle zrozumiał. Zrelacjonowane mu wydarzenie miało dwa znaczenia. Jednym był lęk tych ludzi przed magią i ciemnymi mocami, nad którymi nie byli w stanie zapanować. Wierzyli, że stając wobec takich zjawisk, są całkowicie bezsilni. Drugim było to, że taki prezent od Agathy Falon, dotychczas nie okazującej żadnego zainteresowania małym Robertem, był co najmniej dziwny. W końcu na tym świecie naprawdę było sporo magii, więc i ten pierścień mógł mieć jakąś magiczną moc - zaklęcie rzucone, zanim biskup pobłogosławił zamek, uniemożliwiając czynienie wszelkich nowych czarów.

- No dobrze - rzekł. - Wracaj. Będę tam za minutę lub dwie.

Mamka oddaliła się cichaczem. Jim rozejrzał się wokół. Biskup wciąż pochylał się między earlem a Agathą Falon, jednak nie za bardzo, aby nie narażać na szwank swojej kościelnej godności.

Angie nadal z ożywieniem rozmawiała z sir Johnem Chandosem, co było irytujące, i to nawet bardzo.

John lubił sir Johna Chandosa. Więcej, podziwiał go. Chandos miał bystry umysł, niezwykle subtelny jak na te czasy i okoliczności. Jim widział także, iż przez cały czas trwania ich znajomości tamten nie powiedział i nie zrobił niczego, czego nie można by uznać za zwykłą uprzejmość wobec Angie. Jednak sir John, z jego bagażem doświadczeń, inteligencją oraz bliskimi związkami z królewską rodziną był niezaprzeczalnie interesującym i pociągającym mężczyzną. Połączenie tych zalet sprawiało, że Angie lubiła z nim przestawać i dyskutować. Nie było w tym nic złego. Nieprzyjemna była jedynie świadomość, że to, co teraz robił sir John, podczas takich biesiad było również zwyczajowym początkiem uwodzenia. Z tego szczególnie słynęły święta u earla - oprócz jedzenia, zawodów, turniejów i zabaw. Jednak tym wszystkim Jim będzie się martwić później, nie teraz.

Ponownie rozejrzał się wokół, Nikt na niego nie patrzył. Spokojnie wstał i poszedł w kierunku wyjścia, które mogło go doprowadzić do jednego z zamkowych wychodków, ale umożliwiała również dojście do schodów prowadzących na wieżę oraz do komnat, które dzielił z Angie. Kiedy miał już wyjść z sali, zgiełk nagle przycichł. Wszystkie instrumenty oprócz irlandzkiej harfy zamilkły; nad gwarem rozmów uniósł się cudny lament wibrujących, smutnych dźwięków jej strun.

- Niech to szlag! - zaklął Jim. - Akurat teraz!

Z żalem pozostawiając za sobą muzykę, wyszedł z sali i pospieszył korytarzem.

## Rozdział 9

- Wydaje mi się w porządku - rzekł Jim.

Był w pierwszej z komnat, za zaryglowanymi drzwiami, z mamką zagładającą mu przez ramię i małym Robertem, który spał spokojnie w drugim pokoju po krótkim wymachiwaniu rączkami i nóżkami oraz serii dźwięków wyrażających zadowolenie z takiej swobody.

Wcześniej Angie kazała mamce poprzysiąc milczenie, czym okropnie przestraszyła dziewczynę, która chyba uznała, że powierzono jej coś w rodzaju tajemnicy państwowej. Poza tym, gdy tylko znaleźli się na kwaterze, Angie odwinęła niemowlę z długiego pasa materiału, którym było przywiązane do nosidełka - krótkiej deseczki z otworem na końcu umożliwiającym wieszanie zawiniątka na kołku lub haku, kiedy piastunka była zajęta - oznajmiając stanowczo, że dzieci potrzebują miejsca i ruchu oraz że od tej pory to ona, Angie, będzie decydowała, jak wychowywać Roberta. Zmusiła również Jima, żeby kazał swoim zbrojnym po cichu zbić coś w rodzaju kołyski, w której dziecko miało swobodę ruchów.

- Nie, wcale nie jest niebezpieczny - powtórzył Jim, obracając pierścień w palcach.

Klejnot był zwykłym kółkiem ze złota, dopasowanym wielkością do kobiecego palca, z miejscem, w którym wygrawerowano herb rodowy Falonów. Sygnet przeznaczony był do odciskania w gorącym wosku pieczęci na listach lub innych dokumentach, świadcząc o randze i tożsamości jego właściciela. Istotnie, wyglądał zupełnie nieszkodliwie. Jim, oczywiście, nie mógł go zbadać magicznymi sposobami, ponieważ biskup pobłogosławił zamek i żaden nowy czar nie zadziała, dopóki duchowny nic odjedzie. Jedyłą próbę, jakiej Jim mógł poddać klejnot, podpowiedział mu w niedawno Carolinus, który napomknął, że doświadczony mag powinien poznać po mrowieniu w palcach, czy dany obiekt jest zaczarowany, czy nie.

Trzymając pierścień, Jim nie czuł żadnego mrowienia. Ale może nie był jeszcze dostatecznie doświadczonym magiem, żeby przeprowadzić taki test.

- Zatrzymam go - rzekł w końcu. - Niech Carolinus obejrzy go i powie, co o nim myśli. Jestem przekonany, że pierścień jest nieszkodliwy. Dziecko i tak nie może go nosić, chociaż pewnie moglibyśmy jakoś przymocować mu go do ubranka.

- Tak, milordzie - powiedziała piastunka. - Mogłabym przyszyć mu guzik i pętelkę.

- Idę - oznajmił Jim, odwracając się do drzwi, gdyż chciał jak najszybciej wyjść z pokoju. Obie komnaty były mocno przegrzane, w obu na kominkach wesoło płonął ogień. Brian usiłował delikatnie zasugerować Angie, że takie przegrzewanie dziecka lub przyzwyczajanie go do prawie tropikalnej temperatury może być szkodliwe, lecz Angie zamknęła mu usta kategorycznym stwierdzeniem, że sama wie, co jest najlepsze dla małego. Od kiedy znalazła Roberta w śniegu, zachowywała się jak wilczyca broniąca swoich młodych. Ani Brian, ani Jim nie odważyli się z nią spierać.

Jim odwrócił się i chciał podnieść ryglującą drzwi sztabę. Dotknął jej i nagle zamarł.

- Milordzie! - zapiszczał jakiś cichy głosik za jego plecami. - Sir Jamesie! Och, sir Jamesie!

Jim i mamka błyskawicznie obrócili się w stronę kominka.

- Ooch! - powiedziała piastunka głosem łączącym w podziwu godny sposób przerażenie z nieskrywaną ciekawością.

Jim uznał, iż oba uczucia były zupełnie usprawiedliwione. Nad płomieniami buzującymi w kominku, najwyraźniej podtrzymywana przez kolumnę szarego dymu, siedziała mała brązowa postać w dość przybrudzonych szalach składających się z obcisłych rajstop, ciasnego kubraczka i małej, owalnej czapeczki mocno wciśniętej na równie małą i okrągłą główkę. Miała kartoflowaty nos, bystre oczka i nieco bojaźliwy uśmiech na ustach,

- To tylko ja, milordzie, Hob, sir, twój kuchenny skrzat. Błagam o wybaczenie, sir. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek mnie widział, milordzie. Jednak ja, oczywiście dobrze cię znam i nie niepokoiłbym cię, panie, ale to niezwykle nagła sprawa, jak powiedział smok.

- Hob? - wykrztusił Jim. - Smok?

- Tak, milordzie. Smok zwany Secohem, milordzie. Przybył na zamek, rozpaczliwie chcąc się z tobą zobaczyć. Wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do kuchni, a wtedy wszyscy twoi słudzy uciekli. Potem wywołał mnie z komina, więc oczywiście wyszedłem. Przysłał mnie do ciebie z wiadomością, bo sam nie mógł bezpiecznie pojawić się tutaj. Zazwyczaj, wasza lordowska mość, nigdy nie zakłócam milordowi spokoju. Jednak tym razem pomyślałem... w każdym razie przeleciałem z dymem nad czubkami drzew, jak to czynimy my, skrzaty, kiedy zachodzi taka potrzeba. - Zamilkł. - Naprawdę jestem skrzatem z twojej kuchni, panie - dodał niespokojnie. - Po prostu każdego skrzata nazywają Hob.

Te ostatnie słowa powiedział ze smutkiem.

- A co to ma wspólnego z...? - rzekł Jim z lekkim zniecierpliwieniem. Zbyt wiele spraw i zbyt szybko waliło mu się na głowę.

- Nic! Zupełnie nic, wielki magu i rycerzu! - zawołał Hob z przerażeniem w głosie. - Tak mi się wypsnęło. Wybacz mi, panie, jestem tylko twoim skrzatem, zawsze do twoich usług. Wierny i oddany, chociaż mały, oczywiście. Nie chciałem wspominać o moim imieniu...

- Nie lubisz, jak wołają na ciebie Hob? - zapytał Jim, daremnie usiłując odnaleźć jakiś sens w paplaninie tego małego naturalnego.

- Nienawidzę... chciałem powiedzieć uwielbiam. Nazywaj mnie Hobem, milordzie, Zapomnij o tym, co mówiłem. To ładne imię. Ja... lubię je.

- Chcesz powiedzieć, że wolałbyś inne, prawda?

- Tak... nie, nie, po prostu wołaj na mnie Hob, milordzie., - Skrzat był coraz bardziej przerażony.



- Będę mówił na ciebie Hob Jeden - przerwał mu niecierpliwie Jim i zaraz pożałował ostrego tonu swego głosu. - De Malencontri, oczywiście.

- HOB JEDEN? - Zielono-brązowe oczka w brązowej twarzy otworzyły się bardzo szeroko. - DE MALENCONTRI? To wszystko dla mnie?

- Pewnie - odparł Jim.

Zachowanie obdarzonego nowym nazwiskiem naturalnego uległo raptownej zmianie. Dosłownie promieniał.

- Och, dziękuję, milordzie! Dziękuję! Nie potrafię wyrazić...

- Mniejsza o to. Dlaczego tak często przychodzisz do kuchni i dostajesz napadów żarłoczności? - zapytał Jim bardziej po to, aby skierować rozmowę we właściwym kierunku, niż z jakiegokolwiek innego powodu.

- Nie wiem! - odparł pokornie Hob Jeden. - Po prostu coś we mnie wstępuje, milordzie. Muszę wyjść z komina i skakać po kuchni od jednej szafki do drugiej, kosztując wszystkiego. Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Bardzo mi przykro, milordzie, nic nie mogę na to poradzić. Większość nas, skrzatów, co jakiś czas ma takie napady. Nigdy nie wiemy dlaczego.

- Cóż, może zajmiemy się tym, a jeśli tego nie lubisz, może zdołam uwolnić cię od tej przypadłości za pomocą magii – rzekł Jim. - Kładąc kawę na ławę... chciałem powiedzieć, że mógłbyś się doskonale obyć bez tych napadów obżarstwa. Więc gdybyś chciał się ich pozbyć...

- Och tak, milordzie - powiedział Hob, - Chociaż nie wiem. Dostaję ich, kiedy czuję się szczególnie mały i samotny...

Jim nagle domyślił się, dlaczego Hob miewa te ataki.

- Tak - oznajmił stanowczo. - Od tej pory wszyscy w Malencontri będą cię nazywać Hobem Jeden. Może w skrócie po prostu Jeden. Tak więc masz już imię. Jesteś skrzatem numer jeden.

A teraz, wracając do tej wiadomości...

Nagle za drzwiami odezwał się jakiś młody, męski głos, gniewnie podniesiony tak, że mimo ich masywności słyszalny był w komnacie.

- Jakie rozkazy, mospanie? - wołał. - Mnie one nie dotyczą! Jestem księciem!

- Ooch! - powiedział Hob Jeden i zniknął w głębi komina.

- I co teraz? - mruknął pod nosem Jim. Prawdę mówiąc, już rozpoznał ten głos jako należący do młodego księcia Anglii, którego ostatnio widział siedzącego przy stole i popijającego w ponurym milczeniu. Odwrócił się do piastunki, która stała obok, czekając na rozkazy. - Idź do sąsiedniej komnaty i czekaj, aż cię zawołam. Staraj się, żeby Robert nie płakał, o ile to możliwe.

Zniknęła za kotarą zasłaniającą przejście. Jim podszedł do drzwi i podniósł rygiel. Księżę wtoczył się do środka, przeszedł przez pokój i opadł na jeden z dwóch stojących tam foteli, opierając się łokciem o stół.

- Wina! - rzekł. - I puchar dla ciebie, sir Jamesie. Musimy porozmawiać.

- Nie - rzekł Jim, nie ruszając się z miejsca i spoglądając na młodego członka królewskiej rodziny.

Przez chwilę to słowo jakby nie docierało do zamroczonego alkoholem umysłu księcia. Potem zrozumiał je i poczerwieniał ze złości.

- Daję ci rozkaz, sir Jamesie! - wrzasnął. - Przynies mi wina, powiadam!

- A ja mówię „nie” - powtórzył Jim. Mały Robert w sąsiednim pokoju obudził się, słysząc donośny głos księcia, i zaczął żałośnie popłakiwać. Jednak widocznie opiekunka szybko go uspokoila, bo płacz zaraz przeszedł w czkawkę i po chwili ucichł.

- Jak śmiesz?! - powiedział księżę, - Wydałem ci królewski rozkaz. Powinieneś zapłacić głową za takie zuchwalstwo!

Siedział, patrząc gniewnie na Jima, który nic nie odpowiedział; powoli mina i ton głosu księcia uległy zmianie.

- Dlaczego odmawiasz? - zapytał niemal błagalnie.

- Wypiłeś już bardzo dużo wina. Wasza Wysokość - odparł Jim.

- Jak śmiesz... - księżę urwał i jakby skurczył się w fotelu, zapominając o gniewie. Po chwili rzekł prawie żalonym tonem: - Sir Jamesie, mój zacny sir Jamesie, muszę z tobą porozmawiać. Tylko z tobą mogę o tym pomówić, ale w tym celu potrzebuję wina. Nie przywykłem do takich rozmów. To wbrew moim zasadom rozprawiać z kimś o moich prywatnych sprawach. Potrzebuję do tego wina. Mówię ci, muszę to wyrzucić z siebie, inaczej pękne!

Nagle wydawał się bardzo młody i bezradny. Jim spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, aż wreszcie ustąpił,

- Zobaczę, czy znajdzie się trochę - powiedział, obrócił się na pięcie i wszedł za zasłonę, do drugiego pokoju, gdzie mamka nosiła na rękach zasypiającego Roberta.

- Czy jest tu trochę wina? - zapytał ją ściszym głosem.

Cicho nuciła dziecku kołysankę.

- A-a-a, kotki dwa... - śpiewała i trochę głośniejszą odpowiedzią Jimowi: - Tam w rogu, milordzie, w skrzyni.

Znów podjęła niemal bezgłośny śpiew, a Jim podszedł do kredensu, otworzył go i znalazł nie tylko wino, ale też chleb i kilka małych pasztecików w cieście, wyglądających całkiem nieźle. Zastanawiał się, czy nie podać ich do wina, żeby osłabiły działanie wypitego przez księcia alkoholu. Potem doszedł do wniosku, iż księżę na pewno podjadł już na dole. Może lepiej nie zmuszać go do kolejnego posiłku. Wziął butelkę wina i skórzany bukłak, w którym była przegotowana woda do wina, a ponadto dwa metalowe kubki. Zaniósł wszystko do pierwszego pokoju i postawił na stole przed gościem. Przyciągnąwszy sobie fotel, usiadł naprzeciwko młodzieńca. Nalał wina do pucharu, napełniając go do jednej czwartej i sięgnął po skórzany bukłak.

- Bez wody! - powiedział księżę.

Jim nie zwrócił na to uwagi i nalał do kubka co najmniej tyle samo wody, ile było w nim wina. Potem tak samo napełnił swój.

Księżę nie protestował, tylko chwycił swój puchar i pociągnął tęgi łyk. Jim przyłożył kielich do ust, ale tylko umoczył wargi i znów go odstawił.

- Cóż takiego... - Jim w porę powstrzymał się i nie powiedział „gryzie” - ...niepokoi Waszą Wysokość?

- Agatha Falon! - odparł księżę.

Jim zdziwił się. Nie miał pojęcia o niczym, co dotyczyło Agathy Falon, nie wiedział więc, o co chodzi księciu. Młody człowiek mógł się czuć z jakiegoś powodu zlekceważony, zignorowany lub obrażony. Jim postanowił uderzyć na oślep.

- Tak - rzekł. - Widziałem i słyszałem, jak z ożywieniem rozmawiała z earlem.

- No i co? - odparł księżę, niedbale machnąwszy ręką, i osunął się w fotelu. - Co z tego? Zbiera trofea. Taka już jest. Nie jest pięknością, ale zwraca na siebie uwagę najznamienitszych, jakich zdoła dopaść. Nie, earl nic dla niej nie znaczy. Chodzi o mojego ojca!

- O króla? - powiedział Jim. Praktycznie każda kobieta wolnego stanu - i większość zamężnych - przybywając na dwór, miała nadzieję zwrócić na siebie uwagę władcy. Król Edward III, mężczyzna w średnim wieku, chociaż nałogowy pijaczyna - o czym nie wspominali dwudziestowieczni historycy - mógł wybierać wśród nich do woli. Zapewne taki bogaty baron, jak ojciec małego Roberta, spędzał wiele czasu na dworze w pobliżu króla, a Agatha oczywiście z nim. Sądząc po tym, co widział, Jim dziwił się, że taka kobieta mogła budzić emocje króla lub młodego księcia zazdrosnego o jej zainteresowanie ojcem.

- Nie sądzę, aby Jego Wysokość był... - Jim wciąż szukał odpowiedniego słowa, ale księżę przerwał mu.

- Pfuj! - powiedział.

Jim zdziwił się. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś naprawdę powiedział „pfuj”.

- Ta piszcząca ladacznica! - ciągnął książę. - Chociaż on ostatnio nie jest... Kiedy byłem młodszy i widziałem go w tych monarszych szatach oraz koronie, uważałem go za boga. Albo wtedy, gdy miał na sobie zbroję przed tą wielką bitwą morską z Francuzami. Jednak on jest królem! A ona chce być nie tylko faworytą, ale królową!

Słyszając to, Jim był więcej niż zaskoczony - znacznie bardziej, niż mógłby sobie wyobrazić, że będzie, gdy to usłyszy. Może kilka spędzonych tutaj lat pozwalało mu lepiej zrozumieć wszelkie implikacje tego, co powiedział mu książę.

- Przecież nie może mieć nadziei, że zostanie królową? Chcę powiedzieć, że nie jest dostatecznie dobrze urodzona...

- Zaiste! - warknął książę. - Wywodzi się prawie z pospólstwa! A moja matka, Izabella Francuska, naprawdę była królową. Tymczasem on teraz...

Młodzieniec niespokojnie wiercił się na krześle, sięgnął po kubek i znów pociągnął łyk. Z trzaskiem odstawił naczynie.

- Jak ja mogę o tym mówić?

- Jakże ona może mieć nadzieję... - zaczął Jim.

- Jest gotowa na wszystko - rzekł książę - i trzeba jej to oddać, że jest dostatecznie śmiała, żeby wysoko mierzyć. Może do tego dojść. On już powtórnie został wdowcem, a ona nigdy nie miała męża. Są po temu sposoby. Mogłaby kupić sobie tytuł i... Mogłoby się tak stać.

Umilkł, podniósł kubek i znów go odstawił.

- Mój puchar jest pusty, sir Jamesie - powiedział.

Jim niechętnie nalał mu jeszcze trochę wina i nieco więcej wody. Książę podniósł puchar i napił się, najwyraźniej nie czując smaku.

- A gdyby do tego doszło, Jamesie - rzekł książę, wpatrując się w blat stołu - roztropnie uczyniłbym, uważając, żeby jakiś sztylet nie znalazł się w moich plecach i każąc komuś próbować moje jądło, zanim je zjem,

- Chyba tak nie myślisz, Wasza Miłość! - zawołał Jim. Dosłownie oniemiał, słysząc ostatnie słowa księcia. Przecież to Anglia, myślał gorączkowo. Z pewnością nie może tu mieć miejsca skrytobójczy zamach na członka królewskiej rodziny. Jednak po namyśle doszedł do wniosku, że może. Mogłoby to zdarzyć się wszędzie, gdyby przynosiło dostatecznie duże korzyści, a te na pewno gwarantował tron Anglii.

- Nic jej nie powstrzyma, jeśli czegoś zechce! - mówił książę. - A ona chce coraz więcej i coraz więcej zdobywa, W końcu dostanie to, czego pragnie - koronę, którą nosiła moja matka. A ja jestem bezradny, bezradny!

Wyciągnął się w fotelu i zamknął oczy jak człowiek pogrążony w głębokim bólu.

Jim obserwował go w milczeniu, aż nagle zauważył, że księżę nie otwiera oczu, z jego twarzy zniknęło napięcie, a oddech stał się głośniejszy i miarowy.

- Wasza Wysokość... - powiedział półgłosem.

Księżę nie odpowiadał,

Jim ostrożnie dotknął ramienia gościa. Samo dotknięcie członka królewskiej rodziny bez pozwolenia czy wyraźnego rozkazu było jedną z najcięższych zbrodni. Jednak księżę nawet nie drgnął. Jim lekko trącił go w ramię.

Księżę nadal nie reagował.

Jim wstał, przez chwilę słuchał miarowego oddechu, który coraz bardziej przypominał chrapanie, po czym podszedł do drzwi na korytarz. Podniósł rygiel i wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać ze stojącym tam wartownikiem.

- Czy jacyś służą w tym zamku, szczególnie spośród tych, którzy teraz podają do stołu w wielkiej sali, znają cię z widzenia, Wilfredzie? - zapytał.

Wilfred potrząsnął głową.

- Nie sądzę, milordzie.

- A zatem chcę, żebyś tam zszedł. Idź spokojnie, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, podejdź do stołu, stań za sir Johnem Chandosem oraz lady Angelą i przekaz wiadomość sir Johnowi, Mów cicho, tak by nie słyszał tego nikt oprócz lady Angeli, że pilnie potrzebuję go tutaj. Niech przyjdzie najszybciej jak to możliwe. Ponadto, gdyby lady Angela też chciała przyjść, przekaz jej, iż moim zdaniem, będzie lepiej, jeśli zostanie na dole.

- Tak, milordzie.

Wilfred odpiął pas z mieczem i delikatnie położył go na podłodze w korytarzu; mógł go nosić, pilnując komnat, dzięki specjalnemu pozwoleniu earla i ze względu na obecność małego Falona.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem? - spytał Jim, chociaż znał odpowiedź.

- Słowo w słowo, milordzie - odparł Wilfred, uśmiechając się szczerbatymi zębami. Odwrócił się i poszedł korytarzem, krocząc szybko i cicho w butach bez obcasów. Jim wrócił do pokoju.

Usiadł i czekał. Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy Chandos bez pukania czy choćby skrobnięcia otworzył drzwi i wszedł. Wilfred stał w progu do momentu, gdy Jim odprawił go ruchem głowy; wtedy wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

- Lady chciała tu przyjść - oznajmił Chandos, podchodząc do fotela, na którym nadal spoczywał

książę, teraz wyraźnie już pogrążony w pijackim śnie. Sir John spojrział na młodzieńca. - Poparłem twoje słowa moimi, żeby ją od tego odwieść. I tak przy naszym stole jest więcej pustych miejsc, niż powinno być o tej wczesnej porze.

Obrócił się i spojrział uważnie na Jima.

- Czy powiedział, co go niepokoi? - zapytał Chandos.

- Agatha Falon - odparł Jim. Miał ochotę dodać słowo o ojcu młodego księcia, lecz w przypadku człowieka tak przenikliwego jak Chandos nie było to konieczne.

Chandos kiwnął głową i znów spojrział na księcia.

- Mimo wszystko, to niedopuszczalne - powiedział.

- Nie wiedziałem, jak przenieść go do jego kwatery, nie ściągając niczyjej uwagi, choćby sług, jeśli nie kogoś innego - rzekł Jim. - Dlatego posłałem po ciebie mojego człowieka. Mam nadzieję, iż nie uznasz tego za zarozumiałstwo z mojej strony, sir Johnie, że wciągnąłem cię w...

- Bynajmniej, sir Jamesie - odparł Chandos. - Będzie bardziej zrozumiałe i o wiele lepiej, jeśli zobaczą go w tym stanie ze mną niż z tobą. Jeśli użyczysz mi swego wartownika sprzed drzwi, we dwóch zabierzemy go do mojej kwatery, która znajduje się nieopodal. Może dopisze nam szczęście i nikogo nie spotkamy po drodze. Kiedy tam dojdziemy, pozwolę mu się wyspać. To już się nie powtórzy, gdy porozmawiam sobie z nim.

Spojrział na Jima.

- Rano chętnie mnie wysłucha. A jest zbyt rozsądny, aby nie pojąć, że postępując w ten sposób, tylko ułatwia zadanie takim jak Agatha Falon, zamiast je utrudniać. Możesz wezwać swojego człowieka?

Jim podszedł do drzwi i zawołał Wilfreda. Przy pomocy Jima podnieśli księcia z fotela; jedno jego bezwładne ramię zarzucił sobie na barki Chandos, drugie Wilfred i obejmując go w pasie, zdołali utrzymać młodzieńca w wyprostowanej pozycji.

Jim otworzył drzwi i wyszli na korytarz. Był pusty. Odchodząc, Chandos spojrział na Jima.

- Hej-ho - westchnął. - Niebawem rocznica narodzin naszego Pana. Niezłą mamy w tym roku biesiadę u earla, a dopiero się zaczęła. Wesółych świąt, Jamesie.

## Rozdział 10

- Widzisz więc - mówił Jim do Angie - że to nie moja sprawa, ale jak zwykle jestem w centrum wydarzeń.

Był późny ranek Bożego Narodzenia, prawie południe. Jim i Angie siedzieli w pierwszej komnacie swej kwatery. Robert szybko sam zasnął w drugim pokoju. Angie posłała piastunkę w

jakiejś sprawie i zadbała o to, żeby służącej, którą zabrała z Malencontri, również nie było w pobliżu, tak więc mogli spokojnie porozmawiać, Jim czekał na to od czasu wizyty księcia. Do tej pory nie rozmawiali, ponieważ nie mieli okazji. Angie mogła unikać takich imprez jak uroczysta msza o północy w kaplicy zamkowej, lecz Jim uważał, iż jemu obowiązek nakazuje pojawić się tam. Na szczęście jako gość zajmujący jedno z honorowych miejsc przy stole mógł usiąść na twardej drewnianej ławce. Większość gości była zmuszona stać, inaczej wszyscy nie zmieściliby się w małej kaplicy.

Tak więc poszedł spać po północy, a ponadto powziął - zapewne konieczną, choć trudną - decyzję, że weźmie udział w następnym polowaniu na dzika, mającym odbyć się rano w Boże Narodzenie. Dopiero co wrócił z łowów. Można powiedzieć, iż na polowaniu również miał szczęście. Nie widząc ani śladu dzika, spędzili, kilka godzin, marznąc i jeżdżąc w kółko po lesie wśród biegających wokół psów. Nagle, bez ostrzeżenia napotkali odyńca wielkości małego byka, a z pewnością dorównującego mu wagą i znacznie groźniejszego. Szczęście Jima polegało na tym, że był dostatecznie daleko, aby nie wyjść na tchórza, gdy nie próbował dołączyć do tych, którzy podjechali zwierzę, zeskoczyli z koni i zaatakowali je rohatynami. Wśród myśliwych nie brakowało palących się do tego zuchów. Jednak odyniec nie dał im po temu okazji.

Runął do ataku. Rozszarpał kilka psów, przechodząc przez sforę jak belt kuszy przez tarczę z sitowia, obalił dwóch pierwszych jeźdźców i umknął. Psy pognałyby jego tropem, a za nimi pozostali myśliwi, jednak przypadkiem jednym z wywróconych jeźdźców był sam earl. Niewątpliwie w swoim czasie był on żwawym, zręcznym myśliwym i wojownikiem. Jednak te dni bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Teraz bezradnie leżał w śniegu, z trudem łapiąc oddech, a ciężka zbroja nie pozwalała mu podnieść się z ziemi. W ten sposób łowy skończyły się przedwcześnie. Przywołano psy, które wróciły bardzo niechętnie. Pozostawione samym sobie, ścigałyby dzika do upadłego, chociaż było oczywiste, że w walce z nim nawet w stadzie nie miały żadnych szans.

I w ten sposób zakończyło się polowanie. Jim poczuł się po nim jeszcze gorzej - był przecież zmęczony i niewyspany, więc teraz siedział w komnacie i ze znużeniem usiłował zdać Angie relację z wydarzeń, jakie miały miejsce od chwili, kiedy Carolinus wysłał go z Brianem do lochów, żeby uspokoił zamkowego trolla.

Musieli jeszcze przebrać się do obiadu, który miał się zacząć za półtorej godziny, a ponieważ to był najbardziej uroczysty posiłek podczas dwunastodniowych świąt Bożego Narodzenia, wszyscy włożą najlepsze szaty. Chociaż więc Jim rzadko przejmował się swoim wyglądem, musiał zadbać o swoją reputację. Angie zaś chciała mieć dużo czasu na ubranie się i przygotowanie. Dlatego uwaga, z jaką go słuchała, była podszyta lekkim zniecierpliwieniem, co Jim podświadomie wyczuwał.

- Rozumiem - ciągnął - że wpakowano mnie w tę historię z trollem w podziemiach zamku i tym drugim, który ponoć kryje się wśród gości, ponieważ jestem uczniem Carolinusa i mam wobec niego zobowiązania. Jednak Agatha Falon czy plany księcia i Agathy Falon wobec króla Edwarda to nie mój problem. Nie sądzisz?

- Czy to ważne, co sądzę? - powiedziała Angie. - Chyba rzecz w tym, co pomyślą inni, prawda? Carolinus, książe, Chandos. A także że chcemy, aby król oddał Roberta pod opiekę komuś godnemu zaufania - przecież nie chcesz utracić przyjaźni księcia choćby dla dobra dziecka?

- Nie sądzę, aby w takich sprawach król liczył się z opinią księcia - stwierdził Jim. Spojrzenie Angie zaczęła zasnuwać mała, lecz zdecydowana burzowa chmura. Jim pośpiesznie dodał: - Oczywiście, nie zrobię niczego, co mogłoby ujemnie wpłynąć na taką decyzję.

- A to oznacza, że pomożesz księciu, Chandosowi, a potem earlowi. Jednak nie mogą oczekiwać od ciebie rzeczy niemożliwych. Tak więc, jeśli nie zdołasz znaleźć tego drugiego trolla czy pomóc księciu z tą Agathą Falon, nie będą mogli mieć ci tego za złe. Wcale nie jestem zdziwiona. Ta kobieta jest zdolna do wszystkiego, nawet do podstępnego wślizgnięcia się na tron Anglii...

W ten sposób doszliśmy do pierścienia. Gdzie on jest? W końcu nie kazałeś go przyszyć do ubranka Roberta, prawda?

Wcale nie było mowy o pierścieniu, pomyślał lekko urażony Jim. Angie zmieniła temat w środku rozmowy. Jednak dobrze skrył swe uczucia.

- Oczywiście, że nie - powiedział. Sięgnął do sakiewki przymocowanej kilkoma nitami do swego najelegantszego pasa rycerskiego i wyjął pierścień. Podał go Angie.

Obejrzała go podejrzliwie i dokładnie, dosłownie podsuwając sobie pod nos i obwąchując.

- Nie - orzekła wreszcie niechętnie -- wygląda na to, że wszystko z nim w porządku - przynajmniej tak mi się wydaje.

- Nie sądzę, żeby coś z nim było nie tak - rzekł Jim. - Przecież to może być zupełnie naturalny gest. Ona jest ciotką Roberta. Wiesz, jak tutejsza arystokracja traktuje rodzinne koligacje. Pewnie po prostu chciała, żeby miał ten pierścień.

- Ha! - powiedziała Angie.

To już drugi raz w ciągu kilku ostatnich dni, pomyślał Jim, Angie wydała taki typowo średniowieczny okrzyk.

- Mówiłem ci - przypomniał Jim. - Zanim pierścień znajdzie się w pobliżu Roberta, dam go do sprawdzenia Carolinusowi.

- Koniecznie! - powiedziała Angie. - Teraz, kiedy Agatha wie o istnieniu Roberta, zobaczy, że szanse na przejęcie majątku Falonów wymykają jej się z rąk. Najpierw będzie nim zarządzał opiekun Roberta, a kiedy chłopiec uzyska pełnoletniość, dostanie się jemu. Może jednak lepiej znajdź tego drugiego trolla.

- Chciałbym tylko wiedzieć jak - mruknął Jim. - Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

- Po prostu niech Carolinus powie ci, jak dokonać tego za pomocą magii - odparła Angie. - Nie wierzę, żeby nie było jakiegoś magicznego sposobu. On zawsze w ten sposób zmusza cię, żebyś wszystkiego nauczył się sam.

- Tego nie możemy być pewni - powiedział Jim, a potem, widząc, że ta rozmowa nie



doprowadzi do niczego prócz niepotrzebnej kłótni, pospiesznie dodał; - A ponadto, co to za historia z naszym kuchennym skrzatem? Od kiedy pojawił się książę, nie widziałem go. Co z tą wiadomością, którą podobno przyniósł mi od Secoha?

- Daj sobie teraz z tym spokój - rzekła stanowczo Angie. - Hoba Jeden nie ma tutaj. Nawiasem mówiąc, nie mogłeś wymyślić mu ładniejszego imienia? - I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Sądzę, iż w którymś momencie będziesz musiał oddalić się na taką odległość od zamku, żebyś mógł użyć swojej magii, zamienić się w smoka i polecieć, by znaleźć Secoha i dowiedzieć się, co to za wiadomość. Jednak masz na to jeszcze dwanaście dni. No, jedenaście, jeśli nie liczyć dzisiejszego. Jim, myślę, że naprawdę powinniśmy się już ubierać.

- Ja już jestem ubrany - oświadczył niewinnie Jim.

Rzeczywiście. Oprócz najlepszego pasa z malowanymi, emaliowanymi płytek połączonych metalowymi ogniwami, przytrzymującego piękną pochwę ze sztyletem, miał na sobie niemal nowiutki czerwony kubrak i niebieskie nogawice oraz podobne do kapci ciżmy bez obcasów, jakie nosili tu wszyscy, również u farbowane na czerwono.

Angie, oczywiście, miała zabłysnąć strojem. Założyła zupełnie nową wyjściową suknię do ziemi, opiętą w stanie i ufarbowaną szafranem na bladozłoty kolor. Obszerne rękawy, bufiaste nad łokciami i dopasowane w nadgarstkach, dawały się odpinać, lecz Angie postanowiła zerwać z powszechnie przyjętym zwyczajem wkładania pod szafranową suknię koszuli w kontrastującym kolorze. Pozostawiła rękawy dopasowane barwą do sukni, ale ozdobiła je ogromnymi rubinami, które dostała od Rrrnlfa, diabła morskiego. Zostały wyjęte z oprawy i przyszyte w dwóch rzędach do materiału. Jeden rząd biegł wzdłuż wąskiej części prawego rękawa, a drugi wzdłuż lewego, w miejscach, gdzie zazwyczaj naszywano rzędy obłych guzików często obciążonych materiałem lub ozdobionych malowanymi scenkami. Na razie nie była ubrana. Suknia, buty oraz wszystkie dodatki znajdowały się w drugim pokoju, a w każdej chwili miała wrócić nie tylko piastunka, ale także służąca Angie, żeby pomóc jej włożyć szaty. Angie była przekonana, iż jej strój nie powinien ustępować, a może nawet przyćmi kreacje innych kobiet obecnych na tym najważniejszym obiedzie dwunastodniowych świąt. Ponadto, zajmując jedno z honorowych miejsc, będzie mogła pokazać się wszystkim.

- Chyba zwinę mój podróżny śpiwór - powiedział Jim. Wraz z Angie wszędzie wozili ze sobą swoją pościel, unikając sypiania w łózkach udostępnianych im w innych zamkach i gospodach po prostu dlatego, że roilo się w nich od robactwa. - Potem zniosę go do komnaty Briana i spróbuję zdrzemnąć się trochę przed obiadem. Może przyjdiesz tam po mnie, kiedy będziesz gotowa, że byśmy razem zeszli do wielkiej sali?

Wstali z foteli. Nagle Angie uśmiechnęła się do niego i uścisnęła go.

- Nie martw się - powiedziała. - Ja też spróbuję wymyślić jakiś sposób, żebyś mógł tego dokonać.

Pokrzepiony tymi słowami Jim odprowadził ją wzrokiem do zasłony, zrolował swój śpiwór i poszedł do pokoju Briana, Idąc korytarzem, wpadł na pewien pomysł. On siedział przy głównym

stole, Brian nie. Myślcie o tym, co chcecie, lecz pomimo że Brian był doskonalszym szermierzem, odważniejszym wojownikiem, lepszym we wszystkim, co liczyło się w tym średniowiecznym świecie - głównie dzięki przypadkowi i temu, że Jim przyznał się do tytułu barona, zajmował podczas tych świąt bardziej eksponowaną pozycję niż Brian.

Brian mógł niepostrzeżenie kręcić się po sali, podczas gdy Jim natychmiast zostałby zauważony i może nawet stałby się tematem rozmów. Jeszcze nie wiedział, jak zdoła wykorzystać tę względną swobodę przyjaciela, jednak czuł, że coś wymyśli.

Zapukał do drzwi Briana, wcale nie oczekując odpowiedzi. Jednak w środku powinien być giermek lub jeden ze zbrojnych, pilnujący komnaty i odpowiadający za wszystko, co w niej jest. Dla Jima najczęściej robił to Theoluf, ale obecność dziecka zmieniła zwyczaje i giermek mieszkał gdzie indziej, zajmując się zbrojnymi. Tymczasem Brian osobiście otworzył drzwi swego pokoju i zaprosił Jima do środka.

- Ach, James! - rzekł. - Cieszę się, że cię widzę! Jak wyglądam?

Brian okręcił się na pięcie. Na ten główny bankiet sezonu ubrał niebieski kaftan, tylko lekko farbowany, a na nogach miał bardzo czyste, właśnie wypastowane czarne cizemki, zdaniem Jima bardziej przypominające kaptcie niż cokolwiek innego, lecz w tych czasach tak wyglądały wszystkie buty. Jedyną naprawdę wystawną częścią stroju Brian a był pas rycerski z przymocowaną doń mizerykordią, zdobyty jako jedna z nagród na turnieju, którego sir Brian został zwycięzcą.

Ten strój zdobił szczupłego, krzepkiego, żyłastego rycerza, który choć mierzył nie więcej niż półtora metra wzrostu, nosił się jak ktoś wyższy o co najmniej kilkanaście centymetrów - i miał do tego podstawy.

Brian walczył zwycięsko z wieloma przeciwnikami wyższymi, cięższymi, a może nawet silniejszymi od siebie.

- Wyglądasz wspaniale, Brianie - rzekł Jim i naprawdę tak myślał.

- Ha! - wykrzyknął z zadowoleniem Brian, odwracając się do niego. - Miło mi to słyszeć, Jamesie. Nie chciałbym, aby powiedziano, że nie umiem ubrać się stosownie do mego stanu.

Ponownie szybko obrócił się plecami do gościa.

- Słuchaj, Jamesie - ciągnął niespokojnie - może mógłbyś rzucić okiem na kołnierz mojego kaftana? Był trochę przetarty.

Pewna zręcznie władająca igłą niewiasta w moim zamku wywróciła go na drugą stronę... nie wiem dokładnie, co robiła, ale chodziło o to, żeby tego miejsca nie było widać. Jednak kiedy mam kaftan na sobie - tak jak teraz - i sięgnę tam ręką, czuję pod palcami jakąś chropowatość, jakby to przetarte miejsce nadal było widoczne. Powiedz mi, czy widzisz je z tej odległości?

Jim spojrzał na krawędź kołnierza kaftana. Przetarte miejsce, o którym mówił Brian, było prawie niewidoczne. Ktoś musiałby podejść bardzo blisko i praktycznie zajrzeć Brianowi za

kołnierz, żeby je zobaczyć.

- Nic nie widzę - powiedział Jim.

- Ach, co za ulga - odparł Brian, odwracając się do niego. - Możemy już pójść na dół, Jamesie? A gdzie Angela?

- Ma tutaj przyjść po mnie, kiedy będzie gotowa - odparł Jim. - Jeśli zechcesz zaczekać, udamy się tam wszyscy razem.

- Chętnie zaczekam, oczywiście - rzekł Brian. - Zaiste, lepiej to wpłynie na moją reputację, gdy sproszeni goście zobaczą, jak wchodzę na salę z tobą i lady Angellą, niż gdybyśmy przybyli tam z Geronde sami. Kiedy lokaj zapowie wasze przybycie, jednocześnie będzie musiał oznajmić i nasze, a wtedy oczy wszystkich obecnych zwrócą się na całą czwórkę.

- Nie doceniasz się, Brianie - odparł Jim. - To Angie i ja będziemy zaszczyceni, wchodząc tam ze sławnym zwycięzcą tak licznych turniejów, jednym z najprzedniejszych rycerzy Anglii.

- No cóż - powiedział Brian. - Ja, oczywiście, nie nazwałbym się jednym z najprzedniejszych rycerzy Anglii, lecz dajmy temu spokój i porozmawiajmy o czymś innym. Siadaj, a ja przyniosę trochę wina.

- Myślałem o krótkiej drzem... - Jim urwał, widząc rozczerowanie na twarzy przyjaciela.

Brian bardzo rzadko zapraszał gości na zamek Smythe ze względu na to, że posiadłość chyliła się ku ruinie. Jednak był urodzonym gospodarzem i tutaj, w tym jednym pokoju znacznie mniejszym od każdej z dwóch komnat zajmowanych przez Jima i Angie, a ponadto będącym również kwaterą Brianowego giermka, który spał na sienniku przy drzwiach, mógł wreszcie ugościć Jima.

- Jednak teraz widzę, że kielich wina to właśnie to, czego mi trzeba! - dodał Jim.

- Dobrze powiedziane! - rzekł Brian, grzebiąc w swoich beładnie rzuconych w kąt bagażach. Wrócił z dużym skórzanym bukłakiem, w jakich zwykle przechowywano wodę, jednak przydawały się również do przewożenia wina podczas konnej jazdy, ponieważ nie było obawy, że się rozbiją, co w tych warunkach groziło każdemu naczyniu nie zrobionemu z metalu. - Mam tylko dwa kubki i żadnych możliwości umycia ich w tej chwili. Jednak może zadowolisz się wytarciem swojego, Jamesie.

Jim wybrał mniejszy kubek, nalał doń trochę wody ze stojącego na stole skózanego dzbana, a potem wytarł go chusteczką wyjętą z wewnętrznej kieszeni kaftana - tak jak sugerował Brian. W tym wypadku ryzyko złapania jakiejś niemiłej choroby było stosunkowo niewielkie.

- Ach, wino - rzekł Brian, nalewając trunek z bukłaka. - Dobre dla duszy, dobre dla...

Najwidoczniej opuściło go natchnienie. Jim pomyślał, że w przypadku Briana wino zapewne było dobre dla duszy. Właściwie było dobre na wszystko, o każdej porze dnia i nocy oraz w dowolnych ilościach. Jednak zdawało się w ogóle na Briana nie działać. Mimo to właśnie na taką

okazję Jim czekał.

- Prawdę mówiąc, Brianie - rzekł, dolawszy sobie wody do wina - chciałem z tobą porozmawiać. Pamiętasz tę historię z trollem w podziemiach?

- I to bardzo dobrze, Jamesie - odparł poważnie Brian. - Przysięgam, że trudno sobie wyobrazić bardziej zawzięte stworzenie!

- No cóż - powiedział Jim, - Carolinus złożył na mnie... ee... obowiązek odnalezienia tego drugiego trolla. Tego, który zdaniem stróża podziemi ukrywa się wśród gości. To będzie pierwszy krok do rozwiązania problemu zamkowego trolla. A ponadto, od tamtej pory wydarzyło się wiele...

Opowiedział Brianowi o złotym pierścieniu podarowanym przez Agathę Falon, o nadużyciu alkoholu przez księcia, który obawia się o swoje życie, jeśli Agatha zdoła dopiąć swego i poślubi jego ojca, a tym samym zostanie królową Anglii. Kiedy Jim skończył, Brian z powagą pokiwał głową.

- Wprost nie mogę uwierzyć w coś takiego..., - mówił Jim.

- Dziwne rzeczy dzieją się na dworze, Jamesie - powiedział Brian, - A ponadto pod wpływem wina nawet król może dostrzec piękno tam, gdzie trzeźwym okiem nie dojrzysz żadnego, a przynajmniej niewiele. Któż to wie? Natomiast co do tego, jak postąpiłaby lady Agatha, gdyby została królową i dała naszemu władcy kolejnego dziedzica, kto wie? Zarówno mężczyźni, jak i niewiasty mogą dokonywać złych uczynków, aby dopiąć celu.

Słaba nadzieja Jima, że księżę przesadzał, zgasła teraz, kiedy Brian przyznał, iż życie księcia może być zagrożone, gdyby na tronie zasiadł ktoś taki jak Agatha. Wcześniej przekonywał samego siebie, że Brian natychmiast uzna taki pomysł za nierealny. Za coś, co po prostu nie może się zdarzyć.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Jim. - W kominie pierwszej z dwóch naszych komnat pojawił się skrzat...

I streścił Brianowi swoją rozmowę z Hobem Jeden. Teraz Brian naprawdę był zdumiony.

## Rozdział 11

- Dziwne rzeczy prawisz, Jamesie - rzekł Brian. - Zaiste, nigdy nie słyszałem, żeby skrzat przynosił wieści od smoka. Jednak zdaje mi się, iż niewiele ma to wspólnego z tym trollem w podziemiach albo z księciem czy Agathą Falon.

- Ja też tak sądzę, Brianie - rzekł Jim. - Jednak z przykrością myślę, że jeden z naszych starych towarzyszy czeka tam w kuchni na moją odpowiedź. Tymczasem nie mogę opuścić zamku i zmienić się w smoka, żeby polecieć do Malencontri i osobiście porozmawiać z Secohem tam lub gdziekolwiek, dokąd się udał,

- Nie doceniasz się, Jamesie - stwierdził Brian.

- Nie w tym przypadku - odparł ponuro Jim. - A ponadto nieobecność Carolinusa komplikuje sytuację. Nie mogę go znaleźć, żeby uzyskać jego pomoc. Nie widziałem go, od kiedy zostawił mnie w wieży, a oczywiście nie mogę wezwać go magicznym sposobem, tak jak zwykle, ponieważ biskup pobłogosławił zamek.

Nagle Jim stwierdził, że wszystko przemawia za tym, iż powinien opuścić zamek.

Brian spoglądał na niego ze współczuciem, Carolinus i magia nie należały do zagadnień, o których miałby coś do powiedzenia.

- Hmm... nie mam wyboru - stwierdził Jim. Odruchowo zerknął na lewy przegub. Był tu już kilka lat, a wciąż nie mógł się przyzwyczaić do braku zegarka.

Chociaż ten właściwie nie był mu potrzebny. Jim rozwinął w sobie to samo poczucie czasu, jakie zdawała się posiadać większość znanych mu tutaj ludzi. Dobrze wiedział, ile ma czasu, żeby porozmawiać z Brianem, zanim przyjdzie Angie. Potem przypomniał sobie o Geronde.

- Geronde nie zajrzy tu po ciebie przed zejściem na salę, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie, Jamesie - odparł Brian. - Miałem po nią pójść, kiedy uznam, że jest gotowa, a wtedy razem zeszlibyśmy na dół. Pomyślałem, że ty, Angela i ja moglibyśmy udać się po nią razem.

Odkasznął lekko zmieszany.

- Nie sądziłem - ciągnął - że będzie z tobą Angela, a poza tym tutaj, na zamku earla, Geronde ma tylko jeden pokój. Jednak my dwaj możemy poczekać na zewnątrz, a Angela wejdzie do jej komnaty. W ten sposób żadna z nich nie będzie narażona na nieprzyjemne czekanie.

- No cóż, możemy tak zrobić - stwierdził Jim. Ze względu na rangę tego przyjęcia oraz fakt, że Angie będzie już gotowa, Geronde nie powinna trzymać Briana i Jima zbyt długo pod drzwiami, zanim dołączy do nich z Angelą.

- Skoro czekamy - dodał - może byłbyś tak uprzejmy i opowiedział mi coś o trollach, ponieważ ten w podziemiach zamku stał się moim problemem. Mogłoby mi pomóc, gdybym wiedział więcej o tych stworzeniach.

- Prawdę mówiąc - odparł Brian - niewiele wiem. Tylko to, co wiedzą wszyscy.

- Rozumiem - powiedział Jim - jednak musisz pamiętać, że ja nie wychowałem się w Anglii, więc nie mam o nich pojęcia.

- No tak - rzekł Brian. - Zapomniałem. - Milczał chwilę, a potem podjął temat. - Powiadają, iż trolle to samotne stworzenia. Spotyka się je pojedynczo, w najgłębszych zakątkach lasu, pod mostami i w tym podobnych miejscach. Kiedy spotykają się dwa trolle, dochodzi do walki na śmierć i życie. Przegrany zostaje zjedzony.

- Nigdy przedtem nie widziałem trolla - rzekł Jim. - Czy wszystkie wyglądają tak jak ten, którego spotkaliśmy w lochach?

- Jak już chyba mówiłem, Jamesie - odparł Brian - ten jest chyba największym, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Jednak poza tym wydaje się taki sam, jak wszystkie tego typu stworzenia.

Jim zamilkł i zastanawiał się.

- A więc skoro są tak silnie przywiązane do swego terytorium - rzekł po chwili - wyjaśniałoby to jego gwałtowną reakcję na obecność drugiego trolla.

Brian obrzucił go nie rozumiejącym spojrzeniem.

- W każdym razie - stwierdził Jim, zmieniając temat - najwidoczniej muszę jednak porozmawiać z Secohem. Rzecz w tym, abym jakoś wymknął się z zamku nie zauważony przez nikogo prócz kilku sług. Tym mogę opowiedzieć jakąś historyjkę, jednak nie chciałbym wpaść na któregoś z gości lub kogoś ważniejszego z załogi zamku, kto zastanawiałby się, dlaczego nie jestem na obiedzie.

- Istotnie - rzekł Brian - zauważą twoją nieobecność przy głównym stole.

- Nie zwrócą na to uwagi, jeśli będą sądzić, że znają powód mojej nieobecności. Właśnie dlatego chcę cię prosić o pomoc, Brianie.

- Chętnie ci pomogę - powiedział stanowczo Brian.

- Lepiej zaczekaj, aż usłyszysz, o co mi chodzi - powiedział Jim. - Widzisz, muszę wejść tak głęboko w las, żeby znaleźć się poza zasięgiem błogosławieństwa biskupa. Właściwie powinno wystarczyć wyjście za mur i na podzamcze, jednak gdybym odszedł tylko taki kawałek i nagle zamienił się w smoka lub zniknął, mógłby to dostrzec jakiś wartownik na murach zamku i zaczęłaby się gadanina, dlatego opuściłem zamek, szczególnie w Boże Narodzenie. Lepiej wejdę do lasu. Jednak nie w tym rzecz. Głównym problemem jest znalezienie jakiegoś pretekstu, który umożliwi mi odejście od stołu i zniknięcie na dostatecznie długi czas, żeby polecieć do Malencontri i znaleźć Secoha lub przenieść się tam magicznym sposobem, jak to robi Carolinus. Mam pewien pomysł, jak tego dokonać, ale potrzebuję twojej pomocy, Brianie.

- Możesz na mnie liczyć - obiecał Brian. - Jaki to pomysł?

- No cóż - rzekł Jim. - Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Nie od razu, ale na przykład w połowie obiadu, po pierwszych dwóch lub trzech daniach. Ty i Geronde będziecie siedzieć razem, prawda?

- Zapewne - odparł ostrożnie Brian. - Zazwyczaj Geronde, która przez resztę roku tak rzadko spotyka inne damy, chętnie siada wśród nich, żeby porozmawiać. A i ja, przyznaję, lubię pogawędzić przy stole z innymi szlachcicami o rzeczach bardziej interesujących dla rycerza.

- Hmm - powiedział Jim - nie ma znaczenia, czy Geronde będzie siedziała tuż obok ciebie. Chodzi o to, żeby była dostatecznie blisko, aby widzieć, co zrobisz. Jak powiedziałem, po trzecim

daniu chciałbym, żebyś się rozchorował... Mam na myśli chorobę...

- Chorobę? - powtórzył Brian. W tych surowych, czternastowiecznych czasach ktoś taki jak Brian nie przyznawał się do choroby czy bóleści, chyba że jej przyczyna była oczywista, a ból nie do zniesienia.

- Och - dodał pospiesznie Jim - po prostu jęknij i spadnij z ławy, jakby... ee... - urwał, szukając odpowiedniego określenia. - Jakby zakręciło ci się w głowie.

- Ach tak? Hmm... - rzekł Brian, zastanawiając się nad tym. - Mam omdleć, tak? Jakbym miał wizję albo coś takiego?

- Właśnie! - podchwycił Jim. - Spadniesz z ławy i zapadniesz w nagłe omdlenie lub zrobisz coś innego, co ściągnie na ciebie uwagę. Wtedy chciałbym, żeby Geronde pospieszyła do ciebie. A jeśli Angie nie zdążyłaby jeszcze wstać od stołu, zrobi to w tym momencie - wtedy i ja będę miał pretekst, żeby do ciebie podejść. Następnie wyjdziemy wszyscy czworo, może z kilkorgiem służby niosących cię lub pomagających ci iść.

- Mam odejść od stołu w połowie bożonarodzeniowej biesiady? - wytrzeszczył oczy Brian.

- Wtem, że proszę o zbyt wiele, Brianie - przyznał Jim. Ponownie rzucił okiem na pusty przegub swej lewej ręki. Angie mogła zjawić się w każdej chwili. A sądząc po tym, co ostatnio działo się z jego planami, tym razem mogła przyjść znacznie wcześniej. Najpierw chciał uzyskać zgodę Briana, a dopiero potem zdradzić pian Angie i zadbać o to, żeby Brian zawiadomił Geronde. Nie chciał, żeby Angie uznała omdlenie Briana za coś poważniejszego - jej reakcja mogłaby w jakiś niespodziewany sposób zburzyć cały ten domek z kart.

- Kiedy zniknę - mówił dalej do Briana - ty i Geronde możecie przecież wrócić na ucztę i powiedzieć, że zaszkoziło ci coś, co zjadłeś wcześniej, albo podać jakiś inny powód. Angie będzie musiała wrócić na swoje miejsce przy stole. Wiem, że proszę o zbyt wiele. Jednak gdybyś...

- Jamesie - rzekł stanowczo Brian. - Zrobię to. Jeśli to ma ci pomóc, możesz na mnie liczyć.

Nie pierwszy już raz życzliwość Briana szczerze wzruszyła Jima i wywołała w nim poczucie winy, ponieważ taka lojalność nie była czymś, do czego przywykł w dwudziestym wieku i wątpił, by dotychczas okazał taką samą przyjacielowi. Usiłował usprawiedliwić się, przypominając sobie, że nie miał wiele okazji, aby zrewanżować mu się równym oddaniem - może tylko wtedy, kiedy pomógł Brianowi obronić zamek Smythe przed piratami, którzy zapuścili się w głąb ładu i uznali na pół zrujnowaną posiadłość za łatwy łup. Jednak to był wyjątek, a ponadto takiej pomocy niemal każdy rycerz mógł oczekiwać od najbliższego sąsiada. Pewnego dnia, powiedział sobie, musi znaleźć jakiś sposób, żeby wyrównać ten rosnący dług wdzięczności.

- Dobrze - rzekł Jim. - Jestem ci bardzo wdzięczny, Brianie. Jeśli uda ci się...

Tylko tyle zdążył powiedzieć. Drzwi komnaty otworzyły się bez pukania czy choćby skrobnięcia i weszła nie tylko Angie, ale i Geronde.

Teraz, kiedy obie były ubrane, chciały natychmiast zejść na salę. Po drodze Jim wyjaśnił im wszystko, a Brian powtórnie wyraził zgodę. Angie powątpiewała w sens tego planu, a Geronde wyraźnie szukała w nim słabych punktów i możliwych niebezpieczeństw, lecz napotkała nieugięty opór Briana, który najkrócej można wyrazić słowami: To mój obowiązek i spełnię go!

Tak więc kiedy weszli do sali, mogli się rozstać, uzgodniwszy wcześniej dalsze działania. Briana i Geronde zaprowadzono do jednego z bocznych stołów, a Jima i Angie, tak jak poprzedniego dnia, posadzono przy głównym, przeznaczonym dla honorowych gości.

Tym razem, ku zadowoleniu Jima, siedzieli wspólnie. Fakt, że mieli miejsca obok siebie, oznaczał, iż Angie musi usłyszeć to, co Geronde powie Jimowi, przynosząc wiadomość od Briana - przeznaczoną oczywiście dla uszu innych gości przy stole - co powinno znakomicie tłumaczyć odejście Jima z Angie oraz Geronde w celu niesienia pomocy Brianowi.

Tak jak poprzedniego dnia, Agatha Falon siedziała koło earla, całkowicie zaprzatając jego uwagę i bezwstydnie komplementując tego nie pierwszej młodości szlachcica.

Earl zdawał się brać na lep. Był już odrobinę pod wpływem wina - być może wypitego dla złagodzenia bólu kostki skręconej rano przy upadku z konia. Za jego fotelem stała oparta łaska, więc zapewne nie tylko poruszanie się sprawiało mu ból, ale nawet samo zasiadanie przy stole i pełnienie honorów gospodarza.

Po lewej stronie Jima siedziała ta sama krępa, starsza pani. Bardzo chciała podzielić się z Jimem i Angie swoją znajomością kolejnych punktów programu tej szczególnie ważnej imprezy.

Mieli obejrzeć inscenizację bitwy morskiej pod Sluys, która zakończyła się zwycięstwem nad Francuzami. Najwidoczniej earl, wówczas znacznie młodszy i niewątpliwie sprawniejszy, dokonał wtedy heroiczych czynów. Ta inscenizacja miała się odbyć pod koniec przyjęcia.

Do tego czasu, jak to już zauważyli Jim i Angie, między dwoma długimi stołami występowali kuglarze, żonglujący różnymi przedmiotami. Później, w trakcie wnoszenia następnych dań, mieli się pojawić akrobaci. Tymczasem grajkowie usadowieni wysoko na galerii piłowali, bębnilili i szarpali swe instrumenty, chociaż większość gości nie zwracała na nich najmniejszej uwagi.

Była też ulubiona przez Jima irlandzka harfa, jednak jej melodyjne, rzewne dźwięki ginęły w zgiełku innych instrumentów. Jim westchnął cicho - miał mnóstwo czasu do wzdychania, gdyż Angie nawiązała rozmowę ze starszą panią, więc teraz odchyłał się w fotelu, żeby mogły się nawzajem widzieć. Prawdę mówiąc, ulżyło mu, że nie musi prowadzić uprzejmej konwersacji.

Obie kobiety nie tylko gawędziły z ożywieniem, ale jednocześnie także jadły i piły. Jim również jadł, chociaż pił niewiele, lecz z zakłopotaniem zauważył, że Angie znacznie lepiej przyswoiła sobie średniowieczne maniery zachowania przy stole. Nie miał pojęcia, gdzie i kiedy znalazła czas, żeby się ich nauczyć. W domu, w Malencontri, swobodnie używali łyżek i widelców, zakładając, że Jim jako mag może zrobić wszystko, a Angie jako jego żona ma brać z niego przykład. Tak więc jedli prawie tak samo jak w dwudziestym wieku, niewiele przejmując się średniowiecznymi zwyczajami. Jednak tu nie było widelców. Każdy z gości miał przy pasie sztylet,



którym kroił mięso oraz inne kęski - choć większość dań podawano w postaci odpowiednio rozdrobnionej - jeśli nie chciał kłaść całego kawałka na tackę, czyli grubą kromkę chleba służącą jako talerz. Łyżek używano tylko do płynnych lub półpłynnych potraw - zazwyczaj sosów, z których czternastowieczni kucharze byli szczególnie dumni.

Jim nauczył się posługiwać sztyletem w niezłym, średniowiecznym stylu. Jednak rzecz w tym, że kiedy odkroiło się coś do jedzenia lub jeśli kęsek nadawał się do podniesienia ręką, brano go jak najdelikatniej czubkami palców i dopiero wkładano do ust. Zanurzanie palców zbyt głęboko w sos wywoływało zmarszczenie brwi. Słudzy często podchodzili z miskami wody i ręcznikami, żeby uczujący mogli obmyć ręce z tłuszczu.

I tak Angie delikatnie podnosiła czubkami palców kawałek mięsiwa lub ciasta, ledwie umoczywszy je w sosie na talerzu lub półmisku, jak wypadało, a potem gładko i zręcznie wkładała te kęski do ust. Rzeczywiście były to kęski. Grzeczność nakazywała unikać chwytania dużych kawałków. Zarówno Angie, jak i starsza dama brały po odrobinie tego, co akurat jadły. Jednak całkiem dużo tych kawałeczków odbywało podróż do ich ust, tak że w rezultacie obie panie spożywały sporą porcję z tego, co słudzy podawali na stół. Angie zawsze miała dobry apetyt. Siadając do stołu, Jim odkrył, że jest głodny jak wilk - te zimne korytarze i sale sprawiały, że ciało domagało się kalorii. Jednak teraz już zaspokoił pierwszy głód, a ponadto powstrzymywały go skrupuły. Tak samo jak nie chciał przed obżarstwem wlewać w siebie zbyt dużo wina, tak nie zamierzał przejadać się w ciągu tej godziny dzielącej go od chwili, gdy spróbuje przedostać się z zamku do lasu, zamienić w smoka i polecieć do Malencontri. Teraz dostrzegł także inną zaletę jedzenia bardzo małych kawałków, jak robiły to Angie i sąsiadka z lewej.

Takie niewielkie kęsy pozwalały prowadzić swobodną rozmowę. W tym momencie były to z jego strony czysto akademickie rozważania, ponieważ cieszyło go to, że nie musi z nikim rozmawiać. Poza tym byłoby mu trudno gawędzić zarówno z Angie, jak i sąsiadką z lewej czy kimkolwiek siedzącym dalej. Jedząc, pijąc i raz po raz zanurzając palce w misce z perfumowaną wodą, a potem wycierając je w ręcznik, Jim pogrążył się w rozmyślaniach, przywołując szereg rozmaitych argumentów mających nakłonić Mnrogara do współpracy przy poszukiwaniach drugiego trolla.

Angie i starsza pani nadal prowadziły ożywioną dyskusję - tak jakby Jim zniknął i pozostało między nimi tylko puste miejsce. Teraz zaczął roztrząsać problem trolla i earla jako odwiecznych wrogów. Stworzył miły scenariusz, zgodnie z którym zaprosił ich obu - trolla i earla - na naradę, gdzie odgrywał rolę mediatora... Rozstrzygnęli sporne kwestie, stwierdzili, że lubią się wzajemnie, i uzgodnili, iż od tej pory zamek stanie się ich wspólną własnością. Earl właśnie mówił trollowi, że w jednej ze ścian korytarza jest ukryty otwór, proponował, iż w jakiś sposób namówi wszystkich gości, by tamtędy przeszli. Mnrogar mógłby wówczas oglądać ich przez tę dziurkę, obwąchiwać i odnaleźć tego trolla, który przebrał się za człowieka. Rzecz jasna troll z przyjemnością...

Te fantazje przerwał przypominający przeraźliwe wycie odgłos dobiegający z głębi sali. Jim gwałtownie wrócił do rzeczywistości i spojrział w kierunku, z którego nadleciał ten dźwięk. Uczynili to też wszyscy siedzący przy głównym stole i obecni na sali goście, z których wielu wstało z miejsc, żeby lepiej widzieć. Zajmujący miejsca przy honorowym stole mieli przewagę wynikającą z wysokości podium, na którym stał stół i skąd mogli spoglądać na źródło tego dziwnego dźwięku. Stało się to, czego w duchu obawiał się Jim - Brian przesadził.

Nad głowami tłumu, który otaczał go małym półkolem - jednak z jakichś sobie tylko znanych powodów nie podchodził bliżej - widać było krąg zaśmieconej podłogi. W środku leżał Brian ze sztywno wyciągniętymi nogami. Spoczywał na plecach z rozkrzyżowanymi ramionami.

- To Brian! - powiedziała Angie ze wzburzeniem, znacząco spoglądając na Jima.

- Tak, to on - rzekł Jim, przy czym własny głos wydał mu się napięty i nienaturalny. - Co mogło mu się stać? Ciekawe.

- Może powinniśmy tam pójść? - wypaliła Angie, zrywając się z ławy. - Myślę, że... O, idzie tu Geronde!

Rzeczywiście szła i miała całkiem niezły czas. Mocno zdyszana dopadła stojącej nieruchomo Angie.

- Angelo, pomóż mi! - powiedziała. - Właśnie rozmawialiśmy o Grobie Pańskim, który mój ojciec tak bardzo pragnął zobaczyć, kiedy zamierzał wyruszyć na krucjatę, i Brian chciał coś powiedzieć, aż tu nagle zrobił taką minę, jakby miał wizję. Wrzasnął głośno i upadł!

- Pójdę z tobą! - oznajmiła Angie.

- Pójdziemy oboje - rzekł Jim głośno na użytek publiczności, a także dlatego, że Angie i Geronde najwidoczniej zamierzały już ruszyć, zupełnie o nim zapominając. - Może to coś, co zdołam zrozumieć dzięki magii.

- I ja! - zawołał ktoś donośnie z końca stołu. Był to głos biskupa. - Jeśli przypadkiem doznał wizji w chwili, gdy rozmyślał o świętych sprawach, Kościół powinien...

- Szybko! - szepnął Jim do Angie i Geronde. Dosłownie przebiegli po schodkach na skraju podium i wzdłuż jednego z bocznych stołów. Jim siedł na czele, przepychając się przez tłum, który rozstępował się, widząc, kim jest.

Pamiętając o depczącym im po piętach biskupie, Jim pochylił się nad Brianem, który leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami.

- Omdlenie, oczywiście - stwierdził głośno Jim na użytek nadstawionych wokół uszu. Ukradkiem trącił Briana nogą w żebra. - Myślę, że zaraz mu przejdzie.

Brian nawet nie drgnął.

- Tak - rzekł Jim nieco głośniejszym głosem, ponownie go trącając. - Już otwiera oczy!

Brian szybko otworzył oczy.

- James! - powiedział serdecznie, zbyt serdecznie. - Co się stało?

- Zemdlaleś - odparł Jim. - Możesz wstać? Pomogę ci.

Wyciągnął rękę i złapał go za ramię, w samą porę, żeby powstrzymać Briana, który zamierzał zwinnie i błyskawicznie zerwać się z podłogi.

- Powoli... - syknął mu do ucha.

Brian pojął aluzję i pozwolił się podnieść.

- Trzeba natychmiast puścić mu krew! - oznajmił głos tuż za plecami Jima. Odwrócił się i ujrzał sir Harimore'a Kilinswortha, rycerza, który stoczył słowny pojedynek z Brianem pierwszego dnia świąt.

- Och, nie sądzę, aby to było konieczne - zaczął pospiesznie Jim.

- Sir Jamesie! - sir Harimore podkreślił nie istniejący koniec wąsa. - O ile wiem, jesteś magiem. Jednak ośmielę się rzec, że możesz nie wiedzieć, co jest najlepsze dla omdlałego rycerza. Dobre puszczenie krwi...

- Dumni grzesznicy, jak jeden mąż! - zagrzmiął biskup za plecami Jima. - Przejście dla przedstawiciela Kościoła! A ty, sir Harimore, wylecz się sam i zadbaj o swoją nieśmiertelną duszę, zanim zaczniesz zajmować się rycerzem, który mógł mieć widzenie!

Ominął Jima i stanął przed Brianem.

- Co widziałeś, sir Brianie? - zapytał.

- Ja... ja... - wyjąkał Brian, kompletnie wytrącony z równowagi sytuacją, w której musiał albo okłamać biskupa, albo wyznać przy wszystkich, że tylko udawał.

- Pewnie teraz nie może sobie przypomnieć - wtrącił pospiesznie Jim. - Może potrzebuje spokoju i ciszy, a także czasu, żeby przypomnieć sobie, co widział, jeśli w ogóle zdoła, nim wszystko zapomni.

- Nie może zapomnieć! - zagrzmiął biskup. Zmierzył Briana groźnym spojrzeniem. - Kiedy byłeś ostatnio u spowiedzi?

- Prawdę mówiąc, dziś rano, milordzie - rzekł Brian. - Zamierzałem wypowiadać się o północy podczas ostatniej mszy w adwencie, ale jakoś tak...

- Dziś rano! Wspaniale! - rzekł biskup. - I odbyłeś pokutę?

- Tak, milordzie. Ja...

- Dobrze! Bardzo dobrze! - stwierdził biskup. - Czysta dusza, możemy mieć nadzieję.

Zwrócił się do Jima.

- Sir Jamesie! Uważam, iż ty najlepiej spełnisz tę powinność. Dopilnuj, aby sir Brian znalazł

się w swojej kwaterze w ciszy i spokoju, co pozwoli mu wszystko sobie przypomnieć. W ten święty dzień ktoś, kto dostąpił zaszczytu widzenia, jest zbyt cenny, aby go stracić. Tak więc czynię cię odpowiedzialnym i przypominam, sir Jamesie, o ugodzie, w myśl której Kościół Święty udziela zezwolenia na działalność osobom posiadającym pewne zdolności zwane jako magiczne, a umowa ta oddaje cię pod rozkazy Kościoła, jeśli uzna to za konieczne jego przedstawiciel, taki jak ja. Nakazuję ci zadbać o to, aby sir Brian miał odpowiednie warunki do przypomnienia sobie swojej wizji.

- Tak, milordzie - rzekł Jim. - Gdybym tylko otrzymał do pomocy paru służących, którzy podtrzymałoby lub zanieśli go do jego komnaty...

- Otrzymasz ich - rzekł biskup. - Odstąpcie wszyscy! Ty tam, postaw ten dzbanek i chodź tu. A ty, z tym ciastem, odłóż je natychmiast i podejdź też.

Dwaj służący podający do stołu i wyraźnie zainteresowani tym, co się działo wokół sir Briana, lecz nie mający odwagi przerwać swoich zajęć, teraz uczynili to z przyjemnością i błyskawicznie dołączyli do Jima, Briana, Geronde i Angie.

- Mamy pana ponieść, sir Brianie? - zapytał Jim. - Czy też z pomocą sług wolisz sam wejść na górę do swojej kwatery?

- Mogę iść - rzekł pospiesznie Brian i zaraz dodał, usiłując mówić nieco słabszym głosem: - Może trochę się chwieję, ale podtrzymywany z obu stron przez służących...

- Czy nie kazałem wam odstąpić? - zawołał biskup jak z kazalnicy i tłum gości rozstąpił się przed grupką otaczającą Briana, jak Morze Czerwone przed Izraelitami, pozwalając im uciec przez rydwanami egipskiego faraona.

## Rozdział 12

Zrozumiałe było wzburzenie Briana, kiedy w swoim pokoju stwierdził, że podczas gdy Geronde i Angie mogą wrócić na bankiet, on nie może tego zrobić, zważywszy na kategoryczne życzenie biskupa, by odpoczywał i przypominał sobie swoją wizję.

- Przykro mi - powiedział mu Jim. - Nie wiem, jak ci to wynagrodzę, Brianie, ale zrobię to, obiecuję.

- Och, nie obwiniam ciebie, Jamesie - rzekł Brian. - Odegrałem moją rolę zbyt dobrze, w tym rzecz. Jednak zmarnieję tu z braku kompanii, jadła i napitku.

- Zostanę z tobą - oznajmiła Geronde, - W istocie tego będą po mnie oczekiwać.

- Ja też mogę zostać, jeśli chcesz - powiedziała Angie. - Prawdę mówiąc, nie jestem zbyt zainteresowana tym przyjęciem.

- Och nie, Angelo - sprzeciwiła się Geronde. - Wracaj tam. Czekają na ciebie. Możesz też oznajmić honorowym gościom, że Brian zapadł w głęboki sen, ja czuwam przy jego łożu i mamy nadzieję, że po przebudzeniu przypomni sobie swoją wizję, chyba że zapomniał ją na zawsze.

- Racja - odparła Angie. Poweselała. - Tak sobie myślę, że mogę też powiedzieć im, że Brian odniósł wrażenie, iż ta wizja miała być dla niego jakimś rodzajem wieści lub przestrogi i być może zdoła ją sobie przypomnieć dopiero kiedyś, gdy nastąpi ten szczególny moment w jego życiu.

Zarówno Brian, jak i Geronde spojrzeli na nią z niepokojem.

- Powiedziałaś coś takiego biskupowi, Angelo? - spytała z powątpiewaniem Geronde.

- Oczywiście! - odparła Angie. - Przecież to może być prawda. A skąd wiemy, czy Brian rzeczywiście nie miał jakiejś wizji, kiedy myślał, że tylko udaje? Może cały ten nasz plan w istocie prowadził do tego, żeby naprawdę doznał objawienia, którego treść zapomniał i przypomni sobie dopiero w nieokreślonej przyszłości, kiedy okoliczności zmuszą go do podjęcia decyzji?

- Słusznie! - rzekł nagle Jim. - Powiedz mi, Brianie, czy czułeś się jakoś inaczej, gdy upadłeś na plecy i leżałeś z zamkniętymi oczami na podłodze? Czy nie sądzisz, że być może wydawałeś się tak dobrze odgrywać swoją rolę dlatego, że naprawdę spadłeś z krzesła i przez chwilę byłeś nieprzytomny - czego teraz, oczywiście, nie pamiętasz - i naprawdę miałeś coś w rodzaju wizji?

- Istotnie, chyba upadłem mocniej niż to było konieczne - powiedział w zadumie Brian. Potarł tył głowy. - I nie jestem pewien, jak długo tam leżałem, chociaż wydaje mi się, że krótko.

- Teraz widzę, iż rzeczywiście miałeś wizję, Brianie. A moja prośba o to, żebyś udawał, była cudownym zrzędzeniem losu, wskutek czego teraz wątpisz, czy naprawdę ją miałeś, czy nie i czy przypomnisz ją sobie dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas.

Brian, Geronde - nawet Angie - wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy.

- Myślisz, że to możliwe, Jamesie? - wykrztusił Brian ściszym głosem.

- Brianie - odparł poważnie Jim, nie patrząc na Angie - wszystko jest możliwe.

Brian przeżegnał się. To samo zrobiła Geronde i - w tej kolejności - Angie oraz Jim.

- Widzisz - ciągnął Jim - jeśli tak właśnie było, ta wizja może nie wrócić, póki nie nadejdzie odpowiedni czas, więc na razie możesz żyć i postępować tak, jak dotychczas. Kiedy dobrze się nad tym zastanowisz, to za jakiś czas mógłbyś zejść na salę i po prostu oznajmić, iż masz wrażenie, że nie powinieneś o tym mówić - w ten sposób inni goście nie będą kwestionować twoich słów i jednak weźmiesz udział w biesiadzie.

- Szczególnie - rzekł Brian - chciałem zobaczyć inscenizację wielkiej bitwy morskiej pod Sluys.

- Brianie - dodała Angie - Jim tylko mówi, że tak mogło być, a nie, że tak było.

- Nie - odparł Brian. - Albo miałem wizję, ale musiałem zapomnieć jej treść, albo nie miałem, a wtedy nie mam nic do powiedzenia. Tak im oznajmię.

- Brianie... - zaczęła Geronde. Uciszył ją gestem uniesionej dłoni.

- Postanowiłem! - rzekł stanowczo. - Wrócę na dół i powiem wielebnemu biskupowi oraz innym, że nie mam nic do przekazania.

Odprężył się. Uśmiechnął się do Geronde.

- A ty, Geronde - powiedział - pójdiesz ze mną. Możesz mnie popierać, gdy będę opowiadał o moim szybkim zdrowieniu.

Zaświadczysz, że chociaż może miałem wizję, to teraz nic nie pamiętam. A poczuwszy nagły przypływ sił i energii, postanowiłem wrócić na obiad.

- No cóż... - zaczęła powoli Geronde. - Może... Brian nagle spowaźniał. Zwrócił się do Jima.

- A ty, Jamesie. Zamierzałeś...

- Nadal zamierzam - powiedział Jim, myśląc gorączkowo. - Możesz im powiedzieć, że twoje omdlenie przypomniało mi o czymś nadzwyczaj ważnym i musiałem natychmiast odszukać Carolinusa.

- A co ma z tym wspólnego Carolinus? - spytała Angie.

- No, to już zupełnie inna historia - powiedział Jim. - Jednak ponieważ i tak muszę go znaleźć, mogę mu opowiedzieć o tej znacznie ważniejszej sprawie ewentualnej wizji Briana, póki mam ją świeżo w pamięci. Teraz wrócę do naszych komnat i ubiorę się do wyjścia. Jeżeli chcesz iść ze mną, wyjaśnię ci to po drodze.

- Chcę - odrzekła Angie.

- Wiesz co? - spytała, gdy szli do ich kwatery. - Teraz Brian zaczyna wierzyć, że naprawdę miał wizję.

- No cóż - stwierdził Jim - w ten sposób będzie mu łatwiej wyjaśnić wszystko biskupowi.

- Nie o to chodzi. Tak łatwo zamieszać mu w głowie. Powinieneś się wstydić!

- Nikomu nie zaszkodzi, jeśli będzie w to wierzył.

- Ha! - stwierdziła Angie. - Nikomu prócz niego!

Jim w duchu płonął ze wstydu. Weszli w boczny korytarz wiodący do ich komnat.

- Dość już o Brianie i wizjach - zdecydowała Angie. - Muszę wracać do stołu. Jak mam wyjaśnić ludziom twoją nieobecność?

- Powiedz to, co mówiłem Brianowi. To prawda. Zamierzam odszukać Carolinusa. Powinien

być tutaj, gdzie jest potrzebny. Zauważyłaś, że nigdzie go nie ma? Nie było go na wczorajszym obiedzie i prawdę mówiąc, nie widziałem go od spotkania z trollem.

- Nie zauważyłam - mruknęła Angie. - Przez małego Roberta rzadko wychodzę z naszej kwatery. Twierdzisz, że nie ma go w zamku?

- Jestem tego pewien - odparł Jim. - I o to chodzi. Może mnie nie być dzień czy dwa, jeśli będę musiał go szukać. Kiedy znajdę się poza murami zamku, posłużę się w tym celu magią - po odnalezieniu Secoha dowiem się, przed jakimi kłopotami on mnie ostrzegął.

- No, to chyba nie może być nic poważnego?

- Zapewne nie. Jednak niepokoi mnie to, że Carolinus jeszcze się nie pokazał.

Zamilkł.

- Czy Aargh może coś o tym wiedzieć? - podsunęła.

- To możliwe. Gdybyśmy byli w Malencontri, mógłbym dać mu znak. Aargh ujrzałby go, zawył, a ja wyszedłbym mu na spotkanie. Jednak u earla nie mogę dać mu takiego sygnału. Może jeśli nie znajdę Carolinusa, wykorzystam magię, żeby odszukać Aargha. Naprawdę nie rozumiem, co Carolinus wyprawia - jest tutaj gościem czy nie?

- On nie przepada za takimi imprezami - stwierdziła Angie.

- Ja też nie - mruknął ponuro Jim. - Niepokoi mnie to, że on może wiedzieć o jakichś sprawach, o których mi nie powiedział - już nieraz tak robił. No nic, wytłumaczysz mnie przed earlem i innymi gośćmi? Nie zaczynaj od tego, że może mnie nie być przez dzień czy dwa, ale pozostaw to niedopowiedziane, żebyś w razie potrzeby mogła powiedzieć to później.

- W porządku - zgodziła się Angie. Stanęli w miejscu, gdzie jeszcze nie mogli ich usłyszeć stojący przed drzwiami wartownik. - Nie wejdę tam z tobą. Jeśli Brian i Geronde zechcą przyjść, powinnam znaleźć się tam przed nimi. Muszę zadbać o to, żeby Brian najpierw porozmawiał z biskupem - tak będzie bezpieczniej.

- Oczywiście - powiedział Jim.

Przez chwilę stał i patrzył, jak odwróciła się i poszła z powrotem korytarzem, ostrożnie przytrzymując skraj sukni, a potem wszedł do pierwszej z ich komnat.

Nie było tam nikogo, a kiedy zajrzał do drugiego pokoju, zobaczył Roberta śpiącego spokojnie w łóżeczku, opiekunkę zaś pochrapującą na rozłożonym na podłodze sienniku. Nigdzie nie dostrzegł służącej Angie.

Po cichu zebrał swoje cieplejsze rzeczy, zbroję i miecz, po czym przeniósł je do drugiego pokoju przed kominek, na którym niedawno rozpalono wesoło buzujący ogień. Jim ubrał kilka warstw odzieży, w tym kolczugę pod opończę z namalowanym na niej herbem; zapiął pas rycerski na

biodrach, włożył skórzaną mykę, a na nią stalowy hełm, to wszystko przykrył długą szarą oponczą z kapturem.

Już miał wyjść, kiedy przypomniał sobie, że nie przypiął ostróg. Z pewnością weźmie jednego z koni, które teraz stały w stajni earla. Znalazłszy się w lesie, spróbuje za pomocą magii przetransportować nie tylko siebie, ale i konia, chociaż nie był pewny swoich umiejętności magicznego poruszania się w kryzysowych sytuacjach, tego czy będzie umiał tak jak Carolinus w mgnieniu oka przenosić się z miejsca na miejsce. Jednak gdyby niespodziewanie miał wpaść w jakieś tarapaty, lepiej być na koniu niż bez przede wszystkim dlatego, że koń mógł umknąć znacznie szybciej niż on.

Jim właśnie przypiął ostrogi i skierował się do drzwi, kiedy za jego plecami w pustym pokoju odezwał się jakiś głos.

- Milordzie?! Milordzie, nie idź jeszcze!

Jim błyskawicznie odwrócił się i po głosie już poznał tożsamość jego właściciela. Hob Jeden przycupnął ze skrzyżowanymi nogami nad płomieniami w kominku.

- Cały czas próbowałem cię złapać, milordzie - rzekł karcąco. - Jednak nigdy nie byłeś sam!

- A czy muszę być sam? - odparował Jim. - O co chodzi? Muszę iść.

- Chcę powiedzieć, że zwykle nie łączy się z tym żadne niebezpieczeństwo, ale nigdy nie wiadomo. Ponadto w tym wypadku nie jestem u siebie. Kiedy widzieliśmy się pierwszy raz, musiałem uzyskać zgodę kuchennego skrzata earla, żeby tu przyjść i odwiedzić cię w twojej komnacie.

- Rozumiem - rzekł Jim.

- Oczywiście - dodał Hob Jeden, dumnie podnosząc bulwiasty nosek - od kiedy nadałeś mi nowe imię, po prostu wydaję mu rozkazy. W końcu on jest tylko zwykłym kuchennym skrzatem. Powiedziałem mu to.

- Naprawdę? - zdziwił się Jim, trochę zaskoczony rezultatami swojej poprzedniej rozmowy z małym naturalnym.

- W rzeczy samej! - odparł Hob Jeden.

- I on... ee... nie miał zastrzeżeń?

- Paziu! - powiedziałem mu. - Jestem Hob Jeden de Malencontri. Od czasu do czasu będę odwiedzał twój zamek. Co więcej, nie będę tracił czasu na rozmowy z tobą, jeśli nie będziesz mi do czegoś potrzebny. A gdyby tak było, spodziewam się, iż okażesz mi szacunek, jaki przystoi okazać, rozmawiając z lepszymi od siebie!

- Niech mnie... - Jim powstrzymał się w porę. Tutaj nie traktowano lekko takich przekleństw.



Rzekł: - Jednak muszę już ruszać...

- Och, milordzie! - powiedział Hob Jeden, natychmiast zapominając o wyniosłym tonie. - Jeszcze nie słyszałeś wiadomości, jaką przyniosłem od Secoha... tego smoka, wiesz...

- Znam Secoha - rzekł Jim. - Tak. Prawdę mówiąc, jedną z rzeczy, jakie mam zamiar teraz zrobić, jest natychmiastowy powrót do Malencontri i rozmowa z nim - o ile jeszcze tam jest. A jest?

- Tak. Tak, istotnie, milordzie - odparł Hob Jeden. - Słyszałem, jak pański John Steward mówił majordomusowi, że mógłby kazać zbrojnym usunąć smoka z zamku, jednak sądzi, że nie powinien tego robić, ponieważ to pański przyjaciel. Tak więc smok siedzi tam, je i pije, i jest coraz bardziej na mnie zły. Mógłby przeciąć mnie na pół jednym kłapinięciem tych wielkich zębów. Jest gorszy niż troll. Czy wiesz, milordzie, że w podziemiach tego zamku mieszka troll?

- Rozmawiałem z nim - rzekł Jim.

- Och. No cóż, jesteś wielkim magiem-rycerzem, z mieczem i wszystkim - rzekł Hob Jeden - podczas gdy skrzaty, nawet taki skrzat jak ja, Hob Jeden de Malencontri, nie mogą z nikim walczyć. Po prostu staramy się nikomu nie pokazywać.

- Rozumiem - rzekł Jim. - Jednak właśnie udaję się do Secoha i im prędzej wyruszę, tym lepiej. Stojąc tu i rozmawiając z tobą, tracę czas. Jeśli możesz dotrzeć tam szybciej niż ja, powiedz mu, że przybywam.

- Och, mogę - powiedział Hob Jeden. - Mogę dostać się tam w kilka minut, unosząc się z dymem.

- Rozumiem. No cóż, ruszaj i powiedz mu to. Żegnaj.

Odwrócił się do drzwi.

- Jak zamierzasz tam dotrzeć? - zapytał Hob Jeden za jego plecami, - Wiesz, milordzie, mógłbym zabrać cię ze sobą.

Jim przystanął i odwrócił się.

- Mógłbyś?

- Och, tak. To jedna z niewielu rzeczy, jakie my, skrzaty, potrafimy - przenosić ludzi z miejsca na miejsce. Oczywiście, nie robimy tego często. Tylko czasem zabieramy na takie przejażdżki dzieci. Są takie małe jak my i zwykle lubią nas, a nawet jeśli później opowiedzą o tym dorosłym, nikt im nie wierzy, więc jesteśmy bezpieczne. Jednak ponieważ zaszczyciłeś mnie nadaniem imienia, chciałbym ci pomóc, milordzie, jeśli zdołam. Czy chciałbyś unieść się ze mną z dymem?

- Zamierzałem wziąć konia - odrzekł Jim, marszcząc brwi.

- Masz konie w Malencontri - przypomniał grzecznie skrzat.

Oczywiście miał rację. Jimowi zrobiło się głupio.

- No, dobrze - powiedział. Spojrzał na wesoło płonący ogień na kominku. Nie miał ochoty wchodzić do paleniska. - Jak mam to zrobić?

- Po prostu podaj mi rękę, milordzie.

Hob Jeden wyciągnął rękę i Jim ujął małą, brązową dłoń. W następnej chwili leciał kominem, nie mając pojęcia, jak się w nim znalazł. Spodziewał się, że droga przez komin będzie brudna, ciasna i nieprzyjemna. Tymczasem to był średniowieczny komin - o wiele szerszy i głębszy od dwudziestowiecznych, a ponadto być może zadziałał jakiś naturalny czar skrzatów, gdyż lecąc w górę, nawet nie ubrudził sobie łopoczącego płaszcza. Zanim Jim zdążył zebrać myśli, już wylecieli z komina. Niemal natychmiast zaczęli unosić się nad szczytami bezlistnych drzew i ośnieżoną ziemią.

Z początku Jim uznał, że nie poruszają się zbyt szybko. Potem zmienił zdanie i doszedł do wniosku, iż pokonują dystans w nieco lepszym tempie, niż byłby w stanie zrobić to w swoim smoczym ciele. Jednak ten lot był bardzo cichy i spokojny - spokojniejszy nawet od szybowania, z jakiego składa się większość podniebnych smoczyczych podróży. Z powodu ciężaru utrzymywanie się w powietrzu za pomocą uderzeń skrzydeł jest dla smoka niezwykle męczące. Ta podróż przypominała latanie we śnie.

Była cudowna. Jim przypomniał sobie, jak po raz pierwszy spróbował wzbić się w górę w smoczym ciele. Całkowicie opanowała nim radość szybkiego śmigania w powietrzu, kilkusetmetrowego wznoszenia się lub nurkowania, stanu praktycznej nieważkości. Jednak to było jeszcze wspanialsze. Płynął... chodź wiedział, że leci z szybkością przekraczającą sto kilometrów na godzinę, lecz miał wrażenie, że płynie nad czarno-białą ziemią.

- Ani śladu trolla - powiedział głośno Jim, nie myśląc o tym, co mówi, patrząc na szybko przesuwaną się pod nimi śnieżny dywan, pocięty gdzieniegdzie tropami zwierząt. Usiłował wyobrazić sobie ślady, jakie pozostawiłyby wielkie, płaskie łapy trolla z dużymi, zakończonymi pazurami paluchami.

- To dlatego, że wszystkie są pod śniegiem - odezwał się niespodziewanie Hob Jeden.

Jim spojrział na skrzata. Ten jechał na cienkiej smużce dymu. Jim zerknął w dół i zobaczył, że sam robi to samo.

- Pod śniegiem? - zapytał. - Mówiłem o trollu.

- Ja też - rzekł Hob Jeden. I dodał posepnie: - Nie lubię trolli. Ani smoków. Ani widm, topielic czy wielkich kucharek z ogromnymi tasakami...

- Co masz na myśli, mówiąc, że są pod śniegiem? - zapytał Jim. - Nawet gdyby śnieg był dostatecznie głęboki, żeby je przykryć...

- Och, one nie kładą się byle gdzie, czekając, aż przysypie je śnieg, milordzie. Wybierają miejsca, w których wiatr usypie głębokie zaspy, i tam się kładą. Zimno im nie przeszkadza,

oczywiście, ani nic innego. Mogą tam czekać tak długo, jak zechcą. Aż ktoś nadejdzie, a wtedy wyskakują spod śniegu i chwytają go - po czym pożerają. Oczywiście, najczęściej trafia im się tylko biedny jeleni lub królik. Jednak to może być każdy, nawet taki skrzat jak ja!

- No cóż, tutaj nie powinno być żadnego, który mógłby ci zagrozić - rzekł Jim. - Zamkowy troll powiada, że od osiemnastu wieków nie wpuszcza na swój teren żadnych innych trolli.

- Może tak twierdzić - odparł Hob Jeden. - Jednak są ich tu setki. Widziałem je czekające, aż przykryje je śnieg. To było wtedy, kiedy leciałem, szukając milorda, i dopiero zaczęło sypać.

- Setki? - zdziwił się Jim. - To niemożliwe.

- Ależ tak, milordzie - powiedział szczerze Hob Jeden. - Przecież umiem rozpoznać trolla, a tu były ich co najmniej setki. Co najmniej.

Jim poczuł, że ścisza go w dołku.

- Skoro jest ich tu tyle, dlaczego zamkowy troll nic o nich nie wie? - spytał. - Przez tyle lat upilnował swojego terytorium przed innymi trollami.

- Nie mam pojęcia - odparł Hob. - W końcu jestem tylko skrzatem.

- Po co tu przyszły?

- Nie wiem, milordzie.

Jim miał ochotę wygłosić jakąś ostrą uwagę na temat tego, że Hob Jeden zdaje się nie mieć pojęcia o niczym.

Powstrzymał się w porę. W końcu, powiedział sobie, ten malec jest tylko tym, kim jest. Po kimś, kto spędza całe dni i noce w kuchennym kominie, nie można oczekiwać dogłębnej znajomości reszty świata, nawet jeśli czasem go oglądał. Ponadto, wstrzymując wybuch gniewu, przypomniał sobie, co mu powiedziała Angie, kiedy rozstali się z Geronde i Brianem. Jak zwykle zrozumiał jej słowa dopiero po pewnym czasie. Oczywiście miała rację. Wykorzystywał niewinność Briana i jego podatność na sugestie - nieładnie tak postępować wobec przyjaciela, obojętnie, w którym stuleciu. No cóż, miejmy nadzieję, że Brian powie ludziom, iż zapomniał, jaką miał wizję, i niebawem nikt nie będzie pamiętał o tej historii. Mimo to Jim obiecał sobie w duchu, że znajdzie sposób, żeby jakoś wynagrodzić to Brianowi. Chociaż nie miał pojęcia jak.

- Jesteśmy prawie na miejscu! - głos Hoba Jeden przerwał mu rozmyślania.

Jim spojrział przed siebie i ujrzał rozległą równinę, a na niej mury i wieże Malencontri. Odetchnął z ulgą, a potem przypomniał sobie, iż w zamku nie czekał go odpoczynek, lecz problem wymagający rozwiązania. Secoh chciał podzielić się z nim jakimiś kłopotami. Na chwilę odsunął od siebie te zmartwienia. Teraz, kiedy zobaczył zamek, zaczął doceniać szybkość, z jaką podróżowali. Mury rosły w oczach.

- W dół! - zawołał uradowany Hob Jeden i wpadli do komina wiodącego - zadaniem Jima - do jednej z kuchennych komnat w wieży, tuż przy głównej sali Malencontri. Tutaj przynoszono z kuchni potrawy i podgrzewano je. W większości zamków kuchnie znajdowały się poza głównymi budynkami i często były zbudowane z drewna. Mieszkańcy zamków obawiali się bowiem pożaru od otwartego ognia używanego do gotowania.

Nagle wokół pociemniało i Jim uderzył stopami o podłogę przed kominkiem, w którym wesoło płonął ogień. Jednak to nie była kuchnia ani jakakolwiek inna zamkowa komnata.

Znalazł się w chatce Carolinusa przy Dźwięczącej Wodzie, kilka kilometrów od zamku. I stał przed nim Carolinus we własnej osobie, mierząc go gniewnym spojrzeniem. Byli w pokoju oświetlonym tylko tańczącymi na kominku płomykami, które pogrążały kąty izby w pulsującym mroku, natomiast napełniały zadziwiająco jasną poświatą leżącą na stole czarodziejską kulę maga.

- Nie prosz mnie! - warknął Carolinus. - To nie twoja wina, ale nie mogę ci pomóc.

## Rozdział 13

Jim wytrzeszczył oczy. Carolinus wyglądał tak samo, jak zawsze: w czerwonej todze pokrytej już po jednym dniu noszenia plamami od jedzenia, ubocznych skutków czarów czy biorącymi się z jakichś innych powodów. Jednak mag miał podkrążone oczy i Jim nie dał się zwieść nieuprzejmym słowom. To nie był zwykły, zirytowany Carolinus, lecz Carolinus usiłujący coś ukryć pod pozorami złości.

- Wcale nie przybyłem prosić o pomoc - rzekł Jim. - A przynajmniej nie w takim sensie, jak

zdajesz się sądzić. Jest wiele spraw, o których chciałbym ci opowiedzieć i podyskutować. Prawdę mówiąc, chciałem najpierw porozmawiać z Secohem, ale cieszę się, że cię widzę. Podejrzewam, że to ty mnie tu ściągnąłeś.

- Zgadza się!

- No, po pierwsze - zaczął Jim - muszę ci coś powiedzieć. Zamek earla otacza armia trolli.

- On już wie. Powiedziałem mu o tym - odezwał się znajomy głos i Aargh wyszedł na światło z jednego z mrocznych kątów izby. Wydawał się o połowę większy niż zwykle i niemal podobny do demona z żółtymi ślepiami pałającymi w blasku ognia i magicznej kuli.

- Widziałeś je? - zapytał Jim.

- Były już pod śniegiem - odparł Aargh - ale wyczułem je. Cały las cuchnie trollem, a mój nos to nie nos trolla ani jelenia, ani jeża. Wyczułbym nawet, gdyby to był tylko jeden troll ukryty w kilkumetrowej zaspie.

- Jednak Mnrogar nie zachowywał się tak, jakby o nich wiedział - rzekł Jim. - A dopiero następnego dnia przestało padać. Tak więc, jeśli chciały ukryć się pod śniegiem, musiały to zrobić dzień wcześniej.

- Tak właśnie było - powiedział Aargh.

- To dlaczego Mnrogar nie wiedział, że one tam są? Przejmował się tylko tym trollem, który według niego ukrywa się wśród gości.

- One były poza jego terytorium - rzekł Aargh. - Ponadto siedząc w podziemiach, mógł ich nie wyczuć z takiej odległości, chyba że wiatr zawiałby prosto do jego tunelu.

- Były tam, kiedy zostawiłeś nas i odszedłeś? - spytał Jim. - Udało ci się przedostać między nimi?

Aargh zaśmiał się swoim cichym śmiechem.

- One nie leżą ramię w ramię pod śniegiem - powiedział. - Niezbyt się kochają i nie ufają sobie te trolle. Pozostało między nimi więcej miejsca niż na przejście tamtędy nawet jakiegoś wolno poruszającego się zwierzęcia, co dopiero moje. Ponadto co zyskał by taki troll, wyskakując na mnie spod śniegu? Tylko szybką śmierć.

One są tam z innego powodu.

Jim zwrócił się do Carolinusa.

- Chodzi im o zamek, earla i jego gości?

- Nie - odparł Caroltnus. Jego bladoniebieskie oczy dziko błyskały spod siwych brwi. - Chcą

terytorium Mnrogara. Tylko jeden z nich może je zdobyć w pojedynku z Mnrogarem. Jednak wygra czy przegra, utrzyma je czy też zaraz straci wyzwany przez inne trolle, to nie jest istotne. Sama ich obecność może być tym, czego Ciemne Moce szukały od dłuższego czasu - pretekstem, aby pozbawić cię wszystkich magicznych zdolności i pozostawić bezbronego. A ja, jak już powiedziałem, nie będę mógł ci pomóc. Muszę się trzymać z daleka. Muszę stać z boku, ponieważ jesteś moim uczniem.

Jim zamrugał powiekami.

- Nie rozumiem - powiedział po chwili. - Co mówisz o pozbawieniu mnie magicznych zdolności? I o co chodzi z tymi Ciemnymi Mocami? O ile wiem, skoro zamek został pobłogosławiony...

- Zamek jest bezpieczny - rzekł Carolinus, - Wszyscy w nim są bezpieczni, nawet kiedy wyjedzie biskup. Tylko Mnrogar i ty jesteście w niebezpieczeństwie.

- No, dobrze przynajmniej, że nic nie grozi ludziom w zamku - powiedział Jim, oddychając z ulgą. - Chcesz powiedzieć, że trolle nie zaatakują wszystkie naraz jak armia?

- Nie! - wtrącił Aargh. - Walczyłyby razem tylko wtedy, gdybyście wysłali przeciw nim oddział zbrojnych i otoczyli je, inaczej wszystko, co kiedykolwiek powiedziano o trollach, nie byłoby już prawdą, a słońce i księżyc przestałyby świecić.

- A zatem i o to też nie musimy się martwić - stwierdził Jim, - Teraz mówcie, dlaczego jestem w niebezpieczeństwie i co mają z tym wspólnego Ciemne Moce?

Znow zwrócił się do Carolinusa. Mag zmarszczył brwi.

- Chyba wciąż nie rozumiesz tego, co tyle razy usiłowałem ci wytłumaczyć - powiedział - o równowadze między historią a przypadkiem, że ta równowaga musi być utrzymana, a Ciemne Moce wciąż usiłują ją naruszyć. My, magowie, pilnujemy, żeby im się to nie udało. Taka jest natura wszechrzeczy - stan równowagi. Zacznijmy od tego, Jim, że Ciemne Moce nie miały pojęcia, iż możesz być dla nich zagrożeniem. Nie spodziewały się ciebie. Aż tu nagle pojawiłeś się nie wiadomo skąd, z wiedzą przekraczającą ich zdolności pojmowania. Z czasem poznały twoje możliwości i od tej pory starały się znaleźć jakiś sposób, żeby obrócić twoją siłę przeciw tobie. Teraz go znalazły.

Jim milczał przez chwilę. Znał słowo określające moc, o jakiej mówił Carolinus. To technologia - technologia dwudziestego wieku. Rzeczy przyjmowane jako oczywiste w świecie, z którego przybyli tu z Angie, odległym o ponad sześćset lat od tego czternastowiecznego, w jakim znajdował się teraz. Carolinus miał rację co do tego, o czym usiłował powiedzieć Jimowi niemal od początku - że magia jest sztuką. Skąpe dwudziestowieczne wiadomości Jima z dziedziny mechaniki, medycyny, a także socjologii i nauk społecznych, tworzyły magię, którą rozwinął i przekształcił w coś niezwykłego, tak jak niezwykła była magia każdego prawdziwego czarodzieja. A to pozwalało mu rozwiązywać problemy w sposób, jakiego nawet nie podejrzewano w tym średniowiecznym świecie.

- Nie rozumiem... - zaczął.

- Nie - rzekł Carolinus niemal łagodnie - i chyba trudno cię o to winić. Czy pamiętasz, jak użyłeś czegoś, co nazywałeś hipnozą, do powstrzymania czarnoksiężnika Ecottiego oraz króla Francji dostatecznie długo, żeby uciec wraz z przyjaciółmi kanałem do Anglii?

- Tak - odrzekł Jim, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- I pamiętasz, że w wyniku tego musiałem się zmierzyć z magiem klasy B specjalizującym się w magii orientalnej, który twierdził, iż to, co nazywasz hipnozą, jest częścią jego sztuki, a ty nie zostałeś jej należycie nauczony przez mistrza posiadającego odpowiednie kwalifikacje?

- Oczywiście! - odparł Jim. Carolinus zdecydowanie wygrał ten pojedynek, chociaż był wtedy bardzo przygnębiony i zwycięstwo tylko chwilowo podniosło go na duchu. Jednak w owym czasie dał Jimowi do zrozumienia, że nie było to poważne wyzwanie, ponieważ stawał przeciw magowi posiadającemu zaledwie klasę B, a nie komuś dorównującemu mu rangą i umiejętnościami. - Zatem - mówił teraz - na pewno pamiętasz imię mojego przeciwnika. To był Son Won Phon, który od tej pory bardzo interesuje się twoimi poczynaniami, znajdując wśród magów wielu takich, którzy zgadzają się z nim.

- Chcesz powiedzieć, że chowa urazę?

- Oczywiście, że nie! - rzekł Carolinus. - Magowie nie żywią urazy! - Odkaslnął. - Mówię o kwalifikowanych magach powyżej klasy C, jaką ty posiadasz. Nie, chodzi o to, że on po prostu ma nieco konserwatywne poglądy. Weźmy na przykład jego podejście do problemu transmutacji zwykłych minerałów w szlachetne kruszce... ale dajmy temu spokój. Nie masz o tym pojęcia i nie możemy teraz tracić czasu na takie rozmowy. A skoro wspomniałem o rozmowie, powinniśmy ją przeprowadzić bez świadków. Zaraz poproszę kogoś o pomoc.

Podniósł palec i rozległ się cichy, melodyjny brzęk. Wszyscy stali przez chwilę, nasłuchując, a potem z jednego mrocznego kąta odpowiedział mu podobny dźwięk, Z cienia wyfrunęła istota, którą można opisać tylko jako prześliczną, skrzydlatą wróżkę, niewiele większą od kolibra. Leciutko machając skrzydełkami, unosiła się w powietrzu, trzymając rączką czubek palca Carolinusa.

- Hej, T. B. - powitał ją Carolinus. - Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci w chwili, gdy byłaś zajęta jakimiś ważnymi sprawami.

T. B. zaświergotała do niego.

- Miło, że tak mówisz - podjął Carolinus. - Chcę cię prosić o pewną przysługę. Musimy we trzech omówić pewną sprawę i nikt nie może nas podsłuchać. Czy możesz nas przenieść - wiesz gdzie?

Małeńka wróżka zadzwięczała.

- Dziękuję. Jesteśmy bardzo wdzięczni. To bardzo miło z twojej strony.

Wróżka znów brzęknęła,

- Wcale nie, wcale - powiedział Carolinus. - Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jaką wyświadczasz nam grzeczność. Przecież gdybyś miała to robić dla każdego maga, który o to poprosi, twoja wyspa byłaby przez cały czas przeludniona. Dobrze o tym wiem i doceniam, że czynisz dla nas wyjątek. W każdej chwili, kiedy tylko będziesz gotowa.

Natychmiast znaleźli się na małej polance porośniętej miękką, zieloną murawą, otoczonej jakimiś bardzo dużymi drzewami, wyglądającymi na tropikalne, o ciężkich liściach wielkości słoniowych uszu. Wydawało się, że nad szczytami drzew świeci jasne słońce, lecz ich korony i liście były tak gęste, że na dole panował przyjemny półmrok. T. B. jeszcze raz zadzwięczała i zniknęła.

Jakiś przechodzący obok osobnik, ubrany jak pirat w zieloną koszulę i obszarpane szare spodnie, opasany szarfą podtrzymującą dwa pistolety i pałasz, uprzejmie uchylił kapelusza przed Carolinusem. Mag odpowiedział mu skinieniem głowy.

- Czuję słone powietrze - rzekł Aargh, łowiąc nosem lekki wietrzyk wiejący spomiędzy grubych pni.

- Oczywiście - powiedział Carolinus. - Morze jest niedaleko. Jednak przejdźmy do ważniejszych spraw. Jimie, słuchaj mnie uważnie!

- Cały czas to robię, od kiedy cię ujrzałem - rzekł Jim.

- Cyt-cyt - powiedział Carolinus. - Ten twój temperament! Staraj się nad nim panować, Jimie. Bierz przykład ze mnie. Bądź zawsze miły i spokojny.

To ostatnie stwierdzenie zaparło Jimowi dech w piersi, przez co sprawiał wrażenie, że wziął sobie do serca radę Carolinusa dotyczącą zachowania spokoju.

- Hmm, co to ja mówiłem? Ach, tak. Jak już powiedziałem, Son Won Phon przekonał do swego punktu widzenia wielu podobnie myślących magów. Nie wdając się w zawile wywody prawne, kruczki i precedensy, na jakich opiera swój wywód, przedstawię w skrócie jego punkt widzenia: twoja osoba stanowi potencjalne zagrożenie zarówno dla historii, jak przypadku i powinniśmy coś z tym zrobić. Jeżeli nie możemy odesłać cię tam, skąd przybyłeś, powinniśmy znaleźć jakiś inny sposób, żeby uczynić cię zupełnie bezradnym - my, to znaczy, magowie.

- Naprawdę wyprawilibyście nas z powrotem? - spytał Jim, czując nagły przypływ podniecenia. Gdyby magowie zrobili to, na pewno odesłaliby go razem z Angie, a to rozwiązałoby wszystkie ich problemy. On i Angie wróciliby do dwudziestego wieku, a ten czternastowieczny świat znów byłby spokojny i szczęśliwy - no, względnie szczęśliwy. Spokojny i szczęśliwy, jeżeli Son Won Phon miał rację. Jednak Jim nie sądził, żeby tak było.

- Dlaczego jest taki pewny tego, że jestem zagrożeniem dla historii i przypadku? - zapytał.

- Właśnie zacząłem ci to tłumaczyć, tam, w domku - powiedział Carolinus - kiedy uświadomiłem sobie, że powinienem to wyjaśnić w miejscu, gdzie nikt nas nie usłyszy.



- Nikt taki jak Son Won Phon, tak?

- Nonsens! Magowie nie... a nawet gdyby próbowali, nie zdołaliby podsłuchać nas tutaj, co mogliby zrobić w mojej chatce.

- A gdzie właściwie jesteście? - warknął Aargh.

- Nieważne! - odparł Carolinus. - W miejscu, o którym wilki nie powinny wiedzieć. - Nagle obrzucił Jima gniewnym spojrzeniem. - Ani uczniowie, jeśli o tym mowa!

Prawdę mówiąc, Jim dobrze wiedział, gdzie się teraz znajdują. Byli na Wyspie Zaginionych Chłopców ze sztuki Jamesa Barriego Piotruś Pan. Jednak perspektywa powrotu z Angie w dwudziesty wiek tak bardzo go zaabsorbowała, że nie dbał o to, gdzie jest w tej chwili,

- Jak możemy być pewni, że nikt nas nie słyszy? - zapytał.

- Ponieważ to, co tu jest, nigdy się nie zmienia - odpowiedział mu Carolinus. - Wszystko, co tu widzisz, istnieje tylko w książce i w sztuce. To jedynie opowieść, treść sztuki. Jest całkowicie niezmiennalna. Tak jak przeszłość. Właśnie dlatego Son Won Phon jest taki upie... - Carolinus urwał, wyraźnie szukając odpowiedniego słowa. - Eee... uparty. Twierdzi, że twój pobyt tutaj zagraża zmianą przyszłości. A nawet, że już ją zmieniacie, będąc tutaj, ty i Angie,

- Może mieć rację - powiedział Jim. Nie zaszkodzi trochę zwiększyć szanse na deportację wraz z Angie do ojczywego świata. - Sam zauważyłem, że niektóre rzeczy tutaj różnią się od tego, co wiem o tym okresie z historii, której uczyłem się w moim świecie - niektóre daty i tym podobne rzeczy. Wydarzenia zachodzą tutaj wcześniej lub później, niż podają podręczniki historii...

- Niewątpliwie błędnie - wtrącił Carolinus. - Mam nadzieję, że nie chcesz mi powiedzieć, że zawsze masz rację, co, Jim?

- Nie, oczywiście, że nie, ale...

- Żadnych „ale”! - warknął mag. - Argumenty Son Wona, moim zdaniem, nie trzymają się kupy ani czegokolwiek innego, jeśli już o tym mowa. Są dziurawe jak sito. Jednak nie o to chodzi. Jeśli większość magów zgodzi się z nim, będę zmuszony cię oddalić i pozbawić mocy wszelkiej magii, oprócz tej, jaką miałeś na początku, a sądzę, że zużyłeś ją dawno temu, tak samo jak znaczną część tej, którą załatwiłem ci, od kiedy zostałeś moim uczniem.

- A to uczyniłoby mnie bezbronny wobec Ciemnych Mocy przynajmniej do czasu deportacji?

- Właśnie. Ciebie i Angie.

Angie. To stawiało sprawę w zupełnie innym świetle. Jeśli nie zostaną deportowani, zanim Jim straci całą magiczną moc, Angie będzie narażona na niebezpieczeństwo razem z nim - cokolwiek oznaczało to w praktyce. Sam Jim może podjąłby takie ryzyko. Jednak wystawiać na niebezpieczeństwo Angie to zupełnie inna sprawa.

- A więc co mam z tym zrobić? - zapytał nagle bardzo poważnym tonem.

- Nie wiem, co możesz zrobić - odparł Carolinus, - Można by temu zaradzić, gdyby wolno mi było ci pomóc. Jednak nie mogę. Żaden mag nie może pomóc swemu uczniowi, jeżeli przeciw temu uczniowi wysunął zarzuty mag klasy B lub wyższej. Zdołałem stawić czoło Son Won Phonowi i wygrać po prostu dlatego, że jego twierdzenie potraktowałem jak zniewagę, a nie próbę oskarżenia ciebie. Ale... Carolinus westchnął.

- O co chodzi? - spytał Jim. Ponieważ, westchnąwszy, Carolinus oklapł i nagle wydał się taki, jakim był w rzeczywistości - kruchym staruszką, być może goniącym resztkami sił.

- Obawiam się, że jeszcze pogorszyłem twoją sytuację, próbując ci pomóc - wyznał. - Chciałem jak najlepiej. Na pewno było to potrzebne i zasłużyłeś sobie. Jednak biorąc pod uwagę zarzuty wysuwane przez Son Won Phona, postąpiłem niemądrze. Pamiętasz, co zrobiłem dla ciebie, kiedy rozwiązałeś problem pustych ludzi? Załatwiłem ci wyższą klasę i nadzwyczajny przydział magii z ogólnego funduszu, jakiego zazwyczaj nie otrzymuje żaden mag klasy C. To oburzyło niektórych uczniów i oczywiście ich mistrzowie, a przynajmniej niektórzy z nich - również się oburzyli.

- I nic nie mogę zrobić, żeby ułagodzić starszych rangą magów? - zapytał Jim. - Trudno w to uwierzyć. Musi być jakiś sposób!

- Tak - warknął Aargh.

- Prawdę mówiąc - rzekł Carolinus - są trzy możliwości. Chociaż nie mam pojęcia, jak mógłbyś z którejkolwiek skorzystać. Po pierwsze, mógłbyś obalić argumenty Son Won Phona dotyczące twojego ewentualnego wpływu na przyszłość. Ale ponieważ nikt nie zna przyszłości i nie wie, jak będą wtedy działać prawa historii, zależące od kształtujących je, teraźniejszych wydarzeń, nie sądzę, abyś zdołał to zrobić.

- Nie - rzekł w zadumie Jim.

- Mógłbyś też zaatakować samego Son Won Phona, chociaż to byłoby dość nierozważne ze strony adepta magii klasy C, który praktycznie jest jeszcze uczniem - jak w twoim przypadku - oskarżać uznanego maga klasy B. Wywołałoby to powszechne zdumienie i prawdopodobnie nastawiło przeciwko tobie większość magów. Tak więc to na nic. Trzecim wyjściem byłoby stworzenie jakiejś zupełnie nowej magii i dodanie jej do światowych zasobów w naszym świecie i czasie. Magia, jak ci już mówiłem, stopniowo wymyka się z rąk profesjonalistów i staje częścią zwyczajnego życia, tak więc przez cały czas ją tracimy. Tylko sporadycznie jej zapas uzupełnia ktoś tworzący nową magię. A zatem w końcu czary całkowicie znikną z naszego świata. Jednak naprawdę nie sądzę, abyś zdołał wytworzyć jakąś nową magię. Od osiemdziesięciu lat nikt tego nie dokonał, a i ostatni, który to zrobił, był magiem klasy AAA. Ponadto, była to bardzo skromna magia.

Na chwilę zapadła cisza. Jim usiłował zebrać rozbiegane myśli. Opuścił zamek przekonany, iż jeszcze raz natknął się na paskudny problem, który właściwie go nie dotyczy, ale tak się złożyło, że będzie musiał go rozwiązać. Przykra sytuacja, lecz niegroźna. Teraz stanął przed problemem, który

wyglądał bardzo poważnie i dotyczył wyłącznie jego oraz Angie. Musiał go rozwiązać z czysto osobistych pobudek: żeby uchronić Angie i siebie przed śmiercią - a może i czymś gorszym, czego w tej chwili nie mógł sobie wyobrazić. Nagle poczuł się tak, jakby otaczał go krąg wycelowanych w niego włóczni, nie pozostawiających żadnej drogi ucieczki.

- Przykro mi, Jim - rzekł Carolinus głosem, który tym razem zabrzmiał naprawdę bardzo łagodnie. - Ja za to odpowiadam i nie znalazłbyś się w tej sytuacji, gdybym to przewidział. Mogę, oczywiście, udać się osobiście do Son Won Phona i sprawdzić, czy nie zgodziłby się poprzestać na waszej niezwłocznej deportacji, którą zapewne wolałbyś od tego, co może przytrafić się tobie i Angie, pozbawionym magii w naszej rzeczywistości. Deportowani, przynajmniej znaleźlibyście się z powrotem w znanym sobie świecie, obojętnie jak okropnym, jednak znalazłbyście rządzące tam reguły i zasady postępowania. Nie widzę żadnego innego sposobu, w jaki mógłbyś poradzić sobie z tą sytuacją.

- Daj mu trochę czasu - zawarczał ochryple Aargh.

Jim i Carolinus spojrzeli na wilka. Położył się na boku, jakby ich rozmowa była zbyt nudna, aby jej słuchać na stojąco. Teraz ziewnął i kłapnął zębami na przelatującą muchę. Chybił, lecz najwyraźniej nie przejął się tym.

- Polowanie dające dobry posiłek wymaga cierpliwości, magu. Daj mu czas, a znajdzie odpowiedź, może taką, o jakiej ci się nawet nie śniło.

- Ma czas, a przynajmniej trochę - rzekł Carolinus. - Tyle uzyskałem. On i Angie mają czas do końca dwunastodniowych obchodów świąt Bożego Narodzenia. Jeśli, oczywiście, usłucha mojej rady i wykorzysta je, żeby przygotować się na to, co musi stać się z nim i Angie. Dlaczego sądzisz, że on znajdzie jakiś cudowny sposób wyjścia z tej sytuacji, wilku? Aargh ponownie ziewnął.

- Czuję to - rzeki, leniwie układając się w trawie. Tylne łapy wyciągnął w bok, a na przednich oparł łeb. Okazywał wyraźne znudzenie tematem.

Jednak Jim nagle odzyskał nadzieję. Niespodziewane poparcie Aargha było niezmiernie krzepiące. Pozwoliło mu dojść do siebie po szoku wywołanym tym, o czym mówił Carolinus. Nie myślał o deportacji, której Angie pragnęła od pewnego czasu i do której sam już zdążył się przekonać, lecz o ogromnym niebezpieczeństwie związanym z tym, że mogą nie zostać odesłani do dwudziestowiecznego świata i przydarzy im się coś znacznie gorszego. Z początku ta myśl sparaliżowała go. Teraz poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny.

- W rzeczy samej, mam pewien pomysł - powiedział. - To jeden z powodów, dla których chciałem z tobą porozmawiać, Carolinusie.

## Rozdział 14

Jim istotnie opuścił zamek, mając pomysł, który chciał przedyskutować z Carolinusem. Jednak był to pomysł na zażegnanie kłopotów w zamku, a nie tej nowej, nieoczekiwanej katastrofy.

Mimo to ożywiona niezwykle budującym, głębokim przekonaniem Aargha, że Jim poradzi sobie z zarzutami Son Won Phona, błysnęła mu nowa myśl. Może jeśli rozwiąże problem Mnrogara - armii trolli wokół zamku oraz waśni między Mnrogarem a earlem, nie mówiąc już o tajemniczym trollu przebranym za jednego z gości - w jakiś sposób pomoże mu to uporać się z Son Won Phonem? Carolinus wysłał Jima na ucztę, żeby ten wypatrywał niezwykle wydarzeń mogących być dziełem Ciemnych Mocy. Młody mag niezwykle skutecznie wyszukiwał dziwne zdarzenia - co do tego nie było wątpliwości. Wprawdzie nie miał pewności, które z nich wywołały Ciemne Moce, jednak spróbuje poradzić sobie ze wszystkimi, czy są one efektem ich działania, czy nie. Może dokonując tego, wzmocni swoją pozycję. Warto spróbować.

Jednym ze źródeł jego nadziei był fakt, że już wcześniej skutecznie wykorzystał swą dwudziestowieczną wiedzę i doświadczenie do rozwiązywania czternastowiecznych problemów. Może nie będzie trzeba zmuszać Son Won Phona do wycofania zarzutów, jeśli Jim po prostu zdoła wywrzeć odpowiednie wrażenie na Światowym Stowarzyszeniu Magów, tak aby zadowolilo się deportowaniem jego i Angie, która właśnie tego chciała. Jedynym prawdziwym zagrożeniem była nie ewentualna deportacja, lecz pozbawienie Jima magii. Nie mógłby wtedy obronić ich przed Ciemnymi Mocami,

- Dajmy na razie spokój mojej sytuacji - powiedział. - Chciałem z tobą omówić, Carolinusie, sposób zdemaskowania kryjącego się wśród gości trolla. Może gdybym zdołał tego dokonać, Mnrogar mógłby przegonić tego intruza, którego obecność prawdopodobnie zwabiła armię trolli otaczających teraz zamek.

Zwrócił się do Aargha.

- Co o tym sądzisz, Aarghu? - zapytał. - Jeżeli Mnrogar pokona rywala na jego terytorium, czy pozostałe trolle wrócą tam, skąd przyszły?

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - rzekł Aargh. - Jednak jeśli Mnrogar zwycięży, nie będą miały po co zostać, chyba że zechcą zginąć jeden po drugim w jego szponach.

- A jak oceniasz szanse Mnrogara, jeśli ten drugi troll nie zrezygnuje i rzuci mu wyzwanie? - zapytał Jim. - Domyślam się, że on nie jest nawet w połowie tak duży i silny jak troll z podziemi. Ani tak doświadczony, skoro Mnrogar twierdzi, że przeżył na zamku osiemnaście wieków lub więcej. A zatem, dlaczego jego rywal przypuszcza, że ma jakieś szanse na zwycięstwo?

- Mnrogar nie przegrałby dlatego, że jest zbyt słaby - odparł Aargh. - Troll nie starzeje się i nie słabnie z czasem, jak ty czy ja. Te stworzenia z wiekiem po prostu rosną, robią się większe, silniejsze i groźniejsze. Zapewne Mnrogar zdołał tak długo utrzymać swoje terytorium między innymi dlatego, że przez pierwsze sto pięćdziesiąt lat miał szczęście i nie musiał walczyć z do statecznie dużym trollem. Ponadto udało mu się, że nie zginął w jakimś wypadku. Trolle giną w wypadkach tak samo jak inne stworzenia. Ten urósł do takich rozmiarów, że żadnemu rywalowi nawet nie przysłoby do głowy, by rzucić mu wyzwanie,.

- A więc dlaczego ten jeden próbuje?

- Widocznie dostrzegł jakąś szansę - powiedział Aargh. - Nie wiem jaką. Jednak gdybyś mnie prosił, żebym zgadywał, może mógłbym coś powiedzieć.

- Proszę, żebyś zgadywał.

- A zatem może być tak - ciągnął wilk. - Chociaż ciało trolla nie słabnie z biegiem lat, mogą osłabnąć jego uczucia i wola. Trolle muszą żyć samotnie i może ta samotność doprowadza ich do tego, że dłużej nie chcą żyć - pamiętasz, jak podczas naszej rozmowy w podziemiach zamku powiedziałem mu, że na tym polega jego problem?

- Hmm - mruknął Carolinus.

- Zdarza się to wszystkim stworzeniom - warknął Aargh do maga. - Dlaczego nie trollowi? Może brak mu towarzystwa innych trolli. Na początku odpowiadało mu to. Trolle nie odchodzą od zmysłów w samotności, tak jak ludzie. Jednak może teraz przestał już dbać o to, co z nim będzie. Ten, który rzuca mu wyzwanie, być może liczy, że tak się stało.

Aargh znów zamilkł.

- A jeśli tak? Co wtedy? - zapytał Jim.

- No cóż, Mnrogar może nie pragnąć zwycięstwa dostatecznie mocno - rzekł Aargh. - Kiedy duch opuszcza człowieka, zwierzę, naturalnego, a nawet boga, ten przegrywa. Gdzie są teraz dawni bogowie, o których wszyscy opowiadają? Bez ducha każde stworzenie umiera. Śmierć, która przedtem nie mogła ich zabrać, obecnie robi to z łatwością. Troll, przekonany, że Mnrogar stracił ducha, może rzucić mu wyzwanie w nadziei na zwycięstwo. To jedyny powód, jaki mogę podać, dlaczego któryś z nich miałby ryzykować, wyzywając Mnrogara.

- Kiedy Brian i ja rozmawialiśmy pierwszego dnia z Mnrogarem - rzekł Jim do Carolinusa - w zamkowych lochach, wydał mi się niemal nienormalnie rozzłoszczony tym, że jakiś inny troll mógł jakoś dostać się do zamku. Zachował się tak, a nikt z nas nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało. Mnrogar nie podał żadnego wytłumaczenia, jak to możliwe, iż jest tam inny troll. Jednak kiedy odwołałem polecenie bezruchu, rzucił się na ziemię i walił o nią łbem jak dziecko, jakby nie potrafił znaleźć żadnego wyjścia z sytuacji.

- To tylko domysły, Jimie - wtrącił Carolinus. Teraz on spojrzał na Aargha. - Według ciebie, Mnrogar mógł się zestarzeć wewnątrz, tak?

- To jest możliwe, owszem - odrzekł wilk. - Żaden inny powód nie przychodzi mi do głowy. Tak tylko powiedziałem. Nie jestem takim wielkim myślicielem, jak wy dwaj. - Wyszczrzył zęby w ponurym uśmiechu. - Ja jestem jedynie prostodusznym, zwyczajnym angielskim wilkiem, który mówi, co wie, a wspomniałem o tym tylko dlatego, że to może pomóc Jimowi, - Wstał. - A teraz - powiedział - przenieś nas z powrotem do twojej chatki nad Dźwięczącą Wodą, Carolinusie. Nie wiem, jak wy, może chcecie przegadać następne trzy dni, ale ja mam wiele spraw do załatwienia.

- Zaczekaj! - powstrzymał go Jim. - Potrzebuję więcej informacji, Carolinusie.

Stojąc na wszystkich czterech łapach, Aargh wygiął grzbiet, unosząc głowę i nos niczym królowa Wiktoria wygłaszająca w dziewiętnastowiecznej Anglii swoje słynne stwierdzenie, że to jej nie bawi. Był to wilczy odpowiednik ludzkiego bębnienia palcami po stole ze znudzenia i zniechęcenia.

- Mówić, mówić - rzekł z obrzydzeniem. - Ludzie najbardziej lubią mówić. No cóż, dam wam jeszcze trochę czasu.

- Dziękuję - powiedział Jim. - To nie potrwa długo. - Odwrócił się do Carolinusa. - Myślałem o tym, że gdybym zdołał zaaranżować negocjacje między earlem a trollem w sprawie tego, kto ma prawo do zamku i terytorium, gdyby wzajemnie zrozumieli swoje racje, mogliby zacząć traktować się przyjaźniej. Przynajmniej na tyle, żeby earl zapewnił trollowi bezpieczne wyjście na górę, a znalazłszy się tam, Mnrogar mógłby z ukrycia obwąchać każdego z gości i wywęszyć trolla, którego obecność podejrzewa. Jeśli nic nie zwęszy, będzie to dowód, że nie miał racji i może się uspokoić.

Carolinus i Aargh zaczęli mówić jednocześnie.

- Kompletny nonsens! - rzekł Carolinus. - Earl nigdy...

- Nie znasz trolli! - powiedział Aargh, a Jim ujrzał, jak przy tym rozchyła pysk w bezgłośnym śmiechu.

- Myślcie, co chcecie - upierał się. - Jednak jeśli zdołam usadzić tych dwóch przy jednym stole - powiedzmy, gdzieś poza zamkiem - czy mogę liczyć na to, że wtedy obaj mi pomożecie?

- W jaki sposób? - zapytał Aargh.

- Nie chcę, żeby walczyli! Mogą mówić do siebie, co chcą, lecz nie chcę, żeby doszło do walki, ponieważ wtedy nie będzie już nadziei, że uda mi się doprowadzić do ponownego spotkania...

- Wtedy - wtrącił Aargh - miałbyś Mnrogara, ale nie earla.

- Właśnie - odparł Jim. - A może zostałby earl, nie Mnrogar. - Aargh prychnął z niedowierzaniem. - W każdym razie - ciągnął uparcie Jim - troll może posłuchać ciebie, Aarghu. Carolinusie, ty mógłbyś za pomocą magii nie dopuścić do tego, żeby wzięli się za łby i zrobili sobie krzywdę. Właśnie dlatego chcę skłonić ich do rozmów przy stole rozstawionym w lesie lub gdziekolwiek poza zamkiem i poza zasięgiem działania błogosławieństwa biskupa, żeby magia mogła działać.

- No cóż - rzekł w zadumie Carolinus. - Zaznaczam, że ani przez chwilę nie wierzę, aby udało ci się skłonić tych dwóch do zajęcia miejsc przy stole i... jakiego słowa użyłeś?

- Negocjacji - odparł Jim. - To pojęcie pochodzi od słowa „negocjować”. Oznacza spokojne omówienie spornych kwestii i znalezienie sposobu ich rozwiązania, tak że strony mogą później przyjaźnić się, a przynajmniej zgodnie żyć obok siebie. Ja będę przy tym w moim smoczym ciele, oczywiście, co powinno w pewnym stopniu powstrzymać ich obu, gdyż wątpię, aby nawet Mnrogar chciał walczyć ze smokiem.

- Nie on - rzekł Aargh. - Trolle to nie idioci. Nienawidzą smoków, ale jedną z przyczyn tej nienawiści jest to, że te stworzenia są zbyt duże, aby troll mógł je zabić. Prawdę mówiąc, one chyba boją się smoków, co nie oznacza, że osaczone nie będą walczyć.

- Negocjować... - powiedział Carolinus, obracając słowo na języku, jakby je smakował.

- Tak - rzeki Jim. - Tam, skąd przybyliśmy, często się tak robi.

W myślach błagał, żeby któryś z nich nie spytał go, jak często takie negocjacje kończą się sukcesem. Na szczęście żaden tego nie zrobił.

- No cóż - rzekł Carolinus - jeśli zdołasz nakłonić tych dwóch, żeby zasiedli przy jednym stole, i skoro uważasz, iż ten plan zadziała, ja mogę być przy tym i posłużyć się moją wiedzą maga klasy AAA+, by nie wyrządzili sobie krzywdy. My, magowie, mamy przecież prawo używać magii do obrony, a nie ataku.

- Ja pewnie też tam będę - powiedział Aargh. - A teraz, czy możemy już iść?

- Tak - rzeki Jim.

Carolinus podniósł palec, przy którym natychmiast pojawiła się maleńka wróżka.

- T. B.! - warknął Carolinus. - Tak szybko!

Wróżka zadzwieczała.

- Słuchaj, T. B. - rzekł mag. - Ty nie masz daru jasnowidzenia. Tylko ludzie go mają. Żadni naturalni, demony, zjawy, widma czy wróżki nie posiadają niczego takiego.

Wróżka znów cicho zadzwoniła.

- Przykro mi, moja droga - stwierdził Carolinus - ale musisz znać swoje możliwości dla twego własnego dobra.

Kolejny gniewny brzęk.

- Na pewno nie! - rzekł Carolinus, marszcząc brwi. - Mam poważne podejrzenia, że zjawiałaś się tak szybko, ponieważ podsłuchiwałaś.

Wróżka odpowiedziała dźwięczeniem, tym razem bardzo długim i gniewnym.

- No dobrze, cofam to - ustąpił Carolinus. - I tak jesteśmy ci bardzo wdzięczni, a ponieważ masz dobre serduszko, wiem, że nie weźmiesz mi za złe tych kilku nieopatrnych słów.

Zadowolony brzęk. I wszystko się zmieniło.

Nagle Jim znalazł się w jednym z kuchennych pomieszczeń Malencontri nieopodal wielkiej sieni. Już nie było przy nim Aargha i Carolinusa.

- Przecież musiała podsłuchiwać - powiedział do siebie, lecz dość głośno, - Inaczej skąd wiedziałyby, że chcemy wracać?

Tuż nad uchem usłyszał delikatne dzwonienie, które dziwnie przypominało chichot.

- Ona mówi, że masz rację - odezwał się za jego plecami cichy głosik Hoba Jeden.

Jim odwrócił się i ujrzał skrzata w kominku, na którym w tym momencie palił się słaby ogień. Jednak z węgla unosiły się smużki dymu i Hob przysiadł ze skrzyżowanymi nogami na jednej z nich.

- Cieszę się, że przybyłeś, milordzie - rzekł Hob. – On naprawdę zaczynał rozpaczać!

Przy tych ostatnich słowach spojrział Jimowi przez ramię, a kiedy ten odwrócił się, zobaczył Secoha siedzącego w przejściu do krótkiego korytarza łączącego kuchnię z salą. Secoh rzeczywiście wyglądał na zrozpaczonego. I na zmęczonego. Uszy mu oklapły i w ogóle jak na smoka sprawiał wrażenie wymizerowanego. Jim nie zauważyłby tego tak szybko, gdyby sam czasem nie był smokiem i dzięki temu nauczył się czegoś o smoczycich wyrazach pyska.

- Milordzie... - zaczął żałośnie Secoh i urwał, po prostu siedząc i gapiąc się bezradnie na Jima.

- O co chodzi? - zapytał Jim, czując wyrzuty sumienia i lekką obawę. - Przepraszam, że przybywam dopiero teraz, Secohu, ale nie wiedziałem, że to taka pilna sprawa. Przez ostatnie dwa dni byłem bardzo zajęty.

W obliczu dramatycznego zachowania Secoha to usprawiedliwienie wydawało się wyjątkowo kiepskie.

- Nic nie szkodzi, milordzie - rzekł Secoh, Jednak słowa te nie pasowały do jego zachowania sugerującego, że smokowi pozostało już tylko kilka chwil życia.

- Dobrze - zachęcił go Jim. - Mów więc.

- No cóż, milordzie - powiedział Secoh. - Przynoszę wiadomość od smoków z Cliffsides... a właściwie nie wiadomość. Po prostu, one chciały, żebym porozmawiał z tobą i wyjaśnił sytuację. Od pewnego czasu słyszymy o tym czasie... chcę powiedzieć o tym czasie teraz... czasie, który wy, jerzy, nazywacie Bożym Narodzeniem. Wiesz, że pięćset lat temu nie zwracaliśmy uwagi na takie rzeczy, ponieważ... no, pięćset lat temu było zupełnie inaczej. Po pierwsze my, błotne smoki, byliśmy tak duże i silne jak smoki z Cliffsides - o czym zapewne wiesz. Jednak mój prapra-prapradziadek miał ponoć powiedzieć: „Baczenie na twierdzę Loathly. Ona kiedyś nas zniszczy”.

Secoh trochę uspokoił się i zaczął mówić składniej.

- Najwidoczniej zapamiętano to, co powiedział, ponieważ, jak wiesz... no, nasz obecny stan... To bardzo trudno wytłumaczyć, milordzie, jednak to dla nas bardzo ważne. Naprawdę, bardzo ważne.



Jak powiedziała moja prapraprababka...

Secoh znów miał obłąd w oczach i zaczynał bełkotać. Ponadto zwalczał naturalną dla smoka chęć rozpoczęcia opowieści od zarania dziejów i opisywania wydarzeń, jakie miały miejsce na przestrzeni kilkuset lat, żeby dojść do tego, co się działo obecnie. W nagłym przyływie intuicji Jim zrozumiał, dlaczego siedzi przed nim Secoh, a nie jeden ze smoków z Cliffsida. Jak wszystkie błotne smoki, Secoh miał karłowate rozmiary w wyniku tego, co uczyniły stwory z twierdzy Loathly - dokładnie tak, jak prorokował prapraprapradziadek Secoha. Kiedy Jim spotkał go po raz pierwszy, Secoh był najcichszym i najspokojniejszym stworzeniem o smoczym ciele, jakie można sobie wyobrazić. Jednak tak było, zanim przyłączył się do Briana, walijskiego łuczniaka Dafydda i Smrgola, przodka smoka, którego ciało Jim wówczas zajmował. Smrgol był leciwym smokiem, inwalidą po wylewie, ale miał wiele odwagi i jego pomoc okazała się niezbędna do wygrania decydującej bitwy z Ciemnymi Mocami w twierdzy Loathly. Secoh nie miał ochoty włączać się do bitwy. Jednak Smrgol nie pozostawił mu wielkiego wyboru. I w ten sposób Secoh walczył jak bohater i przyczynił się do zwycięstwa. Od tej pory jego charakter uległ metamorfozie. Przestał być cichy i spokojny. Włóczył się, wyzywając i prowokując każdego napotkanego smoka, obojętnie jak dużego. Całkowicie się zmienił. Teraz był przekonany o własnej odwadze i uważał, że po prostu nie może przegrać. Większy smok mógł być na tyle silny, żeby rozszarpać go na strzępy, jednak śmierć w wyniku wyzwania rzuconego tak potężnemu przeciwnikowi byłaby zaszczytem. Z drugiej strony, większe smoki ustawicznie uchylały się od podjęcia wyzwania. Z ich punktu widzenia, w takiej walce nie mogły zwyciężyć. Nawet gdyby zdołały pobić Secoha lub zabić go na miejscu, pokonałyby przeciwnika o wiele mniejszego i słabszego od siebie. Ponadto taki berseker\*, jakim okazał się Secoh, na pewno mocno pokaleczyłby rywala, zanim ten pokonałby go lub zabił.

Krótko mówiąc, to Secoh, a nie jakiś inny smok, był tutaj, by coś powiedzieć Jimowi, ponieważ reszta nie miała na to odwagi. Przedziwna sytuacja.

- ...oczywiście one wiedzą, że zaszczytasz mnie przyjaźnią, milordzie - mamrotał Secoh - więc pomyślały, że lepiej, gdy ja z tobą porozmawiam. Jak to rzekł niegdyś mój prapradziad: „Jeśli nie weźmiesz udziału w polowaniu, zapewne nie dostaniesz zad...”

- A więc żądają czegoś ode mnie, tak? - przerwał mu Jim.

- Och nie, milordzie. Nie żądają. Absolutnie nie żądają. Proszą! Przynoszę prośbę od smoków z Cliffsida. Prośbę o poparcie, o pozwolenie... o pomoc.

Zdumiony tym, że smoki z Cliffsida chcą od niego jakiejś pomocy, szczególnie o tej porze roku, kiedy powinny spokojnie siedzieć w swoich ciepłych jaskiniach, spijać zapasy wina, opowiadać sobie długie historie i po prostu czekać na nadejście wiosny, Jim próbował dotrzeć do sedna sprawy.

- Czego właściwie chcą? - zapytał.

- Milordzie... - Secoh spojrzał nań udręczonym spojrzeniem. - One chcą... my wszyscy chcemy... wziąć udział w świętach Bożego Narodzenia.

Jim wytrzeszczył oczy,

- Naprawdę? - wykrztusił.

- I pomyśleliśmy - dokończył Secoh z agonialnym niemal westchnieniem - że ty możesz to załatwić.

## Rozdział 15

Po trochu Jim wyciągnął istotne informacje z powodzi szczegółów dotyczących przodków Secoha, historii smoków zamieszkujących błota i urwiska oraz fragmentarycznej relacji o stosunkach między smokami a jerzymi, jak smoki nazywały wszystkich ludzi. Niegdyś smoki polowały na jerzych tak samo, jak na wszystkie inne zwierzęta, jednak z czasem przekonały się, że nie jest to łatwa zdobycz. Powoli stawała się coraz trudniejsza, a wręcz niebezpieczną w ciągu ostatnich kilkuset lat, kiedy jerzy zaczęli używać zbroi oraz broni - szczególnie kusz, łuków i strzał. Wreszcie Jim zaczął wyławiać sens przesłania, jakie przyniósł mu Secoh - W ciągu ostatnich wieków smoki stopniowo przesiały polować na ludzi i zaczęły ich unikać, jeśli tylko mogły. Jednak dopiero po bitwie pod twierdzą Loathly zaczęły się naprawdę interesować ludźmi. Batalia, w czasie której ich krewni walczyli ramię w ramię z jerzymi, obudziła ciekawość smoków. Od tej pory zaczęły się sporadyczne, pokojowe kontakty smoków i

*\* berseker (berserk) - w sagach nordyckich wojownik, mający opinię niezwyciężonego, walczący z siłą i dzikością niedźwiedzia; także mężczyzna mogący rzekomo przeobrazić się w niedźwiedzia (przyp. red.).*

jerzych. Prawdę mówiąc, zachęcał do nich Secoh, który wracał i opowiadał o przygodach, jakie przeżył w towarzystwie Jima, Briana i innych.

W rezultacie niektóre legendy znane wśród ludzi stały się popularne również wśród smoków. Te legendy, oczywiście, zazwyczaj były przekazywane przez drwali, samotnych oraczy i tym podobnych prostych ludzi, których można napotkać z dala od innych jerzych lub w miejscach, gdzie niełatwo zastawić pułapkę na lekkomyślnego smoka, który zechce sobie pogawędzić. Te kontakty były usprawiedliwione stwierdzeniem, które Smrgol często powtarzał za życia, że smoki i jerzy powinni lepiej się poznać. Tak samo jak ludzie, smoki z Cliffside miały skłonność zwracać większą uwagę na te mądre słowa po śmierci ich autora, a nie wtedy, kiedy żył. Wygłaszając taką opinię za życia, Smrgol tylko wywoływał sprzeczki. Gdy umarł, inne smoki zaczęły rozważać to stwierdzenie i w końcu powoli przekonały się do niego.

To im się opłaciło. Smoki uwielbiały opowieści. Ciekawe historie ceniono tylko trochę mniej niż wino, a to z kolei na liście smoczycy wartości zajmowało drugie miejsce po skarbach. Co więcej, najbardziej lubiły historie o cudach i innych niezwykłych lub gwałtownych wydarzeniach - te nadzwyczaj przypadają im do gustu. Ponadto najlepsze z nich zazwyczaj miały swe źródło w licznych biblijnych przekazach. Niektóre były autentyczne, a inne wymyślone przez nieznaną autorów podszywających się pod powszechnie znanych świętych lub proroków.

Ten obszar dziejów nie był kompletnie obcy smokom. Od kilkuset lat znały opowieść o świętym Jerzym i smoku. Zadziwiające, lecz po pierwszych pięćdziesięciu czy osiemdziesięciu latach żywienia urazy do ludzi, że to smok jest postacią negatywną tego opowiadania, a - co gorsza - przegrywa starcie, legenda stała się atrakcyjną historią, zazwyczaj otwierającą przyjemną dyskusję

tym, w jaki sposób smok powinien walczyć ze świętym Jerzym, żeby go pokonać. Niemal każdy żyjący smok miał swoją teorię na temat własnej walki ze świętym Jerzym i wygranej. A efektem tej opowieści było między innymi to, że smoki zaczęły nazywać wszystkich ludzi „jerymami”. W każdym razie apetyt smoków na ludzkie legendy i cudowne wydarzenia rósł coraz bardziej. W końcu dotarła do nich opowieść, którą Jim zdołał rozpoznać w mocno zniekształconej relacji Secoha. Ta historia mogła wywodzić się jedynie z apokryfów Nowego Testamentu, z dzieła nieznanego autora, określanego w świecie i czasie Jima mianem Pseudo-Mateusza.

Tę legendę smoki z Cliffside w jakiś sposób powiązały z chrześcijańskimi świętami Bożego Narodzenia, co poruszało najwrażliwsze struny smoczej duszy. Krótko mówiąc, historia owa, którą Jim czytał w Złotym Skarbcu Palgrave'a, mówiła o tym, jak Święta Rodzina uciekała do Egiptu, uchodząc przed rzezią niewiniątek, wszystkich żydowskich dzieci poniżej pięciu lat - nakazaną przez Heroda, ówczesnego króla Izraela, kiedy usłyszał, iż jedno z nich jest dzieckiem bożym, które straci go z tronu. Królewska logika podpowiedziała Herodowi, że może z pewnością wykluczyć taką ewentualność, zabijając wszystkie dzieci, które urodziły się w określonym przedziale czasu.

Józef, Maria i mały Chrystus, uciekając przed Herodem do Egiptu - w historii, którą Jim czytał, a Secoh słyszał - byli eskortowani przez straż złożoną z wszystkich gatunków zwierząt: lwa, osła, wilka i owcę, czyli drapieżców i ich ofiary kroczące razem, ramię w ramię, w idealnej zgodzie jako gwardia honorowa zbiegów. Wtedy, według Pseudo-Mateusza, Święta Rodzina rozbiła obóz na noc w jakiejś skalistej krainie, w pobliżu urwiska z jaskinią, a może po prostu sterty głazów. Jim niezbyt dokładnie pamiętał szczegóły... Jednak kiedy wstali rankiem, o pierwszym brzasku, z urwiska czy tego stosu kamieni niespodziewanie przyleciały smoki, stworzenia zbyt duże i silne, aby zwierzęta zdołały obronić przed nimi Świętą Rodzinę. Józef przestraszył się ich. Jednak mały Chrystus, który zdaniem Jima powinien być jeszcze niemowlęciem, pocieszył ojca.

- Nie obawiaj się - rzekł do Józefa. - To dobre stworzenia, wypełniają tylko przepowiednię proroka Dawida: „Chwalcie Pana na ziemi, smoki i bestie”. Niechaj podejdą bliżej. - I wyciągnął rękę ku smokom, zachęcając je, by zbliżyły się i zostały pobłogosławione.

Taką wersję legendy pamiętał Jim. Minęło zaledwie sześć lat, od kiedy czytał ją w Złotym Skarbcu Palgrave, przygotowując swoją pracę magisterską, lecz od tego czasu wiele się zdarzyło, szczególnie przez ostatnie trzy lata które spędził w tym świecie.

Secoh dość dokładnie powtórzył tę historię, jednak nie całkiem. Jego wersja stanowiła cudowną mieszankę teraźniejszości z przeszłością.

Mimo to Jimowi nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie słuchać. Secoh tryskał potokiem słów jak butelka musującego wina. W końcu problemem stało się zmuszenie go do milczenia, aby nie gadał w nieskończoność.

- ...i wiesz, powiadają, że tak się stało? - mówił właśnie Secoh. Tak według niego, jak i każdego innego smoka, pojęcia „opowieść” i „historia” to jedno i to samo. - „Chwalcie Pana na Ziemi, smoki i bestie. Niechaj podejdą bliżej”.

- Tak - potwierdził Jim,

- No, ty to rozumiesz! - ucieszył się Secoh. - Jesteś smokiem jak my, nawet jeśli przez pewien czas bywasz jerzym. Dobrze wiesz, jakie jesteśmy my, smoki. Problem z jerymi polega na tym, że uważają nas za jakieś potwory, niczym nie różniące się od zwierząt. Tymczasem tak nie jest. One są tylko zwierzętami. My jesteśmy smokami!

W końcu dotarli do sedna sprawy. I Jim zrozumiał.

Kiedy po raz pierwszy przybył tutaj i znalazł się w swym smoczym ciele, mimo iż praktycznie był wtedy smokiem, nie pojąłby tego. Jednak teraz - tak. Zaczął to rozumieć, gdy niedołączny Smrgol, bardziej siłą woli niż dzięki czemukolwiek innemu, dosłownie zmusił Secoha do wzięcia udziału w bitwie pod twierdzą Loathly. Smrgol opowiedział o tym Brianowi, Jimowi oraz Dafyddowi, informując ich swym wstrząsającym basem:

- ...pozwalając jierzemu iść tam, gdzie on sam nie miał odwagi! Chłopcze - powiedziałem mu - nie gadaj mi bzdur, że jesteś tylko błotnym smokiem. Błoto nie ma nic wspólnego z tym, co z ciebie za smok. Jak wyglądałby ten świat, gdyby wszyscy zaczęli tak mówić?

I Smrgol usiłował udać kogoś mówiącego piskliwym głosikiem, ale udało mu się tylko podnieść głos do tenoru.

- „Och, ja jestem tylko wiejskim smokiem. Musicie mi wybaczyć... Jestem smokiem spod wzgórza...” Chłopcze! - powiedziałem mu - jesteś SMOKIEM! Zapamiętaj to sobie raz na zawsze! A smok POSTĘPUJE jak smok - albo wcale!

A jakiś czas później, kiedy Brian i Jim byli z tajną misją we Francji, Secoh pojawił się niespodziewanie w środku nocy w gospodzie, w której zatrzymał się młody mag. Aby mieszkańcy gospody - nie mówiąc już o mieszkańcach miasta - nie odkryli, że ma w swojej kwaterze smoka, Jim ze względów bezpieczeństwa zamienił Secoha w człowieka. Secohowi podobał się ten pomysł, dopóki naprawdę nie został przemieniony. Wtedy tylko raz spojrzął na swoje chude ludzkie ciało - nagie oczywiście, ponieważ smoki nie noszą odzieży - i przeraził się.

- O nie! - zawołał.

Jim z czasem zrozumiał, iż smoki wcale nie uważały się za stworzenia gorsze od ludzi, lecz po prostu inne. Najczęściej nawet nie brały pod uwagę takiej ewentualności, że jerzy mogą je klasyfikować jako jeszcze jeden gatunek zwierząt. Taki pomysł był dla nich szokujący. Według nich na najwyższym szczeblu w hierarchii tego świata stały smoki, tuż pod nimi jerzy, a pod jerymi wszystkie inne zwierzęta. Ich oburzenie i gniew na każdego jierzego, który traktował je tylko jak duże zwierzęta - może trochę demoniczne, lecz zaledwie zwierzęta - płoną od czasu historycznego pojedynku smoka ze świętym Jerzym,

Dlatego teraz Jim wiedział, co tak ekscytowało smoki z Cliffside i dlaczego Secohowi tak zależało na tym, aby dotrzeć do niego i przekazać tę opowieść oraz błagać o zrozumienie i pomoc,

- Wy „smoki i bestie” - powtórzył Secoh. - Widzisz, milordzie? Sam wasz Jezus Chrystus to powiedział. A ponieważ przybył z Londynu z waszym przyjacielem sir Johnem...

Jim zamrugał oczami. Sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że smoki mogą wziąć goszczącego u earla młodego księcia Edwarda za Chrystusa. Najwidoczniej Secoh i pozostali byli przekonani, że narodziny Chrystusa mają miejsce podczas tych świąt lub też w cudowny sposób powtarzają się w każde Boże Narodzenie, a ponadto, iż ten epizod ze zwierzętami, smokami i całą resztą miał wydarzyć się w każdej chwili podczas pozostałych dni świąt.

- A więc, jeśli nie masz nic przeciwko temu - Secoh dotarł wreszcie do sedna sprawy - chcielibyśmy, ja i inne smoki, uzyskać twoje pozwolenie na zjawienie się w tym zamku, w którym obecnie przebywasz, abyśmy we właściwym czasie mogli oddać cześć Dzieciątku Jezus i otrzymać jego błogosławieństwo. Wiesz, milordzie, tak głosi legenda. On nas pobłogosławi. Co to oznacza, milordzie? Mam na myśli błogosławienie.

- To jakby otrzymać niewidzialny dar - odparł Jim, pospiesznie improwizując, - Nie możesz tego widzieć, wyczuć ani wywęszyć, lecz czyni cię to szczęśliwszym i oznacza, że od tej pory będziesz lepszym smokiem.

Secoh zrobił okrągłe oczy z podniecenia.

- O ile większym? - zapytał.

- Lepszym - rzekł Jim - nie większym. Będziesz później lepszym i dzielniejszym smokiem.

- Już jestem dość dzielnym.

- No cóż - powiedział Jim - zdziwiłbyś się. Nie ma ograniczeń co do tego, jak bardzo możesz być odważny. Wszyscy będą zaskoczeni, o ile stałeś się dzielniejszy. Zaczekaj, a sam zobaczysz. Może w rezultacie o tobie również powstanie opowieść?

Secoh rozpromienił się.

To jedna z najlepszych smoczych cech, pomyślał Jim. W mgnieniu oka potrafią zapomnieć o kłopotach i być szczęśliwe. A teraz główny problem.

- Natomiast co do waszego udziału w obchodach świąt Bożego Narodzenia - zaczął - to sprawa jest bardziej skomplikowana, niż jestem w stanie ci wyjaśnić. Jeszcze nie wiem, jak tego dokonać. Jednak, jak wiesz, mamy dwanaście dni świąt, a dotychczas minął tylko jeden, więc pozostało jeszcze jedenaście, a to, o czym mówiłeś, zapewne nie zdarzy się wcześniej niż ostatniego dnia. Zatem mamy jedenaście dni.

- Och - rzekł Secoh.

- Właśnie - odparł Jim. - Wróc i przekaz smokom z Cliffsides, że zrobię, co w mojej mocy, żebyście wszyscy wzięli udział w świątecznych uroczystościach. Jest niewielkie ryzyko, że może mi się to nie udać, ale zamierzam naprawdę się postarać, a - jak sądzę - dobrze wiecie, że kiedy naprawdę się staram, zazwyczaj dopinam swego.

- Och, tak! - potwierdził Secoh. - Nigdy nie martwimy się, jeśli wiemy, że coś robisz, ponieważ zawsze ci się to udaje.

- No, myślę, że... - zaczął Jim z nagłym poczuciem winy.

Obejrzał się przez ramię, żeby upewnić się, iż Hob nadal siedzi na swojej smużce dymu.

- A teraz - powiedział Jim - lepiej niech Hob Jeden najszybciej jak to możliwe zanieśnie mnie z powrotem do zamku earla, żebym mógł się tym zająć.

- Dziękuję, milordzie! - zawołał Secoh. - Nie wiem, jak wyrazić naszą wdzięczność. Żaden ze smoków z Cliffsides nie ma pojęcia, jak ci podziękować. Oczywiście, zrobimy co w naszej mocy.

- To ładnie z waszej strony - rzekł Jim, czując jeszcze większe wyrzuty sumienia. - No cóż, a więc na razie do widzenia! Mam nadzieję zobaczyć cię w niedalekiej przyszłości.

- Na pewno! - odparł z przekonaniem Secoh.

Rzecz w tym, rozmyślał Jim, kiedy drogą przez komin Hob Jeden przeniósł go z powrotem do jego kwatery u earla, że nie tylko jeden czy dwa smoki zechcą odwiedzić earla z Secohem i wziąć udział w tym legendarnym wydarzeniu, którego Jim na razie nie potrafił zaaranżować. Jeśli zechce przyjść jeden, zechcą przyjść wszystkie smoki z Cliffsides. A wśród gości zebranych w zamku na pewno był niejeden rycerz, któremu ślinka ciekła z ust na myśl o walce ze smokiem. Krótko mówiąc, jeśli Jim zdoła spełnić życzenie smoków, cała sprawa niemal w stu procentach zakończy się atakiem rycerzy na niczego nie podejrzewające smoki i ogólną bijatyką, która na pewno przejdzie do historii.

Coś takiego zniweczy co najmniej na trzysta lat wszelkie nadzieje na przyjaźń między ludźmi i smokami.

Jednak w tym momencie Jim nagle stwierdził, że stoi przed kominkiem w pierwszej z ich dwóch komnat, a Angie właśnie wychodzi z drugiego pokoju. Podskoczyła i krzyknęła cicho.

- Mogłabyś tak nie podskakiwać za każdym razem, kiedy wracam do domu - rzeki Jim z urazą. - Robię to już od kilku lat i...

- To nie ma nic do rzeczy! - powiedziała ze złością Angie. - Przecież wiesz, że nie mogę oczekiwać cię w każdej chwili. A jeśli nie spodziewam się ciebie, to jak mam nie być wystraszona, gdy się zjawiasz?

Z taką logiką nie można się spierać. Jednak, pomyślał Jim, w dyskusjach z Angie nigdy nie dopisuje mi szczęście,

- Pewnie masz rację - powiedział.

- Możesz się o to założyć! - rzuciła Angie. Miała taką minę, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć jak bomba. Mimo to jakoś z trudem się opanowała i uśmiechnęła do Jima.

- Dobrze mieć cię z powrotem - oznajmiła, podchodząc do niego,

Pocałowali się.

- Ach... - szepnęła, otwierając oczy i odsuwając się od niego. Posadziła go na krześle i usiadła na drugim, naprzeciw niego. - Jim, musisz zrobić coś z tą Agathą!

- Ja!? - zdziwił się. - Dlaczego?

- Była tu już dwa razy - odparła Angie. - Nie lubię jej!

- Naturalnie, to oczywiste - rzekł Jim. - Chciałem powiedzieć... dlaczego jej nie lubisz?

- Przyszła zobaczyć małego Ro-ber-ta! - odparła Angie fałszywym, słodkim jak syrop głosem, składając ręce w małydrzyk. Przymknęła oczy, udając przesadną anielską cierpliwość. - Ponieważ on jest teraz jej jedynym żyjącym krewnym! Teraz, kiedy jej biedny brat nie żyje! Jakbym nie wiedziała, że on był tylko jej przybranym bratem i przez ostatnie dziesięć lat nie zamienili ze sobą ani słowa!

- Skąd o tym wiesz? - spytał z zaciekawieniem Jim. - O tym, że nie rozmawiali ze sobą od dziesięciu lat?

- Och, wszyscy o tym wiedzą - odparła Angie. - Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że nie zwiódła mnie. Nie interesuje jej Robert, lecz jego majątek. Ona chce uzyskać opiekę nad małym i wpadała tutaj w nadziei znalezienia czegoś, co mogłaby wykorzystać jako argument w tym celu. Na szczęście nic nie znalazła.

- Jesteś pewna? - zapytał Jim.

Angie znów przybrała normalny wyraz twarzy, usiadła prosto i przeszła Jima spojrzeniem.

- Czy jestem pewna czego?

- No, obu tych rzeczy - powiedział Jim. - Po pierwsze, że ją interesuje wyłącznie majątek, a po drugie, że szukała tu czegoś, co dowodziłoby, iż nie troszczysz się należycie o Roberta, więc to ona powinna sprawować nad nim opiekę.

- Oczywiście, że jestem pewna - powiedziała Angie. - To nie jest dwudziesty wiek, Jimie.

- Wiem o tym - odparł z urazą Jim.

- Ona nic nie wie o tym dziecku. Nie wiedziała o jego istnieniu, dopóki nie usłyszała, że jej brat zmierza tutaj ze swoją nową żoną i synkiem. A więc jak może udawać, że darzy Roberta jakimkolwiek uczuciem, nie mówiąc o miłości? Zważywszy, że ona jest całkowicie wyzuta z wszelkich uczuć? Mówię ci, że dobrze poznałam tę kobietę. Przejrzałam ją w mgnieniu oka. A nawet gdybym tego nie zrobiła, ten fakt jest publiczną tajemnicą. Ona jest ambitna. Przez wszystkie te lata otrzymywała pensjkę od brata. Jednak ambicja wymaga pieniędzy - a raczej to pieniądze napędzają takie ambicje, jak chęć zostania królową Anglii, Zarządzanie dobrami Roberta do czasu, aż osiągnie

on wiek męski, może przynieść duże pieniądze, a ona zagarnęłaby je bez żadnych skrupułów. Ponieważ później, kiedy powiodłoby się jej, nikt nie ośmieliłby upomnieć się o nie. A zapewne Agathy nie rozliczono by, nawet gdyby jej się nie udało, gdyż tak postępuje większość ludzi sprawujących opiekę nad takimi sierotami, jak Robert.

- Niewątpliwie masz rację - rzekł Jim. - Jednak co z tą drugą sprawą? Zastanawiałem się, dlaczego jesteś taka pewna, że nie znalazła tu żadnego pretekstu, który mogłaby wykorzystać jako argument na rzecz uzyskania opieki nad dzieckiem.

- Ach, to? - zdziwiła się Angie. - Oczywiście, spodziewałam się jej. Postarałam się stworzyć modelowy obraz, zgodny ze standardami czternastego wieku. Nawet kazałam go włożyć do becika, nieboraka. Tylko to mnie niepokoiło. Mogła gdzieś usłyszeć, że wyjmuję go z becika oraz wkładam do kołyski - i zrobić z tego aferę. Jednak nie mogłam znieść myśli, że mógł być zawinięty przez cały czas na wypadek, gdyby miała wpaść. Nasz zbrojny przed drzwiami dostał rozkaz zatrzymania jej przez chwilę, a w końcu oznajmienia, że musi zapytać, czy wolno mu ją wpuścić do środka. To jej się nie spodobało, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Pewnie nie - zgodził się Jim.

- Na pewno - ciągnęła Angie. - To tylko dowodzi, jak dobrze opiekujemy się Robertem. Zawsze później przepraszałam ją. Ona oczywiście przejrzała ten podstęp, lecz była bezsilna. W każdym razie w ten sposób miałyśmy z piastunką dość czasu, żeby wyjąć Roberta z kołyski i ukryć ją, a jego znów zawinąć w becik. Za każdym razem, gdy tu była, widziała go zawiniętego zgodnie z tradycją.

- Doskonale! - pochwalił ją Jim. - To powinno zamknąć jej usta.

- Do tej pory skutkowało. Jednak nie wiadomo, co jeszcze może wymyślić. Rozmawiałam z Geronde, ale niewiele mi pomogła.

- Nie?

- No, znasz Geronde. A przynajmniej powinieneś już ją znać. To moja najlepsza przyjaciółka, ale jej pomysły czasem jeżą mi włosy na głowie. Zaproponowała, żebyśmy wynajęli paru banitów lub innych takich łotrzyków - ludzi gotowych zrobić wszystko, których nikt nie będzie opłakiwał - i kazali im napaść na orszak Agathy, kiedy opuści zamek. Ona ma dwudziestu zbrojnych eskorty, więc nie byłoby łatwo zabić ich wszystkich - ale Geronde powiedziała, że to nie byłoby konieczne. Atak miałby na celu przede wszystkim zabicie Agathy. Potem Geronde wymyśliła sposób zatarcia śladów tego spisku. Ukrylibyśmy w lasach oddział, który wychwytałby zbójców i pozabijał, żeby już nikomu nie mogli wyznać, kto ich wynajął. Wyglądałoby na to, że ponownie przybyłeś z pomocą, trochę za późno, tak samo jak w przypadku jej brata.

- Nie mógłbym tego zrobić! - rzeki Jim.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Angie. - Jednak to cała Geronde. Tak więc wszystko zależy od ciebie, Jim. Z twoimi magicznymi umiejętnościami i w ogóle na pewno wymyślisz jakiś sposób,



aby Agacie nie powierzono opieki nad małym Robertem. A kiedy ona pojmie, że nie ma na to szans, przestanie go niepokoić i mały będzie bezpieczny.

Jim uśmiechnął się w duchu. Jak zwykle powierzono mu zadanie niewykonalne i tym razem robiła to żona, podczas gdy zazwyczaj zawdzięczał taki fakt Carolinusowi lub zbiegowi okoliczności. Jednak tym razem miał asa w rękawie. Angie będzie zdziwiona.

- Och, myślę, że chyba nie musimy się tym przejmować - oznajmił. - I tak ktoś inny będzie musiał zająć się tą sprawą.

Właśnie wymyśliłem sposób, w jaki wszyscy magowie tego świata odeślą nas z powrotem w dwudziesty wiek. Już niedługo znajdziemy się tam. Jak ci się to podoba?

Angie wytrzeszczyła oczy i nagle zbladła jak chusta. Spoglądała tak, aż Jimowi zrobiło się nieswojo. W końcu odzyskała głos.

- Przecież nie możemy teraz odejść - powiedziała. - Nie przez najbliższe osiemnaście czy dwadzieścia lat!

## Rozdział 16

Cały średniowieczny świat, a także otaczający go wszechświat, jak wydawało się Jimowi, zakołysał się mu pod nogami.

- Osiemnaście do dwu... - powtórzył oszołomiony.

- No, może tylko osiem lub sześć. Musimy postarać się o to, żebyś został opiekunem Roberta i wychować go, aż będzie na tyle duży, by oddać go ludziom należącym do tych czasów. Nazwij to niedaleką przyszłością. Oczywiście, moglibyśmy go zabrać do naszego dwudziestego wieku...

Jim nie był pewny, czy pozwolono by im na to. Chyba raczej nie. Jednak Angie mówiła dalej.

- Jednak nie. Teraz nie możemy wrócić do dwudziestego wieku - oznajmiła. - To niemożliwe.

- Niemożliwe - powtórzył jak echo Jim.

Angie wstała z krzesła i podeszła do niego, siadając mu na kolanach i obejmując ramionami.

- Tak bardzo chciałeś wracać, Jim? - spytała, tuląc się do niego. - Nie sądziłam, że to tyle dla ciebie oznacza. Wydawało mi się, iż bardzo ci się tu podoba i myślisz o powrocie do domu tylko ze względu na mnie.

- No cóż - wymamrotał Jim, zbyt oszołomiony, żeby wyznać prawdę.

- To cudownie z twojej strony - orzekła Angie. - To jedna z tych rzeczy, jakie wciąż robisz i powinnam przewidzieć, że zrobisz to i teraz. Jednak rozumiesz, że musimy przynajmniej poczekać, aż wyznaczą nas na opiekunów, a jeśli nimi zostaniemy, to do czasu, kiedy Robert zacznie dorosłe życie.

Chyba byłoby nie w porządku, gdyby takiego bogatego panicza wychowywać w dwudziestym wieku jako dziecko dwojga żyjących na skraju nędzy naukowców.

- Zapewne masz rację - przyznał niechętnie Jim.

Jednak Angie mówiła dalej.

- Sam wiesz, jaka jest w tym okresie historycznym umieralność niemowląt i małych dzieci - ciągnęła. - Czyha na nie tyle niebezpieczeństw, zanim dorosną! A Robert to taka kruszynka. Gdybyś trzymał go w ramionach tak jak ja, wiedziałbyś, że nie możemy tak po prostu zostawić go samego na tym okrutnym świecie. Skazany byłby na samego siebie, by dorosnąć lub umrzeć. Są tu tacy ludzie, jak Agatha, którzy chętnie pozbyliby się go na zawsze. Ponadto są rozmaite niebezpieczeństwa i wszystkie te choroby dziecięce, o których ty i ja wiemy o wiele więcej niż ktokolwiek tutaj, a poza tym otaczający go ludzie wydają się bardzo nieostrożni. A może nawet niedbali, jak słudzy mający się nim zajmować - na przykład jego niania. Nawet gdyby niania go kochała, tak jak ta dziewczyna, którą mamy teraz, jej ignorancja mogłaby spowodować, że Robert nie dożyłby męskiego wieku. Rozumiesz, Jim?

- Tak - rzekł Jim. - Rozumiem.

- Nie mów tego w ten sposób - przymilała się Angie. - My też będziemy z tego zadowoleni, przecież wiesz. Miło będzie patrzeć przez te lata, jak chłopczyk dorasta. Chcę powiedzieć, że nie możemy od niego odejść. A jeśli go nie opuścimy, musimy zostać z nim, aż będzie miał szansę przeżyć samodzielnie. Nie uważasz?

- Pewnie tak - odparł Jim.

Istotnie, nie mógł się nie zgodzić. Po pierwsze, wiedział, że obojętnie, co sądzi w tej chwili, w końcu zrobi to, czego chciała Angie - po prostu pragnie, żeby była szczęśliwa. Po drugie, chociaż w zasadzie nie przepadał za dziećmi i miał niewielki kontakt z tym niemowlęciem w sąsiednim pokoju, wszystko to, co mówiła Angie, było prawdą. Jak na małe dziecko, Robert był bardzo grzeczny. Na przykład zdumiewająco rzadko płakał, a jeśli nawet, to szybko przestawał, kiedy zaspokojono jego podstawowe potrzeby.

Ponadto Angie miała rację. Sytuacja Roberta była, delikatnie rzecz ujmując, bardzo niepewna. W każdym razie Jim nie zgodziłby się opuścić go, zanim król nie wyznaczy dziecku jakiegoś godnego zaufania opiekuna.

Jim zastanawiał się, czy powiedzieć Angie, że jeśli tu zostaną, może zostać pozbawiony swych magicznych umiejętności, a wówczas wszyscy, nie tylko Robert, staną się właściwie bezbronni. O ile zdążył się zorientować, mógł nawet stracić umiejętność zmieniania się w smoka - chociaż o to powinien zapytać Carolinusa. Możliwe, że ta zdolność była czymś, do czego miał prawo niezależnie. Zmieniał się w smoka, zanim jeszcze został uczniem Carolinusa, tak więc - być może - później też będzie mógł. Byłby to pewien atut, choć jedyny, jaki zostałby im w ręku.

Jednak postanowił o tym nie wspominać. Krótko mówiąc, sytuacja wyglądała tak, że teraz

musiał powstrzymać Son Won Phona i resztę popierających go magów. Musiał być na to jakiś sposób. Jim powinien go znaleźć i nie było sensu niepokoić Angie, która nic nie mogła na to poradzić. Tylko on mógł to uczynić, a ponieważ i tak musiał działać sam, równie dobrze mógł zatrzymać tę wiadomość dla siebie i nie denerwować żony.

- Masz rację, Angie - rzekł. - Musimy zostać, przynajmniej przez jakiś czas. Nie bardzo wyobrażam sobie, co będzie potem, ale może później wszystko się wyklaruje. Mamy tyle problemów...

- Och, kochanie - powiedziała Angie, ściskając go. - Wiedziałam, że zrozumiesz. Słuchaj! Pamiętasz, obiecałam, że pomyślę, jak rozwiązać problem trolla z podziemi i tego drugiego, który według niego jest tu, na górze.

- Co? Ach, tak. Racja, mówiłaś.

- No, wymyśliłam coś! - Angie triumfalnie wyprostowała się na jego kolanach. - Chcesz usłyszeć?

- Oczywiście! - odparł Jim z całym entuzjazmem, jaki zdołał z siebie wykrzesać.

- Spodoba ci się! - zawołała Angie. Jim dostrzegł z lekkim zdziwieniem, że jej oczy naprawdę sypały skry. - Słyszałeś o tej inscenizacji bitwy morskiej pod Sluys, którą stoczył ojciec księcia z francuską flotą? Nie dokończyłeś obiadu, więc nie zdążyłeś jej zobaczyć. Jednak pamiętasz, że była w programie?

- Pamiętam.

- No cóż - powiedziała Angie - to był najbardziej prymitywny, chałowaty i źle zagrany spektakl, jaki kiedykolwiek widziałam. Odegrali go tuż przed głównym stołem, stojąc przodem do siedzących przy nim honorowych gości, a tyłem do reszty. Jednak ci najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu.

Przerwała, żeby nabrać tchu.

- Poustawiali skrzynki czy jakieś inne pudła, żeby mógł na nich stanąć aktor grający króla Edwarda. To miał być mostek jego statku, wiodącego do boju pozostałe angielskie okręty. Ponadto przynieśli drabiny i składane rusztowania jako elementy omasztowania, a jeden aktor miał na sobie wiklinowy koszyk, co oznaczało, że jest angielskim łucznikiem strzelającym do francuskich statków specjalnymi strzałami o szerokich grotach zdolnych przecinać liny. Udawano jeszcze, że ktoś stojący na wysokiej drabinie tak naprawdę znajduje się na niższym pokładzie niż król Edward. Ponadto kiedy statki zderzyły się ze sobą i załoga ruszyła do abordażu, aktorzy niby przeskakiwali z burty na burtę, chociaż tam była tylko podłoga, na której zaczęli walczyć, jak na pokładzie... i tak dalej. To było naprawdę zabawne, Z trudem powstrzymywałam się od śmiechu.

Jim uśmiechnął się pomimo przygnębienia.

- Mogę to sobie wyobrazić - rzekł. - Scenografię oraz wiele innych rzeczy pozostawiono

wyobraźni widzów. Prawdę mówiąc, w tych czasach oglądająca przedstawienie widowia musiała mieć sporą wyobraźnię.

- No, na pewno mieli jej aż za dużo! - Angie zerwała się na równe nogi. - Powinieneś być widzieć reakcję wszystkich widzów. Mimo że oglądali spektakl ze złych miejsc - oczywiście, nie były tak całkiem beznadziejne, ponieważ aktorzy ruszali się i czasem stawali tyłem do głównego stołu, szczególnie w scenach walk, jednak wszyscy obecni przełknęli to gładko. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo ci ludzie są spragnieni rozrywki, jakiegokolwiek spektaklu.

- Ja też nie - rzekł w zadumie Jim. Przypomniawszy sobie wszystkie te historie, jakimi minstrelle układający ballady ubarwili jego własne poczynania pod twierdzą Loathly.

- Wiesz, jak zachowują się dzieci, kiedy opowiadasz im bajkę? - spytała Angie. - Po prostu żyją nią. Jeśli opowiadasz im o czymś przerażającym, są naprawdę przerażone. Jeżeli mówisz im o czymś smacznym, widzisz, jak się oblizują. Kiedy opisujesz zamek, wydaje im się całkowicie realny. No cóż, goście na obiedzie zachowywali się tak samo.

- Naprawdę? - Jim mimowolnie zainteresował się.

- Dosłownie - odparła Angie. - Nie uwierzyłabym, gdybym tego nie widziała. Przysięgam, że większość mężczyzn z trudem powstrzymywała chęć wyskoczenia zza stołu i przyłączenia się do walczących aktorów. A kobiety były równie zafascynowane. Co więcej - znasz wszystkich tych, którzy siedzieli na honorowych miejscach? Earla, biskupa, Chandosa i innych? Podniecenie udzieliło im się tak samo, jak gościom przy pozostałych stołach.

- Nic dziwnego, że Brian nie chciał tego stracić - rzekł Jim. - Wiesz co, nie zdawałem sobie sprawy z czego dobrowolnie chciał dla mnie zrezygnować. Miałem wyrzuty sumienia z powodu tej historii z jego udawanym omdleniem oraz jej rezultatem - wcale nie chciałem, żeby uznano to za wizję...

- Wiem, że nie - powiedziała Angie. - To biskup wpadł na taki pomysł i podsunął go innym. A potem earl, sam biskup, Chandos - wszyscy - gapili się na tę udawaną bitwę jak gromadka dzieciaków!

- No cóż, koniecznie muszę zobaczyć następny taki spektakl. Kiedy mamy jakiś w planie?

- Właśnie o to chodzi - odparła Angie. - Są jeszcze dwa, ale mają być skromniejsze w porównaniu z bitwą pod Sluys. Ta inscenizacja była szczególna ze względu na Boże Narodzenie. Jednak podsunęła mi wspaniały pomysł. Dlaczego nie mielibyśmy urządzić takiego przedstawienia?

- Przedstawienie? - W połączeniu z tym, co ostatnio zważyło mu się na głowę, pomysł ów wprawił Jima w zupełne osłupienie. - My? Dlaczego?

- Nie rozumiesz? - zapytała Angie. - Będą na nim wszyscy obecni na zamku, nawet służba. Kiedy grano bitwę pod Sluys, cisnęli się w każdym wejściu do wielkiej sali i nikt ich nie wyganiał, nawet przełożeni, ponieważ oni też oglądali bitwę. Tak więc, mając wszystkich zebranych w jednym

miejscu, mógłbyś jakoś przyprowadzić tam trolla, żeby powęszył... może zdołałbyś zrobić go niewidzialnym albo co...

- Pamiętaj o błogosławieństwie biskupa - rzekł Jim.

- No tak. Hmm, jestem pewna, że coś da się wymyślić - stwierdziła Angie. - Chodzi o to, że to jedyny sposób, w jaki możesz zgromadzić wszystkich w jednym miejscu i spokojnie przyprowadzić trolla na górę tak, by nikt nie zauważył, jak przychodzi i odchodzi. Tylko pomyśl, Jim. Czy to nie wspaniały pomysł?

Wyczekując, spojrzała na męża,

- Myślę - powiedział.

- Zastanawiałam się nad jasełkami. No wiesz. Dziecię Boże w żłóbku.

- Taak - rzekł bez przekonania Jim.

- Wiesz co - powiedziała Angie - moglibyśmy zbudować budkę wyglądającą na część stajni i założyć się, że zdobylibyśmy prawdziwego osiołka i muła... oczywiście potrzebni byłiby jeszcze Józef i Maria... na podłodze rozłożylibyśmy prawdziwą słomę, a przychodzących pasterzy i Trzech Króli z ich darami...

- Nie jestem pewien, czy mędrcy i pasterze przybyli jednocześnie - stwierdził Jim. - Jednak można by tak zrobić, tyle że byłoby to dość statyczne przedstawienie.

- No cóż, zawsze możemy wprowadzić trochę akcji, prawda? - powiedziała Angie.

Jim dostrzegł rozczarowanie na jej twarzy.

- Nie neguję samej idei - powiedział pospiesznie. - Prawdę mówiąc, to wspaniały pomysł, chodzi jedynie o szczegóły. Po pierwsze, dziś jest Boże Narodzenie, a coś takiego powinno odbyć się właśnie tego dnia, nie sądzisz? A ponadto, kiedy zastanowić się nad tym, ponieważ to religijny spektakl, pewnie lepiej będzie, jeśli wcześniej porozmawiam z biskupem i sprawdzę, czy nie ma jakichś zastrzeżeń.

- Dlaczego miałby mieć zastrzeżenia?

- Nie wiem - odparł Jim. - Jednak pamiętaj, że to średniowieczny Kościół. Nikt tu nigdy nie wspominał o jasełkach ani niczym podobnym. Jeśli zazwyczaj tego nie robią, mogą z jakiegoś powodu niechętnym okiem patrzeć na takie przedstawienie.

Angie był rozczarowana.

- Nie wiem, ja tylko rozważam możliwości - dodał pospiesznie Jim. - Chociaż... nie wiem, czemu nie można by tego zrobić, Tyle że nie mam pojęcia, jak ściągnąć trolla na górę tak, żeby niepostrzeżenie obwąchał wszystkich - o ile zdoła wywęszyć jednego trolla w sali pełnej ludzi.

Wydaje mi się, że może mieć z tym kłopoty. Jednak postaram się wymyślić na to jakiś sposób. Dziękuję, Angie. To naprawdę dobry pomysł. Pozwól mi dopracować szczegóły i zastanowić się, czy to da się zrealizować. Nie możemy po prostu rzucić się w to na oślep, aby poniewczasie stwierdzić, iż są jakieś drobiazgi, które przeoczyliśmy. Po pierwsze, gdybyśmy tak zrobili i rozgniewali ludzi, mogłoby to ujemnie wpłynąć na decyzję o przyznaniu mi opieki nad Robertem.

- O tym nie pomyślałam - powiedziała Angie. - Racja, Jim. Lepiej dobrze to przemyśl. Tymczasem ja zastanowię się nad kostiumami i tym podobnymi sprawami.

- Owszem, rób, jak uważasz - powiedział Jim.

Prawdę mówiąc, chociaż ten pomysł zdawał się niedorzeczny - brać sobie na głowę jeszcze jeden kłopot, jakby nie miał ich już w nadmiarze - podświadomie odbierał go jako słuszny.

Jednak zbyt wicie się wydarzyło. W tym momencie Jim z trudem zbierał myśli. Wtem przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Słuchaj - powiedział do Angie - skoro o tym mowa, to nadal mamy Boże Narodzenie, prawda?

- Wieczór Bożego Narodzenia - powiedziała z ręką na kotarze zasłaniającej przejście do sąsiedniego pokoju. Najwyraźniej miała zamiar wyjść. - Dlaczego pytasz?

- Nie wiem - odparł Jim. - Nie mogłem zebrać myśli. Nagle uświadomiłem sobie, że mam wrażenie, jakby Boże Narodzenie było wczoraj. Chyba jestem po prostu zmęczony. Dzisiaj wydarzyło się więcej, niż zdołałbym ci opowiedzieć przez cały tydzień.

- Och? - zainteresowała się Angie, puściła kotarę i wróciła do pokoju. - Co się stało?

- Właśnie chciałem... - Jim urwał i szeroko ziewnął. - Chyba nie jestem w tej chwili w stanie ci opowiedzieć. Ja...

Zza drzwi, z korytarza dobiegły donośne głosy. Były wyraźnie podniesione.

- Zejdz mi z drogi, niech cie diabli! - oznajmił jeden z nich. - Co ma oznaczać takie wypytywanie?

- Tak kazała mi pani - zaprotestował drugi głos. - Zadawać jak najwięcej pytań, a potem powoli zajrzeć do komnaty i zapytać, czy mogę kogoś wpuścić.

- Ach tak? Zatem pytaj waść! - rzekł pierwszy głos, jednak trochę ciszej. - Wiesz, kim jestem. Pytaj więc!

- Tak, sir Brianie!

Drzwi uchyliły się, ukazując pobladłe oblicze strażnika.

- Milady... Milordzie! - Błady wartownik wytrzeszczył oczy na widok Jima, który nie wchodził, a jednak był w komnacie. Zbrojny przełknął ślinę, a potem wziął się w garść. - Sir Brian czeka na audiencję, milordzie... milady...

- Wpuść go - powiedziała Angie.

Brian wszedł. Stał na lekko rozstawionych nogach. Nie był pijany, ale najwyraźniej trochę sobie popił.

- Jamesie! - zakrzyknął głosem, który było słychać w promieniu dwudziestu metrów. - Dobrze cię widzieć. A więc wróciłeś...

- Cii! - syknęła Angie, uspokajając go tak skutecznie, że Brian niezwłocznie ściszył głos do szeptu.

- Proszono mnie, żebym wpadł na górę i sprawdził, co u ciebie słychać. Musisz zejść. Wszyscy jesteśmy w komnacie nad wielką salą. Po prostu musisz tam przyjść. Cóż to, w Boże Narodzenie siedzieć tak z dala od innych? Angelo, wiem, że masz tu obowiązki, opiekując się sierotą, ale i ty powinnaś zejść.

- Może później - powiedziała Angie.

- Wybaczysz mi, jeśli nie przyjdę? - spytał ze znużeniem Jim. - Wybacz, Brianie. Opowiem ci o tym, kiedy będę miał chwilę czasu i trochę odpocznę. Miałem długi dzień i byłem bardzo daleko, podróżując dzięki magii i nie tylko... Muszę się przespać.

- W Boże Narodzenie? - zdumiał się Brian. - Jeśli jest jakiś dzień, którego nie warto tracić na spanie... - Jednak urwał, spoglądając na Jima. - Istotnie, wyglądasz na znużonego, Jamesie - rzeki spokojnie. - Nie obawiaj się. Wyjaśnię wszystkim, że przebyłeś długą drogę, szukając Carolinusa, a teraz wróciłeś i śpisz. Porozmawiamy jutro. Nie zapomniałeś? Jutro ruszamy na polowanie z sokołami - oczywiście w małych grupkach, inaczej za jedną ofiarą śmigałoby więcej sokołów niż kiedykolwiek we wszystkich chrześcijańskich królestwach. I ty również musisz pojechać, Angelo. Łowy z sokołami zazwyczaj cieszą niewiasty,., ale zapomniałem, że wy nic macie swojego ptaka. Może earl pożyczy wam jednego.

- Nie mogę obiecać, Brianie - odparła krótko Angela. - Może będę. Jednak jeśli zechcę pożyczyć sokoła od earla, to pozwól, że sama z nim o tym porozmawiam. Być może wystarczy mi tylko to, że będę wam towarzyszyć.

- Obiecuję! - powiedział Brian. - Warto jechać, a zapowiada się jutro jasny i mroźny poranek, gdyż wieczorny wiatr przewiał wszystkie chmury. Cóż więc, zostawiam was i wracam do sali przekazać wasze słowa. Życzę dobrej nocy!

Odwrócił się do drzwi.

- Dobranoc - powiedzieli prawie jednocześnie Angie i Jim.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Jim.

Oczywiście leżał na zrobionym własnoręcznie i zdezynfekowanym przez Angie sienniku przywiezionym z Malencontri w pierwszym z dwóch pokoi przydzielonych im przez earla i - o ile pamiętał - spał jak kłoda, nie budząc się ani razu. Albo spał zbyt głęboko, aby coś słyszeć, albo Robert był nadzwyczaj miły i nie płakał ani nie marudził przez całą noc.

W każdym razie teraz przez wąską szczelinę otworu strzelniczego wpadało jasne światło dnia. Jim szeroko otworzył oczy (szło to wyjątkowo opornie, gdyż powieki zatrzymywały się w połowie drogi) i obok siennika ujrzał stosik swojej odzieży. Było mu ciepło pod stertą koców, lecz mimo ognia na kominku w drugim końcu komnaty temperatura w pomieszczeniu chłodzonym przez powietrze wpadające przez wąskie okienko nie była zbyt wysoka.

Wyciągnął rękę po swoją odzież i ubrał się, nie wychodząc z ciepłego legowiska. W końcu, zupełnie odziany, odrzucił koce i usiadł. Natychmiast poczuł, że jest głodny i spragniony. Głównie spragniony. Odruchowo spojrzał na stolik znajdujący się w odległości zaledwie kilku metrów od siennika. Na blacie leżał jeden ze skórzanych bukłaków, które podczas jazdy były przytroczone do łąków siodeł, a zawierały przegotowaną wodę, jak głosił napis na nich skreślony dużymi literami przez Angie. O naczynie opierała się notatka sporządzona przez nią na drogim papierze, który Jim znalazł we Francji i zastąpił nim wykrochmalone kawałki białego płótna, jakich używali poprzednio. Kawałkiem węgla napisała parę słów. Jim wziął ze stołu szklankę. Była czysta, znów dzięki Angie lub wyszkolonej przez nią starej służącej, którą wzięli ze sobą. Napełnił naczynie wodą z bukłaka, wypił, znów nalał i wypił, a potem, po chwili namysłu, wypił jeszcze jedną szklankę. Natychmiast poczuł się znacznie lepiej. Trzeźwy, silniejszy i bardziej przenikliwy.

Przeczytał notatkę skreśloną nowoczesnym pismem, a przez to nie do odczytania dla średniowiecznego czytelnika, chociaż litery były wyraźne, a informacja sformułowana w czystej angielszczyźnie: „Chleb i ser na stole - głosiła. - Jeśli zbudzisz się w porę, możesz wziąć konia i przyłączyć się do polowania. Jeśli zechcesz się pojawić, nikt nie zorientuje się, że nie jeździłeś przez cały ranek od grupki do grupki. Pożyczyłam od earla jednego sokoła - tercela. Całusy - Angie”.

Tercel mógł być samcem dowolnego gatunku sokoła, lecz zazwyczaj nazywano tak samca sokoła wędrownego, o jedną trzecią mniejszego od samicy, którego z tego powodu rzadziej używano do polowań. Jim podjadł chleba z serem, a nawet dolał sobie, do następnego kubka wody trochę wina z innego bukłaka stojącego na stoliku. Angie miała rację. Może to niezły pomysł, żeby pojawić się na polowaniu i udawać, że uczestniczył w nim od rana? Tak więc pół godziny później siedział już na koniu w lekkiej zbroi i płaszczu nałożonych na ciepłe ubranie i kłusował po śniegu, który w tych lasach miał zaledwie dziesięć centymetrów grubości. Szukał grupki sokolników, do której dołączyła Angie.

Znalazł ją. Jednak przedtem natrafił na trzy inne grupki, wskazujące mu niewłaściwy kierunek poszukiwali. Czwarta napotkana grupa składała się z sześciorga osób - dwóch kobiet i czterech mężczyzn - w tym momencie oczekujących w miejscu, ponieważ ładny sokół wędrowny należący do kogoś z nich nie pochwycił ofiary. Ptak przysiadł teraz na gałęzi około sześciu metrów nad ziemią, na



drzewie o gładkim pniu pozbawionym dolnych gałęzi i najwyraźniej wcale nie miał ochoty czekać, aż ktoś wdrapie się tam do niego. Skulił się i złośliwym spojrzeniem mierzył czekających na dole ludzi, łącznie z Jimem.

- Może mógłbyś ściągnąć go za pomocą magii, Smoczy Rycerzu? - zapytał rycerz będący zapewne właścicielem ptaka. Był rośłym, dość krępyim osobnikiem po trzydziestce, z lekką skłonnością do tycia.

Trochę zaskoczony tą prośbą Jim spojrział na sokoła. Pomyślał, że zapewne mógłby to zrobić, chociaż zastanawiał się, czy będzie to etyczne wykorzystanie magii stosowanej zazwyczaj wyłącznie w samoobronie. Na szczęście, kiedy nad tym rozmyślał, nagle zdał sobie sprawę z tego, że im mniej swoich umiejętności w tej dziedzinie ujawni, tym więcej pozostawi domysłom obserwatorów. A Angie zeszłego wieczoru mówiła mu o roli wyobraźni. Uznają, że posiada znacznie większe zdolności, jeśli ich nie zademonstruje, niż gdyby to zrobił. Wydawało się charakterystyczną cechą wszystkich ludzi, że im częściej pokazywałyby swoje umiejętności, tym bardziej traciłyby w ich oczach, w miarę jak wykorzystywałyby magię dla zaspokajania ich potrzeb. Ponadto żywił raczej przyjazne uczucia do tego sokoła. Ptakowi nie poszło najlepiej, więc to całkiem naturalne, że był w kiepskim humorze. Niech sami zwabiają go z powrotem, jeśli potrafią. To ich sokół, a na takim polowaniu często zdarza się, że ptak nie schwyta ofiary, gdyż drapieżnik opada ze znacznej wysokości, by złapać ją i zabić, nurkując z szybkością około dwustu kilometrów na godzinę. Niewielki błąd ptaka w ocenie kąta opadania lub prędkości w połączeniu z szybkością umykającego może spowodować, że sokół przeleci obok celu, nadal mocno zaciskając szpony gotowe do zadania ogłuszającego ciosu. Jeżeli trafi, siła uderzenia strąci ofiarę na ziemię, gdzie drapieżca łatwo ją pochwyty, kiedy wyrówna lot i zawróci.

- Obawiam się, że nie mogę, sir - odparł Jim. - W końcu mamy Boże Narodzenie, a wykorzystanie tych skromnych umiejętności, jakie posiadam, jest obwarowane pewnymi zastrzeżeniami. Żałuję, ale nie mogę pomóc. - Właściciel ptaka zrobił kwaśną minę, lecz nie upierał się. - Nawiasem mówiąc - ciągnął Jim nieco łagodniejszym tonem - szukam mojej żony, lady Angeli.

Nie wiem, do której grupki się przyłączyła. Czy ktoś z was wie, gdzie mogę ją znaleźć?

Mężczyzna, siedzący na koniu i odwrócony plecami do Jima, okręcił wierzchowca.

- Sądzę, że wiem, Smoczy Rycerzu - rzekł. Jedną ręką podkręcił cieniutki koniec prawego wąsa. - Pozwól, że pokażę ci drogę, panie.

To był sir Harimore.

- Ha! - powiedział bezmyślnie Jim.

Sir Harimore spojrział na niego dziwnie.

- Jestem pewien - oznajmił - że jest z kilkoma innymi osobami niedaleko stąd.

Już popędził rumaka, więc Jim zrównał się z nim i jechał obok rycerza, który nawet nie

pofatygował się pożegnać z towarzyszami, których opuszczał.

- Ładnie... chciałem powiedzieć, że to ładnie z twojej strony, sir, iż zadajesz sobie tyle trudu, by wskazać mi drogę - powiedział Jim.

- Przecież to zwykła uprzejmość - odparł sir Harimore. Jechał, trzymając się prosto w siodle, bez najmniejszego wysiłku, całkiem spokojny i opanowany, z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. - Co więcej, nie mogę pomóc schwytać sokoła, którego nigdy nie oblatywałem, a nawet nie widziałem aż do dziś.

Jim czuł się niezręcznie w tej sytuacji. Po raz pierwszy ujrzał sir Harimore'a podczas jego konfrontacji z Brianem na zamku earla, dzień przed Bożym Narodzeniem, a ten musiał słyszeć, że Jim jest najlepszym przyjacielem sir Briana. Mimo to wydawał się przyjacielski i miły, Jim wziął to za dobrą monetę.

- Przed chwilą nazwałeś mnie Smoczym Rycerzem - zauważył. - Dziś pierwszy raz ktoś mnie tak nazwał. Prawdę mówiąc, zazwyczaj wystarcza sir Eckert, James Eckert.

Sir Harimore gwałtownie obrócił głowę i obrzucił Jima stalowym spojrzeniem.

- Sir Harimore Kilinsworth, do usług! - rzekł. - Czyżbym cię uraził, panie?

- Nie, nie - uspokoił go Jim. - Wcale nie, sir Harimore. Po prostu nie przywykłem do tego, by nazywano mnie Smoczym Rycerzem.

Spojrzenie sir Harimore'a złagodniało.

- Słyszałem od innych, że powszechnie tak cię nazywają - rzekł. - Uznałem, że to rodzaj przydomka.

- Niewątpliwie - rzekł pośpiesznie Jim. Wiedział, że przydomek to właściwie inne określenie pseudonimu. - Nie mam nic przeciw temu, żeby nazywano mnie Smoczym Rycerzem. Skoro ludzie chcą tak na mnie wołać... To naprawdę żadna różnica, czy jestem Smoczym Rycerzem, czy sir Jamesem, dopóki wiem, że mówi się do mnie lub o mnie.

- Ha! - powiedział sir Harimore, - Tak też powiem, jeśli w przyszłości ktoś mnie o to spyta.

- Dziękuję - powiedział Jim.

- Nie ma za co - odparł sir Harimore, Spoglądał przed siebie, kierując konia między rosnące blisko siebie drzewa, gdyż wjechali w bardziej gęsty, choć bezlistny las. - Może szukasz także sir Briana Neville'a-Smythe'a?

- W samej rzeczy sądziłem, iż lady Angela będzie w tej samej grupce myśliwych, co on.

- Tego nie jestem pewien - stwierdził sir Harimore. - Z daleka rozpoznałem tylko lady Angelę i sir Johna Chandosa. Jednak byli tam jeszcze dwaj mężczyźni i jeden z nich mógł być sir Brianem. W

każdym razie niebawem przekonamy się, kiedy ich znajdziemy.

Jim zaczął się zastanawiać, czy nie udałoby mu się jakoś załagodzić niechęci między Brianem a tym rycerzem.

- A zatem znasz sir Briana już od jakiegoś czasu, sir? - zapytał.

- Tak - odparł sir Harimore. - Kilkakrotnie walczyłem z nim na turniejach i parę razy spotykaliśmy się przy innych okazjach.

- To dobry rycerz - stwierdził Jim, wybierając bezpieczne, powszechnie używane określenie, jakim można obdarzyć praktycznie każdego noszącego rycerski pas i ostrogi.

- Jest zbyt dumny - rzekł sir Harimore. - Jednak przyznaję, że to prawdziwy rycerz. I nieźle włada bronią.

Ta charakterystyka zbyt nie odbiegała od sposobu, w jaki Brian opisał sir Harimore'a Jimowi, kiedy ten był świadkiem ich spotkania w górnej sali zamku. Nagle Jim uświadomił sobie, że sir Harimore znów mu się przypatruje, dosłownie przeszywa go spojrzeniem,

- Czyżbyś zamierzał zastąpić sir Briana w tym drobnym sporze, jaki ze mną toczy, sir Jamesie?

W głosie Sir Harimore'a znów pojawiła się stalowa nuta.

- Nie. Nie, wcale nie. O jakim sporze mówisz? - zapytał niewinnie Jim.

- Wprawdzie - rzekł sir Harimore - możesz mieć pewne magiczne zdolności, sir Jamesie, lecz dla mnie nie mają one żadnego znaczenia. Jeśli chcesz, możemy rozstrzygnąć ten spór tu i teraz, powiedz tylko słowo.

- Och - odparł pośpiesznie Jim - nie mógłbym użyć magii, potykając się z innym rycerzem. Tak nie można. Nie, nie, to niemożliwe. Jednak, jak już powiedziałem, bynajmniej nie mam zamiaru... ee... spierać się z tobą.

Sir Harimore złagodniał, ale nadal wpatrywał się w Jima. Jednak teraz wydawał się lekko zdziwiony.

- Bez magii? - powiedział. - W takim razie, sir Jamesie, zastanawiam się, dlaczego miałbyś rzucić wyzwanie komuś takiemu, jak ja.

- Cóż, wcale cię nie wyzywałem - rzekł Jim z lekkim zniecierpliwieniem. Upór sir Harimore'a w kwestii tego, że młody mag mógł go prowokować do walki, zaczął działać Jimowi na nerwy. - Jednak jeśli tego chcesz, chętnie stawię ci czoło w dowolnym miejscu i czasie. Tutaj czy gdziekolwiek indziej i gwarantuję, że nie użyję magii.

Widząc, że tamten wytrzeszcza oczy, dodał łagodniejszym tonem:

- Mówiłem już kilkakrotnie, że nie mam takiego zamiaru. Teraz wierzysz mi już czy nie?

- Prawdę mówiąc, sir Jamesie - rzekł sir Harimore - jestem wielce zdumiony. Nie brak ci odwagi - wiedziałem o tym, słysząc, jaką cieszysz się opinią. Mimo to potykać się ze mną... musisz być świadom tego, że byłaby to nierówna walka.

- Nierówna walka? - powtórzył Jim, nagle przestając go rozumieć.

- Oczywiście - przytaknął sir Harimore. - Równie dobrze mógłbym potykać się z dwunastoletnim chłopcem. Bez urazy, sir Jamesie - dodał. - Jednak z pewnością jesteś świadom, że nie możesz żywić nadziei, iż wytrwałbyś dłużej niż chwilę czy dwie. W istocie, honoru trzeba strzec, lecz jest dla mnie oczywiste, iż nie masz odpowiedniego wyszkolenia, aby potykać się z kimś takim jak ja czy nawet twój przyjaciel, sir Brian, a każdy, kto mnie zna, wiedziałby, że poznam to na pierwszy rzut oka.

- A po czymże to?

- Daj spokój, sir Jamesie.- powiedział rycerz. - Po stu rzeczach. Po sposobie, w jaki siedzisz w siodle, w jaki chodzisz. Pewna ociężałość... - Jim, już wcześniej zdenerwowany, teraz był bliski wybuchu. Doskonale wiedział, że ma znacznie lepszy refleks niż większość ludzi, a od czasów szkoły średniej sprawozdawcy sportowi zawsze zauważali i doceniali jego szybkość oraz zręczność na boisku siatkówki. To prawda, że - szkolony przez Briana - dopiero zaczął przyswajać sobie część tego, co potrafił przeciętny rycerz uczący się, od kiedy zaczął samodzielnie chodzić i oglądać starszych przy ćwiczeniach z bronią. - Cóż - ciągnął sir Harimore - nawet teraz masz miecz za bardzo przesunięty na pasie dla wygody podczas jazdy, a nie z przodu, skąd najszybciej mógłbyś go dobyć w razie potrzeby.

Gniew Jima opadł jak przekłuty balon. Nie mógł zaprzeczyć, że sir Harimore powiedział szczerą prawdę. Miał zwyczaj jeździć z mieczem przesuniętym na biodro, niemal nie myśląc o tym, odruchowo okręcał pas, zanim dosiadł konia. Teraz czuł wiszący tam miecz jak wstydlivy dowód, który wykorzystał jadący obok niego rycerz.

- Jednak... - zaczął niepewnie.

- Nie mów nic więcej, sir Jamesie - rzekł sir Harimore.

Doceniam twoją gotowość potykania się w imieniu przyjaciela nawet wtedy, kiedy wiesz, że byłaby to beznadziejna próba. Niczego innego się po tobie nie spodziewałem. Teraz widzę, iż w twoim przypadku legenda mówi prawdę. Spójrz tylko! Tuż przed nami widzę twoją lady i pozostałych, których szukaliśmy!

Jim spojrzał - rzeczywiście tak było. Zaledwie kilka metrów przed nimi, na małej otwartej przestrzeni, czterej mężczyźni i kobieta zsiadli z koni i oglądali coś na ziemi. Inna kobieta siedziała na koniu nieco dalej od nich i od tego, czemu się przyglądali.

Tą kobietą była Angie.

- Tak! - zawołał Jim. - Jestem ci wielce zobowiązany, sir Harimore!

Puścił konia klusem, a rumak sir Harimore'a, najwidoczniej nie potrzebując zachęty ze strony jeźdźca, również przyspieszył, dotrzymując kroku wierzchowcowi Jima. Myśliwi na polance spojrzeli na nadjeżdżających rycerzy. Sir Harimore wstrzymał swego konia jakieś trzy metry przed stojącymi ludźmi, ale Jim podjechał prosto do Angie. Kiedy zbliżył się, zobaczył, że była blada jak chusta.

- Jim! - zawołała, wyciągając ręce i obejmując go jak mogła najmocniej, kiedy ich wierzchowce stanęły tuż obok siebie, zwrócone pyskami w przeciwnie strony. Nachyliła się do niego w uścisku i mruknęła przez zaciśnięte zęby: - Zabierz mnie stąd! Dłużej tego nie zniosę! - Przywarła do Jima, przedłużając powitanie i mówiła dalej; - Taki malutki lisek! Praktycznie rozszarpany na strzępy - a oni zachowują się tak, jakby zabili lwa!

- Racja - wymamrotał Jim. - Nie pora na dyskusje. Wytrzymasz jeszcze chwilę czy dwie? Muszę coś załatwić.

- Tak. Tylko pospiesz się! .

Jim uwolnił się z objęć Angie, zawrócił i podjechał tam, gdzie stała reszta myśliwych. Najbliżej byli sir John Chandos, biskup i Brian, a dalej dostrzegł Geronde oraz jakiegoś mężczyznę, którego nie znał. Brian spoglądał wyzywająco na sir Harimore'a, który odpowiadał mu równie wyzywającym spojrzeniem. Obaj mieli twarze zupełnie pozbawione wyrazu.

- Powinszuj nam sukcesu, sir Jamesie! - zawołał wesoło biskup, - Moja sokolica zabiła lisa. Prawda, że nie w powietrzu, gdzie powinna wypatrywać łupu, ale zaatakowała go i zabiła. Jednak obawiam się, że straciła przy tym sporo piór. Lis odwrócił się, kiedy wbiła w niego szpony i chwycił ją zębami, zanim zdążyła go zabić. Przez jakiś czas nie będzie polowała. Jednak spisała się naprawdę dzielnie!

- Winszuję sukcesu, Wasza Wielbność - powiedział Jim, chociaż w sprawie lisa skłaniał się raczej do opinii Angie niż biskupa. - Przybywam ze sprawą niezwyklej wagi, którą chciałbym omówić z waszą wielbnością i z tobą, sir Johnie. Jednak moja lady jest zmęczona. Nie powinna brać udziału w tym polowaniu. Musi jak najszybciej wrócić do zamku i odpocząć...

- Będę zaszczycony, mogąc jej towarzyszyć! - rozległ się głos sir Harimore'a za plecami Jima.

- Ja - Brian z ogromnym naciskiem wymówił to słowo - już towarzyszę lady Angeli.

- Może mogliby towarzyszyć jej obaj - rzekł sir John Chandos.

Jim skrzywił się ze złości. Jeśli pozwoli, aby Brian i Harimore pojechali razem, to być może powstrzymają się od rękoczynów w drodze do zamku, lecz niemal na pewno pod jakimś pretekstem opuszczą go ponownie i rozstrzygną swój spór w krwawym pojedynku. Za wszelką cenę musi ich rozdzielić. Jednocześnie Angie naprawdę należało zabrać z powrotem na zamek. Otworzył usta, nie wiedząc, co powiedzieć, ale uprzedziła go Geronde.

- W czym rzecz? - zawołała, zostawiając lisa i dosłownie wskakując na siodło wierzchowca. - Ja będę towarzyszyć Angeli.

Ci dwaj szlachetni panowie mogą jechać z nami, ale chciałabym, aby sir Brian pozostał przy mnie do czasu, aż bezpiecznie odprowadzimy ją do jej komnat. Naprzód, Brianie!

Jim odetchnął z ulgą. Szybko obrócił konia i podjechał do Angeli, zanim Brian dosiadł swojego rumaka, a Chandos i biskup poszli w jego ślady.

- Zemdlej! - szepnął, podjeżdżając bliżej.

- Aaach... - westchnęła Angie, nie tracąc ani chwili, po czym zaczęła zsuwać się z siodła.

Jim chwycił ją w ramiona, co zwykle przychodziło mu z łatwością, jednak tym razem zapomniał, że siedzi w śliskim skórzanym siodle na końskim grzbiecie. Nagle stwierdził, że jedyną rzeczą, która nie pozwala jemu i Angie runąć z koni na ośnieżoną ziemię, jest jego lewe kolano, naciskające koński bok. Angie była szczupła, ale dość wysoka, a kilka lat spędzonych w średniowieczu sprawiło, że jej ciało zdawało się składać wyłącznie z twardych mięśni i kości. Kąt, pod jakim musiał przytrzymać ją Jim, nadmiernie obciążał jego lewe kolano, tak więc nie zdołałby utrzymać jej długo, nawet gdyby koń nie protestował przeciwko takiemu uciskowi na zębra.

Na szczęście nadjeżdżała już Geronde.

- Już możesz się ocknąć! - syknął Jim, gdy kolano zaczęło odmawiać mu posłuszeństwa.

- Gdzie ja jestem? - spytała Angie, szeroko otwierając oczy i siadając prosto w siodle.

- Jesteś z nami, moja droga - powiedziała Geronde. - Nic nie szkodzi. Zaraz odwieziemy cię do twoich komnat... W porządku, Jamesie! Zostanę przy niej. Możesz się zająć swoimi sprawami, cokolwiek to jest. Brianie!

- Jestem tutaj, milady - powiedział Brian.

- A zatem naprzód. Musimy wziąć Angelę między siebie. Sir Harimore!

- Ja także tu jestem, milady - rzekł sir Harimore, dołączając do nich. Odjechali.

Jim przez chwilę patrzył za nimi, po czym odetchnął z ulgą. Angie wyglądała na bardzo zmęczoną. Opieka nad Robertem musiała być bardziej wyczerpująca, niż przypuszczał, nawet mimo pomocy piastunki i służącej przywiezionej z Malencontri. Do tego jeszcze obowiązki towarzyskie zmuszające ją do pokazywania się na nieustających ucztach i zabawach,...

Już miał wrócić do Chandosa i biskupa, kiedy w myślach usłyszał głos Carolinusa.

- Jedź za Aarghem, Jim - mówił Carolinus, - Razem z nim wybraliśmy już najlepsze miejsce do tych negocjacji, o których wspomniałeś. Pokaż je biskupowi i Johnowi Chandosowi. Może zdołam do was dołączyć, jeśli nie, zrób to, co zamierzałeś zrobić, i nie daj im się zniechęcić. Uważaj na

biskupa, przywykł, że zawsze wszystko jest tak, jak on chce. Musisz stawić mu czoło!

Głos Carolinusa umilkł. Jim właśnie ściągał wodze, kiedy za plecami usłyszał okrzyk duchownego.

- Demon! - wołał biskup, kiedy Jim obrócił konia i spojrzał na niego oraz stojącego obok sir Johna. Obaj wpatrywali się w Aargha, znajdującego się niecałe dziesięć metrów dalej. - Zasady religii nie pozwalają mi przelewać chrześcijańskiej krwi. Jednak nie mogą one stosować się do demonów, a owoż widzę takiego, jeśli wzrok mnie nie myli! Skoro zatem użyczysz mi swego miecza, sir Johnie, jako przedstawiciel Kościoła obronię nas przed nim!

W tym momencie zauważył, że dołączył do nich Jim.

- Nie obawiaj się, sir Jamesie - dodał. - Silne ramię Kościoła obroni cię!

- Nie ma takiej potrzeby, milordzie biskupie - powiedział pospiesznie Jim. - Chcę przedstawić wam Aargha, angielskiego wilka, w którego żyłach nie ma ani kropli krwi demona czy bestii. To mój stary przyjaciel i jeden z towarzyszy walki z Ciemnymi Mocami z twierdzy Loathly, tak więc można rzec, że już od dawna jest po stronie Kościoła...

- Ja... - zaczął chrapliwie Aargh.

- Bezruch! - rzekł w myślach Jim, zapominając, że to polecenie nie działa na wilka. Jednak Aargh zamilkł i mag dyskretnie machnął ręką w nadziei, że zwierzak zrozumie ten znak. Jim mówił dalej: - Sir John spotkał go także, prawda, sir Johnie? Pamiętasz, zeszłego lata, kiedy Malencontri było oblegane przez węże morskie?

- Istotnie, Wasza Wielbność - odparł gładko Chandos. - Dzielny i pomocny, prawdziwie angielski wilk. Szczerze polecam go opiece waszej wysokości.

- To nie demon? - spytał biskup, lekko osuwając się w siodle. - No trudno.

Płonące ślepia Aargha nie odrywały się od jego twarzy.

- Nie, milordzie - rzekł Jim. - Co więcej, przybył tu, aby zaprowadzić nas do miejsca, które pragnę wam pokazać. Właśnie dlatego chciałem rozmawiać z wami na osobności. Możemy to zrobić po drodze. Aargh już zna sytuację, o jakiej zamierzam mówić, i bardzo mi pomógł. Nikt nie zna okolicy tak dobrze, jak on!

- Widzę, że wplątałem się w jeszcze jedną z tych nonsensownych ludzkich afer, zamiast pilnować własnego nosa! - warknął Aargh. - Jednak dość tego. Jeśli chcecie iść za mną, to ruszajcie!

Z tymi słowami odwrócił się i pokłusował w stronę lasu. - Musimy za nim jechać, milordzie... Sir Johnie - rzekł Jim. - Wybaczcie mi, proszę. Obiecuję, że wszystko wyjaśnię podczas jazdy.

- Czekamy na to, sir Jamesie. Hocking! - zawołał biskup do ostatniego członka grupki myśliwych, szczupłego i dobrze ubranego osobnika, pokornie trzymającego się na uboczu. - Zawieź

sokoła na zamek.

- Tak, milordzie.

We trzech popędzili konie za Aarghem.

- Jak już mówiłem, sir Jamesie - ciągnął biskup - lepiej, żeby ten stwór okazał się wart twoich pochwał. Wierzę twemu słowu i sir Johnowi. Jednak on i tak wygląda mi bardziej na demona niż na angielskiego wilka. Zwyczajny wilk jest od niego o połowę mniejszy.

- Istotnie, Wasza Wielbność - powiedział sir John. - Ten wilk zasługuje na wasze zaufanie.

- To się dopiero okaże - odparł biskup. - Tymczasem oczekuję pańskich wyjaśnień, sir Jamesie. Co my tu robimy? Ten wilk wiedzie nas z powrotem do zamku earla!

Rozdział 18

- Nie sądzę, aby prowadził nas z powrotem na zamek, Wasza Wielbność - powiedział Jim. - Jak już mówiłem, zna tę okolicę lepiej niż ktokolwiek i szukał dla mnie odpowiedniego miejsca nadającego się do negocjacji między earlem a zamkowym trollem.

- Negocjacji? - zdumiał się biskup. - Targów między człowiekiem a bestią czy też... jak nazwałś tamto stworzenie?

- Naturalnym, Wasza Wielbność - odparł Jim. - Naturalni naprawdę nie mają w sobie nic z bestii. Nic nie mogą poradzić na to, że są tacy, jacy są, tak samo jak... - Już miał powiedzieć „jak my nie możemy przestać być ludźmi”, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że słowo „ludzie” może wywołać niepożądaną reakcję biskupa. - ...ten Aargh nie może przestać być wilkiem - dokończył. - One nie są w pełni ludźmi...

- Nie mają duszy nieśmiertelnej! - stwierdził biskup. Gęste brwi groźnie unosiły się na jego czole jak burzowe chmury.

- Nie, nie mają - przytaknął Jim. Znalazł się w kłopotliwej sytuacji. To był świat pełen gadających smoków i wilków, magów, czarnoksiężników, wróżek, driad i chyba wszelkich innych stworów, jakie można sobie wyobrazić. Jednak byłoby nierozsądnie przypominać biskupowi o tym, że w ich istnieniu zapewne kryje się jakiś boski sens.

Z drugiej strony nie przychodziło mu do głowy żadne inne rozsądne wyjaśnienie ich obecności.

- Zapewne nie jest nam dane pojąć sensu ich istnienia.

- Możliwe - warknął biskup. - Niewątpliwie Pan rozprawi się z nimi w swoim czasie.

- Tak - rzekł Jim. - Jednak chciałem podyskutować z Waszą Wielbnością i sir Johnem o negocjacjach. Jeszcze nie rozmawiałem o tym ani z earlem, ani z trollem. Jednak mimo istniejącej między nimi waśni przodkowie earla utrzymywali względny pokój z trollem przez ponad tysiąc lat, a



on dopiero ostatnio zaczął trząść zamkiem. A ponieważ te wstrząsy, jak wyjaśnił mi mój mistrz Carolinus, powodują poważne i rozległe zniszczenia zamku, jedynym rozwiązaniem wydaje się zlikwidowanie przyczyny takiego zachowania trolla. Jak wiecie, on utrzymuje, że wśród gości jest inny troll w przebraniu... - Biskup i Chandos skinęli głowami. - A zatem wiecie, że ten fakt zdaje się doprowadzać zamkowego trolla do szaleństwa, ponieważ budowla ta jest częścią jego terytorium, na którym nie ma prawa przebywać żaden inny troll. Jednak nie może dopaść przebranego intruza, ponieważ nie odważy się wyjść na górę, żeby go wywęszyć. Widocznie trolle wydzielają jakiś zapach, który z łatwością potrafią wyczuć inne trolle i zwierzęta.

- Proponowałem, żeby oddał się pod moją ochronę, lecz powiedziałaś mi, że on nie uwierzy słowu przedstawiciela Kościoła! - przypomniał biskup, - W takim razie, dlaczego nie pozwolimy, żeby przygniótł go ciężar jego nieszczęsnego losu?

- To earl zostanie przygnieciony gruzami zamku, jeśli nie znajdziemy tego trolla, Wasza Miłość - wtrącił dyplomatycznie Chandos.

- Racja, racja - wymamrotał biskup. Spojrzał na Jima. - Co więc począć?

- No cóż - odparł Jim. - Przyszło mi do głowy, że musi być jakiś sposób na to, aby zamkowy troll niepostrzeżenie znalazł się na górze i wywęszył przebranego intruza. Jestem pewien, że Kościół zgodzi się z tym, iż w tym szczególnym okresie świąt Bożego Narodzenia nie godzi się, żeby przebywał wśród nas jakiś troll przebrany za mężczyznę lub kobietę.

- To prawda! - wybuchnął biskup, zapalając się do tej myśli. - Naszym najważniejszym obowiązkiem jest pozbyć się trolla spośród nas, tak samo jak szatana z naszych dusz, a przynajmniej dusz większości z nas. Musimy tego dokonać niezależnie od tego, czy ten z podziemi będzie zadowolony, czy nie. Może znajdziemy jakiś inny sposób, aby go zdemaskować,

- Milordzie - przypomniał Jim - czy nie sądzisz, że dobry earl wolałby raczej powiadomić gości, że jakiś troll weźmie udział w świątecznej uczcie, niż przyznać, iż mamy wśród nas przebranego trolla? W przyszłości goście niepokoiłoby się...

- Pewnie tak - rzekł ponuro biskup. - No tak, co jeszcze chciałbyś zaproponować, sir Jamesie?

- Te negocjacje, o których wspomniałem. - Jim uniósł rękę, ponieważ biskup już miał coś powiedzieć. - Zapewniam Waszą Miłość, że nie będą to żadne niechrześcijańskie targi. Chodzi po prostu o to, aby dwaj stali mieszkańcy zamku ustalili, jak najlepiej pozbyć się intruza, którego żaden z nich tu nie chce. Muszą tylko uzgodnić, jak tego dokonać. To jedynie problem posadzenia ich przy jednym stole, żeby porozmawiali ze sobą i znaleźli jakiś wspólny punkt widzenia, umożliwiający im zgodną współpracę. Kiedy tak się stanie, reszta pójdzie szybko i spokojnie.

- Sądzę, że to doskonały pomysł, sir Jamesie - wtrącił Chandos.

Biskup szybko zerknął na niego, potem na Jima i znów na Chandosa.

- Naprawdę sądzisz, że to się uda, sir Johnie? - spytał. - Bardziej ufam twemu wiekowi i

osądowi. Myślisz, że propozycja sir Jamesa ma jakiś sens?

- Tak sędzę, Wasza Miłość - odrzekł Chandos. - Istotnie, może to nasza jedyna nadzieja na szybkie załatwienie tej sprawy.

- Mówisz? - wahał się biskup. Ponownie spojrzął na Jima. - Bardzo dobrze, sir Jamesie. Słucham.

Jim gorąco pragnął, żeby biskup robił to zawsze.

- Milordzie, sir Johnie - zaczął, gdy wyjechali z lasu na niewielką polanę, za którą znów rosły drzewa. Nad ich koronami widać już było szczyty murów z powiewającymi na wieżyczkach chorągiewkami i proporczykami. Nad wszystkimi unosił się wielki, złoto-zielony sztandar earla. Jim poczuł narastający niepokój. Aargh istotnie prowadził ich bardzo blisko zamku, jeśli nie do niego samego. Jim umyślił sobie raczej jakiś cichy i osłonięty zakątek wśród drzew otaczającego ich lasu. Jednak Aargh powinien wiedzieć, co robi.

Nagle uświadomił sobie, że biskup i Chandos patrzą na niego, czekając, aż dokończy to, co zaczął mówić. Co też miał powiedzieć? Gwałtownie usiłował sobie przypomnieć.

- Jak miałem rzec, ale przeszkodziło mi to lekkie drapanie w gardle, łatwo zrozumieć, że podczas pierwszego spotkania earl i troll będą mieli do siebie mnóstwo pretensji i ani pomyślą o ugodzie w jakiegokolwiek kwestii. Trzeba będzie ich do tego powoli namówić. Na tym polegają negocjacje - ktoś trzeci musi delikatnie nakłonić ich, żeby znaleźli jakiś wspólny punkt i na jego podstawie sposób porozumienia. Zamierzam być tą osobą zwaną negocjatorem, która doprowadzi do takiej zgody.

- Ja też powinienem przy tym być - stwierdził biskup,

- Jeśli Wasza Miłość wybaczy - powiedział Jim. - Historia negocjacji, o ile wiem, dowodzi, że najlepsze rezultaty uzyskuje się, gdy uczestniczą w nich nie więcej niż trzy strony, dwie przeciwne i trzecia, której obie zechcą wysłuchać, nawet jeśli nie mają zamiaru słuchać siebie wzajemnie. Jeżeli tych stron będzie więcej, w negocjacjach trzeba uwzględnić więcej punktów widzenia, co może opóźnić ostateczny wynik, a czasem nawet całkowicie niweczy sens spotkania.

- Sugerujesz... - zaczął biskup, lecz Chandos przerwał mu, zanim zdążył dokończyć.

- Sir James może mieć rację - orzekł swym chłodnym, starannie modulowanym głosem. - Ja także miałem zamiar zaproponować mój udział w negocjacjach, ale to, co zostało tu powiedziane, ma dla mnie sens. Ponieważ powszechnie wiadomo, iż zajmuję się sprawami naszego władcy i jego najstarszego syna, mogłoby to prowadzić do późniejszych podejrzeń, że Korona miała coś wspólnego z tymi rozmowami, jakikolwiek będzie ich rezultat.

Wolałbym nie mieszać państwa w takie sprawy, choćby ryzyko było stosunkowo niewielkie. Być może, lordzie biskupie, po namyśle dojdiesz do wniosku, że byłoby mądrze, gdyby i Kościół odciął się od tej magicznej i dość niezwykłej metody porozumienia między chrześcijanami a

naturalnymi. - Biskup zamknął usta. Zamyślił się. - Z pewnością właśnie coś takiego miałeś na myśli, sir Jamesie? - zapytał Chandos, zwracając się do Jima. Ten z wdzięcznością podchwycił argument.

- W rzeczy samej, sir Johnie - powiedział - o to mi chodzi. Tym bardziej, że zamierzam uspokajać i łagodzić tarcia między earlem a trollem, co wymaga, bym uczestniczył w negocjacjach w moim smoczym wcieleniu. To wyklucza nie tylko wszelki możliwy udział Korony czy Kościoła, ale także innych ludzi. Wydało mi się to konieczne, aby w razie jakichś nieoczekiwanych kłopotów lub trudności nie obwiniano nikogo oprócz tych, którzy brali udział w rozmowach.

- Uhm - powiedział biskup i zamyślił się jeszcze bardziej.

- Czyż jednak nie jesteśmy już prawie na miejscu, do którego wiedzie nas wilk? - zapytał Chandos. - Zamek jest tuż za następnym rzędem drzew. W istocie, jeśli uważnie spojrzeć, niemal widać go między drzewami, choć zapewne w lecie zasłaniają go liście.

- Hm, tak - potwierdził Jim. - Jeśli pojedziecie w tym kierunku i wybaczycie mi, że opuszczę was na chwilę, skoczę naprzód i zapytam o to Aargha.

Nie czekając na ich odpowiedź, chociaż żaden nie zamierzał jej udzielić, spiął konia ostrogami i pogalopował naprzód, aż zrównał się z Aarghem. Wilk spojrzał nań żółtymi ślepiami.

- Jamesie - powiedział - nigdy więcej tego nie rób. Nie próbuj używać magii, żeby powstrzymać mnie od powiedzenia tego, co zamierzam rzec, albo koniec z naszą przyjaźnią.

- Naprawdę bardzo przepraszam, Aarghu - powiedział Jim. - Nie miałem czasu pomyśleć, a jest niezwykle ważne, aby biskup nie narzucił swego uczestnictwa w spotkaniu Mnrogara z earlem. Dlatego zareagowałem tak gwałtownie. Bardzo mi przykro. Wierz mi, to się już nie powtórzy. W przyszłości zawsze pomyślę, zanim zrobię coś takiego, i pozwolę ci mówić.

- No, niech tak będzie - warknął cicho Aargh. - Nie musisz czołgać się przede mną na brzuchu jak szczenię, Jamesie. Istotnie, może wyjawilibym więcej, niż należało w tych okolicznościach. Mimo wszystko podtrzymuję to, co teraz powiedziałem. Nigdy nie pozwolę się uciszać wbrew mojej woli - nikomu, nawet tobie czy Carolinusowi. Wilk nie może inaczej. Albo całkowita swoboda z obu stron, albo koniec z przyjaźnią,

- Zapamiętam - rzekł Jim. Zapadła chwila ciszy. - Czy mogę spytać, gdzie jest to miejsce, do którego nas prowadzisz? - zapytał Jim. - Biskup i sir John za nami zaczynają się zastanawiać, czy nie wjedziemy na dziedziniec zamku.

- Patrzysz na to miejsce - odparł Aargh. - Leży niedaleko wylotu tunelu, wiodącego do legowiska Mnrogara. To mu się spodoba.

Biegając przed wierzchowcem, któremu Jim ściągnął wodze, żeby nie wysuwał się przed wilka, Aargh wyprowadził go na owalną polankę, która z jednej strony była całkowicie odsłonięta i dobrze widoczna z zamku. Jim gwałtownie wstrzymał konia.

Aargh również stanął i obrócił się do niego, szeroko otwierając paszczę w wilczym uśmiechu.

- Lepiej wróć i powstrzymaj tych dwóch, żeby nie wyjeżdżali na otwartą przestrzeń - poradził.  
- Ciebie może nie rozpoznają z zamkowych murów, lecz ich na pewno. Nie ma sensu zwracać uwagi na to miejsce, jeśli nie jest to konieczne.

- Przecież ta polana nie nadaje się... - zaczął Jim, kiedy tuż za plecami usłyszał głos Carolinusa.

- Wprost przeciwnie, Jamesie - mówił głos - jest idealna. Wróć i przyłącz się do nas.

Jim zawrócił, wjechał z powrotem między drzewa i zobaczył tam nie tylko biskupa i sir Johna, ale i Carolinusa w zwykłej czerwonej szacie noszonej przy każdej okazji, porze roku i pogodzie, zawsze z wyraźnym zadowoleniem.

- Carolinusie, ta polana...

- Popatrz jeszcze raz, Jim - rzekł mag. - Czy nie sądzisz, że o wiele łatwiej przyjdzie ci namówić earla na spotkanie z Mnrogarem, jeśli tuż obok będzie miał swój zamek i zbrojnych?

- Pewnie - odparł Jim. - Jednak z tego powodu Mnrogar może nie dać się przekonać. A mam przeczucie, że jego będzie trudniej namówić niż earla, nawet gdyby odpowiadało mu miejsce spotkania.

- Spójrz jeszcze raz. - powiedział Carolinus. Jim zamrugał oczami. Polana była teraz całkowicie otoczona przez rosnące wokół niej drzewa. Zamek przestał być widoczny.

Tym razem Jim nawet nie zdążył mrugnąć. Nagle część drzew zniknęła i nie tylko odsłoniła widok na otwartą przestrzeń, lecz i na zamek, znajdujący się zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Małe postacie na murach spoglądały z zainteresowaniem na Jima, którego nie zasłaniały gałęzie drzew.

- Kiedy earl na to spojrzy - powiedział Carolinus - zobaczy swój zamek i otwartą przestrzeń. Tak jak i wy. Natomiast Mnrogar ujrzy tylko gęsty las, a co więcej, pozostałymi zmysłami, szczególnie węchem, wyczuje, że jest w głębi lasu. Wtedy da się namówić na rozmowę z earlem, przy czym będziesz obecny tylko ty jako... jak się nazwałś? „Negocjator”?

- Ściśle mówiąc, jako mediator - rzekł Jim.

- Ee tam! - powiedział Carolinus, zbywając to machnięciem ręki.

- A ty stworzysz złudzenie gęstego lasu, rosnącego w miejscu, gdzie aż do zamku jest otwarta przestrzeń?

- Nic podobnego - odparł z pogardą mag.

- A zatem będziesz przynosił nas tam i z powrotem w środek lasu, zależnie od tego, który z nich spojrzy w kierunku zamku?

- Nie - rzucił gniewnie Carolinus. - Czasami myślę - dodał ze złością - że zapominasz o różnicy między mistrzem magii, takim jak ja, a uczniem, takim jak ty. Tego, co ja tu zrobię, ty musisz się dopiero nauczyć.

## Rozdział 19

- Teraz opuszczę cię, jeśli pozwolisz - rzekł Jim, rozstając się w zamku z Johnem Chandosem. Obaj zostali na chwilę sami.

- Ależ oczywiście, Jamesie - odparł Chandos. Przez chwilę w jego poważnych szarych oczach błysnęły wesołe iskierki. - Z przyjemnością będę ci sekundował, kiedy zaczniesz namawiać earla na tę pogawędkę z trollem. Uznaję twoje metody za dość niezwykle, a przez to interesujące.

- Jestem ci zobowiązany - powiedział Jim, jeszcze raz przypominając sobie, aby nigdy nie popełnić błędu niedoceny Chandosa. Rozstali się, wymieniając lekkie skinienia głowy.

Jim poszedł schodami w kierunku swojej kwatery, czując się jak ktoś, kto stoczył ciężką walkę i zwyciężył. To prawda, że nie będzie łatwo przekonać earla. Jeszcze trudniej przyjdzie nakłonić Mnrogara - jednak Aargh obiecał mu towarzyszyć. Nie dlatego, aby Jim uważał, iż potrzebuje ochrony, jak wyjaśnił wilkowi. Jednak wydawało się, że jeśli Mnrogar komukolwiek ufał choćby odrobinę, to tylko - przedziwna rzecz - Aarghowi. Jakkolwiek Jim nie wątpił, że gdyby wymagała tego sytuacja, jeden bez chwili wahania zabiłby drugiego. Mimo wszystko - pomijając te problemy - cel został osiągnięty. Teraz musi odnaleźć Briana i dowiedzieć się, jak wygląda plan imprez przewidzianych na resztę świąt. Biegł szybko po schodach, do czego przyzwyczał się przez ostatnie trzy lata, pokonując niezliczoną ich liczbę, i usiłował przypomnieć sobie słowa pieśni śpiewanej przez kochankę dla ukochanej trzeciego dnia świąt, czyli nazajutrz.

Pierwszego dnia to była chyba „Kuropatwa na gruszy”. Następnego „Dwa gołąbki”. A trzeciego... nie pamiętał. Chodziło albo o „Trzy płasające panny”, albo o „Trzech tańczących panów”. Był prawie pewny, iż tańczący panowie występowali w następnej zwrotce jako „czterej tańczący panowie”...

Wciąż głowiąc się nad tym, skręcił w korytarz biegnący wzdłuż muru baszty do przejścia prowadzącego do ich dwóch komnat. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej skłaniał się do „Trzech płasających panien” - a może nie były to ani panny, ani panowie? Pewnie Angie będzie wiedziała.

- Czołem, Tom! - powiedział wesoło do zbrojnego pełniącego wartę przed drzwiami i chwycił za klamkę.

- Odpocząłeś, milordzie? - zapytał zdziwiony Tom Trundle.

- Nie, nie, Tom - rzekł Jim, przystając. - Tylko tak żartowałem. Życzę tobie i wszystkim wesołych świąt!

- Ja tobie również, milordzie - powiedział Tom za jego plecami, gdy Jim przeszedł przez próg i zamknął za sobą drzwi.

Znalazłszy się w środku, z zadowoleniem spojrzął na swoje zaciszne, chwilowe miejsce zamieszkania i natychmiast spoważniał. Usłyszał jakieś odgłosy, które sprawiły, że stanął jak wryty.

Jednak tylko na moment. Te dźwięki dobiegały z drugiego pokoju. Gniewne głosy dwóch kobiet - a jedną z nich była Angie.

Błyskawicznie rzucił się do zasłoniętego kotarą przejścia i wpadłszy do następnej komnaty, ujrzał małego Roberta płaczącego w kołysce, młodą piastunkę - nieprzytomną lub martwą - leżącą na podłodze oraz Angie walczącą z jakąś kobietą. Ta druga niewiasta miała w dłoni sztylet. Nie mogła go użyć tylko dlatego, że Angie mocno trzymała ją za rękę.

Jim nie tracił czasu na rozpoznanie kobiety ze sztyletem. Chwycił ją za nadgarstek ręki, w której trzymała narzędzie zbrodni. Angie była wyższa od przeciwniczki i miała dobrą kondycję, osiągniętą jeszcze w dwudziestym wieku, a utrwaloną przez lata pobytu w tym świecie. Jednak ta druga kobieta, chociaż niższa, była cięższa i silna jak tur. Walka była wyrównana. Jednak Jim był cięższy od każdej z nich co najmniej o dwadzieścia kilogramów i runął do ataku jak zawodnik pierwszej ligi. Jedną dłonią złapał przegub ręki trzymającej sztylet, a drugą dosłownie wyrwał go z jej palców.

Obie kobiety zatoczyły się, kiedy runął na nie z impetem, ale nie upadły. Zerknąwszy na Angie, stwierdził, że jest rozczochna, ale cała. Spojrzął na kobietę, której odebrał sztylet. To była Agatha Falon. Teraz przeszywała go wzrokiem i Jim nigdy nie sądził, że czyjaś twarz może być tak wykrzywiona z nienawiści.

- Postaram się, żebyście oboje zapłacili za to głową! - wykrztusiła głuchym, zdławionym głosem.

- Na pewno nie - powiedział Jim i ze zdziwieniem usłyszał, że jego głos brzmi niemal równie groźnie jak jej.

- Tak! - syknęła Agatha. - Król zrobi, co mu powiem.

- Nie, nie zrobi - odparł Jim. - Może spędza wiele czasu z kobietami, lecz nade wszystko ceni sobie to, że może robić, co chce - pić i bawić się, podczas gdy wielcy panowie i jego doradcy rządzą królestwem. Oni dowiedzą się o tym, co próbowałaś zrobić. Już dostrzegli niebezpieczeństwo, jakim byłby twój związek z królem. Nie zechcą ryzykować. To ty możesz stracić głowę, lady!

- Zobaczymy! - odparowała.

Jim poczuł przyływ nagłej, ślepej furii.

- Chyba - powiedział, powoli podnosząc palec i wskazując nim na kobietę - że postanowię zaraz zamienić cię w coś małego i oślizłego!

Agatha pisnęła jak przerażone zwierzątko i wypadła z komnaty. Usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

Jim i Angie spojrzeli na siebie. Potem Angie przemówiła głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszał.

- Dobrze, że przyszedłeś, Jim - powiedziała. – Gdybym zdołała odebrać jej ten sztylet, byłaby już martwa.

Jim spojrział na broń, którą trzymał w dłoni. W gwałtownym przypiływie obrzydzenia cisnął ją w kąt pokoju. Angie rzuciła się w ramiona Jima, który objął ją mocno, aż wstrząsające kobietą dreszcze stopniowo osłabły i ustały, przechodząc w lekkie drżenie, które też w końcu zanikło.

- Och, Jim! - powiedziała. Nadal ją trzymał, aż wysunęła się z jego ramion i cofnęła o krok. - Naprawdę zrobiłbyś to? - zapytała i nagle zatrzęsała się ze śmiechu, jednocześnie ocierając oczy wierzchem dłoni. - Naprawdę zamieniłbyś ją w coś małego i oślizłego?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czy potrafiłbym - odparł ponuro. - Nie jestem pewien, czy pozwoliłaby na to reguła używania magii wyłącznie w celu obrony. Jednak spróbowałbym.

- Doskonale by to do niej pasowało - stwierdziła Angie, wciąż trzęsąc się ze śmiechu.

Jim spojrział na piastunkę. Poruszyła się i zamruczała coś, lecz nie otworzyła oczu.

- Co jej się stało?

- Nic jej nie będzie - odpowiedziała Angie - ale aż do jutra będziemy musieli karmić Roberta gałgankiem umoczone w wodzie z cukrem. Agatha upiła ją.

- Upiła? - Jim wytrzeszczył oczy. - Winem?

- Nie - powiedziała Angie. - Myślę, że brandy. Wiesz, nawet w średniowieczu mają destylowane trunki, chociaż trudno je zdobyć. Domyślam się, że to francuska brandy, a raczej jakiś bimber z południowej Francji. Królewski dwór to jedyne miejsce, gdzie można ją znaleźć.

Jim skinął głową.

- Rozumiem, dlaczego na razie nie chcesz, żeby karmiła piersią - powiedział. - Jednak dziwię się, że Agatha miała tyle czasu, żeby ją upić, nawet jeśli to była brandy.

- Pamiętaj Jim, że ludzie z niższych klas społecznych mają szczęście, gdy chociaż raz w życiu uda im się skosztować wina.

A kiedy mają okazję, wypijają je duszkiem jak piwo. - Spoważniała. - To był po prostu cud - stwierdziła. - Szłam do górnej sali, ale poczułam jakiś niepokój i okazało się, że nie bez powodu. Kiedy tu wróciłam, Tom oznajmił mi, że wpuścił Agathę, ponieważ piastunka powiedziała mu, iż wpuszczano ją tu przedtem. Weszłam. Niania była już sztywna, a Agatha chciała udusić Roberta w... w... - głos odmówił jej posłuszeństwa, ale dokończyła - w kołysce.

Ostatnie słowa wymówiła zmienionym tonem, jaki Jim po raz pierwszy usłyszał z jej ust dopiero przed chwilą.

- Musiałaś wpaść tutaj w ostatniej chwili – zaczął.

- Próbowała ułożyć Roberta tak, żeby to wyglądało na wypadek! - powiedziała Angie. - Tylko dlatego nie zginął, zanim zdążyłam wrócić. Chociaż gdybym przyszła i znalazła go nieżywego, a ją przy nim, nikt nie musiałby mi niczego wyjaśniać. Chciałam ją wyrzucić, a wtedy chwyciła sztylet. - Znow zaczęła się śmiać. - Ja też miałam sztylet przy pasie, ale nawet nie przyszło mi do głowy, żeby go wyjąć. Uderzyłam ją pięścią. To ją zaskoczyło i zatrzymało na chwilę, a wtedy doszłam do siebie i złapałam jej rękę, w której trzymała sztylet. Jest bardzo silna, ale nie miałam zamiaru dać jej skrzywdzić Roberta lub siebie. Jednak cieszę się, że wróciłeś w porę!

- Ja też powinienem coś przeczuwać - stwierdził posępnie Jim. - Tymczasem szedłem po schodach, usiłując przypomnieć sobie słowa jakiejś piosenki o dwunastu dniach świąt.

Angie znów podeszła do niego, objęła go i ucałowała.

- Przyszedłeś, to najważniejsze - powiedziała. - Chodźmy do drugiego pokoju. Teraz, kiedy zrobiło się cicho, Robert sam zasnął, nie chcę nawet patrzeć na tę komnatę.

- A co z nianią? - spytał Jim. - Czy nie powinniśmy położyć jej na czymś?

- Nie - odrzekła Angie. - Niech tak zostanie. Przez dziesięć godzin lub dłużej i tak będzie jej wszystko jedno. A kiedy się ocknie, poczuje się okropnie - i dobrze jej tak. Powinna za to dać głowę, ale powiem jej po prostu, że odpowie za ten grzech przed Stwórcą. To gorsze niż cokolwiek, co mogłoby przytrafić się jej ciału. Chodźmy do drugiego pokoju, Jim.

Przeszli tam i usiedli na krzesłach przy stoliku, na którym stały bukłaki z winem i wodą oraz kubki. Ręce Angie odruchowo zaczęły przyglądać włosy i poprawiać brązową wieczorową suknię - Jim wiedział, że to jej ulubiona - jakby były obdarzone własną wolą. Suknia była z cienko tkanej wełny, ufarbowana na brązowy kolor, dopasowany do koloru oczu właścicielki. Miała modny w tym czasie, duży dekolt, obcisły stanik i szeroką, sięgającą podłogi spódnicę. Angie przerobiła ją w taki sposób, że wyglądała niemal jak dwudziestowieczna kreacja. Jako mężatka nosiła oczywiście włosy zaplecione i upięte w dwa koczki po obu bokach głowy. Jednak oprócz nich miała opaskę przytrzymującą zwyczajową, muślinową siateczkę, do której poprzyczepiała kawałeczki cieniutkiej srebrnej blaszki.



Jim nalał jeden kubek wina sobie, a drugi Angie, nie fatygując się dolewaniem do nich wody.

- Nie potrzebuję tego - zaprotestowała Angie, patrząc na kubek z winem.

- Mimo to wypij - polecił Jim. - Musisz zrobić coś, co zamknie całą sprawę.

Angie podniosła kubek do ust, upiła nieco wina, a potem pociągnęła długi łyk. Odstawiła kubek i zaczęła bardzo szybko mówić:

- Może masz rację, Jim, Właśnie zmierzałam do głównej sali, chcąc się pokazać, ponieważ ani ty, ani ja właściwie nie braliśmy udziału w uroczystościach przed dzisiejszym polowaniem z sokołami. Naprawdę, wcale nie byłam rano taka zmęczona. Po prostu nagle straciłam ochotę, by przyłączyć się do tego radosnego pokrzykiwania nad małym lisem zabitym przez sokoła. Lisek nie miał żadnych szans. Sokół był ogromny; myślę, że mógłby zwalić cię z siodła uderzeniem skrzydeł.

Nagle umilkła i siedziała nieruchomo. Potem pociągnęła kolejny łyk wina.

- Raczej nie - stwierdził Jim wolno i spokojnie. Mówił głównie po to, żeby mogła opanować zdenerwowanie. – Jednak masz rację co do tych uderzeń skrzydłami. Nie wiem, czy wówczas to zauważyłaś, ale to skrzydła dały mi przewagę nad Essessilim.

Pamiętasz tego węża morskiego, z którym walczyłem zeszłego lata, gdy węże morskie otoczyły zamek? Uderzałem go skrzydłami znacznie mocniej niż on był w stanie uderzyć mnie. Przeciwnik zbudowany tak jak on, z długim tułowiem na krótkich nóżkach, był zbyt gruby, aby zwinąć się jak zwykły wąż i włożyć wszystkie siły w uderzenie łbem.

- Powiedziałaś ci, dlaczego wróciłam - powiedziała Angie znacznie spokojniejszym głosem. Znowu upiła łyk wina. - A ty?

- Chciałem ci opowiedzieć, co działałem w sprawie zdemaskowania ukrytego trolla. Myślałem, że zastanę cię tutaj odpoczywającą,

Angie zaśmiała się. Teraz wreszcie był to znów jej zwyczajny śmiech.

- Obojętnie, jak na to patrzeć - stwierdziła - ale na pewno nie możesz tego nazwać odpoczynkiem! - Zajrzała do swojego kubka. - Jim, nie wierzyłam, że to może tak szybko podziałać, ale miałeś rację. To wino rzeczywiście pomaga.

- Działa szybciej, jeśli przeżyło się coś takiego - wyjaśnił

jej Angie upiła jeszcze łyżeczek.

- No - zachęciła - zaczynaj. Opowiedz.

- Wpadłem na pewien pomysł - zaczął Jim. - Chodzi o to, żeby Mnrogar - zamkowy troll - i earl usiedli przy jednym stole w mojej obecności w celu omówienia sprawy i znalezienia jakiegoś sposobu na to, aby Mnrogar mógł niepostrzeżenie wyjść na górę i obwąchać wszystkich gości po

kolei.

Ponownie napełnił jej kubek.

- Nie chcę - powiedziała Angie, spoglądając na niego.

- To nie pij - odrzekł spokojnie Jim. - Rzecz w tym, jak ten drugi troll zdołał przebrać się za człowieka.

- A ty nie masz pojęcia, jak on to robi... jakim rodzajem magii się posługuje, jeżeli to jest magia?

- Nie - odparł. - To właśnie mnie dziwi. Błogosławieństwo biskupa wyklucza użycie nowej magii, a to mógłby być wcześniejszy czar. Jednak naturalni nie mogą się posługiwać magią. Z drugiej strony, trudno pojąć, jak troll tego dokonał, jeśli nie za pomocą magii. Wiesz co, jedynym, który naprawdę mnie interesuje, jest Chandos...

W drugim pokoju cichutko zapłakał Robert.

- O rany - powiedziała Angie, podnosząc się z krzesła. - Zostań tutaj. Zaraz go przyniosę.

- Nie - rzekł Jim, również wstając. - Lepiej zejść i sprawdzę, czy zdołam szybko porozmawiać z Mnrogarem. Aargh będzie wiedział, kiedy się tam spotkamy. Jeśli to możliwe, postaram się namówić Mnrogara jeszcze przed obiadem. Czy wytłumaczysz mnie przed gośćmi? Powiedz im, że trochę się spóźnię.

Ostatnie słowa wykrzyknął za Angie, która już zniknęła w sąsiednim pokoju. Płacz Roberta ucichł i zapadła pełna ulgi cisza.

- W porządku - odkrzyknęła Angie. - Jeśli spotkasz po drodze Ennę, powiedz jej, żeby tu przybiegła. Nie powinna zostawiać tej dziewczyny samej z Robertem, wiedząc, że zeszłam na obiad!

- Dobrze! - powiedział Jim. Ennelia Boyer była służącą, którą Angie zabrała z Malencontri, wierną pokojową po trzydziestce. Przystanąwszy tylko po to, żeby przypiąć do pasa pochwę z mieczem - wyraźne pogwałcenie zwyczajowego prawa, kiedy było się gościem w czyimś domu - Jim skierował się do drzwi.

Enna nie mogła wyjść na długo. Była zbyt odpowiedzialna. Z drugiej strony, ponieważ piastunka była nieprzytomna, Angie nie będzie mogła zejść na obiad, dopóki służąca nie wróci.

Może powinien najpierw odszukać Ennę, a dopiero potem zejść do lochów Mnrogara? Na pewno wymknęła się do wielkiej sali zaraz za swoją panią, chcąc zobaczyć Angie w tej sukni, siedzącą na honorowym miejscu, gdyż to Enna poprzyszywała błyszczące kawałeczki srebra do muślinowej siateczki.

Na szczęście spotkał ją na schodach i już po pierwszych jego słowach służąca pobiegła na górę. Jednak zanim zdążył przystąpić do realizacji części planu dotyczącej Mnrogara, na dole

schodów ujrzał Briana, który z okrzykiem radości ruszył w jego stronę.

- Jamesie, tu jesteś! - zawołał. - Pospiesz się! Zjawiasz się w samą porę.

W porę? Na co? - zastanawiał się Jim.

- Giles w końcu przybył - ciągnął Brian, a jego głos odbijał się echem w wielkiej pustej przestrzeni między piętrami baszty - chociaż miał pecha i zwichnął sobie prawe ramię! Musisz zaraz tam przyjść. Chciałbym, żebyś zobaczył, jak sir Harimore potyka się z sir Butramem z Othery na tępe miecze i tarcze. To będzie wyrównana walka, chociaż sir Harimore ma lekką przewagę. Obaj z Giles'em powinniście wiele się z tego nauczyć. Chodź szybko, może już walczą!

Przekazując te wieści, Brian biegł do góry po krętych schodach wieży. Jim zdążył na jego spotkanie, jednak przezornie trzymał się blisko ściany, ponieważ, jak w większości takich budowli, schody nie miały żadnej balustrady czy poręczy.

- Giles jest tutaj? - zapytał z zadowoleniem.

Sir Giles de Mer towarzyszył im podczas pierwszej sekretnej wyprawy do Francji na ratunek młodemu księciu, dziedzicowi tronu Anglii. Giles był northumbriariskim rycerzem, a w jego żyłach płynęła krew silkie. Brian i Jim uratowali mu życie, zanosząc jego martwe ludzkie ciało do morza i rzucając je na fale. Natychmiast odżył jako foka i chociaż miał pewne problemy z powrotem do ludzkiej postaci, w końcu mu się to udało.

Był młody, jasnowłosy, krępy i bardzo zapalczywy. Dramatycznie zerwał ze zwyczajem ówczesnych rycerzy i zapuścił sumiaste wąsy, które wraz z wydatnym orlim nosem tak zdominowały rysy jego twarzy, że Jim dopiero po pewnym czasie pojął, iż to, co brał za nie ogolony, choć wystający podbródek, w rzeczywistości było próbą wyhodowania koziej bródki, jaką niektórzy rycerze nosili oprócz cienkiego wąsika.

Jim dotarł do Briana.

- Mówisz, że Giles jest na dole... - zaczął, ale przerwał mu głos dobiegający zza pleców przyjaciela.

- Nie, nie! - usłyszał i w następnej chwili zobaczył Giles'a. Rycerz miał prawą rękę na temblaku, lecz poza tym wyglądał tak jak zwykle - w zbroi, ostrogach i odzieniu odpowiednim do konnej jazdy. - Ha! Jamesie, naprawdę miło mi cię widzieć!

W następnej chwili dolne żebra Jima zatrzeszczały w żelaznym uścisku zdrowej ręki Giles'a, który ucałował go także w oba policzki, niemiłosiernie drapiąc je zarostem - northumbriariski rycerz najwidoczniej nie golił się co najmniej od paru dni.

- Mnie również miło cię widzieć! - odparł szczerze Jim. Jeśli Brian był jego najlepszym przyjacielem, to Giles był następnym na liście. - Co ci się stało w ramię?

- Głupi upadek z konia podczas potyczki z jakimiś łotrzykami, których spotkaliśmy po drodze.

W taką zimową porę głodują w lasach i są jak dzikie zwierzęta...

- Chodźcie! Chodźcie! - ponagla! Brian, tupiąc nogą z niecierpliwości.

- Lepiej chodźmy, Giles - rzekł Jim. - Później będziemy mieli okazję porozmawiać.

Z Brianem na czele pospiesznie ruszyli po schodach. Zeszli na parter i przez wielką salę wyszli na zewnątrz, na pole, które regularnie odśnieżano w oczekiwaniu na mający się odbyć turniej. Spoglądając na prowizoryczną trybunę dla ważniejszych osobistości, Jim dostrzegł earla i biskupa, a obok niego Agathę zawzięcie szepczącą temu drugiemu coś do ucha. Jednak duchowny prawie wcale jej nie słuchał. Całą uwagę skupił na trzech pojedynkach, jakie jednocześnie toczyły się na ubitej ziemi. On, Agatha, earl oraz człowiek biskupa - sługa, którego funkcji Jim do tej pory nie był w stanie zrozumieć - a także Chandos, wszyscy siedzieli na najwyższym miejscu trybuny, okutani w płaszcze i futra, obserwując trzy potyczki.

Prowadzeni przez Briana Jim i Giles przecisnęli się przez największy tłum oblegający drugą parę walczących, przy czym Brian wołał:

- Przejście, panowie i panie! Przejście! Wybaczcie, lecz sir James musi zobaczyć to z bliska. To niezwykle ważne!

Ich przejściu przez tłum towarzyszyły głośnie okrzyki urazy i złości odsuwanych na bok ludzi. Jednak widząc, że za Brianem, którego i tak poważano za umiejętność władania bronią, idzie Jim, a za nimi podąża rycerz z ręką na temblaku, ze zwykłej uprzejmości, nie mówiąc już o szacunku dla osoby uhonorowanej miejscem przy głównym stole, odpychani nie zgłaszali dalszych sprzeciwów.

Brian w końcu doprowadził ich do środka pierwszego rzędu widzów. Jim stwierdził, że sir Harimore potyka się z nieco starszym, ale znacznie cięższym i mocniej zbudowanym rycerzem, który zapewne był sir Butramem z Othery.

- Ha! Kapitalnie! Piękna robota, sir Harimore! – zawołał Brian, gdy lylko zajęli miejsca. - Widziałeś to, Jamesie? Giles?

Jak sprawił, że pchnięcie sir Butrama przeszło powietrze? Teraz patrzcie uważnie, bo to ciekawy pojedynek. Sir Butram jest silniejszy i znacznie szybszy w rękach, niż można by sądzić, tak więc niebezpiecznie jest podejść doń zbyt blisko. Sir Harimore, nadrabia mniejszą wagę zręcznością i szybkością ruchów. Patrzcie, jak przysuwa się i cofa, usiłując sprowokować sir Butrama do ataku. Jednak sir Butram jest starym i doświadczone wojownikiem, więc nie da się tak łatwo zwieść. Widzicie, robi jeden krok, ale tylko jeden i niemal natychmiast mocno staje na nogach. Nie pozwoli, aby sir Harimore zmęczył go, prowokując do zbyt energicznej riposty. Zmusza sir Harimore, aby na niego natarł i w końcu to sir Harimore musi podjąć ryzyko. Jednak założę się, że ostatecznie to sir Harimore zwycięży w tym pojedynku... - Brian nie przerywał tych nieustannych komentarzy i krytyk, przypominających Jimowi sprawozdanie radiowe z zawodów sportowych. Jim zamierzał porozmawiać z Giles'em i dowiedzieć się więcej o jego podróży i przyczynie spóźnienia. Jednak przekonał się, że ten nie ma ochoty na pogawędki, gdyż słucha Briana i nie odrywa oczu od toczącej się walki.

To samo dotyczyło wszystkich stojących wokół widzów. Najwidoczniej niezwykle ceniono tu doświadczenie i krytyczny zmysł Briana. - .. Sir Butram robi dwa kroki w tył. Teraz sytuacja ulega zmianie. To sir Butram prowokuje sir Harimore'a do wypadu. Sir Harimore rusza i... ha!

Sir Harimore istotnie ruszył. W dodatku szybciej, niż Jim uznałby za możliwe, sir Butram zasypał nagle przeciwnika gradem ciosów swego szerokiego miecza, lżejszego i krótszego niż przypuszczał Jim - jak większość nie znających się na tym ludzi z dwudziestego wieku - zanim zjawił się w tym średniowiecznym świecie i zobaczył taką broń na własne oczy.

- Jednak sir Harimore dobrze się osłania. Zauważ kąt nachylenia jego tarczy, Jamesie, właśnie tego próbowałem cię nauczyć, klinga musi ześlizgiwać się po niej. Teraz sir Harimore cofa się na odległość ramienia, a sir Butram stoi tam, gdzie stał, nadal zachęcając przeciwnika do wypadu...

Nad dźwiękami dobiegającymi z pozostałych dwóch kręgów widzów obserwujących potyczki, nad milczeniem skupionych wokół Briana, którzy nasłuchiwali jego słów, uniosło się - nagle i niesamowicie w ten słoneczny dzionek - przeciągłe wycie wilka.

Rycerze walczący stępionymi mieczami nie zwrócili na to uwagi. Jednak ci kibice, którzy jeszcze nie zamilkli, teraz gwałtownie ucichli.

- To omen - mruknął ktoś za plecami Jima.

- Zły omen - rzekł inny gros.

Istotnie, pomyślał Jim, powszechnie tak się uważa. Wilcze wycie za dnia - jak wiele takich niezwykłych wydarzeń - ci ludzie uważali za zapowiedź nadchodzącego nieszczęścia. Prawdę mówiąc, ten niesamowity dźwięk miał wywołać dreszcz zgrozy i zmusić do milczenia. Jednak on nie przejął się nim. Nie znał się na wyciu zwykłych wilków, lecz to słyszał już wielokrotnie. Co więcej, rozpoznał w nim wiadomość przeznaczoną właśnie dla niego.

To był Aargh, niecałe ćwierć kilometra dalej.

## Rozdział 20

To wycie oznaczało jedynie, że Aargh jest blisko, Mnrogar znajduje się w swoim legowisku pod zamkiem i wilk jest gotów towarzyszyć Jimowi, kiedy ten będzie próbował namówić trolla na spotkanie z earlem.

- Giles - mruknął Jim do ucha niższego rycerza tak cicho, żeby nie usłyszał go żaden ze stojących w pobliżu widzów.

- Taak? - Giles niechętnie oderwał wzrok od walki między sir Harimoreem a sir Butramem. Brian, stojący teraz tuż przed nimi, praktycznie komentował ją dla całego tłumu, nie zwracając szczególnej uwagi na przyjaciół.

- Zamierzam się stąd wymknąć - powiedział Jim nadal przyciszonym głosem. - Muszę iść. Zobaczę się z wami później. Gdyby ktoś z tłumu zapytał, dokąd poszedłem, powiedz, że udałem się

zbadać magicznymi sposobami to wilcze wycie.

Giles nie należał do wolno myślących. Bez słowa kiwnął głową.

Jim odwrócił się i powoli, cicho przeproszając potrącanych ludzi, przepchnął się z powrotem przez tłum. Potem, idąc najszybciej jak mógł, nie zwracając na siebie uwagi, wrócił na zamek. Maszerował w takim tempie, dopóki w pobliżu byli ludzie, którzy mogli go zauważyć. Jednak kiedy znalazł się na schodach wiodących ze stajni na parterze do podziemi, w ostatniej chwili przystanął i chwycił wiązkę łuczywa płonącego w metalowym uchwycie, żeby oświetlić sobie drogę.

Po namyśle, na czwartym i ostatnim rzędzie schodów przed siedzibą Mnrogara, wyjął miecz i resztę drogi pokonał trzymając w dłoni ostrą, gotową do ciosu stal. Brian, pomyślał Jim, byłby zadowolony.

Na najniższym poziomie migotliwe płomienie łuczywa oświetliły wielkie łuki i podpory podtrzymujące budowlę, Jim zawahał się, stanąwszy u stóp schodów, a potem przeszedł kilka kroków w głąb trollowego królestwa. Żadnego dźwięku, żadnego wyzwania ze strony mieszkańca podziemi,

- Mnrogarze? - zawołał Jim.

Żadnej odpowiedzi.

- On jest tutaj - rozległ się chrapliwy głos Aargha. - Czemu przybywasz tak późno? Kiedy cię wezwałem, stałem w lesie pod zamkiem, tuż przy wylocie tunelu.

- Ja też byłem poza zamkiem, oglądałem walki - odparł Jim. - Przyszedłem najszybciej, jak mogłem. Mnrogar tu jest? A więc gdzie się podziewa?

- Tuż za tobą, człowieku - powiedział równie zgrzytliwy głos Mnrogara i nagle oblał ich jasny, trollowy blask. Jim błyskawicznie obrócił się, zanim troll za jego plecami wymówił pierwszą sylabę. Mnrogar wyszczerzył ostre siekacze w czymś, co mogło być trollową wersją uśmiechu, chociaż zupełnie pozbawioną wesołości.

- Spójrz na niego - rzekł Mnrogar. - Stoi tu z naszykowanym mieczem. Nie wiesz, że ostrze miecza nie przebije skóry trolla, człowieku? Nie jesteśmy zrobieni z takiego kiepskiego materiału, jak wy!

- Nie potrzebuję miecza na ciebie - powiedział Jim. - Wyjąłem go na szczury, schodząc do podziemi.

- Nie ma tu szczurów - warknął Mnrogar. - Zjadłem wszystkie przez pierwsze sto lat, a potem przestały przychodzić.

Spojrzał na Aargha.

- Wilki też nic nie widzą w zupełnych ciemnościach - powiedział. - Potrzebują choć słabego

światła. Ty też miałaś zęby w pogotowiu, wilku?

- Nie widzimy nic w ciemności, trollu - rzekł Aargh. - Jednak mamy czułe nosy, w przeciwieństwie do nosów ludzi i trolli. Zdołasz podejść do mnie bez mojej wiedzy dopiero wtedy, kiedy ktoś cię przeżuje.

Aargh przeszedł kilka kroków w troll owej poświacie, aż stanął prawie obok Jima, naprzeciw Mnrogara. Jim poczuł się pewniej, lecz tylko trochę. W upiornej poświacie zamkowy troll wydawał się jeszcze większy. Teraz Jim przypomniał sobie, o czym mówił Mnrogar. Rzeczywiście, powiadano, że skóra trolla jest odporna na ciosy miecza. Zawsze sądził, iż to tylko legenda, ale sposób, w jaki mówił o tym Mnrogar, świadczył, że musiało być w tym trochę prawdy - czyż jednak Aargh nie groził, że rozerwie kłami tętnicę pod ramieniem trolla? Ta brudna, żółtobrązowa skóra nie mogła być nie do przebiccia.

- Pamiętaj Mnrogarze, że mam nie tylko ostrze mego miecza - powiedział. - W tym rzecz. Jak już mówiłem, nie potrzebuję miecza, dopóki mam moją magię. - Na potwierdzenie tych słów włożył broń do pochwy. - Co do tej magii, czy mam jeszcze raz ukazać ci jej moc?

- Neeee! - zawył troll w odpowiedzi, wściekle i boleśnie. - Mów, co masz do powiedzenia, i odejdz. Nie kocham cię. Żadnego z was!

- A kto kocha ciebie, Mnrogarze? - powiedział Aargh i rozchylił pysk w niemym uśmiechu.

- Nikt. I nikogo nie potrzebuję!

- Nikogo? - powtórzył Aargh. - Przez dwa tysiące lat broniłeś tego terytorium przed wszystkimi innymi trollami i nigdy nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś spotkać innego przedstawiciela twojej rasy w takich okolicznościach, że moglibyście raczej porozmawiać niż walczyć? Nie pomyślałeś o tym? Powiem ci, Mnrogarze, że ja pomyślałem, choć moje życie jest krótkie, bardzo krótkie w porównaniu z twoim, lecz dostatecznie długie, aby były w nim chwile, kiedy chciałbym jeszcze raz spotkać dawnych towarzyszy. Jeśli tak mało się mnie boisz, dlaczego zacząłeś rozmawiać ze mną wtedy, gdy po raz pierwszy tu trafiłem? Dlaczego nie próbowałeś mnie złapać i zjeść?

W podziemiach zamku zapadła chwila ciszy, w której wszystko jakby zastygło w bezruchu.

- Jestem trollem - odparł Mnrogar. - Trolle nie myślą tak, jak wilki czy ludzie! Czego ode mnie chcesz, magu?

- Wymyśliłem sposób, w jaki mógłbyś wywęszyć tego drugiego trolla na górze, tak żeby nikt o tym nie wiedział - tylko ja i jeszcze jedna osoba.

- Wywęszyć? - wybuchnął Mnrogar. - Zróbmy to. Gdziekolwiek jest, ja... - Nagle zamilkł. - A czy będę tam bezpieczny? - zapytał. - Czy to nie jest pułapka?

- Nie - odparł Jim. - To tylko propozycja. Opowiem ci o niej, a wtedy zdecydujesz, czy chcesz to zrobić. Zgoda?

- Zgodzę się czy nie, skąd mogę wiedzieć, dopóki mi nie powiesz? - prychnął Mnrogar.

- Po prostu ty i earl usiądziecie razem i uzgodnicie...

- Uzgodnimy?!! - Ryk Mnrogara zdawał się wstrząsać kamiennymi łukami. - Z nim?! Prędeż powyrywam mu wszystkie kończyny i wyszę szpik z jego kości! To mój zamek, nie jego, chociaż on tak twierdzi! Zbudowany na mojej, a nie jego ziemi! Jeśli go tu przyprowadzisz, sprowadzisz na niego śmierć!

- Zatem jesteś głupcem - stwierdził Aargh.

Ryk Mnrogara znów zdawał się wstrząsać sklepieniem.

- Głupcem, wilku?

- Głupcem, powiedziałem - powtórzył z niewzruszonym spokojem Aargh. - James zna swoich pobratymców ludzi lepiej, niż ty kiedykolwiek ich poznasz. Ponadto ma znacznie więcej rozumu od ciebie, prawie tyle samo, ile wilk. Wysłuchaj go, zanim zaczniesz gadać o zabijaniu.

Mnrogar warknął coś pod nosem, ale to wszystko. Skierował pałające ślepia na Jima.

- Earl byłby w stanie - zaczął Jim - niepostrzeżenie zaprowadzić cię na górę i znaleźć ci jakieś miejsce, gdzie mógłbyś się ukryć, a potem obwąchiwać kolejnych gości. W ten sposób odkryłbyś tego, który jest przebrany troll. Możesz być silny, twoja skóra może być odporna na ciosy miecza, lecz na górze jest zbyt wiele mieczy i zbyt wielu ludzi. Jeśli spróbujesz tam wejść inną drogą, to ty wybierzesz pewną śmierć. Chyba że earl będzie twoim przyjacielem i zapewni ci bezpieczeństwo. Pomyśl o tym przez chwilę.

Kiedy Jim wspomniał o pójściu na pewną śmierć, Mnrogar uniósł łapska zakończone złowrogo lśniącymi w trollowej poświacie szponami. Jednak teraz opuścił je i bez słowa spoglądał na rozmówcę. Jim czekał. Troll wyraźnie zastanawiał się i prawdopodobnie ten proces miał chwilę potrwać. I rzeczywiście. Minęło co najmniej kilka minut zanim Mnrogar oderwał wzrok od kamiennej podłogi i znów popatrzył na Jima.

- Powiedz mi - rzekł. - Dlaczego? Dlaczego earl miałby to zrobić? Na pewno czegoś ode mnie chce. Inaczej po co by to robił?

- Chce tylko zawrzeć z tobą pokój - odparł Jim, w myślach krzyżując palce na szczęście, ponieważ jeszcze nie uzyskał na to zgody earla i bardzo możliwe, że ten będzie się wzdragał przed tym pomysłem tak samo, jak Mnrogar, - Tak jak i tobie, nie podoba mu się, że jakiś troll ukrywa się wśród jego gości. Działając razem, możecie dowiedzieć się, który to z nich, i pozbyć się go. Sam nie zdołasz tego dokonać i earl też nie. Ponadto dzieje się tu coś dziwnego. Czy wiesz, że wokół nas zebrała się armia trolli, które nie walczą i nie pożerają się wzajemnie?

- NIE!!! - wrzasnął Mnrogar. - To niemożliwe. Nie wierzę. Wiedziałbym, gdyby weszły na moje terytorium!



- Są tuż za granicą twojego terytorium - powiedział Aargh. - Nigdy nie słyszałem, żeby trolle postępowały w taki sposób. Jednak są tutaj.

- Właśnie - ciągnął Jim. - A ich obecność musi mieć jakiś związek z tym trollem w przebraniu, który jest teraz na zamku. Nie możemy pojąć, jak ten intruz zdołał tak upodobnić się do ludzkiej istoty, że został uznany za jednego z gości. Jednak kiedy go nam wskażesz, dowiemy się, jak to robi. Właśnie tego chcemy my, magowie. Aargh ma rację. Trolle zgromadzone tuż poza granicami twojego terytorium muszą mieć coś wspólnego z tym na górze, Oba te fakty są nieprawdopodobne, takie rzeczy nigdy przedtem nie miały miejsca. Ponieważ zdarzyły się jednocześnie, muszą jakoś łączyć się ze sobą.

- Tak - warknął Mnrogar, a jego skryte w głębokich oczodołach ślepiea rozbłysły zainteresowaniem. - Takie zgromadzenie... ile ich jest?

- Chyba jedna trzecia jednej trzeciej tych lat, jakie przeżyłeś - odpowiedział mu Aargh.

- Aż tyle? - zdumiał się troll i po raz pierwszy Jim usłyszał w jego głosie nową, dziwną nutę. - Ale dlaczego aż tyle? I nie walczą? To nie leży w naszych zwyczajach, a ponadto tylko jeden z nich może przejąć moje terytorium, jeśli zostaną zabity.

- Nazywają cię królem trolli - przypomniał Aargh.

- Jestem nim! - Mnrogar dumnie uniósł głowę. - Nie ma takiego trolla jak ja, który żyłby tak długo, walczył tak dobrze i zawsze zwyciężał. Kiedy najadałem się do syta, czasem chowałem się w pobliżu resztek posiłku, żeby sprawdzić, czy jakiś mniejszy troll spróbuje ucztować na tym, co zostawiłem, i w ciągu tych długich lat czasami chwyciłem jakiegoś, po czym mówiłem mu, że jestem królem trolli i puszczałem go wolno, żeby opowiedział o tym innym, tak by wiedzieli i trzymali się z daleka od tego, co moje.

- A więc nie masz pojęcia, po co przybyły tu te wszystkie trolle? - spytał Jim.

- Ja? - zdziwił się Mnrogar. - Skąd miałbym wiedzieć?

- Może zebrały się, żeby oddać ci cześć - rzekł z ironią Aargh.

- Oddadzą mi cześć, uciekając na mój widok - warknął Mnrogar. - Nie wiem, dlaczego tu są. Nie podoba mi się to. Jednak jeszcze bardziej nie podoba mi się ten troll ukryty na górze. Dajcie mi porozmawiać z tym waszym earlem, który rości sobie prawo do mojego zamku i mojej ziemi!

- Najpierw musimy ustalić warunki - powiedział Jim. - Spotkanie odbędzie się na neutralnym terenie.

- A cóż to takiego? - spytał podejrzliwie Mnrogar.

- Miejsce w lesie, gdzie nikogo nie ma, gdzie możecie porozmawiać spokojnie i w tajemnicy, tylko wy dwaj, ja, być może Aargh i jeszcze jedna osoba. Tylko ty, ja i earl usiądziemy przy stole, przy czym ja będę tam po to, żebyście rozmawiali pokojowo. Będę w moim smoczym ciele, o którym

być może słyszałeś, i dopilnuję, by ani earla, ani ciebie nie poniósł temperament.

- Smok? - warknął Mnrogar. - Żaden troll od tysięcy, tysięcy lat nie zdołał pokonać smoka. To nasi odwieczni wrogowie.

- Ponieważ - wtrącił Aargh - w walce jeden na jednego to one zjadają was, a nie odwrotnie.

- To kłamstwo..., - Mnrogar urwał w pół zdania. Aargh znów rozdziawił pysk w bezgłośnym uśmiechu. - Mamy inne powody, żeby ich nienawidzić!

- Raczej - powiedział łagodnie Aargh - inne powody, żeby się ich obawiać.

- Troll niczego się nie boi! - ryknął Mnrogar.

Aargh zaśmiał się.

- Powiedziałem już, że ty i twoi pobratymcy jesteście głupcami - rzekł do Mnrogara. - A to, co teraz mówisz, tylko to potwierdza. Mądry zawsze zachowuje czujność. Wilki również niczego się nie boją. Mimo to nie wydają bitwy, której nie mogą wygrać.

- Właśnie - przytaknął Jim w zadumie, myśląc o historii dwudziestego wieku - tylko ludzie to robią.

Jednak ani Aargha, ani Mnrogara nie interesowała ludzka głupota.

- Dobrze więc - stwierdził troll. - Gdzie mam spotkać earla? Lepiej, żeby nie było to miejsce, gdzie miałyby za plecami dwudziestu zakutych w stal ludzi!

- Przecież powiedziałem ci, że będziesz tylko ty, on, ja, Aargh i może jeszcze ktoś - mag, który jest moim mistrzem i pozostanie jedynie obserwatorem przysłanym przez innych magów, nie weźmie udziału w dyskusji. Chyba rozumiesz, że celem tego spotkania jest określenie podstaw pokojowego współistnienia i zgodnego działania, aby znaleźć tego ukrytego trolla? Rozumiesz to?

- Rozumiem - zagrzemiał Mnrogar. - Postaraj się, aby twój earl zrozumiał. W porządku, nie obawiam się tych, których wymieniłeś, chociaż nie podoba mi się, że będziesz tam jako smok. Może nie powinienem tam iść, jeśli nie zostaniesz tym, czym jesteś teraz, to znaczy człowiekiem.

Jim poczuł, że ogarnia go złość. Jakiś czas temu zauważył, iż smoki są bardzo dumne z tego, że są smokami, i za nic nie chciałyby być nikiem innym - ani ludźmi, ani innymi stworzeniami. Odkrył również, że on też jest dość dumny z bycia smokiem. Tak jakby jego smoczy sposób myślenia w jakiś sposób stopił się z ludzkim. Nie chciałby stać się nikiem innym, lecz był dumny z tego, że jest częściowo człowiekiem, a częściowo smokiem.

- Będę tam w smoczym ciele - rzekł - albo nie będzie żadnych rozmów i nigdy nie znajdziesz tego trolla!

- No dobrze - warknął Mnrogar. - Mają być tylko ci, których wymieniłeś. W lesie, powiadasz?

- Tak.

Mnrogar spojrział na Aargha.

- W lesie? - powtórzył pytanie. - Widziałeś to miejsce?

Ty też tam będziesz?

- Będę - rzekł wilk.

- I to jest w lesie, jak mówi ten mag?

- Tak - odparł wilk.

- W moim lesie? Na moim terytorium? Nie obok tych trolli, które, waszym zdaniem, zebrały się wokół zamku?

- Tak, na wszystkie pytania - warknął Aargh.

- Magu - rzekł troll, znów spoglądając na Jima. - Kiedy?

- W tej chwili nie mogę powiedzieć na pewno - odrzekł ostrożnie Jim. - Zapewne jutro lub w ciągu następnych dwóch dni. Nie sądzę, żeby miało to nastąpić później. Dam ci znać; a może zrobi to Aargh?

Popatrzył na wilka.

- Jeśli będę w pobliżu - obiecał zagadnięty. - A teraz dość tego. Jeśli to już koniec pytań, a mam taką nadzieję, to mam ciekawsze rzeczy do zrobienia, niż stać tu i gadać z wami dwoma. Jeszcze coś?

- Ja nie mam pytań - rzekł Jim.

- Będę czekać - powiedział Mnrogar.

Aargh odwrócił się i zniknął z kręgu trollowej poświaty.

- No cóż - powiedział Jim do Mnrogara, nagle, pomimo swoich magicznych umiejętności, czując się nieswojo sam na sam z trollem. - Ja też już pójdę, Mnrogarze.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wszedł na schody. Trollowa poświata za jego plecami zgasła i nagle odkrył, że jego pochodnia wypaliła się podczas rozmowy. Ponieważ opuścił już lochy pod zamkiem, nie mógł użyć swej magii, więc szedł po omacku, aż słabe światło, sączące się na schody ze stajni, upewniło go, że na górze jest jakiś świat.

Teraz pozostało mu uzyskać zgodę earl a na spotkanie. To będzie trudniejsza sprawa. Earl nie był partnerem dla trolla i wiedział o tym.

## Rozdział 21

- Dlaczego? - pytał earl.

Był uparty jak zaprzęg dwudziestu mułów wściekających się jednocześnie, a Chandos dotychczas niewiele pomógł Jimowi, ograniczając się do umiarkowanego poparcia niektórych jego argumentów przemawiających za podjęciem rozmów z Mnrogarem.

- Ponieważ - odparł cierpliwie Jim - jak już mówiłem waszej lordowskiej mości, lepiej mieć jednego dużego trolla w podziemiach zamku niż całą bandę mniejszych, biegających po lasach i pożerających zwierzynę, a może nawet bydło, jeśli nie dzierzawców i wieśniaków waszej lordowskiej mości. Ten troll, mając taki rozległy teren łowów, poluje wyłącznie na dziką zwierzynę i pomimo swych rozmiarów zjada mniej, niż zjadłoby pół tuzina czy tuzin mniejszych trolli.

- To moja ziemia, do licha! - rzekł earl. - Mam obowiązek nie wpuszczać na nią trolli - żadnych trolli. Zamiast paktować z nim, powinienem ruszyć na niego z drużyną zbrojnych i zabić go.

- On twierdzi, że to jego ziemia - przypomniał Jim.

- Bzdura! - zapienił się earl. - Trolle nie mogą posiadać ziemi! Moja rodzina zamieszkuje tu od czasów Rzymian!

- Według tego, co on mówi - odparł Jim - a jego rozmiary dowodzą, że może mówić prawdę, on tu mieszka od osiemnastu wieków, A to oznacza, że ten teren należał do niego jeszcze przed przybyciem Rzymian.

- Trolle nie mogą posiadać ziemi! - powtórzył earl.

Raz po raz wracali do tego punktu. Earl trzymał się tego argumentu i za nic nie chciał ustąpić. Tymczasem w rzeczywistości chodziło o to, rozmyślał Jim, że choć earl był dostatecznie odważny, aby w asyście tylko dwóch zbrojnych zapaść się na schody pod stajnię w celu ujrzenia „olbrzyma”, który podobno tam mieszka - to teraz zdążył wszystko przemyśleć, przypomniał sobie swój wiek, wagę i brak ćwiczeń, po czym uznał, iż znacznie więcej przemawia za tym, aby z małą armią za plecami stanąć przed trollem. Szczególnie że miał przecież swoje obowiązki. Krótko mówiąc, w nieustraszoną sercu earla zagościł szary rozsądek.

Jim zastanawiał się, czy nie wspomnieć, że aby ich chronić, a także obserwować przebieg rozmów, udział w spotkaniu weźmie też Carolinus dysponujący przecież siłą magiczną. Jednak dobrze wiedział, że w chwili, gdy wspomni, iż może tam być ktoś jeszcze, earl skorzysta ze sposobności, by wymenić jednego czy więcej ludzi, których on chciałby zabrać, i znikną wszelkie szanse na rozpoczęcie tych negocjacji.

Mnrogar z pewnością nie pojawi się, jeżeli na spotkanie przyjdzie ktoś, kogo nie zapowiedziano. Troll mógł jakoś znieść obecność Aargha. Gdyby jednak ujrzał kogoś jeszcze, zapewne zniknąłby, nim zdążyłoby się poprawnie wymówić jego imię.

Prawdziwy problem polegał na tym, że ani Mnrogar, ani earl nie mieli ochoty na żadne

ustępstwa. Tymczasem musieli je poczynić. Jim znów wytoczył swój jedyny, niepodważalny argument.

- Jeśli pozbędziesz się Mnrogara, milordzie - powiedział do earla - nie tylko będziesz musiał uporać się z problemem wielu innych trolli zamieszkujących twoje lasy, ale ponadto nigdy nie dowiesz się, kim jest troll kryjący się pośród twoich gości.

- A skąd mam wiedzieć, że tak jest? - warknął earl. - Jedyнным dowodem na to są słowa Mnrogara, czy jak on się tam zwie! Słowo trolla... fuj!

Najwidoczniej, pomyślał Jim, tutaj często używa się słowa „fuj”. A może po prostu nigdy przedtem nie zwrócił na nie uwagi.

- Nie wydaje się prawdopodobne, żeby zamkowy troll tak zawzięcie próbował zwalić sobie te mury na łeb, gdyby nie było tu innego trolla - wtrącił łagodnie Chandos. Earl spojrział na niego.

- Nie, sir Johnie. Jednak... - Earl, który przez cały czas trwania tej rozmowy wyglądał na zagniewanego, teraz wydawał się jeszcze bardziej zły, nie znajdując dobrej odpowiedzi. - Może i tak. Jednak nie mamy pewności. Natomiast jestem pewny, że w podziemiach jest troll.

- Tak, milordzie - powiedział Jim - jednak temu trollowi na dole niewiele możesz zrobić. Jeśli zejdiesz do niego ze swoją drużyną, w swoim legowisku potrafi zniknąć bez śladu. Na zewnątrz nie może zniknąć, ale wychodzi tylko po to, żeby zapolować, więc schwytanie go byłoby wyłącznie dziełem przypadku. Odżywia się nieregularnie, ponieważ zjada bardzo dużo naraz. Jedyнным pewnym sposobem złapania go byłoby odnalezienie w lesie wylotu jego tunelu; a nie tylko trudno byłoby go zlokalizować, ale gdybyś postawił tam strażnika, troll wywęszyłby go od razu i wykopałby inny tunel, tworząc nową drogę ucieczki ze swego legowiska.

Krótko mówiąc, możesz wiele zyskać, jeśli z nim porozmawiasz, i niewiele osiągniesz innymi sposobami.

- Przecież mam obowiązki! - warknął earl. Spojrział na Chandosa. - Czyż nie, sir Johnie?

- Niewątpliwie, milordzie - rzekł uspokajająco Chandos. - Z drugiej strony, kwestię obowiązku można rozpatrywać z różnych punktów widzenia. Może być i tak, że nawiązanie rozmów z tym zamkowym trollem jest najlepszym sposobem ich spełniania.

- Tak powiadasz? - wahał się earl. W przeciwieństwie do Carolinusa nie miał długiej brody, którą mógłby zuć w takich chwilach, wyrażając swoją frustrację. Jednak Jim miał wrażenie, że robiłby to teraz, gdyby ją miał.

- Istotnie, milordzie - powiedział szybko Jim z nadzieją, że wreszcie dojrzał szczelinę w kamiennym murze jego uporu. - W końcu troll chce rozmawiać tylko z tobą. Z pewnością nie będzie mówił z nikim innym oprócz ciebie, a wstępne ustalenia na pewno okażą się potrzebne dla uzyskania tego, o co ci chodzi - żadnego potrząsania zamkiem, żadnych nowych pęknięć w murach.

- Wiesz o tym? - wykrzyknął earl, nadymając się ze złości i strosząc brwi,

- Tak, milordzie. Powiedział mi o tym Carolinus.

- Aa... tak - mruknął earl i oklapł.

- Chciałem rzec, milordzie - ciągnął Jim - że dla osiągnięcia tego celu i zdemaskowania kryjącego się wśród nas trolla, niewątpliwie potrzebne są jakieś wstępne rozmowy, a te mogą odbyć się tylko na najwyższym szczeblu - między zamkowym trollem a tobą.

- Rozmowy wstępne? - Earl spojrział na niego lekko wytrzeszczonymi oczami.

- Rokowania, milordzie - wyjaśnił Chandos.

- Ach, rokowania - powtórzył earl. - No cóż. Sądzę, że to...

- Prawda - rzekł sennie Chandos, jakby do siebie - to rzecz bez precedensu. Wątpię, aby jakkolwiek earl na świecie kiedykolwiek paktował z tak starym trollem, który był tutaj zanim Rzymianie zaczęli rządzić tą wyspą. Jestem pewien, że nie. Historia zachowałaby przekaz o takim wydarzeniu. Imię tego earla przetrwałoby nie tylko w księgach mnichów, lecz i w pamięci zwykłych ludzi...

- Hmm? - Earl odchrząknął pytająco, spoglądając na Chandosa, który patrzył w dal i zdawał się tego nie zauważać. - W pamięci...? Tak, tak... podejrzewam, że masz racje... z pewnością. Tak, tak, masz słuszość.

Jim gwałtownie zbierał myśli. Rysa, którą odkrył w murze uporu earla, została bardzo zręcznie wykorzystana przez Chandosa, który polechtał próżność earla. Ludzi w czternastowiecznym świecie charakteryzowała jedna wspólna cecha - wszyscy byli sfrustrowanymi aktorami. Na przykład książę, mimo wszelkich prób powstrzymania go, pod wpływem kaprysu rozdawał na prawo i lewo dobra oraz zaszczyty, ponieważ tak było „po królewsku”. Ktoś, kto przyjął lub dał sobie narzucić jakąś rolę, odgrywał ją do końca. Każdy król korzystał z wszelkich sposobności, aby wydać się bardziej królewski od innych. Każdy książę chciał być bardziej książęcy i tak dalej, aż do earla. A ten styl przejęły także niższe sfery i każdy chciał uchodzić za znaczniejszego i lepszego od innych. W tej chwili stojący przed nim dobry earl Somerset już widział mnichów zapisujących jego imię w kronikach. Ta perspektywa była niezwykle kusząca. W końcu był rycerzem - i to przez całe życie. A rycerz może znaleźć się w centrum wydarzeń, jedynie dokonując niebezpiecznych i śmiałych czynów. Tak więc, osiągając wiek, w jakim mogli zostać pasowani na rycerzy, tacy ludzie, jak earl, sir Brian i sir Harimore byli gotowi na wszelkie ryzyko, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. W euforii wywołanej taką możliwością łatwo zapominali o ewentualnych kosztach w postaci ran lub śmierci - a Jim nie miał wątpliwości, że earl właśnie dawał się ponieść entuzjazmowi.

Kiedy earl uświadomił sobie, że życie nie składa się wyłącznie z machania mieczem i łamania kopii, miał już potężnego wroga, którego powinien wyeliminować. Ta świadomość w połączeniu z rosnącym przekonaniem, iż życie jest piękne i dobrze byłoby sobie pożyć jeszcze wiele lat, toczyła w tej chwili zacieklą bitwę z pokusą znalezienia się w kronikach. Jim postanowił zaryzykować. Earl

znalazł się na rozdrożu i teraz albo nigdy należało go popchnąć w prawidłowym kierunku. Zamierzał jak najmniej mówić earlowi o udziale Carolinusa w spotkaniu oraz Aargha w wyborze odpowiedniego miejsca - po prostu dlatego, że nie wierzył, aby earl nie puścił pary z ust i nie zrobił z tego publicznej tajemnicy. Gdyby earl poprzysiągł, że nikomu tego nie wyjawia, ta informacja byłaby bezpieczna. Jednak domaganie się od niego takiej przysięgi byłoby najgorszą zniewagą. Uznałby, że jego słowo powinno każdemu wystarczyć. I tak powinno być, jednak Jim miał mieszane uczucia.

- Milordzie - powiedział - zechcesz podejść, do tego okienka?

Znajdowali się w górnej części wieży i przez wąską strzelnicę mieli doskonały widok na przedpole zamku, otwartą przestrzeń za murami oraz ścianę lasu,

- Po co? - warknął earl.

- Chciałbym ci coś pokazać, milordzie - rzekł Jim. - To sprawa niezwykle ważna i poufna. Jeśli pozwolisz...

Earl burknął coś niechętnie, ale podszedł do okienka i spojrzął przez nie.

- Widzisz, milordzie - zaczął Jim - tam, za murem i za tą otwartą przestrzenią, gdzie zaczyna się las, jest taka mała polanka między drzewami, nie na tyle duża, aby dwaj rycerze mogli kruszyć tam kopie, lecz całkiem spora. Drzewa i krzaki otaczają ją półkolem otwartym od strony zamku. Należy zachować to w tajemnicy, gdyż mój mistrz Carolinus skorzystał ze swoich magicznych umiejętności i tam, poza obszarem pobłogosławionym przez biskupa, przygotował najlepsze z możliwych miejsce do rozmów między tobą a trollem. Zauważ, że będziemy tam dobrze widoczni z zamkowych murów, znajdujących się w zasięgu strzału z łuku. Twoi ludzie na blankach będą mogli obserwować nas przez cały czas, gotowi do interwencji, gdyby była potrzebna.

- Ha - powiedział earl z lekkim powątpiewaniem.

- Jedyne problem - ciągnął Jim - polega na tym, że troll nigdy nie zgodziłby się na spotkanie, gdyby wiedział, że odbędzie się ono w takim odsłoniętym miejscu. Dlatego Carolinus wykorzystał swoją magię, aby trollowi wydawało się, że ta polanka jest całkowicie otoczona drzewami i nikt nie może jej dostrzec, a wy obaj i ja w moim smoczym ciele jesteśmy sami i nie obserwowani przez nikogo.

Earl przyjrzał się polance, odwrócił się i zerknął na Jima. Po chwili rozpromienił się.

- Ha! - powiedział.

Jim poczuł przyływ otuchy. To „Ha!” zostało powiedziane właśnie takim tonem, jaki pragnął usłyszeć. Jednak earl zaraz znów spochmurniał.

- Jednak moje obowiązki... - zaczął, zawahał się i zerknął na Chandosa.

- Milordzie - wtrącił gładko Chandos, tak że ledwie zdążyłoby się mrugnąć okiem, zanim earl urwał, a on zaczął - obowiązek jest czymś, co z całą pewnością należy zawsze brać pod uwagę. Z

drugiej strony, są sytuacje daleko wykraczające...

Na moment przesunął spojrzenie na Jima, a potem znów na earla tak szybko, że Jim ledwie to zauważył. Jednak lepiej zaryzykować niż przepuścić taką sposobność.

- Przepraszam, że przerwę - rzekł Jim - lecz być może są pewne sprawy, milordzie, które wolałbyś omówić w cztery oczy z sir Johnem. Tak więc chyba lepiej będzie, jeśli was teraz opuszczę.

Zawsze możecie mnie ponownie wezwać, gdybym był potrzebny.

Earl przytaknął, Chandos skinął głową i Jim umknął z komnaty na korytarz, kierując się w stronę swej kwatery, by zaczerpnąć chwili spokoju - jeśli to tylko możliwe - w towarzystwie Angie.

- Kiedy obowiązek dotyczy spraw niezwyklej wagi, niezrozumiałych dla zwykłych ludzi, a nawet dla niektórych szlachetnie urodzonych... - mówił Chandos, gdy Jim zamykał drzwi.

Jim ruszył w kierunku schodów, czuł ogromną ulgę. Nie wątpił, że Chandosowi uda się znaleźć argument, jakiego potrzebował earl. Reakcja earla na słowa Jima, który przypomniał, że zbrojni będą w pobliżu, gotowi pomóc, gdyby sprawy między nim a trollem przybrały zły obrót, wykluczała wszelkie wątpliwości. Earl nie obawiał się starcia. Nie chciał tylko stracić reszty życia, jakie mu pozostało, ani odnieść jakiejś rany, która nie pozwoliłaby mu cieszyć się nim w pełni, na przykład z Agathą Falon? Ta ostatnia myśl poruszyła Jima. Czy earl i Agatha po prostu dobrze bawili się na przyjęciu, czy też kryło się za tym coś więcej? Książę Edward był przekonany, że zarzucał sieci na samego króla. Może to był jeszcze jeden problem, jakim powinien się zająć; jednak teraz zupełnie nie miał czasu na angażowanie się w dodatkowe sprawy. Naprawdę przydałby mi się dłuższy urlop, pomyślał kwaśno Jim, idąc w dół po schodach.

- Zgadnij, co się stało, Angie - powiedział, wchodząc do komnaty i widząc żonę wygodnie wyciągniętą na fotelu.

- Co? Co się stało? - krzyknęła Angie, szeroko otwierając oczy. - Robert...!

Zaczęła podnosić się z fotela.

- Nie, nic. - Jim uspokoił ją machnięciem ręki. Z poczuciem winy uświadomił sobie, że Angie korzystała z jednej z nielicznych chwil wytchnienia od tysiąca obowiązków. Opadła z powrotem na fotel, z niezadowoleniem spoglądając na Jima.

- Dlaczego mnie budzisz? - zapytała.

- Przepraszam, Angie. Nie wiedziałem, że śpisz.

Naprawdę było mu przykro. Jednak podświadomie czuł - jednocześnie usiłując robić wszystko, czego żądał od niego Carolinus i wszyscy inni - że większość obowiązków, które Angie wzięła na siebie, mógł przejąć ktoś inny. Gdyby Angie była taka, jak niemal każda kobieta o jej pozycji i znaczeniu w tych czasach, pozostawiłaby opiekę nad Robertem służącym i całkowicie zapomniała o



nim w ferworze świątecznej zabawy. Oczywiście, ani Angie, ani on nie przepadali za tym, co w tych czasach uważano za wspaniałą rozrywkę. Angie na pewno nie lubiła polowań z sokołami.

I z całą pewnością nie lubiła być gwałtownie budzona.

- O co chodzi? - pytała. - Ledwie usiadłam na minutę, a tu bach! - i wpadasz jak bomba.

- Nie wiedziałem, że spałaś - tłumaczył Jim. - Naprawdę musisz częściej wychodzić. Piastunka i Enna mogą zaopiekować się dzieckiem, a gdyby coś się stało, jedna z nich zostanie przy nim, a druga pobiegnie po ciebie.

- Może - powiedziała Angie. Jednak wciąż wyglądała jak kot głaskany pod włos. - No, o co chodzi? Po co przyszedłeś?

- Mieszkam tu, pamiętasz?

- Racja - powiedziała Angie. - Mieszkasz.

Trochę się uspokoiła,

- Jednak mogłabym przysiąc - powiedziała - że chciałeś mi coś powiedzieć, kiedy mnie zbudziłeś.

- Prawdę mówiąc - zaczął Jim - mam ci mnóstwo rzeczy do powiedzenia i dotychczas nie miałem okazji. Kto jest w drugim pokoju, oprócz Roberta, rzecz jasna?

- Enna - odparła Angie. - Kiedy Robert śpi, wszyscy śpią. No, siadaj i powiedz mi, co się stało.

- Kilka spraw - zaczął Jim, siadając. Odruchowo sięgnął po kubek oraz bułki z wodą i winem.

- Za dużo pijesz.

- Wszyscy tu za dużo piją - odparł Jim, mając na myśli wszystkich w średniowieczu. Nalał sobie pół kubka wina i dopełnił go wodą. - Tym razem ja tego potrzebuję. Właśnie dyskutowałem z earlem, usiłując namówić go do rozmów z trollem z podziemi, Mnrogarem. Mówiłem ci o nim.

- Tak, jestem na bieżąco - powiedziała Angie. - Ale dlaczego on chciał rozmawiać z earlem?

- Nie chciał - odparł Jim. - A earl nie chciał mówić z nim. To mnie na tym zależy, żeby porozmawiali i może dogadali się na tyle, aby earl wpuścił Mnrogara na górę, nie zabijając go i nie raniąc, pozwalając mu wywęszyć tego trolla, który ukrywa się wśród nas.

- Nie mogę uwierzyć w to, że wśród nas jest troll.

- Wiem - powiedział Jim. - Mnie też trudno w to uwierzyć. Nawet, co jest najbardziej

niewiarygodne, Carolinusowi przyszło to z oporami. Jednak Mnrogar przysięga, że czuje trolła. Co więcej, jest tym naprawdę zdenerwowany. Wyjaśniałem ci, że to jego terytorium i żaden troll nie powinien go naruszać, prawda?

- Tak.

- Najgorsze jest to - powiedział Jim - że muszą spotkać się gdzieś poza murami zamku i to w takim miejscu, gdzie zarówno earl, jak i Mnrogar czują się bezpiecznie. Myślę, że w końcu udało nam się je znaleźć, a przed chwilą, przy pomocy Chandosa, przekonałem earla.

Opowiedział jej o tym.

- A zatem - stwierdziła Angie, przytomna i znacznie weselsza - nie masz już powodów do niepokoju.

- Ha! - powiedział Jim.

- Ostatnio często to mówisz.

- Hmm, wszyscy tak mówią.

- Wszyscy mężczyźni - powiedziała Angie tonem wyraźnie sugerującym, jak niewielkiej ewolucji uległ styl męskiej konwersacji od czasu, gdy wszyscy mieszkali w jaskiniach. - Chcesz powiedzieć, że masz inne zmartwienia, tak?

- Właśnie - rzekł Jim. - Odwiedził nas tutaj nasz zamkowy skrzat. Wszystkie smoki chcą wziąć udział w przyjęciu u earla. Jest tutaj Giles, a Brian wciąż oczekuje, że skrzyżuję z nim kopie, miałby okazję pokazać mi arkana tej sztuki. Fakt, że mogę przy tym skrócić kark, nie ma, oczywiście, żadnego znaczenia.

- Opowiedz mi o tym - zażądała Angie. - Opowiedz mi wszystko.

Tak też zrobił.

- Nasz własny kuchenny skrzat - powiedziała w zadumie, kiedy skończył. - Zastanawiam się, dlaczego nigdy nie pokazywał się na zamku?

- Myślę, że zrobiłby to, kiedy przyzwyczaiłby się do nas i gdybyśmy byli tam sami - odparł Jim. - Jest bardzo cichy i nieśmiały. Jednak Secoh kazał mu odszukać mnie i przekazać mi wiadomość. Podejrzewam, że nie był w stanie myśleć o niczym innym. Zasadniczo nie należy oczekiwać od naturalnych intelektualnych fajerwerków.

- To prawda - przytaknęła Angie. - Lubię Rrrnlfa, lecz mimo że ma taką wielką głowę i pomyślałbyś, iż odpowiedni do tego rozum, czasem wydaje mi się bardzo prymitywny. Nie chciałam powiedzieć, że jest prymitywny w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie, on jest trochę dziecinny i prostoduszny.

- Może wszyscy naturalni... - zaczął Jim, ale usłyszał skrobanie do drzwi. - Kto tam?

Biorąc to za zaproszenie, pilnujący kwatery wartownik uchylił drzwi i włożył głowę w szparę.

- Sir Brian czeka na zewnątrz i chciałby wejść, milordzie - oznajmił.

- Oczywiście - zaczął Jim. Jednak Brian już przecisnął się obok zbrojnego i wszedł.

- Jamesie, Angelo - powiedział i opadł na jedyne wolne krzesło. O Jimie, czy kimkolwiek innym nie będącym rycerzem, można by powiedzieć, że osunął się na nie. Tymczasem Brian, jak wszyscy jego pasowani bracia, był tak zahartowany przez lata siedzenia w siodle, na stołkach i ławach, że nie potrafił wygodnie wyciągnąć się w fotelu. Oczywiście, usadowił się wygodnie, ale siedział sztywno jak na paradzie.

- Ale ambaras! - powiedział.

- Co znowu? - zapytała Angie.

## Rozdział 22

- Chodzi o Giles'a - odrzekł Brian. Obrzucił pożądliwym spojrzeniem bukłak z winem, więc Jim podsunął mu go razem z kubkiem.

- Należysz sobie, Brianie? - zachęcił. - Nie wiem, ile dolać ci wody.

- Och, woda nie będzie potrzebna - odparł rycerz, nalewając sobie pełny kubek i opróżniając go jednym haustem. Uśmiechnął się z zadowoleniem do obojga gospodarzy. - Ach! Bardzo tego potrzebowałem. Tak.

- To samo powiedział przed chwilą Jim - napomknęła Angie. - I co z tym Giles'em? Jim wspominał, że on tu jest, ale nic więcej nie mówił. Czy coś mu się przydarzyło?

- Nie jemu - powiedział Brian - chociaż zwichnął sobie rękę, spadając z konia podczas drobnej utarczki z jakimiś łotrzykami na drodze. Nie, to przemiły człowiek, jak wiecie, ale będzie gadał.

- Gadał? - zdziwił się Jim. - O czym? Nie ma w tym nic złego.

Ostatnie słowa wyrzekł z prawdziwą ulgą. Znał zapalczywość Giles'a i jego skłonność do wyzywania wszystkich na pojedynki z najbardziej błahaego powodu - im znaczniejszy i groźniejszy przeciwnik, tym lepiej.

- Nie, nie - powiedział Brian, jakby czytał Jimowi w myślach. - Z każdym jest na przyjaznej stopie. Wszyscy go lubią... tylko... to przemiły człowiek, jak już powiedziałem, ale będzie gadał!

- Jeżeli to, co mówi, nikogo nie obraża - stwierdził Jim - to nie ma w tym nic złego.

- Ha! - wykrzyknął Brian.

Angie wstała i wyszła do drugiego pokoju. Brian ze zdumieniem spojrział za nią.

- Czyżbym... - zaczął, ale w tejże chwili zasłona uchyliła się i Angie wróciła do nich, uśmiechając się miło do Briana.

- Mów dalej - zachęciła.

- No, jak już mówiłem - rzekł Brian - a raczej, jak mówił Jim, gadaniem nikogo nie obrazi. Jednak nie chodzi o zniewagę. Rzecz w tym, że oni są zbyt zainteresowani tym, co on ma im do powiedzenia. Opowiada im o nas, o naszych przygodach we Francji, o tym magu i w ogóle. A oni zachęcają go, żeby mówił dalej.

- Nadal nie widzę żadnego problemu - stwierdził Jim. - Jednak mam wrażenie, że powinien, sądząc po tym, że przyszedłeś taki wzburzony.

- On wywołuje pewien problem, Jamesie - odparł Brian. - Chociaż to nie tylko jego wina. Szczerze mówiąc, Jamesie, ty, a także ty, pani... Och, wiem, że mieliście po temu poważne powody, ale reszta gości rzadko was widywała, oprócz tych krótkich chwil przy stole, kiedy nie mieli okazji porozmawiać i poznać was bliżej. Chyba rozumiecie, iż oni wszyscy przybyli tu w nadziei, że poznają Smoczego Rycerza i jego lady, która jeździ na smokach? Szczególnie panie chcą się dowiedzieć, jak to jest, kiedy jedzie się na smoku, Angelo. Panowie, oczywiście, chcą usłyszeć od ciebie, Jamesie, o bitwie pod twierdzą Loathly i różnych przygodach, jakie przeżyliśmy we Francji, oraz w drodze tam i z powrotem. Mieli nadzieję, że im o tym opowiesz. Tylko...

- No cóż, prawda - rzekł Jim. - Przykro mi. Po prostu miałem tyle spraw na głowie. Mimo to...

- Żadnych wymówek! - powiedział stanowczo Brian. - Na tym polega problem. Wybacz, że tak mówię, lecz niejedni z nich uważa, że celowo trzymasz się od nich z daleka, jakbyś nie uważał ich za równych sobie, tak jak księcia, earla, biskupa i sir Johna.

Przy ostatnich słowach głos Briana przybrał prawie przeproszający ton, ponieważ takich rzeczy nie powinno się mówić do starych przyjaciół, którzy ponadto są szlachetnie urodzeni.

Jim i Angie spojrzeli po sobie.

- Nie mogę mieć im tego za złe - powiedział powoli Jim. - Od kiedy tu przybyliśmy, nie miałem okazji rozmawiać z nikim oprócz tych, których wymieniłeś, a Angie była bardzo zajęta.

- Och, mogę pokazywać się częściej niż dotychczas - obiecała Angie. - Masz zupełną rację, Brianie, oni mają prawo tak myśleć. Będę się pokazywać częściej. Oboje będziemy, prawda, Jim?

- Tak! - przytaknął Jim, uśmiechając się serdecznie do Briana.

- Wspaniale! - odparł rycerz. - Wiedziałem, że taka będzie wasza odpowiedź. No cóż, Jamesie, możesz zacząć od dziś zostając na sali po obiedzie. Angela, rzecz jasna, nie musi być tam dłużej niż wypada. Większość... ee... dam opuszcza nas niedługo po obiedzie. Jednak panowie zawsze siedzą jeszcze przez jakiś czas, nawet do wieczoru. Zostań dziś z nami, Jamesie, a wszyscy poczują, że mieli

okazję poznać Smoczego Rycerza. Wiesz, że żaden z nich nie życzy ci źle. Po prostu niektórzy nie są pewni tego, czy ich obecność jest przez ciebie mile widziana. A to mi przypomina, iż chyba powinniście już szykować się do obiadu.

- Obiad? - powtórzył Jim, jak człowiek budzący się z głębokiego snu. Przetarł oczy. - Wybacz, Brianie, ale jaki mamy dziś dzień?

Przyjaciel spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

- Dopiero pierwszy dzień po Bożym Narodzeniu.

- Dopiero?

- W istocie - potwierdził Brian. Potem rozpromienił się. - Och, wiem co masz na myśli, Jamesie. Nie ma dziś mszy, a earl nie zaplanował żadnych igrzysk po obiedzie. Możemy siedzieć przy stole tak długo, jak zechcemy. Hmm... ale czy nie powinniście zacząć się ubierać? Ja już oczywiście wychodzę. Wpadniecie po mnie, idąc na dół?

- Może lepiej spotkamy się w komnacie Geronde? - zaproponowała Angie. - Powiedzmy... za pół godziny?

- Doskonale - odrzekł Brian i odszedł.

Niecałą godzinę później wszyscy czworo wkroczyli do sali biesiadnej. Tym razem byli wcześniej i wchodząc do wielkiej sali, zobaczyli, że ani earla, ani biskupa jeszcze nie ma przy stole, co oznaczało, iż obiad jeszcze oficjalnie się nie zaczął, chociaż miejsca były w trzech czwartych zajęte, a większość gości jadła już i piła. Przewidując to, Brian po drodze zaproponował, aby dobrze wykorzystać ten czas. Geronde miała przedstawić Angie kilku znanym sobie damom, Brian zaś zobowiązał się poznać Jima z innymi rycerzami. W rezultacie nie poszli prosto do głównego stołu, lecz rozdzielili się, przy czym Geronde udała się z Angie, a Brian z Jimem przeszli na drugi koniec długiego stołu. Jim stwierdził, że pierwszym gościem, do którego prowadzi go Brian jest - nie do wiary - sir Harimore.

- Miło mi znów cię widzieć, sir Jamesie - rzekł sir Harimore, wstając od stołu i odwracając się do nich. - Sir Brianie.

- Sir Harimore - zaczął Brian. - Sir James był ze mną, kiedy podziwialiśmy twoją ćwiczebną walkę z sir Butramem z Othery. Był ze mną jeszcze jeden dobry przyjaciel, northumbriański rycerz, niejaki sir Giles, którego nie widzę tu teraz. Jednak zarówno sir James, jak sir Giles oklaskiwali twoje szermiercze popisy. Ja także. Sir James i ja chcieliśmy powinszować ci wygranej walki.

- Czysty przypadek - rzekł sir Harimore. - Szczęśliwy cios w chwili, gdy sir Butram lekko opuścił tarczę. Chociaż ćwiczyliśmy stępioną bronią, zaniepokoiłem się o tego zacnego rycerza, kiedy upadł. Jednak gdy się ocknął po dłuższej chwili, wyglądał tylko na lekko oszołomionego i słyszę, że skończyło się na lekkim bólu głowy. Za żadne skarby nie chciałbym zrobić mu krzywdy.

- Ani ja - rzekł Brian. - To prawy rycerz i dowiódł tego wielokrotnie.

- No cóż, w takim razie dziękuję tobie i sir Jamesowi za uprzejme powinszowania - powiedział sir Harimore, patrząc bystro na Jima.

- Z pewnością były zasłużone - dodał Jim. - Twoja biegłość w posługiwaniu się orężem wywarła na mnie wrażenie.

- Och, jedna czy dwie sztuczki - powiedział sir Harimore. Obrócił się bokiem do stołu. - Czy mogę was poznać z lady z Othery, która siedzi obok mnie? Sir Butramowi puszczono krew i teraz leży w łóżku.

Jim i Brian przedstawili się. Lady z Othery była znacznie młodsza od mężczyzny, którego Jim widział krzyżującego miecze z sir Harimore'em. Miała jasne włosy, żywe niebieskie oczy i ładną buzię.

- Ponadto, po drugiej stronie stołu siedzi sir Henry Polinar, sir Gillian z Burne, sir Alfred Neys...

Jim wymieniał uprzejmości z kolejnymi rycerzami, którzy również wstawali i kłaniali się. Starał się każdemu powiedzieć coś miłego. Po krótkiej rozmowie Brian zaprowadził go w inne miejsce stołu, gdzie Jim został przedstawiony kolejnym rycerzom i damom, zupełnie mu nie znanym. Natomiast wszyscy oni doskonale znali Briana. Zaryzykował spojrzenie na drugi koniec sali, zobaczył Geronde i Angie w grupce liczącej około pół tuzina dam, stojących kręgiem i pogrążonych w wesołej rozmowie. Od czasu do czasu dobiegały stamtąd wesołe śmiechy.

Jim poznał łącznie piętnaście czy dwadzieścia osób, których nazwiska kompletnie mu się pomieszały. Był przekonany, że za nic ich sobie nie przypomni, kiedy ponownie natknie się na którąś z nich. Wszyscy zdawali się zadowoleni z tego, że mogą go poznać, więc wyrzuty sumienia dręczące go, od kiedy Brian powiedział mu o tych, którzy są rozczarowani jego nieobecnością, zaczęły trochę słabnąć. Te korowody zakończyły się, gdy na salę wszedł earl z Agathą Falon i biskupem. Ich przybycie posłużyło Jimowi jako pretekst, żeby wyrwać się z towarzyskiego kieratu i zająć z Angie miejsca przy głównym stole. Dobrze było uwolnić się na chwilę od obowiązku poznawania wciąż nowych ludzi, którzy chcieli porozmawiać ze Smoczym Rycerzem i zobaczyć go w jego legendarnej postaci.

- Sir - usłyszał głos obok siebie, z tej strony, której nie zajmowała Angie. Odwrócił się; to była ta dama w średnim wieku, którą spotykał przy stole podczas wszystkich poprzednich posiłków.

Widocznie widziała, jak przed chwilą udzielał się towarzysko, i nie zamierzała przepuścić takiej okazji.

- Dobrze, że znów jesteś wśród nas, sir Jamesie - powiedziała. - Czekałam na odpowiednią chwilę, by dowiedzieć się czegoś o twoich przygodach w smoczym wcieleniu. Powiedz, kiedy pierwszy raz odkryłeś, że jesteś smokiem?

Jim pospiesznie szukał słów, które wytłumaczyłyby to wydarzenie w sposób zrozumiały i

nieszkodliwy.

- To zdarzyło się pewnego dnia - rzekł - kiedy odkryłem, że moja żona zaginęła.

Uśmiechem dodała mu odwagi.

- A wtedy, sir Jamesie...?

- No cóż, to było w mojej posiadłości Riveroak - ciągnął Jim - daleko, daleko od Anglii. Odgadłem, iż to dzieło złego czarnoksiężnika, i miałem rację. Ruszyłem na poszukiwania i zmusiłem go, żeby posłał mnie tam, dokąd zabrano Angie. Kiedy dotarłem na miejsce, stwierdziłem, iż została schwytana przez smoka, a ja sam też jestem smokiem.

- Rzeczywiście! Fascynujące! - powiedziała dama, - I co było potem?

Jim był zmuszony opowiedzieć całą historię bitwy o twierdzę Loathly.

Przez jakiś czas nie miał okazji porozmawiać z żoną. Kiedy znalazł chwilkę czasu, Angie była zatopiona w ożywionej rozmowie z biskupem, który siedział po jej lewej stronie - Jim nie miał pojęcia, według jakich zasad rozmieszczano gości, ale wyraźnie zaszła tu jakaś zmiana. Dobry sługa Kościoła siedział teraz między Angie a earlem. W tym momencie wygłaszał jakąś przemowę, której Angie słuchała w głębokim skupieniu. Jim może odważyłby się zwrócić się do Angie, lecz postąpiłby bardzo nieuprzejmie, przerywając biskupowi. Udawał pochłoniętego jedzeniem. Na szczęście zagadująca go dotychczas dama również zajęła się tym, co znajdowało się na stole, a zdecydowanie nie należała do kobiet, które dbają o linię. Pochłonięta jedzeniem, zainteresowała się także winem, a spożywszy sporo jednego i drugiego, zaczęła drzemać i tego dnia nie zadawała już Jimowi żadnych pytań. W rezultacie Jim, pozbawiony przez elokwentnego biskupa możliwości rozmowy z Angie, po uprzednim towarzyskim wysiłku teraz nie miał co znajdowało się robić, jak tylko jeść i pić - obie czynności niebezpieczne dla kogoś, kto nie zamierzał objeść się ani upić.

Dopiero trzy godziny później, kiedy Angie i większość innych niewiast opuściło salę - znaczna ich część szła zwartą grupą obok Angie, gdyż zamierzały porozmawiać gdzieś na osobności - obiad całkowicie zmienił charakter. Prawdę mówiąc, przekształcił się w coś, czego dotychczas Jim szczęśliwie unikał w tym czternastowiecznym świecie, Przywykł do takich posiedzeń po głównym posiłku dnia, który dobrze urodzeni rozpoczynali wczesnym popołudniem i czasem przedłużali aż do wieczoru, a przynajmniej do czasu, gdy trzeba było zapalić świece lub pochodnie. Jednak dotychczas takie posiedzenia odbywał albo w małych grupkach, w których porządek utrzymywał żelazną ręką ktoś taki, jak Herrac de Mer, ojciec Giles'a, albo z bliskimi przyjaciółmi, którzy starali się przestrzegać dobrych manier, więc przynajmniej rozmawiali sensownie do czasu zakończenia spotkania. Jednak te świąteczne obiady u earla, tak jak słyszał, wyglądały całkiem inaczej.

Jim nie był niewinny jak dziecko. Wiedział, że takie sytuacje mogą zdarzyć się podczas długotrwałych przyjęć, na których nie wylewano za kołnierz, a wśród gości przeważali mężczyźni - niekoniecznie pozostający ze sobą w najlepszej komitywie. Podobne sytuacje napotykał w dwudziestowiecznych knajpach lub podczas prywatek nastolatków, gdzie było mnóstwo alkoholu i energii, która potrzebowała ujścia. Takie zabawy niemal zawsze były pijackie, hałaśliwe i czasami

kończyły się bijatyką. Jim spodziewał się, że niektóre świąteczne przyjęcia u earla będą miały właśnie taki przebieg. Jednak nie docenił tych ludzi.

Nie zastanawiając się nad tym zbyt wiele, nie wiadomo dlaczego oczekiwał, że zasady dobrego wychowania obowiązujące szlachetnie urodzonych będą ich obowiązywać przez cały czas, nawet daleko od domu i podczas zabawy. Okazało się, że był w błędzie - chociaż dało się to zauważyć dopiero wtedy, kiedy obiad nie tyle zakończył się, ile zmierzał ku końcowi. Na stołach nadal były zakąski i dania, lecz obżarci biesiadnicy spoglądali na nie wytrzeszczonymi oczami, niezdolni przełknąć ani kęsa więcej. Jednakże, chociaż goście nie mogli już jeść, niewątpliwie nadal mogli pić wino, a stojące na każdym stole dzbany z wodą do rozcieńczania trunku coraz częściej były ignorowane.

Jim spodziewał się, że obecność nielicznych pozostałych na sali kobiet będzie przypominać mężczyznom o konieczności przestrzegania zasad dobrego wychowania. Zapomniał, że średniowieczne panie są równie gadatliwe i swobodne jak ich rycerze. Rezultatem był pijacki, ogłuszający zgiełk. Jediną pozytywną stroną tego hałasu była jego zdumiewająca melodyjność. Kiedy uczta osiągnęła tę fazę, gdy goście nabierali ochoty do muzykowania, śpiewali niezwykle dobrze. Jim nigdy nie przestawał się temu dziwić. Zachowywali się tak nawet najbiedniejsi oracze.

Wielokrotnie powtarzał sobie, że nie ma w tym niczego dziwnego, ale zawsze był zdziwiony. Śpiewanie było jedną z niewielu rzeczy, które nic nie kosztowały, dlatego wszyscy mogli z niej korzystać. Niemal każda grupa przypadkowych biesiadników potrafiła nucić zgodnie jak zespół rewelersów. Jedynym problemem było to, że w kilku miejscach sali różne grupy gości śpiewały jednocześnie różne pieśni, nieuchronnie powodując kakofonię dźwięków.

Ratunek nadszedł z nieoczekiwanej strony.

- Cisza! - ryknął earl, waląc pięścią w stół. - Cisza, do diaska! Powiedziałem, CISZA!

Krzyczał tak, aż jego słowa powoli dotarły do wszystkich i gwar stopniowo ucichł. Śmiechy i rozmowy urwały się, śpiewające grupki umilkły i wreszcie w sali zapadła głucha cisza,

- Teraz lepiej! - wrzasnął earl. Najwidoczniej nie dolewał sobie wody do wina. - Zróbmy tu jakiś porządek. Jedna piosenka naraz i wszyscy śpiewają wspólnie, kiedy zapiewają wykona pierwszą zwrotkę. Ja będę wyznaczał śpiewaków. Sir Harimore!

Kiedy zgiełk na sali ucichł, ludzie znów pozajmowali swoje miejsca przy stole. Teraz wszyscy siedzieli. Sir Harimore wstał i zaczął śpiewać bardzo swobodnie czystym, dźwięcznym tenorem.

*Deo gratias Anglia,*

*Redde pro victoria.*

*Cny nasz krol k'Normandy i pobieżał...*

Jim rozpoznał utwór już po pierwszych słowach. Była to Pieśń o Agincourt, którą poznał w trakcie studiowania literatury średniowiecza. Jego magiczny (albo i nie) tłumacz pozwalał mu ją



słyszeć w bardziej współczesnej angielszczyźnie niż w czternastowiecznym dialekcie, w jakim śpiewał sir Harimore. Jim w myślach przełożył tekst na zapamiętaną ze studiów londyńską gwaraę Chaucera - wspomagając się dwudziestowieczną angielszczyzną w tych fragmentach, gdzie zawodziła go pamięć.

*Cny nasz krol k'Normandy i pobieżał,*

*Stało przy nim siła rycerza;*

*Bóg im łaskaw i wiktoryję zsyła,*

*Tera Anglio tobie powstać - wołać:*

*Deo gratias!*

Najwidoczniej wszyscy znali tę pieśń. Mówiła o zwycięstwie króla Henryka V nad Francuzami w bitwie pod Agincourt stoczonyj w 1415... Jim zreflektował się.

Już dawno stwierdził, że znalazł się w czternastowiecznej Anglii, lecz w alternatywnym świecie. Teoretycznie, w czasie gdy o niej tu śpiewano, do bitwy pod Agincourt jeszcze nie doszło. Jednak zdążył już odkryć cały szereg takich przypadków, kiedy historia tego świata nie zgadzała się z historią nauczaną w jego dwudziestowiecznej rzeczywistości. W każdym razie ludzie zebrani na tej sali nie tylko wiedzieli o bitwie, ale doskonale bawili się, śpiewając o niej.

Teraz wszystkie głosy połączyły się w następnej zwrotce, opisującej, jak król Henryk oblegał miasto Harfleur. Cudownie brzmiał ten zgrany chór, w którym wybijały się soprany nielicznych obecnych kobiet, nadając pieśni niemal anielskie brzmienie. Jim nie mógł się oprzeć i śpiewał razem z nimi, chociaż cicho, aby nie ranić uszu najbliższej stojących biesiadników. Powoli doszli do ostatniej zwrotki, którą wszyscy odśpiewali z nadzwyczajnym entuzjazmem.

*Boże bądź miłościw króla tego doli,*

*Jego ludu i wszego luda dobrej woli;*

*Daj mu żywot długi i krotkie konanie,*

*Abyśmy dziś szczęsne podnieśli wołanie:*

*Deo gratias!*

W sali zapadła cisza; Jim z zadowoleniem usiadł na wyścielanym krześle. Poruszył go chór śpiewający pieśń, której słowa rozpoznawał, ale której melodii nigdy nie słyszał.

Jednak earl już wyznaczył kolejnego zapiewajkę. Dość gruby rycerz w średnim wieku wstał i zaintonował dźwięcznym barytonem pieśń znaną nawet w dwudziestym wieku jako piosenka ludowa.

*Mom ja siostrę młodom,*

*Hen za wielkom wodom;*

*Przysyło mi dziwy,*

*Ło jokich w om podom.*

Jim już słyszał w myślach nowoczesną wersję następnej zwrotki.

*Przysłała mi rybę bez ości*

*Oraz kurczaka bez kości...*

Znów śpiewała cała sala. Widocznie tę piosenkę także wszyscy znali, tak samo jak następne, które zostaną tu wykonane. Jim śpiewał z nimi, czasem w nowoczesnej angielszczyźnie, a czasem w rozbrzmiewającej wszędzie dookoła mowie Chaucera.

Jednak teraz piosenka zbliżała się do finału. Po chwili earl wstał i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu następnej ofiary. Jego spojrzenie przesunęło się wzdłuż długich stołów, wróciło do honorowych gości i spoczęło na Jimie.

- Smoczy Rycerz! - krzyknął.

Jim poczuł nagłą pustkę w głowie. Wstał z krzesła. Nie miał pojęcia, jaką pieśń może zaśpiewać tym ludziom, tak aby była zrozumiała, a jednocześnie nie uraziła ich obyczajów, dobrych manier czy religii. Z pewnością kolęda byłaby jak najbardziej na miejscu, lecz nie przypominał sobie żadnej, która wydałaby się odpowiednia. Miał niemiłe wrażenie, że jako znany mag, powinien szczególnie uważać, co mówi o świętach Bożego Narodzenia i związanych z nimi boskich osobach. Nagle doznał nieoczekiwanego olśnienia. Otworzył usta, rozpaczliwie modląc się, aby wybaczone mu fakt, iż jego głos był jedynie sznaps-barytonem i zaczął śpiewać.

*Dobry Król Wieńczysław ruszył*

*W dzień Świętego Stefana,*

*Gdzie śnieg wszystko przyprószył,*

*Co zasypał ziemię od rana.*

*Jasno księżyc tej nocy świecił,*

*Chociaż mróz mocno napierał,*

*Kiedy człeka biednego ujrzeli,*

*Który chrust na opał zbierał.*

*„Do mnie, paziu, i zaraz mi powiedz,*

*Jeśli masz o tym jakie zdanie.*

*Onże wieśniak, kimże być może?*

*Gdzie i jakie jest jego mieszkanie?"*

*„Panie, tam pod zboczem góry*

*Ów nieszczęśnik niegdyś zamieszkał,*

*Tam, gdzie rosną nieprzebyte bory*

*I swe źródło ma Święta Agnieszka".*

*„Przynieś jadła i przynieś tu wina.*

*Przywlecz także sosnową kłodę.*

*Ty i ja ugościmy go tutaj*

*W dzionek jasny, w zimową pogodę".*

*Paź i król poszli potem pospołu.*

*Poszli razem w drogę daleką.*

*Przez dzikie zawodzenie wichru*

*I śniegi bielutkie jak mleko.*

*„Panie, dręczy mnie ten chłód niemiły*

*I zmęczenie we znaki się daje,*

*Wiatr odbiera mi wszystkie siły*

*Chyba nie dam rady iść dalej",*

*„ Idź mymi śladami, wierny paziu.*

*Krocze nimi prosto i śmiało.*

*A zobaczysz, że zimowy wicher*

*Nie tak silnie ziębi twoje ciało".*

*I poszedł paź swego Pana śladem*

*I głośno mądrość Jego sławił,*

*Bo z każdym krokiem czmychał ziąb*

*W ciepłe, które święty zostawił.*

*Odtąd, bądź pewien, człeku boży,*

*Szlachetny czy bogaty,*

*Ty, coś dla biednych szczodrym był,*

*W niebie doczekasz zapłaty!*

Jim dotarł do końca pieśni. Nikt nie przyłączył się do niego i wydało mu się, że w sali zapadła głęboka, głucha cisza. Twarze wszystkich gości były zwrócone ku niemu. Nie miał pojęcia, czy wyrażały gniew, zaskoczenie czy rozbawienie. Odruchowo usiadł.

Milczenie przedłużało się. Nagle przerwał je donośny głos, który dochodził gdzieś zza pleców Jima i bez trudu mógłby zagłuszyć ryk earla.

- Właśnie, Deo gratias! - zagrzmiął biskup, który najwidoczniej w tej chwili wrócił na salę. Jim instynktownie odwrócił się i wpadł w potężne ramiona duchownego, który serdecznie ucałował go w oba policzki. Potem duchowny prawie odrzucił go na bok, obracając się do sali.

- Dzięki Bogu, mężowie i niewiasty szlachetnego rodu i charakteru - zawołał - za rycerza, będącego jednocześnie magiem, który zawstydza was wszystkich, śpiewając tak pięknie o bożej łasce w ten dzień, jeden z najświętszych w roku! Cóż to, nie znajdujecie na to odpowiedzi? Nie przyznacie, że zapomnieliście o jego miłosierdziu?

Tama milczenia runęła. W przebłysku intuicji Jim zrozumiał, że milczeli nie dlatego, iż byli niezadowoleni z tej pieśni lub nie zrozumieli jej słów, ale ponieważ nie wiedzieli, jak mają zareagować na maga śpiewającego coś, co z pewnością było psalmem.

Zaczęto łomotać w stoły i krzyczeć:

- Jeszcze raz, Smoczy Rycerzu! Zaśpiewaj ją jeszcze raz!

Ledwie mogąc uwierzyć w taki szczęśliwy obrót wydarzeń, Jim otworzył usta i zaśpiewał. Tym razem, ku jego zdumieniu - choć mógł to przewidzieć - przyłączyli się do niego inni, aż śpiewała cała sala. Widocznie wszyscy zapamiętali słowa. Z punktu widzenia człowieka żyjącego w dwudziestym wieku było to wprost niewiarygodne, jednak ci ludzie mieli niezwykle wyćwiczoną pamięć, ponieważ przeważnie ledwie potrafili się podpisać, a często musieli przekazywać sobie ustnie długie wiadomości. Ponadto pomagał im w tym znakomity słuch muzyczny, o czym Jim zdążył się już przekonać.

Teraz usiadł i chełpił się swoim sukcesem.

Jim ocknął się z niejasnym wrażeniem, że z jakiegoś powodu został stratowany przez stado słońi. Wypłynął na powierzchnię z oddechem - nie dlatego, żeby tego chciał, ale po prostu nie mógł temu zapobiec - i stopniowo przypominał sobie ostatnie wydarzenia. Pamiętał, jak śpiewał o dobrym królu Wieńczysławie, a biskup wychwalał go przed innymi gośćmi, i jak wykonał pieśń ponownie, wywołując powszechne uznanie i podziw. Jednak to był dopiero początek wieczoru, nie koniec. Teraz, kiedy go dopadli, goście nie mieli zamiaru wypuścić go tak szybko. Chcieli, żeby zaśpiewał jeszcze coś. Pragnęli usłyszeć jeszcze jedną piosenkę, jakiej nie znali. Następny, inny utwór. Jim nalegał, żeby tym razem pozwolili zaśpiewać komuś innemu, ale w końcu i tak przyszła jego kolej. Lecz tym razem miał chwilę czasu do namysłu. Wstał i zaśpiewał im balladę o Martinach i McCoyach, dokonując odpowiedniej korekty, aby zmienić kowbojów w dwa czternastowieczne rody rycerskie. Zamiast:

*Och, Martinowie i McCoyowie*

*Byli chłopcami co się zowie*

*Kolta z za pasa szybciej wyciągali*

*Niż wiewiórka śmignie w oddali...*

goście usłyszeli:

*Och, Martinowie i McCoyowie*

*To rycerze co się zowie*

*Miecz z za pasa szybciej wyciągali*

*Niżli strzała nadleci z oddali...*

Ballada ze zmienionymi słowami czasem brzmiała dziwacznie lub nonsensownie, a czasem niezrozumiale, kiedy Jim uzupełniał mruczandem rytm i długość wersów. Jednak ten występ odniósł chyba jeszcze większy sukces niż poprzedni, o dobrym królu Wieńczysławie. Wspomnienia z późniejszych wydarzeń wieczoru były coraz bardziej niewyraźne. Wiedział, że był tam przez pewien czas, śpiewając wiele piosenek, mniej lub bardziej dostosowanych do tego miejsca i czasu. Wszystkie bardzo spodobały się publiczności. Zaprezentował im „Twarz widzianą w barze” jako romantyczną balladę opisującą czyny schwytanego przez czarnoksiężnika rycerza, zakutego w kajdany i oczekującego na śmierć w męczarniach, który jakoś zrywa pęta i na dodatek ratuje więzioną w wieży księżniczkę. Jednak później traci ukochaną, przez co ballada smutnie się kończy i Jim trochę niepokoił się, zanim ją zaśpiewał. Niepotrzebnie. Odkrył, że ci ludzie uwielbiali dramaty niemal tak samo, jak rozlew krwi. A ten spodobał mi się szczególnie. Zaśpiewał im „Casey przy kiju” na przypadkowo wybraną z pamięci melodię, zmieniając baseballistę w rycerza, który dzielnie walczy w bitwie i jako jedyny zostaje przy życiu, ale wkrótce potem, kiedy nie ma już z kim walczyć umiera z ran.

Miał wrażenie, że później śpiewał coś jeszcze - ale na tym urywały się wspomnienia. W jakiś sposób znalazł się tu, gdzie był teraz. A wypływając na powierzchnię z mętnych otchłani snu, poczuł potworny ból głowy i odniósł wrażenie, że stał się czymś, co wypełzło z dziury w desce, żeby umrzeć. Powoli uświadomił sobie, że znajduje się w pierwszej z dwóch komnat, które dzielił z Angie, służącymi i Robertem. Leżał na sienniku rozłożonym na podłodze, a obok zauważył jakiś kawałek papieru z notatką, która wyglądała na skreśloną ręką Angie, jednak w tym momencie nie był w stanie tego przeczytać. Podniósł się z posłania, poczłapał do stołu, znalazł dzbanek z wodą i opróżnił go prawie do dna, a potem osunął się na krzesło. Rozpaczliwie chciał znów zasnąć, ale nie mógł. Zbyt źle się czuł.

Co za ironia losu, pomyślał, litując się nad sobą. Zazwyczaj nie miewał kaca. Z drugiej strony, zazwyczaj nie upijał się do tego stopnia, do jakiego doprowadził się ubiegłego wieczoru i - sądząc po tym, jak się teraz czuł - zupełnie stracił kontrolę. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś miał takiego kaca po podobnej biesiadzie i wyszedł na dwór, gdzie znalazł Briana i Chandosa oglądających Gruchota, jego tak zwanego rumaka bojowego. Brian i Chandos pili wino i z typową męską złośliwością nalegali, żeby natychmiast wypił z nimi duży, pełny kubek. Ledwie zdołał je przełknąć, ale teraz przypomniał sobie, że wtedy dobrze mu to zrobiło. Zerknął na stojący na stole bukłak z winem i zadrżał. Nie, za żadne skarby. Prędzej zostanie pustelnikiem i będzie żył o chlebie i wodzie. Potrzebował pomocy.

Spojrzał na skórzaną kotarę zasłaniającą przejście do drugiego pokoju.

- Angie! - wyrzeził.

W sąsiednim pomieszczeniu nikt się nie odezwał, a Angie nie pojawiła się w drzwiach. Zawołał ponownie i znów nikt mu nie odpowiedział. Z trudem wstał, sięgnął po kawałek papieru leżący koło jego materaca, podniósł notatkę, przetarł oczy i zdołał odczytać:

*Jim!*

*Jeżeli zamierzasz tak spędzać następne wieczory, to zapytaj Briana, czy przyjmie cię na noc do siebie.*

*Od kiedy wróciłeś, nikt z nas przez całą noc nie mógł zmrużyć oka - oprócz Roberta. Ledwie zdążyliśmy zasnąć, a już zaczynałeś chrapać i budziłeś nas. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś tak hałasował. Robert, kochana kruszyna, mimo to spał spokojnie.*

*Jednak my jesteśmy wykończone i Geronde byki luk dobra, że pozwoliła nam przespać się w swoim pokoju, ponieważ i tak nie będzie jej przez cały dzień.*

*Gdybyś czegoś potrzebował, nie zapominaj, że możesz posłać stojącego pod drzwiami strażnika po wszystko, co mogłoby ci się przydać. Około południa wrócę tutaj, żeby przebrać się przed obiadem. Zobaczymy się wtedy, jeśli nie będziesz zajęty.*

*Przykro mi, Jim, ale naprawdę chrapiesz. Gdybyś musiał leżeć i słuchać siebie przez całą noc, też nie mógłbyś tego znieść.*

## *Calusy Angie*

Jim wypuścił kartkę z rąk. Ktoś cicho zapukał do drzwi. Skacowany zamknął oczy, bo miał wrażenie, że słyszy potworny łoskot.

- Co jest? - zapytał, od czego łupnęło go w skroniach.

Drzwi uchyliły się odrobinę i zajrzał przez nie wartownik.

- Jest tu sir Giles, milordzie - rzekł. - Był tu już kilka razy, ale nie chciał przeszkadzać. Czy może teraz wejść?

- Kto? Giles...? Tak. Pewnie - odparł Jim, przy każdym słowie czując mocne łupnięcie w skroniach. - Wpuść go.

Drzwi otworzyły się i wszedł Giles, niosąc spory cynowy dzbanek okryty kawałkiem zielonej tkaniny. Ostrożnie podszedł do stołu i postawił na nim naczynie.

- Usiądź - powiedział Jim, przypominając sobie o dobrym wychowaniu.

Giles usiadł. Nie licząc ręki, którą nadal miał na temblaku, wyglądał bardzo zdrowo, tyle że był wyraźnie zatroskany.

- Dość późno poszliśmy wczoraj spać - powiedział ściszym głosem, z zainteresowaniem spoglądając na pustą ścianę i unikając spojrzenia Jima.

Jim miał dylemat. Czy bardziej zabolę go, jeśli kiwnie głową, czy jeśli powie „tak”?

- Tak - powiedział. Oczywiście, pomylił się. Niewątpliwie dokonał złego wyboru.

- Wszyscy dziś mówią o tym, jak pięknie śpiewałaś zeszłego wieczoru - rzekł Giles, patrząc niewinnie na Jima - i jaki to zaszczyt z tobą rozmawiać. Wielu martwi się, że wczoraj przemęczyłaś się, kiedy... ee... nie mogłaś dokończyć pieśni i potrzebowałaś pomocy, by wyjść z sali. Lady Angela wyjaśniła nam dziś rano, że miałaś wczoraj wiele magicznych obowiązków, po których normalnie powinieneś odpoczywać co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny. Wszyscy rozumieją, że musisz dziś odpocząć i życzą ci jak najszybszego powrotu do sił.

- Och - powiedział dzielnie Jim, ignorując ból głowy. Rycerz oczywiście nie powinien okazywać jakiegokolwiek słabości i teoretycznie nigdy nie powinien upijać się tak, żeby trzeba go było wyprowadzać z sali. Tylko teoretycznie, rzecz jasna, bo zdarzało się to prawie codziennie. Coś jak w baśni Nowe szaty cesarza. - To bardzo uprzejmie z ich strony. Powiniennem stanąć na nogi za jakieś dwadzieścia cztery godziny.

- Niezwykle miło mi to słyszeć! - rzekł sir Giles tak szczerze, jakby naprawdę wierzył, że Jim po prostu przepracował się poprzedniego dnia. Jednak znów wbił wzrok w ścianę, zanim wrócił spojrzeniem do Jima. - Przy okazji pomyślałem, że przyniosę ci wywar, który w naszej rodzinie jest stosowany jako niezastąpione lekarstwo na takie zmęczenie.

Wskazał na dzbanek owiązany zieloną tkaniną.

- Po prostu wypij to duszkiem. Nie możesz pić łyżkami, gdyż to byłoby śmiertelnie niebezpieczne, ale spożyte od razu, będzie niezwykle pomocne na takie zmęczenie, jak twoje.

Rozwiązał rzemień przytrzymujący zielony materiał wokół szyjki dzbanka i nie zdejmując tkaniny, podsunął naczynie Jimowi. Jim spojrzał na nie podejrzliwie. Niewątpliwie miał przed sobą jeden z podejrzanych wyciągów, jakie w tych czasach uchodziły za leki. Z drugiej strony - równie dobrze mogło się okazać, że to jeden z tych ludowych środków, które rzeczywiście pomagają. Nawet niewielka ulga byłaby mile widziana. Ponadto przypomniał sobie nagle coś, co sprawiło, że stanął przed poważnym dylematem. Jako rycerz nie mógł przyznać, że się upił, a zatem nie mógł powiedzieć, że ma kaca. Oficjalnie był po prostu „przemęczony”, jak delikatnie podsunął Giles. Tak więc jako rycerz nie mógł uprzejmie odmówić pokrzepiającego środka, jaki przyniósł mu dobry przyjaciel.

Jim jeszcze przez chwilę gapił się na dzban. W istocie nie miał wyboru. Jedną ręką zacisnął nos, drugą zerwał zielony materiał, chwycił dzbanek i wlał jego zawartość do gardła, przełykając gwałtownie, aż całkiem opróżnił naczynie.

- Świetnie - powiedział Giles po dłuższej chwili, podczas której Jim siedział nieruchomo jak kamień. - Czy nie czujesz się lepiej, Jamesie?

- Rtnuu! - wyrzęził Jim, zdoławszy złapać trochę tchu w piersi. - Wodyy!

Giles sięgnął po stojący na stole bukłak z wodą, wyjął korek i zerknął do środka.

- Jest tu trochę... - zaczął z powątpiewaniem. Jim posłał do diabła dobre maniery, wyrwał mu naczynie z ręki i wypił wszystko, co w nim było. Wcisnął Giles'owi do ręki pusty bukłak i palcem wskazał na drzwi.

- Jeszcze! - wysapał.

Giles popatrzył na niego, a potem wstał i trzymając bukłak, podszedł do drzwi.

- Natychmiast to napełnij, mospanie! - powiedział do stojącego na zewnątrz wartownika.

- Ależ sir Giles - zaprotestował strażnik. - Nie wolno mi opuszczać...

- W drugim pokoju - wychrypiał najgłośniej jak mógł Jim zza pleców przyjaciela, rozpaczliwie wskazując na skórzaną zasłonę.

- Poszukaj w drugiej komnacie, tępaku! - powiedział sir Giles do wartownika.

- Tak jest, sir.

Zbrojny wziął bukłak, przebiegł obok Jima i wpadł za skórzaną zasłonę, po czym nastąpiła cisza, przerywana tylko dręcząco powolnym pluskiem wody przelewanej z naczynia do naczynia.



Zakończył ją donośny bulgot świadczący o tym, że pierwszy dzban jest pusty. Zbrojny wrócił z pełnym bukłakiem i triumfalnie postawił go na stole. Jim zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Wartownik pospiesznie wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Jim porwał bukłak, napełnił najbliższy stojący kubek, opróżnił go, znów napełnił i osuszył, aż wreszcie poczuł, że płynny ogień przepalający mu wszystkie wnętrzości zaczyna powoli gasnąć. Odstawił kubek i popatrzył na Giles'a, który znów usiadł na krześle i spoglądał na niego z niepokojem.

- Bardzo dziękuję - powiedział Jim, odzyskując głos.

- Nie ma za co - odparł Giles, niedbale machając ręką i sadowiąc się wygodniej.

Jim zdołał jakoś dojść do siebie. W tym czasie odkrył, że większość dolegliwości wywołanych przez kaca minęła, włącznie z bólem głowy. Zapewne przyczyną tego, powiedział sobie, był raczej szok niż jakieś znieczulające działanie tej płynnej mieszanki wybuchowej, którą właśnie wlał w siebie. Giles poczęstował go najmocniejszym trunkiem, jaki Jim pił w życiu.

Prawdę mówiąc, było to przeżycie nieporównywalne z żadnym innym. Napój musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt procent. Wargi, język i przełyk Jima nadal były pozbawione czucia, jak wtedy, kiedy zdarzyło się, że poparzył je sobie zbyt gorącą zupą lub kawą. Jim nie spodziewał się, iż Giles może poddać go takiej kuracji.

- Skąd to masz? - wychrypiął, jednocześnie zastanawiając się, czy to tym trunkiem spiła się piastunka. Niemożliwe. Tamten musiał być choć trochę rozcieńczony. - Czy właśnie to nazywają francuską brandy?

- W rzeczy samej! - rozpromienił się Giles. - Earl miał jej trochę i był tak miły, że dał mi ją, kiedy powiedziałem, że to dla Smoczego Rycerza.

- Aha - rzekł Jim, zadowolony z potwierdzenia swoich przypuszczeń. Nagle przyszła mu do głowy paskudna myśl. Odsunął ją od siebie - chyba nawet Agatha Falon nie byłaby tak zuchwała, żeby usiłować otruć maga, który nie tylko mógł od razu wyczuć, że podają mu truciznę, ale zemścić się, wykorzystując swą znajomość magii. To musiał być czysty, nie rozcieńczony spirytus, którego właścicielem był sam earl. Wątpliwe, aby Agatha Falon przywiozła go tu z królewskiego dworu w Londynie, chyba że zrobiła to, by zdobyć kontrolę nad earlem.

Giles znów zaczął coś mówić, lecz Jim nie zrozumiał co, ponieważ w tym momencie usłyszał przeciągłe wycie. Dobiegało z lasu, stłumione przez odległość i zamknięte okiennice komnaty, w której siedzieli Jim i Giles, ale łatwo było je rozpoznać. Aargh znów wzywał Jima.

Smoczy Rycerz gorączkowo szukał jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby mu niezwłocznie rozstać się z sir Giles'em. Nadal się nad tym głowił, kiedy do komnaty wszedł Carolinus. Wartownik nic próbował go zatrzymać, co zdaniem Jima było bardzo rozsądne z jego strony.

- Daj spokój, daj sobie spokój z tymi głupstwami! - rzucił rozdrażniony Carolinus. Machnął ręką w kierunku Giles'a. Mag wyglądał na poirytowanego. - Twój przyjaciel nas nie usłyszy. Jesteś nam natychmiast potrzebny. Spotkanie earla z trollem musi odbyć się dziś po południu. A nawet

zaraz.

Jim zerknął na Giles'a, który siedział nieruchomo jak głaz, z otwartymi ustami i przyjaznym, pytającym wyrazem twarzy. Zanim Jim zdążył coś powiedzieć, mag powiedział trochę miłszym tonem:

- O rany, ta twoja hipnoza naprawdę się przydaje!

- Dlaczego teraz? - spytał Jim, dochodząc do wniosku, że musi wyjaśnić wszystko po kolei.

- Słyszałeś Aargha - odparł Carolinus. - Daje znak, że Mnrogar jest w drodze na miejsce spotkania. Earl czeka na nas przy zamkowej bramie i chcemy, żeby znalazł się na miejscu, zanim przybędzie troll. Ty też musisz tam być.

- Tylko dlaczego tak nagle? - zapytał Jim. - Czy coś się stało?

- Tylko to, że earl doszedł do wniosku, iż chce to załatwić od razu - rzekł Carolinus. - Nagle stwierdził, że nie chce, aby ktoś to widział oprócz biskupa, który ma ukradkiem obserwować spotkanie z blanków. Teraz wszyscy goście będą w sali na dole, w każdej chwili spodziewając się earla. On - całkiem rozsądnie - nie chce, żeby goście zobaczyli trolla. Prawdę mówiąc, powinieneś pomyśleć o tym wcześniej.

- Ja? - zdziwił się Jim.

- Oczywiście! - odparł Carolinus. - To do ucznia należy zajmowanie się szczegółami! W każdym razie musisz zaraz tam iść.

- Tylko co mam zrobić z Giles'em? - spytał Jim. - Nie mogę go tak zostawić.

- Oczywiście, że możesz - prychnął Carolinus. - Nie będzie pamiętał niczego oprócz twoich ostatnich słów. Nie będziemy rozmawiać zbyt długo i powinniśmy zaraz tu wrócić, żebyście mogli z earlem pojawić się na obiedzie. Wtedy nikt nie zauważy waszej nieobecności.

- To nie w porządku zostawiać tak Giles'a - upierał się Jim.

- No dobrze! - rzeki ze złością Carolinus. - Obudzę go i powiesz mu, żeby sobie poszedł, A potem ruszymy.

Mag obrócił się do Giles'a i powiedział coś, zbyt cicho, żeby Jim zdołał usłyszeć.

Giles poruszył się. Zamrugał oczami i popatrzył na Jima.

- Przedziwna rzecz, Jamesie - stwierdził. - Przysięgnęłbym, że miałem ci coś powiedzieć, ale kompletnie wyleciało mi z głowy co.

- To mnie nie dziwi - odparł pośpiesznie Jim. - Przydarzyło ci się to, co zdarza się, kiedy ktoś obok ciebie otrzymuje magiczną wiadomość. Właśnie ją dostałem. Muszę natychmiast iść.

- Iść? - Giles wytrzeszczył oczy, a potem posmutniał. - Miałem nadzieję, że będziemy mieli okazję porozmawiać, Jamesie.

- Znajdę cię zaraz, gdy tylko załatwię swoje sprawy, i będziemy mieli tyle czasu na rozmowę, ile zechcesz, Giles. Daję ci na to moje słowo.

- Dobrze, dobrze - Giles powoli wstał z krzesła, usiłując się uśmiechnąć. - Oczywiście, obowiązek to święta rzecz. Zobaczymy się później, Jamesie?

- Tak - odparł Jim, również wstając. - Masz moje słowo.

- Och, oczywiście wierzę twemu słowu - powiedział Giles.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśnił Jim. - Wybacz, trochę się spieszę ze względu na wagę wiadomości, jakie przed chwilą otrzymałem.

- Och, rozumiem - powiedział szybko Giles. - Przepraszam, nie zatrzymam cię już ani chwili dłużej. Będę czekał na nasze rychłe spotkanie, Jamesie.

Mówiąc to, już szedł do wyjścia. Otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą.

Jim ze złością spojrzał na Carolinusa. Mag odpowiedział mu spokojnym i badawczym spojrzeniem. Jim zmienił zdanie i nie powiedział mu tego, co jeszcze przed chwilą miał na końcu języka.

- No, to możemy już iść - rzekł.

Tak też zrobili.

## Rozdział 24

Wkrótce potem Jim stał w śniegu na skraju lasu, ponieważ Carolinus przeniósł ich tam za pomocą magii, gdy tylko wyszli poza mury zamku. Obok stał stół złożony z drewnianego blatu opartego na dwóch koźlach - dokładnie taki sam, jak w sali biesiadnej, tylko bez lnianego obrusa, jaki można było znaleźć nawet w domach co zasobniejszych gospodarzy. Ten stolik, kojarzący się z piknikiem, wydawał się nie na miejscu tutaj, na polance otoczonej z trzech stron gęstym lasem. Zdejmowalny blat zbity był z czterech suchych desek co najmniej pięciocentymetrowej grubości, połączonych ze sobą zapewne przez wypustki na jednym boku i wcięcia na drugim, a jego jednolity szary kolor świadczył o tym, iż służył podczas wielu biesiad. Były tu też drzewa, które Jim zapamiętał, otaczające polankę z trzech stron i odsłaniające z czwartej, dające dobry widok na odległy o pół strzału z łuku zamek i wyraźnie widoczne na jego murach, lśniące, stalowe hełmy łuczników i zbrojnych. Nigdzie nie dostrzegł Aargha. Tak samo jak Carolinusa, Mnrogara czy earla.

Jim nagle uświadomił sobie, że jest mu zimno. Kilka lat spędzonych w tych czasach przyzwyczało go do wkładania zimowych ubrań i znoszenia silnych chłódów. Jednak teraz nie miał nawet dodatkowej warstwy odzieży, ponieważ uległ pośpiechowi Carolinusa, a ponadto, jak podejrzewał, wciąż oszołomiony był po nocnej hulance i nie pomyślał, że powinien ubrać się

odpowiednio do pogody. Chociaż dzień był jasny i słoneczny, zaledwie z kilkoma chmurkami przepływającymi nad spadłym w nocy śniegiem, wiał zimny wiatr, a temperatura wynosiła dobrych kilka stopni poniżej zera.

Narzekając pod nosem, Jim zabrał się do magii, która dałaby mu potrzebne odzienie. Nigdy nie opracował odpowiedniej procedury, chociaż opanował zaklęcie umożliwiające zdjęcie ubrania, zanim zamienił się w smoka i założenie go z powrotem przed odzyskaniem ludzkiej postaci. Bezskutecznie wypróbował różne warianty tego polecenia, W końcu musiał wymienić poszczególne części garderoby, które były mu potrzebne, i polecić im, żeby kolejno pojawiły się przed nim. Tak też się stało i na śniegu utworzył się równy stosik ubrań. Wciąż narzekając, podniósł je i założył. Niestety, musiał je wkładać na te, które już miał na sobie. W rezultacie zapewne wyda się earlowi trochę dziwnie ubrany, ale pocieszał się myślą, że ten zapewne będzie całkowicie zaabsorbowany Mnrogarem.

Na razie jednak nie było widać żadnego z nich. Jim zastanawiał się, czy Aargh jest gdzieś blisko wśród drzew. Po chwili wahania spróbował zawołać.

- Aarghu!

Żadnej odpowiedzi. Wilka tam nie było albo uznał, że odpowiadanie na takie wołanie jak domowy piesek jest poniżej jego godności. Nagle Jim uświadomił sobie, że po to zadał sobie tyle trudu, zakładając ciepłe ubranie, by teraz je zdjąć. Przecież podczas tego spotkania miał być w swoim smoczym ciele. Niechętnie wymówił w myślach magiczne zaklęcie zmieniające go w smoka i starannie przechowujące to, co miał na sobie w jakimś continuum, skąd odzyska je, kiedy będzie po wszystkim. W samą porę powstrzymał się przed wymówieniem ostatniego słowa, przypomniawszy sobie, że dokonałby przemiany na oczach zbrojnych i wszystkich innych obecnych na murach. Odwrócił się i przeszedł na skraj polanki, gdzie drzewa zasłoniły go przed obserwatorami z zamku. Dopiero wtedy wypowiedział ostatnie słowo.

Już jako smok poczłapał - niestety, „poczłapał” było jedynym odpowiednim określeniem sposobu, w jaki poruszał się smok idący na tylnych łapach - z powrotem do stołu. Ten ustawiono bokiem do obserwatorów znajdujących się na zamkowym murze. Obok umieszczono trzy stołki - po jednym po bokach i trzeci na końcu stołu. Mnrogara trzeba posadzić tyłem do iluzorycznych drzew, które i tak zasłoniłyby mu widok na zamek. Obserwatorzy z zamkowych murów będą dobrze widzieć earla zza pleców Mnrogara. Stołek na samym końcu stołu był, oczywiście, przeznaczony dla Jima.

Podszedł, obejrzał go i postanowił na nim nie siadać. Widział, jak Secoh robił tak samo w wielkiej sieni Malencontri, kiedy przyłączał się do Jima, Angie i innych, żeby porozmawiać, popić i podjąć. Secoh po prostu kuczał na podłodze. Nawet jako karłowaty smok był dostatecznie duży, by jego łeb unosił się nad stołem prawie na takiej samej wysokości, co głowy siedzących wokół ludzi.

Jim ukradkiem odsunął stołek na bok i usiadł w śniegu przy stole. Jak zwykle z przyjemnością odkrywał fakt, że jako smok niemal nie odczuwał zimna i innych niewygód. Zapewne miała z tym coś wspólnego grubość jego skóry. Zaczął szukać w myślach argumentów przemawiających za współpracą earla i trolla, kiedy wśród drzew tuż przed nim, na końcu polanki pojawił się Mnrogar. W tym miejscu troll był jeszcze niewidoczny dla patrzących z muru, ale i tak przystanął i spojrzał na

Jima.

Jim zapomniał o tym, jaki podejrzliwy będzie w tych okolicznościach Mnrogar, zmuszony do opuszczenia swojego legowiska.

- Mnrogarze! - zawołał. - To tylko ja, Smoczy Rycerz, w smoczym ciele. Na takim oficjalnym spotkaniu, jak to, muszę pozostać w tym wcieleniu. Siedzę sobie i czekam. Ponadto nigdy nie miałem nic przeciwko trollom. Podejść i siadaj.

Mnrogar zawahał się, a potem powoli podszedł, marszcząc brwi i sprawiając wrażenie, jakby w każdej chwili miał skoczyć Jimowi do gardła albo odwrócić się i uciec w las. Jim nie powiedział nic więcej i ani drgnął. Po prostu siedział na swoim miejscu. Kilkakrotnie przystając, Mnrogar w końcu dotarł do jednego z dwóch stołków, celowo postawionych trochę dalej od Jima niż ten, na którym miał zasiąść earl. Troll usiadł plecami do zamku, pozostawiając trzeci taboret dla earla.

- Gdzie on jest? - warknął.

- Earl? - zapytał Jim swoim najniewinniejszym i najłagodniejszym smoczym głosem. - Powinien tu być lada chwila... istotnie, już widzę go wychodzącego spomiędzy drzew, po twojej lewej ręce.

Jim rzeczywiście zobaczył nadchodzącego earla. Był z nim Carolinus i nie tylko - z drugiej strony obok earla szedł jeszcze ktoś. Smoki nie podskakują, kiedy coś je zaskoczy. Są na to zbyt ciężkie, w tym konkretnym przypadku na całe szczęście. Ponieważ drugą z osób idących obok earla była Angie.

Zarówno ją, jak i Carolinusa zdawała się otaczać jakaś dziwna poświata. Jim zamrugał oczami, lecz poświata pozostała. Mnrogar obrócił łeb i spojrział, lecz zdawał się nie dostrzegać nic niezwykłego w tych trzech nadchodzących postaciach. Wpatrywał się tylko w earla, który odpowiadał mu gniewnym spojrzeniem.

- W porządku, Jamesie - zawołał Carolinus, gdy tylko podeszli bliżej. - Jesteśmy z Angie niewidzialni dla Mnrogara, a także dla earla i tych na zamkowych murach.

W tym momencie Jim uświadomił sobie, że mag i Angie nie pozostawiali za sobą żadnych śladów na śniegu.

Carolinus przystanął niedaleko stołu. Earl i Angie nadeszli za nim. Earl nadal mierzył trolla gniewnym wzrokiem. Zajął miejsce przy stole, a Angie podeszła do Jima i położyła rękę na jego smoczym ramieniu.

- Angie... - zaczął.

- Nikt mnie nie usłyszy oprócz ciebie i Carolinusa - przerwała mu, mówiąc cicho do ucha. - Kiedy mówisz, nie odwracaj głowy, żeby na mnie popatrzeć. Widziałam, jak z Carolinusem opuszczaliście zamek, i dogoniłam maga, gdy cię tu wysłał. Wyciągnęłam z niego wszystko, a potem powiedziałam, że nie zamierzam stać na uboczu. No już, możesz do mnie mówić, jeśli chcesz. Dopóki

będziesz mówił tylko do mnie, pozostali nawet nie zobaczą, że poruszasz ustami.

- Nie powinnaś była tego robić, Angie.

- Dlaczego? - zapytała go. - Ani earl, ani troll nie mogą mnie zobaczyć czy usłyszeć, więc dlaczego miałoby mi grozić jakieś niebezpieczeństwo? Tymczasem będę mogła podsunąć ci jakiś pomysł czy dwa, Jim. Wiesz, że to umiem.

Oczywiście miała rację.

- No dobrze - rzekł Jim, - Jednak staraj się nie pomagać, dopóki nie będziesz absolutnie pewna, że to nie wytrąci mnie z równowagi.

- Nie martw się - uspokoiła go. - O rany, zapomniałam już, jakim jesteś ładnym smokiem, kiedy zmieniasz postać. Troll na pewno gubi ze strachu spódniczkę, czy jak tam się zwie ten strój. Dlaczego on nie zamarza tu na śmierć?

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego ja nie marznę bez odzienia w moim smoczym wcieleniu - odparł Jim. - Mogę znieść mróz, deszcz, wiatr, śnieg, a pewnie nawet grad, tylko upał mi dokucza, kiedy jestem smokiem. No, dość gadania. Muszę zacząć to spotkanie, zanim ci dwaj rzucą się na siebie.

Skupił uwagę na Mnrogarze i earlu. Troll nadal siedział nieruchomo i z obliczem przynajmniej pozornie całkowicie pozbawionym wyrazu. Układ kości i mięśni nadawał jego twarzy groźny wyraz, tak samo jak spiczaste kły błyskające w lekko uchylonych ustach. Jednak Mnrogar nie okazywał jakiegokolwiek emocji. Earl, to zupełnie inna sprawa.

Wcale nie wydawał się przytłoczony szokująco nieludzką siłą emanującą z górnej części ciała trolla, z potencjału ledwie odsłoniętych kłów i paskudnie wygiętych pazurów wyrastających na końcach jego grubych paluchów, które troll położył na stole tak samo, jak siedzący człowiek. Stosząc siwe brwi i rzucając gniewne błyski lekko wybałuszonych oczu, earl podszedł do stołu i zajął miejsce. Widać było, że na usta ciśnie mu się wściekłe, wzgardliwe prychnięcie. Wojowniczo wysunął dolną szczękę. Ponadto wydawał się tylko trochę grubszy niż zwykle, ale Jim był prawie pewien, że to dlatego, iż pod zbroję włożył tyle warstw ubrania, aż rzemienie łączące napierśnik z naplecznikiem oraz inne metalowe jej części były bliskie pęknięcia.

Earl uzbroił się w długi miecz, tak zwany półtorak, półtora raza dłuższy od zwykłego miecza. Umieścił go w pochwie przytroczonej do prawego, niewidocznego dla Jima boku. Ten nie wiedział, że earl jest leworęczny. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, iż szlachcic jest praworęczny. Tymczasem pochwa i rękojeść miecza mówiły coś innego, gdyż były wyraźnie widoczne nie tylko dla Mnrogara, lecz także obserwatorów spoglądających z zamkowego muru za szerokimi plecami trolla.

W tej samej chwili, gdy Jim zauważył to wszystko, earl znów wstał ze stołka i lewą ręką wyjął miecz. Chwyciwszy oburącz za rękojeść, wbił broń w blat stołu tak, że miecz, lekko drgając, utkwiał w drewnie.

- Spójrz, trollu! - wrzasnął do Mnrogara. - Dzieli nas krzyż!

Mnrogar nawet nie mrugnął okiem i nie poruszył się. Równie dobrze mógłby być głuchy. Jim poczuł lekki niepokój.

- Carolinusie? - zapytał, przezornie nie odwracając głowy. - Przecież krzyż na nic mu się nie zda przeciwko naturalnemu, prawda?

- Nie, nie - odezwał się za nim głos Carolinusa - Oczywiście, że nie. Użyteczny jest w pewnym stopniu przeciw zjawom, duchom, wampirom i niektórym rodzajom demonów, ale przeciw naturalnym? Równie dobrze mógłby wetknąć w szparę wierzbową witkę zamiast tego miecza.

- Może jednak lepiej mu o tym nie mów, Jim - rozległ się głos Angie.

- Wiem - burknął Jim. - Nie martw się, Angie. Proszę, mów do mnie tylko wtedy, jeśli uznasz to za naprawdę konieczne.

Po jego prawej stronie zapadło milczenie, chociaż ręka Angie nadal spoczywała na jego ramieniu. Jim poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Ona tylko chciała pomóc, jednak on musiał skupić się na tych dwóch siedzących przed nim, a to było dostatecznie trudne, nawet gdyby Angie mówiła do niego tylko wtedy, kiedy będzie to pomocne. Tymczasem Mnrogar nie poruszył się i nie zmienił wyrazu twarzy. Człowiek mógłby się wiercić lub inaczej reagować. Albo tak zachowywały się wszystkie trolle, albo Mnrogar całkowicie panował nad sobą. Jim postanowił wykorzystać moment ciszy, jaki zapadł, gdy earl znów usiadł na stołku i ponownie obrzucił pałającym spojrzeniem siedzącego po drugiej stronie trolla.

- Lordzie - rzekł - mam zaszczyt przedstawić Mnrogara, trolla zamieszkującego pod zamkiem, jeszcze zanim ten został zbudowany, i przez cały ten czas broniącego tego terenu przed innymi trollami.

Earl prychnął.

- A ty, Mnrogarze - rzekł Jim - poznaj dobrego lorda Somerset, sławnego i wspaniałego rycerza, sir Hugona Siwardusa. - Mnrogar zbulgotał coś pod nosem, ale w żaden widoczny sposób nie zareagował. Jim ciągnął: - Spotkaliśmy się tu dzisiaj - mówił - aby znaleźć najlepszy sposób uporania się z drugim trollem, który jakoś dostał się na zamek, przybierając ludzką postać. Nawet mój mistrz magii, Carolinus, nie wie, jak to zrobić. Może ty, Mnrogarze, wyjaśnisz nam, w jaki sposób troll może uchodzić za ludzką istotę?

- Nie - odparł Mnrogar. Niewątpliwie usiłował mówić równie spokojnie jak wyglądał, lecz jego głos i aparycja sprawiły, że to słowo wydało się taką samą groźbą, jak demonstracyjnie wyjęty przez earla miecz.

- Dlaczego nie? - zapytał earl. - Jeśli jeden troll to potrafi, powinni umieć wszystkie trolle! A skoro wszystkie wiedzą, jak to zrobić, to ten... jak brzmi twe imię? Mnrogar? Ty też powinieneś. A może nas okłamujesz?

- Nie - powtórzył Mnrogar. I ponownie to słowo, wypowiedziane - o czym Jim był coraz bardziej przekonany - w sposób świadczący, że troll stara się nie dać sprowokować i nie prowokować samemu, wydało się brzmieć bardzo niemiłą dla ludzkich uszu groźbą.

- Ha! - rzekł earl.

- Co oznacza „ha”? - zapytał ochryple troll.

- Oznacza „ha”! - burknął earl. - Oznacza, że ci nie wierzę, sir trollu!

- Nie mogę sprawić, abym wyglądał tak, jak jeden z was - warknął Mnrogar. - A jeśli ja nie mogę, żaden troll tego nie potrafi!

- To dlaczego twierdzisz, że wśród moich gości jest jakiś troll? - naskoczył na niego earl.

- Ponieważ czuję jego zapach! - odparł Mnrogar.

- I mam ci uwierzyć na słowo? Słowo trolla, ha!

- Słowo człowieka - prychnął Mnrogar. - Ha! Earl poczerwieniał.

- Co miało znaczyć - zapytał groźnie - to „ha”?

- To samo, co kiedy ty mówisz „ha” - odparł Mnrogar. Teraz obaj pochylali się nad stołem ku sobie. „Błogosławieni rozjemcy”, pomyślał Jim i pospieszył uspokoić wzburzone wody.

- Myślę, Mnrogarze, że earlowi chodzi o to - powiedział najłagodniej jak mógł swoim smoczym głosem - że skoro powiadasz, iż nie może tam być trolla udającego człowieka, to dlaczego wyczuwasz go w zamku? Ponieważ gdyby ten, którego wyczuwasz, nie był przebrany za człowieka, to natychmiast ktoś rozpoznałby w nim trolla.

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł Mnrogar. - Może pomógł mu w tym jeden z waszych magów?

- Biedaczysko, nie wie, co mówi - rzekł Jimowi do ucha głos Carolinusa. - Nie obrażaj się, Jim.

- Nie obrażam się - powiedział Jim.

Jednak zapomniał skierować tę myśl i słowa tylko do Carolinusa. Najwidoczniej usłyszał go zarówno earl, jak i Mnrogar. Teraz obaj patrzyli na niego: earl wyraźnie zdumiony i zbity z tropu, Mnrogar prawdopodobnie też.

- Mówiłem - dodał pospiesznie Jim - że nie obrażam się o to i stanowczo nalegam, abyście i ty, milordzie, i ty, Mnrogarze, również nie czuli się urażeni. Nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli nie omówimy tego spokojnie i rzeczowo. Przecież wszyscy szukamy wyjaśnienia i jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.



Jim uznał, że to cenna uwaga. Jednak earl najwidoczniej nie przyjął jej z entuzjazmem, Mnrogar zaś, ku lekkiemu zaniepokojeniu Jima, odpowiedział głębokim, przeciągłym pomrukiem, tym razem nie pozostawiającym żadnych wątpliwości, co o tym wszystkim sądzi.

Przybył tutaj gotowy zaakceptować sensowną ugodę, która doprowadziłaby do pozbycia się trolla z zamku. Jednocześnie nie miał zamiaru dać sobą pomiatać, a earlowi okazywanie lekceważenia wychodziło aż za dobrze.

- Wybacz, milordzie - rzekł pospiesznie Jim - ale przyszliśmy tu omówić sposoby i środki pozbycia się intruza ukrytego pomiędzy gośćmi. Może powinniśmy teraz o nich podyskutować.

- Bardzo dobrze - burknął earl. - A więc, jaki jest plan?

Oczywiście, nie było żadnego planu. Ten mieli dopiero teraz ułożyć. Jim doszedł do wniosku, że earl wygłosił odpowiednik Carolinusowego stwierdzenia, że uczniowie powinni zająć się szczegółami. Jednak przychodził mu do głowy tylko jeden sposób, w jaki cokolwiek mógł osiągnąć w tej sytuacji. Uchwycił się go, jak tonący brzytwy.

- Wydaje się, iż jedyny możliwy sposób - powiedział, spoglądając na trolla - oczywiście, za zgodą Mnrogara, to gdyby umieścić go w miejscu, skąd mógłby obwąchać wszystkich gości i wykryć tego, który śmierdzi jak troll.

- Wspaniały plan - rzekł earl. - Tak zrobimy. A kiedy już go złapiemy, wystarczy, że zmusimy go, by przyznał się do tego, iż jest trollem..

Nagle urwał i zatrwożył się.

- A jeśli okaże się nim któryś z ważniejszych gości? Ktoś sławny i zajmujący wysokie stanowisko? - Popatrzył na Jima, - Nie chciałbym... ee... zbytnio naciskać jakiegoś powszechnie znanego i szanowanego szlachcica. To byłoby... niezwykle trudne. Kłopotliwe. Szczególnie, gdyby okazało się, że jednak nie jest trollem.

- Dajcie mi stanąć z nim twarzą w twarz - warknął Mnrogar. - To będzie troll, a będąc nim, domyśli się, co z nim zrobię. Dlatego natychmiast zmieni się z powrotem w trolla i skoczy na mnie z zębami i pazurami, a nie z takim mieczem-zabawką czy inną zabawką, jakie wy, ludzie, nosicie przy sobie. Jeśli to troll, będzie walczyć jak troll.

- No cóż - powiedział pospiesznie Jim. - Skoro zgadzamy się co do tego, pozostaje tylko znaleźć sposób i środki, czyli po prostu uzgodnić szczegóły. Naturalnie Mnrogar chce mieć pewność, że będzie bezpieczny wśród nas, a ja mam w związku z tym propozycję. Jest pewien wilk, który cieszy się jego zaufaniem, i mógłby pójść z nim... - Zwrócił się do Mnrogara. - Nie wspominałem o tym Aarghowi, którego dopiero poproszę o zgodę, ale gdyby był z tobą na górze, mogąc dzięki swemu czułemu węchowi i słuchowi ostrzec cię przed wszelkimi zamachami, czy czułbyś się wśród nas bezpiecznie?

Mnrogar warknął niepewnie, zawahał się i w końcu przytaknął.

- Pójdę z Aarghem.

- Kim jest ten Aargh? - zapytał podejrzliwie earl.

- Godny zaufania wilk i dobry przyjaciel - odparł Jim. - Sir John Chandos może zaświadczyć, jeśli zechcesz go o to zapytać.

Teraz z kolei earl burczał coś niepewnie.

- No cóż - stwierdził z zadowoleniem Jim, - Teraz, kiedy wszystko ustaliliśmy, milordzie, czy masz jakieś miejsce, gdzie Mnrogar byłby niewidoczny, lecz mógłby obwąchiwać wszystkich gości po kolei tak, żeby nikt nie wiedział o jego obecności na zamku? W innej sytuacji przy pomocy Carolinusa mogliśmy zmienić go na ten czas za pomocą magii, lecz dobry biskup pobłogosławił twój zamek. Nie sądzę, aby zechciał cofnąć to błogosławieństwo w celu wpuszczenia Mnrogara na górę.

- Hmm... nie - powiedział earl. - Nie sądzę, abym chciał go o to prosić. Nie. Nasz Ojciec w Bogu i Pan w Kościele, rozumiesz?

- Tak - odrzekł Jim. - No cóż, jeśli znajdziesz jakąś kryjówkę dla Mnrogara, może wymyślę jakiś sposób, żeby niepostrzeżenie wprowadzić jego i Aargha na górę i z powrotem. A więc, milordzie, czy ma pan jakieś miejsce, gdzie troll byłby niewidoczny?

- No, nie wiem - mamrotał earl, wbijając wzrok w stół. - Na zamku są pewne miejsca... przejścia z wizjerami...

Popatrzył na Jima.

- Tylko na wypadek, gdyby wróg wdarł się do zamku i gdybyśmy musieli obserwować zajęte przezeń pomieszczenia, rozumiesz? Z tej samej przyczyny zbudowano w różnych częściach zamku tajne przejścia między murami... Oczywiście, to sekret. Zwykle nie wyjawiamy go nikomu spoza rodziny. Nigdy nie używał ich ktoś, kto nie należy do rodu... Nie wiem...

- Obawiam się, że to będzie konieczne, milordzie - rzekł Jim. - Jednak rzecz w tym, czy wymyśliłbyś jakiś sposób, aby Mnrogar mógł obwąchać wszystkich gości w celu znalezienia przebranego intruza?

- Tak, do diaska, chyba mógłbym! - odparł earl. Spojrzał na siedzącego za stołem trolla. - Przeklęty troll, łapiący w moim przeklętym zamku innego przeklętego trolla. Nigdy nie sądziłem, że dożyję takiego dnia!

- Ja też cię nie lubię, człowieku! - oznajmił Mnrogar, warcząc nieco głośniej.

- Ha! - odparł earl. - To, co ty lubisz, nie ma żadnego znaczenia. Ważne tylko to, co ja lubię. Znaj swoje miejsce, trollu, i milcz, dopóki cię nie zapytam. Przebywasz na mojej ziemi bez mego zezwolenia. Ciesz się, że jeszcze żyjesz!

- To moja ziemia! - ryknął Mnrogar, zrywając się na równe nogi. Earl uczynił podobnie.

- Trolle nie posiadają ziemi! - odkrzyknął. - Nigdy więcej nie mów, że to twoja ziemia, bo zginiesz!

- Zginę? Ja?! - zagrział Mnrogar. Jednak earl już chwycił za rękojeść wbitego w stół miecza i niewidoczni dla trolla zbrojni zaczęli wyłaniać się z bramy zamku i biec w ich kierunku. Nagle Jim zrozumiał, że wbity w blat miecz earla od początku miał być sygnałem dla jego obserwatorów. Wyjmując go, wezwał zbrojnych na pomoc. Jim przeklął się w duchu, iż nie domyślił się tego wcześniej. Jednak wydarzenia toczyły się tak szybko, że nie mógł ich powstrzymać.

Mnrogar odtrącił dłoń earla od rękojeści miecza, jak rączkę dziecka próbującego ściągnąć coś ze stołu. Sam chwycił swą ogromną, zrogowaciałą łapą za miecz, skrywając w dłoni rękojeść wraz jelcem, po czym jednym gwałtownym ruchem wepchnął go nie tylko głębiej, ale do samego końca, aż jelec uderzył o blat stołu, a koniec ostrza wbił się w śnieg i zamarznąłą ziemię pod nim.

Kiedy Mnrogar puścił broń, earl wyrwał zza pasa puginał, a drugą ręką sięgnął po wbity w stół miecz. Jednak nie zdołał go wyciągnąć. Ostrze tkwiło mocno, zbyt mocno, aby wyjęła je ręka zwykłego człowieka. Earl zostawił miecz, podniósł głowę, spojrzął w kierunku zamku i krzyknął:

- Hej! Do mnie! Spieszcie, spieszcie!

Zbrojni, biegnący ku nim z mieczami w dłoniach, byli już w połowie drogi między zamkiem a polanką. Jednak Mnrogar nie tracił czasu i nawet nie spojrzął w tym kierunku. Szybko odwrócił się i nisko pochylony, tak że dłonie jego długich ramion dosłownie dotykały ziemi, z niewiarygodną szybkością pobiegł między drzewa, skacząc jak jeleni, i zniknął.

Jim z wrażenia również zerwał się na równe nogi. Ponownie usiadł z głuchym łomotem,

- No cóż, chłopcze - mruknął mu do ucha głos Carolinusa - nie udało ci się!

- Przeklęty tchórz! - rzekł earl, patrząc na las, w którym zniknął Mnrogar, kiedy około czterdziestu zbrojnych wyłoniło się z gąszczu, spiesząc na pomoc swemu panu, - Wszystkie te trolle to przekłeci tchórze!

- Nic nie szkodzi - powiedziała Angie do drugiego ucha Jima. - Wymyślimy jakiś inny sposób.

Jim miał taką nadzieję. Jednak w tej chwili nie miał ochoty zastanawiać się nad wyjściem z sytuacji. Po prostu uważał, że go nie znajdzie.

## Rozdział 25

Jim, Angie i earl poszli na obiad. Nie mieli innego wyboru, przynajmniej Jim i Angie, ponieważ - jak przypomniał im Brian - byli nieobecni zbyt długo i zbyt często. Oczywiście, trochę się spóźnili, ale w tej kwestii earl był sam dla siebie prawem, więc wyszliby na większe guzdrały, gdyby pojawili się bez niego.

Jim padał z nóg. To prawda, spał przez całą noc, lecz był to sen pijacki i Jim miał wrażenie, że od chwili przebudzenia podróżował z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, żeby w końcu - czego nie omieszkął mu wytknąć Carolinus - roztrzaskać się przy kompletnie nieudanej próbie pogodzenia earla i Mnrogara. Mimo to robił, co mógł, żeby wyglądać na zadowolonego z uczyty.

Na szczęście tym razem mógł porozmawiać z Angie. Nie było damy w średnim wieku, która zazwyczaj siedziała po jego lewej ręce. Na jej miejscu znalazł się chudy, mniej więcej pięćdziesięcioletni kleryk w czarnej sutannie, który uważnie przyjrzał się sąsiadom, a potem kompletnie ich zignorował. W rezultacie Jim mógł rozmawiać z Angie prawie tak swobodnie, jakby byli w swoich pokojach, tyle że Jim teraz nie miał nastroju do pogawędki.

- Chyba zaraz zasnę - mruknął do Angie po blisko trzech godzinach siedzenia za stołem.

- Spróbuj przynajmniej wytrzymać, aż podadzą ostatnie danie - odparła Angie. - To nie potrwa długo. Właśnie w tej chwili wnoszą troycreme.

- Ooch, doskonale! - pisnął jakiś młody głos na końcu stołu, przebijając się przez basowy pomruk rozmów. Jim pochylił się nad stołem i zobaczył chłopca-biskupa - młodzika z katedry, który przyjechał tu w orszaku de Bisby'ego. Należało do miejscowych zwyczajów, że chłopiec ubrany jak mały biskup zasiada na honorowym miejscu, a słudzy kłaniają mu się, pod każdym względem traktując go jak samego Richarda de Bisby. Teraz Jim widział, jak chłopak z zadowoleniem zanurza łyżkę w postawionej przed nim wazie. Mały jest pewnie w porządku, pomyślał ponuro Jim, tylko jego piskliwy głos zdaje się zagłuszać wszystkie rozmowy.

Na szczęście jutro będzie koniec odgrywanej przez niego roli. Dziś był dzień świętego Jana Chrzciciela. Jutro będzie Dzień Młodzianków, odbędzie się msza dla dzieci, a potem mały naśladowca biskupa znów stanie się zwykłym chłopcem. Tymczasem jego głos świdrował w uszach i Jima znów rozboleła głowa. Niechętnie osunął się na oparcie krzesła. Jeszcze jedno danie. W tej samej chwili sługa postawił przed nim talerz. Jim z obrzydzeniem spojrzął na jego zawartość. Wyglądało dość ładnie: złoto-czerwono-biała polewa na jakimś rzadkim puddingu lub gęstej zupie. Jim wziął łyżkę, żeby udawać, że je, i skosztował odrobinę specjału.

Wbrew oczekiwaniom smakowało wspaniale - było bardzo słodkie. Cukier z jakiegoś powodu jakby przywrócił Jimowi apetyt, który stracił kilka godzin wcześniej. Czerwony kolor zapewne pochodził od pigwy, a pozostałe dwa od miodu i tłustej bitej śmietany. Sztuka polegała na tym, żeby zmieszać wszystkie te trzy smaki ze sobą. Jim opróżnił miseczkę i cukier zawarty w deserze rozjaśnił mu myśli. Jednak nie poprawił nastroju.

- Spójrz na nich wszystkich przy tamtych dwóch stołach - warknął do Angie. Palą się, żeby znów pic i śpiewać ze mną przez całą noc!

- Nic podobnego - szepnęła uspokajająco Angie. - Prawdę mówiąc, nikt nawet nie patrzy w twoją stronę. Nawiasem mówiąc, czy zamierzasz iść do łóżka zaraz po tym, jak wrócisz na kwaterę?

- Tak.

- To może zanieśiesz swój materac do pokoju Briana? - zapytała. - On jeszcze przez jakiś czas nie opuści sali, a na pewno lepiej zniesie twoje chrapanie niż my.

- Dziś w nocy nie będę chrapał - odparł Jim.

- Lepiej się zabezpieczyć - powiedziała Angie. - Ponadto, jeśli zejdiesz do głównej sali, nie będziemy ci przeszkadzać, ani my, ani Robert. Jeszcze nie...

Przy jej ostatnich słowach Jim zaczął podnosić się z krzesła.

- Jeszcze nie? - jęknął.

- Najpierw wypij trochę wina z korzeniami - powiedziała Angie.

Jim wzdrygnął się. Przez cały posiłek unikał picia rozcieńczonego wodą czerwonego wina. Jednak teraz zdobył się na wysiłek, przełykając kilka łyków z postawionego przed nim prostokątnego pucharu.

- A teraz uśmiechnij się - mruknęła Angie. - Tak dobrze.

Teraz wstań. Pocałuj mnie... nie, nie, Jim! W policzek, Jim, w policzek! Zachowuj się. Jesteśmy między ludźmi. Możesz już iść.

Jim poszedł.

Powoli wypłynął z otchłani głębokiego, głębokiego snu z uczuciem cudownej wygody i braku pośpiechu, lecz jednocześnie z jakimś dziwnym niepokojem. Stopniowo przypomniał sobie, że przespał noc w kwaterze Briana, a nie w tej, którą zajmował z Angie, Robertem i służącymi.

Nie spieszył się z otwieraniem oczu. Niewątpliwie przespał zwykłą poranną pobudkę. Brian już dawno wstał i wyszedł - zapewne ubierając się cicho, żeby go nie zbudzić. Poczciwy stary Brian. Wszystko, co powinien dziś zrobić, nie miało żadnego znaczenia. Może przeleży tak cały dzień, przysypiając...

Jednak jego ciało miało zdecydowanie inny pomysł. Najwyraźniej postanowiło całkiem rozbudzić się, czy mu się to podobało, czy nie. Niechętnie otworzył oczy, jednak eksplozja światła wpadającego bezpośrednio przez okienko w murze sprawiła, że ponownie je zamknął. Wolno i ostrożnie otworzył je jeszcze raz. Kiedy zogniskował spojrzenie, dostrzegł jakąś postać, siedzącą przy stole kilka metrów dalej - i po paru sekundach zdał sobie sprawę z tego, że tą osobą jest Brian, zupełnie ubrany. Trzymał w dłoni kubek, w którym zapewne było rozcieńczone wino - nawet jego najlepszy przyjaciel nie pijał nie rozcieńczonego trunku tak wcześnie rano, chyba że przy jakiejś nadzwyczajnej okazji - i spoglądał na niego w zadumie. Reszta komnaty była pogrążona w blasku i mroku, tak że oślepiiony wpadającym przez okienko słonecznym światłem Jim nie potrafił dostrzec, czy oprócz Briana jest tu coś jeszcze.

Oczywiście, nie zobaczyłby tam niczego poza łóżkiem i jednym czy dwoma krzesłami...

- Ach, James - powiedział cicho Brian. - Obudziłeś się?

Jim miał ogromną ochotę wyszeptać „nie”, ale zdrowy rozsądek powiedział mu, że nie może negować tego faktu, skoro ma otwarte oczy i patrzy na Briana.

- Tak - odparł i z przyjemnością usłyszał, iż jego głos brzmi normalnie, a nie jak słabe skrzeczenie z poprzedniego ranka.

Wpadające przez okienko słońce nadal raziło go w oczy. Sturlał się z siennika, podciągnął go tak, żeby górną połową opierał się o ścianę i usiadł z powrotem, ponownie otulając się kocem. W pokoju było chłodniej, niż przypuszczał. Siedząc, spojrzał na Briana.

Tak lepiej. Nieliczne plamki światła wciąż tańczyły mu w oczach, pozornie bardziej go oślepiając, ponieważ komnatę pogrążoną w mroku oświetlała tylko smuga światła wpadającego przez wąskie okienko, co wywoływało kontrast świetlny. Jednak w takim małym pokoju gęsty mrok nie miał żadnego znaczenia.

Jim zauważył, że Brian nie był ubrany tak, jakby zamierzał wyjść na dwór w celu, na przykład, polowania z łukiem czy sokołami. Po prostu siedział sobie wygodnie w samej koszuli. To prawda, że owo ubranie z jasnozielonej wełny było na tyle grube, że w dwudziestym wieku mogło zostać uznane za sweter; jednak w tym czternastym wieku było najłżejszym odzieniem, jakie uważający się za dżentelmena mężczyzna mógł założyć i nadal uważać się za przyzwoicie ubranego.

- Masz ochotę na kubek tego gorącego napoju... jak on się nazywa? - zapytał Brian. - No wiesz, Carolinus go pija. Herbata.

- Herbata? - powtórzył Jim.

Polem zauważył, że na stole stoi bardzo duży skórzany bukłak ze skreślonym ręką Angie napisem PRZEGOTOWANA WODA; a słuch podpowiedział mu, że na palenisku kominka lekko syczy ich podróżny dzbanek.

Okazało się, że w tym czasie w Anglii po prostu nie da się zdobyć kawy. Jednak Carolinus miał herbatę i Angie jakoś udało się namówić maga, żeby dał jej trochę herbacianych liści. Stanowczo opierał się namowom Jima, pragnącego nauczyć się wyczarowywania kawy lub herbaty, i nie chciał wyjaśnić dlaczego. Jim domyślał się, że może z jakiegoś powodu inni magowie zzymali się na pijącego herbatę Carolinusa. Jednak tego nie był pewien. W każdym razie jedną z przyczyn, dla których Jim tęsknił za dwudziestym wiekiem, był brak czegoś gorącego, czego mógłby się napić po przebudzeniu. Najchętniej kawy, ewentualnie herbaty. Wystarczyłoby nawet kakao, lecz w tym miejscu i czasie nie słyszano o nim.

- Hmm, tak, dziękuję, Brianie - odparł.

- No, w takim razie - rzekł Brian - może będziesz tak dobry i sam sobie przygotujesz. Angie pokazała mi, co trzeba zrobić, ale nie jestem pewien, czy...

Umilkł.

- Z chęcią - rzekł Jim. Wstał trochę chwiejnie, lecz poza tym był w niezłej formie. Dokuśtykał do dzbanka, przeniósł go na stół, znalazł w środku ręcznie zrobioną torebkę z herbatą (jedyne, czego nie brakowało w tej epoce, to ludzi umiejących szyc, więc Angie stosunkowo łatwo mogła umieszczać herbaciane liście w małych, lekkich, porowatych woreczkach). Były bardzo poręczne, szczególnie podczas takich wypraw, jak ta. W domu, w Malencontri, robili w innym dzbanku esencję na kilka kubków.

W każdym razie nalał sobie kubek herbaty, wrócił z nim na posłanie, po czym usiadł i pił zadowolony z siebie i świata. Kiedy rozbudził się jeszcze bardziej, zaczęło mu świtać, że tego ranka bardzo zatroszczono się o jego potrzeby. Angie nie tylko dostarczyła mu przegotowaną wodę do rozcieńczania wina, herbatę i kubek, ale nawet próbowała nauczyć Briana parzenia herbaty, a i sam Brian był gotowy zrezygnować dla niego z wszelkich porannych planów. Po prostu siedział tu i równie poważnie, jak opiekowałby się rannym towarzyszem, czekał, aż Jim się obudzi. Normalnie Jim czułby się z tego powodu zażenowany. Jednak w tym momencie było mu miło pić herbatę w ciepłym łóżku i przyjemnie ciemnym pokoju, w którym pojedyncza smuga wpadającego światła już nie świeciła mu w oczy. Miał na pół świadome przeświadczenie, że mimo wszystko może w pewnym stopniu zasłużyć sobie na takie luksusy, zważywszy wszystko, co go ostatnio spotkało.

- Jak się czujesz, Jamesie? - zapytał Brian.

- Świetnie! - rzekł Jim i nagle poczuł ogromną chęć, aby porozmawiać o swoich problemach. Przyszło mu do głowy, że jeśli jest coś, czego naprawdę potrzebował, to życzliwego słuchacza, jednak nie Angie.

O niektórych dręczących go problemach nie zamierzał opowiadać żonie. Ponadto w tym średniowiecznym świecie przyzwyczał się zatrzymywać dla siebie swoje myśli i troski. Jednak jeśli nawet Brian nie zrozumie go - a szanse na to przedstawiały się jak sto do jednego - Jimowi bardzo ulży, jeżeli po prostu opowie mu o nich.

- A właściwie nie - dorzucił.

Twarz Briana przybrała zatroskany wyraz.

- Och? Chyba nie jesteś chory ani ranny, Jamesie? Angela na pewno powiedziała by mi. Co cię niepokoi?

- Kilkaset... chciałem powiedzieć wiele spraw - odparł Jim, poprawiwszy się szybko, ponieważ wiedział, że Brian zupełnie serio przyjąłby jego stwierdzenie o kilkuset dręczących go kłopotach. - Nie miałem pojęcia, że tyle rzeczy może jednocześnie źle pójść.

- No tak! - powiedział z głębokim współczuciem Brian. - Kim jest ta dama?

- Dama? Dama? - Jim miał wrażenie, że powtarza słowa bezmyślnie jak papuga. Wytrzeszczył oczy. - Co ma z tym wspólnego jakaś dama?

- Och! - powiedział Brian. - Ja... wybacz, Jamesie. Po prostu pomyślałem, że to przyjęcie u earla, a ciebie nie ma przez większość czasu i nawet Angela nie wie, dlaczego i gdzie... no, widzę, że pomyliłem się i...

Był bardzo zmieszany.

- Wielki Boże, nie! - powiedział Jim. Roześmiał się. Pomijając wszystko, nie miałbym czasu wiązać się z inną kobietą. Poza tym to nigdy się nic zdarzy, dopóki mam Angelę. Głowa do góry, Brianie. To ja powinienem ciebie przeprosić. Przeze mnie odniosłeś takie wrażenie. Nie, to kłopoty zupełnie innego rodzaju, a mimo to bardzo poważne.

- Och? - rzekł Brian, dochodząc do siebie. - Jednak błagam cię o wybaczenie...

- Nie, nie powinieneś - rzekł Jim. - To mój błąd. Zapomnijmy o tym. Te inne kłopoty są wystarczająco paskudne.

- No tak, oczywiście. Powiedziałbym, że jednym z nich jest troll.

- Tak - odparł Jim. natychmiast tracąc dobre samopoczucie. - Nie mogę tego zrozumieć. Carolinus zachowuje się tak, jakby jedną z najważniejszych spraw na świecie było to, czy troll i earl dojdą do porozumienia, żeby zamek przestał się trząść i rozpadać...

- Rozpadać?

- Och, przepraszam, Brianie - powiedział Jim, przypominając sobie poniewczasie. - Nie powinienem o tym mówić. W każdym razie, jak już mówiłem, Carolinus najwidoczniej uważa, że to ważne, tymczasem macha na wszystko ręką i zostawia na mojej głowie. A to nie jest taka prosta sprawa. W końcu troll i rodzina earla są ze sobą zwaśnieni już od tysiąca ośmiuset lat.

- Jesteś uczniem Carolinusa, Jamesie - odparł rozsądnie Brian. - On uczy cię, pozwalając, abyś sam znalazł rozwiązanie kłopotliwej kwestii. Niewątpliwie mag mógłby załatwić sprawę jednym skinieniem ręki. Jednak chce, żebyś nauczył się tego sam. Tak jest z każdym mistrzem i uczniem.

- No, pod twierdzą Loathly nawet nie kiwnął palcem - powiedział Jim. - Był tam ze swoją różdżką, żeby osobiście powstrzymać Ciemne Moce. Jednak to my musieliśmy walczyć. Ty i ja, Dafydd, Smrgoł i Secoh, a skoro o tym mowa, to czy nie miałeś ostatnio żadnych wieści o Dafyddzie?

Dafydd ap Hywel był ich przyjacielem, łuczniakiem, który poślubił Danielle, córkę Giles'a z Wold, i miał z nią syna oraz córkę lub dwóch synów. Jim nigdy tego nie pamiętał,



- Nie, od kiedy widzieliśmy go obaj - powiedział Brian. - Zeszłego lata, o ile pamiętasz.

- Będzie nam brakowało jego i Danielle - rzekł smutnie

Jim. - Jednak jeszcze bardziej będzie nam brak ciebie i Geronde, Aargha i wszystkich naszych przyjaciół.

- Brakowało? - zaskoczył Brian. - Dlaczego? Wybieracie się gdzieś z Angelą?

- Nie dobrowolnie - rzekł ponuro Jim. - I całkiem możliwe, że wcale nie. Może będziemy musieli wrócić tam, skąd przybyliśmy, albo zostaną pozbawiony całej magicznej mocy, a w takim przypadku Ciemnym Mocom może udać się zniszczyć Angie i mnie. Jednak to długa i zawiła opowieść. Nie powinienem zaprzętać ci nią głowy.

- Z całą pewnością powinieneś! - stwierdził Brian. - Dlaczego? Przecież jestem twoim towarzyszem broni! Towarzyszem niejednej bitwy - i miałbym nie pomóc ci w potrzebie? Musisz mi powiedzieć. To twój obowiązek, Jamesie!

Jim zapomniał o tym, jak poważnie Brian i wielu ludzi w owych czasach traktowało takie sprawy, jak przyjaźń i nienawiść. Gdyby nie opowiedział Brianowi o swoich kłopotach, ten uznałby to niemal za osobistą zniewagę. Jeśli potrzebował pomocy Briana, po prostu miał obowiązek powiedzieć mu o tym tak samo, jak udzielić pomocy, gdyby była potrzebna przyjacielowi.

- Wybacz mi - rzekł. - Nie pomyślałem. To dlatego, że tyle w tym wszystkim tajemnic. Ta sprawa z pozbawieniem magii i zmuszeniem do wyjazdu to coś, o czym honor nie pozwala mi opowiadać nawet tobie. Ponadto nie powinienem być taki surowy wobec Carolinusa. Mam wrażenie, że ze wszystkich sił stara się mi pomóc. Jednak, jak już powiedziałem, może będziemy musieli opuścić ten świat albo mogę utracić wszystkie moje magiczne umiejętności.

- Czy może do tego dojść? - zdumiał się Brian.

Jim pokiwał głową.

- Jednak w żadnym z tych przypadków nie możesz mi pomóc, tak samo jak i ja nie jestem w stanie pomóc sobie, według tego, co mówi Carolinus. Ponadto tak się składa, że od kiedy znaleźliśmy małego Roberta Falona, Angie wcale nie chce wracać.

Zależy jej na tym, by zostać tutaj i wychowywać chłopca do czasu, aż on będzie w stanie sam się obronić - przynajmniej w pewnym stopniu. Oczywiście, zakładając, że król wyznaczy mnie na opiekuna chłopca. Widzisz, Agatha Falon również tego chce, a jest w znacznie bliższych stosunkach z królem niż ja. O ile wiem, gdyby coś stało się Robertowi, ona odziedziczyłaby majątek.

- Lady Agatha Falon? - rzekł Brian. - Ta, która poświęca całą swą uwagę earlowi?

- Tak - odparł Jim. - Jak ci już chyba mówiłem, na londyńskim dworze uważają, iż ona zagięła parol na króla. Książę Edward niepokoi się, że może jej się to powieść, i jeśli król pojmie za żonę, książę będzie podwójnie zagrożony zarówno jako dziedzic tronu, jak i mając w osobie Agathy

potężnego wroga. Najwidoczniej nie przepadają za sobą i oboje o tym wiedzą. Ponadto Agatha próbowała zabić Roberta i mało brakowało, a zabiłaby Angie...

Opowiedział o tym Brianowi.

- Przecież na pewno sir John Chandos albo Carolinus opowiedzieli o tym earlowi? I co on na to?

- Obawiam się, że nikt o tym nie wie - rzekł Jim. - Naprawdę, dotychczas nie mieliśmy okazji mówić na ten temat ze względu na tę historię z earlem i trollem. Kiedy z nim rozmawialiśmy, nie była to odpowiednia chwila na poruszanie tego tematu, miał inne sprawy na głowie.

- Earl wciąż denerwuje się tym trollem? - zapytał Brian. - Sądziłem, że ty lub Carolinus położyliście temu kres. O co właściwie chodzi? A może i o tym nie powinieneś mi mówić?

- Chyba mogę - odparł Jim. - W końcu to ty zszedłeś ze mną do podziemi, żeby porozmawiać z Mnrogarem.

Opowiedział Brianowi o wszystkim, co dotyczyło earla, trolla i zamku, pomijając tylko rozmiary uszkodzeń, jakie powodował Mnrogar.

Kiedy skończył mówić, Brian potrząsnął głową.

- Naprawdę, Jamesie - powiedział. - To przekracza ludzkie pojęcie. Trzy takie problemy jednocześnie; ten z magią, o którym nie możesz mi powiedzieć, wrogość takiej osoby, jak lady Falon, a w dodatku kłopot z trollem i earlem.

- Och - powiedział Jim - a czy mówiłem ci o armii trolli, które zebrały się tuż za granicą terytorium Mnrogara, czekając na coś?

- Mówiłeś - odparł sir Brian. - Zapomniałem o tym. One chyba jednak nie przedstawiają dla nas żadnego problemu, jeśli interesuje ich tylko to, czy jeden z nich zastąpi zamkowego trolla?

- To oczywisty powód ich obecności tutaj - powiedział Jim. - Jednak Carolinusa i mnie niepokoi fakt, żetrolle nigdy nie zbierają się w tak liczne gromady, ponieważ zaciekle walczą ze sobą. Teraz robią coś przeciwnego własnej naturze i dlatego jest to takie przerażające. Jeśli pod tym względem zachowują się inaczej niż kiedykolwiek przedtem, to czy nie mogą działać odmiennie także w innych sprawach?

- Na Młodzianków, których mamy dziś święto! - rzekł Brian. - O tym nie pomyślałem!

- No cóż, może później poznamy prawdziwy powód. Jednak teraz mogą narobić nam kłopotów.

- Co za nawał nieszczęść! - biadał Brian. - Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Złości mnie to, że w niczym nie mogę ci pomóc!

Z łoskotem rąbnął pięścią w stół, po czym machinalnie złapał w powietrzu kubek z winem, nie

dając mu spaść na podłogę. Jim wyczuwał siłę targających Brianem uczuć.

- Wcale nie spodziewałem się, że coś zrobisz, Brianie - powiedział, - Właśnie dlatego nie powiedziałem ci o tym wcześniej. Zapewne nawet teraz nie powinienem zawracać ci głowy.

- Nie, nie - zaprzeczył Brian. - Zawsze powinieneś mi mówić o takich sprawach, Jamesie. Miałem wrażenie, że coś się szykuje. Ach, a ja tak niecierpliwie wyczekiwałem na spotkanie z tobą tutaj, spodziewając się, iż miło spędzimy czas! Chciałbym mieć sposobność pokazać ci, jak należy trzymać kopię w czasie turnieju i używać innych rodzajów broni - tobie i Giles'owi, ale szczególnie tobie, Jamesie, a nie mieliśmy na to chwili czasu. I wygląda na to, że nie będziemy mieli.

Miły nastrój Jima ustąpił miejsca poczuciu winy.

- Wiem, Brianie - powiedział, czując nagłe wyrzuty sumienia nie z powodu braku czasu na wymienione przez przyjaciela zajęcia, lecz ze względu na to, że uchylał się od nich. Nie kwapił się do krzyżowania kopii ani do pojedynków - nawet na stępione miecze - z innymi rycerzami. Skoro o tym mowa, to Brian nie wykazał za grosz delikatności podczas treningów, jakie dotychczas przeprowadzał z Jimem. W czasie ćwiczeń zwykł uderzać równie mocno, jak w prawdziwej walce, więc Jim musiał bardzo uważać, żeby w porę zastawić się stępionym mieczem lub tarczą. Poczucie winy już zniknęło, lecz żal Briana wyzwolił u Jima melancholię wypierającą wcześniejsze zadowolenie i spokój.

- Nie martw się tym, Brianie - rzekł. - Wymyślę coś albo Carolinus coś poradzi, tak czy inaczej, jakoś to będzie. Jedyne, co mnie naprawdę niepokoi, to fakt, że w rezultacie mogę stracić moje umiejętności magiczne albo zostać wraz z Angie zmuszony do powrotu do domu. - Westchnął. - Jednak wiesz co, Brianie? - powiedział. - Może nasz wyjazd byłby najlepszym rozwiązaniem.

No rozumiesz, mimo tych wszystkich lat oraz pomocy twojej i Geronde, Giles'a, Dafydda, Aargha, a nawet Secoha i innych nadal nie znalazłem tu sobie własnego miejsca. Nie jestem dobrym magiem, o czym często przypomina mi Carolinus, a ty sam dobrze wiesz, że nie posługuję się wprawnie żadnym rodzajem rycerskiego oręża i zapewne nigdy nie będę. Ponadto...

Powstrzymał się w ostatniej chwili. Już miał wyznać Brianowi, że okłamał pierwszego rycerza, którego spotkali po znalezieniu się tutaj, iż on, Jim, był baronem miejsca zwanego Riveroak, i pozwolił Brianowi wierzyć, że już był pasowany na rycerza. Wiedział, że Brian spróbuje znieść każdy cios, jednak wpojono mu pewne zasady zachowania. Jeżeli Jim nie był rycerzem, nie był baronem, to czy w ogóle był szlachetnie urodzony? Bo gdyby nie był, to on, Brian Neville-Smythe, przedstawił prawdziwym rycerzom takiego oszusta jako swojego najlepszego przyjaciela. Ta informacja byłaby dla Briana trudna do strawienia, nawet gdyby zachował ją w tajemnicy, czego honor prawdopodobnie nie pozwoliłby mu zrobić. Jim po prostu nie potrafiłby zniszczyć swojego wizerunku w oczach Briana, który uważał go za człowieka uprawnionego do noszenia miecza i złotych rycerskich ostróg.

Oczywiście nie zawsze były złote. Wprost przeciwnie. Wielu rycerzy nie było stać na złote ostrogi, a poza tym nie byłyby one zbyt praktyczne na co dzień, gdyż ten metal jest wyjątkowo miękki.

Tymczasem Brian już podnosił go na duchu.

- Jamesie, zbyt poważnie traktujesz te swoje drobne wady! Nauczysz się posługiwać bronią, będę cię szkolił i wyćwiczysz się, obiecuję - a pozostałe poważne problemy w końcu też się jakoś rozwiążą.

- Jednak - rzekł Jim, tak głęboko pogrążony w smutku, że niemal cieszył się nim i postanowił użyć jedyne argumentu, którego Brian nie potrafił zbić - w końcu, jak sam wiesz, Brianie, nie jestem Anglikiem.

- Racja! - odparł odważnie Brian. - Jednak jesteś dzielnym rycerzem. Zawsze walczyłeś i zwyciężałeś w słusznych sprawach. Wszyscy panowie i panie są dumni, że mogli cię poznać. Ja też jestem dumny ze znajomości z tobą!

- Duma! - odezwał się ochryply, pogardliwy głos z ciemnego kąta pokoju. - Jedna z ludzkich zabawek, nic więcej. Pośród liczących się spraw duma jest niczym.

Jim obrócił się. Teraz jego oczy już przywykły do półmroku komnaty, rozświetlonej tylko jedną smugą jasnego światła, i ujrzał to, co powinien zauważyć wcześniej. W cieniu przeciwległego kąta pokoju, leżąc leniwie na boku, czekał Aargh. Wilk podniósł się z podłogi i podszedł do nich, aż jego wielki, groźny łeb znalazł się tuż obok twarzy Jima i Briana.

## Rozdział 26

- Aargh! - powiedział Jim.

Aż nazbyt dobrze znał niechęć Aargha do przebywania we wszelkich zamkniętych budowlach. Wchodzenie do czegoś, co przypominało pułapkę, wyraźnie sprzeciwiało się zdrowemu rozsądkowi każdego wilka. Jaskinia lub jakaś mała kryjówka, w której mógł zwinąć się bez obawy, że ktoś zajdzie go z innej strony niż od przodu, była do zaakceptowania. Takie miejsce to zacisza, własna forteca. Jednak ludzkie siedziby, szczególnie zamki, to rozległe budowle, w których wilk może zostać zaatakowany ze wszystkich stron jednocześnie, a powódź silnych zapachów nie pozwoli wyczuć czającego się w pobliżu niebezpieczeństwa.

- Od jak dawna tu jesteś, Aarghu? - zapytał Jim.

- Przyszedłem z Brianem - odparł Aargh. - Spotkaliśmy się w jaskini Mnrogara, a potem poszliśmy po schodach, przez stajnię i do wieży. Wszyscy słudzy byli zajęci lub jedli i pili, podczas gdy goście robili to samo w sali. Nikogo nie spotkaliśmy. Nikt mnie nie widział. Gdyby stało się inaczej, byliśmy gotowi udawać, że jestem tylko dużym psem. Nikt nie pytał.

- No, cieszę się, że cię widzę, Aarghu - powiedział Jim. - Słońce świeciło mi w oczy, inaczej zauważyłbym cię wcześniej.

Ty zapewne lepiej od Briana rozumiesz, jak kiepsko wypadam w porównaniu z wami.

Aargh prychnął.

Przez moment wydawało się, że zaraz odwróci się tyłem do Jima i odejdzie, wyrażając w ten sposób najgłębszą wilczą pogardę; lecz nie zrobił tego.

- Jeśli chcesz zakończyć naszą przyjaźń - powiedział wilk - mówisz właściwe słowa, Jim. Dlaczego skamlesz, jak trzydniowe szczenię? Powiedziałeś, że zanim znalazłeś się tutaj, byłeś gdzie indziej. Nie myłę się?

- Nie - odparł Jim. - Nie mylisz się. Ja tylko...

- A kiedy tam byłeś, to byłeś człowiekiem, prawda?

- Oczywiście.

- Nie smokiem?

- Nie - powiedział Jim. - Do czego...

- Ja jestem wilkiem - przerwał mu Aargh. - Byłem wilkiem przez całe życie. Będę wilkiem aż do dnia mojej śmierci. Potem niech kruki oskubią moje kości. To bez znaczenia. Mówisz, że gdziekolwiek byłeś przedtem, to zawsze jako człowiek. I tutaj jesteś człowiekiem. Bądź nim nadal, a czy coś poza tym ma znaczenie? Nadejdzie taki czas, kiedy napotkasz coś, czego nie zdołasz zabić. Wtedy umrzesz. Wszystko umiera. Jednak nic nie zdoła zmienić faktu, że od narodzin do śmierci jesteś człowiekiem. Nic poza tym się nie liczy,

Brian wydał nieartykułowany dźwięk, jakby chciał coś powiedzieć, Aargh spojrzał na niego i rycerz opadł z powrotem na krzesło, podpierając dłonią brodę.

- Jeśli chciałeś mi rzec, że sytuacja Jamesa to jedna z tych ludzkich spraw, jakich wilk nie może pojąć - powiedział Aargh do rycerza - odpowiem ci tak: To również nic nie oznacza wobec faktu, że ja jestem mną, James Jamesem, a ty tobą. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Robimy to, co możemy. Kiedy już nie możemy, nadchodzi koniec i umieramy, w pełni przeżywszy nasze dni. Czy można żądać więcej?

Znowu popatrzył na Jima, który w tym momencie uświadomił sobie, jak usilnie szukał współczucia u tych dwóch przyjaciół.

- Masz rację, Aarghu - tylko tyle zdołał wykrztusić.

- Oczywiście, że mam rację - odparł wilk. Spojrzał na Briana. - Chcesz się ze mną spierać, Brianie?

- Ha... no cóż - powiedział rycerz. - Szlachcic to coś więcej niż zwykły człowiek. Honor, obowiązek... ale jest coś w tym, co powiedziałeś, Aarghu.

Rzeczywiście, pomyślał Jim, jest. Zadziwiające, ale bardzo go to podbudowało. Powoli zaczął odzyskiwać zwykły dobry humor - i właśnie coś sobie przypomniał.

- Przy okazji, Aarghu - powiedział - co wiesz o skrzatach?

- Niewiele - odparł wilk. - Widuję je czasami, jak lecą na smużkach dymu przez lasy, ale to domowe stworzenia i zazwyczaj nie mam z nimi nic wspólnego. Jednak wiem, że są płochliwe jak polne myszy.

- To niedobrze - powiedział Jim, w połowie sam do siebie. - Zastanawiałem się tylko, jak one żyją. Niedawno pojawił się tu skrzat z kuchennego komina w Malencontri, żeby powiedzieć mi o smokach z Cliffside.

- O smokach? - zdziwił się Brian. - A co mają z tym wspólnego smoki?

- Och, Secoh przyniósł mi wiadomość - powiedział Jim. - Nie mówiłem ci o tym?

- Nie pamiętam, żebyś mówił, Jamesie - powiedział Brian. - To chyba nie jest kolejny problem, przed którym stanęłeś?

- Prawdę mówiąc, jest - rzekł Jim. Już powiedział Brianowi tyle, że równie dobrze mógł powiedzieć mu wszystko. - Smoki chcą tu przyjść, na przyjęcie do earla.

- Smoki? Tutaj? - Brian wytrzeszczył oczy. - Chyba nie są takie niemądre? Jeśli tu przyjdą, każdy rycerz obecny na zamku będzie próbował je zabić. Zresztą, po co miałyby tu przybyć?

Jim stwierdził, że trudniej to wyjaśnić, niż przypuszczał.

- No cóż - odparł - z powodu tego, co Smrgol powiedział przed bitwą o twierdzę Loathly, że ludzie i smoki muszą się lepiej poznać. A także przez Secoha, który tyle ma z nami do czynienia i opowiada o tym, czego dokonaliśmy razem. Szczególnie niektóre młodsze smoki zaczęły rozmawiać z samotnymi, napotkanymi w odludnych miejscach ludźmi, takimi jak smolarze czy drwale. Usłyszały opowieść o tym, jak smoki napotkały Chrystusa, świętego Józefa i świętą Marię, uciekających przed Herodem zamierzającym pozabijać wszystkie małe dzieci, aby upewnić się, że Chrystus nie dorośnie i nie zagrozi jego panowaniu.

- Zaiste! - rzekł Brian. - Łajdacki plan!

- Właśnie - ciągnął Jim. - Tak więc, z jakichś powodów, smoki wzięły księcia Edwarda za Chrystusa, a wiedzą, że książę jest na biesiadzie u earla. W opowieści, jaką słyszały, Chrystus błogosławi smoki i one myślą, że tak się stanie albo powinno stać w to Boże Narodzenie u earla. Uważają, iż powinny być tutaj, żeby otrzymać błogosławieństwo. Tak to wygląda.

- Dziwna historia - rzekł Brian i przeżegnał się.

- Och, myślę, że po prostu wszystko im się pomieszało - powiedział Jim. - Jednak rzecz w tym, że one spodziewają się, iż załatwię wszystko tak, aby mogły bezpiecznie tu przyjść i otrzymać to błogosławieństwo.

- Musisz stanowczo zabronić im tu przychodzić! - rzekł Brian.

Aargh rozdziawił pysk, pokazując dwa rzędy wygiętych kłów.

Jednak Brian znał wilka dostatecznie długo, żeby rozpoznać bezgłośny, wilczy uśmiech. Ofuknął Aargha:

- I co w tym widzisz takiego śmiesznego? - warknął.

- Sam pomyśl, żeby zakazać smokom robienia czegoś i spodziewać się, że posłuchają!

- Obawiam się, że on ma rację, Brianie - powiedział Jim. - Z wielu powodów na nic by się to zdało, a poza tym są poważne powody, by tego nie robić. Muszę podać im jakąś sensowną przyczynę, dlaczego będzie lepiej, jeżeli nie przyjdą. Jednak dotychczas nie zdołałem nic wymyślić. Gdybym tylko mógł sprowadzić je tutaj w taki sposób, żeby wszyscy pomyśleli, iż z jakiegoś względu są częścią otoczenia - albo jeszcze lepiej, gdybym mógł je ściągnąć tutaj w chwili, gdy wszyscy będą tak zajęci, że ich nie zauważą... - Nagle urwał. - Wiecie co - powiedział - może to dobry pomysł. Brianie, zupełnie zapomniałem. Słuchaj, dziś mamy Dzień Młodzianków? A zatem jutro jest świętego Tomasza. ..

Umilkł, nie mogąc sobie przypomnieć następnego świętego. Średniowieczny kalendarz zbudowany był na ich imionach niż na datach. Zazwyczaj, z powodu zapominalstwa, Jim nie miał większych towarzyskich problemów. Magowie mieli opinię roztargnionych.

- A więc nazajutrz po dniu świętego Tomasza - pomógł mu teraz Brian - jest oktawa Bożego Narodzenia, a po niej świętego Sylwestra, potem zaś Obrzezanie Naszego Pana pierwszego stycznia. A potem, hejże! przed nami cały rok...! - Szybko poprawił się. - Chociaż, wedle prawa, nowy rok właściwie zaczyna się od święta naszej Pani, przypadającego na dwudziesty piąty marca. Wybacz mi, Jamesie. Nie chciałem wygłaszać kazania na temat dni roku.

- Nie wygłaszałeś. Potrzebowałem tych wiadomości. Dzięki, Brianie. A którego dnia ma się odbyć turniej?

- No cóż, prawdę mówiąc - odparł Brian, jakby lekko zmieszany - w przeszłości zdarzało się, iż w trakcie turnieju ktoś doznał lekkich obrażeń. Ponieważ od kilku lat turnieje odbywają się w ostatni, dwunasty dzień świąt, Objawienia Pańskiego, wypadający szóstego stycznia, wszyscy zaproszeni mogą bawić się przez większość tych dwunastu dni świąt Bożego Narodzenia.

- No cóż, to świetnie - rzekł Jim, nabierając otuchy. - Wobec tego mam mnóstwo czasu, żeby najpierw rozwiązać problem earla i trolla oraz wszystkie inne, wymagające natychmiastowej reakcji. Powiem smokom, żeby przybyły ostatniego dnia, kiedy wszyscy będą na turnieju, bo tak przewidujesz, prawda, Brianie?

- Nikt nie opuści turnieju - odparł pytany. - Rycerze, damy, szlachta, służba, dzierżawcy czy kmiecie.

- To wspaniale - powiedział Jim. - Jak już mówiłem, mogę sprowadzić tu w tym czasie smoki i na chwilę wywołać księcia, żeby pobłogosławił je jak należy. Później odlecą i nikt nie będzie

wiedział, że tu były. To wspaniałe!

Nalał trochę wina do najbliższego stojącego kubka i wypił je sam, gratulując sobie planu.

- Tylko czy jesteś pewien, że wszyscy będą na turnieju? - spytał ponownie Briana.

- Przecież już ci mówiłem.

- Naprawdę, nie mogłoby być lepiej - rzekł Jim, w połowie do siebie, a w połowie do Briana i Aargha, Nagle poczuł kolejny przypływ inspiracji. Mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- To nasuwa mi jeszcze jeden pomysł - oświadczył. - Brianie, czy mówiłem ci, że Angie twierdzi, iż wszystkim gościom bardzo podobała się inscenizacja bitwy pod Sluys wystawiona podczas bożonarodzeniowego obiadu?

- Jakbym tego nie widział! Ledwie powstrzymałem chęć przyłączenia się do bitwy. Oczywiście wiedziałem, że to tylko przedstawienie i gra aktorów, a ponadto nie miałem przy sobie miecza ani bitewnego rynsztunku. Jednak przedstawienie było bardziej realistyczne, niż możesz sobie wyobrazić, Jamesie!

- Tak też mówiła Angie - odparł Jim, czując lekkie wyrzuty sumienia na myśl o tym, jak śmiali się z opisywanych przez Angie nieudolnej gry aktorskiej i prymitywnej scenografii. - Jednak to nasunęło jej pewien pomysł. Pomyślała, że ona i ja, z twoją pomocą, Brianie, i oczywiście z twoją, Aarghu, jak również Carolinusa i innych, moglibyśmy urządzić takie przedstawienie ku uciechu gości w któryś z pozostałych dni świąt. Może w ostatni dzień, po obiedzie, który niewątpliwie odbędzie się po turnieju, byłaby na to idealna pora. Angie chciała wystawić jasełka.

- Jasełka? - Brian zmarszczył brwi.

- No, wiesz - rzekł Jim, nagle uświadamiając sobie, że przyjaciel nie ma pojęcia, o co mu chodzi - chwila tuż po narodzinach Chrystusa, w stajni, z osiołkami i mułami, Marią i Józefem oraz pasterzami przybywającymi oddać cześć nowo narodzonemu królowi.

- Ach tak? - powiedział Brian ze zdumieniem i podziwem. - Nie wiedziałem... ale to wspaniały pomysł, Jamesie. Powinniście to zrobić, z całą pewnością. Chętnie wam pomogę. I ty też, prawda, Aarghu?

- Dlaczego? - zapytał wilk.

Brian pospiesznie zostawił to pytanie bez odpowiedzi i mówił dalej do Jima:

- Przecież to byłaby wspaniała rzecz w tym ostatnim dniu - rzekł. - Szczególnie że zazwyczaj święta kończą się obiadem dwunastego dnia i potem nie ma już na co czekać. Urządzilibyście to w sali podczas obiadu, tak jak wystawiono bitwę pod Sluys?

- Prawdę mówiąc - odparł Jim - pomyślałem, że w ten sposób znaleźlibyśmy się poza murami zamku, który został pobłogosławiony przez biskupa, więc można by trochę urozmaicić scenografię,



ponieważ zarówno Carolinus, jak i ja, za pomocą magii...

Urwał.

Brian i Aargh nie odrywali od niego oczu.

- Właśnie przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł, nawet lepszy, dotyczący samego turnieju - ciągnął po sekundzie wahania - może mógłbym rozwiązać problem tego przebranego trolla, a jednocześnie zapewnić widzom trochę rozrywki? Brianie, co myślisz o tym, żeby pod koniec turnieju pojawił się niespodziewanie ogromny rycerz w czarnej zbroi i na czarnym ogierze, odmawiając podania swego imienia albo jeszcze lepiej, nie mówiąc ani słowa, tylko rzucając wyzwanie wszystkim obecnym rycerzom, którzy ośmielą się skrzyżować z nim kopie?

Brianowi rozbłyły oczy.

- To naprawdę byłoby coś wspaniałego, Jamesie! - zawołał, ale zaraz sposepniał. - Jednak ktokolwiek będzie udawał czarnego rycerza, zostanie szybko rozpoznany przez pozostałych gości, którzy zauważą, kogo spośród nich brakuje, ponieważ czarny rycerz będzie musiał wcześniej oddalić się po kryjomu, żeby włożyć zbroję i wsiąść na konia.

- A gdyby ten rycerz nie był jednym z gości? - zapytał Jim. - Wtedy nie mieliby innego wyjścia i musieliby uwierzyć, iż jest tym, na kogo wygląda. Byłby największym rycerzem w czarnej zbroi, jakiego widzieli, na najogromniejszym i najdzikszych bojowym rumaku.

Brianowi zaparło dech w piersi. Błysk w jego oku zmienił się w prawdziwy pożar, który jednak zaraz znów przygasł.

- Skoro nie będzie to któryś z gości, to kto? - zapytał. - W okolicy nie ma mogącego wystąpić w tej roli rycerza, który nie zostałby zaproszony na zamek earla, - Na jego twarzy pojawił się niepokój. - Mam nadzieję, Jamesie... - zawahał się - że nie zamierzasz, ty lub Carolinus, nakazać jakiemuś bezbożnemu stworowi, aby walczył z chrześcijańskim rycerzem, i dlatego chcesz, żeby nastąpiło to podczas turnieju, poza zamkiem pobłogosławionym przez biskupa?

- Nie - odparł Jim, nadal uniesiony entuzjazmem - żadnych potworów czy Ciemnych Mocy. Tylko jeden naturalny. Brian wyraźnie spochmurniał.

- Obawiam się, że to nie może być - rzekł. - Żaden rycerz nie powinien skrzyżować kopii z kimś, kto przynajmniej nie jest dobrze urodzony, nie mówiąc już o jakimś naturalnym.

- Mam pewien pomysł - wyjaśnił Jim. - Załóżmy, że ten czarny rycerz nie będzie udawał szlachetnie urodzonego.

- W takim razie nikt nie zniżył się do walki z nim - wtrącił Brian.

- Zaczekaj. Zaczekaj chwilkę - powiedział Jim. - Posłuchaj mnie, Brianie. To stworzenie będzie wyglądało jak wielki czarny rycerz w zbroi, ale nie powie ani słowa, nawet nie poda swej godności. Wtedy ktoś spośród gości może zacząć głośno zastanawiać się, czy nie jest to jakiś stwór z

piekła rodem. Na to ktoś inny, na przykład ja, powie coś w tym stylu, że gdyby ten czarny rycerz istotnie był bezbożnym potworem, to byłoby obowiązkiem każdego chrześcijańskiego rycerza pokazać mu, iż myli się, sądząc, że może sprostać prawdziwemu chrześcijaninowi, zatem sam chętnie stanę z nim w szranki.

- Na świętego Briana, mojego patrona! - zakrzyknął Brian i rozpromienił się. - Bardzo dobrze powiedziane, Jamesie. Istotnie, obowiązkiem każdego chrześcijańskiego rycerza jest zniszczyć takiego demona ciemności. Nie musisz się zgłaszać. Sam to zrobię.

- No cóż - wyjaśnił Jim - miałem nadzieję, że kiedy zgłoszę się do walki z intruzem, który może być tylko złym duchem, inni rycerze również postanowią to zrobić, a ponieważ niezbyt sprawnie posługuję się bronią, zechcą mnie wyręczyć, na co uprzejmie wyrażę zgodę...

- Nie wątpię, że znajdą się tacy, którzy zechcą...

- Widzisz - ciągnął Jim - mam nadzieję, że uda mi się sprawić, by ten czarny rycerz pokonał wszystkich przeciwników i zdobył nagrodę dnia - koronę czy cokolwiek ofiaruje mu dama, którą earl wyznaczy do wręczenia trofeum. W ten sposób będzie miał okazję podejść do trybuny, na której zasiądą wszyscy goście, bo sądzę, że do tej pory ustawią tam ławki. Powoli podjedzie tam na koniu i będzie miał wszystkich pod nosem.

Umilkł, spoglądając triumfalnie na przyjaciół. Brian i Aargh popatrzyli na niego.

- Nie rozumiecie? - dodał. - To dlatego zamierzam zrobić Mnrogara tym czarnym rycerzem. Dam mu szansę podejść blisko do każdego z gości i wywęszyć wśród nich trolla. Wtedy rzuci mu wyzwanie lub publicznie zdemaskuje. To rozwiąże wspólny problem - jego i earla.

Czekał.

Brian i Aargh ani drgnęli. Obaj pozostali na swoich miejscach, wciąż patrząc na Jima, Po chwili, która wydawała się wiecznością, Brian pochylił się i lekko dotknął grzbietem dłoni czoła Jima, spoglądając przy tym na sufit. Potem cofnął dłoń.

- Dziwne - rzekł w zadumie, - Wydaje się, że nic ci nie jest. Masz dzisiaj gorączkę, Jamesie?

- Jestem zupełnie zdrow! - odparł Jim. - Co się z tobą dzieje? Sądziłem, że to dobry pomysł.

- Troll walczący z rycerzem? - powiedział powoli Brian. - Łatwiej byłoby nauczyć górę siedzieć na stole.

- No, jak już powiedziałem, są pewne problemy - stwierdził Jim. - Jednak na pewno uporamy się z nimi w czasie, jaki pozostał nam do ostatniego dnia świąt...

Nagle wpadł mu do głowy zupełnie nowy pomysł.

- Niech chwilę pomyślę - powiedział do towarzyszy, Brian skwapliwie usiadł z powrotem na krześle. Aargh wyciągnął się wygodnie na podłodze, wydając się drzemać, jednak Jim wiedział z

doświadczenia, że wilk nie śpi i czujnie go obserwuje. Jimowi przypomniało się, jak Carolinus z naciskiem oświadczył, iż nie będzie mógł mu już pomóc w rozwiązywaniu jakichkolwiek problemów ze względu na protesty, jakie wzbudził wśród magów przydział dodatkowej energii magicznej. Pytanie tylko, czy oznaczało to, że Carolinus nie może mu pomóc, udzielając rad?

Jeśli Carolinusowi nie było wolno mu doradzać, wyjaśniałoby to, dlaczego stary mag ostatnio przestał się pokazywać. Teoretycznie mogło to jeszcze bardziej osłabić i tak niepewną pozycję Jima.

Obecnie dobre rady były wszystkim, czego mógł oczekiwać, ale też potrzebował ich. Nie miał pojęcia, jak wyczarować czarną zbroję czy bojowego rumaka dla Mnrogara. Przypuszczał, że będzie musiał przemienić zwyczajnego konia lub jakieś inne stworzenie. Takie rzeczy Carolinus z pewnością umiał robić, a jeśli udzieli mu wskazówek, Jim powinien jakoś sobie z tym poradzić.

Jeżeli jednak nie będzie mógł porozmawiać z Carolinusem, stanie przed poważnym problemem. Już wcześniej odniósł wrażenie, że w żaden sposób nie może pomówić ze swym mistrzem tak, by nie wiedzieli o tym przynajmniej magowie najwyższych klas. To mogłoby wyjaśniać, dlaczego Carolinus unikał wszelkich kontaktów. Tymczasem teraz Jim wpadł na nowy pomysł. Przecież mógł pogadać z nim w odosobnieniu Wyspy Zaginionych Chłopców z książki Piotruś Pan, tak jak poprzednio. Wystarczy wezwać Dzwoneczka...

Nagle przypomniał sobie o czymś. Przecież nadal znajdował się w zamku, gdzie jego magia nie działała. Wstał i zaczął się ubierać.

- Chodźcie - powiedział. - Muszę znaleźć się za murami, żeby użyć magii.

Na twarzy Briana natychmiast pojawił się niepokój typowy dla ludzi z tych czasów, lecz rycerz posłusznie wstał i poszedł za Jimem. Aargh uczynił to samo, tyle że nie zdradzał żadnych uczuć. Po paru minutach znaleźli się pod zamkiem, w legowisku Mnrogara. Jim podejrzewał, że, zdaniem Aargha, nawet tutaj pachnie lepiej niż w siedzibie ludzi, którą dopiero co opuścili. Jednak skupił się na czekającym go zadaniu, odsuwając od siebie nieistotne sprawy.

W myślach spróbował na wewnętrznej stronie czoła napisać dużymi literami magiczne zaklęcie:

JA ROZMAWIAM Z DZWONECZKIEM

Nic się nie stało. Spróbował ponownie. Nadal nic. Spróbował się skupić i przypomnieć sobie srebrzysty głosik Dzwoneczka brzęczący mu tuż nad uchem... jednak nie zdołał.

Zastanawiał się chwilę.

Przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

Przecież to wcale nie musi być wyspa z powieści Piotruś Pan. Dlaczego nie miałyby to być dowolne miejsce w dowolnej książce? Ponadto Carolinus zawsze napomykał, że Jim w niewłaściwy sposób podchodzi do magii. Nieustannie powtarzał, iż magia jest sztuką i Jim musi o tym pamiętać. Prawdę mówiąc, pracując nad swoimi czarami, Jim miał skłonność traktować je w myślach jako

obraz wywołany na ekranie komputera w rezultacie uderzeń palcami w klawiaturę.

Carolinus usiłował powiedzieć mu coś, lecz różnica w czternastowiecznym a dwudziestowiecznym sposobie myślenia przeszkadzała Jimowi w zrozumieniu. Może magia była w rzeczywistości bardziej kwestią koncepcji artystycznej, a w mniejszym stopniu polegała na zaklęciach, czarach czy rozkazach? Jim już potrafił przenieść się za pomocą magii z dowolnego miejsca na zamek Malencontri lub tam, gdzie znajdował się Carolinus, i zawsze robił to, pisząc odpowiednie zaklęcie, ale również - co pojawił dopiero teraz - wyobrażając sobie miejsce, dokąd zmierzał, lub osobę, której szukał.

Spróbował powtórnie.

JA W DOMU SHERLOCKA HOLMESA

Skupił myśli, usiłując wyobrazić sobie pokój, który tak dobrze i często opisywano w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie...

I znalazł się w nim.

Właśnie tak zawsze wyobrażał sobie to pomieszczenie. Stały tu dziewiętnastowieczne wielkie fotele. Na półce pod kominkiem leżała wygięta fajka i spory kapciuch mocno nabity tytoniem. Na ścianie widać było ślady po kulach, które układały się w napis S M.

Samego Sherlocka Holmesa nigdzie nie było widać. Niski i gruby mężczyzna stał tyłem do Jima, spoglądając na sekretarzyk.

Słowa „Doktor Watson, jak mniemam?” niemal odruchowo cisnęły się Jimowi na usta; jednak powstrzymał je. W samą porę, jak się okazało. Ponieważ kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, stojąca przed nim postać przeszła tyłem do Jima od biurczka do drzwi w ścianie pokoju. Drzwi otworzyły się, zanim mężczyzna dotknął klamki, wyszedł się z pokoju, zostawiając Jima samego.

Mała usterka w zaklęciu, powiedział sobie Jim. Już miał wrócić tam, gdzie czekali na niego Brian z Aarghem, i zacząć od nowa, kiedy doszedł do wniosku, że jest inny, zapewne łatwiejszy sposób.

Jeśli zaklęcia są kwestią koncepcji... spróbował wyobrazić sobie zegarek analogowy z cyferkami godzin ułożonymi wokół tarczy oraz obracającymi się na niej minutową i godzinową wskazówką, a także z sekundnikiem, który poruszał się najszybciej. Jim stworzył w myślach obraz poruszającego się w tył sekundnika. Potem zatrzymał go i znów pozwolił mu krążyć.

Drzwi otworzyły się. Niski, dość zażywny mężczyzna wszedł z powrotem do pokoju, przystanął i wytrzeszczył oczy.

- Pytam - powiedział głosem Nigela Bruce'a, który Jim pamiętał z licznych filmów o Sherlocku Holmesie - jak wszedł pan tutaj nie zapowiedziany przez panią Hudson?

- Nazywam się James Eckert - powiedział Jim. - To niezwykle ważne, abym natychmiast

porozmawiał z panem Holmesem. Czy zastałem go w domu?

- Chwileczkę - rzekł doktor Watson. Znów wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Za nimi Jim usłyszał jego głos, wołający: „Holmesie? Holmesie, jest tu ktoś...”. Resztę powiedział przyciszonym głosem, który nie przedarł się przez drzwi.

Jim czekał. Po chwili drzwi otworzyły się i Watson znowu wsunął głowę w szparę.

- Pan Holmes niebawem do pana przyjdzie - oznajmił, cofnął głowę i stanowczo zamknął drzwi.

Jim pospiesznie usiłował wyobrazić sobie Carolinusa, gdyż rozpaczliwie pragnął z nim porozmawiać. Usiłował skupić się wyłącznie na wyobrażeniu oraz swoich emocjach, nie ujmując ich w słowa. Jako mistrz magii Carolinus na pewno wyczuje tę potrzebę i nie tylko zrozumie, że Jim chce z nim zamienić parę słów, ale także będzie wiedziała gdzie można go znaleźć.

Nie mylił się.

W pokoju huknęło, jakby przetoczył się tędy nieduży grom. Przed Jimem wyrósł Carolinus, rzeczywiście podobny do burzowej chmury, kiedy mierzył ucznia gniewnym spojrzeniem.

- Jak tego dokonałeś? - zapytał. - Robiłem, co mogłem, żeby trzymać się z daleka, ponieważ wiedziałem, iż spróbujesz mnie w to wciągnąć. Możesz zniszczyć nawet te niewielkie szanse na moją pomoc, jakiej może zdołałbym udzielić tobie i Angie. Mów, jak tego dokonałeś!

- A więc znaleźliśmy się w miejscu, gdzie możemy porozmawiać tak, żeby nie wiedzieli o tym inni magowie? - zapytał niecierpliwie Jim.

- Oczywiście! - odparł Carolinus. - Tylko jak to zrobiłeś? Odpowiedz natychmiast, ponieważ od tego może zależeć przyszłość twoja i Angie.

## Rozdział 27

Jim posłusznie powiedział.

- Rozumiem - rzekł Carolinus, rozchmurzywszy się. - Sądzę, że do tej pory już sam odkryłeś, dlaczego nie dostałeś żadnej odpowiedzi od Dzwoneczka, kiedy próbowałeś ją wezwać?

- Ponieważ próbowałem ją tylko wezwać? - zapytał Jim. - Ponieważ nie próbowałem wyobrazić jej sobie w taki sposób, jak przywołałem w myślach to miejsce i ciebie, a także czas przestający płynąć w tył i płynący normalnie?

Carolinus opuścił nos na kwintę.

- No cóż - powiedział - chyba i tak powinienem ci pogratulować.

- Dlaczego „tak”? - zdumiał się Jim,

- I tak, ponieważ w końcu spełniłeś wymagania, żeby zostać magiem klasy C - nadal uczniem, pamiętaj! Uczeń przechodzi z klasy D do klasy C, kiedy przestaje używać słów do rzucania zaklęć i robi krok w kierunku bezpośredniego czynienia magii. A więc teraz jesteś kwalifikowanym uczniem klasy C, a nie tylko pełniącym obowiązki.

- Dobrze! - zawołał Jim.

- Zawsze to coś - warknął Carolinus. - Przez chwilę miałem nadzieję, że dokonałeś czegoś więcej.

- Czego?

- To dopiero musisz sam odkryć. Jednak to, co zrobiłeś, załatwia przynajmniej jedną ze skarg, jakich wysłuchiwałem: że jesteś faworyzowany i bezpodstawnie przydzielony do klasy C. Wciąż zastanawiam się, jak zdołałeś znaleźć to miejsce, gdzie możemy spokojnie porozmawiać. Historie kreujące je nie zostały jeszcze napisane.

- Zostały, tam, skąd przybyłem - odparł Jim. - Tak samo jak książka o Piotrusiu Panu.

- Ach? Och! - rzekł Carolinus. - Hmm. To dobrze, że jesteśmy teraz w miejscu, gdzie nikt nie może nas podsłuchać. Niektórzy magowie powiedzieliby, że znając takie opowieści z przyszłości, masz jeszcze jedną nieuczciwą przewagę nad innymi uczniami. Oczywiście, odpowiedzią na to jest fakt, iż nie przybyłeś tu celowo, wiedząc, że masz taką przewagę. Zjawiliś się tu przypadkowo, w ogóle nie myśląc o magii. Jednakże poważniejsze zastrzeżenie dotyczące faworyzowania cię dodatkowym przydziałem magii, nawet przekraczającym limit klasy C, wciąż stanowi problem. Zapadła chwila ciszy.

- Otóż mimo to dziękuję ci za gratulacje - powiedział Jim.

- Bardzo proszę - rzekł ponuro Carolinus. - O czym chciałeś porozmawiać?

- No cóż, wpadłem na pomysł, jak Mnrogar mógłby znaleźć się blisko gości i wywęszyć ukrytego między nimi trolla. Jednak kiedy powiedziałem o nim Brianowi i Aarghowi, wyszło na to, że są pewne problemy natury technicznej...

Drzwi za Carolinusem otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o wąskiej twarzy i bystrym spojrzeniu. Miał na sobie trochę znoszoną nocną koszulę w kwiatki,

- Na czym polega pański problem... - zaczął mówić do Jima, kiedy dostrzegł Carolinusa.

- Ach, Carolinusie - powiedział, - Miło znów cię widzieć.

- Mogę to samo powiedzieć o tobie, drogi Holmesie - odparł Carolinus tak serdecznym głosem, jakiego Jim jeszcze nigdy nie słyszał z jego ust, kiedy mag zwracał się do człowieka, zwierzęcia, naturalnego, istot nieziemskich, sił natury czy Wydziału Kontroli. - Pozwolisz, że przedstawię ci pana Jamesa Eckerta? Pan Eckert studiuje pod moją opieką.

- Ach tak - rzekł Holmes, przeszywając Jima spojrzeniem bystrych oczu. - Najwidoczniej jest pan Amerykaninem, panie Eckert. Ze środkowego zachodu?

- No... tak - powiedział Jim. - Jak pan to zgadł?

- Nigdy nie zgaduję - odparł Holmes. - Ja dedukuję. O ile dobrze rozszyfrowałem pański akcent, jest pan Amerykaninem, lecz z tej części kraju, której dialektu jeszcze nigdy nie słyszałem. Zauważam lekkie naleciałości francuszczyzny, lecz ani śladu szkockiej fleksji, mogącej sugerować, iż przybył pan z północnego krańca kontynentu. Z drugiej strony, brak u pana jakiegokolwiek regionalnego akcentu typowego dla południa lub zachodu Ameryki, które są mi znane. Tak więc nie pozostaje mi nic innego jak stwierdzić, iż przybył pan gdzieś ze środka kontynentu, między północnym a południowym krańcem Ameryki.

- Zdumiewające! - powiedział Jim. - Mówię o pańskiej dedukcji, panie Holmes.

- Wcale nie - odparł Holmes. - Jestem szczerze zainteresowany tym, co ma mi pan do powiedzenia. Jeśli to samo zamierzał pan rzec magowi Carolmusowi, to może podzieli się pan tym problemem z nami dwoma?

- No cóż... - Jim ponownie przyłapał się na tym wyrażeniu i zanotował w myślach, żeby nie używać go, dopóki będzie w towarzystwie Holmesa, Nie miał pojęcia, jak dobrze detektyw rozumie okoliczności sprawy, jednak jedynym sensownym wyjściem było opowiedzieć obu słuchaczom to, czym zamierzał podzielić się z Carolinusem.

Tak zrobił.

Okazało się, że musi udzielać wyjaśnień częściej, niż oczekiwał. Carolinus słuchał w milczeniu i bez ruchu. Sherlock Holmes podszedł do kominka, wziął swoją fajkę, nabił ją tytoniem z perskiego kaptia, zapalił i wrócił do nich, wypełniając pokój chmurami dymu. Kiedy Jim wreszcie skończył i stał, czekając na reakcję któregoś z nich, Carolinus wciąż milczał, marszcząc brwi, Holmes, wyjąwszy z ust fajkę, przemówił zdecydowanie:

- Oba problemy, które pan opisał, oraz zamieszane w nie osoby wykraczają poza krąg moich normalnych zainteresowań. Oczywiście panowie rozumiecie, że żyjemy we współczesnym świecie. Wiele rzeczy i postaci, o jakich pan wspomina, panie Eckert, już dawno zniknęło z powierzchni ziemi. Ponadto Moriarty jest znów w Londynie - właśnie otrzymałem telegram z tą wiadomością - więc przede wszystkim nim muszę się zająć, Zatem nie mam w tej chwili czasu, aby go poświęcić na pana sprawy. - Odwrócił się do wygasłych węgli na kominku, wytrząsnął popiół z fajki i odłożył ją z powrotem na półkę. - Jednakże - powiedział - we wszystkich tego typu problemach można dostrzec pewne nieuchronne prawidłowości. Proponuję, panie Eckert, aby spróbował pan znaleźć brakującego świadka, który do tej pory zachowuje milczenie.

- Brakującego świadka czego?

- To się jeszcze okaże - odparł Holmes, ruszając do drzwi. - Ale z pewnością taki nieznanymi świadek istnieje, więc oszczędzi pan czas, znajdując go i podając do publicznej wiadomości to, co

on dotychczas zachowuje w tajemnicy.

Z tymi słowami wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Jim i Carolinus spojrzeli po sobie.

- Co on miał nu myśli? - zapytał Jim.

- Wiem tyle samo, ile ty - odparł Carolinus. - Jednak jego rady są zawsze dobre. A teraz, co znacznie ważniejsze, czego ode mnie chcesz?

- Miałem nadzieję, że możesz udzielić mi jakiejś rady - powiedział Jim i pośpiesznie dodał: - Wcale nie chcę, żebyś pomagał mi twoją magią, lecz abyś pokazał mi, w jaki sposób mógłbym uzyskać zbroję dla Mnrogara i konia, na którym troll ruszyłby w szranki.

- Jim, Jim... - powiedział Carolinus. - Kiedy ty w końcu zrozumiesz? Przybyłeś z odległego i dziwnego miejsca, gdzie dokonuje się rzeczy, które każdemu z nas wydałyby się magią. Pomimo to hołdujesz powszechnemu przesądowi związanemu z magią i dotyczy to nawet tej, którą ja posiadam. Sądzisz, że może niemal wszystko.

- A nie może? - zapytał Jim. Prawie dodał „tutaj”.

- Na pewno nie! - wybuchnął Carolinus. - Jak już wcześniej próbowałem ci wyjaśnić, magia w rzeczywistości niewiele może. Z pewnością my, magowie, umiemy sprawiać, że różne rzeczy pojawiają się i znikają. Potrafimy nawet znikać w jednym miejscu i pojawiać się w innym, co oszczędza nam trudów podróży i naszego czasu. Magia goi rany. Jednak już nauczyłeś się, że nie potrafi leczyć chorób. W przeciwnym razie użyłbym jej, żeby wyleczyć siebie, kiedy banda obszarpanych łotrów oblegała moją chatkę. Jednak nie mogłem i dlatego ty, Angie oraz twoi zbrojni musieliście przyjść mi z pomocą. Najcudowniejsze jest nie to, ile można zdziałać za pomocą magii. Chodzi o to, jak małe zastosowanie znajduje w codziennym życiu człowieka. Najważniejszymi sprawami muszą zajmować się sami ludzie lub zwierzęta, tak jak było zawsze. Świadczy o tym twoja walka z wężem morskim, Essesilim. Magia w najlepszym razie może jedynie wspomagać ludzką przemyślność lub zmieniać sytuację, tworząc iluzję.

- Przecież chodzi mi właśnie o iluzję! - zawołał Jim, podchwyciwszy sposobność wyrażenia własnej opinii. - Chcę, aby Mnrogar sprawiał wrażenie czarnego rycerza w zbroi i na koniu, żeby powalił każdego rycerza, który ośmieli się stawić mu czoło, i mógł przejechać powoli obok patrzących na to ludzi, a więc wszystkich gości earla uczestniczących w tym ważnym wydarzeniu. W ten sposób Mnrogar będzie miał szansę wreszcie wywęszyć ukrywającego się między nimi trolla. Proszę cię tylko o instrukcje, jakiej użyć magii, żeby stworzyć złudzenie czarnego rycerza i konia. Mam nadzieję, że Brian zgodzi się wyszkolić obydwu. Jednak bardzo by ułatwiło sprawę, gdyby magia pomogła Mnrogarowi nauczyć się trzymać kopię i używać jej,

- I liczyłeś na to, że stworzę dla ciebie taką magię?

- Chyba, że nie potrafisz.

- Nie potrafię? Nie potrafię? - zaperzył się Carolinus. Szybko się opanował i zmierzył Jima



gniewnym spojrzeniem. - Chcę powiedzieć - warknął - że są rzeczy możliwe w świecie magii, lecz niepraktyczne w rzeczywistości. Zaczniemy od tego, iż zapomniałeś, że wciąż usiłuję trzymać się od ciebie z daleka, by nikt nie mógł mnie oskarżyć o pomaganie tobie.

- Jeśli jednak uda mi się doprowadzić do tego, że Mnrogar znajdzie tego drugiego trolla - powiedział Jim - prawdopodobnie zniweczy to wszelkie plany Ciemnych Mocy zakłócenia świąt u earla. Czy nie mam racji?

- No... - zamyślił się nagle Carolinus. - W końcu nagle przeszedłeś do klasy C...

Umilkł. Stał, patrząc w przestrzeń,

- Czy mógłbym sprowadzić tu Aargha i Briana, żeby pomogli nam przy tej rozmowie? - spytał go Jim.

Carolinus gwałtownie wrócił do rzeczywistości.

- Co? Och, pewnie, jeśli chcesz. Nie. Zaczekaj chwilę... sam to zrobię...

Spojrzał uważnie na drugi koniec pokoju. Gzyms nad kominkiem i ściana z dziurami po kulach zniknęły. Na jej miejscu pojawił się fragment legowiska Mnrogara pod zamkiem earla, a w nim Brian i Aargh. Brian zamrugał powiekami, widząc maga i Jima. Aargh natychmiast zerwał się z ziemi. Jednak żaden z nich nie zwrócił uwagi na odmienny wygląd tej części pokoju przy Baker Street 221 B, w której stali Jim i Carolinus.

- Brianie, Aarghu - rzekł Jim - wybaczenie. Musiałem znaleźć schronienie, w którym moglibyśmy spokojnie porozmawiać w obecności Carolinusa. Teraz wszyscy znajdujemy się w miejscu podobnym do tego, w które Carolinus zabrał przedtem mnie i Aargha, gdzie była ta mała, niewidzialna, dzwoniąca istota, przenosząca nas tam i z powrotem. Rozmawiam z Carolinusem o trudnościach związanych z wystąpieniem Mnrogara w roli czarnego rycerza.

- Jamesie - rzekł Brian - jak to możliwe? Ty i mag jesteście tutaj z nami. Nie znajdujemy się w jakimś innym miejscu.

- Jim - usłyszał w myślach głos Carolinusa - oni nie widzą pokoju Sherlocka Holmesa. I nie słyszą tego, co teraz mówię. Po prostu nie zwracaj na to uwagi i mów.

- Carolinus uważa, że nie powinniśmy zwracać na to uwagi i po prostu mówić dalej - powtórzył jak papuga Jim, usiłując skupić się na tym, co się działo. - Właśnie opowiedziałem mu, że Mnrogar ma wziąć udział w turnieju rycerskim jako czarny rycerz. Carolinusa niepokoją niektóre praktyczne aspekty tego planu.

- Istotnie, niepokoją! - powiedział głośno Carolinus i Jim zobaczył, że zarówno Brian, jak i Aargh przenieśli spojrzenia na maga. Ten mówił dalej: - Po pierwsze, gdzie znalazłbyś rumaka, który udźwignąłby jego ciężar i zachowywał się należycie w szrankach? Nie próbuj odpowiadać, bo nie znajdziesz takiego. Liczysz, że ja zrobię to za ciebie. A gdybyś nie zdołał mnie na to namówić, spróbowałbyś sam, jednak, wierz mi, Jim, w ten sposób niewiarygodnie poplątałbyś nie tylko

rzeczywistość, lecz całą materię magii. I to w chwili, gdy masz już dość kłopotów! Nawet pomijając to wszystko, cały pomysł jest po prostu niedorzeczny. Jak można oczekiwać, że troll będzie jechał na koniu i walczył jak rycerz?

- Równie dobrze mógłbyś kazać włożyć zbroję zwierzęciu - dorzucił Brian.

- Zwierzę - warknął Aargh - miałoby więcej rozumu, Jim znów miał zamęt w głowie. Wyglądało na to, że atakowali go ze wszystkich stron ci, na których pomoc najbardziej liczył. Postanowił zbijać po kolei ich argumenty.

- Przecież wcale nie oczekuję wielkich rzeczy - rzekł. Zwrócił się do Briana: - Słuchaj, Brianie, wszystko, co byłoby potrzebne, gdybyśmy zdołali włożyć zbroję na Mnrogara i posadzić go na konia, to nauczyć obu wykonywania pewnych manewrów, zaledwie paru ruchów, dzięki czemu wydawałoby się, iż znają dobrze te arkana. Nawet nie musieliby wiedzieć, dlaczego coś robią. Oczywiście, pomyślałem o magii. Przy niewielkiej pomocy, może wystarczyłoby krótkie szkolenie...

- Jamesie: - powiedział ze smutkiem Brian, potrząsając głową. - Wiesz, że ty sam nie możesz stanąć w szranki z rycerzem o jakimkolwiek doświadczeniu. I to po kilku latach, w czasie których usilnie próbowałem nauczyć cię wielu rzeczy - wielu z ogromu, jakie musi wiedzieć ktoś, kto chce potykać się pieszo czy konno. Z pewnością magia potrafi zdziałać cuda. Tylko jak może pomóc mi wyszkolić trolla lepiej, niż nauczyłem ciebie - i to w ciągu kilku dni? Nawet gdyby był chętnym i zdolnym uczniem.

- Jakim nie będzie - dodał Aargh.

- Co do tego - stwierdził Jim, odzyskując trochę pewność siebie - chyba wszyscy się mylicie. Uważam, że Mnrogar tak bardzo chce dopaść tego drugiego trolla, że zgodzi się na wszystko. Nie tylko na to. Myślę, iż także spodoba mu się rola nieznanego rycerza w zbroi, usiłującego przeszyć kopią przeciwnika. To leży w jego charakterze. Trzeba go tylko nauczyć, że zamiast skakać na kogoś z zasadzki i używać kłów oraz pazurów, powinien popędzić swojego rumaka, wycelować kopię i strącić przeciwnika z konia. Zaatakować w inny sposób, to wszystko.

- To wszystko? - powtórzył Brian. Powoli potrząsnął głową.

- A co do zbroi i konia - ciągnął Jim, zwracając się do Carolinusa - przecież mógłbyś mi w tym pomóc, gdybyś chciał, prawda? Chcę powiedzieć, że magia może sprawić, iż dana rzecz wydaje się czymś innym.

- Oczywiście! - zjeżył się Carolinus. - Jednak nie o to chodzi. Rzecz w tym, iż wymaga to magicznej wiedzy, jaką dysponuje tylko mag mojej klasy. Wszyscy natychmiast dowiedzą się o tym.

- Naprawdę? - nie dowierzał Jim. - W końcu sam powiedziałaś, że nieoczekiwanie przeskoczyłem do klasy C dzięki sposobowi, w jaki przeniosłem się do pokoju Sherlocka Holmesa. Zachowywałaś się tak, jakbyś sądził, iż przeskoczyłem jeszcze wyżej.

- Niczego takiego nie mówiłem! - zaprzeczył Carolinus. - W każdym razie nie mogę okłamywać

moich kolegów, mistrzów magii.

- Nie będziesz musiał - wyjaśnił Jim. - Nie sądzę, aby któryś z nich chciał wypytywać cię o to, jak uzyskaliśmy takie rezultaty.

Carolinus leciutko poruszył węsami,

- Ha! Na pewno nie! - rzekł, - Jednak mogliby podejrzewać,

- A czy mieliby pewność? - pytał Jim. - Sam mówisz że skoro przybyłem z innego świata, czasem uzyskuję wyniki, jakich me miałby ktoś pochodzący z tego. To ja mógłbym być za to odpowiedzialny, nie ty. Szczególnie, jeśli plan się powiedzie. Czyż nie?

Carolinus z otwartymi ustami patrzył na Jima i wahał się.

- Możliwe - rzekł w końcu. - Jednak tylko wtedy, jeśli ten szalony plan się powiedzie. Byłoby to niemal równie dobre, jak gdybyś wykazał, że potrafisz na zawołanie tworzyć nową magię. Dokonałeś tego kiedyś pod twierdzą Loathly, pokonując Ciemne Moce zwykłą, ludzką siłą. Wtedy trzymałem się na uboczu, pozostawiając ci pole do popisu. Oczywiście, wszyscy magowie uważali, że to tylko zwykły zbieg okoliczności... - Nagle zamilkł na moment, patrząc w pustkę nad głową Jima. - Mimo to - ciągnął z nowym zainteresowaniem w głosie - gdybyś mógł dokonać czegoś takiego, nikt nie zadawałby ci pytań. Raz, to mógł być przypadek, drugi raz, świadczyłby o uzdolnieniach. Stałbyś się klasą sam dla siebie. A ponieważ wszyscy tracimy magię w miarę, jak jej kawałki stają się czymś, co każdy potrafi - podobnie zszywając skóry i materiał, tworzymy ubranie - już ci to kiedyś powiedziałem, że tego, co kiedyś było największą i najtajniejszą magią, codziennie ubywa. Bardzo potrzeba nam nowej. Magowie przyjęliby cię z otwartymi ramionami, gdybyś miał dar jej tworzenia. - Zamyślił się. Nagle szeroko rozłożył swe długie, chude ramiona. - No cóż, czemu nie? - rzekł. - Świat wywraca się do góry nogami. Mistrzowie służą swoim uczniom zamiast odwrotnie. Trolle zostają rycerzami, ponieważ inne trolle przebierają się za ludzi. Może to już koniec świata i chaos całkowicie wyrugował porządek z historii. Tak, potrafię tego dokonać. Mogę ci pomóc, jeśli zdołasz zrobić to, co mówisz. Jednak nie sądzę, abyś zdołał.

- Magu! - powiedział Brian. - Popierasz ten pomysł?

- A czemu nie? - odparł Carolinus, - Każdej nocy tych dwunastu dni świąt Bożego Narodzenia nad waszymi głowami trwają łowy duchów, jak zawsze o tej porze roku. A jednak żaden mężczyzna czy kobieta nie dali im się porwać. Ten plan Jima wcale nie jest bardziej szalony. Jeżeli się powiedzie i Mnrogar zniszczy lub przepędzi trolla ukrytego wśród gości, który, prawdopodobnie, rzuci mu wyzwanie, być może armia tych stworów zebranych wokół zamku znów rozbiegnie się na wszystkie strony i Ciemnym Mocom nie uda się zakłócić świąt. To może przemówić na korzyść Jima i poprzeć moje twierdzenie, że on zasługuje na specjalne względy. Jest nadzieja, iż może go ocalić, a także raz na zawsze zakończyć spór między earlem a trollem. To szansa jedna na wiele, jak jedna spośród gwiazd na niebie. Ale dlaczego nie?

- Widzisz, Brianie - dorzucił szybko Jim. - Jeśli Carolinus pomoże, czy i ty się przyłączysz? Moglibyśmy opracować jakiś prosty manewr dla trolla oraz to, czym zastąpimy jego wierzchowca?

- Jeżeli w ogóle znajdziemy coś takiego - odparł Brian. - A właściwie, na czym on miałby jechać? Waży pewnie z półtora cetnara lub więcej...

Jim szybko przeliczył w myślach. Półtora cetnara to w przybliżeniu sto pięćdziesiąt kilogramów. Osobiście podejrzewał, że Mnrogar, o zapewne wyjątkowo grubych kościach, może ważyć jeszcze więcej.

- Złamię krzyż każdemu koniowi, nawet gdybyśmy mu jakiegoś znaleźli - dodał Brian.

Prawdę mówiąc, Jim krył w zanadrzu pomysł rozwiązania tego problemu. Czekał na najlepszy moment, żeby go wyjawić.

- Przy pomocy Carolinusa - odparł, unikając spojrzenia maga - może moglibyśmy magicznym sposobem przemienić w rumaka tego wielkiego odyńca, który obalił earla z koniem podczas porannych łowów pierwszego dnia. Mówiono mi, że był wielkości byka. Gdyby magia mogła zamienić go w konia, powinien unieść wagę Mnrogara, a poza tym instynkt nakazuje mu atakować wszystkich i wszystko, co stanie mu na drodze. Tak więc powinien łatwo przywyknąć do szarżowania w szrankach.

- Owszem, byłem wtedy na łowach i widziałem go - warknął Brian. - Piękny zwierz, ale jak mamy go znaleźć, nie mówiąc już o szkoleniu?

- Znam tego odyńca, o którym mówicie - wtrącił Aargh. - Jest tu tylko jeden tej wielkości. Mogę go znaleźć, jeśli tego chcecie.

- Świetnie. A zatem... - Jim zaryzykował spojrzenie w kierunku Carolinusa i zdziwił się. Wyraz twarzy maga zmienił się całkowicie. Złośliwy uśmiezek zniknął, zostawiając śmiertelną powagę. Jim miał zamiar zagadnąć go, czy jeśli Aargh zdoła znaleźć odyńca, Carolinus zechce pomóc go wytrenować, lecz pytanie nie wydawało się konieczne. Stary mag spoglądał na coś w oddali.

- To mi przypomina, że kiedy byłem młodym magiem... - mówił bardziej do siebie niż do zebranych. Kąciki jego ust wygięły się w uśmiechu, który można było określić jedynie jako makiaweliczny. - Tak, tak, istotnie... Jim? Chciałeś mi coś powiedzieć?

- Jedynie zapytać, czy pomożesz sprawić, żeby ten odyńiec nie tylko wyglądał, ale i zachowywał się jak koń. Pewnie najpierw musimy go złapać albo zwabić w pułapkę, z której nie zdoła nam uciec...

- Nie, nie - odrzekł Carolinus, wciąż złośliwie uśmiechając się pod nosem - to nie będzie konieczne. Skoro Aargh wie, jak go znaleźć, po prostu przyprawdę go tam, gdzie będziecie z Mnrogarem.

- Tylko że trzeba jeszcze sprawić, żeby wyglądał jak koń i zachowywał się jak koń... - zaczął Jim.

- Och - powiedział Carolinus. - To żaden problem. Porozmawiam sobie z tym odyńcem. Myślę, że potem zrobi mniej więcej to, czego od niego chcecie; o ile dzik może zachowywać się jak koń.

Wiecie, że istnieją pewne fizyczne ograniczenia...

Aargh prychnął. Jim nie był pewny, co miało oznaczać to prychnięcie. Jednak był przekonany, że lepiej nie pytać, co wilk miał na myśli.

- Pozostaje jeszcze kwestia trolla Mnrogara - powiedział Carolinus, prawie z rozmarzeniem. - Z nim też muszę przeprowadzić krótką rozmowę. Nie zmieni go to w rycerza, rozumiecie, ale tak samo jak odyniec stanie się bardziej podatny na sugestie. Aarghu, mówisz, że wiesz, gdzie ten odyniec jest teraz?

- Wiem, gdzie go szukać - odparł Aargh.

- Wspaniale! - zawołał mag, - A więc chodźmy po niego obaj.

Carolinus i Aargh zniknęli. Brian był zdezorientowany. Jednocześnie Jim zdał sobie sprawę z tego, iż ta część 221 B Baker Street, w której zdawali się przebywać z Carolinusem, zniknęła. Wraz z Brianem znaleźli się w legowisku Mnrogara. Carolinus, podjąwszy decyzję, najwidoczniej nie szczędził magicznej energii.

## Rozdział 28

Jim siedział przy głównym stole w oświetlonej płonącymi w kagańcach pochodniami wielkiej sali, w której już było duszno i gorąco, mimo iż otwarto na oścież okiennice wszystkich okien i furt strzelniczych. Puste miejsce obok niego zajęła jakaś szczupła kobieca postać w podniszczonym brązowym płaszczu, z kapturem zarzuconym na głowę i skrywającym oblicze.

- To ja - powiedziała Angie, odchylając kaptur na tyle, żeby pokazać twarz. - Jesteś trzeźwy? To dobrze. Martwiłam się, a nie chciałam przysyłać tu Enny ani piastunki, żeby sprawdziły, czy ich pan nie leży pijany, więc wzięłam płaszcz Enny i przyszłam na dół sama.

Rozwiązała pasek płaszcza i zrzuciła go z ramion, ukazując się w zielonej sukni bardziej pasującej do statusu kogoś należącego do honorowych gości, po czym usiadła i zaczęła rozmawiać z mężem.

- Martwiłam się.

- Miałaś powody.

Istotnie, miała. W miarę jak mijały kolejne dni świąt, uczujący dolewali coraz mniej wody do wina i zachowywali się coraz swobodniej. Teraz dochodziła dziesiąta wieczór - według dwudziestowiecznych norm odpowiadająca trzeciej lub czwartej nad ranem. Ci, którzy zostali w sali - a tak się składało, że była to większość gości, po prostu dlatego, iż sam earl jeszcze nie wyszedł - co do jednego należeli do zwolenników nieustannego biesiadowania. Uczta trwała bez przerwy od wpół do drugiej po południu. Gwar rozmów już dawno przeszedł w przeraźliwy zgiełk i teraz stał się wręcz niebezpieczny dla uszu.

- Ty jesteś trzeźwy, prawda? - zapytała Angie. - Nie siedzisz tu przymulony, tylko udając

rozsądnego i normalnego, co?

- Nie - odparł Jim. - Tym razem ich przechytryłem. Udało mi się pić głównie tylko zabarwioną winem wodę. Teraz osiągnęliśmy etap, na którym wystarczy, jeśli będę udawał, że piję... oo, właśnie zaraz to zrobię.

Zupełnie pijany rycerz w średnim wieku, ubrany w brązowe szaty, mocno opięte na wydatnym brzuchu, chwiejnie zmierzał do stołu naprzeciwko Jima. Dotarł na miejsce, ściskając w dłoni wielki kwadratowy puchar pełen czerwonego wina.

- Wypijmy jednego. Smoczy Rycerzu! - wymamrotał ochryple, wymachując pucharem i rozlewając wino. - Niech żyją smoki!

Jim podniósł puchar do ust, popił i sam wznosił toast.

- Niech żyje sir Randall! - powiedział.

- To dla mnie zaszczyt - wybełkotał rycerz i odszedł chwiejnym krokiem.

- Czy powinieneś mówić mu po imieniu? A może sir Randall to ktoś inny?

- Nie, to on - odparł Jim. - Nie pamiętam większości ich imion. A jeśli nie mogę sobie przypomnieć, wznoszę toast na cześć herbu, jaki każdy z nich ma wyszyty na ubraniu. W razie czego mamrocze. Nie patrz tak na mnie, Angie, usiłuję dotrwać do chwili, gdy earl wyjdzie lub straci przytomność, a sądzę, że już niewiele brakuje mu do tego drugiego.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała Angie. - Naprawdę nie wydaje mi się, żebyś był bezpieczny pośród ludzi w takim stanie.

- Pewnie masz rację - powiedział Jim.

Rozejrzał się wokół. Blisko jedna trzecia zebranych była nieprzytomna z opilstwa lub ledwie mogła ruszyć się z krzeseł. Mimo to było jeszcze sporo takich ludzi jak sir Randall, którzy wciąż trzymali się na nogach i chodzili po sali lub byli w stanie udawać, że są całkiem trzeźwi - ci byli naprawdę niebezpieczni. Zaliczali się do nich mężczyźni, którzy rozważnie nie przekraczali bezpiecznej granicy spożycia alkoholu i teraz siedzieli sztywno wyprostowani, uśmiechając się zachęcająco do każdego, kto do nich podchodził. Ten uśmiech, szczególnie na twarzach takich ludzi, jak Brian i sir Harimore, nieco przypominał uśmiech tygrysa, na którym pewna dama omyłkowo wybrała się na przejażdżkę.

Jestem zbyt dobrze wychowany, żeby wszczynać zwadę - mówił ten uśmiech - ale jeśli zechcesz mnie obrazić, z przyjemnością dam ci satysfakcję na ubitej ziemi.

- Wiesz co, Angie - powiedział w zadumie Jim - pamiętasz przerwy międzysemestralne w college'u w Riveroak? Trwały dziesięć dni. Pierwszego wydawało się, iż mamy nieograniczoną ilość czasu, a jednocześnie tyle rzeczy do zrobienia, że chyba minie pół życia, zanim wrócimy do akademickich obowiązków? A potem nagle uświadamialiśmy sobie, że zostały nam zaledwie dwa

lub trzy dni i zaraz będzie po wszystkim? Pamiętasz?

- Pamiętam - odparła Angie. - Patrząc wstecz, przypominam sobie także, iż te końcowe dni przerwy były równie wypełnione zajęciami jak pierwsze. Po prostu z początku nie zwracaliśmy uwagi na upływ czasu, postępując tak, jakbyśmy mieli go nieskończenie dużo. A potem, ostatniego dnia, spadaliśmy na ziemię. Wiesz... - Urwała i rozejrzała się po sali. Wszyscy byli zajęci rozmowami lub sporami. - Wiesz-powtórzyła - kiedy o tym pomyśleć, to od wielu dni mamy pierwszą okazję spokojnie porozmawiać. Nasze pokoje nie są najlepszym miejscem do tego, gdyż są tam Enna oraz piastunka z małym Robertem, a gdzie indziej roi się od gości. Chyba w tych czasach ludzie nie wiedzą, co to samotność.

- Tak, to raczej rzadka rzecz - powiedział Jim, spoglądając po sali i w duchu zgadzając się z tą oceną średniowiecznego rozumienia prywatności,

- No cóż, więc mam okazję coś ci powiedzieć - zaczęła Angie. - Czy wiesz, że Agatha Falon przekupywała służbę na prawo i lewo, żeby mieli oko na nasz pokój, „ponieważ - oczywiście - chciałyby odwiedzać małego Roberta najczęściej jak to możliwe, lecz nie chce przeszkadzać nam częściej niż to konieczne”. Ponadto ja jestem „taką dobrą opiekunką małego”.

- Przynajmniej to przyznaje - odparł Jim, usiłując wymyślić coś, żeby uspokoić wyraźnie zatroskaną Angie.

- Nie wyczuwasz podtekstu, Jim - powiedziała sucho Angie. - To najgorsza czternastowieczna zniewaga. Mówi o mnie, jakbym była służącą, taką jak Enna czy piastunka. Sugeruje, że nie jestem damą. Chyba nie można nikogo bardziej obrazić w tym towarzystwie, szczególnie mówiąc tak o innej kobiecie, zajmującej wyższą pozycję.

- No cóż - rzekł niechętnie Jim. - Nie może nic zrobić, więc ucieka się do obelg. Siedziała przy tym stole od początku biesiady.

- I jest tu teraz? - zapytała Angie, usiłując dyskretnie dojrzeć coś za ramieniem Jima, dwoma pustymi krzesłami i masywnym cielskiem earla.

- Zgadza się.

- Weszłam bocznym wejściem - powiedziała Angie, rezygnując z wysiłku zobaczenia czegokolwiek. - Chyba nie widziałam jej przy stole. Jest pijana?

- Nie mogę stwierdzić - odparł Jim. - Z tego co widzę, ma naprawdę mocną głowę, lepszą od earla, mimo różnicy ciężaru ciała.

- Pewnego dnia earla spotka z jej strony przykra niespodzianka - przepowiedziała ponuro Angie. - W każdym razie, Jim, chodzi o to, że zostaniemy tu wszyscy tylko kilka dni i jestem pewna, że ona spróbuje jeszcze działać przeciwko nam lub Robertowi. Chcę, żeby drugi zbrojny pilnował pierwszego pokoju, chyba że będziesz tam ty lub Brian, lub ktoś z zaufanych osób. Wartownik ma nie rozmawiać z piastunką ani z Enną, ani one z nim. Możemy tak zrobić, prawda?

- Drugi wartownik? Uzbrojony? - zapytał Jim.

Angie skinęła głową.

- To zapewne przekracza kurtuazyjne pozwolenie earla na postawienie wartownika przed drzwiami. Jednak nie sądzę, aby teraz, pod koniec świąt, miało to większe znaczenie. Ile nam zostało? Tylko jutro i pojutrze, prawda?

- Nie mów mi, że zapomniałeś.

- Nie zapomniałem. Pomimo tego, co powiedziałem wcześniej, pamiętam, jaki dziś dzień. Jednak, jak wiesz, byłem bardzo zajęty przy Mnrogarce i tym odyńcu. Brian robi, co może, ale to byłby cud, gdyby ci dwaj zachowywali się należycie na turnieju. Ponadto mamy inny problem. Mnrogar nie odważy się nic powiedzieć, a nawet gdyby było inaczej i tak nie powiedziałby tego, co powinien. Potrzebuje pazia lub herolda, który szedłby przed nim i głosił, że ten rycerz przybył rzucić wyzwanie wszystkim obecnym.

Jim odchrząknął.

- Nie wiem, może gdybyś włożyła spodnie i kubrak...

- Chyba oszalałeś, Jim! - powiedziała Angie. - Jestem mężatką. Może na dworze w Londynie za specjalnym zezwoleniem króla coś takiego byłoby możliwe. Jednak tu po czymś takim wszyscy w okolicy zaczęliby udawać, że nas nie zauważają. Czy Brian włożyłby kostium kłowna i zaczął fikać koziołki na podłodze, żeby rozbawić widzów?

- Nie - odparł Jim, przytłoczony wizją Briana ubranego w kostium kłowna i robiącego coś takiego. - Jednak on jest rycerzem.

- A ja damą. Baronessą - dodała Angie. - Piękne damy mają o wiele mniej swobody niż dzielni rycerze. A czego się „nie robi”, tego się po prostu nie robi i już! Do tej pory powinieneś o tym wiedzieć, Jim,

- Pewnie nikt nie dowiedziałby się, że to ty byłaś przebrana za pazia.

- A może ktoś zorientowałby się - odrzekła ponuro Angie, - A wtedy wiedzieliby wszyscy. Nie.

- No cóż, może masz rację.

- Oczywiście, że mam - powiedziała Angie. - A mówiąc o przebieraniu się i udawaniu, czy zapomniałeś, że będziesz Józefem w moich jasełkach ostatniego wieczoru? Chciałam zrobić próbę przedstawienia, ale nigdy nie mogłam cię złapać,

- Angie - rzekł Jim. - Ja po prostu nie mogę tego zrobić. Wcześniej czeka mnie występ Mnrogara na turnieju. Problem smoków nadal pozostaje nie rozwiązany. Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby na chwilę weszły tutaj, nawet jeśli miałyby zobaczyć tylko księcia przez ten moment czy dwa, zanim stąd odejdą. Ponadto cała zgraja trolli otacza zamek, trzymając się tuż za granicą



terytorium Mnrogara i nikt nie wie, co one mogą zrobić. Muszę w tym dniu mieć swobodę ruchów. Nie mogę tkwić przy tobie podczas przedstawienia.

- Jeśli tak, to nie będzie żadnego przedstawienia. Muszę mieć Józefa,

- Mówiłem ci - odparł Jim. - Mogę sprowadzić tu kogoś z Malencontri. Ubierzemy go w kostium i użyjemy magii, aby ruszał się i mówił tak, jak zechcesz.

- Czy miałeś kiedyś do czynienia w teatrzykami amatorskimi?

- Wiesz, że nie.

- No, ale wiesz, że ja miałam - powiedziała Angie. - I szanse na to, że coś pójdzie źle, są jak dziewięćdziesiąt dziewięć do jednego. Ktokolwiek będzie Józefem, może być zmuszony improwizować, radzić sobie z czymś niespodziewanym, zmieniając przebieg przedstawienia. Twój człowiek sprowadzony z Malencontri nie zrobi nic oprócz powtarzania przemowy, której go wcześniej wyuczę. Tylko ty możesz improwizować,

- No cóż, powtórzę to, co powiedziałem wcześniej - rzekł Jim. - Postaram się być tam, gdy nadejdzie czas, ale lepiej żebyś na wszelki wypadek miała w pogotowiu kogoś, kto mógłby mnie zastąpić. Może wymyślę jakiś magiczny sposób, który pozwoli ci w razie czego omówić twoje kwestie i jego.

- Jim, czy ja mówię barytonem?

- Mógłbym zrobić tak, żebyś wypowiadała kwestie Józefa barytonem - powiedział Jim. - Jednak na razie dajmy temu spokój. Jest zbyt wiele do roboty.

- W porządku. Jakoś rozwiążesz te wszystkie problemy - stwierdziła Angie. - Wierzę w ciebie. A kiedy już opanujesz sytuację, porozmawiamy o twojej roli Józefa. Na razie zapomnij o tym. Na czym polega największy problem z Mnrogarem i odyńcem?

- Po prostu na tym, że Mnrogar jest trollem, a odyniec dzikiem.

- Masz na myśli to, że chcą walczyć ze sobą?

- Nie. Chodzi o to, że oni nigdy nie chcą robić niczego jednocześnie - odparł Jim, - Chyba można powiedzieć, że walczą ze sobą, ale nie robią tego celowo. Carolinus zadbał o to w jakiś magiczny sposób, kiedy rozmawiał z nimi. Nie wiem, co zrobił czy powiedział, ale osiągnął cel. Przyszli łagodni jak baranki. Odyniec zmienił się w pięknego konia, a Mnrogar w jadącego na nim, olbrzymiego, lecz wiarygodnie wyglądającego rycerza w czarnej zbroi. Jednak później zaczęły się kłopoty. Odyniec może i wygląda jak rumak, ale zachowuje się jak dzik, Mnrogar zaś wygląda jak rycerz w zbroi, lecz postępuje jak troll. Carolinus miał rację. Pewne podstawowe problemy...

- Och, zaczekaj chwilę! - zawołała Angie. - Zapomniałam, że na górze jest Hob Jeden, który chce z tobą porozmawiać i mówi, że to pilne. Najwidoczniej Secoh czeka na jakąś wiadomość od ciebie. Hob jest w kominku pierwszego z dwóch naszych pokojów, niewidoczny oczywiście dla Enny

i piastunki.

- One nie zrobią mu krzywdy.

- Powiedz to jemu - odparła Angie. - Ufa mi tylko dlatego, że jestem twoją żoną. W każdym razie chciał zaraz z tobą porozmawiać i właśnie dlatego zesłam tu do ciebie, chociaż myślałam o tym już wcześniej.

- To śmieszne! - rzekł Jim. - Ten skrzat zachowuje zbyt daleko idącą ostrożność. No nic, będzie musiał poczekać. Postanowiłem nie wychodzić, dopóki nie zrobi tego earl, a on nie wytrzyma już długo. Ale... - Urwał. - Och, nie! - jęknął.

- Co „nie”? - zapytała Angie, odwracając się w kierunku, w którym pobiegło spojrzenie Jima. - Co jest? Nie widzę tu nic, co nie działałoby się wcześniej. Brian po prostu siedzi sobie, rozmawiając spokojnie z innym mężczyzną, który wydaje, się równie trzeźwy jak on.

- Właśnie to mnie niepokoi - wyjaśnił Jim. - Ten mężczyzna to sir Harimore, pamiętasz go?

- Och - powiedziała Angie - mówisz o tym rycerzu, który zaoferował się towarzyszyć nam pierwszego dnia, kiedy opuściłam polowanie z sokołami i wrócił do zamku z Brianem, Geronde i ze mną? Co w tym złego, że rozmawiają?

- Nic, dopóki ograniczają się do rozmowy - odparł Jim. - Jednak oni nie lubią się wzajemnie i myślę, że mają dość czekania, aż ktoś się z nimi pokłóci. Wygląda na to, że sir Harimore podszedł do Briana, co może skończyć się tym, że ku obopólnemu zadowoleniu obaj cichcem wymkną się za mury na krótki pojedynek.

- Dlaczego mieliby to zrobić? Sądziłam, że niecierpliwie czekają na spotkanie podczas turnieju w ostatni dzień świąt.

- No cóż, pewnie tak było i jest - powiedział Jim - lecz to coś więcej, niż się zdaje. Wiesz, jak bardzo Brianowi zależy na wygraniu turnieju i zdobyciu nagród, które mógłby sprzedać lub zastawić, aby utrzymać zamek Smythe? No cóż, sir Harimore jest wystarczająco bogaty, żeby nie martwić się o przychody, ale wie, iż Brian przez cały czas żyje na skraju ubóstwa. Tak się składa, że każdy z nich wygrał po dwa z czterech turniejów, w których obaj brali udział, więc i tym razem niemal na pewno nagrodę otrzyma jeden z nich.

- Lepiej, żeby to był Brian - stwierdziła Angie. - Niedługo będzie bardzo potrzebował pieniędzy, tak twierdzi Geronde, ale nie chciała powiedzieć, co to za wydatki.

- On nieustannie potrzebuje dużo pieniędzy - przytaknął Jim. - W każdym razie sir Harimore wie o tym, a on należy do tych, którzy zawsze chcą być lepsi od innych. Pamiętasz, jak podczas najazdu węży morskich, kiedy byliśmy na zamku z Johnem Chandosem, nagle na dziedzińcu wywiązała się walka?

- Tak.

- A zatem może przypominasz sobie, że okazało się, iż to tylko ćwiczenia? Brian dowodził grupką, która próbowała przedrzeć się przez drzwi wielkiej sieni, a sir Harimore drugą, usiłującą ich powstrzymać?

- Pamiętam. Tak. Co to ma z tym wspólnego?

- Jak wiesz, powstrzymałem ich, zjawiając się w porę, i zarówno Brian, jak i John Chandos przeprosili mnie, ponieważ byłem gospodarzem. Jednak Chandos gorąco wychwalał przy tym Briana, zaliczając go do najlepszych mieczy królestwa,

- Zgadza się - powiedziała Angie. - Teraz przypominam sobie. Tak było. Brian był wniebowzięty. Ja również... i oczywiście Geronde...

- O to chodzi. Wieść rozeszła się i dotarła do sir Harimore'a, który nie może znieść tego, że ludzie mogą uznać, iż Brian walczył lepiej od niego. Dlatego jest gotowy na wszystko, byle tylko posiekać Briana. Właśnie dlatego obawiam się, że podczas tej z pozoru spokojnej rozmowy w rzeczywistości umawiają się, by wymknąć się stąd cichaczem i rozstrzygnąć spór za pomocą mieczy. Wypili dość wina, które pozwoliło im pozbyć się wszelkich oporów.

- Przecież nie pozabijają się tutaj? Nie wtedy, kiedy są gośćmi na zamku, prawda? Wiem, że dzieją się tu różne rzeczy, ale goście nie zabijają się nawzajem?

- Nie - odparł Jim. - Jasne, że nie. To byłoby co najmniej pogwałceniem gościnności earla, a tego po prostu się nie robi. Jednak obawiam się, że Harimore zaplanował wszystko, być może tylko udając przez cały wieczór, że pije. Może chce dopaść Briana na pół pijanego i zranić go - nie na tyle poważnie, żeby wykluczyć jego udział w turnieju, lecz wystarczająco, by nie był w szczytowej formie, kiedy staną naprzeciwko siebie za dwa dni od dziś.

- Hmm,.. - mruknęła Angie. - Może powinieneś powiedzieć earlowi albo...

Jim potrząsnął głową.

- Nie. To na nic. Tylko zdenerwowałbym earla, zyskał śmiertelnego wroga w osobie sir Harimore'a i być może zniszczył przyjaźń z Brianem. Jednak masz rację. Muszę ich jakoś powstrzymać. .. - Nagle rozpromienił się. - Angie! - powiedział. - Czy masz w sakiewce u pasa papier i nożyczki, które wykonał dla ciebie nasz kowal w Malencontri?

Angie, jak wiele innych kobiet, nosiła sakiewkę przymocowaną do ozdobnego pasa, którym ściągnęła suknię w talii. Wśród wielu drobiazgów miała w niej zawsze rulonik francuskiego papieru i kilka kawałków węgla, których używali, pisząc do siebie listy. Nożyczki służyły między innymi do odcinania zapisanych kawałków papieru.

- Wyjmij je - polecił Jim, podnosząc się od stołu - i chodź ze mną. Chyba wiem, jak ich powstrzymać. Z mojego punktu widzenia to teraz najważniejsze. Bez Briana nigdy nie nauczę Mnrogara siedzieć na odyńcu tak, jak czarny rycerz powinien jechać na koniu, nie mówiąc już o posługiwaniu się kopia. Dlatego muszę ich powstrzymać.

Oboje wstali i zeszedli z podium, na którym stał główny stół, po czym minęli jego narożnik i ruszyli wzdłuż długiego stołu, przy którym siedzieli Brian i sir Harimore - zaledwie kilka kroków od drzwi na korytarz, wiodący wzdłuż sali do furtki na dziedziniec.

- Ile ci potrzeba? - spytała po drodze Angie. Jim zastanawiał się chwilę.

- Chyba kilkadziesiąt centymetrów - odparł. - Tak, trzydzieści.

- I co masz zamiar z tym zrobić? - pytała. - Słuchaj, możemy przystanąć na moment? Trudno mi uciąć papier w biegu.

- Masz rację. I tak powinienem na chwilę usiąść. Jest tu mnóstwo wolnych miejsc. Możemy porozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. A żaden z tych ludzi nie zwraca już uwagi na nikogo prócz siebie.

Przystanęli i usiedli. Angie ucięła kawałek papieru. Jim wziął go od niej i zaczął składać w harmonijkę o szerokości pięciu centymetrów.

- Nie odpowiedziałeś mi - nalegała Angie. - Co zamierzasz z tym zrobić i dlaczego tak zwijasz ten papier?

- Pamiętasz, jak się zwija w ten sposób kawałek papieru, następnie wycina z niego lalkę, a kiedy się go rozwinie, powstaje łańcuch papierowych laleczek trzymających się za ręce?

- Oczywiście,

- No cóż, w pobłogosławionym przez biskupa zamku nie mogę użyć mojej magii - rzekł Jim. - Jednak może magia pomoże mi powstrzymać Briana i Harimore'a przed zrobieniem czegoś głupiego.

Wstał, wsunął złożony papier i nożyczki do sakiewki przy swoim pasie i ruszył w kierunku miejsca, gdzie siedzieli Brian i Harimore. Jednak teraz ich nie było.

- Poszli! - wykrztusił.

- Właśnie dochodzą do drzwi - powiedziała Angie. - Widzisz?

- Widzę - odparł Jim, ruszając w tę stronę. - Dogonimy ich na zewnątrz. Tak będzie nawet lepiej. Pospiesz się, tylko niech nikt tego nie zauważy.

- Dobrze ci mówić! - wysapała Angie. - Masz dłuższe nogi od moich!

- Szybko! - ponaglał Jim. Przed nimi Brian i sir Harimore wyszli na mroczny korytarz, co prawda oświetlony pochodniami, jednak w rzadziej rozmieszczonych kagańcach. Jim i Angie postępowali tuż za dwoma rycerzami.

Tamci znajdowali się zaledwie kilka metrów przed nimi i nie odwrócili się na dźwięk kroków za plecami. Jim przyspieszył, zostawiając Angie trochę, w tyle i usiłując ich dogonić, kiedy

przechodzili przez krąg światła kolejnej pochodni.

- Panowie! - zawołał. - Chwileczkę!

Zanim wymówił ostatnią sylabę, Angie dopędziła go i razem znaleźli się tuż za plecami idących. Rycerze przystanęli, Jim też się zatrzymał, a oni odwrócili się na pięcie jednocześnie i w tę samą stronę, jak wyszkoleni żołnierze kompanii honorowej ze znacznie późniejszych czasów.

Jim ujrzał dwie pary oczu, z których żadna nie była zbyt zachwycona widokiem jego i Angie.

- Wybaczcie, że przeszkadzam w rozmowie, szlachetni panowie - rzekł Jim, chociaż ani Brian, ani sir Harimore nie odezwali się słowem, co jednak nie miało żadnego znaczenia. - Akurat zamierzałem sprawdzić, czy zdołam odkryć sens znaku, jaki właśnie otrzymałem. Zapewne nie rozszyfruję go przez dzień czy dwa, jednak uznałem, że powinienem was ostrzec, chociaż wątpię, czy któremuś z was mogłoby coś zagrażać. Jest niezwykle mało prawdopodobne, aby ktoś szukał z wami zwady przed turniejem, a gdyby nawet, to nie obawiam się o wasze bezpieczeństwo. Ostrzeżenie wszakże zawsze może się przydać.

- Znak, Jamesie? - zapytał Brian. Błysk, jaki Jim zauważył wcześniej w jego oczach, nie zniknął, tak samo jak w oczach sir Harimore'a, lecz w głosie rycerza było słychać nagle rozbudzoną czujność.

- Jaki znak? - zapytał sir Harimore.

- Znak - oznajmił Jim powoli i z naciskiem - tańczących laleczek!

Obaj rycerze wytrzeszczyli oczy. Oczywiście to Brian zadał nieuchronne pytanie.

- Nigdy nie słyszałem o znaku tańczących laleczek - wyznał. - Cóż to takiego, Jamesie? I co oznacza?

- Pozwólcie, że wam pokażę - rzekł Jim wciąż tym powolnym, namaszczonym głosem, jakim mówił przed chwilą. - Obaj wiecie, że dzięki błogosławieństwu zacnego biskupa na zamku nie działa żadna magia aż do końca świąt i do wyjazdu duchownego. Jednak taka rzecz jak omen niekoniecznie musi być magią. - Wyjął papier. - Spójrzcie! - rzekł. - Potnę ten papier odruchowo, pozwalając nożycom kierować moimi palcami.

Minęło sporo czasu, pomyślał Jim, od kiedy byłem na tyle młody, żeby pasjonować tego typu sztuczkami, jednak nadal pamiętam, jak posługiwać się nożyczkami. Przyłożył nożyce do górnej krawędzi zwiniętego papieru i zaczął wycinać ramię, barki, okrągłą głowę, kark i drugie ramię, schodząc wzdłuż krawędzi złożenia, potem znów przesunął nożyczki w górę, wycinając pachę i dolną część ciała, ponownie w górę, tworząc rękę i nogę, aż wreszcie dotarł do pozostałej stopy i nogi, w wyniku czego powstała figurka, która przypominała śniegowego bałwana na dwóch łapach.

Nadal mocno ściskając papier, schował nożyczki z powrotem do sakiewki u pasa i nie zwracając uwagi na ścinki, które spadły na podłogę, dwiema rękami rozłożył papier na całą długość,

ukazując łańcuch lalkowatych postaci połączonych stopami i dłońmi,

- Tańczące laleczki! - oznajmił złowrogo.

Błysk w obu parach spoglądających nań oczu zdecydowanie zmienił wymowę. Nadal tam był, ale teraz wyrażał czujność. Po chwili złowieszczego wahania Jim mówił dalej:

- Jak już powiedziałem, przez jakiś czas nie będę wiedział, cóż miałoby to dokładnie oznaczać, jednak w zasadzie jest to zapowiedź czyjś nieszczęścia. Oczywiście, chciałem cię ostrzec, Brianie, i dobrze, że znalazłem cię w towarzystwie sir Harimore'a.

Dzięki temu mam okazję ostrzec także jego, co mnie cieszy ze względu na ogromny szacunek, jakim go darzę, szczególnie od kiedy oglądałem jego pojedynek z sir Butramem.

- Jakiego rodzaju nieszczęście, sir Jamesie? - zapytał Harimore.

Jim doszedł do wniosku, że rycerz albo uległ chęci górowania nad wszystkimi innymi lub jest mniej łatwowerianny niż większość żyjących w średniowieczu ludzi, z jakimi Jim dotychczas miał do czynienia. Zapewne, pomyślał, to po prostu chęć dominowania i męczyzna dał się ponieść tłumionej wściekłości wywołanej faktem, że coś mogło zniszczyć jego plany skrzyżowania mieczy z Brianem.

Jim celowo odczekał chwilę, patrząc na niego.

- Tego - rzekł z naciskiem - nie mogę powiedzieć, sir Harimore. Wiem jedynie, iż nieszczęście zapowiadane przez tańczące laleczki zazwyczaj spada na osobę, która najmniej się tego spodziewa i z najmniej oczekiwanej strony. Tak więc nie ma przed nim innej obrony, jak wystrzegać się wszelkich ryzykownych przedsięwzięć, szczególnie takich, które grożą katastrofą. - Znów zrobił krótką przerwę, a potem starannie złożył tańczące laleczki, schował je do sakiewki i zwrócił się do Angie: - No cóż, milady - powiedział - musimy iść na górę. Spokojnej nocy, Brianie i sir Harimore. Bądźcie dobrej myśli, panowie. Jest nadzieja, że ten omen dotyczy zupełnie kogoś innego. Wspomniałem o nim, ponieważ sądzę, że w takich sprawach odrobina przezorności nigdy nie zaszkodzi. Życzę miłych snów.

- Dobranoc, Jamesie - odparł Brian. - Zaczekaj, może pójde z wami, skoro nam po drodze... - Przerwał i zwrócił się do sir Harimore'a: - Mam rację, sir Harimore? Podzielasz moje zdanie? Możemy dokończyć naszą dyskusję innym razem?

- Istotnie - powiedział sir Harimore. - Tak będzie niewątpliwie rozsądniej. Niedługo znów się zobaczymy.

- Nie wątpię - rzekł Brian.

- A zatem dobranoc wszystkim - powiedział sir Harimore. - Milordzie, milady, sir Brianie...

Obdarzył ich wszystkich lekkim skinieniem głowy, odwrócił się, przemaszerował korytarzem i wszedł z powrotem do sali.

- Chodź, Brianie - powiedziała Angie, biorąc pod rękę Briana i Jima. - Jak na jeden dzień, wszystkim nam wystarczy emocji.

## Rozdział 29

- Zeszłej nocy... - zaczął Jim, kiedy usiedli z Angie przy stole w pierwszym z dwóch pokoi, popijając z kubków pokrzepiającą, mocną, gorącą herbatę. Wczesne poranne słońce sączyło się przez zamknięte okiennice jedyne okna, wypełniając komnatę bladą, lecz wciąż jasną poświatą. - Czy kazałem Hobowi Jedem, żeby powiedział Secohowi, iż smoki mają jednak przybyć do earla?

- Tak - odparła Angie.

- Tego się obawiałem. No nie - rzekł Jim, potrząsając głową jak zepsutym zegarkiem. - Dlaczego tak powiedziałem?

- Nie wiem. Nie wyjaśniłeś mi tego. Myślałam, że masz jakieś ukryte powody.

- Ha! - wykrzyknął ze złością Jim.

- Proszę - skwitowała Angie - czy moglibyśmy powstrzymać się od tych mediewizmów przynajmniej wtedy, kiedy rozmawiamy tylko we dwoje i w dodatku tak wcześnie.

- Przepraszam - odparł Jim, przecierając wierzchem dłoni oczy i czoło. - Słyszę to tak często, że samo ciśnie mi się na usta. Nie miałem żadnych ukrytych powodów.

Odjął dłonie od oczu i zobaczył, że Angie, siedząc po przeciwnej stronie stołu, przygląda mu się ze współczuciem.

- No to dlaczego tak powiedziałeś?

- Nie wiem. Może myślałem, że w swoim czasie przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł. Może po prostu chciałem pozbyć się jednego problemu. Zaprosiłem je, by przyszły i obejrzały jasełka wieczorem ostatniego dnia świąt, prawda?

- Zgadza się - powiedziała Angie. - Taką wiadomość kazałeś Hobowi zanieść do Secoha.

- No cóż, teraz już za późno - stwierdził Jim. - Wątpię, czy teraz dałoby się je powstrzymać, nawet gdybym zobaczył się z nimi osobiście i powiedział, żeby nie przychodziły. Mówię ci, Angie, ten tysiąc spraw naraz doprowadza mnie do szaleństwa. I nie był to skutek wina, gdyby taka myśl powstała ci w głowie. Prawie nic nie piłem. Jednak to długie wysiadanie za stołem zupełnie mnie wykończyło. Chciałem tylko załatwić bieżące sprawy i zapomnieć o wszystkim na chwilę. Coś takiego czuje człowiek, który wyskakuje z lecącego samolotu, nie wiedząc, czy spadochron otworzy się, czy nie, ale jest mu już wszystko jedno.

- Jesteś pewien, że nie niepokoi cię coś jeszcze, coś o czym mi nie mówiłeś? Coś, o czym powinieneś mi powiedzieć?

- Na pewno nie.

Angie zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem spod opuszczonych rzęs.

- No... może o jednej sprawie. To mało prawdopodobne, oczywiście, i nie sądziłem, że warto cię tym niepokoić, skoro musisz opiekować się Robertem i masz tyle na głowie. A poza tym...

- O co chodzi? - zapytała łagodnie Angie.

- Cóż - powiedział Jim - pamiętasz, że był taki mag Son Won Phon, który kwestionował wykorzystywanie przeze mnie hipnozy, twierdząc, iż to orientalna magia i nie zostałem jej należycie nauczony przez specjalistę?

- Pamiętam doskonale.

- No, wygląda na to, że on i inni magowie trochę zdenerwowali się moim awansem do klasy C bez odpowiednich kwalifikacji... och, nawiasem mówiąc, na pewno ucieszy cię wiadomość, że właśnie znalazłem się w klasie C. Powiedział mi o tym Carolinus, gdy go ostatnio widziałem.

- A kiedy to było?

- Och, dzień czy dwa temu, albo trochę więcej. Może przed kilkoma dniami. Nie wydawało mi się to istotne, ponieważ i tak traktowano mnie jak maga klasy C, a w dodatku miałem mnóstwo roboty. Powinienem cię o tym poinformować, ale wyleciało mi z głowy. Wybacz.

- To cudownie, Jim! - powiedziała Angie. - Jednak nie o tym chciałeś mi powiedzieć. Prawda?

- Niezupełnie - odparł Jim. - A raczej częściowo. Krótko mówiąc, Son Won Phona i innych magów najwidoczniej rozżłościła moja nadzwyczajna promocja do klasy C, kiedy praktycznie pozostawałem jeszcze w klasie D, co teraz nie jest już problemem, gdyż mam kwalifikacje. Rozżłościło ich także to, że otrzymałem nieograniczony przydział magicznej energii. Ich uczniowie uważali, że też powinni mieć taką szansę i wiesz, jak to jest...

Jim umilkł i uśmiechnął się do niej.

- Mów dalej - naciskała Angie.

- No tak. Cóż, reszta tej opowieści wygląda następująco: zrobiło się małe zamieszanie i istnieje ryzyko, bardzo niewielkie, rozumiesz, że magowie przegłosują, iż nie chcą, aby para ludzi z dwudziestego wieku, takich jak my, wtrącała się w bieg tutejszej historii, po czym postanowią deportować nas w nasze czasy. Carolinus powiedział mi o tym, zanim postanowiliśmy zatrzymać Roberta, więc oczywiście myślałem, że z przyjemnością wrócisz w dwudziesty wiek. Jednak skoro znalazłaś Roberta...

Znów zabrakło mu słów.

Angie przez chwilę siedziała w milczeniu, spoglądając gdzieś w dal.



- Tak - powiedziała. - Robert wszystko zmienił. Nie mogę zostawić go Agacie Falon. Wiem, co by zrobiła. Wrzuciłaby go do studni lub udusiła we śnie, tak jak chciała to zrobić tutaj, kiedy ją zaskoczyłam. - Nagle wstała, podeszła do Jima i usiadła mu na kolanach, zarzuciła ramiona na szyję i ucałowała go. - Biedny Jim - powiedziała, przyciskając swój policzek do jego policzka. - Nic dziwnego, że tak się przejmujesz. Już dawno powinienes mi powiedzieć, że masz takie zmartwienie.

- Miałem inne problemy - rzekł Jim z poczuciem winy. - Chcę powiedzieć, że nie chodziło tylko o to. Mam na myśli, że...

- Przestań już martwić się tym - poradziła. - Jestem przekonana, że Carolinus upora się z tym problemem. Nie odeślą nas. Możesz się odprężyć i uspokoić.

- Tak - rzekł Jim. - Jednak chodzi o to...

Zawahał się. Angie odchyliła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Czy jest coś jeszcze, o czym mi nie powiedziałaś?

- Na przykład co? - wiercił się niespokojnie Jim.

- Przecież jeśli pozwolą nam tutaj zostać, wszystkie pozostałe sprawy na dłuższą metę nie będą takie ważne?

- Tak i nie - odparł niechętnie Jim. - Widzisz, pobyt tutaj ma też pewną ujemną stronę. Jeśli nas tu zatrzymają, mogą odebrać mi wszystkie magiczne zdolności. Zostałbym bez jakichkolwiek, na zawsze.

- No i co z tego? - powiedziała Angie. - Już radziliśmy sobie bez nich. Na przykład, przez większość tych trzech miesięcy wcale nie miałeś magii, a raczej myślałeś, że jej nie masz, zanim Carolinus powiedział ci, że mogłeś ją czerpać z dodatkowego konta o nieograniczonym limicie. Nie będzie ci tego brakowało. Może nawet trochę częściej będziesz bywać w domu.

- To nie jest takie proste - rzekł Jim. - Widzisz, najwyraźniej Ciemne Moce chcą zemścić się na mnie za to, że w przeszłości krzyżowałem ich plany, rozumiesz.

Angie szeroko otworzyła oczy.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że wszyscy inni magowie po prostu zostawiliby cię bezbronego na pastwę Ciemnych Mocy? A nawet gdyby tak, to przypominam sobie, że Carolinus mówił kiedyś, iż Ciemne Moce w niczym nie przypominają człowieka. Po prostu nie sądzę, aby szukały zemsty w taki sposób, w jaki robią to ludzie. Na przykład tak, jak zrobiłby to sir Hugh de Bois, mszcząc się za to, że odebraliśmy mu Malencontri.

- Może nie - odparł Jim. - Jednak nie jestem pewien, czy nawet pozbawiony magii nadal nie będę stał im w jakiś sposób na drodze. Mam na myśli to, że ty i ja powodujemy pewne, chociaż niewielkie, zakłócenia w tym świecie. Takie jak to, że teraz wszyscy goście earla znają słowa piosenki o Dobrym królu Wieńczysławie i śpiewają ją na wiele lat przed tym, zanim została

napisana. Ponadto poczyniliśmy pewne innowacje nawet w samym Malencontri - mówię o zamku.

Zamilkł na moment i machnął ręką.

- Mogliśmy wywołać zmiany paru istotnych faktów historycznych, na przykład ratując księcia z Malwinne. Ciemne Moce nie zaatakują nas z zemsty. Wystarczy, jeśli uznają nas za ziarnko piasku w ich trybach. One po prostu nie chcą mnie tu. A w ich ujęciu to oznacza, że muszą mnie zniszczyć, może nas oboje, a nawet Malencontri, czy naszych najlepszych przyjaciół, takich jak Brian, Giles i Dafydd.

- I Robert! - powiedziała Angie i nagle zeszywniała. Zeskoczyła z kolan Jima i spojrzała na niego. - Musisz coś zrobić!

- W tym rzecz - odparł ze znużeniem. Angie pochyliła się, objęła go i znów pocałowała.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - wyjaśniła. - Myślę, że oboje musimy coś zrobić. Pomogę ci, jeśli będę w stanie. W czym mogę ci się przydać?

- Właściwie - orzekł Jim - nic mi nie przychodzi do głowy. Mogłabyś zwolnić mnie z roli świętego Józefa i zostać heroldem Mnrogara. Jednak masz rację co do tego, że będę potrzebny do odegrania tej kwestii, a ty nie możesz być heroldem. Ale to drobiazgi w porównaniu z większymi problemami. Myślę, że najlepsze, co mogłabyś zrobić, to po prostu porozmawiać z Carolinusem, tak jak przed chwilą obiecałaś. Jeżeli ktoś potrafi go do czegoś zmusić, to tylko ty.

- Na pewno z nim porozmawiam!

Jim poczuł lekki niepokój. Pod pewnym względem Angie była jak naładowany pistolet. Nie powinno się jej kierować na kogoś, kogo nie chciało się załatwić. Z drugiej strony, nie mogła w niczym zaszkodzić, a być może taki lekki nacisk wystarczy, aby Carolinus rozwiązał ich konflikt z innymi magami. Tymczasem...

Dopił herbatę.

- No cóż, lepiej pójdę - powiedział. - Brian już pewnie ćwiczy z Mnrogarem na tym tajnym placu ćwiczeń, który Carolinus zaczarował tak, żeby żaden przypadkowy świadek nie mógł widzieć, co tam robimy. A skoro o tym mowa, to i sam Carolinus może się tam pokazać. Jeśli tak, to powiem mu, iż powinien natychmiast zobaczyć się z tobą w ważnej sprawie. Gdybym nie powiedział, że to ważne, zapewne zapomniałby o tym. Czasem myślę, że przez większość czasu błądzi gdzieś myślami. Gdzie mój pas i miecz? Och, tutaj. - Zapiął pas. - No cóż, zobaczymy się później - rzekł, podążając do drzwi.

- Może ubrałbyś się cieplej - poradziła Angie. - Jest zima.

- Racja - powiedział Jim z udawaną beztroską, zawracając na pięcie. - Właśnie miałem to zrobić.

Od zamku do leśnej polany, na której Brian ciężko pracował, usiłując nauczyć Mnrogara i

zamienionego w konia odyńca, żeby zachowywali się na turnieju jak prawdziwy czarny rycerz i koń, było zaledwie pięć minut konnej jazdy, ale Jim jechał na Gruchocie, swoim rumaku bojowym, ponadto w zbroi, z tarczą i innym orężem. Taki ekwipunek mógł się okazać niepotrzebny, ale żaden rycerz nie zapuszczał się w las tak daleko, jak oni teraz, nie zabierając przynajmniej miecza, w nieznaney zaś okolicy musiał być przygotowany na wszystko i przeważnie nie jechał sam. Fakt, że tego ranka, kiedy Angie wzięła udział w polowaniu z sokołami, Jim napotykał kilkuosobowe grupki myśliwych, nic świadczył wyłącznie o tym, że ci ludzie lubili swoje towarzystwo. Taki był tu po prostu zwyczaj. Jeśli byli przy tobie inni, w razie czego miałeś sprzymierzeńców. Dlatego Jim nie czuł się głupio, nakładając pełny rynsztunek na tak krótką drogę. A nawet gdyby było inaczej, przypominał sobie, że nie jest całkiem pewny, gdzie właściwie znajduje się ten plac ćwiczeń.

Chociaż wydawało się, że jest blisko zamku, w rzeczywistości mógł leżeć spory kawałek stąd. Ponieważ od kiedy zaczęli uczyć Mnrogara prawidłowego poruszania się w magicznej zbroi, a odyńca zachowywania się jak prawdziwy rumak bojowy, ani razu nie przeszkodzili im inni goście czy mieszkańcy zamku. Pytanie tylko, czy Carolinus rzucił czar przenoszący ich z jakiegoś miejsca w pobliżu zamku w jakieś odległe miejsce, czy też rozstawił wokół jakieś magiczne straże odstrasżające każdego przechodzącego na tyle blisko, żeby mógł zobaczyć, co tu robią.

Tego ranka jak zwykle Brian był tam przed Jimem i już ćwiczył z magicznie zmienionym trollem i odyńcem. Był tam także jego giermek, John Chester, oraz giermek Jima - Theoluf. Jim uwiązał Gruchota obok wierzchowca Briana i dwóch pozostałych, niedaleko bardzo realistycznie wyglądających szranków, stworzonych przez kilka kijków wetkniętych w śnieg i magię Carolinusa. Wyglądały dokładnie tak, jak prawdziwy plac turniejowy z biegnącą przez środek barierą, dzięki której dwaj jadący z przeciwnych stron rycerze nie wpadali na siebie.

Cały plac, z wyjątkiem otaczających go drzew, stanowił kopię tego, na którym nazajutrz miał odbyć się turniej (Jim skrzywił się na myśl o tym, że to zaledwie za dwadzieścia cztery godziny), a to podobieństwo było konieczne, gdyż Mnrogara i odyńca należało szkolić w warunkach możliwie najbardziej zbliżonych do rzeczywistości. Większa część bariery była, oczywiście, złudzeniem. Jednak jej środek, około dwudziestu metrów, dzięki magii Carolinusa był twardy i prawdziwy. Tylko w ten sposób udawało się zapobiec wrodzonej skłonności odyńca do szarżowania na nadjeżdżającego konia oraz naturalnej skłonności Mnrogara, każącej mu rzucać się z pazurami na przeciwnika.

Na myśl o Mnrogarze, który w ostatniej chwili przeskakuje nad barykadą i rzuca się na nacierającego nań z kopią i tarczą rycerza, zarówno Briana, jak i Jima przechodziły ciarki. Prawdę mówiąc, nawet teraz nie byli całkiem pewni, że wystarczająco przygotowali odyńca i trolla do stanięcia w szranki. Problem polegał na tym, jak wcześniej ostrzegał Carolinus, że pewne zachowania zwierzęcia i naturalnego były czysto instynktowne, a więc trudne do kontrolowania nawet za pomocą magii.

Jednak Jim ruszył w kierunku Briana, który odwrócił się i powitał go wymuszonym uśmiechem.

- Wiesz co - powiedział Jim, podchodząc do przyjaciela. - Musisz przyznać, że wyglądają jak należy.

Rzeczywiście. Mnrogar wyglądał jak typowy czarny rycerz w płytowej zbroi i hełmie z opuszczaną przyłbicą, przypominającym odwrócone wiadro o wypukłym, a nie płaskim dnie z otworami, przez które właściciel mógł nie tylko patrzeć, ale także próbować oddychać. Nic dziwnego, że rycerze, którzy musieli nosić w boju takie nakrycia głowy, unikali zapuszczania długich bród i golili się gładko lub nosili niewielkie, równo przystrzyżone wąsiki i bródki, podkreślające ich męskość i nie przeszkadzające w oddychaniu w niewielkiej przestrzeni hełmu. Ewentualna niewiarygodność Mnrogara, uznał Jim, leżała głównie w nieludzkiej szerokości jego barków. Otrzymała magicznym sposobem zbroja jeszcze je poszerzała. Jednak także czyniła go większym, tak więc być może widzowie na trybunach niczego się nie domyśla.

W tym momencie troił siedział zupełnie nieruchomo, w idealnej postawie jeździeckiej, na czarnym koniu wielkości jednego z tych ogromnych perszeronów, które Jim widział raz w dwudziestym wieku, jak ciągnęły wóz z piwem podczas parady.

Długie, wąskie drzewce kopii sterczało z uchwytu przy jego okutej w stal prawej nodze.

Zmieniony w konia odyniec, którego dosiadał Mnrogar, robił nie mniejsze wrażenie. On też stał całkiem nieruchomo, przytłaczając swoją wielkością i barwą, tak że Jim przez chwilę zapragnął mieć takiego wierzchowca - oczywiście prawdziwego i dobrze wytrenowanego. Wszyscy milczeli.

- Czy oni rozumieją, o co chodzi? - zapytał Briana.

- Robią postępy - odparł Brian. - Czasem myślę, że jutro spiszą się na medal. Jednak zaraz, kiedy tak pomyślę, Mnrogar usiłuje użyć kopii jako pałki albo dzik próbuje sforsować barykadę zamiast biec obok niej. Nie sądzę, aby kiedykolwiek można było całkowicie im zaufać, Jamesie. Musimy zaryzykować, kiedy nadejdzie czas i mieć nadzieję, że zrobią to, co trzeba.

- Może Carolinus pojawi się i zdołamy go skłonić, żeby rzucił na nich jakiś ostatni czar w celu upewnienia się, że nie zawiodą - rzekł Jim.

- Na Tróję Świętą! - zawołał Brian. - Mam nadzieję!

- Jak im dzisiaj poszło? - zapytał Jim.

Brian zmarszczył brwi, patrząc na odzianą w zbroję, nieruchomą postać na czarnym rumaku, po czym odwrócił się plecami do trolla. Jim zrobił to samo, żeby nie przerywać rozmowy.

- Dziś jeszcze nie kazałem im atakować - rzekł Brian. - Jeśli chcesz, możemy spróbować teraz.

- Zróbmy to.

Odwrócili się ponownie.

Rycerz i koń stali nieruchomo. Ale w czasie, gdy Brian i Jim odwrócili się plecami, koń położył się na ziemi - jednak nie na boku, jak wszystkie konie, lecz na ugiętych tylnych kończynach. Rycerz pozostał w siodle, tylko szeroko rozłożył nogi, żeby nie stanąć na ziemi. Brian podbiegł do konia.

- Wstawaj! - ryknął.

Koń niezdarnie znów podniósł się na nogi, a rycerz włożył stopy w strzemiona. Brian chwycił wodze i powiodł wierzchowca kilka kroków dalej, obracając go lekko, tak że stanął równolegle do prawej strony bariery, przypominającej metrowej wysokości ściankę zbitą z desek. Jim spojrzał wzdłuż niej, sprawdzając, czy zdoła dostrzec, gdzie iluzja przechodzi w twardą przegrodę, jednak nie znalazł żadnego śladu takiego połączenia. Zapewne, pomyślał, nie ma w tym nic dziwnego, skoro wszystko powstało dzięki magii - tylko jedna jej część jest solidniejsza od innej.

Brian oddał wodze rycerzowi, który wziął je i trzymał prawidłowo w prawej ręce, między drugim a trzecim palcem.

- Przypnij tarczę! - warknął Brian.

Mnrogar już włożył rękę w uchwyty tarczy i teraz wysunął ją naprzód, osłaniając się tak, że Jim widział ją z tyłu, a nie tylko czarną płaszczyznę z przodu. Ciekaw był, czy była z jednego litego kawałka, tak jak bariera. Jednak tarcza wydawała się duplikatem prawdziwej, wyraźnie zrobiona z kilku warstw drewna obciągniętego skórą i spojonego klejem oraz nitami w całość lekko owalną, trójkątną jak latawiec. Być może płytowa zbroja Mnrogara również była wierną kopią prawdziwej. Prawdopodobnie rozwieje się w nicość po pewnym czasie - zapewne dzień czy dwa po turnieju - jak wszystkie magicznie sporządzone przedmioty. Jednak teraz wyglądała równie prawdziwie jak wszystko wokół.

- Johnie! - zawołał Brian do jego giermka. - Szykuj się zadąć w róg!

Jim spojrzał i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że John Chester trzyma długi srebrny róg, jakich używali królewscy heroldzi, rzadko widywany w rękach innych ludzi.

- Skąd to masz? - zapytał Briana.

- Co? Och, od maga oczywiście. Johnie, krótki sygnał!

John Chester przytknął instrument do warg i w jasnym porannym powietrzu rozległ się czysty, dźwięczny głos rogu. Jednak nic się nie stało i Jim rzucił Brianowi pytające spojrzenie.

- Kiedy naprawdę będą na turnieju - wyjaśnił Brian - nastąpi krótka zwłoka, zanim drugi rycerz dojedzie na drugi koniec szranków i stanie naprzeciw nich. Carolinus uznał, że powinniśmy dokładnie trzymać się czasu we wszystkim, co robią troll i odyniec, aby nie zbiły ich z tropu różnice między ćwiczeniami a rzeczywistością.

Jim skinął głową. Zaczekali jeszcze chwilę, a potem na końcu przegrody, po drugiej jej stronie, pojawiła się postać innego rycerza w pełnej zbroi i hełmie, siedzącego na gniadym koniu.

- Johnie, daj im znak!

Znów odezwał się róg. Rycerz na drugim końcu barierki - a raczej jego obraz - wyjął kopię z uchwytu i opuścił ją równolegle do końskiej szyi, celując tępym końcem przed siebie i nad

przegrodą. Mnrogar zrobił to samo. Jednak jego koń zaczął grzebać nogą i gwałtownie szarpać łbem w dół, na prawo i lewo.

- Wciąż to robi? - zapytał Jim.

- Oczywiście! - odparł z obrzydzeniem Brian. - Odyniec to odyniec. Cała magia świata nie powstrzyma go od próby rycia kłami ziemi, żeby wystraszyć wroga. Mówię ci, nie mam na to żadnego wpływu, Jamesie. Sądzę, że to nieszkodliwe. Może trochę niezwykle zachowanie jak na konia, ale Mnrogar ze swymi szerokimi barami też wygląda dziwnie, więc nikt nie będzie zaskoczony. Większym problemem jest wywołana takim zachowaniem dzika zwłoka. Jednak nie ma na to rady. Musisz tylko pamiętać, żeby powiedzieć heroldowi trolla, aby nalegał na trzy dźwięki rogu jako sygnał do ataku... no, dzik wreszcie skończył.

Koń przestał potrząsać łbem.

- Sygnał do ataku, Johnie! - zawołał Brian. - Już!

Gdy przebrzmiał trzeci dźwięk rogu, rycerz na drugim końcu placu popędził konia naprzód, a Mnrogar i jego wierzchowiec również ruszyli przed siebie, gwałtownie przyspieszając do galopu. Mnrogar trzymał teraz kopię w prawidłowej pozycji nad końskim łbem i skierowaną nad barierą, gdzie jej grot miał trafić nadjeżdżającego rycerza, gdy tylko ten znajdzie się w zasięgu broni.

Jim patrzył zafascynowany. Oglądał to już od kilku dni, jednak całe przedstawienie było trochę zbyt realistyczne, żeby przyjmować je spokojnie. Obie zakute w stal postacie pędziły na siebie. Spotkały się, a groty kopii trafiły w oba pancerze na moment przed tym, zanim konie rozbiegły się w przeciwną stronę, a postać drugiego rycerza wyleciała z siodła, podczas gdy jego kopia złamała się na napierśniku Mnrogarowej zbroi. Mnrogar pojechał dalej, utrzymując się w siodle mimo impetu uderzającej weń kopii. Dopiero dziesięć metrów dalej osadził swego rumaka. Nawet wtedy musiał ostro szarpać wodze, gdyż dziczą naturą wierzchowca sprawiała, że usiłował rozszarpać iluzoryczną drewnianą barierę swymi nie istniejącymi kłami. Jednak Mnrogar był silniejszy od niego. Okręcił konia, zatoczył łuk, oddalając się od barierki i pokłusował z powrotem w kierunku Briana i Jima.

- Zachowuje się tak, jak należy! - powiedział zadowolony Jim.

- Owszem - odparł ponuro Brian. - Tylko czy każdy pojedynek przebiegnie tak gładko? Krótko mówiąc, Jamesie, czy nauczyli się swojej lekcji raz na zawsze, czy wciąż jeszcze mogą coś sknocić?

- Nie wiem - rzekł Jim. - Pewnie nigdy nie będziemy tego wiedzieć. Po prostu musimy zaryzykować. Przecwicz ich jeszcze kilka razy i zobaczymy, czy nadal pójdzie im tak dobrze.

Tak też zrobili, Mnrogar i przemieniony odyniec spisywali się znakomicie.

- Naprawdę, nie widzę żadnych problemów - orzekł Jim. - Może uznamy, iż są gotowi, chyba że przychodzi ci do głowy jakiś specjalny manewr, nad którym chciałbyś z nimi pracować?

- No cóż - odparł Brian znacznie weselej niż do tej pory - zapewne masz rację, Jamesie. Może,

oczekując czegoś więcej, sami dopraszalibyśmy się kłopotów. Zgadza się z tobą. Dzisiaj do tej pory wszystko robili doskonale. Oczywiście, są pewne drób... - Urwał, spoglądając przez ramię Jima, stojącego w tym momencie tyłem do Mnrogara i odyńca-konia, którzy właśnie po kolejnym pojedynku wrócili na to samo miejsce, na którym Jim ujrzał ich, kiedy przyjechał tu rano. - Na przykład to.

Brian ruchem głowy wskazał na coś za plecami Jima, który szybko się odwrócił. Zobaczył, że odyńiec położył się na ziemi, ale tym razem całkowicie legł na boku. Mnrogar najwidoczniej zsiadł z niego w porę. Stał na szeroko rozstawionych nogach obok zwierzęcia. Teraz, kiedy nie siedział w siodle, wydawał się jeszcze większy.

Odyńiec najwidoczniej postanowił trochę się potarzać. Przetoczył się na grzbiet, wciskając siodło w śnieg i zamarznąłą ziemię pod nim.

- Przestań! - wrzasnął Jim, ruszając do imitacji konia. Brian złapał przyjaciela za ramię i przytrzymał.

- W porządku - rzekł. - Robi tak za każdym razem, gdy straci zainteresowanie bieganiem w szrankach i postanawia odpocząć. Jednak jakimś niewątpliwie magicznym sposobem, nie szkodzi to siodłu i uprzęży.

Jim uspokoił się. Oczywiście siodło było równie nierzeczywiste jak wszystkie inne niezwykle rzeczy wokół nich. Mnrogar zaczął zdejmować hełm i po chwili jego groźne trollowe oblicze spojrzęło na nich znad okrytych stałą ramion.

- Johnie! Theolufie! - warknął Brian. - Pomóżcie Mnrogarowi zdjąć zbroję.

Obaj giermkowie skoczyli wykonać rozkaz.

- Jest jednak jeszcze jedna sprawa, Jamesie - rzekł Brian. - Jedno będziesz musiał wyraźnie powiedzieć heroldowi, którego przydzielisz temu trollowi. Musi bardzo wyraźnie oświadczyć, iż Mnrogar nie odbierze nagrody przyznawanej zwycięzcy dnia. Musi powiedzieć, że on gardzi takimi drobiazgami i chce jedynie udowodnić wszystkim obecnym, iż nie zdołają wysadzić go z siodła.

Jim wytrzeszczył oczy.

- Brianie, przecież to zniweczy cały plan! - wykrztusił. Poczł się tak, jakby cały świat runął mu nagle na głowę. Czarny rycerz musi wygrać turniej i odebrać nagrodę. Jak inaczej Mnrogar miałby szansę powoli przejechać przed wszystkimi gośćmi na trybunie i wywęszyć ukrytego wśród nich trolla?

Chyba, pomyślał Jim, wyjaśniałem to już wcześniej Brianowi? A może nie?

Rozdział 30

Najwyraźniej, pomyślał Jim, nie zrobiłem tego.

Brian spoglądał na niego z poważnym, chłodnym wyrazem zwykle wesoło uśmiechniętej twarzy, z miną, jakiej Jim jeszcze nigdy u niego nie widział.

- Z pewnością, Jamesie - mówił - nie sądziłeś, iż przyłożę rękę do przedsięwzięcia, w wyniku którego troll, bezbożnie odziany w magiczną zbroję, posiadający magicznego rumaka i wyćwiczony w używaniu kopii, miałby wygrać nagrodę dnia, pokonując zacnych rycerzy, którzy zdobyli swe miecze i ostrogi, dowodząc własnej odwagi i umiejętności w walce z równymi sobie? Co innego w zabawach, w dobrej sprawie czy gwoli rozbawienia ogółu, lecz nie zawstydzając wszystkich prawdziwych, dzielnych rycerzy przez pokazanie im, że są gorsi od takiej poczwary, którą każdy natychmiast starłby z powierzchni ziemi i która, na świętego Antoniego, bez magicznej zbroi oraz magicznego konia czmychnęłaby jak zając przed konnym rycerzem z kopią w ręce!

- Oczywiście! Tak, wiem, o co ci chodzi - powiedział pospiesznie Jim. Rozpaczliwie szukał w myślach właściwej odpowiedzi. - Masz zupełną rację, Brianie. Przyznaję, że to moja wina, ponieważ nie przemyślałem czegoś, co powinienem. Oczywiście, masz rację. Mnrogar nie może zdobyć nagrody dnia. A jednocześnie, Brianie, on musi mieć okazję przejechać wzdłuż trybuny i wywachać przebranego trolla. Niech pomyślę.

Rozpaczliwie zastanawiał się nad tym. Brian czekał z poważną i zdecydowaną miną.

- Mam! - wykrzyknął Jim w nagłym przyływie inspiracji. - Oczywiście! Zwycięzeni rycerze nie okryliby się wstydem, gdyby stało się wiadomym, że przegrali jedynie dlatego, iż przeciwnika wspierały magiczne moce. Prawda?

Brian rozchmurzył się odrobinę.

- Jeśli dowiedzą się wszyscy obecni - rzekł. - Tylko po co ukrywać pod zbroją i tarczą jego prawdziwą tożsamość, jeśli zamierzasz później ujawnić, że to tylko magia?

- On musi pozostać w przebraniu wyłącznie do pewnego czasu - ochoczo wyjaśnił Jim - ponieważ w przeciwnym razie troll na trybunie może się domyślić, o co chodzi, i postanowić uciec. Kimkolwiek jest ten przebrany troll, zechce wynieść się w tej samej chwili, gdy wyczuje Mnrogara w jego czarnej zbroi. To prawda, trolle zdają się nie mieć tak dobrego węchu jak Aargh, ale jeśli wiatr będzie wiał od placu, troll na trybunach zwęszy zapach Mnrogara, gdy tylko ten się pojawi...

- Nie wiadomo, w jakim kierunku będzie wiał wiatr jutro rano - rzekł ponuro Brian. - Obawiam się, że to, na co liczysz, Jamesie, jest niemożliwe...

- Nie! - zaprzeczył Jim. - Jest możliwe. Właśnie wymyśliłem. Tuż przed wyjściem Mnrogara z namiotu czy jego pojawieniem się na scenie, jakkolwiek zdołamy go tam umieścić, mogę magicznym sposobem pozbawić wszystkich na trybunie węchu.

Brian wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Wszystkich, Jamesie? Dlaczego wszystkich? Dlaczego nie tylko przebranego trolla?

- Zrobiłbym tak, gdybym wiedział, kim on jest - odparł Jim. - Ponieważ jednak nie wiem, po



prostu pozbawię węchu wszystkich, kiedy Mnrogar będzie walczył z innymi rycerzami, do czasu, aż podejście do trybun. Troll, którego chcemy zdemaskować, może zauważyć, że stracił węch, gdyż ten jego zmysł jest bardziej czuły niż ludzki, jednak nie sądzę, by to go zaniepokoiło. Wszyscy pozostali, prawdziwi ludzie, zapewne nawet nie zauważą, że nie wyczuwają zapachów. A ty byś zauważył, Brianie, gdybyś nagle stracił węch?

- Prędzej czy później, tak - odparł powoli Brian - jednak możesz mieć rację. Nie zwrócą na to uwagi, szczególnie jeśli będą wzburzeni oglądanym turniejem.

- A gdyby nawet - rzekł Jim, dając się ponieść swojej wizji - to chyba z tego powodu nie wstaną nagle i nie opuszczą trybuny, prawda?

- Opuszczą? Podczas walki na kopie? - zdumiał się Brian. - Tylko dlatego, że stracili węch? Taka rzecz, jak nagła utrata węchu, może być uleczona lub nic - wedle bożej woli - po turnieju. Na pewno nikt nie wyjdzie, nawet gdyby to zauważyli.

- Tak też myślałem! - powiedział Jim.

- Jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzekł Brian, znów poważniejąc. - Jeśli Mnrogar powali wszystkich przeciwników, to z pewnością podejście po nagrodę, ponieważ o to ci chodziło. Tak więc pozostaje kwestia rycerzy pokonanych niegodnym sposobem. I na co się zda pozbawiać ich węchu?

- Och, jeśli chodzi o to - odparł Jim - to przypomnij sobie, o co cię przed chwilą pytałem. Gdyby było wiadomo, iż czarny rycerz był trollem w magicznej zbroi i na magicznym rumaku, który dzięki tym niegodnym przewagom zdołał pokonać zacnych rycerzy, zrzuceni przez niego z siodła nie okryliby się niesławą. Jak można by zarzucać coś rycerzowi, który przegrał, gdyż był bezsilny wobec magii i dlatego nie był w stanie wygrać? Zgadzasz się z tym, prawda?

- Racja - rzekł Brian, marszcząc brwi. - Lecz w jaki sposób wszyscy odkryją, że Mnrogar jest w rzeczywistości fałszywym rycerzem?

- To powinno być łatwe, Brianie. Słuchaj, Mnrogar zwycięża wszystkich, którzy stają przeciw niemu, a następnie podchodzi do trybuny jakby po nagrodę. Jednak zanim ją weźmie, każe mu zdjąć hełm i wszyscy zobaczą, że to tylko troll. Tak więc mógł zwyciężyć wyłącznie dzięki czarom, co nie pozwala wręczyć mu nagrody. Jakże inaczej szlachetni rycerze daliby się zrzucić z siodła przez stworzenie nie mające pojęcia o jeździe konnej czy władaniu kopią? Wszyscy zrozumieją to od razu.

Jim wstrzymał oddech, patrząc na przyjaciela i w myślach krzyżując palce, żeby Brian nie znalazł nagle innych obiekcji, co do sposobu rozwiązania tego problemu. Przez moment Brian jeszcze mocniej marszczył brwi. Spojrzał na Mnrogara, potem na usiany śladami nóg i końskich kopyt biały śnieg pod stopami. Potem popatrzył na Jima i na jego twarz wypląnął spokojny uśmiech.

- Na pewno będziesz mógł to zrobić, Jamesie? - zapytał. - Nie tylko zapobiegiesz temu, żeby któryś z obecnych coś wyczuł, ale sprawisz, że Mnrogar zdejmie hełm i wszyscy go zobaczą?

- Właśnie temu służy magia! - rzekł Jim, głęboko odetchnawszy. - Jednak przysięgam ci, że jeśli coś pójdzie nie tak, sam powiem wszystkim obecnym, Earlowi i każdemu z gości o magicznej przemianie odyńca i Mnrogara, jak również o przebranym trollu. Opowiem im wszystko, nic wspomnę tylko, że to ty trenowałeś Mnrogara i dzika.

- Ach tak? - powiedział Brian. - Tak. Tak, to byłoby miło z twojej strony, Jamesie.

- Nie będzie żadnej potrzeby wspominać o tym, nawet gdybym musiał im to wyjaśniać, a jestem pewien, że do tego nie dojdzie - dodał Jim. Po raz pierwszy od kilku dni miał irracjonalne wrażenie, że nazajutrz wszystko pójdzie jak należy. Przez chwilę męczyło go niejasne wspomnienie, że ilekroć pojawiało się takie przeczucie, coś szło niezgodnie z planem. Jednak odczuwał tak przemożną ulgę, że wystarczyło jej jeszcze, aby promiennie uśmiechnąć się do Briana.

- Ponadto, Brianie - rzekł - wzburzeni wykryciem przez Mnrogara ukrytego wśród nich trolla powinni zapomnieć o innych sprawach.

- Z pewnością - odparł Brian. - Tak to wygląda. Nie wspominając już o tym, że dziś rano troll i odyńca spisywali się całkiem chwacko. Jeśli ty jesteś już zadowolony z tego, jak poczynają sobie Mnrogar, to sądzę, że i ja mogę mu zaufać. W spokoju możemy oczekiwać jutrzejszego dnia.

Znów był dawnym, miłym Brianem. Doskonały moment na zakończenie rozmowy, pomyślał Jim. Uderzył dłonią w czoło.

- Wielki Boże, Brianie! - wykrzyknął. - Właśnie sobie coś przypomniałem. Miałem się spotkać z Angie w naszej kwaterze. Może już na mnie czeka. Czy mogę pozostawić wszystko w twoich rękach? Wybaczysz mi, jeśli tak nagle cię opuszczę?

- Jasne! - odparł wesoło Brian. - Nie ma sprawy. Ruszaj!

Jim poszedł.

Kiedy wkroczył do pierwszego z ich dwóch pokoi, okazało się, że Angie naprawdę na niego czekała.

- Ha! - powiedziała Angie. - Jesteś. To dobrze. Lepiej od razu zacznij przebierać się do obiadu. Zbyt wiele razy spóźnialiśmy się. To przedostatni obiad i chociaż raz bądźmy wczesnymi gośćmi.

Jim miał ochotę wypomnieć jej, że właśnie posłużyła się mediowizmem, którego kazała mu nie używać, ale powstrzymał się. Milczenie jest złotem, powiedział sobie. Jednak ta historia z obiadem to całkiem coś innego.

- Angie - powiedział, odpinając pas z mieczem i zaczynając ściągać dodatkowe ubranie, które założył dla ochrony przed zimnem. - Dziś i jutro mam roboty na trzy dni. Mnóstwo problemów. ...

- Wystarczy, nie musisz mówić nic więcej - przerwała mu Angie. - Reszta gości znów zaczyna mówić o tym, jak rzadko się pokazujesz, i zgadywać, czym zajmujesz się wtedy, kiedy cię nie ma.

Aha! - pomyślał Jim; niewątpliwie niektórzy z nich dojdą do tego samego błędnego wniosku, co Brian, że nawiązał bliższą znajomość z jedną spośród goszczących u earla pań. Angie powinna wiedzieć, iż to bzdura, ale takie plotki z pewnością nie były dla niej przyjemne.

- Wielu z nich znika od czasu do czasu - odrzekł jej. - Znikają albo tylko mówią o tym.

- Ty do nich nie należysz - stwierdziła Angie i Jim postanowił skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. - Zauważ, że jestem już gotowa.

On nie był.

- Twoja szafranowa suknia? Ta, którą miałaś na sobie podczas obiadu w Boże Narodzenie? Myślałem, że zachowasz ją na jutrzejszy uroczysty posiłek.

- Większość z nich zabawi dzisiaj do późna albo prawie całą noc - powiedziała Angie - więc raczej nie będą w stanie zwrócić uwagi na to, jak ludzie są ubrani podczas ostatniego obiadu. Prawdę mówiąc, niektórzy odjeżdżają zaraz potem, ponieważ muszą wracać do domu w takich czy innych sprawach. No, to nie ma nic do rzeczy. Problem w tym, że zauważyli twoje częste nieobecności i zaczynają o nich mówić. To może być przynajmniej częściowo robota Agathy Falon. W każdym razie zadają mi pytania, a ja mogę jedynie powiedzieć, że lepiej, aby zdemaskowanie przez Mnrogara ukrytego trolla wyjaśniło całą sytuację. Inaczej przez cały rok wszyscy w okolicy będą o nas plotkować. Twoje rzeczy są ułożone na sienniku, na podłodze.

- Widzę - powiedział Jim i zaczął się ubierać.

- A właściwie to co musisz zrobić dzisiaj i jutro? - spytała Angie, ostrożnie przysiadając na jednym z krzesel, tak by nie pognieść sukni i obserwować ubierającego się Jima. - I co się działo dziś rano? Miałaś zobaczyć, jak Brianowi idzie z Mnrogarem i tym odyńco-koniem, prawda?

- Zobaczyłem - odparł Jim. - Doskonale spisywali się w czasie ćwiczeń. Jednak Brian o mało nie położył sprawy, przypominając mi, że muszę zadbać o to, aby żaden z rycerzy potykających się z Mnrogarem nie stracił reputacji, a ewentualne zwycięstwo trolla zostało uznane za skutki działania magii, a więc za niesportowe. Jakoś to z nim załatwiłem. Herold ma oznajmić, że czarnego rycerza nie interesuje jakakolwiek nagroda. Po prostu chce udowodnić, iż może wysadzić z siodła każdego, kto stanie z nim w szranki.

- No tak, herold - powiedziała Angie. - Znalazłeś kogoś na jego miejsce?

- Jeszcze nie - rzekł Jim. - Zamierzam wrócić do Malencontri i sprawdzić, czy uda mi się znaleźć kogoś, kto mógłby chociaż siedzieć na koniu i powtarzać to, co mu każę - magicznie czy nie. Myślałem o May Heather. Za pomocą magii mógłbym zmienić ją w urodziwą pannę, no wiesz, żeby zrównoważyć demoniczny wygląd Mnrogara i jego konia, jednak nie wierzę, by dokładnie wykonała moje rozkazy.

- Tak - potwierdziła Angie. - Jak na jedenastoletnią dziewczynkę i te czasy jest zbyt niezależna.

Oboje zamilkli, myśląc o tym. May Heather była najmłodsza z podającej do stołu służby, ale

nie spośród wszystkich pracujących w kuchni. Jeden kuchcik był od niej dokładnie dwa dni młodszy, lecz trochę wyższy, a więc niezbyt duży, gdyż May Heather nie należała do rośliwych dziewcząt. Personel kuchenny oczywiście zwykle przebywał w drewnianym budynku na dziedzińcu, poza właściwym zamkiem. Służba wносиła potrawy na stół z pomieszczenia znajdującego się obok wielkiej sieni, po przeniesieniu ich tam z kuchni. Te dwa pomieszczenia były niezależne, jednak trwał między nimi nieustanny ruch, tam i z powrotem krążyły talerze z potrawami i resztkami jedzenia, a między May Heather a tym chłopcem, którego imienia Jim nie mógł sobie teraz przypomnieć, trwała nieustanna rywalizacja. Narastała, aż zakończyła się zacieklą bitwą na dziedzińcu na oczach innych członków służby, którzy średniowiecznym zwyczajem raczej zagrzewali walczących, niż próbowali ich rozdzielić. May Heather i kuchcik walczyli do upadłego i dziewczynkę uznano za zwyciężczynię. Od tej pory dzieci były bardzo dobrymi przyjaciółmi, lecz zgodnie przyjęto, że May Heather stoi w hierarchii wyżej od kuchcika.

- Nie, tylko nie May - powiedziała Angie i oboje westchnęli.

May Heather będzie nieocenioną pomocą, jeśli kiedyś dojrzeje na tyle, aby można jej powierzyć wykonanie ważnych zadań. Wtedy, w tym niebezpiecznym świecie, stanie się żeńskim odpowiednikiem sir Briana.

- Jednak być może - powiedziała Angie, wtórując myślom męża - poślubi kogoś i odejdzie. Prawdę mówiąc, to raczej pewne.

- Może poślubić kogoś z załogi zamku albo z należących do nas ziem - przypomniał Jim.

- No właśnie - przytaknęła Angie. - Dlaczego nie usiądziesz przy zakładaniu spodni?

- Ponieważ ćwiczę zachowywanie równowagi - odparł Jim. - Ilu znasz mężczyzn w moim wieku, którzy potrafią stanąć na jednej nodze, a jednocześnie wciągnąć coś na drugą?

- Jak myślisz, ilu ubierających się mężczyzn widziałam, od kiedy znaleźliśmy się w tych czasach? - spytała Angie. - Och, Jim, to mi o czymś przypomina. Potrzebuję jednego ze zbrojnych jako statystę, żeby stał i udawał Józefa. Dziś wieczorem chcę w tajemnicy przeprowadzić próbę generalną. Enna pomoże mi, ale potrzebuję muła i osiołka, a ponadto mógłbyś wyczarować ściany stajenki? Zakładam, że już wybrałeś miejsce w lesie, gdzie możemy zrobić próbę przedstawienia. Nie zapomnij, że złobek ma być ogrzany. Możesz zrobić to za pomocą magii, prawda?

Jim zupełnie stracił równowagę. Na szczęście w pobliżu stało krzesło, na które udało mu się trafić. Wytrzeszczył oczy na żonę.

- A kiedy mam to zrobić, przy tych wszystkich sprawach, jakie muszę załatwić? - zapytał. - Ogrzać żłobek? Dlaczego?

- Ponieważ będzie w nim mały Robert oczywiście - odparła Angie. - To będzie najbardziej efektywna, kulminacyjna część przedstawienia. Kiedy się skończy, zaprosimy earla i kilku najważniejszych gości, żeby zaszli do stajenki. Wszyscy zobaczą żłobek, a w nim będzie żywe dziecko. Jednak Robert musi mieć ciepło i być bezpieczny, tak samo jak teraz w pokoju. Nie powiesz mi, że będziesz miał z tym jakieś problemy?

- Jakież problemy? Nawet nie wiem, czy uda mi się wyczarować stajenkę. Czy ktoś inny nie może przyprrowadzić osiołka i muła? Pytałaś Theolufa?

- Oczywiście - odparła Angie - ale powiedział, że ktoś twojej rangi powinien uzyskać pozwolenie od earla, a wtedy zwierzęta przyprrowadzi człowiek z jego załogi. Pomyślałam, że mógłbyś przenieść je tu z naszego zamku.

- Hmm... Angie - rzekł z rozpaczą Jim - może i mam na każde skinienie palca całą magiczną energię, jaka byłaby potrzebna, jednak to wcale nie oznacza, że wiem, jak się nią posłużyć. Nigdy nie używałem jej do ogrzania czegoś - tworzenia temperatury pokojowej na dworze. A przenosiłem z miejsca na miejsce tylko siebie. Jak mam tu sprowadzić osła i muła z zamku odległego o czterdzieści czy więcej kilometrów, skoro nie wiem, o które ci chodzi ani gdzie teraz dokładnie są, w naszym zamku czy na naszej ziemi?

Angie, która przed chwilą wstała z krzesła, teraz znowu usiadła i spojrzała na małżonka.

- Jim...

- Nie, zaczekaj chwilę - powiedział Jim, widząc, że jest bardzo zła. - Nie wyjaśniłem ci tego od razu, więc to częściowo moja wina, ale mogłaś poprosić o to wcześniej.

- Najwyraźniej tak - mruknęła.

- No cóż, to jeszcze nie koniec świata - rzekł, - Najpierw porozmawiam z Theolufem.

Wyobraził sobie Theolufa stojącego tu przed nim, przybyłego z miejsca, gdzie obecnie przebywał. Ta nowa, wizualizacyjna metoda uprawiania magii jest o wiele szybsza i łatwiejsza, powiedział do siebie z niejaką satysfakcją i natychmiast przypomniał sobie, że przecież znajduje się w zamku, gdzie jego magia nie działa. Westchnął i podszedł do drzwi, aby wysłać strażnika po giermka.

Tymczasem Theoluf już stał pod drzwiami, przybywszy dosłownie przed chwilą. Jimowi błysnęła w głowie myśl, czy to nie jakiś instykt.

- Theolufie - powiedział i odchrząknął - hmm... wejdź do środka.

- Tak, milordzie.

- Teraz powiedz mi - rzekł Jim, kiedy znaleźli się w komnacie razem z Angie - jak wygląda sprawa zdobycia osła i muła do sztuki lady Angeli. Musi być jakiś sposób, żeby zdobyć te zwierzęta na miejscu.

- Och, można je tu znaleźć bez problemu, milordzie - rzekł

Theoluf. - Rozmawiałem z majordomusem earla i dowiedziałem się, że mają tu zarówno osła, jak i muła, które jest w stanie przyprowadzić tutaj w ciągu godziny, jeśli otrzyma od earla takie polecenie.

- No cóż - oklapł Jim - to zamyka sprawę.

- Och nie, milordzie! - powiedział Theoluf. - Dwa srebrne szylingi powinny wszystko załatwić, chociaż może będziesz musiał dać mu trzy.

- Och? Och! - rzekł Jim, uświadamiając sobie, że Theoluf mówi o najczęstszym sposobie nieoficjalnego załatwiania spraw w tym stuleciu. - Jesteś pewien, że przyprowadzi je za trzy szylingi?

- Tak, milordzie.

- Czy wiesz, gdzie on jest teraz? - spytał Jim, grzebiąc w sakiewce i wyciągając garść monet, wśród których znalazł trzy srebrne szylingi. - Oczywiście najpierw zaproponuj mu dwa. Wiesz, gdzie go znaleźć?

- Och tak, milordzie - odparł Theoluf - jest tu, na dole. I oczywiście najpierw zaproponuję mu szylinga, a potem podniosę ofertę. Niewątpliwie każe przyprowadzić zwierzęta do stajni, skąd je zabiorę. Dokąd mam je zaprowadzić, milordzie?

Jim spojrzał na Angie.

- Czy masz na myśli jakieś szczególne miejsce? - zapytał. - Rzecz jasna, musi być blisko zamku, żeby goście łatwo mogli tam dotrzeć. A ponadto musi to być miejsce, które oboje znamy, jeśli mam... ee... poradzić sobie ze wszystkim.

- A co z tą polanką na skraju lasu, gdzie earl rozmawiał z Mnrogarem? - zapytała Angie. - Musiałbyś jakoś ją osłonić, żeby ludzie z zamku nie widzieli próby. Jednak łatwo się tam dostać. Gdyby nie to, że nie chcę, aby wcześniej zorientowali się, co zamierzam wystawić, wybrałabym plac, na którym ma się odbyć turniej. Widzowie mogliby zasiąść na trybunach. Jednak problemem byłaby ta przegroda na środku. Nie sądzę, abyś zdołał ją usunąć... no wiesz, tak jak robisz inne rzeczy?

- Nie mógłbym - odparł Jim. - I tak będę miał problemy ze sprawieniem, żeby nikt nie próbował wejść na teren, gdzie earl spierał się z Mnrogarem. Carolinus użył jakiejś sztuczki, żeby ludzie trzymali się z daleka; ale ja jej nie znam. Carolinusie?

Spojrzał błagalnie i wyczekująco w przestrzeń, lecz mag się nie zjawił.

- Celowo mnie unika - powiedział Jim do Angie. - Nie, to musi być to miejsce spotkania earla z Mnrogarem. Zobaczę, co uda mi się zdziałać z rozstawianiem jakichś znaków ostrzegawczych, na widok których podchodzącym bliżej ludziom robi się niedobrze. Ponadto wzniosę szereg drzew, które was zasłonią. Mogę to zrobić, ponieważ dokładnie pamiętam, jak to wyglądało z punktu widzenia Mnrogara. Carolinus pokazał mi tę sztukę. Widzisz, Angie, teraz wszystko to, czego obraz potrafię sobie przywołać, mogę stworzyć dzięki magii. Jednak jeśli nie widzę obrazu, jestem bezradny.

- Aha - powiedziała Angie.

Jim zamilkł na chwilę i przymknął oczy, tworząc w myślach obraz przestrzeni na skraju lasu, ze stołem, przy którym siedział z Mnrogarem i earlem. Przez moment wysiłki nie dawały rezultatu, a potem nagle ujrzał polankę jakby z lotu ptaka, ostro i wyraźnie.

- Chyba widzę ją dostatecznie wyraźnie - rzekł. - Oczywiście, tutaj nie mogę użyć magii, ale jeśli wyjdę z zamku i zrobię to jak należy, ty czy ktokolwiek z tobą albo sam Theoluf, będziecie mogli pójść na tę polankę na skraju lasu, znikając z oczu zamkowym obserwatorom. Ci zobaczą tylko równą ścianę lasu.

- O ile dobrze pamiętam tę polankę - powiedziała Angie - będzie tam dość miejsca, żeby pomieścić najważniejszych gości i pozostanie jeszcze dobre piętnaście metrów do skraju lasu - tam ustawimy scenę.

Przez kilka minut Jim i Angie dyskutowali o scenografii przedstawienia. Jim chciał mieć przed oczami jej dokładny widok, kiedy wyjdzie z zamku i stworzy magiczną scenerię. Musiał porównać obraz należącej do jego wujka prawdziwej obory z informacjami uzyskanymi od Theolufa, a ponadto zastąpić dwie krowy osłem i mułem. Na środku była wielka, otwarta zagroda z przymocowanym do ściany żłobem dla jej mieszkańca. Dokonanie wszystkich niezbędnych zmian wymagało trochę wysiłku. Jednak w końcu uzyskał dokładny, wyraźny obraz łącznie ze źdźbłami słomy na drewnianej podłodze z desek.

- Nie zapomnij o ogrzewaniu - przypomniała Angie.

- Ogrzewanie... - powtórzył Jim.

No cóż, to nie takie trudne. Przypomniał sobie, że w prawdziwej obórcie było ciepło od zamkniętych w niej dużych zwierząt.

Oczywiście, zalatywało tam krowami, ale niewielkim wysiłkiem zdołał pozbyć się smrodu i zachować temperaturę. Obraz gwałtownie nabrał ostrości, tak samo jak poprzednio widok polanki, i Jim ponownie miał wrażenie, że całą niezbędną do jego stworzenia magię ma w głowie, gotową do użycia. Promieniał.

- Już mam drzewa, stajenkę i wszystko. Dobrze, że dziś wieczór jest próba generalna - powiedział do Angie. - Będziesz mogła sprawdzić, czy nie chcesz jakichś ostatnich poprawek. Mnie tam nie będzie. Jak powiedziałem, po obiedzie muszę udać się do Malencontrii a potem pewnie do

smoków z Cliffside, żeby zobaczyć, czy zdołam je namówić na przybycie w odpowiednie miejsce i zrobienie tego, co powiem, tak by nie sprowokować ataku ze strony rycerzy... Angie!

- Co? O co chodzi? - pytała Angie. - Aż podskoczyłam!

- Właśnie wpadłem na wspaniały pomysł!

Opanował się, nagle uświadamiając sobie, że Theoluf nadal jest z nimi i cierpliwie czeka.

- Możesz iść - powiedział mu. - A jeśli wspomnisz o tym komuś...

W ostatniej chwili powstrzymał słowa „obedrę cię żywcem ze skóry”. Taka przesadna groźba byłaby właściwa - a nawet oczekiwana, gdyby Theoluf nadal był zbrojnym. Jednak jako giermek Jima powinien wykazywać się taktem i odpowiedzialnością.

- Nie obawiaj się, milordzie - rzekł Theoluf. - Nikt się nie dowie.

Wyszedł.

- Czym byłeś tak podekscytowany przed chwilą? - zapytała Angie.

- Właśnie wpadłem na wspaniały pomysł! - powtórzył Jim. - W ten sposób za jednym zamachem spełnię zachciankę smoków, zapewnię im bezpieczeństwo i załatwię jeszcze kilka innych spraw. Angie, czy pamiętasz tę historię o smokach, których obawiał się święty Józef, dopóki nie uspokoił go Chrystus...

- Oczywiście.

- No cóż - mówił Jim - kilka smoków mogłoby wziąć udział w twoich jasełkach. Ściśle mówiąc, podczas rzezi niewiniątek Chrystus miał chyba ze dwa latka, jednak nikt się tym nie przejmie. Głos dziecięcia bożego może wydobywać się ze żłóbka.

Widzowie nie będą widzieć dziecka. Dlatego tak się zdziwiłem, że chcesz mieć tam Roberta zamiast jakiejś lalki czy czegoś takiego. Zamierzałem sprawić, żeby głos dochodził ze żłóbka...

Zamilkł w przyływie triumfu wywołanego pomysłem wykorzystania smoków w przedstawieniu, zapominając o tym, co zamierzał dalej powiedzieć. Po raz drugi tego dnia czuł się panem wydarzeń, a nie zdaną na ich łaskę ofiarą.

- Teraz już wiem, co powiem po południu smokom z Cliffside - oznajmił Angie. - Nie mogłoby złożyć się lepiej, nawet gdybym od początku zaplanował ich przybycie. Wszystko układa się jak należy.

- Jasne - przytaknęła Angie. - Mówiłam ci, że kiedy przyjdzie co do czego, zawsze uporasz się z wszelkimi kłopotami.

Odruchowo otworzył usta, żeby zaprzeczyć, gdy nagle pojął, co miała na myśli. Zobaczył, że



uśmiecha się do niego czule. Odpowiedział uśmiechem. Kochał ją.

## Rozdział 31

Jim pojawił się przy głównym stole w Malencontri tuż przed Gwynneth Plyseth - ochmistrzynią, która uważnie oglądała blat, szukając drzazg mogących pozaciągać jej najlepsze obrusy, które po powrocie Jima i Angie będą w codziennym użyciu. Wrzasnęła na widok Jima, jednak był to czysto odruchowy okrzyk, ponieważ rozpoznała go od razu. Załoga Malencontri prawie przywykła do tego, że ich pan mag pojawiał się tak nagle i niespodziewanie.

Z początku trochę narzekali, podejrzewając, iż może Jim usiłuje przyłapać ich na czymś, czego nie powinni robić lub wymigiwaniu się od czegoś, co powinno być zrobione. Jednak z czasem przekonali się, że Jim nie ma takich zamiarów, i wszyscy byli dumni z tych jego niespodziewanych powrotów. Niewiele zamków mogło poszczycić się właścicielem, który potrafi nagle pojawić się tuż przed kimś ze służby o dowolnej porze dnia i nocy. Krótko mówiąc, jeśli pan - mag był przedmiotem ich dumy, to w jeszcze większym stopniu był nim mag czynny zawodowo. Każdy, kto miał szczęście ujrzeć pojawiającego się nieoczekiwanie Jima, do końca życia miał co opowiadać. Jim zauważył, że Gwynneth dygnęła przed nim. Ukłon był dość symboliczny, gdyż ani wiek, ani tusza nie pozwalały ochmistrzyni na energiczniejsze powitanie.

- Czy mój pan życzy sobie coś zjeść i wypić? - zapytała.

- Nie, nie - odparł Jim.

Przez ostatnie jedenaście dni stał się mistrzem w sztuce markowania jedzenia podczas wystawnych świątecznych obiadów. Mimo to, w tej chwili miał wrażenie, że co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny niczego nie będzie w stanie zjeść ani wypić.

Spojrzał na Gwynneth. Była mądrą, doświadczoną kobietą, doskonale znającą wszystkich w zamku Malencontri oraz w najbliższej okolicy. Prawdopodobnie nie zaszkodzi zapytać ją o zdanie.

- Gwynneth - rzekł - potrzebuję kogoś z zamku lub okolicy, kto mógłby być dla mnie heroldem na turnieju, który odbędzie się jutro w zamku earla. Jak myślisz, kto nadawałby się do tego najlepiej?

- Herold, milordzie? - powtórzyła Gwynneth, marszcząc brwi. - Niewiele wiem o turniejach, heroldach i tym podobnych sprawach. Zdaje się, że on powinien dać w róg. Człowiekiem, który najlepiej dmie w róg, jest w Malencontri Tom Huntsman.

Jima trochę skrzywiło, chociaż nie dał tego po sobie poznać. Wiedział, że cała służba podzielała przekonanie, iż jedną z wad Jima jest to, że nie oddaje się polowaniu tak, jak przystoi osobie o jego randze i majątku. Prawdę mówiąc, wyczuwał, że współczuli Tomowi Huntsmanowi, który był urażony i nieszczęśliwy z powodu braku zajęcia dla zamkowej sfory psów. Łowczy podejrzewał, że ten fakt dowodnie świadczy o przekonaniu Jima, iż on i jego stado nie spełniają jakichś wymogów.

Jim przysunął sobie wyściełane krzesło z wysokim oparciem i usiadł przy stole, opierając brodę na zaciśniętej dłoni. Rozważył kandydaturę Toma Huntsmana. Ten człowiek był godny

zaufania, ale wcale nie przypominał szczupłego herolda w krótkim płaszczyku, jakiego wyobraził sobie Jim. Tom Huntsman był niskim, szczupłym i trzymającym się prosto mężczyzną po czterdziestce, w doskonałej formie utrzymywanej dzięki gonitwom z psami. Był zawsze ogolony, siwowłosy i zazwyczaj dość mocno załatywał psiarnią.

Jedyne, co za nim przemawiało, to bardzo dźwięczny, donośny głos. Ponadto, pomyślał Jim, jeśli zastanowić się nad tym, to istotnie potrafił zadać w myśliwski róg, zwykle będący zwyczajnym krowim rogiem zaopatrzonym w ustnik. Skoro potrafił grać na tym, zapewne umiałby także zadać w trąbę herolda. Oczywiście Carolinus już wyczarował jakąś trąbkę. Może Jim mógłby magicznie zmienić jej dźwięk.

Tom Huntsman wcale nie był takim złym kandydatem. Szkoda, pomyślał Jim, że przez nas znalazł się w sytuacji stawiającej go w niekorzystnym świetle. Po prostu ani Jim, ani Angie nie lubili polować. Wychowali się w dwudziestym wieku, dorastali wśród domowych ulubieńców i zabawnych zwierzątek z kreskówek, w powszechnym przeświadczeniu, że należy być dobrym dla wszystkich stworzeń, karmić ptaki w zimie i pomagać każdemu rannemu zwierzęciu. Średniowieczne polowania, gonitwa na złamanie karku za ofiarą, zaciekle ujadanie psów, które jeszcze wścieklej tarosiły dościgniętą i upolowaną zwierzynę zanim odpędzili je łowczy, wszystko to kłóciło się z ich przekonaniem. Z drugiej strony Jim bardzo dobrze wiedział, że z czternastowiecznego punktu widzenia takie obiekcje były nonsensowne. Mięso upolowanych i zabitych zwierząt stanowiło potrzebny dodatek protein w ubogiej, zimowej diecie, jeśli nie dla pana i pani zamku, to przynajmniej dla ich sług, a nawet mieszkańców podzamcza. Zwierzyna, od zajęcy po dziki, a nawet niedźwiedzie - chociaż te w południowej Anglii w tym czasie już prawie całkiem wybito - była nie tylko pożądanym, ale wręcz niezbędnym pokarmem. Mimo wszystko i on, i Angie nie mogli oprzeć się wrażeniu, że takie łowy i zabijanie za bardzo przypominają rzymskie igrzyska rozgrywane na cyrkowej arenie i... W tym momencie poczuł, że ktoś trąca go w łokieć.

Podniósł rękę i głowę, po czym odkrył, że na stole położono obrus i postawiono przed nim karafki z winem oraz wodą, jak również kilka ciasteczek.

- Na wypadek, gdyby Wasza Lordowska Mość jednak życzył sobie coś zjeść - szepnęła mu do ucha Gwynneth.

Jim zdołał stłumić głębokie westchnienie. To na nic. Musiał siedzieć przy zastawionym stole choćby po to, żeby nie martwić służby. Jednak dzięki temu przestał rozmyślać o polowaniu i wrócił myślami do ważniejszych problemów. Przyszło mu do głowy, że chociaż sam Tom Huntsman mógł nie być idealnym kandydatem na herolda, to - zajmując się polowaniami, a więc będąc w stałym kontakcie ze szlachetnie urodzonymi - mógł więcej wiedzieć o heroldach niż ktokolwiek inny na zamku. Ponadto w tej chwili Jim nie miał nikogo innego.

- Przyślij go do mnie - powiedział Jim do Gwynneth.

- Tak, milordzie.

Jim zaczekał. Nigdy nie musiał długo czekać na nikogo, kto służył w zamku, ponieważ zazwyczaj przychodzili natychmiast i to biegiem. Przyłapał się na tym, że odruchowo nalał sobie

trochę wina do kubka. Odstawił karafkę i dopełnił kubek wodą. W tej proporcji wino prawie nie miało smaku, ale tym lepiej. W zadumie pociągnął łyk. Myślami natychmiast wrócił do tego, co będzie musiał powiedzieć smokom z Cliffside. Jedną z rzeczy, które należy dokładnie wyjaśnić smokom, to gdzie mają czekać, zanim nadejdzie pora, aby weszły na scenę - przynajmniej niektóre z nich, poprawił się w myślach. Wszystkich smoków z Cliffside było prawie sto. Istny tłum. Chyba jedynym wyjściem byłby występ czterech czy pięciu jako reprezentantów całej gromady. Ponadto trzeba by kazać im pozostać między drzewami i nie ujawniać swojej słabości. Wtedy łatwiej byłoby uspokoić nerwowych i powstrzymać zapalczywych gości. Właściwie najlepiej, gdyby oznajmił zgromadzonym gościom, że smoki będą tam, ale odgródzone magicznym murem, który nie pozwoli rycerzom dopaść smoków ani smokom... Po namyśle uznał, iż lepiej byłoby powiedzieć tylko, że „smoki nie mogą zaatakować”.

- Milordzie?

Otrząsnął się z zadumy i zobaczył stojącego przed nim Toma Huntsmana, miętoszącego czapkę w rękach.

- Ach, Tom! - powitał go Jim najserdeczniej jak potrafił. - Obawiam się, że nie poświęcałem psiarni tyle uwagi, ile powinienem, będąc wciąż w rozjazdach i mając tyle na głowie, kiedy jestem w zamku. Wierzę, że psy mają się dobrze?

- Dobrze, milordzie - rzekł Tom.

- Ile ich teraz mamy?

- Dwadzieścia dziewięć, milordzie - odparł Tom. - Harebell i Gripper zdechły zeszłej zimy. Jednak zaledwie tydzień temu Styax, jedna z młodszych suk, dała nam dobry miot dziewięciu szczeniaków, z których pięć nada się do sfory, jeśli przeżyją zimę,

- Świetnie! - stwierdził Jim. - Doskonale, I wszystkie są zdrowe i w ogóle?

- Muszą nabrać wprawy, milordzie.

W głosie Toma nie było ani śladu przygany. Jim dobrze wiedział, że Tom codziennie szkoli psy, chodząc z nimi na długie spacery i biegając po lesie. Jednak nie polował. Powstrzymywał je, jeśli ruszyły jakimkolwiek tropem. Prawdziwe łowy z psami były zajęciem dla ludzi z wyższej sfery, nie zaś dla zamkowego łowczego, nawet jeśli znał się na tym lepiej niż ktokolwiek z nich. Tak więc w jego głosie nie było słyhać skargi, chociaż cała jego postawa wyrażała łagodną krytykę.

- No tak - rzekł Jim. - Muszę jak najszybciej znaleźć czas, żeby zapolować. Tak, jak najszybciej. Jednak nie dlatego chciałem się z tobą widzieć. Lady Angela przygotowuje przedstawienie, które odbędzie się podczas naszej wizyty w zamku earla.

- Ach tak, milordzie?

- Właśnie. I potrzebny jest ktoś, kto odegrałby rolę herolda. Pomyślałem, że możesz znać kogoś, kto mógłby ją zagrać. Musi umieć utrzymać się w siodle i dąć w trąbę.

- Nie ma nikogo w Malencontri ani w najbliższej okolicy, kto umiałby grać na trąbce, milordzie.

- Och? - zdziwił się Jim. - Sądziłem, że to prawie tak samo, jak dąć w róg myśliwski.

- Wcale nie, milordzie - rzekł Tom. - Końcówka rogu wydaje dźwięk. Natomiast dźwięki trąbki powstają w zależności od tego, jak ułożone są wargi trębacza na jej otwartym ustniku.

- Och - powtórzył Jim.

Nagle uświadomił sobie, że chyba trochę nadużywa tego wykrzyknika. W każdym razie, jeśli łowczy miał rację, Jim będzie musiał użyć magii, żeby trąbka grała sama. Jednak nadal potrzebował kogoś, kto siądzie w siodle i będzie w nią dmuchał. Na wszelki wypadek już zaplanował, że powie wszystko za herolda. Potrzebne mu tylko odpowiednio odziane ciało na koniu, a nawet strój herolda - krótki płaszcz - można będzie wyczarować.

- No cóż, nieważne - powiedział. - Może jednak znasz kogoś w zamku lub w okolicy, kto jest dość młody, powiedzmy w wieku piętnastu lub dwudziestu lat, i umie utrzymać się w siodle? Kogoś, kto mógłby wyglądać na herolda, gdyby go odpowiednio ubrać i wsadzić na konia?

- Hmm, Ned Dunster, milordzie - odparł Tom. - Jest bystry i posłuszny. Umie wykonywać rozkazy. Wydaje mi się, że ma teraz siedemnaście lat, ale może być rok czy dwa młodszy. Czy mam go przysłać, milordzie?

- Jeśli możesz, Tomie - rzekł Jim. - I... ach tak, cieszę się z tego nowego miotu. Jeśli kiedyś znajdę trochę czasu, powinniśmy mieć bardzo interesujące polowania.

Obiecując to, czuł się jak najbezczelniejszy z nieuczciwych polityków. Jednak ludzie należący do klasy Toma przywykli, że szlachetnie urodzeni obiecują im różne rzeczy, a potem kompletnie o nich zapominają, a Jim musiał znaleźć kogoś, kto odegrałby rolę herolda, kiedy przedstawi Mnrogara tłumowi obserwującemu turniej. Poczul się jeszcze bardziej winny, gdy ujrzał w oczach Toma słaby promyk nadziei.

- Przyślę go niezwłocznie, milordzie - obiecał Tom i oddalił się biegiem.

Wrócił po kilku minutach z Nedom Dunsterem, jasnookim osobnikiem, trochę tylko wyższym od siebie i najwyraźniej właśnie wyrastającym z młodzieńca na mężczyznę. Mocno zbudowany, o prostych, jasnobrązowych włosach i oczach tej samej barwy Ned miał kwadratowy podbródek i szczerą twarz, jedną z najweselszych, jakie Jim kiedykolwiek widział. Radość tworzyła wokół niego aurę. I nie była to lekko złośliwa wesołość, jaką Jim przywykł znajdować u wielu ludzi średniowiecza, lecz rodzaj nieustannego zadziwienia i szczęścia, a nawet zdumienia wszystkim wokół. Wydawało się, że po prawie dwóch dekadach życia, wciąż znajdował je pełne cudownych i fascynujących niespodzianek. Razem z Tomem Huntsmanem stanęli przed stołem.

- Milordzie - rzekł Tom - to ten psiarczyk, o którym mówiłem, Ned Dunster.

- Milordzie - powiedział Ned, zdejmując wymiętoszone nakrycie głowy, kiedyś może przypominające beret, ale teraz będące bezkształtnym kawałkiem szmaty sprawiającym wrażenie, jakby miało spaść przy pierwszym skinieniu czy ukłonie - na przykład teraz, kiedy Ned niezgrabnie wykonał drugą z tych czynności.

- Nedzie - powiedział Jim. - Tom Huntsman mówi mi, że umiesz jeździć konno.

- Tak, milordzie - odparł Ned. - Nauczyłem się jeździć na koniach młynarza, kiedy pracowałem u niego jako mały chłopiec, zanim jeszcze znalazłem się na zamku.

- To dobrze - powiedział Jim. - Ponadto chcę, abyś udawał, że dmiesz w róg herolda.

- Róg herolda? - powtórzył Ned, wytrzeszczając oczy. - Błagam o wybaczenie, milordzie, ale co to takiego?

- To jak róg myśliwski, tępaku - warknął Tom - tylko zrobiony z żelaza lub mosiądzu, znacznie większy i gra się na nim trochę inaczej,

- Właśnie tak, Nedzie - powiedział Jim. - Ponieważ gra się na nim inaczej, nie każe ci wydobywać z niego dźwięków. Masz tylko przyłożyć go do ust, a ja sprawię, że sam zagra. Chcę tylko, żebyś pojechał na koniu przed rycerzem w czarnej zbroi, przycisnął do ust róg, pozwolił mu samemu zagrać, a potem siedział cicho, gdy padną pewne słowa. Później, kiedy ci powiem, zawrócisz i przejedziesz obok rycerza za namiot, z którego wyjedziecie. Myślisz, że potrafisz zrobić to jak należy?

- Na pewno będę się starał, milordzie - odparł Ned, lekko się zająknawszy. Jednak, jak zauważył Jim, raczej pod wpływem emocji, niż wątpiając w swoją umiejętność wykonania powierzonego zadania.

Słuch Jima, wyostrzony od czasu śpiewania z innymi gośćmi na przyjęciu u earla, ledwie wychwytywał rzeczywiste słowa Toma, które zwykłym magicznym sposobem zmieniały się dla niego w nowoczesną angielszczyznę. Wydawało mu się, że w wydawanych przez Neda dźwiękach słyszy ślady czegoś, co w dwudziestym wieku byłoby akcentem z Somersetshire - jakby młodzieniec mówił innym dialektem niż Tom Huntsman. Lekki nacisk na „s” sprawiał, że ta gloska brzmiała prawie jak „z”.

- No dobrze - powiedział Jim. - Zatem liczę na ciebie. Niebawem opuścę zamek, ale wrócę później i za pomocą magii przeniosę cię do siedziby earla Somerset. Tam odbędzie się przedstawienie, w którym weźmiesz udział.

- Ja, milordzie? - wykrztusił Ned,

- Tak, ty - warknął Tom.

- Tak więc bądź w psiarni, żeby można cię szybko znaleźć, kiedy tu wrócę.

- Będzie tam - powiedział Tom, - W psiarni jest dużo roboty, więcej niż dość, żeby miał co

robić przez resztę dnia.

- Bardzo dobrze - rzekł Jim. - A więc zobaczymy się później, Nedzie. Dziękuję, że go dla mnie znalazłeś, Tomie.

- To dla mnie zaszczyt, milordzie.

Obaj odeszli. Jim podniósł się od stołu i poszedł do przyległego pokoju. Spodziewał się, że będzie tam Gwynneth Plyseth, jednak trafił na porę między posiłkami i nie zastał jej. Zadowolony z tego, że jest sam, Jim podszedł do kominka, na którym ogień palił się w zimie i w lecie, ogrzewając zawieszane na łańcuchach, obrotowych rożnach i innych urządzeniach potrawy oczekujące na podanie do stołu. Teraz nie było tu żadnego jedzenia. Jim odepchnął na bok kilka obrotowych rożnów i zawołał w głąb komina:

- Hobie Jeden! - Brak odpowiedzi. Po chwili powtórzył wołanie: - Hobie Jeden! - zabrzmiało nieco ostrzej. - Hobie, wiem, że tam jesteś. Tu twój pan, James. Wyjdź natychmiast.

Twarz Hoba wyłoniła się zza górnej krawędzi kominka.

- Naprawdę jesteś sam, milordzie? - zapytał.

- A widzisz tu kogoś? - odparł Jim trochę groźniej niż zamierzał. - Hobie Jeden, kiedy cię wołam, masz przyjść. Wiesz, że ze mną jesteś bezpieczny, czy ktoś przy mnie będzie, czy nie.

Hob wyskoczył z kominka i zasiadł na smużce dymu, która nagle postanowiła wypłynąć poza okap paleniska.

- Bardzo przepraszam, milordzie - rzekł. - Błagam o wybaczenie. Przyzwyczailem się zachowywać ostrożność... ale od tej pory zawsze będę przychodził natychmiast, milordzie. Możesz na mnie liczyć.

- To dobrze - odparł Jim. - Ponieważ tak właśnie zamierzam zrobić. A teraz chcę tu sprowadzić Secoha, po czym razem udamy się z wizytą do innych, większych smoków.

- Innych smoków! - krzyknął Hob, wskoczył Jimowi na ramię, objął go ramionami za szyję i przycisnął tak mocno, że Jim z trudem zdołał coś powiedzieć.

- Spokojnie, Hobie Jeden - rzekł. - Pamiętaj, kim i gdzie jesteś. Przecież jesteś Hobem Jeden z Malencontri i znajdujesz się w zamku Malencontri.

Hob rozluźnił uścisk.

- Racja - powiedział głosem, w którym brzmiał przestach i zarazem podziwu.

Jim wyobraził sobie pojawiającego się przed nim Secoha. Przez moment, tak jak podczas poprzednich wizualizacji, miał wrażenie wysiłku, a potem nagle Secoh siał przed nim, lekko zaskoczony. Uspokoił się, gdy poznał Jima.

- Milordzie - powiedział, siadając i siłąc się na smoczy odpowiednik ludzkiego dworskiego ukłonu. - Jak się tu znalazłem?

- Przeniosłem cię magicznym sposobem - wyjaśnił Jim.

- Magicznym?

- Magicznym! - potwierdził Hob Jeden, znów mocno ściskając Jima za szyję. Na widok smoka skrzat schował się za plecy Jima. - Czy jest tu Secoh? - szepnął mu do ucha.

- Wiesz, że jest - rzekł Jim. - A teraz siądź spokojnie na moim ramieniu i porozmawiamy z nim.

- Och, milordzie - powiedział Hob Jeden, drżąc. - Nie mogę - szepnął Jimowi do ucha. - Dotychczas zawsze trzymałem się poza jego zasięgiem. A teraz jest tak blisko. Nie odważę się...

- Zrobisz to - powiedział stanowczo Jim. - Pamiętaj, że jestem z tobą. Nawet trzymasz mnie za szyję. Nie ma się czego bać.

Zapadła cisza, a potem poczuł, że Hob powoli wysuwa się zza jego pleców, pokazując się Secohowi.

- Cześć, Hobie! - powiedział Secoh.

- H-Hob Jeden de Malencontri - poprawił go drżącym głosem skrzat.

- Witaj, Hobie Jeden de Malencontri.

- W-witaj, Secohu - odparł Hob Jeden, wciąż się trzęsąc.

- Hob Jeden - oznajmił Jim - uda się z nami, z tobą i ze mną, Secohu, porozmawiać ze smokami z Cliffsida o tym, że mają jutro przybyć na zamek earla i ustalić, jak powinny się tam zachować. To bardzo ważne, żeby wysłuchały i zrobiły dokładnie to, co trzeba. Kiedy już im to powiem, chcę żebyś został z nimi, aż będą gotowe do drogi. Polecicie razem i dopilnujesz, by dokładnie wykonały moje instrukcje. Dasz sobie radę?

- Oczywiście, milordzie - odparł ponuro Secoh. - Posłuchają, bo inaczej...!

- Jeszcze jedno - dodał Jim. - Hob Jeden, chociaż o wiele odważniejszy niż większość skrzatów, trochę niepokoi się perspektywą spotkania wszystkich smoków z Cliffsida jednocześnie. Nie zna ich tak dobrze, jak ty...

- Właśnie! - wtrącił Hob.

- Tak więc pomyślałem sobie, że mógłbyś zapewnić go, że nie ma powodów do obaw. Tym bardziej, że sam jesteś przykładem kogoś, kto niczego się nie boi.

- To prawda - odparł Secoh. - Nie lękam się niczego - a wiesz, skrzacie, iż ja też byłem

strachliwy. Jednak nauczyłem się, że nie należy się bać.

- Może ty nie musisz - powiedział Hob Jeden. - Jesteś smokiem.

- Jestem małym smokiem - powiedział Secoh. - Błotnym smokiem. Należę do rasy, która została okrutnie okaleczona w wyniku paskudnego oddziaływania twierdzy Loathly na bagna, będące naszym domem.

- Twierdza Loathly? - powtórzył Hob Jeden. - Ta twierdza Loathly? Czy to niedaleko niej?

- Kawalek - odparł niedbale Secoh.

- O jej! - jęknął Hob.

- I czemu skamlesz? - zapytał Secoh. - Daleko czy blisko, to żadna różnica. Duży smok czy mały, to też nie robi różnicy. Byłem tam z milordem Jamesem i innymi towarzyszami, włącznie ze Smrgolem, mądrym starym smokiem, który nauczył mnie, że nie wolno się bać. Razem z nim walczyłem ze smokiem o wiele większym ode mnie i zwyciężyłem.

- O! - powiedział Hob. - Czy są smoki dużo większe od ciebie?

- Wiele - odparł Secoh. - I znacznie większe. Jednak nie obawiam się ich. Jeśli któryś mnie obrazi, rzucam mu się do gardła!

- Naprawdę? - Hob wytrzeszczył oczy. - Przecież jeśli są większe od ciebie... nie rozumiesz, co jeden z nich mógłby ci zrobić?

- Nie - rzekł Secoh - nigdy o tym nie myśl. To najważniejsza zasada w walce. Nie czekaj, tylko rzucaj się do gardła!

- Pewnie ty tak możesz - powiedział skrzat. - Masz takie wielkie zęby.

- Ty też masz zęby.

- No tak - zgodził się Hob. - Jednak to bardzo małe ząbki.

- A co tu ma dorzeczy wielkość zębów? - rzucił wściekle Secoh. - Liczy się tylko to, żeby je wbić!

Hob mocno ścisnął szyję Jima.

- Och, milordzie - powiedział mu nad uchem - nie mógłbym tego zrobić! My, skrzaty, nie jesteśmy smokami.

- Ja też tak mówiłem - wyjaśnił Secoh. - Och, ja jestem tylko błotnym smokiem, tak mówiłem wszystkim. Ha! Kiedy znajdziemy się wśród smoków z Cliffsides, patrz na mnie, jak z nimi rozmawiam, jak je traktuję! Sam się przekonasz!



- Milordzie - ponownie szepnął Hob do ucha Jima - czy muszę?

- Obawiam się, że tak - odparł Jim. Właśnie wyobrażał sobie główną jaskinię, w której smoki z Cliffside zbierały się przy ważnych okazjach i wreszcie ujrzał ją oczami duszy. - Przenosimy się tam, wszyscy trzej.

## Rozdział 32

Jim wyobraził sobie punkt docelowy i natychmiast znaleźli się w jaskini, której wnętrze z początku wydawało się ciemne, lecz jaśniało, w miarę jak oczy oswajały się z mrokiem.

To była ogromna pieczara o wysokim sklepieniu i nieckowatym dnie otoczonym pionową ścianą, tak że przypominała naturalny amfiteatr w głębi skał będących domem smoków z Cliffside. Ściana i sklepienie były z czarnego granitu, pociętego gęstą siatką żyłek wyglądających jak płynne srebro. Żadna z nich nie była grubsza od ołówka, lecz wszystkie razem pokrywały ścianę zawiłym wzorem. Srebrne żyłki promieniowały blaskiem silniejszym od poświaty, a trochę słabszym od zwykłych źródeł światła, takich jak świeczka czy nawet kilkuwatowa żarówka. W rezultacie, co stwierdzili, gdy ich wzrok w końcu oswoił się z panującym tu półmrokiem, te srebrne smuzki oświetlały całą jaskinię, włącznie z jej ciemnym, wysokim sufitem. Na pewno nie było jasno jak w dzień, a jeśli już, to w bardzo pochmurny, przy niebie zasnutym chmurami. W tym momencie było tu tylko kilka smoków. Parę z nich rozmawiało, a pozostałe wchodziły lub wychodziły licznymi otworami jaskini.

Jim wyczarował jedno z wyściełanych krzeseł z wysokim oparciem, jakie stały w wielkiej sieni Malencontri, i spoczął na nim. Hob Jeden nadal siedział mu na ramieniu. Secoh przykucnął na piętach. Była to niezbyt wygodna pozycja dla smoka, ale ten nieustannie ją przybierał, od kiedy zaczął odwiedzać Jima i innych ludzi w Malencontri.

- I co teraz? - szepnął Jimowi do ucha Hob Jeden, nie odrywając przy tym oczu od Secoha.

- Czekamy - odparł Jim.

Czekali.

Jeden po drugim smoki zaczęły ściągać do jaskini. Przybywały wszystkimi otworami i zbierały się przy nich w grupki, rozmawiając ściszonymi głosami, tak że tylko pomruki dobiegały do uszu Jima, Hoba i Secoha, czekających w najniższym punkcie nieckowatej podłogi. W miarę jak smoków przybywało, stojące pod ścianami zaczęły przesuwać się w głąb jaskini, w kierunku przybyłych, co wyglądało na przypadkowe przemieszczanie się osobników wędrujących od jednej grupki rozmówców do drugiej. Mimo to po mniej więcej piętnastu minutach jaskinia była w trzech czwartych pełna. Jim oceniał, że pojawiła się większość smoków z Cliffside, jeśli nie wszystkie. Jednak wciąż trzymały się pod ścianą.

Po chwili zaczęły podchodzić. Kolejne grupki ruszyły w kierunku przybyłych i wielka masa ciał spłynęła po pochyłym podłożu, skupiając się wokół Jima, Secoha i Hoba Jeden, Towarzyszyły temu głośne lub ciche basowe pomruki, Kiedy smoki w końcu otoczyły gości ciasnym kręgiem,

wszelkie głosy ucichły i w jaskini zapadła głucha cisza.

- Jim! - zawołał duży smok w pierwszym rzędzie, a jego niewiarygodnie głęboki głos sprawił, że to słowo odbiło się echem od ścian jaskini. Było w nim lekkie zdziwienie, jakby Jim właśnie w tej chwili zmaterializował się przed nim.

- Gorbash! - powitał go Jim. Gorbash był jedynym smokiem zwracającym się do niego w ten sposób, zamiast „James”. Świadczyło to o istniejącej między nimi zażyłości.

Istotnie byli zaprzyjaźnieni, ponieważ to ciało Gorbasha zajmował Jim, kontrolując je, wbrew woli właściciela, od chwili, gdy przybył do tego średniowiecznego świata, aż do zakończenia bitwy pod twierdzą Loathly.

Pozostali członkowie smoczej społeczności w Cliffsie uważali Gorbasha za niezbyt lotną i mało ważną istotę. Dzięki związkowi z Jimem wiele zyskał w ich oczach i wykorzystywał to bezwstydnie do tego stopnia, że inne smoki przynajmniej wysłuchiwały jego opinii, zanim zaczęły się z nim spierać - a słuchanie innych to czynność, która przychodzi smokowi z najwyższym trudem. Można powiedzieć, iż to dość konfliktowe stworzenia.

Jim nie miał pojęcia, czy smoki z Cliffsie jako społeczność lubiły go czy nie. Potrafiły darzyć kogoś sympatią, co było widać na przykładzie Secoha i Smrgola, nieżyjącego przodka Gorbasha. Ale po prostu nigdy tego nie okazywały. Ponadto były bardzo drażliwe i obawiały się Jima. Trudno uwierzyć, iż takie wielkie i dzikie stworzenia mogły się czegokolwiek lękać". Jednak one niedawno, zaledwie od jakichś kilkuset lat, zaczęły zdawać sobie sprawę z tego, że na tym świecie mieszka jeszcze groźniejszy i bardziej niebezpieczny gatunek stworzeń niż one.

To był gatunek, do którego należał Jim, a który smoki nazywały jeryzmi od czasu świętego Jerzego, zapisanego w historii jako ten, który w pojedynkę zabił smoka. Nawet teraz tylko młodsze smoki ryzykowały chwilę rozmowy z jeryzmem napotkanym samotnie w polu, z daleka od innych jeryzch i budynków, w których mieszkali.

Myśląc o tym teraz, Jim przypomniał sobie, że jeśli ktoś tutaj naprawdę go lubił, to tylko młodsze smoki. Za to musiał podziękować Secohowi. To jego opowiadania o bitwie pod twierdzą Loathly, o własnym udziale w niej oraz o innych przygodach, jakie przeżył z Jimem, Brianem i innymi niesmokami, zdobyły wyobraźnię i podziw młodych smoków. Nie było ich jednak w pierwszym szeregu otaczającego go teraz tłumu. Młodziki - smoki liczące mniej niż sto lat - podczas takich zgromadzeń tłoczyły się z tyłu jako niedojrzałe i mało ważne.

Jednocześnie Jim wiedział, że Gorbash jest dość niepewnym sojusznikiem. Wprawdzie związek z Jimem nadawał mu wyższy status, jednak Gorbash będzie popierał go dopóty, dopóki uzna to za korzystne dla siebie.

- No - zagrzemiał niski, szeroki smok w pierwszym rzędzie, czwarty na lewo od Gorbasha - kiedy ruszamy do zamku earla?

To typowe dla smoków, żeby nie kwapić się do rozpoczęcia rozmowy, a potem bezpośrednio

przejsć do sedna dyskusji.

- Właśnie dlatego tu jestem... - Jim gorączkowo szukał w myślach imienia smoka, który to powiedział. Na szczęście biała blizna wzdłuż górnej części pyska przywołała ulotne wspomnienie. - ...Lamargu. Odbyłem tę podróż specjalnie, żeby wam to powiedzieć. Jutro...

Wszystkie smoki zaczęły mówić jednocześnie.

- Co powiedział? Powiedział, że jutro. Powinniśmy tam być wcześniej! Nie, koniec jest najlepszy. Zachował go dla nas. Zamknij się, Maglarze, zawsze gadasz bez sensu! Jutro, przecież to już zaraz!

W końcu gwar umilkł i w jaskini znów zapadła cisza.

- Nie musimy za to zapłacić, prawda? - zapytał Lamarg.

Zebrane smoki skwitowały to sensowne pytanie przeciągłym pomrukiem

- Nie - odparł Jim. - Wystarczy, jeśli zrobicie dokładnie to, co wam powiem. Chcę, żebyście tam były i wróciły bezpiecznie, jednak w tym celu musicie ściśle wypełnić moje polecenia.

Secoh wyruszy z wami, żeby przypomnieć wam o tym, gdybyście przypadkiem zapomniały, co macie robić.

To wywołało kolejne poruszenie oraz wołania w rodzaju „On jest tylko błotnym smokiem!”, padające ze strony bezpiecznie ukrytych w tłumie krzykaczy, Secoh najeżył się, w smoczym stylu lekko unosząc skrzydła.

- Dlaczego właśnie on? - zaprotestował Lamarg. - To powinien być jeden z nas. On nawet nie jest z Cliffside.

- Ponieważ wiem o wiele więcej niż którykolwiek z was, Lamargu. Kto inny ma choćby jedną dziesiątą mojego doświadczenia z jerymami? - warknął Secoh.

Lamarg warknął, ale nie spierał się.

- Ponadto - dodał ze spokojem Jim - Secoh był i walczył przy mnie tyle razy, że najprędzej będzie wiedział, czego po was oczekuję, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego. To chyba sensowne, prawda?

Smoki z Cliffside omawiały to przez dwie lub trzy minuty. W końcu uznały, że istotnie, ma to sens, Jim cierpliwie czekał. Proces załatwiania czegokolwiek ze smokami z Cliffside był zawsze długotrwały, ale nic na to nie można było poradzić. Skorzystał z okazji, żeby zamienić w tym czasie słowo z Secohem.

Nachylił się i szepnął mu do ucha:

- Secohu, zamierzam powiedzieć, że ty dasz im sygnał, kiedy nadejdzie czas, by zajęły miejsce pod zamkiem earla. To będzie niedaleko polanki, którą zobaczysz z góry. Ujrzysz mnóstwo ludzi stojących na jednym jej końcu, a na drugim lady Angelę i mnie, a być może inne osoby, oraz osiołka i muła, dających przedstawienie...

- Przedstawienie? - spytał Secoh głębokim, ale dość cichym, konspiracyjnym szeptem.

- Odgrywanie jakiejś opowieści - wyjaśnił Jim. A potem, widząc, że Secoh wciąż ma wątpliwości i marszczy brwi na słowo „odgrywanie”, dodał: - Ludzie grają, robiąc to, o czym mówi opowieść. Na przykład gdybyśmy powtórzyli naszą walkę pod twierdzą Loathly, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć.

Secoh podniósł łeb i w jego ślepiach zabłyśł promyk nadziei. - Moglibyśmy to zrobić, milordzie? - szepnął.

- Może - powiedział nieopatrznie Jim i zaraz pospiesznie dorzucił: - Lecz z pewnością nie nastąpi to w najbliższej przyszłości.

Błysek w oczach Secoha nieco przygasł, ale tylko trochę.

- Tak, milordzie - powiedział, - Gdzie mają wylądować smoki z Cliffside?

- W tym rzecz - odparł Jim. - Chciałbym, żeby wylądowały w lesie. Zobaczysz, czy uda ci się znaleźć w pobliżu drugą, nieco mniejszą polankę. Potem niech podejdą na skraj naszej polany i staną za piecami tych, którzy będą grać w przedstawieniu. Powinny być schowane w lesie, żeby nie widzieli ich ludzie stojący po przeciwnej stronie. Mogą się ukryć za dekoracjami, które tam postawimy, ale muszą zachowywać się bardzo cicho.

- Dlaczego, milordzie?

- Aby nie usłyszał ich żaden z widzów. Od chwili, kiedy znajdą się na miejscach, do czasu, aż zostaną wezwane, powinny tylko szeptać. Gdy nadejdzie czas, w myślach usłyszysz mój głos, mówiący, żebyś wyszedł z pięcioma - tylko pięcioma z nich. Jednak do tej pory mogą wyłącznie szeptać, ponieważ wszystko opiera się na tym, że w opowieści występują smoki, lecz oglądający przedstawienie ludzie nie będą się spodziewać obecności prawdziwych smoków, dopóki ich nie zobaczą. To będzie tak, jak w tej historii, kiedy święty Józef widzi nadciągające smoki i boi się, a mały Chrystus powiada mu, że nie ma się czego obawiać.

- Rozumiem, milordzie! - rzekł Secoh. - Teraz już wiem!

- I wszystko zapamiętasz, prawda?

- Milordzie! Smok nigdy nie zapomina!

To prawda, niestety. Nie tylko pamiętały, ale w dodatku przez setki lat gadały o tym.

Smoki zakończyły już dyskusję i czekały na następne słowa Jima.

- Secoh powie wam, dokąd i kiedy macie się udać oraz jak postępować, gdy już tam będziecie - rzekł. - Jednak muszę wam powiedzieć pewną ważną rzecz. A nawet dwie. Po pierwsze, macie pozostać ukryte, między drzewami, aż Secoh da znak reprezentującej was małej grupce i ta wyjdzie na polanę. Zapamiętajcie, że nikt nie zostanie zapomniany. Wybrani przez Secoha reprezentanci podejną najbliższej młodemu księciu, lecz jego błogosławieństwo obejmie was wszystkie.

Smoki z Cliffside musiały omówić i to, ale ponieważ w tej sprawie najwidoczniej nie miały wyboru, w końcu znów się uspokoiły - wszystkie oprócz Lamarga, który wciąż wyglądał na nie przekonanego.

- A ta druga rzecz, o jakiej chciałeś nam powiedzieć, Jamesie? - zapytał.

- Ach tak - odparł Jim. - Zamierzałem wspomnieć, że kiedy będziecie w lesie, możecie przypadkiem wywęszyć lub zobaczyć jakieś trolle...

Wszyscy zebrani wydali głuchy pomruk, narastający do stopnia graniczącego z rykiem, nim prawie zupełnie ucichł.

- Nienawidzimy troili! - rzekł Lamarg. Odpowiedział mu ryk aprobaty.

- Wiem o tym - powiedział uspokajająco Jim. - Jednak nie sądzę, aby któryś z nich podszedł na tyle blisko, żebyście miały zwrócić na niego uwagę. Jeśli zaczęłybyście to robić, mogłybyście zdradzić waszą obecność ludziom oglądającym przedstawienie. To popsułoby wszystko i nie otrzymałybyście błogosławieństwa.

- Popsułoby to błogosławieństwo? - zapytał jakiś smok z tłumu.

- Bez wątpienia - odparł Jim.

- No to lepiej niech nie podchodzą za blisko - rzekł Gorbash. - Bo jeśli unieważnią błogosławieństwo...

Te słowa wypowiedziane przez smoka, który - chociaż zawsze starannie to ukrywał - był zapewne najbardziej pokojowo nastawionym ze wszystkich mieszkańców Cliffside, doskonale świadczyły o tym, jaka byłaby ich reakcja na ewentualne pojawienie się trolli otaczających terytorium Mnrogara, Jim skrzył się z niepokoju. Ogólna bijatyka smoków z trollami miałaby niemal równie opłakane skutki, jak potyczka smoków z gośćmi earla.

Jim pożałował, że nie przemyślał tego dokładniej. Jednak teraz nie było na to czasu. Wiedział, że wzajemna niechęć trolli i smoków ma źródło w czymś, co smoki zawsze uważały za zniewagę; pierwsi Wikingowie i inni skandynawscy żeglarze, schodząc na ląd, zdejmowali rzeźby smoczych łbów z dziobów łodzi, ponieważ uważali, że ich widok rozwścieczy miejscowe trolle.

- Powtarzam - rzekł Jim - że trollami możecie się nie przejmować. Wspomniałem o nich, ponieważ obawiałem się, że na ich widok niektóre z was mogłyby powiedzieć lub zrobić coś, co zdradziłoby ludziom oglądającym przedstawienie, iż przybyłyście za wcześnie po błogosławieństwo.

Smoki burczały, ale zgodziły się wszystkie prócz Lamarga, który wciąż wydawał się w kiepskim humorze. Teraz gapił się na Hoba Jeden.

- A cóż ten mały ma wspólnego z naszą wizytą na zamku? To nasza sprawa, prawda? Po co on tutaj? - pytał groźnie.

- To jest Hob Jeden de Malencontri. Skrzat z zamku Malencontri, który jest moim specjalnym posłańcem i w razie potrzeby przyniesie Secohowi wieści ode mnie dla was, kiedy jutro wszyscy zbierzemy się podczas przedstawienia.

- Co za skrzat? - warczał Lamarg.

Secoh podszedł kilka kroków bliżej.

- On mieszka w kominku zamku Malencontri, Lamargu! - powiedział. - Więcej nie musisz wiedzieć.

- A co to jest kominek? - prychnął Lamarg.

- Miejsce, w którym rozpala się i płonie ogień - odparł Secoh, lekko unosząc skrzydła. - Hob Jeden mieszka w nim, tuż nad płomieniami. Jakby ci się to podobało, Lamargu?

- Byłbym głupi, gdybym zbliżał się do ognia - rzekł Lamarg. - A ja nie jestem głupcem, Secohu. W końcu zbyt mocno nadepniesz któremuś z nas na ogon, błotny smoku. Zobaczysz!

- Nikomu nie depczę po ogonie - rzekł Secoh. - Po prostu chcę zwrócić wam na coś uwagę. Nie podszedłbyś do ognia, tymczasem ten Hob Jeden de Malencontri nie lęka się tego. Co ci to o nim mówi? Nadal myślisz, że jest taki mały i nieważny, jeśli może być szczęśliwy w miejscu, do którego ty nie podejdziesz? Mowie ci, Lamargu, on mieszka w płomieniach!

- Diablik z piekła rodem! - powiedział Lamarg, gwałtownie cofając się o pół kroku, bo tylko na tyle pozwoliły mu cisnące się za nim smoki.

Jim poczuł jakiś ruch na swoim ramieniu. Popatrzył. Hob stanął prosto, trzymając się hełmu Jima, nadympając małą pierś i prężąc ramiona.

- Chciałbyś, żeby był diablikiem, prawda, Lamargu? - rzekł Secoh, robiąc kolejny krok naprzód. - Miałbyś szczęście, gdyby był tylko diabłem. Jednak nie jest nim. Jest kimś więcej. To skrzat.

- Ha! - powiedział Hob Jeden na ramieniu Jima.

- Co on piszczy? - zapytało kilka smoczych głosów jednocześnie.

- Powiedział „Ha!”, Lamargu! - odparł Secoh. - Rozgniewałeś go.

- Wcale się go nie boję! - mruknął Lamarg, usiłując cofnąć się jeszcze dalej, co okazało się

niemożliwe.

- No dobrze. W porządku - rzekł Hob Jeden, starając się mówić jak najgrubszym głosem. - Nie jestem zły.

- To dobrze - wtrącił pospiesznie Jim. - Nie możemy sobie pozwolić na żadne swary. Jestem pewny, że Lamarg i ty, Hobie Jeden, pogodzicie się. A teraz myślę, że czas nam ruszać w drogę. Secohu, w sprawie tych ostatnich szczegółów skontaktuję się z tobą w sposób, o jakim ci mówiłem, zanim wyruszyacie. Będziesz tutaj, prawda?

- Oczywiście, milordzie - rzekł Secoh. - Będę gotowy i smoki z Cliffside także.

W jaskini wybuchł ogłuszający hałas, gdy wszystkie smoki naraz zaczęły zapewniać, że będą gotowe. Jim skorzystał z okazji, żeby znów wyobrazić sobie komnatę w Malencontri i w mgnieniu oka znalazł się w niej z powrotem wraz z Hobem Jeden.

Tym razem zastał tam Gwynneth Plyseth. Ochmistrzyńni wydała cichy, uprzejmy wrzask i dygnęła przed Jimem.

- Czego sobie życzysz, milordzie?

- Chciałbym zobaczyć Neda Dunstera, jeśli zdołasz go dla mnie znaleźć - powiedział Jim.

- Zaraz tu będzie, milordzie - obiecała. - Nie sądził, że to wypada, aby taki psiarczyk jak on czekał w sieni, chociaż Tom Huntsman zwolnił go od obowiązków, ponieważ milord mógł potrzebować go w każdej chwili.

Wybiegła z komnaty.

- Hobie Jeden - powiedział Jim - zejź z mojego ramienia i siadź gdzieś przede mną, dobrze?

Skrzat natychmiast wykonał polecenie i w następnej chwili znalazł się pół metra przed swym panem, unosząc się na smudze dymu z kominka.

- Miałem nadzieję, że znajdę okazję porozmawiania z tobą sam na sam - rzekł Jim. - Chcę, żebyś wrócił ze mną do zamku earla i towarzyszył mi jakiś czas. Potrzebuję cię w kominku pierwszej z tych dwóch komnat, które zajmujemy z lady Angelą. Chodzi o to, żebyś zaalarmował nas, gdyby przyszedł tam ktoś, kto nie powinien wejść. Będąc w kominie, możesz słyszeć wszystko, co dzieje się w pokoju, a nawet zejść niżej i rozejrzeć się, zanim ktoś zdąży cię dostrzec.

- Z łatwością - stwierdził Hob Jeden niemal autorytatywnym tonem. - Chciałem powiedzieć, że to łatwe, milordzie. Mogę siedzieć niewidoczny w kominie, a mimo to wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w pokoju.

- To dobrze - rzekł Jim. - Ponieważ chcę, żebyś pełnił tam straż, dopóki będziemy w tym pomieszczeniach mieszkać, i ostrzegł mnie w razie czego. Wystarczy, że pomyślisz o mnie i naszej rozmowie, a usłyszę cię i odpowiem. Poradzisz sobie?

- Niewątpliwie - odparł Hob Jeden. - Jakich niepożądanych gości obawiasz się... chciałem powiedzieć, oczekujesz, milordzie?

- Wszystkich, którzy tu nie mieszkają - powiedział Jim. - Oprócz lady Angeli i mnie mogą tu przebywać służąca imieniem Enna, piastunka oraz mały Robert Falon, który jest dzieckiem. Do niepożądanych gości należy każdy zbrojny nie pełniący warty w komnacie i każdy gość, nawet wpuszczony przez Ennę czy piastunkę, a także każdy sługa, który zechce tu wejść i uzyskać na to zgodę Enny czy niani. Wśród gości earla jest lady Agatha Falon, ciotka małego Roberta, którą podejrzewamy o złe intencje względem dziecka. Ona zapewne nie przyjdzie sama, ale może przysłać kogoś innego, żeby zrobił mu krzywdę. Dlatego natychmiast daj mi znać, jeśli wejdzie ktoś niepowołany. Możesz to zrobić?

- Oczywiście, milordzie! - odparł Hob Jeden. Wciąż siedział na smudze dymu, ale teraz Jim zauważył, że skrzat pręży ramiona i wypina pierś, tak samo jak w smocznej jaskini, kiedy Secoh wspomniał Lamargowi, iż Hob Jeden może być spokrewniony z diablikiem, jednym ze sług króla i królowej zmarłych, nigdy nie widywanym przez żywe istoty.

Plotka głosiła, że diabliki są zbudowane z ognia lub nieustannie się palą, tak że zmieniają w popiół każdego, kogo dotkną. Nagle Hob Jeden oklapł.

- Chcę powiedzieć, że... będę się starał, milordzie.

- Wiem, że potrafisz, Hobie Jeden - powiedział Jim - a na wszelki wypadek...

Jednak przerwała mu Gwynneth, wprowadzając do pokoju Neda Dunstera. Wykonała w ten sposób powierzone sobie zadanie, dygnęła i wyszła, zostawiając ich samych.

- No cóż, Nedzie - powiedział Jim - a zatem odbędziemy krótką wycieczkę.

- Tak, milordzie - odparł Ned. Jednak jego spojrzenie odbiegło w bok i spoczęło na Hobie, siedzącym na smudze dymu. Młodzian szeroko otworzył oczy.

- To ty! - powiedział do skrzata. - To ty zabrałeś mnie na przejażdżkę na pasemku dymu wiele lat temu, kiedy przyszedłem na zamek z młynarzem dostarczającym mąkę!

- Nigdy w życiu - wyparł się Hob Jeden.

## Rozdział 33

- Właśnie że tak! - upierał się Ned. - Była noc, ta sama pora roku i śnieg pokrywał ziemię. Zostawiono mnie, żebym przespał się w ciepłe, a ja zbudziłem się i przyszedłem tutaj, gdzie spotkałem ciebie i ty zabrałeś mnie na przejażdżkę. Lecieliśmy nad śniegiem, wśród drzew i przez cały czas było mi ciepło. To była chyba najwspanialsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła. Przecież nie mogłeś o tym zapomnieć!

- Nie zrobiłem tego - rzekł Hob. - Nigdy w życiu!



- Daj spokój, Hobie Jeden - uspokoił go Jim. Zwrócił się do Neda: - Czy kiedykolwiek mówiłeś komuś o tym, że Hob Jeden zabrał cię na przejażdżkę?

- Nigdy, milordzie - odpowiedział młodzieniec, wodząc oczami od Hoba do Jima i z powrotem. - Dorośli nigdy by mi nie uwierzyli. Ponadto nie chciałem o tym opowiadać. To było takie cudowne przeżycie, że chciałem zatrzymać je dla siebie.

- I tak też zrobiłeś, przez te wszystkie lata, prawda? - zapytał Jim.

Ned powoli skinął głową.

- Widzisz, Hobie Jeden? - spytał Jim. - Ned nigdy o tym nikomu nie opowiadał i nie powie. Możesz spokojnie przyznać się, jeśli zabrałeś go ze sobą, kiedy był mały.

Hob z wolna się uspokoił.

- No dobrze - rzekł po chwili. - Pamiętam go, ponieważ był taki szczęśliwy, jadąc ze mną na smudze dymu. Był chyba najszczęśliwszym ze wszystkich dzieci, które kiedykolwiek zabrałem ze sobą.

- Naprawdę? - zapytał Ned i rozpromienił się.

- Tak - rzekł skrzat. - Pamiętam to doskonale. Dzieci, oczywiście, zawsze się cieszą. Jednak ty zdawałeś się ogarniać wszystko: noc, las, śnieg, gwiazdy, jakbyś brał wszystko w ramiona i tulił do piersi.

- Bo tak się czułem - rzekł cicho Ned. - Chciałbym jeszcze kiedyś tak się poczuć.

- No cóż, polecimy trochę za wcześnie, żebyś ujrzał gwiazdy, Nedzie - powiedział Jim - ale myślę, że najwyższy czas ruszać do zamku earla. Jesteś gotowy, Hobie Jeden?

- Milordzie - szepnął nieśmiało Hob Jeden - nie jestem pewny, czy dym uniesie mnie i dwóch ludzi - w tym jednego dorosłego.

- W porządku - skwitował to Jim - ty polecisz na dymie. Ja przeniosę Neda za pomocą magii. Będziemy trzymać się w pobliżu, więc podróżujemy razem.

Jim przymknął oczy i wyobraził sobie siebie i Neda, wiszących w powietrzu tuż nad kominem wiodącym prosto do kominka skrzata. Wizualizacja była bardziej postępową metodą magii w porównaniu z rzucaniem zaklęć. Powinien był wpaść na to wcześniej. Taki postęp można porównać z zamianą maszyny do pisania na komputer. Jednak, chociaż magia Jima działała szybko, Hob Jeden był szybszy. Już czekał na nich kilka metrów nad kominem, na swojej smudze dymu.

- Świetnie, Hobie Jeden! - zawołał do niego Jim. - Prowadź, a my polecimy za tobą.

Hob niezwłocznie rozpoczął podróż na pozornie leniwie snującym się dymie, nad przybudówkami zamku, otwartą przestrzenią za murami, aż wreszcie nad pierwszymi drzewami lasu.

Jednak ten ruch tylko wydawał się tak powolny i Jim wiedział, że podróżują znacznie szybciej, niż się zdaje. To dziwne, gdyż mógł spojrzeć w dół i drzewa wcale nie rozmazywały się w pędzie. Miał wrażenie, że czas biegnie dwutorowo. Na jednym torze leciał z szybkością dorównującą dwudziestowiecznemu samolotowi, a jednocześnie na drugim unosił się nad lasem, pokonując najwyżej dziesięć kilometrów na godzinę.

Jednak on, Ned i Hob Jeden pozostali razem, Jim wyobraził sobie, że wszyscy trzej lecą obok siebie i tak też się stało.

- No cóż, Nedzie - spytał Jim psiarczyka - i jak ci się podoba tym razem?

- Bardzo - zapalił się Ned. - Chociaż nie jest tak... pięknie, jak wtedy, milordzie... Chcę powiedzieć, że wówczas był księżyc i tyle gwiazd.

Zakończył trochę niespokojnie, ze zmieszaniem spoglądając na Jima.

- W porządku, Nedzie - rzekł Jim. - Rozumiem.

I rozumiał. Jak powiedział Ned, to nie była noc, lecz późne popołudnie pochmurnego dnia. Niebo nad nimi było zachmurzone, ale niezbyt mocno, tak że było dość światła, aby widzieć wszystko w dole, lecz nie tak ponuro, jak przed burzą lub o zmroku. Ośnieżone drzewa, nad którymi przelatywali, stały w zupełnej ciszy. Żaden wietrzyk nie poruszał gałęziami i na zalegającym w lesie śniegu nie było widać żadnych zwierząt - ani ich tropów. Jim zaczął się zastanawiać, czy tak wielka liczba zgromadzonych wokół zamku earla trolli nie ogołoci kompletnie okolicy ze zwierzyny. Jednak nie dostrzegł również żadnych tropów trolli, a śnieg nie padał już od kilku dni. Ziemia pod i między drzewami wyglądała jak pomalowana, pozbawiona jakichkolwiek śladów życia.

Jednak kiedy pomyślał o trollach, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Spojrzał na prawo, na Hoba jadącego na smużce dymu. Mógł to uczynić, bo lecieli ramię w ramię, Hob po jego prawej, a Ned po lewej stronie.

- Hobie Jeden - zapytał - wiesz może, czy trolle wciąż czają się na skraju terytorium Mnrogara?

- A kim jest Mnrogar, milordzie?

- Zamkowym trollem. Tym z zamku earla.

- Ach, ten troll! Nie wiedziałem, że tak ma na imię!

Przez chwilę skrzat wydawał się wstrząśnięty, a potem znów wyprostował ramiona i podniósł głowę.

- Czy trolle nadal tam są, wokół zamku? - spytał.

- Tak, Cała ich armia - odparł Jim.

Hob wyraźnie podupadł na duchu, ale zaraz wziął się w garść, prostując plecy i wypinając

pierś.

- Racja - rzekł. - Nie odważą się tam wejść, prawda milordzie, dopóki nie znajdzie się wśród nich jeden na tyle odważny, żeby rzucić wyzwanie trollowi z zamku? Tylko dlaczego jest ich tam aż tylu?

- Nie wiem dlaczego - odparł Jim. - A chciałbym wiedzieć. Jednak nagle przyszło mi do głowy, że kiedy będziemy przelatywać nad miejscem, gdzie poprzednio były, powinienem sprawdzić, czy nadal tam są, czy też wycofały się lub podeszły pod zamek. Zamierzałem zapytać cię... czy potrafisz wywęszyć trolla?

- O tak, milordzie - powiedział Hob.

- Ach tak? Świetnie! - rzekł Jim. - Czy zdołałbyś wywęszyć go, nawet gdyby udawał sen w śnieżnej zaspie, czekając na jakieś nieostrożne zwierzę?

- Myślę... myślę, że tak, milordzie - odparł niepewnie Hob Jeden. - To zależy od tego, jak gruba byłaby zaspą i jak wysoko leciałbym nad śniegiem.

- Pamiętam - rzekł Jim - że kiedy ostatnim razem przenosiłeś mnie na dymie z zamku earla do Malencontri, wspominałeś o trollach czekających aż przysypie je śnieg. Czy pamiętasz, gdzie je widziałeś?

Hob Jeden zmarszczył czołko.

- Tak sędzę, milordzie - odrzekł. - Może, jeśli jest ich wiele w jednym miejscu, łatwiej będzie mi je zwęszyć.

- A pamiętasz, gdzie czułeś ich zapach ostatnio?

- Och tak, milordzie. Może jeszcze ci o tym nie mówiłem, milordzie, ale skrzaty nigdy niczego nie zapominają.

Ani skrzaty, ani smoki, pomyślał Jim. A także - jak wynikało z jego doświadczeń - żony, wilki, morskie diabły i czternastowieczni ludzie. Wszyscy o wszystkim pamiętają, tylko nie biedny dwudziestowieczny mag imieniem Jim. Jednak uzalenie się nad sobą nie miało sensu.

- No cóż, to dobrze - powiedział. - Ponieważ kiedy znów przelecimy nad tym miejscem, zmierzając do zamku, chciałbym, żebyś powiedział mi, czy one wciąż tam są.

- Och, z przyjemnością, milordzie - odparł Hob Jeden. - To już niedługo. Jesteśmy bardzo blisko. Prawdę mówiąc, tuż nad nim.

Nie minęło pięć minut, a skrzat znów odezwał się do Jima.

- Dolatujemy do miejsca, gdzie czułem je poprzednio, milordzie - oznajmił. - Nie jest to dokładnie to samo miejsce, co ostatnim razem, ale jeśli są wokół zamku...

- Zgadza się, są - przerwał mu Jim, - Zobacz, czy zdołasz pochwyć ich woń.

Sam też pociągnął nosem. Przez chwilę miał ochotę zamienić się w smoka, gdyż smoczy nos mógłby być równie czuły lub czulszy od nosa Hoba Jeden. Skoro jednak skrzat potrafi to zrobić, to może będzie lepiej, jeśli Ned i on nie stwierdzą nagle, że podróżują w towarzystwie smoka. Mimo iż zdrowy rozsądek mógł im podpowiedzieć, że tym smokiem musi być Jim - o czym, rzecz jasna, on też zaraz by ich poinformował - mogliby zareagować bardzo emocjonalnie. Jeżeli można wybierać między straszeniem a niestraszeniem ludzi, to o wiele lepiej jest ich nie straszyć.

- Czy czujesz już coś? - zapytał Hoba Jeden.

- Nie, milordzie - odparł skrzat, pilnie przyglądając się ziemi w dole. - Wydawało mi się... nie. Przez moment zdawało mi się, że wyczuwam ich zapach, ale to może dlatego, że były tu wcześniej.

- Wybaczcie, milordzie, Hobie Jeden - nieśmiało odezwał się Ned - ale może jesteśmy zbyt wysoko nad ziemią. Gdyby Hob Jeden mógł się nieco opuścić...

Jim spojrzał bystro na skrzata. Widział, że Hob Jeden nie był zbyt uradowany perspektywą lotu tuż nad ziemią. Jim pamiętał, jak skrzat barwnie opisywał ukrytego trolla, który pozwala zasypać się przez padający śnieg i leży w zaspie, aż zwęszy przechodzącą ofiarę, a wtedy wyskakuje spod śniegu, zanim zwierzyna zdąży umknąć.

- Nie wiem - powiedział Jim. - Hobie Jeden, czy myślisz, że mógłbyś lecieć trochę bliżej ziemi i spróbować coś wywęszyć?

- No nie... chciałem powiedzieć „tak”, milordzie. Oczywiście - zapewnił skrzat. - Oczywiście, mogę zlecieć niżej i wąchać uważniej. Tuż przed nami jest zaspą...

Zanim Jim zdążył coś powiedzieć, niosąca Hoba smużka dymu spłynęła w kierunku odległej o jakieś piętnaście metrów zasp pod dużym dębem. Jim domyślał się, że śnieg pod tym starym dębem miał co najmniej pół metra grubości lub więcej. Jeśli nie, to tuż przy pniu musiał być mały pagórek, który tworzył wybrzuszenie śnieżnej pokrywy. W każdym razie Hob spłynął w tym kierunku na smużce dymu, a Jim i Ned zatrzymali się jakieś dwadzieścia metrów wyżej.

- Milordzie! - zawołał triumfalnie Hob Jeden. - Miałeś rację. Tutaj...

Zaspa eksplodowała i nie jeden, lecz dwa - niewiarygodne, żeby spotkać dwa naraz! - trolle nocnej, roślejszej rasy, o srebrzystym futrze wyskoczyły po obu stronach skrzata; i zanim Hob Jeden zdążył uciec, jeden z nich złapał go wielką, szponiastą łapą.

- Co to takiego? - spytał drugi troll zwracając się do tego, który go chwycił.

- Nie wiem - odparł drugi, przyglądając się skrzatowi. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy spojrzeć w górę; zdawali się nieświadomi obecności Jima i Neda. - Coś małego. Ledwie na jeden kęs,

Hob Jeden nie wzywał pomocy. Dzielnie gryzł fałd skóry między szponiastym kciukiem a

wskazującym palcem trolla, wbijając zębki w skórę, od której podobno odbijało się ostrze miecza.

- Milordzie... - zaczął Ned wystraszonym głosem i oba trolle spojrzały w górę, Jednak Jim już zdążył wpaść w jeden z rzadkich u niego ataków wściekłości. Niemal w tej samej chwili stanął na ziemi przed trollami i wycelował w nie palec.

- Stać!\* - rozkazał. Oba trolle natychmiast zastygły. Z ich pysków, otwartych do krzyku lub warknięcia, nie wydobył się jakikolwiek dźwięk. Ich ciała lśniły, jakby pokryła je warstwa

\* Nieprzetłumaczalna gra słów. Jim w rzeczywistości mówi „freeze!”, co w slangu amerykańskim oznacza „stać, nie ruszać się”. a dosłownie „marznąć, zamarzać” (przyp. (fum.).

topionego szkła.

Jim zmierzył je gniewnym wzrokiem. Dopiero po chwili ochłonął z wściekłości i zorientował się, że pod wpływem wzburzenia użył niewłaściwego słowa. Zamierzał posłużyć się dobrze mu znanym magicznym zaklęciem „bezruch”. Jednak dwadzieścia lat oglądania w telewizji filmów o policjantach i złodziejach sprawiło, że użył dwudziestowiecznego wyrażenia - a zaklęcie podziałało dosłownie.

Trolle po prostu zastygły.

Jim szybko spojrzał na Hoba Jeden, spodziewając się zobaczyć również jego pokrytego lodem i nieruchomego. Jednak nie. Najwidoczniej zaklęcie z błyskawiczną szybkością trafiło tylko w tych, przeciw którym było wymierzone. Mimo to, skrzat bezskutecznie usiłował wyrwać się z uścisku złodowaciałej dłoni.

Jim wskazał palcem na rękę trolla trzymającego Hoba Jeden.

- Puść!

Lód wokół dłoni troiła popękał, syjąc deszczem odłamków i palce rozchyliły się odrobinę. Hob szamotał się, lecz nie zdołał wyjść.

Jim sięgnął, rozgiął sztywne paluchy i wyjął skrzata, odruchowo przyciskając go do piersi. Hob złapał go za opończę i Jim czuł, jak małe ciało drży w jego objęciach. Popatrzył na niego i zobaczył, że Hob spogląda gdzieś w bok.

- Milordzie! uważaj! - zawołał. Jim rozejrzał się i dostrzegł nadbiegające ze wszystkich stron trolle.

- W górę, milordzie! - krzyczał skrzat. - W górę!

Jim poczuł, że coś popycha go do góry i zobaczył, że to smuzka dymu. Jednak wcale nie miał ochoty uciekać.

- Sam leć, Hobie - rzekł i próbował posadzić skrzata na dymie, lecz malec opierał się.

- Nie opuszczę, cię, milordzie! - zawołał piskliwym głosem. - Wsiadaj! Musisz wzbić się i odlecieć!

- Diabła tam! - Jim wyobraził sobie siebie i Hoba spowitego poświatą, której wewnętrzna, dotykająca ich część była chłodna, lecz zewnętrzna miała temperaturę wrzącej wody. W samą porę; pierwsze trolle dopadły go i wyciągnęły łapska, chcąc go schwycić, lecz natrafiły na aurę i odskoczyły, rycząc z bólu i złości.

- Teraz lepiej - rzekł Jim, stając przed nimi i nadal tuląc Hoba do piersi. Czuł jak wzbiera w nim wściekłość. - Chcecie złapać maga? No to już, do roboty!

Do tego czasu był otoczony przez trolle, jednak wszystkie trzymały się na odległość wyciągniętej ręki. Te z tyłu ryczały i warczały, lecz powoli i im udzieliło się milczenie pierwszych, stojących wokół Jima, aż wszystkie ucichły i zapadła cisza.

- Teraz lepiej - powtórzył Jim. Obrócił się do dwóch trolli, które wcześniej złapały Hoba.

- Puść - polecił. Spowijający je lód popękał; trolle zaczęły rozprostowywać ręce i nogi, jakby nie mogły uwierzyć, że znów mogą nimi poruszać.

Jim odwrócił się do tłumu.

- Nigdy - powiedział - nigdy nie atakujcie maga ani skrzata. Słyszycie?

Odpowiedziała mu martwa cisza. Trolle patrzyły na niego błyszczącymi ślepiami i o ile cokolwiek dało się wyczytać z ich okropnych pysków, były zbite z tropu, ale nie wystraszone.

- Ty - powiedział Jim, wybrawszy największego trolla w pierwszym szeregu otaczającej go hordy. - Co tu robicie? Po co tu przybyłyście? Odpowiadaj!

Troll spojrział na prawo i lewo, pod nogi, potem na Jima, i nic nie powiedział,

- Ja powiem! - zawołał ktoś z tyłu. Ktoś zaczął przeciskać się przez tłum, rozpychając na boki stojących na drodze i po chwili Jim zobaczył dwa identyczne trolle. Stały tuż przed poświatą. Nie tylko wyglądały identycznie, ale przybrały tę samą pozę, to znaczy oba podparły się pod boki.

- Co tu robisz, magu? To moje terytorium!

Jim wytrzeszczył oczy. Zdumiało go nie to, co powiedziały, lecz to, że jednocześnie wymówiły te same słowa i oba użyły zaimka „moje”.

- No, to spróbujcie mnie wyrzucić - odparł.

Oba przeszły go wzrokiem. Jim odpowiedział równie gniewnym spojrzeniem, rozważając dwie nęcące możliwości - stać się równie wielkim i wysokim jak diabeł morski Rrrnlf (choć nadal miałby siłę zwykłego człowieka, trolle nie wiedziałyby o tym) czy też zamrozić je wszystkie i po prostu zostawić tu jako żywe posągi. Nie, może to drugie rozwiązanie byłoby zbyt brutalne.

Jednak nie miał ochoty z nimi dyskutować. Czekał, aż znów się odezwą. Oba trolle zgodnym ruchem i nie mówiąc słowa, ostrożnie wyciągnęły ręce w kierunku poświaty, wyczuły ciepło, zanim jej dotknęły i cofnęły dłonie. Nadal spoglądały na Jima.

- No dobrze - rzekł Jim. - Wy mi powiecie. Co tu robicie?

- Czekam na Mnrogara - odpowiedziały.

- Ach tak, czekacie na Mnrogara - powtórzył Jim. - A więc po co są tu te wszystkie trolle? Czy one też czekają na Mnrogara? I niech mówi tylko jeden z was. Nie chcę, żebyście mówili do mnie jednocześnie. Obojętnie który, ale niech mówi tylko jeden.

- Muszę mówić obojgiem ust! - odparł troll idealnie zgranym chórem. - Jestem jedną osobą. Dlatego pokonam Mnrogara i zjem go. Jego terytorium będzie moje!

Jim rozdziawił usta.

- Co to ma znaczyć, że jesteście jedną osobą? - warknął. - Przecież widzę was dwóch.

- Nie. Jestem jeden. Matka rozdarła mnie na dwoje przy narodzinach, ale zawsze byłem jeden. Jestem jeden. Żyję jak jeden, jem jak jeden i walczę jak jeden. Mnrogar zginie. Żaden troll mnie nie pokona, mogę odebrać terytorium komukolwiek i kiedykolwiek, a teraz nadszedł czas, abym zabrał je temu, który zwie się królem trolli.

- I co ci z tego przyjdzie? - zapytał Jim.

- Wtedy nie będzie wątpliwości, kto jest królem trolli. Ponieważ, jeśli zagarnę jego terytorium, jak mogę zagarnąć każde, wszystkie terytoria będą moje. Nastal nowy czas dla królestwa trolli, a przynajmniej czas na nowego króla. Zagarnę wszystko, wszystko i zmiażdżę kości nie tylko Mnrogara, lecz także takich jak ty czy kogokolwiek, kto udaje silnego na tej wyspie. Wszystko będzie moje. Moje na zawsze!

Jim ze zdumienia zapomniał o gniewie. Chociaż Mnrogar był wielki, te dwa trolle, z których każdy był większy od pozostałych, razem mogły go pokonać. Szczególnie, że po blisko dwóch tysiącach lat był zmęczony życiem i jeśli Aargh miał rację - samotnością.

W nagłym przebłysku intuicji Jim pojął, iż właśnie dzięki temu Ciemne Moce mogły sądzić, że zdołają zakłócić przyjęcie u earla i wpłynąć na historię podczas świątecznej biesiady, na którą nie miały wstępu. Nie mogły niczego dokonać bezpośrednio, lecz takie zewnętrzne czynniki, jak działania trolli, mogłyby zrobić to za nie, ponieważ naturalni mają zdolność zmieniania historii, przynajmniej w pewnym zakresie.

Ta dziwna para mówiących jednocześnie i w pierwszej osobie trolli z pewnością urodziła się złączona jak syjamskie bliźnięta. Oczywiście, o ile mówiły prawdę i przyszły na świat jednocześnie, rozdzielone ostrymi kłami matki.

Nie miało żadnego znaczenia, czy naprawdę wierzyły w to, że są jedną osobą w dwóch ciałach,

czy też był to tylko sprytny plan uzyskania przewagi na innymi. Istotne było jedynie to, że inne trolle akceptowały ten stan. Jeśli te dwa łączyły nie tylko osobowości, ale i myśli, wyjaśniałoby to wiele spraw. Działając wspólnie, a nie pojedynczo, rzeczywiście mogły zwyciężyć każdego trolla, a ponadto upolować większą zwierzynę, a zatem jeść więcej niż pojedynczy troll. Byłoby więc jasne, dlaczego są większe od innych trolli, stojących teraz wokół nich.

- Powiedziałeś, że urodziłeś się jako jeden, a potem rozdarła was matka! - powiedział Jim. - Jak mam w to uwierzyć?

Bez słowa oba odwróciły się jednocześnie, pokazując Jimowi jeden troll prawy, a drugi lewy bok. Jim zobaczył u każdego brzydkie różowe blizny biegnące od dolnego skraju żeber do biodra.

I znów w milczeniu odwróciły się do niego.

- Jednak jeśli zostaliście rozdzieleni - rzekł im - nie możecie już uważać się za jedną osobę.

- Jestem jeden! - ryknęli jednocześnie.

Jim zdał sobie sprawę z tego, że te dwa trolle wierzyły w to, a sądząc po minach otaczających je pozostałych, one również. Jeśli tak, to zwycięstwo bliźniaków nad Mnrogarem rzeczywiście stworzyłoby groźną sytuację, jeżeli stworzenia miałyby tyle rozumu, żeby połączyć wszystkie trolle i wystąpić wspólnie przeciwko ludziom. Nawet jeśli nie dojdzie do tego, a inne trolle będą wykonywać rozkazy tych dwóch, to wszelka zwierzyna zostanie przepłoszona i w okolicy nie ocaleje jakikolwiek ślad zwierzęcego życia. Ta sama taktyka zastosowana wobec pobliskich farm i małych wiosek pozwoli trollom chwycić całe gromady zwierząt, a nawet ludzi.

W ten sposób królestwo Wielkiej Brytanii zostanie zniszczone w czternastym wieku jego istnienia, historia ludzkości wypaczona w zupełnie nieprzewidziany sposób.

Dwa trolle powiedziały jeszcze coś, ale Jim nie zwrócił na to uwagi. Był zbyt zajęty roztrząsaniem zupełnie nowego aspektu sytuacji. Nic dziwnego, że Feniks nie polecał tak, jak powinien. Naprawdę nic dziwnego. Jednak tego problemu nie mógł i nie powinien rozwiązywać od razu. Musiał wydostać się stąd i znaleźć trochę czasu do namysłu, przede wszystkim zaś naradzić się z Carolinusem, jeżeli zdoła znów nawiązać z nim kontakt, jakie należy podjąć kroki. Co gorsza, miał przeświadczenie, że zarówno on, jak i inni magowie mogą mieć w tych okolicznościach zakaz wtrącania się w sprawy trolli. Czy prawa, zgodnie z którymi działali magowie, pozwalały na taką ingerencję czy nie, to kolejne pytanie, na jakie chciał usłyszeć odpowiedź Carolinusa. Nie było sensu stać tutaj i rozmawiać z tymi dwoma i pozostałymi trollami.

- Mówię ci - syknął Jim najgroźniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć, spoglądając na stojącą przed nim parę - daję ci na to słowo maga. Pamiętajcie, co rzekłem! Jeśli ruszycie przeciw Mnrogarowi, będziecie zgubieni!

Powoli przeniósł wzrok na Hoba Jeden, którego wciąż zasłaniał dłonią.

- Chodź, Hobie Jeden - rzekł. - Zostawimy te trolle, żeby nabrały rozumu. Ruszajmy dalej w



podróż do miejsca przeznaczenia.

Z tymi słowami wyobraził sobie siebie i Hoba z powrotem w powietrzu obok Neda i natychmiast znaleźli się tam. Trolle na ziemi pod nimi wydały potężny ryk wściekłości i zawodu. Zerknąwszy w dół, Jim ujrzał ich zwrócone w górę twarze. Uwolnił Hoba, który puścił jego opończę i natychmiast dosiadł smugi dymu między Jimem a Nedom. Młodzieniec nadal unosił się w powietrzu tam, gdzie go zostawili, lecz jakoś zdołał obrócić się na brzuch, jakby próbował pływać w powietrzu.

- Widziałeś go? Widziałeś naszego pana? - bełkotał Hob Jeden do Neda. - Powstrzymał je. Wystraszył. Nie mogły nam nic zrobić!

- Wybacz, milordzie - rzekł Ned, wciąż usiłując wrócić do wyprostowanej postawy. - Wybacz, milordzie, ale nie mogłem zlecieć na dół, żeby ci pomóc. To prawda, że miałem tylko nóż, ale nie chciałem, abys pomyślał...

- Bynajmniej, Nedzie - przerwał mu Jim. - Chciałem, żebyś tu czekał. Zawołałbym cię, gdybym cię potrzebował, i wtedy mógłbyś wylądować na ziemi. Teraz obaj zapomnijcie o trollach, bo musimy jakoś dolecieć do zamku earla. Do jutra zostało niewiele czasu, a jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

## Rozdział 34

Poranne słońce jasno lśniło na bezchmurnym, błękitnym niebie, oświetlając turniejowy plac przed zamkiem, mieniący się od różnobarwnych proporczyków i chorągiewek wokół szranków oraz przed drewnianymi trybunami zatłoczonymi ciepło odzianymi widzami, jak na meczu piłkarskim pierwszej ligi. Przez całą długość placu biegła drewniana bariera, wzdłuż której mieli na siebie nacierać następni dwaj rycerze, każdy po swojej stronie. Miło byłoby powiedzieć, że słońce świeciło, jednak niedokładnie oddałoby to sytuację. Wcale nie było jasne, podobnie jak zimowe, ciemnoniebieskie niebo. Również w zdeptanej, pokrytej śniegiem ziemi, nieheblowanych deskach bariery i bezlitosnej bieli namiotów nie było nic szczególnie łagodnego.

Tak samo, skoro o tym mowa, jak w tłumie. Oczywiście zebrani tu panowie i panie z pewnością byli radośni i zadowoleni - niektórzy z nich już teraz rozweselali się jeszcze bardziej, zabrawszy ze sobą płyn rozgrzewający w postaci butelek wina. Jednak w tym dobrym humorze przyszli tutaj zobaczyć krew i przemoc, a może nawet śmierć. Stosunkowo niedawno, bo w 1318 roku, sir John Mortimer został zabity w czasie takiego turnieju jak ten i pochowany obok swych poprzedników w Wigmore Abbey. Prawdę mówiąc, lista śmiertelnych wypadków na turniejach była i wcześniej dostatecznie długa, a zaczynała się od szlachetnego Geoffreya z Bryttany, syna Henryka II Angielskiego, który został zabity podczas turnieju w roku 1168.

W każdym razie trybuny były zatłoczone. Jedyne wolne miejsce pozostało na lewo od earla, tam gdzie zazwyczaj siedział biskup Bath i Wells. Kościół oficjalnie nie aprobował takich ponurych igrzysk, więc biskupowi nie wypadało pokazywać się na imprezie. Pomimo to większość siedzących spodziewała się, że duchowny wślizgnie się tam później, zapewne przebrany w habit zwykłego mnicha z kapturem zarzuconym na głowę i zasłaniającym twarz. Gdyby przybył tu oficjalnie, jego

obowiązkiem byłoby wykląć turniej. Obowiązywały liczne zakazy i przepisy, począwszy od roku 1130, kiedy wydano edykt zabraniający grzebania w poświęconej ziemi tych, którzy zmarli w wyniku ran odniesionych podczas turnieju. Zazwyczaj spokojnie zapominano o tych obostrzeniach, lecz mimo to turniej nie był czymś, co biskup mógłby aprobować, niezależnie od tego, jak bardzo jego mężne serce rwało się ku temu, żeby samemu stanąć w szranki. Wiara i stanowisko nie pozostawiały mu innego wyboru, jak okazać dezaprobatę dla tego sportu.

Jednak nikt inny, może oprócz Jima, nie dźwigał ciężaru tyłu obowiązków. Młody mag siedział i właśnie jadł coś, co właściwie było śniadaniem, które opuścił kilka godzin wcześniej, kiedy wyszedł przed świtem na mroźne powietrze. Wtedy jego zadaniem (którego wykonania nie mógł odmówić) było udać się wraz z Brianem, Nedom Dunsterem, dwoma giermkami i kilkoma zaufanymi zbrojnymi po Mnrogara, jego zbroję oraz odyńca-konia i zabrać ich do lasu, gdzie nie będą przez nikogo widziani, jednak na tyle blisko, aby mogli przybyć, gdy nadejdzie kolej czarnego rycerza, co może nastąpić za kilka godzin.

Jim dodatkowo zabezpieczył się za pomocą prymitywnej techniki magicznej, którą wprowadził jakiś czas temu, czyniąc konia i trolła niewidzialnymi dla wszystkich prócz członków małej grupki wtajemniczonych. Nie obawiał się, iż któryś z widzów zechce oglądać turniej z tej strony pola. Ale droga przez las na pewno była pilnowana przez zbrojnych earla, więc każdy dzierżawca czy ktoś z pospólstwa musiałby się mocno tłumaczyć, gdyby schwymano go na wkradaniu się na zastrzeżony obszar. Jednak w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Teraz Jim i Brian jedli we względnej samotności w jednym z małych namiotów rozstawionych za wielkimi namiotami i niemal całkiem ukrytym za ich wysokimi ściankami. Mniejsze namioty miały wielorakie przeznaczenie: przechowywano w nich dodatkowe kopie, zbroje, trzymano konie, a w jednym z nich zawsze oczekiwał rycerz, który jako następny miał stanąć w szranki.

Jeszcze nie odbył się pierwszy pojedynek dnia, jednak sir Brian miał walczyć w drugim, a później jeszcze w kilku innych. Pierwszą walkę zaplanowano między sir Oswaldem Astonem i sir Michaellem Landem, dwoma gośćmi earla.

Brian w tym momencie nalewał sobie wino do kubka i był w zwykłym, porannym, wesołym humorze. Jim spoglądał nań ze złością, sam bowiem miał podkrążone oczy i całe ciało jak z żelaza, co odczuwał, ilekroć musiał wstać i przejść kilka kroków.

- Nie zamierzasz dolać trochę wody do tego wina? - rzekł do Briana. - Szczególnie, że zaraz będzie twoja kolej!

- Na świętego Ives'a, nie! - odparł wesoło Brian. - W takich chwilach wino ma tylko taką moc jak woda, gdyby nie smak, który zdecydowanie wolę od smaku czegoś ze studni.

Jim musiał przyznać, że Brian ma trochę racji. Jeśli tylko mogli, on i Angie zawsze gotowali każdą studzienną wodę, jaką musieli pić. Jednak przegotowana czy nie, woda z większości zamkowych studzien znacznie ustępowała tej, która płynęła w czystych i chłodnych górskich strumieniach.

- Kiedy Angie i Geronde przyjdą na trybuny? - zapytał. - Mówiły ci, Brianie?

- Och, powiedziałbym, iż na pewno już tam są - rzekł Brian. - Jeśli chcesz, mogę wysłać zbrojnego, żeby to sprawdził. Żadna z nich nie chciałaby opuścić ani jednego pojedynku.

Geronde z pewnością nie, pomyślał Jim, Jednak doskonale wiedział, że chociaż Angie przyjdzie, na pewno nie będzie się dobrze bawić. Miała świadomość, co grozi ludziom biorącym udział w tych pojedynkach. Jednak nie mógł powiedzieć o tym nawet Brianowi.

- Nie lubi zostawiać małego Roberta - rzekł.

- Mając dwie służące, piastunkę i jednego zbrojnego w komnacie, a drugiego przed drzwiami - odparł Brian - czego może się obawiać? Nie mówiłbym tego, ale jesteś starym i godnym zaufania przyjacielem, który zrozumie, że mieszam się w to jedynie z przyjaźni i troski, czy jednak nie sądzisz, że Angela chyba trochę za bardzo przejmuję się tym dzieckiem? W końcu za miesiąc czy dwa król może zabrać je wam i przekazać w ręce Agathy Falon jako najbliższej krewnej.

- Właśnie to niepokoi Angie - odparł Jim. Zniżył głos, ponieważ namiot nie był dźwiękochłonny i jakkolwiek w pobliżu nie powinno być nikogo oprócz zaufanych osób, o takich sprawach lepiej nie mówić głośno. - Angela jest przekonana, że Agatha nie chce, aby Robert dorósł, bo odziedziczy włości Falonów.

- Już mi o tym mówiłeś - odparł Brian. - Oczywiście, byłby to paskudny postępek, zrobić coś małego, ale... no cóż, będzie, co Bóg da...

Nagle urwał, odstawił kubek i podniósł się z przerażeniem na twarzy.

- Wstając tak rano, zupełnie zapomniałem! - powiedział do Jima. - Nie wypowiedziałem się. Czy w jednym z tych namiotów nie ma czasem księdza?

- Ktoś mi mówił, że jest - rzeki Jim. - Czekał chwilę. Pójdę i każę jednemu ze zbrojnych, żeby zaraz go sprowadził.

- Nie, nie - powiedział Brian, kierując się do odchylanej klapy namiotu. - Może inni rycerze czekają w kolejce. Gdybym chciał ich wyprzedzić, mogłoby to doprowadzić do ożywionej dyskusji, a mam już pełne ręce roboty z tymi, z którymi dziś się potykam na turnieju. Zaczekaj tu na mnie, Jamesie.

Wyszedł.

Jim cieszył się w duchu z tego, że na chwilę został sam. Podczas tych wszystkich przygotowań, wychodzenia i odprowadzania na miejsce Mnrogara z koniem, zachowywał się jak lunatyk. Zaczął budzić się dopiero, gdy zaprowadzili ich na miejsce i Mnrogar zwinął się w kłębek w małym namiocie, który dawał trollowi złudne poczucie bezpieczeństwa. Odyńca-konia po prostu przywiązali do drzewa i na czas oczekiwania zamienili z powrotem w dzika, tak więc mógł sobie ryc w śniegu i sprawdzać, co ciekawego leży pod spodem...

Jim usiłował zdecydować, co powinien teraz zrobić. Był przekonany, że w tej chwili czeka go coś niezwykle ważnego, ale nie mógł sobie nic przypomnieć. Tak jakby panujący wokół chłód

spowolnił jego procesy myślowe w takim stopniu, że trybiki ledwie się obracały, jak w silniku starego samochodu w równie zimny poranek w Michigan, ponad pięćset lat w przyszłości. Mróz wcale mu nie przeszkadzał. Jim miał na sobie kilka warstw odzieży, nie wspominając już o lekkiej zbroi i mieczu u pasa. Był zakutany tak, że nie czuł zimna. Teraz, kiedy przez chwilę posiedział w namiocie i podjadł sobie trochę, stwierdził, iż naprawdę jest mu ciepło.

Zasnął.

Zbudził go Brian, szarpiąc za ramię.

- Wstawaj! - mówił. - Muszę włożyć zbroję, Jamesie. Jest tu John Chester, który mi pomoże. Lepiej zajmij miejsce na trybunie obok Geronde i Angeli!

- Co? Ach... tak - mamrotał Jim. Niezgrabnie dźwignął się z krzesła i wytoczył z namiotu na słońce, które oślepiło go tak, że zmrużył oczy. Ruszył w kierunku końca przegrody i trybun.

Po drodze musiał przejść dość blisko skraju drzew, skąd dobiegł go głos:

- Jamesie!

To był Aargh.

Jim przystanął, potarł podbródek, jakby przypominał sobie o czymś, a potem odwrócił się i wszedł w las. Po przejściu kilku metrów znalazł czekającego nań wilka.

- Podeszedłem pod wiatr do trybuny najbliższej jak mogłem, nie wychodząc spomiędzy drzew - rzekł Aargh. - Twój troll ukryty wśród gości jest dziś na widowni. Wyraźnie czułem jego zapach.

Jim spojrzał w kierunku trybuny, a potem znów na Aargha.

- Jesteś pewien, że nie był to zapach Mnrogara? On jest za drzewami, kawałek dalej od tego namiociku, z którego właśnie wyszedłem.

- A umiesz odróżnić swoją lewą rękę od prawej?

- Oczywiście - odparł Jim. - Ale co to...

- Dlaczego?

- No, oczywiście...

Pytanie było takie proste, że trudno było znaleźć na nie odpowiedź.

- No cóż, po pierwsze, one są różne.

- Tak jak ten troll na trybunie różni się od Mnrogara - odrzekł Aargh. - Nie ma dwóch trolli, które pachniałyby identycznie, tak samo jak nie ma dwojga dwunogich o identycznym zapachu. Czego

oczekiwałeś?

- Chyba zadałem głupie pytanie? - zapytał Jim.

- Tak - potwierdził Aargh.

- Czy zdołałeś stwierdzić, w którym dokładnie miejscu trybuny znajduje się ten drugi troll?

- Nie z takiej odległości - odparł wilk. - Gdybym miał zgadywać, ale tylko zgadywać, powiedziałbym, że gdzieś na środku.

- Uhm - mruknął Jim. Ta informacja była bardziej niepokojąca niż użyteczna. Jednak Aargh zawsze mu pomagał bezinteresownie mimo często powtarzanego stwierdzenia, że nie ma żadnych zobowiązań wobec nikogo prócz siebie.

- Odnalezienie jego pozostawiam tobie - rzekł Aargh. - A tymczasem może zainteresuje cię, że armia trolli wkroczyła na terytorium Mnrogara. To miejsce, gdzie stoimy teraz, otaczają pierścieniem, jaki mógłbym przebyć w czasie, który zużyjesz na przejście reszty drogi do trybun.

- Tak blisko? - Ta wieść zaszokowała Jima. Nie wiadomo, dlaczego założył, że sprawy już nie mogą potoczyć się gorzej, lecz tylko lepiej. - Myślisz, że mogą pojawić się na turnieju?

- To trolle. Kto wie? - odparł Aargh. Potem dodał trochę łagodniejszym tonem: - Nie sądzę, Jamesie. Są zawsze głodne, a z ich punktu widzenia na trybunach jest mnóstwo mięsa. Jednak jest tam również pełno ludzi z mieczami, kopiami i koźmi. O ile znam trolle, wcześniej dwa razy pomyśla.

- Jednakże to oznacza, iż zamierzają zmusić Mnrogara, żeby wyszedł i walczył o to, co do niego należy, prawda?

- Tak.

- Wśród nich są bliźniacy trolle, którzy prawdopodobnie przewodzą hordzie. Wiedziałeś o tym?

- Wiedziałem.

- Nic mi o tym nie mówiłeś.

- A czemu miałbym mówić?

- Ci dwaj urodzili się zrośnięci i rozdzieliła ich matka - powiedział Jim. - Uważają, że mają prawo walczyć we dwóch przeciw Mnrogarowi... Dlaczego się śmiejesz?

Aargh gwałtownie zamknął paszczę.

- To będzie widowisko! - powiedział. - Myślę, że zarówno Mnrogara, jak i tych braci czeka spora niespodzianka.

- Czy Mnrogar może zwyciężyć ich obu?

- Może. Kto to wie? - odparł wilk. - Poczekamy, zobaczymy.

- Wiesz co, Aarghu - powiedział Jim, tracąc w końcu cierpliwość. - Doceniam to, że powiedziałaś mi o trollu na trybunie i tych, które nadchodzą, ale w innych sprawach niewiele z ciebie pożytku.

- Wy, ludzie, wiecznie udzielacie sobie rad - odparł Aargh. - Wilki tego nie robią.

Zapadła chwila ciszy.

- No to podpowiem ci coś - rzekł Aargh, - Lepiej zawiadom Carolinusa i to szybko.

- Bardzo bym chciał - powiedział Jim. - Ukrywa się przede mną. Jak mogę go znaleźć?

- To twój problem - stwierdził wilk i obrócił się. - Będę w pobliżu.

Zniknął wśród drzew i ich ostrych cieni, jakie rzucały na śnieg.

Jim również odwrócił się i ruszył z powrotem w przeciwną stronę, w kierunku skraju lasu i trybun. Sir Michael i sir Oswald już siedzieli w zbrojach na rumakach stojących na przeciwnych końcach bariery. Sir Oswald jeszcze wybierał sobie kopię.

Kiedy Jim podszedł do trybun, dostrzegł wciąż wolne miejsce obok earla. Spojrzenie Jima pobiegło dalej w bok i kilka rzędów niżej, gdzie odnalazło Angie siedzącą niedaleko Geronde, a ponadto wolne miejsce obok nich. Jim podszedł tam i wspinał się na górę, przepaszając na prawo i lewo siedzących niżej gości, między którymi musiał się precyzyjnie przemieszczać. W końcu dotarł do celu i opadł na wolne miejsce, które zostawiły mu kobiety. Dopiero kiedy usiadł, zdał sobie sprawę z tego, że Angie przysunęła się bliżej Geronde, obok której nadal pozostało wolne miejsce, z pewnością dla Briana, gdyby chciał się do nich przyłączyć. Z drugiej strony sąsiadem Jima był chudy, długonosy gość po sześćdziesiątce, który najwidoczniej przyszedł w towarzystwie czterech innych.

- Życzę miłego dnia, Smoczy Rycerzu - rzekł Jimowi do ucha, kiedy zgiełk przycichł.

- I ja tobie również, sir. Hmm... - zawahał się Jim, zwracając się do sąsiada.

Jednak starszy człowiek bez urazy przyjął to, że Jim zapomniał jego nazwisko i zaczął rozmawiać ze swoimi towarzyszami. Jim również odwrócił się do Angie.

- Nie spodziewałem się zastać cię tutaj tak wcześnie - powiedział.

- Nie wybierałam się tak wcześnie, ale zmieniłam zdanie. Umówiłam się, że za jakiś czas dostanę pilną wiadomość, po czym wyjdę i nie wrócę. Nie jest to najcieplejszy dzień tej zimy. Zmarzłeś, Jim?

- Trochę - przyznał, - Nie za bardzo.

- Masz, Jamesie - powiedziała Geronde. Wyciągnęła rękę przed nosem Angie, podając Jimowi jakieś zawiniątko. Odruchowo wziął je, a potem zauważył, że wystaje z niego szyjka kamionkowej flaszki z korkiem.

- Dziękuję, Geronde - rzekł, oddając jej flaszkę. - Muszę mieć jasny umysł, a dziś rano wypłem już dość zimnego wina zmieszanego z zimną wodą.

Geronde ponownie podsunęła mu butelkę.

- Spróbuj odrobinę - zachęciła. - Zasmakuje ci.

Zgodnie z zasadami ówczesnego dobrego wychowania postąpiłby nieuprzejmie odmawiając. Wyjął korek, przyłożył butelkę do ust i przełknął łyżek. Ku jego zdumieniu płyn nie był letni, lecz prawie gorący. Flaszka zawierała wino z korzeniami, jedną z nielicznych średniowiecznych mieszanek, jakie Jim lubił. W rzeczywistości było to po prostu zmieszane z przyprawami czerwone wino, które doprowadzano do wrzenia i gotowano przez kilka minut, w wyniku czego większość alkoholu odparowywała, a pozostawał łagodny, rozgrzewający napar. Jim z przyjemnością wypił kilka łyków.

- Mówiłam, że ci zasmakuje, Jamesie - rzekła Geronde, gdy Jim zamknął kamionkową butelkę i wraz z izolującą warstwą materiału oddał właścicielce. Zerknęła, czy korek dobrze siedzi w szyjce, i potrząsnęła zawiniątkiem, sprawdzając, ile zostało płynu.

- Beatrice - zaczęła. Beatrice była jedną z dwóch służących, które przywiozła ze sobą z zamku Malvern. - Przyjdzie za około pół godziny z nową butelką, więc...

Przerwał jej ryk trąby earlowego herolda, stojącego teraz tuż przed trybuną, na której siedział gospodarz, ale zwracającego się do wszystkich obecnych.

- Z waszym łaskawym przyzwoleniem, milordzie i oraz Jego Wysokości Edwarda, księcia Anglii, który siedzi obok, następna walka odbędzie się między sir Brianem Neville'em-Smythe'em a sir Amblysem de Brug!

Earl zezwolił łaskawym machnięciem ręki. Herold odwrócił się plecami do trybun i przyłożył długi róg do ust. Zadał przeciągle i z dużego owalnego namiotu wyjechali dwaj rycerze, którzy stanęli na przeciwnych końcach placu.

Na trybunach rozległy się donośne wiwaty. Brian był faworytem. Po nim zawsze spodziewano się wielkich rzeczy, a i sir Amb-lys był przeciwnikiem, którego nie można lekceważyć.

Obaj rycerze wzięli kopie od swoich pomocników i zajęli miejsca.

Za chwilę mieli ruszyć do natarcia.

Rozdział 35

Znów rozległ się dźwięk trąbki. Dwaj rycerze runęli na siebie i zderzyli się z głuchym

łomotem, łamiąc obydwie kopie. Brian siedział w siodle jak przyspawany. Sir Amblyls lekko zachwiał się, ale również utrzymał się na koniu. Obaj zawrócili na swoje miejsca, żeby wziąć następne drzewca i ponowić natarcie. Jednak w połowie drogi sir Amblyls nagle zaczął osuwać się na łęk siodła. Słudzy podbiegli, zanim runął na ziemię. Złapali go w porę i siedzącego na koniu sprowadzili z placu. Rycerz i koń zniknęli w dużym, owalnym namiocie.

Na trybunach znów rozległy się owacje.

- Geronde! - powiedziała groźnie Angie. - Jeżeli nadal będziesz mnie tak walić, to ci oddam. A umiem uderzyć!

- Błagam o wybaczenie, Angelo - powiedziała Geronde. - Poniosło mnie. Zazwyczaj obok mnie siedzi jakiś mężczyzna i mogę go tłuc, ile chcę. Wybacz, proszę.

Wzrok Angeli przez moment napotkał spojrzenie Jima w gwałtownym błysku zrozumienia. Oczywiście, pomyślał Jim, Geronde przeprosza za nieuprzejmość, jaką było jej nieprzystojne dla damy zachowanie. Nie za przykrość, którą mogła poczuć Angie. Przykrości należało ignorować.

- W porządku - powiedziała Angie. - Mogę zrozumieć twoje podniecenie. Czy Brian przyjdzie i siądzie z nami na chwilę?

- Nie wiem - odparła Geronde. - Czasem tak robi. Tym razem pewnie zechce pojechać na drugi koniec placu i sprawdzić, jak się czuje sir Amblyls. Brian jest prawdziwym rycerzem. Tak, widzicie, idzie tam.

Jim i Angie spojrzeli i zobaczyli, jak Brian, wciąż w zbroi, lecz na łagodnym koniku, a nie na swoim bojowym rumaku, objeżdża szranki, jedzie wzdłuż skraju lasu i do dużego namiotu, przy którym zsiada, a następnie wchodzi do środka. Nie zabawił tam długo. Po chwili znów się pojawił i powiedział coś do herolda sir Amblylsa, a raczej do tego, który stał przy namiocie, należącym do rycerza na czas tego pojedynku.

Herold przytknął róg do ust i odegrał dwa dźwięki, drugi wyższy od pierwszego. Widzowie znów zaczęli wiwatować.

- Ha! - powiedziała Geronde. - Sir Amblyls nie jest ciężko ranny. Jednak, oczywiście, jego koń i zbroja należą do Briana. Powinien zaraz do nas podejść, o ile nie zatrzymają go jakieś ważne sprawy.

Jednak Brian nie przyszedł. Zaczął się kolejny pojedynek. Jim usiłował wymyślić jakiś sposób na skontaktowanie się z Carolinusem, tak aby nie zwrócić uwagi żadnego innego maga. Jednak nie zdołał tego zrobić, więc się zdrzemnął. Angie obudziła go szturchnięciem na drugi występ Briana przeciw innemu rycerzowi, którego nazwiska Jim nie dosłyszał. Tym razem przeciwnik wyleciał z siodła i wylądował na zamrożonej ziemi z impetem, który Jimowi wydał się zabójczy. Zaraz chwycił się na nogi, pokazując, że nie jest ranny, i nawet ponownie dosiadł konia, którego Brian przytrzymał mu, nie zsiadając. Obaj odjechali do swoich namiotów.



Tłum przyjął to głośnym aplauzem. Jim po raz pierwszy tego dnia, zupełnie otrząsnąwszy się ze snu, szczerze podziwiał zręczność Briana. Wiedzieć, że twój najlepszy przyjaciel jest jedną z najlepszych kopii w Anglii, to jedno, a widzieć go w akcji to całkiem coś innego. Gdy patrzył, jak Brian powoli odjeżdża w kierunku swego namiotu, Jimowi wydało się, że wyczuwa jego spokojną pewność siebie, jaką ma ktoś, kto ani przez chwilę nie wątpił w wynik potyczki. Zastanawiał się, czy wyobraził to sobie, czy też tak dobrze zna Briana, że poznał to po sposobie, w jaki tamten siedział w siodle, podobnie jak sir Harimore ze sposobu noszenia miecza przez Jima i jego jazdy na koniu wyczuł w nim rycerza nie dorównującego mu umiejętnościami. Wciąż rozmyślając o tym, czy długotrwała znajomość nie rozwija czegoś zbliżonego do telepatii - na przykład on i Angie umieli porozumiewać się wzrokiem - Jim znów zapadł w drzemkę.

Później budził się jeszcze kilkakrotnie, słysząc donośne okrzyki tłumu, ale widocznie jeszcze nie przyszła kolej na następną walkę Briana, inaczej Angie szturchnęłaby męża. A gdyby odeszła, otrzymawszy wiadomość, którą uprzednio kazała sobie przynieść, niewątpliwie zbudziłaby go Geronde. Jednak żadna z nich nie zrobia tego. Mętnie uświadamiał sobie, że minęło już kilka godzin, aż nagle ktoś energicznie potrząsnął nim i Jim ujrzał przed sobą twarz Briana pod okapem zwykłego hełmu, a nie tego, którego używał w pojedynkach. Miejsce Angie było puste,

- Jamesie! - syknął mu do ucha Brian. - Pora iść!

Umysł Jima był już w stanie pełnej gotowości, lecz ciało jeszcze nie ocknęło się ze snu. Powłókł się za Brianem, mamrocząc słowa przeprosin, które były zaledwie cieniem tych, jakie musiał rozdawać na prawo i lewo, wchodząc na górę. Idący przodem Brian w pewnym stopniu torował mu drogę, więc większość przeprosin była niepotrzebna. Wyszedłszy z trybuny, zrównał się z Brianem i razem poszli wzdłuż barierki i dalej, aż skręcili ku namiotom przy bliższym końcu placu. Brian poprowadził go za owalny namiot do jednego z mniejszych, stojącego za nim. Wewnątrz byli tylko giermek Briana, John Chester, oraz Theoluf i czterej zbrojni Briana. Ten przecisnął się obok nich, posadził Jima na krzesło za stołem, na którym stał skórzany bukłak z winem i drugi, zapewne zawierający wodę i wyraźnie nietknięty.

Jim opadł na krzesło. Brian odkorkował i napełnił jeden z dużych, metalowych kubków. Wepchnął go Jimowi do ręki.

- Pij! - nakazał.

- O Boże, nie! - rzekł Jim. - Ani kropli więcej, Brianie. Chcę się ocknąć!

- Ja też chcę, żebyś się ocknął. Wypij do dna, to cię przebudzi! - powiedział Brian. - Musisz otrzeźwieć, Jamesie! Potrzebujemy twojego rozumu, bracie!

Łatwiej było ustąpić, niż się spierać. Jim przełknął trunek. Płyn był tylko trochę, jeśli w ogóle, cieplejszy od zimnego powietrza w namiocie, lecz jeżeli się zastanowić, nie mógł mieć temperatury niższej od punktu krzepnięcia, inaczej byłby zamarzał. Mimo to Jim zdołał jakoś opróżnić kubek.

- A teraz - rzekł z satysfakcją Brian - posiedź tu chwilkę, Jamesie, i pozwól działać dobremu winu. Tymczasem ja zamienię kilka słów z pozostałymi.

Odwrócił się do giermków i zbrojnych.

- Słuchajcie, Johnie i Theolufie - rzekł, - Wy i inni co najmniej po dwóch naraz trzymaliście straż przy trollu i odyńcu, prawda? Czy wydarzyło się coś niezwykłego? Coś, o czym chcieli byście nam opowiedzieć? Bo jeśli tak, to teraz jest najwyższy czas.

- Nie mam nic do powiedzenia, milordzie - powiedział John.

- Tak jest, sir Brianie - dodał Theoluf.

- To dobrze! - stwierdził Brian. - A troll nadal jest w swoim namiocie i pewnie śpi?

- Nie spał, kiedy ostatni raz do niego zajrzałem, milordzie - powiedział John. - Dzik wciąż był odyńcem i leżał na ziemi, może spał, a może nie.

- Świetnie! - rzeki Brian. - Teraz wracajcie do tych dwóch bestii i zostańcie tam, póki nie przyjdziemy do was z sir Jamesem. Wiem, że mieliście rozkaz trzymać wszystkich z daleka, ale teraz podwójcie wysiłki, żeby nikt nie podszedł bliżej, także inne trolle, jeśli jakieś zobaczycie. Gdyby któryś z was zauważył takiego stwora, niech podniesie alarm, a wtedy przynajmniej jeden z pozostałych niech przyłączy się do niego i z mieczami w dłoniach zaatakujecie go. Sądzę, że nie odważy się stawić czoła dwóm zbrojnym w miecze wojom.

Przez moment Brian miał w oczach błysk podobny do tego, jaki zapalił się w oczach tych, do których mówił.

- A zatem - ciągnął - macie podwoić straż przy odyńcu i trollu do czasu, aż przyjdziemy tam z sir Jamesem. Wszyscy prócz jednego - najlepiej, żebyś to był ty, Theolufie - pójdziecie z Johnem i ze mną do głównego namiotu, gdyż właśnie mam stoczyć ostatni tego ranka pojedynek z sir Harimore'em. John założy mi zbroję. Ty, Theolufie, powinienesz stać przed wielkim namiotem i obserwować walkę, a potem wrócić i powiedzieć sir Jamesowi, jak się skończyła. Rozumiesz, Theolufie? Nawet gdybym został ranny i nieśliby mnie do dużego namiotu, masz najpierw pójść prosto do sir Jamesa. Rozumiesz?

- Rozumiem, sir Brianie - odrzekł Theoluf. - Tak też zrobię.

- Dobrze! - powiedział Brian, klepiąc byłego żołnierza w plecy. - Wiem, iż mogę liczyć, że z twoim doświadczeniem potrafisz wykonać rozkaz.

Odwrócił się do swojego giermka.

- Kiedy będę gotowy, pójdiesz z nimi, Johnie, i do czasu naszego powrotu będziesz dowodził wszystkimi pilnującymi trolla i dzika. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, milordzie.

- A zatem ruszamy - powiedział Brian. Zerknął przez ramię na Jima. - Siedź tu spokojnie, Jamesie. Gwarantuję, że wysadzę sir Harimore'a z siodła i zaraz tu wrócę.

Giermkowie oraz zbrojni rozstąpili się, przepuszczając go, a potem ruszyli za nim. Jim został sam w namiocie. Siedział zadowolony z tego, że jest sam i - choć wydawało się to niewiarygodne - zaczynał odczuwać kojące działanie wypitego wina. To uczucie, powiedział sobie, mogło być tylko autosugestią, ale i tak było bardzo pożądane. Teoretycznie wino spożyte zaledwie przed kilkoma minutami nie powinno jeszcze działać. Z drugiej strony wyraźnie się uspokoił i... tak, niewątpliwie czuł, że rozjaśniło mu się w głowie i myślało znacznie łatwiej. Skutek wprost przeciwny do uspokajającego działania alkoholu. Jednak zimny trunek wypity na pusty żołądek w zimnym namiocie rzeczywiście mógł działać w nieprzewidywalny sposób. Albo tak było, albo po prostu uspokoił się, a spowodowany wzburzeniem nadmiar adrenaliny podziałał orzeźwiająco.

Szybko uzupełnił luki w pamięci. Najwidoczniej Brian ustalił, zapewne za wiedzą i zgodą - lub bez niej - sir Harimore'a, że ich pojedynek będzie ostatnim w tym dniu. Uzasadnione żądanie, zważywszy, iż obaj mieli równe szanse w rywalizacji o nagrodę dnia. Obaj byli faworytami, a ich potyczka miała się stać kulminacyjną chwilą tego ranka. W dodatku stwarzało to idealną okazję do pojawienia się czarnego rycerza, który rzuci wyzwanie grożące zburzeniem ustalonego porządku dnia.

Siedząc na trybunie, Jim rozmyślał, jak porozumieć się z Carolinusem. Teraz, kiedy rozjaśniło mu się w głowie, dostrzegł daremność takich prób. Jeżeli Carolinus nie chciał skontaktować się z nim wcześniej, to na pewno nie odezwie się teraz. Jim będzie musiał poradzić sobie sam. Słyszał ryk tłumu na trybunie, zapewne oznaczający, że sir Brian i sir Harimore w pełnym rynsztunku wyjechali ze swych namiotów. Odczekał chwilę, aż wybiorą kopie i przygotowują się do ataku. Po krótkim oczekiwaniu usłyszał trzask kopii uderzających o pancerze i przeraźliwe rzenie jednego z koni. Potem znów zapadła cisza.

Po raz pierwszy Jim niepokoił się o Briana. Instykt nakazywał mu wstać, wyjść z namiotu i sprawdzić, co się stało. Jednak Brian celowo wyznaczył Theolufa, żeby przyniósł Jimowi wieści, co oznaczało, że chciał, aby przyjaciel został ukryty w namiocie. A choć Jimowi rozjaśniło się już w głowie, podejrzewał, iż nawet teraz Brian potrafił znacznie lepiej od niego ocenić sytuację.

Usiadł i czekał. Po dłuższej jak wieczność chwili Theoluf odchylił klapę namiotu, przytrzymał ją i powiedział:

- Brak rozstrzygnięcia, milordzie - rzekł. - Obaj złamali kopie na tarczy przeciwnika i pozostali w siodłach. Wybiorą nowe kopie i spróbują się jeszcze raz.

- Przynajmniej nic mu się nie stało - mruknął Jim do siebie.

- Milordzie - rzekł Theoluf - chyba nie ma powodu do obaw. Słyszałem, jak dwaj doświadczeni i zręcznie władający kopią rycerze, nie umawiając się uprzednio, za pierwszym razem połamali drzewce bez żadnego uszczerbku dla siebie, po czym mogli zetrzeć się ponownie, ku wielkiej uciechu tłumu. Tak bywało.

Jim popatrzył i zobaczył, że Theoluf mierzy go bystrym spojrzeniem.

- Ja tylko powiedziałem, że tak bywało w czasach, gdy byłem zbrojnym w drużynie innego

pana.

Jim pomyślał, że zbyt często ci ludzie z czternastego wieku - z Brianem na czele - sprawiali, iż czuł się jak urodzony wczoraj. Oczywiście, z wielu różnych względów było bardzo pożądane, żeby podgrzać nastroje tłumu. Oprócz wszystkiego innego przygotowałyby to widzów na przybycie czarnego rycerza.

- Dziękuję ci, Theolufie - powiedział.

Giermek wyszedł i opuścił za sobą klapę namiotu.

Jim znów słuchał ryku tłumu i dźwięku trąbki dającej rycerzom sygnał do ataku. Znów odgłos zderzenia i kolejna denerwująca chwila nim Theoluf ponownie wetknął głowę do namiotu.

- I tym razem obie kopie złamane bez rozstrzygnięcia, milordzie - rzekł. - Będzie trzecia próba.

Odczekał moment.

- Może milorda zainteresuje, że nigdy nie widziałem i nie słyszałem, by dwaj rycerze potykali się więcej niż trzykrotnie bez żadnego rezultatu.

Odszedł.

A zatem, pomyślał Jim, teraz będzie prawdziwa potyczka. Wstał i chodził tam i z powrotem po namiocie. Moment wyczekiwania przed chóralnym okrzykiem tłumu oznaczał, że Brian i Harimore wyjechali z namiotów i wybierają kopie. Krążył niespokojnie po tej niewielkiej przestrzeni, czekając, aż sygnał trąbki wyśle rycerzy przeciwko sobie. Przez wyjątkowo długą chwilę nasłuchiwał łoskotu zderzenia potwornie wzmocnionego przez wyobraźnię. Wszystko to było bardzo przygnębiające. Jeszcze gorszy, nawet dla jego niedoświadczonych uszu, był prawdziwy odgłos uderzenia - głośniejszy od jakiegokolwiek, który słyszał w tym dniu.

Zapadła głucha cisza, a następnie tłum wydał przeciągły ryk przechodzący w cichy jęk. Potem znów cisza.

Jim ruszył do wyjścia z namiotu. Do diabła z niepokazywaniem się, jeżeli nawet o to chodziło Brianowi, kiedy kazał mu tu zostać. Jednak Theoluf wszedł, zanim Jim zdążył wyjść na zewnątrz i zatrzymał go.

- Istotnie, mogła to być trzecia potyczka bez zwycięzcy, milordzie - rzekł Theoluf - jednak sir Harimore'owi pękło lub ułamało się coś przy siodle. Powiadają, że to popręg, ale w takich wypadkach zawsze się tak mówi. Sir Harimore nie spadł, ale musiał przytrzymać się końskiej szyi i wypuścić kopię. Wcześniej oba drzewca złamały się tak, jak poprzednio. Dzięki temu sir Brian jest zwycięzcą dnia!

- Gdzie on jest? - zapytał Jim,

- Pojechał do dużego namiotu - odparł Theoluf. - Na pewno wkrótce przyjdzie do milorda. Może powinienem nalać mu kubek wina?

- Tak - zezwolił Jim, głośno bębniąc palcami po stole - zrób to. A gdybyś miał okazję zamienić z nim słowo, Theolufie, powiedz mu, że niecierpliwie na niego czekam.

- Tak, milordzie.

Nalał pełny kubek Brianowi, a Jimowi nieco mniejszą porcję. Jim uświadomił sobie coś, co powinien zrozumieć wcześniej - że musi pogratulować Brianowi zwycięstwa, co oznaczało wychylenie kolejnego kubka. Jednak tym razem przyjaciel nie będzie nalegał, aby to był pełny kubek, a poza tym Jim zamierzał jedynie przytknąć puchar do ust. Theoluf, napełniwszy kubki, wyszedł.

Jednak następną postacią, jaka pojawiła się w namiocie, nie był Brian. Był nią Aargh, który dosłownie wczołgał się pod tylną ścianką do środka.

Jim zdziwił się, że stworzenie tak ogromnej postury jak Aargh zdołało precyzyjnie się przesuwać przez tak wąską szczelinę. Wilk wstał i otrząsnął się, rozpryskując wokół śnieg i trochę błota. Spojrzał na Jima.

- Trolle podeszły bliżej - rzekł. Jim gwałtownie przystanął.

- Jak blisko? - zapytał. Aargh zaśmiał się bezgłośnie.

- Niezbyt blisko - odparł. - I nie podejdą bliżej. Widziały tu zbyt wielu uzbrojonych ludzi. Ci dwaj bracia mogą kiedyś nauczyć swoją horde walczyć całą gromadą jak ludzie, jednak ten czas jeszcze nie nadszedł. Zbyt wiele pokoleń trolli nauczyło się zmykać na widok pierwszego uzbrojonego dwunoga.

- Jednak niedaleko w lesie są Mnrogar i odyniec - powiedział Jim. - Jest przy nim John Chester z kilkoma zbrojnymi, lecz oni nie zdołaliby powstrzymać tyłu przeciwników, gdyby ci zechcieli dopaść odyńca, jeśli nie samego Mnrogara... Troll jest w namiocie.

- Wiem - odparł Aargh. - Nawet gdyby wiedzieli, że on tam jest - zresztą od dawna wyczuwają jego zapach - nie sądzę, aby bracia zaatakowali go teraz, otoczonego przez zbrojnych. A jeśli nie mają zamiaru atakować, to nie zechcą się pokazywać. Na razie nie ma powodu do obaw.

Jim odkrył, że wstrzymywał oddech, czekając na odpowiedź Aargha. Teraz odetchnął.

- Jednak - ciągnął wilk - sugeruję, żeby nikt nie zostawał w tyle, kiedy będziecie wracać na zamek. Samotnych lub idących w dwu- lub trzyosobowych grupkach, w zapadającym zmroku i przyciszającej się opodal hordzie złożonej głównie z nocnych trolli, prawdopodobnie nigdy już nie ujrzelibyście żywymi.

Jim skinął głową.

- Skoro w tej chwili nie ma powodu...

- Przybyłem powiedzieć ci o tym - rzekł Aargh - abyś dał Mnrogarowi eskortę, kiedy odegra już swoją rolę i będzie wracał do podziemi. Niektóre z tych trolli mogą być odważniejsze od innych. Jednak kiedy Mnrogar minie wylot lochu, żaden nie pójdzie za nim.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - warknął ze złością Aargh, ale zaraz złagodniał, - Wciąż zapominam, że wy, dwunodzy, jesteście pozbawieni węchu. Wszedłszy do tunelu, nie miałyby go tak samo jak wy.

Wszystko tam cuchnie Mnrogarem i są miejsca, gdzie mógłby zaczaić się i zaczekać aż przejdą, żeby skoczyć na nich niespodziewanie. I nie pomogłaby im ich liczebność, ponieważ któryś musiałby iść pierwszy, a żaden nie miałby na to ochoty. Zażarcie walczyłyby z każdym trollem usiłującym wepchnąć go do tunelu, woląc zginąć na miejscu niż w ciemnościach, od kłów i pazurów Mnrogara.

- A więc po co mu eskorta?

- Aby jak najdłużej ukryć przed nimi wylot tunelu.

- Och, rozumiem. No cóż, możemy to zrobić... - zaczął Jim, kiedy Brian wszedł do namiotu i stanął jak wryty na widok Aargha.

- Ty tutaj? - zapytał.

- Nie - odparł Aargh - jestem o pół dnia drogi stąd, wyjaśniając coś innej beznosej dwunogiej istocie.

- No, no - uspokajał Brian - miło cię widzieć...

- Przyszedł ostrzec nas, że trolle podeszły bliżej - powiedział Jim. - Jednak twierdzi, że odyńcowi i Mnrogarowi nic nie grozi, dopóki pilnują ich John i nasi ludzie.

- To dobra wieść - stwierdził Brian. - Chodźcie więc, nie ma czasu do stracenia. Ludzie zaczną opuszczać trybunę. Musimy zatrzymać ich na miejscu i jak najprędzej sprowadzić tu Mnrogara, Powiedziałeś, że będziesz miał herolda, Jamesie?

- Tak - odparł Jim. - Neda Dunstera, psiarczyka z moich włości. Widziałeś go przy namiotach. Jednak przyniosłem róg zaczarowany przez Carolinusa, który zagra sam, a potem przemówię do tłumu ustami herolda głosem nie należącym do niego ani do mnie. Pójdę po chłopaka.

- Będę w pobliżu - obiecał Aargh i ruszył w kierunku tylnej ściany namiotu. Tymczasem Jim już podchodził do wyjścia, a Brian deptał mu po piętach. Mag wyszedł na zewnątrz i prawie potknął się o Neda Dunstera, który stał tam i niecierpliwiał się.

- Wybacz mi, milordzie - rzekł Ned - ale sądziłem, że możesz mnie potrzebować.

Nie ulegało wątpliwości, że słuchał rozmowy w namiocie, jednak teraz nie było czasu, by o tym mówić. Ned miał już na sobie skórznie i kubrak znacznie ładniejsze od jego zwykłego ubrania, otrzymane od Jima po przybyciu na zamek earla. Założył też płaszcz herolda, będący po prostu kawałkiem tkaniny z dziurą na głowę, zakrywającym piersi i plecy, ukazującym z przodu i z tyłu wielką tarczę herbową na zielonym tle. W ręku trzymał magiczny róg.

- W porządku, Nedzie - powiedział Jim - szybko wyjdź przed wielki namiot i przytknij róg do ust. Wszyscy opuścili to miejsce, sądząc, że już koniec turnieju. Nie zwracaj uwagi na nic, cokolwiek powie do ciebie prawdziwy herold. Ja zajmę się wszystkim. Ty tylko bądź tam, trzymaj róg, aż zagra sygnał, a potem opuść go i stojąc twarzą do widzów, poruszaj wargami, jakbyś do nich krzyczał. Ja przemówię twoimi ustami.

- A ja idę po Mnrogara i jego rumaka - rzekł Brian - więc lepiej przygotuj osobę, która będzie jego giermkim, żeby go przedstawiła. Nic możemy pozwolić, by ktoś zobaczył mnie przy czarnym rycerzu. Czy Mnrogar jest już w zbroi, a dzik przybrał postać konia?

- Nie - odparł Jim. - Do licha, zapomniałem. Jednak mogę to zrobić za pomocą magii, zanim tam dojdiesz. Ruszaj, Brianie.

Brian oddalił się, a Ned, spojrzawszy na Jima i uzyskawszy aprobowane skinienie głową,

poszedł przed wielki namiot.

Spoglądając w ślad za chłopcem, Jim zobaczył, jak psiarczyk przykłada róg do ust i wyobraził sobie, że instrument wydaje trzy donośne dźwięki, głośniejsze i bardziej przeraźliwe niż jakiegokolwiek grane tego dnia. Prawdziwy herold odwrócił się i wytrzeszczył oczy na Neda, ale nie zdecydował się podejść do niego. Ned opuścił róg i stanął twarzą do trybun. Otworzył usta. Jim pozostał za namiotem, skąd nadal mógł widzieć Neda, samemu będąc niewidocznym dla większości widzów i nie zwracając niczyjej uwagi, ponieważ nie nosił zbroi. Przyłożył dłoń do ust i przemówił szeptem, skupiając się na wyobrażeniu głośnych, basowych i złowieszczych słów, dobywających się z ust Neda.

- To nie koniec turnieju! - zdawał się krzyczeć Ned. - Rycerz rzuca wyzwanie!

Widzowie na trybunach byli wyraźnie skonsternowani. Co najmniej połowa wstała już, szykując się do wyjścia, i czekała tylko, aż siedzący niżej zejną z drogi. Stłumiony pomruk zdziwienia i zakłopotania wypełnił przestrzeń oddzielającą trybuny od namiotów.

Jim, rozgrzany sukcesem pierwszego posunięcia, nagle przypomniał sobie, że jeszcze nie zamienił dzika w konia i nie włożył magicznej zbroi Mnrogarowi. Pospiesznie zamknął oczy i wyobraził sobie najpierw Mnrogara w zbroi, a potem odyńca jako ogromnego czarnego konia, całkowicie osiodłanego, wyszczotkowanego i ozdobionego czaprakiem z czarnego materiału ze złotym obrzeżem. Siodło i przytroczona do niego kopia, stercząca z uchwytu, także były czarne. Zbroja lśniła jednolitą czernią od masywnego hełmu z opuszczaną przyłbicą po żelazne buty chroniące i skrywające szponiasle łapy trolla. Jim poczuł, jak wszystko dosłownie układa mu się w myślach, gdy magia podziałała, zmieniając trolla i dzika. Odwrócił się i pospieszył tam, gdzie byli obaj.

Kiedy dotarł na miejsce, Mnrogar już siedział w siodle. Wyglądał niesamowicie: jak czarny olbrzym, który równie dobrze mógł wyłonić się przed chwilą ze skalnej szczeliny i niezbadanych głębin ziemi,

- W porządku - powiedział Jim. - teraz ja zajmę się wszystkim... nie, zaczekajcie. Brakuje jeszcze jednej rzeczy.

Scenariusz przybycia czarnego rycerza opracował w myślach i zupełnie zapomniał o pewnym szczególe. Przy pojawieniu się Mnrogara potrzebna była jeszcze jedna osoba, której rolę zamierzał zagrać osobiście.

- Konia! - zawołał. - Ja będę giermkim, wystarczy, jeśli w magiczny sposób zmienię moją twarz. Jednak potrzebuję wierzchowca. Czy mamy jakiegoś? Skąd możemy go zdobyć?

- Może wystarczy moja kobyła - zaproponował Brian. - Bo Blancharda z Tours tłum na trybunach poznałby od razu.

Miał całkowitą rację. Bojowy rumak Briana, na którego ten wydał cały swój majątek oprócz podupadłego, odziedziczonego zamku Smythe, był niemal tak sławny jak rycerz.



- Niech ją ktoś przyprowadzi. Szybko! - powiedział Jim.

- Już tu jest, milordzie - rzekł John Chester. Pobiegł i wrócił ze spokojnym wierzchowcem, którego Brian używał na co dzień. Ten zwodniczo szybki wałach nie był ani duży, ani szczególnie wytrzymały, natomiast dość dobroduszny, co nie wychodziło mu na dobre. Już osiodłano go dodatkowym siodłem Briana.

- Doskonale! - orzekł Jim. - Jednak muszę jeszcze zmienić kolor...

Pospiesznie usiłował wyobrazić sobie, że koń i ekwipunek przybierają tę samą barwę, jaką ma Mnrogar i jego rumak,

- Bach! Jesteś czarny - mruczał do siebie.

Jednak wałach tylko na chwilę przybrał błotnistoszary kolor, a potem znów stał się brązowy. Jim stanął w obliczu niemiłego faktu, że wizualizacji nie można dokonywać bez zastanowienia. Zrobił głęboki wdech, nakazał sobie spokój, zamknął oczy i skoncentrował się. Nagle wałach stał się czarny od uszu po kopyta. Tym razem kolor pozostał. Jim wskoczył na konia. Potem przypomniał sobie o Brianie.

- Brian, czy to w porządku...

- Pewnie - odparł Brian.

Jednak w tej samej chwili jakiś dziwnie chrapliwy głos przemówił na wysokości kolana Jima.

- Czy ktoś tu życzy sobie herolda? - powiedział. Jim spojrzał w dół i zamrugał oczami na widok szczupłego, dość zabawnie wyglądającego człowieka, stojącego tuż przy końskim boku. Nieznajomy miał dziwnie spiczastą brodę i przesadnie sterczące uszy, a pod nosem podkręcony wąsik w stylu detektywa Herculesa Poirot.

- Angie? - wykrztusił z niedowierzaniem Jim,

- Postanowiłam przyjść i pomóc - oznajmiła Angie; - Nadal potrzebujesz herolda?

- Nie - odparł Jim. - Jednak potrzebuję giermka!

Zeskoczył z siodła i pomógł usiąść w nim Angie.

- Jesteś niesamowita! Mnie mogliby rozpoznać - rzekł - ale ciebie nigdy nie poznają. Jak to... nie, zaczekaj, nie mów mi tego teraz. Musimy się spieszyć. Siedź na tym koniu, a ja będę mówił twoimi ustami.

## Rozdział 36

- Papier-mâché - powiedziała Angie, gdy trzymając wodze, wyprowadzał wałacha z żoną na grzbiecie z lasu za namiotami, skrywającymi ich nadejście przed oczami tłumu na trybunach.

- Papier-mâché? - powtórzył Jim. To słowo wywołało niejasny obraz pasków gazet moczonych w wodzie z klejem, a potem formowanych palcami w rozmaite formy. Wyjaśniło się, w jaki sposób zrobiła te sterczące uszy. Czternastowieczny papier zapewne nadawał się do tego, tylko jak go zabarwiła, że miał kolor skóry? Jim zebrał rozbiegane myśli i skierował je z powrotem ku ważniejszemu sprawom. Dotarł do wejścia wielkiego namiotu i stanął, a w tym momencie wpadł na nowy pomysł.

Nie zastanawiał się wiele nad tym, jak sformułuje wyzwanie Mnrogara. Jednak zaimprovizowana charakteryzacja Angie dała mu do myślenia.

- Zaczekaj chwilę - powiedział do niej i skupił się. Czarny materiał wyczarowany na czaprak odyńca-konia nagle ozdobiła grubsza wstęga dodanego na dole złotogłowiu. Cwinki na tarczy Mnrogara zostały zastąpione klejnotami - diamentami, rubinami i szafirami, a na bojowym hełmie trolla pojawiła się złota korona.

- Co do licha...? - zaczęła Angie.

- Zobaczysz, kiedy rzucę twoimi ustami wyzwanie - rzekł Jim. - A teraz, Angie, chcę, żebyś po prostu wyjechała zza namiotu i stanęła obok Neda Dunstera, przed Mnrogarem. Troll nie odezwie się słowem. Potem Ned przytknie róg do ust, a ja wyczaruję z niego dźwięk. Pozwól ostatniej nucie brzmieć przez kilka sekund w ich uszach. Potem otwórz usta i udawaj, że wypowiadasz jakieś słowa. Ja przemówię twoimi ustami i rzucę wyzwanie w imieniu Mnrogara. Zakończę je pytaniem - czy ktoś z obecnych zechce podjąć to wyzwanie?

- Założę się, że nie minie kilka sekund, a odezwie się drugi róg, potwierdzając przyjęcie wyzwania - powiedziała Angie.

- Ja też tak sądzę - rzekł Jim. - Jednak zaczekaj na to; a później odwróć się i przejedź obok Mnrogara, złap za uzdę jego konia i zaprowadź do wielkiego namiotu. Zarówno Mnrogar, jak i ty wyglądacie jak wcielone diabły, więc jestem pewny, że nikt ze służby nie przyjdzie wam pomóc. Brian, ja i nasi zbrojni będziemy tutaj. Mnrogar jest gotowy.

- To dlaczego chowasz go w namiocie? - spytała Angie. - Wydaje mi się...

- Nie chcę, żeby go widziano, kiedy nie walczy - odparł Jim. - On lub odyńec-koń mógłby zrobić coś, co wzbudziłoby podejrzenia. Słuchaj, kiedy potem wyjedziecie z namiotu, będziesz niosła jego kopię. Zsiądziesz i podasz mu ją. Wtedy Ned Dunster znów zabawi się w herolda, ja każę grać jego trąbie i Mnrogar spotka się z pierwszym rycerzem wybranym do walki z nim. Może przez jakiś czas będziemy musieli czekać w namiocie, aż rycerze chcący zmierzyć się z Mnrogarem ustalą, kto będzie pierwszy.

- Racja - powiedziała Angie. - Enna i piastunka są w naszych komnatach, zbrojni stoją na warcie, miałeś bardzo dobry pomysł, żeby umieścić Hoba Jeden w kominie.

- Och, wiesz o tym? - zdziwił się Jim. - Nie miałem czasu powiedzieć ci...

- Hob Jeden zaczyna mi ufać - powiedziała Angie. - Kiedy zostałam sama w pierwszym pokoju, przyszedł i po raz pierwszy ze mną porozmawiał.

Zamikła, gdyż za nimi pojawili się Brian, Mnrogar na odyńcu-koniu i pozostali. Jim odwrócił się do nich, gdy stanęli tuż za magicznie zmienionym wałachem Briana.

- No dobrze, Brianie - powiedział Jim. - Angie jest gotowa jechać jako giermek, a Mnrogar powinien podążać jakieś trzy metry za nią. Jest gotowy?

- Tak - odparł Brian. - Tobie pozostawiam decyzję, kiedy ma wyjechać i co robić. Od czasu, gdy Carolinus rzucił na niego czar, słucha wszystkich poleceń. Jednak niewątpliwie najlepiej będzie, jeśli od tej pory tylko ty będziesz wydawał mu rozkazy. Teraz muszę wracać na trybuny, aby być na miejscu, kiedy rycerze zaczną zgłaszać chęć potykania się z Mnrogarem. Jako zwycięzca turnieju mam pierwszeństwo.

- Brianie! - powiedział Jim. - Chyba nie chcesz jechać przeciwko Mnrogarowi? Wiesz, co on może zrobić, szczególnie na tym odyńcu-koniu...

- Och, z przyjemnością potykałbym się z nim. Może... ale nie - dokończył Brian - przecież chcemy, żeby Mnrogar wygrał wszystkie pojedynki. Oprócz mnie największe prawo do potykania się z czarnym rycerzem ma sir Harimore. Oczywiście ustąpi mi pierwszeństwa, jednak ja powiem, iż Blanchard lekko kuleje i nie chcę ryzykować ponownie, stając dziś w szranki. Wszyscy rozumieją, że żaden rycerz nie będzie walczył na kopie, nie mając porządnego wierzchowca. Harimore domyślił się, iż to tylko wymówka, ale będzie wiedział, że nie mówię tego z braku chęci do walki. Uzna to za kurtuazyjny gest, ponieważ to pęknięcie poprzęgu w ostatnim starciu sporo go kosztowało.

Angie bezskutecznie usiłowała stłumić chichot, Brian przez chwilę spoglądał na nią ze zdumieniem, a potem znów zaczął mówić.

- Później - ciągnął - może zgłosić się, kto chce. Ze względu na rozmiary i okropny wygląd Mnrogara przewiduję co najmniej pół tuzina chętnych. Ponadto pamiętasz, jak rozmawialiśmy o kimś w tłumie, kto zasugerowałby, że Mnrogar może nie być człowiekiem, więc potykanie się z nim jest obowiązkiem każdego chrześcijanina. Będę tam, by poprzeć tę koncepcję, gdyby ktoś wątpił, czy pojedynk z czarnym rycerzem znikąd nie jest poniżający dla prawdziwego szlachcica.

- Zapomniałem o tym - rzekł Jim. - W porządku, Brianie. Jeśli chcesz, możesz ruszać od razu. Mnrogarze, słyszysz mnie?

- Tak - usłyszeli głuchy i lekko zniekształcony głos dolatujący z ogromnego hełmu.

- Masz udać się spokojnie za tym giermkim, który pojedzie konno przed tobą. Masz nic nie mówić. Herold zadmie w róg, a giermek przekaże wieść. Potem giermek przejedzie obok ciebie, weźmie wodze twojego konia i zaprowadzi was obu z powrotem do namiotu, gdzie zaczekacie do pierwszego pojedynku. Pamiętaj, masz nic nie mówić. Giermek powie wszystko, co będzie konieczne. Rozumiesz mnie, Mnrogarze?

- Tak - powtórzył Mnrogar.

- Zatem do roboty - rzekł Jim. - Jedź już, Angie. Mnrogarze, ty też ruszaj. Kiedy giermek zatrzyma się, ty również stań i nie ruszaj się, aż wróci po ciebie.

- Tak - rzekł Mnrogar.

Angie chwyciła cugle wałacha i wyjechała zza namiotu na plac przed trybunami. Mnrogar pojechał za nią. Na widok ogromnej czarnej postaci na wielkim czarnym rumaku tłum wydał przedziwny dźwięk, niemal jęk, wyrażający strach zmieszany z zachwytem. Angie ściągnęła wodze i zatrzymała wałacha. Za jej plecami Mnrogar szarpnął wodze odyńca-konia, osadzając go w miejscu. Stojący przed nimi Ned Dunster przytknął róg do ust.

Zerkając zza namiotu, Jim skupił się na dźwięku trąbki - tym razem pojedynczym, przeciągłym i zakończonym upiornym jękiem. Pamiętał z dwudziestego wieku taki odgłos wydawany przez kobzę. Dźwięki wywarły pożądaną skuteczną, ale były zupełnie niepotrzebne. I tak uwaga wszystkich skupiła się na Angie i Mnrogarze. Podczas studiów Angie występowała w amatorskich teatrykach i Jim miał wrażenie, że teraz świetnie się bawiła odgrywaną rolą. Swobodnie obróciła wierzchowca tak, że stanęła twarzą do odległych trybun, podczas gdy Mnrogar nadal spoglądał wzdłuż barierki.

Otworzyła usta i czujnie obserwujący to Jim dał jej dudniący głos, który odbił się echem po trybunach, głośniejszy od ludzkiego głosu.

- Mój pan, Czarny Rycerz, nie pochodzi od kobiety czy mężczyzny. Jednak jest królem swego kraju i przybywa tu, nakazując mi rzucić wyzwanie wszystkim obecnym. Oto jego słowa: Przybywam tu nie po to, aby wziąć udział w turnieju, lecz by ujrzeć angielskich rycerzy padających pod ciosem mej kopii, jeśli tylko są tu jacyś dostatecznie śmiali, którzy stawiają mi czoło?

Na trybunach zapadła głucha cisza, a potem rozległ się narastający ryk gniewu i podniecenia. Earl pochylił się i krzychał coś do swojego herolda. Natychmiast zagrzmiął róg. Jakaś postać w mnisim habicie przechylała się do earla nad siedzącą obok postacią w czerwonym płaszczu. Ktokolwiek to był, najwyraźniej protestował. Earl nie słuchał.

Angie zawróciła i pojechała z powrotem, chwytając po drodze uzdę Mnrogarowego konia i prowadząc go do wielkiego namiotu. Niosący heroldowy róg Ned Dunster poszedł za nimi.

Gwar na trybunach słychać było nawet w środku namiotu. Angie zsiadła z wałacha i rzuciła wodze. Koń posłusznie stał w miejscu. Spojrzała na Jima.

- Czy Mnrogar także nie powinien zsiąść? - zapytała. - Domyślam się, że chwilę potrwa, zanim zdecydują, kto zmierzy się z nim pierwszy. Hałas był taki, jakby wszyscy wrzeszczeli, ile sił w płucach. Nigdy nie widziałam tak wzburzonego tłumu.

- A tak - rzekł Jim. - Mnrogarze, możesz zsiąść z konia. Johnie, Theolufie, jeden z was lub ze zbrojnych niech przytrzyma wodze jego konia. Nie chcemy, żeby się spłoszył i zaczął biegać po namiocie. Nie ma tu na to miejsca.

Theoluf wziął wodze i przekazał je stojącemu w pobliżu zbrojnemu, który skrócił je i trzymał tuż przy końskim pysku. Zazwyczaj nawet domowa służba Jima robiła się nerwowa, widząc jego magiczne umiejętności. Teraz zauważył, że wszyscy wykonawcy planu zdają się traktować go jak interesujące przedstawienie.

W namiocie stało łóżko, najwyraźniej przeznaczone dla rycerza, który zostałby ranny w pojedynku, oraz kwadratowy stół i pięć krzeseł. Na jednym z nich siedziała już Angie.

- Jak zamierzasz obserwować stąd potyczki? - zapytała.

- Lekko uniosę skraj namiotu z ziemi - powiedział. - To łatwe. Aargh krążył tutaj i przechodził pod nim bez trudu, więc powinien dać się unieść na tyle, żebym mógł wszystko widzieć.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Angie, która siedziała tyłem do turniejowego placu. - Właśnie nadchodzi.

Jim obrócił się na swoim stołku. Rzeczywiście, skraj namiotu uniósł się i przeszedł pod nim Aargh, tym razem nie czołgając się, lecz tylko przysiadając. Wszedł do środka, przystanął i spojrzał na nich z bezgłośnym uśmiechem,

- Trolle podeszły jeszcze bliżej - oznajmił. - Jednak nie za blisko. Są rozszoszczone. Nie mogą zrozumieć, co Mnrogar robi w zbroi i dlaczego jeździ na koniu, który cuchnie jak dzik. Zaskoczyłeś je. Spodziewają się, że dwunodzy mogą robić dziwne rzeczy, ale wszystkie stworzenia chodzące na czterech łapach powinny zachowywać się tak jak zawsze. W przeciwnym razie świat wywraca się do góry nogami.

- Czy mogą się zdenerwować na tyle, żeby sobie poszły i nie niepokoiły więcej ani nas, ani Mnrogara? - zapytała Angie.

- Nie - odparł Aargh. Położył się i zaczął wylizywać sobie przednią łapę.

- Och, masz poranione łapy! - wykrzyknęła Angie, zrywając się z krzesła i przykucając, żeby obejrzeć wilka. - Co się stało?

- Nie pogrzebiesz w lodzie i zamrożonej ziemi bez kilku zadrapań - wyjaśnił Aargh. - To nic. Oczyszczę je językiem i za dzień czy dwa będą takie jak przedtem.

Angie wróciła na swoje miejsce za stołem.

- Prawdę mówiąc, mam jeszcze inne wiadomości, które mogą was zainteresować - ciągnął wilk. - Wraca tutaj Brian.

- Już? - zdziwił się Jim. - Myślałem, że zaczeka chwilę i wymknie się, kiedy nikt tego nie zauważy. Jeśli wraca tak szybko, to może coś się nie udało.

- Wątpię - zaprzeczyła Angie, - W tej chwili nikt tam nie myśli o niczym innym poza Mnrogarem. A skoro o tym mowa, czy wiedziałeś, że na trybunach jest Carolinus? W taki dzień jak

ten jego czerwony płaszcz widać z daleka.

- Carolinus! - powtórzył Jim, prostując się na krześle. - Mam nadzieję, że tu zostanie. Próbowałem porozumieć się...

- Wiem - powiedziała Angie. - Dlatego o tym wspomniałam.

- Myślałem, że oboje o tym wiecie - rzekł obojętnie Aargh, nadal liżąc łapę długim jęzorem. - Inaczej sam bym o tym wspomniał.

- Siedzi obok earla - ciągnęła Angie - i kogoś w mnisim kapturze. Podejrzewam, że to biskup. Agatha Falon zajmuje miejsce po drugiej stronie earla, a dalej siedzi młody książę.

- To na pewno biskup - stwierdził w zadumie Jim - skoro posadzono go tak blisko earla. Jak sądzicie, co robi tam Carolinus?

Aargh nie kwapił się z odpowiedzią.

- Nie mam pojęcia - odrzekła Angie - ale jeśli mam zgadywać, to myślę, że chce nam pomóc.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwił się Jim.

- Na pewno dobrze wie, jak zamierzasz wykorzystać Mnrogara.

- No pewnie - rzekł Jim. - Powiedziałem mu o tym, tak samo jak Aarghowi, gdy tylko wpadłem na ten pomysł. To on pomógł mi wprowadzić go w życie.

Spojrzał na Mnrogara, który zsiadł z konia i - ku lekkiemu zdziwieniu Jima - po prostu przykucnął, sprawiając wrażenie, że jest mu tak wygodnie pomimo pancerza i ciężkiego ekwipunku. Pozycja owa była zupełnie naturalna dla wypoczywającego trolla, jednak widok tak olbrzymiego rycerza w pełnej zbroi - a szczególnie zbroi inkrustowanej złotem i ze złotą koroną na hełmie - odpoczywającego w taki sposób, był bardzo niepokojący. Rycerze nie kucają, a przynajmniej Jim nigdy nie widział, żeby któryś to robił, a już na pewno nie w zbroi.

- Och - powiedział Jim - możesz na razie zdjąć hełm, Mnrogarze.

Troll zrobił to, ukazując swe okropne oblicze. Jim znów obrócił się do Angie.

- Dlaczego sądzisz, że Carolinus przybył, aby nam pomóc? - zapytał. - Mógł pojawić się tutaj z wielu rozmaitych powodów.

- Tylko tak pomyślałam. - odparł Angie. - Może Brian powie nam o tym coś więcej, kiedy tu przyjdzie.

- Mam nadzieję - rzekł ponuro Jim, zerkając przez szparę w zasłonie u wyjścia z namiotu. - Muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

Jednak minął dobry kwadrans, zanim Brian wkroczył do namiotu. Przez ten czas Angie siedziała spokojnie, a Jim denerwował się.

- Wcale nie musiałem przypominać, że obowiązkiem rycerza jest walka z potworami - oznajmił Brian, wchodząc do środka. - Carolinus już wcześniej podsunął im tę myśl.

- Widzisz, Jim - powiedziała Angie - mówiłam ci, że przybył, aby nam pomóc.

- Rzeczywiście, chyba taki ma zamiar, Angelo - rzekł Brian. - Był bardzo zajęty, rozmawiał z earlem i lordem biskupem. Dobry biskup uważa, że nikt nie powinien potykać się z tym nieznanym rycerzem i przestrzega przed kontaktami ze złym duchem. Carolinus dał mu tę samą odpowiedź, jaką proponowałeś, Jamesie: że obowiązkiem rycerza jest walczyć z takimi bezbożnymi stworami, jak również z innym złem. Earl, oczywiście, nigdy nie uważał inaczej. Sam chciał zmierzyć się z Czarnym Rycerzem. Naturalnie zaraz podniosły się głosy sprzeciwu, przypominające mu o jego pozycji, obowiązkach względem gości i innych powodach.

- Mimo to znaleźli się chyba jacyś rycerze zdecydowani walczyć, co?

- Nie brakuje chętnych - odparł Brian. - Jednakże turniej trwał dość długo i już minęła seksta. Sam wyjrzyj na zewnątrz, Jamesie, a zobaczysz, że słońce przeszło zenit. Dlatego też zdecydowano, iż wystarczy czasu tylko dla pięciu rycerzy, chcących się potykać. Inaczej trzeba by odwołać ostatni obiad, nasz ostatni wspólny posiłek w tym roku, zważywszy czas potrzebny na powrót do zamku i przebranie się przed przyjęciem w wielkiej sali,

- Sir Harimore pojedzie pierwszy, tak? - spytała Angela.

- Tak. Bardzo uprzejmie przyjął moją opowieść o kulejącym Blanchardzie. Jednak nie, Angelo, pospieszyłem się. Pojedzie, oczywiście, ale raczej ostatni niż pierwszy. Uważano, że jeśli któryś z pozostałych rycerzy byłby w stanie wysadzić Czarnego Rycerza z siodła, to powinni mieć jakąś szansę. Prawdę mówiąc, nie sądzę, aby któryś ją miał. Harimore'owi może się to udać, lecz to zależy od tego, jak posłuży się swoją kopią. Sądzę, iż on nie zdaje sobie sprawy z czegoś, o czym ja wiem.

- Co to takiego? - zaciekawiała się Angie.

- Och, to taka sztuczka z kopią - odparł niedbale Brian. - Nie chcę cię męczyć szczegółami, lady.

- Nie męczysz mnie, Brianie - powiedziała. - Jeśli jednak chcesz to zatrzymać dla siebie, to bardzo proszę.

- Dziękuję, Angelo. Chętnie tak zrobię. Jamesie, jak już mówiłem, wybrano pięciu rycerzy. Nie wiem, kto pierwszy spotka się z Czarnym Rycerzem. Johnie?

Wyglądający z namiotu John Chester odwrócił się do Briana.

- Tak, milordzie?

- Czy wywieszono jakiś proporczyk pierwszego rycerza, który zmierzy się z Czarnym Rycerzem?

- Tak, milordzie - powiedział John Chester. - Herb przedstawia kłos zboża i topór.

- Sir Murdock Tremaine - rzekł wesoło Brian. - Dobry w kopii, ale bardziej ufa szybkości swego konia niż zręczności ręki. Jamesie, powinniśmy przygotować Mnrogara. Przy drugim namiocie zaraz dadzą sygnał, bo nie wywiesiliby proporczyka, gdyby sir Murdock nie był w środku, szykując się do walki.

- Racja! - przytaknął Jim.

Podstawili odyńca-konia, a Mnrogar dosiadł go i byli gotowi w samą porę, gdyż na drugim końcu placu rozległ się dźwięk trąby. Ned Dunster w stroju herolda poszedł za jadącą na wałachu Angie, prowadząc czarnego rumaka i jeźdźca, po czym należycie ustawił go na pozycji. Angie zsiadła z konia, podała Mnrogarowi kopię, a troll wziął drzewce i starannie umieścił je tak, jak nauczył się dzięki wysiłkom Carolinusa i Briana - skośnie nad końską szyją, z grotem skierowanym na przeciwnika po drugiej stronie bariery. Angie ponownie wsiadła na koń i pojechała z powrotem do namiotu.

- Teraz, Nedzie! - powiedział jfim przez szapkę w zasłonie.

Ned przytknął róg do ust, a Jim odegrał jeden przeciągły dźwięk.

Obaj rycerze siedzieli na koniach, czekając. Potem znów rozległ się dźwięk trąby i sir Murdock runął do ataku. Mnrogar wystartował trochę później, lecz zdążył się rozpędzić, zanim wpadli na siebie. Kopia sir Murdocka pękła na dwoje, lecz choć Mnrogar niezręcznie wymierzył swoją, trafiając wysoko w tarczę przeciwnika, uderzył z wystarczającą siłą, aby wyrzucić rycerza z siodła. Kopia Mnrogara, oczywiście, rozsypała się przy tym w drzazgi, lecz to nie było istotne.

Rozpęd poniósł odyńca-konia jeszcze dziesięć metrów. Potem Mnrogar ściągnął wodze, zawrócił i stępa pojechał na swój koniec pola, całkowicie ignorując sir Murdocka, leżącego nieruchomo na ziemi, oraz jego konia, usiłującego wstać. Na szczęście z namiotu na drugim końcu placu biegli już słudzy i po chwili sir Murdock usiadł o własnych siłach i z niewielką pomocą stanął na nogi. Przeprowadzono mu innego, mniejszego konia, którego dosiadł i powoli odjechał do namiotu.

- Niezręcznie, bardzo niezręcznie! - orzekł Brian, zerkając przez szparę wyciętą sztyletem w ścianie namiotu, przez którą razem z Jimem oglądali pojedynek. - W innych okolicznościach doświadczeni widzowie na trybunach zadawaliby sobie pytanie, dlaczego sir Murdock tak łatwo wyleciał z siodła po uderzeniu w górną część tarczy. Jednak teraz założę się, iż wszyscy spoglądali raczej na Mnrogara niż na biednego Murdocka. Zapewne nie będą mieli żadnych pytań. Jednak ja, Jamesie, dziwię się, że tak wysoko wymierzone i najwyraźniej lekkie uderzenie mogło wyrzucić rycerza z siodła.

- No cóż - odparł Jim - masa... chciałem powiedzieć, że zapewne sprawiła to łączna waga



Mnrogara i odyńca-konia.

- Oczywiście masz rację - rzekł Brian. - Na pewno; cięższy rycerz i koń pokonają w polu lżejszego przeciwnika...

Angie wjechała na wałachu do namiotu, prowadząc odyńca-konia, i siedzącego na nim Mnrogara, milczącego i bez jakichkolwiek śladów stoczony walki. Dopiero przy dokładnych oględzinach można było dostrzec zadrapania na czarnej tarczy. Jednak żaden kamień nie odpadł od niej i nie poluzował się.

- Przy okazji, muszę ci pogratulować - Jim niespodziewanie usłyszał w myślach głos Carolinusa. - Troll i jego wierzchowiec spisali się naprawdę bardzo dobrze. Co dowodzi, że świetnie radzisz sobie ze swoją magią. Ten trzeci dźwięk trąby twojego herolda to majstersztyk. Musisz kiedyś powiedzieć mi, jak na to wpadłeś.

- Carolinusi! - powiedział na głos Jim, zapominając się. Angie i Brian spojrzeli na niego badawczo.

- Zamierzałem tylko powiedzieć, że chciałbym się z nim skontaktować - dodał pośpiesznie Jim. - Nie zwracajcie na mnie uwagi.

Znowu zajęli się Mnrogarem, któremu kazali zsiąść, oraz wierzchowcem, którego ustawili tak, aby mógł niezwłocznie wyjść, kiedy trębacz da sygnał do następnego pojedynku.

- Psst - rzekł Carolinus. - Powinieneś znaleźć jakąś lepszą wymówkę, Jamesie. Jednak, jak właśnie miałem powiedzieć, chociaż nieźle radzisz sobie ze swoją magią, jesteś jeszcze trochę zielony. Zdecydowanie klasa C, ale nieco toporna. Praktyka, Jamesie, zawsze ci to powtarzam. Praktyka czyni mistrza!

To nie praktyka, pomyślał buntowniczo Jim, pozwoliła mi tego dokonać, ale własne pomysły i wyobraźnia. Chyba że samo posługiwanie się magią można uznać za praktykę.

- W każdym razie cieszę się, że nawiązałeś ze mną kontakt, Carolinusi - pomyślał. - Bardzo chciałem z tobą porozmawiać...

- Nie teraz, chłopcze - przerwał mu Carolinus. - Wezwałem cię tylko po to, żeby cię ostrzec. Zarówno troll, jak i dzik spisują się naprawdę dobrze i dalej powinno tak być. Jednak muszę cię przestrzec, że jakkolwiek szok emocjonalny, na przykład gdyby któryś z nich został przeszyty lub zraniony w jakiś sposób kopią przeciwnika, może zerwać czar, który został na nich rzucony. Pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

- Co mogę na to poradzić? - spytał Jim,

Jednak nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Widocznie Carolinus już przerwał połączenie.

Rozdział 37

Sir Bartholomew de Grace miał się za chwilę zetrzeć z Mnrogarem.

Brian z zadowoleniem wydłużył rozcięcie w ścianie namiotu i rozszerzył je, tak że widzieli prawie cały plac turniejowy, na którym mieli spotkać się przeciwnicy. Na drugim końcu pola właśnie podano sir Bartholomew kopię, a tuż przed namiotem Angie oddała tę samą przysługę Mnrogarowi. Troll ponownie wziął ją machinalnie i obojętnie, wymierzył, a potem spokojnie siedział, czekając na sygnał do ataku.

Jim zostawił w wejściu do namiotu maleńką szparkę, przez którą patrzył, jak przygotowywano Mnrogara, a po chwili przyłączył się do Briana stojącego przy wyciętym otworze. Towarzyski Brian poszerzył szczelinę i zaproponował Jimowi, żeby jeszcze rozciągnął jej lewy brzeg, jeśli chce. Razem wyglądali na zewnątrz.

Sir Bartholomew był doskonale widoczny. Mnrogara na razie zasłaniał namiot. Jednak zaraz usłyszeli dźwięk trąby i ujrzeli trolla. Czarny odyniec-koń już przechodził z cwału w galop, a z drugiego końca pola nadjeżdżał sir Bartholomew, jeśli nie z taką szybkością jak poprzedni przeciwnik trolla, to jednak największą, do jakiej zdołał zmusić swojego bojowego rumaka. Na razie lekko trzymał kopię, tak że chwiała mu się w ręce. Chwyci ją mocno dopiero tuż przed zderzeniem. Jednak Mnrogar stopniowo też się tego nauczył.

- Wytrwały i bardziej doświadczony od poprzedniego, ten sir Bartholomew - zauważył Brian, nie odrywając oczu od szpary w płótnie. - W bitwie na otwartym polu wołałbym mieć u boku jego niż wielu innych. Chociaż nienadzwyczajnie posługuje się kopią...

Nie zdążył - dokończyć, gdyż w tym momencie dwaj nacierający rycerze starli się ze zwykłym łomotem i traskiem łamanych kopii. Tym razem grot Mnrogara trafił w sam środek tarczy i tak jak poprzedni jeździec, sir Bartholomew wyleciał z siodła i runął na ziemię, gdzie legł nieruchomo. Podobnie jak przedtem, Mnrogar potrzebował dziesięciu lub piętnastu metrów, żeby zatrzymać wierzchowca i zawrócić. Potem pojechał z powrotem, znów nie zaszczycając powalonego rycerza nawet krótkim spojrzeniem.

Kiedy sir Murdock został zrzucony z konia, tłum wydał gniewny okrzyk. Tym razem krzyk rozległ się znowu, lecz zmieszany z głuchymi jękami.

Jim nie miał pojęcia, czy wyrażały one zawód spowodowany niepowodzeniem sir Bartholomewa czy też trwogę wywołaną siłą, z jaką rycerz został wyrzucony w powietrze. W każdym razie Mnrogar podjechał na swoje stanowisko, a Angie zaprowadziła go do namiotu. Odyniec jeszcze dyszał i był wyraźnie niespokojny, pomimo czaru rzuconego nań przez Carolinusa, ale Mnrogar zachowywał się tak obojętnie, jakby kopał sobie nową pieczarę. Wjechawszy do namiotu, ściągnął wodze rumakowi, zsiadł z niego, przykucnął na ziemi, zdjął hełm i czekał, patrząc w przestrzeń.

- Prawie się wstydzę - rzekł Brian - że przyłożyłem rękę do pokonania takich dwóch zacnych rycerzy, mimo iż żaden z nich nie jest zaliczany do pierwszych kopii. Tak jak powiedziałaś, Jamesie, to waga jego i wierzchowca dają taką przewagę. Zaprawdę, gdybym miał stać z boku i osądzać, z tą wiedzą, którą posiadam, musiałbym uznać to za nieczyste zwycięstwa, osiągnięte niegodnymi metodami.

Głos Briana nie zdradzał żadnych emocji, lecz Jim wyczuł w nim wyraźne samooskarżenie.

- Pamiętaj, Brianie, iż to w godnym celu - przypomniał.

- Och, tak. Ja też tak sobie mówię - odparł Brian. - Mimo to wolałbym osiągnąć go w jakiś inny sposób.

Jim zerknął na przykucniętego nieopodal Mnrogara, jednak troll wydawał się traktować ich słowa równie obojętnie jak powalonych przeciwników.

Spojrzenie Briana pobiegło w ślad za wzrokiem Jima.

- Oczywiście, dla niego to nie ma znaczenia - rzekł ponuro Brian. - Dla takich jak on zwycięstwo w walce jest jak dla człowieka rąbanie drzewa. Konieczna praca, nic więcej. On nie wie, co to honor i odwaga.

- I chyba nie powinieneś tego oczekiwać, nie uważasz, Brianie? - rzekł Jim. Nigdy nie spodziewał się, że stanie w obronie trolla. Jednak od czasu, gdy widział gwałtowną reakcję Mnrogara na myśl o utracie terytorium, o utrzymanie którego walczył przez prawie dwa tysiące lat, i jego łzy, których nigdy by się nie spodziewał, nie mógł odmówić trollowi posiadania uczuć. - Być może reaguje w taki sposób, ale na inne rzeczy, do jakich my nie przywiązujemy żadnego znaczenia.

Brian odwrócił się od trolla.

- Niewątpliwie, masz rację, Jamesie - powiedział. - Jednak przez te wszystkie lata, zanim nauczyłem się władać kopią, zbyt wiele razy byłem wśród przegranych, aby brać to pod uwagę.

Nagle od strony drugiego namiotu nadleciał donośny ryk trąby.

- Hmm, druga strona też nie postępuje zbyt szlachetnie - stwierdził Brian, gwałtownie potrząsając głową. - Kolejny przeciwnik, tak szybko? Wstępują w szranki jeden po drugim, żeby następny jeździec miał do czynienia ze zziąjanym koniem i zmęczonym jeźdźcem. Radzę, żebyś zwlekał z odpowiedzią na ten sygnał, jak długo chcesz, Jamesie. To im dobrze zrobi, tym na trybunach, jeśli przez chwilę będą chuchać w dłonie, zanim troll i jego koń odpoczną przed walką.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne, Brianie - orzekł Jim, spoglądając na Mnrogara i odyńca-konia. - Mnrogar zachowuje się jak na niedzielnym spacerku, a myślę, że gdyby odyniec był w swojej zwykłej postaci, rozszarpałby nie tylko nas, ale namiot i wszystko dookoła, ponieważ jeszcze nie ochłonął po pierwszym starciu, nie mówiąc o ostatnim. Tylko dzięki magii spokojnie czeka tu z nami.

- Możesz masz rację - mruknął Brian, patrząc na czarnego wierzchowca. - Zwyczajny koń po takiej szarzy pociłby się, parskał i wywracał ślepiami. Ten jest tylko trochę zdenerwowany i otrząsa się od czasu do czasu. Mimo to radziłbym ci wstrzymać się nieco, zanim wykonasz kolejny ruch. I tak następny przeciwnik musi zaczekać, aż troll stanie gotowy do walki.

- To coś, na czym ty się znasz, a ja nie - powiedział Jim. - Tylko po co czekać? Sądząc po tym, jak uporał się z pierwszymi dwoma przeciwnikami, Mnrogar bez trudu...

- Nigdy tak nie myśl, Jamesie! - przerwał mu Brian. - Najlepszą kopię na świecie może pokonać jakiś nieoczekiwany drobiazg. Błąd, przeoczenie, wola boska - wybieraj!

- No cóż, to brzmi sensownie - rzekł Jim. - Pomyślałem, że zrobiłoby to większe wrażenie, gdyby Mnrogar stanął tam od razu i bez trudu pokonał następnego rycerza.

- Może - przyznał Brian - gdyby zdołał. Jednak jak już mówiłem, poprzedni dwaj nie byli najlepszymi, a ponadto zawsze należy liczyć się z wymienionymi przeze mnie okolicznościami, mogącymi zamienić pewne zwycięstwo w porażkę. Ponadto nierozsądnie jest rezygnować z honorowo uzyskanej przewagi. Pech jest zawsze przyczyną, gdy ktoś nieznany pokonuje mistrza. Kiedy potykałem się na kopie zaledwie rok, przypadkiem zwyciężyłem pewnego sławnego rycerza i natychmiast uznałem, że już wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Byłem głupcem, nie biorąc pod uwagę tego, że mogłem zawdzięczać wygraną jakiemuś niesprzyjającemu mu przypadkowi. Tak więc, gdy spotkaliśmy się następnym razem, byłem pewny siebie, a on zmiotł mnie z siodła jak piórko. Co zaś do innych, ważniejszych powodów, jeśli chcesz, mogę podać ci dwa.

- Jakie?

- Po pierwsze - zaczął Brian - jeśli wyślesz Mnrogara, nie czekając, aż przyjdzie czas, zagrasz tak, jak chcą tego oni, zamiast odwrotnie. Czwartego rycerza mogą wysłać przeciw trollowi jeszcze szybciej, pewni, że w ten sposób zdołali go osłabić i następnym razem może im się udać. A wtedy nie będziesz mógł zwlekać, gdyż przekonaliby się o swej racji. Tymczasem, nie pozwalając się ponaglać, prześlesz im wiadomość, że wiesz, co próbują osiągnąć i gardzisz tym.

- Rozumiem - rzekł Jim.

- Po drugie - ciągnął rycerz - czekając, sprawisz wrażenie, że nasz jeździec i koń potrzebują dłuższego odpoczynku, a więc rzeczywiście mogą być osłabieni, co może wywołać nadmierną pewność siebie następnych przeciwników. Pamiętaj, że ostatnim jest sir Harimore, najgroźniejszy z nich, przy spotkaniu z którym trollowi przyda się wszelka możliwa pomoc. Lepiej, żebyś ty ich wciągnął w pułapkę, którą próbują zastawić. Możesz tylko zyskać. Jak już powiedziałem, Jamesie, nie przegap żadnej szansy, obojętnie jak małej. Może być potrzebna.

- To słuszna uwaga - rzekł Jim. - W porządku, zaczekamy.

- Tymczasem - orzekł Brian, siadając przy stole - ty i ja możemy pokrzepić się kubkiem wina w towarzystwie lady Angeli.

- Obawiam się, Brianie, że muszę odmówić - powiedziała Angie, która wcześniej usiadła za stołem.

- To cię rozgrzeje, lady - zachęcał Brian.

- Dziękuję - odparła Angie - ale już jest mi ciepło. Sądzę, że raczej zrezygnuję.

Siedzieli i rozmawiali. Jim oceniał, że minęło nie więcej niż piętnaście minut, zanim Brian opróżnił swój kubek i wstał od stołu.

- Rzekłbym, że nadszedł już czas, aby Mnrogar wyjechał na plac - orzekł. - Wyczekiwanie to dobra rzecz, ale nie chcemy z tym przesadzić.

Wszystko potoczyło się ustalonym trybem. Jim i Brian patrzyli przez dziurę w namiocie, jak Mnrogar i jego przeciwnik czekają na sygnał, który wyśle ich przeciw sobie.

- Czyja teraz kolej? - zapytał Jim, usiłując dostrzec herb na proporczyku targanym podmuchami zimnego wiatru.

- Sir Reginald Burgh - odparł Brian, - To northumbriański rycerz, tak jak Giles, chociaż z przeciwnego krańca... a co to? Spójrz, Jamesie! Czy zauważyłeś, kiedy jego rumak obrócił się, ukazując boczny widok, że pancerz sir Reginalda wydaje się nie zasznurowany do końca? Jak coś takiego mogło się zdarzyć? Zastanawiam się, czy...

Od strony trybun nadleciał dźwięk trąbki. Koń sir Reginalda natychmiast runął naprzód, a sekundę później z prawej w polu widzenia pojawił się pędzący Mnrogar. Jeźdźcy mknęli ku sobie z zawrotną szybkością.

- Ha! - zakrzyknął nagle Brian. - To sztuczka! Tak myślałem! Patrz na jego tarczę, Jamesie!

Tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim rycerze starli się w szrankach, ale wcale nie musiał tego mówić. Jim sam to dostrzegł.

Sir Reginald w ostatniej chwili pochylił się w siodle - właśnie dlatego jego pancerz nie był zasznurowany do końca, by umożliwić ten niewielki skłon. Ponadto odchylił tarczę pod ostrym kątem w tył, żeby grot kopii Mnrogara ześliznął się po niej. Poluzowanie troków pancerza i pochylenie tarczy może nie było zbyt honorową, ale dozwoloną sztuczką w walce na kopie. W tego rodzaju potyczkach rzadko miał znaczenie sposób, w jaki odniesione zostało zwycięstwo, chyba że rzucał cień na honor oglądających lub jakiejś ważnej osoby. Podstęp był bardzo skuteczny i z pewnością udałby się, gdyby Mnrogar wiedział cokolwiek o walce na kopie. Jednak, na szczęście, troll znów źle wycelował kopię, która uderzyła w tarczę sir Reginalda niżej, niż powinna, tak że w rezultacie ten bokiem spadł z konia. Dlatego jego upadek nie był tak spektakularny jak pierwsze dwa. Mimo to był to upadek. Mnrogar z tą samą niewzruszoną obojętnością przejechał obok niego i wrócił do namiotu.

Czwarty rycerz stawiał czoło Mnrogarowi po stosownej przerwie, jaka nastąpiła po walce z sir Reginaldem Burghem. Był nim sir Thomas Hampter, ogromny mężczyzna, który siedział w siodle jak przyspawany.

Tym razem obaj przeciwnicy wymierzili bezbłędnie. Mnrogar trafił kopią dokładnie w środek tarczy sir Thomasa, który celował jeszcze dokładniej. Jednak Mnrogar pozostał nieporuszony, podczas gdy sir Thomas, chociaż utrzymał się w siodle, przechylił się na bok i najwyraźniej nie był w stanie pokierować koniem, aż przybiegli słudzy i odprowadzili go, nadal pochylonego i podtrzymywanego przez lokaja.

- A teraz - rzekł Brian, odwracając się od rozcięcia w ścianie, gdy sir Thomas zniknął w

drugim namiocie na przeciwległym krańcu pola - sir Harimore.

W tym momencie Mnrogar wjechał do namiotu. Zsiadł, zdjął hełm i znów przysiadł na podłodze. Nie było po nim widać ani śladu zmęczenia. Odyniec-koń to zupełnie inna sprawa. Pomimo magii Carolinusa, trzymającej go w ryzach i pozwalającej nim kierować, zaczął zdradzać chęć wyrwania się i niszczenia. Przyprowadzony stał w miejscu, ale grzebał nogą - na szczęście to jedyny odruch wspólny dla dzika i konia - i od czasu do czasu wydawał dziwne odgłosy, które chyba miały być pochrząkaniem, lecz brzmiały jak coś w rodzaju końskiego parskania.

- Czy nadal będzie posłuszny Mnrogarowi, Jamesie? - zapytał Brian, spoglądając na zwierze. - Jeżeli jest jakiś rycerz, przy spotkaniu z którym nie powinien się buntować, to na pewno sir Harimore.

- Nie mam pojęcia, Brianie - odparł Jim. - Nie wiem, co zrobił mu Carolinus ani w jaki sposób. Jestem jednak pewny, że to coś przekracza moje możliwości, czyli że lepiej, jeśli nie będę manipulował przy zakłęczach, które rzucił. Dajmy mu po prostu odpocząć. Może się uspokoi.

Brian wyglądał na ubawionego gwarowym zwrotem bezwiednie użytym przez Jima, lecz nic nie powiedział.

Usiedli przy stole, za którym znów znalazła się Angie.

- Czego oczekujesz po sir Harimorze? - spytał Jim Briana.

- Trudno powiedzieć, Jamesie - odparł Brian. - W tym względzie nie wiem więcej, niż gdybym sam miał się z nim potykać. Musimy po prostu zaczekać i przekonać się.

Tak też zrobili i nie było to zbyt długie oczekiwanie, ale też nie za krótkie. Spoglądając przez szparę w otworze wejściowym namiotu, Jim doszedł do wniosku, że ludzie na trybunach są albo bardzo rozżłoszczeni tym, że czterech ich rycerzy padło pod kopią Mnrogara, albo nie mogą się doczekać ostatniej walki, szczególnie ze względu na osobę sir Harimore'a, którego reputacja była wszystkim znana.

Jednak czas płynął i wreszcie przy drugim namiocie zagrała trąbka. Brian nie zwlekał. Kazał Mnrogarowi dosiąść konia, który trochę ochłonął, ale nadal wyglądał tak, jakby zaraz miał zacząć wierzgać i toczyć pianę z pyska. Jednak Mnrogar trzymał jego wodze żelazną ręką, więc wierzchowiec posłusznie wyszedł z namiotu i stał spokojnie, gdy Mnrogar brał swoją kopię.

Tym razem oczekiwanie na dźwięk trąbki, będący sygnałem do rozpoczęcia ataku, było równie denerwujące dla czekających w namiocie Mnrogara, jak dla widzów na trybunach. Na drugim końcu pola, dzierżąc swoją kopię, czekał sir Harimore. Siedział pewnie i spokojnie na grzbiecie swego rumaka.

W końcu zagrała trąbka. Konie skoczyły naprzód i popędziły po przeciwnych stronach oddzielającej je barierki. Sir Harimore wyglądał tak jak zawsze i przy każdej czynności - jakby całkowicie panował nad sytuacją. Siedział w siodle swobodnie i z godnością, lekko trzymając w

dłoni kopię aż do ostatniej chwili, a potem chwycił ją mocno i przycisnął łokciem do okrytego pancerzem boku. Łoskot uderzenia był chyba głośniejszy niż podczas poprzednich walk, jakie stoczył Mnrogar.

Obie kopie rozpadły się w drzazgi. Mnrogar pognął dalej na odyńcu-koniu, wyraźnie nie odniósłszy żadnej szkody.

Wrócili do swoich namiotów.

- Och, cudownie. Naprawdę cudownie! Wiedziałem! - wykrzykiwał zirytowany Brian, gdy tylko Mnrogar znalazł się w środku. - A raczej powinienem wiedzieć. Oczywiście, Harimore chciał stoczyć dwa pojedynki, żeby uczynić walkę bardziej interesującą. A ponadto, jak często zdarza się w takich przypadkach, tym razem Mnrogar po prostu doskonale trzymał kopię. Teraz Harimore będzie potykał się z nim ponownie, a przy naszym szczęściu, troll pewnie wcale nie trafi ani jego, ani konia.

- Hmm, może nie - rzekł Jim. - Staraj się dostrzegać jaśniejsze strony sytuacji, Brianie,

- Ha! - rzekł Brian. - Jaśniejsze strony.

- W każdym razie - powiedział Jim - odyniec-koń wygląda normalnie. Może przyzwyczyił się do tego szarżowania wzdłuż barierki na nie znanych mu jeźdźców i konie.

- Możliwe - rzekł Brian - ponieważ trenował tylko z kukłami i tym rycerzem wyczarowanym przez maga.

- Cóż, powiedz mi - pytał Jim - czy jest dziś w szczytowej formie? Spisuje się tak samo czy lepiej niż przedtem? A może gorzej?

- „Tak”, na każde z tych pytań, Jamesie - odrzekł posępnie Brian. - Tego nie można przewidzieć. On potrafi posłużyć się kopią prawie jak chrześcijanin trzy lub cztery razy z rzędu, a potem wcale nie trafić w przeciwnika.

- Chyba jednak zrobił jakieś postępy? - nalegał Jim.

- Och, walczy coraz lepiej - odrzekł Brian. - jednak tylko w pewnym stopniu. Spójrz na niego teraz...

Jim popatrzył. Mnrogar przysiadł na podłodze, zdjął hełm i patrzył w przestrzeń.

- On po prostu nie czuje walki na kopie!

- Tak - odezwał się niespodziewanie Mnrogar.

Jim i Brian popatrzyli na niego ze zdumieniem. Oblicze trolla straciło dotychczasowy nieobecny wyraz. Brzydki pysk wykrzywił się w grymasie wściekłości.

- Tamten z kijem powiedział do mnie coś, kiedy przejeżdżał obok - oznajmił.

- Powiedział? Co? - zapytał Jim.

- Nie wiem - warknął Mnrogar, podnosząc głos. - Nie dosłyszałem. Dlaczego w ogóle coś mówił? Jest na mojej ziemi. I śmie coś do mnie mówić!

- Och, to jedna ze sztuczek Harimore'a - rzekł Brian. - Jego przeciwnik ma nie dosłyszeć, co Harimore do niego mówi. Zaczyna sobie wówczas wyobrażać coś, zazwyczaj najgorszą możliwą rzecz, jaką mógłby mu powiedzieć Harimore. To go denerwuje, a zdenerwowany przeciwnik to niemądry przeciwnik.

- Hmm, najwyraźniej podziałało na Mnrogara - zauważył Jim.

- Racja - przytaknął Brian, w zadumie spoglądając na trolla. - Powiedział to tylko w tym celu, żeby cię rozzłościć, trollu.

- Jestem zły! - oznajmił Mnrogar.

- No to nie bądź, Mnrogarze - powiedział pospiesznie Jim. - Wydał ten odgłos tylko dlatego, żeby cię rozgniewać, żebyś popełnił błąd, który pozwoli mu wygrać. Przecież nie chcesz tego, prawda?

- Wygrać? Ze mną nikt nie wygra! - warknął Mnrogar.

- Jednak on może, jeśli rozzłości cię tak, żebyś nie mógł wycelować kopii - ostrzegł go Jim,

- Kopii!

Wargi, szczeka i język trolla najwidoczniej nie były przystosowane do spluwania, ale to słowo zabrzmiało tak, jakby je wypluł.

- Zgniotę go i pożrę jego kości!

- Nie, nie zrobisz tego, trollu! - warknął Brian. - Pojedziesz najlepiej, jak umiesz i użyjesz kopii najzręczniejsz, jak potrafisz, i to wszystko! A teraz myśl o tym, dopóki nie wsiądziesz na konia i ruszysz do walki!

Mnrogar wydał nieartykułowane warknięcie, spoglądając w kierunku drugiego namiotu, jakby mógł go dostrzec przez płócienną ścianę.

Rozdział 38

Na drugim końcu pola zagrała trąbka.

Mnrogar bez ponaglenia włożył hełm i wsiadł na konia. Wyprowadzono ich z namiotu i chwilę później Jim i Brian zajęli swoje miejsca przy rozciętej ścianie. Jim rozciągnął ją tak, że mógł widzieć Mnrogara i jego wierzchowca.



- Mam nadzieję, że odyniec-koń nie poniesie i nie narobi zamieszania - rzekł.

- Och, ja nie martwię się o konia, lecz o trolla - powiedział Brian.

- O Mnrogara? - Jim na moment oderwał oczy od szpary i zerknął na przyjaciela. - Przecież znasz jego możliwości. W każdym razie nie powinien spisać się gorzej niż zwykle. Natomiast dzik jest rozwścieczony i rwie się do walki...

- Tak samo jak troll - wtrącił Brian. - Przedtem był spokojny. Niedobrze.

Jim zamierzał jeszcze coś powiedzieć, lecz właśnie dano sygnał i rycerze runęli do ataku. Obaj pędzili szybciej niż w poprzednich walkach i starli się z łoskotem, który nawet niewprawne ucho Jima uznało za najgłośniejszy tego dnia. Kopie rozpadły się w drzazgi i sir Harimore odchylił się w tył w siodle, ale nie wyleciał z niego. Impet uderzenia odrzucił także Mnrogara, jednak znacznie słabiej niż przeciwnika.

- O, to było więcej niż cudowne - powiedział z zadowoleniem Brian. - Jednak co dalej? Miało być tylko pięć walk, a przepisy zezwalają wyłącznie na dwie potyczki podczas każdej z nich.

Ach, właściwie spodziewałem się tego!

Sir Harimore zawołał coś do ludzi stojących wokół jego namiotu i jeden z nich wybrał mu nową kopię. Mnrogar już wracał na swoje miejsce, trochę szybciej niż zwykle, a odyniec-koń był teraz wyraźnie zdenerwowany,

- Co to? Co teraz będzie? - spytał Jim.

- Sir Harimore proponuje następną potyczkę natychmiast! - powiedział Brian. - Widzisz, bierze nową kopię i podnosi ją nad głowę. Musimy zaraz wziąć nową i dla trolla.

Jednak Mnrogar już wrócił i sięgał po drzewce, które podawała mu Angie. Dopiero wtedy Jim zauważył, że Angie nie wróciła do namiotu. Oczywiście, oboje z Mnrogarem usłyszeli słowa Briana, jednak w zasadzie nie były one konieczne. Angie już trzymała i podawała kopię Mnrogarowi. Ten skierował konia na pozycję. - Najpierw trębacz earla musi dać znak, że wolno im zacząć... - zaczął Brian, ale przerwał. Mnrogar szarpnął wodze, okręcając rumaka. Opuścił kopię. Na drugim końcu pola sir Harimore robił to samo, a kiedy od strony trybun nadleciał dźwięk trąbki, dający im zezwolenie, obaj jeźdźcy ruszyli, nim odgłos wybrzmiał.

- Teraz - rzekł napiętym głosem Brian - nadszedł czas, aby dobrze obserwować sir Harimore'a, Jamesie, Na pewno szykuje jakąś sztuczkę, wiedząc, że jego przeciwnik jest wzburzony.

Tak, patrz! Zrozumiał, że nie zdoła wysadzić Mnrogara z siodła, ale jeśli zrani go w nogę, troll może spaść z konia po prostu z powodu widocznego braku umiejętności jeździeckich. To...

Brian znów nie zdążył skończyć. Kopia sir Harimore'a rzeczywiście mierzyła w dolną część tarczy Mnrogara, co mogło być zarówno przypadkowe, jak celowe, ale Jim widział, iż w tym wypadku grot był skierowany w lewe udo trolla. Jednak tylko tyle zdążyli zauważyć, zanim dwaj

rycerze wpadli na siebie.

Kopia sir Harimore'a trafiła w cel i pękła. Rycząc wściekle - Jim słyszał to z daleka - Mnrogar wyceLOWAŁ dokładnie w środek tarczy sir Harimore'a, trafił, po czym kopia złamała się tuż przy rękojeści. Rozwścieczony Mnrogar runął na barierę, wyciągnął ramię i uderzył rycerza w pierś pięścią, w której zaciskał złomek drzewca.

Sir Harimore runął na ziemię.

Tymczasem odyńiec-koń był gotów wyrwać się spod kontroli w eksplozji hamowanej dotąd furii i chęci walki. Jedynym przeciwnikiem, jakiego widział przed sobą, był rumak sir Harimore'a po drugiej stronie barierki. Odyńiec-koń instynktownie usiłował przedrzeć się przez przegrodę nie istniejącymi kłami, ale tylko rąbnął w nią pyskiem. Zakwiczał tak, jak tylko konie potrafią, i dzicze odruchy ustąpiły miejsca końskim. Staął dęba i zaatakował barierkę przednimi kopytami. Deski rozpadły się.

- Brianie, pomóż mi! - zawołał Jim, wypadając z namiotu i biegnąc ile sił w nogach wzdłuż barierki do szalejącego konia.

Za plecami słyszał tupot nóg Briana.

Mimo to uprzedzono ich. Mnrogar, któremu nie wystarczyło, że stracił z konia sir Harimore'a, teraz był gotowy walczyć z własnym wierzchowcem. Gwałtownie szarpnął wodze i balansujące na tylnych nogach zwierzę zostało dosłownie zmuszone cofnąć się od bariery, o mało nie wywracając się na grzbiet. Jednak w porę złapało równowagę, opadło na cztery nogi i stało, trzęsąc się i parskając na podchodzącego z Brianem Jima. Tymczasem Mnrogar nie zadowolili się okiełznaniem wierzchowca, tęcz natychmiast popędził go galopem w kierunku namiotu. Jim i Brian musieli uskoczyć na boki, żeby uniknąć stratowania.

W tym czasie, kawałek dalej, słudzy sir Harimore'a podnieśli go i taszczyli do namiotu.

- Czy sir Harimore jest ranny? - zawołał Brian.

Sir Harimore powiedział coś, czego ani Brian, ani Jim nie dosłyszeli. Jeden z jego ludzi odkrzyknął Brianowi:

- Mój pan powiada, że tylko zaparło mu dech, sir!

- To dobrze - rzekł Brian do Jima, gdy zawrócili i poszli wzdłuż barierki. Znalazłszy się w namiocie, zastali Angie usiłującą okiełznać odyńca-konia, już nieco spokojniejszego, oraz Mnrogara bez hełmu, wciąż tkwiącego w siodle i nie zamierzającego zsiąść.

- Kopię! - prawie krzyczał. - Dajcie mi kopię!

- Co to za bzdury, trollu? - spytał Brian, podchodząc do końskiego łba i stając przed rozwścieczonym Mnrogarem. - Już zwałiłeś przeciwnika z siodła. Nie dostaniesz kolejnej kopii.

- No to rozedrę go gołymi rękami! - ryknął stwór.

Sytuacja w namiocie stawała się niebezpieczna, a była z nimi Angie. Jim nagle doszedł do wniosku, że niezależnie od tego, czy będzie to współgrać z czarem rzuconym przez Carolinusa na trolla i odyńca, czy nie, musi coś zrobić, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

- Bezruch! - rozkazał, wskazując Mnrogara wyciągniętym palcem i widząc w myślach wyraźny obraz zastygłego nieruchomo trolla.

I tak się stało.

Nie czując wzburzenia jeźdźca, odyniec-koń też zaczął się uspokajać.

- Mam nadzieję, że nie przesadziłem - mruknął Jim. - I co teraz? Gdzie jest Angie?

- Zniknęła za namiotami, milordzie - powiedział Ned Dunster, który znalazł się z nimi w środku.

- Po co?

- Nic wiem, milordzie.

- Cha! cha! - prychnął Brian, zostawiając Mnrogara, podchodząc do stołu i nalewając sobie pół kubka wina. Z wyraźną ulgą pociągnął łyk.

- No cóż, skoro pytasz, Jamesie - rzekł, jakby nikt nie przerwał im prowadzonej rozmowy - Mnrogar został zwycięzcą. Pokonał wszystkich, którzy stanęli z nim w szranki. Teraz z czystej kurtuazji earl powinien zaprosić go, żeby podjechał do trybuny, aby jako gospodarz mógł pogratulować mu zwycięstwa. W każdej chwili powinniśmy usłyszeć dźwięk trąbki.

- No, byłoby dobrze - rzekł Jim. - Mnrogarze - ruch. A teraz słuchaj: kiedy podjedziesz do trybuny, będziesz miał okazję wywęszyć tego drugiego trolla wśród gości.

- Tak! - warknął Mnrogar. - Ten drugi... prawie zapomniałem!

Bez słowa i zanim zdążyli go powstrzymać, obrócił konia do wyjścia, wyjechał z namiotu i objechawszy barierkę, ruszył w kierunku odległych trybun. Jim i Brian wypadli z namiotu tylko po to, żeby ujrzeć, jak jedzie, zabawnie bodąc końskie boki stalowymi cizmami - Brian nie chciał przypiąć mu ostróg - gdyż odyniec-koń, okazując upór typowy dla jego prawdziwej postaci, nie zamierzał poruszać się szybciej niż spacerkiem.

Pozbawiony okazji do walki, dzik wyraźnie chciał jeszcze mieć coś do powiedzenia. Do patrzącego na to Briana i Jima podeszła Angie już bez sztucznych wąsów i nosa, znów w kobiecym stroju z narzuconą nań zieloną opończą, tą samą, którą pożyczyła piastunka, wymykając się do Jima jedzącego obiad w głównej sali.

- Włożyłam kostium na to - wyjaśniła - a teraz zdjęłam go w jednym z mniejszych namiotów.

Popatrzyła na nich.

- O co chodzi?

Jim wskazał na Mnrogara.

- Earl jeszcze go nie zaprosił! - powiedział Brian. - To nie uchodzi...

- Uchodzi czy nie - rzekł Jim - lepiej jeśli będę tam przed nim, a przynajmniej jednocześnie, żeby powstrzymać go, gdyby zamierzał popełnić jakieś szaleństwo. Powinien zająć się tym Carolinus, ale nie wiem, czy liczyć na niego, czy nie...

Stwierdziwszy nagle, że Mnrogar zmierza w złym kierunku, Jim podniósł głos do krzyku:

- Nedzie! Nedzie Dunsterze! Przyprowadź mi wałacha!

- Ja też idę - rzekł Brian. - Ktoś mógł mnie rozpoznać, teraz kiedy wybiegłem za tobą na pole. Muszę pojechać z powrotem, wejść od tyłu na trybuny i udawać, że byłem tam cały czas, a przynajmniej zamieszać tak, by nikt nie był tego pewien.

Ned Dunster przyprowadził wałacha. Na szczęście koń był wciąż osiodłany i gotowy do jazdy.

- Możesz siadać ze mną - powiedział Brian, szybciej od Jima wskoczywszy na konia i robiąc przyjacielowi miejsce w siodle.

- Ja też muszę wracać! - oświadczyła Angie.

- Angelo - odparł z lekkim zniecierpliwieniem Brian - ten wałach nie uniesie całej naszej trójki! Ponadto nie możesz na nim pojechać. To nie wypada.

- Do diabła z tym! - wybuchła Angie.

Zapadła głucha cisza. Brian był zaszokowany.

- Co się z tobą dzieje, Brianie? - krzyknęła Angie. - Kobiety tutaj przeklinają cały czas. Geronde też przeklina. Słyszałeś nieraz!

- Tak - odparł Brian - ale nie ty, Angelo. Ty... ty jesteś...

Zająknął się i umilkł.

- Właśnie! - powiedziała Angie. - Nie jestem taka jak one, tak? Nie mam dzieci i przez większość czasu nie mam męża. Nawet nie jestem kobietą, jak zdają się sądzić wszyscy wokół...

Łzy płynęły jej po policzkach. Brian był wstrząśnięty i załamany. Jim wyciągnął do niej rękę, lecz Angie odtrąciła ją.

- Nie pocieszaj mnie! - powiedziała. - Nie potrzebuję pocieszenia. Jestem zła! Jestem zła na was wszystkich!

- I masz powody - rzekł Brian, raptownie odzyskując panowanie nad sobą. Zeskoczył z siodła na ziemię i zawołał: - Hej! Siwardzie! Żwawo do mnie z Blanchardem osiodłanym do jazdy! A więc do diabła z tym. I niech grzech tego bluźnierstwa spadnie na moją głowę, Angelo - rzekł. - Pojadę jednak na moim koniu. Wy ruszycie w prawo, a ja w lewo, przejedziemy między drzewami i dotrzemy do trybun, ja trochę wcześniej niż wy. Prawdę mówiąc, nawet lepiej, że pojadę na Blanchardzie. Mogę powiedzieć, że poszedłem po niego w nadziei, iż po upadku sir Harimore'a earl pozwoli mi walczyć z Czarnym Rycerzem.

Wyciągnął rękę, zatrzymując Angie, która popatrzywszy mu głęboko w oczy, ruszyła w kierunku wierzchowca.

- Nie, nie, Angelo - powiedział łagodnie. - Są pewne granice. James musi siedzieć w siodle, a ty za nim, obejmując go w pasie, inaczej wieść o tym uczyni ci więcej szkody niż wroga armia. Uwierz mi.

Angie przystanęła i przepuściła męża. Jim wskoczył na konia i podał rękę Angie. Zostawił jej wolne lewe strzemień, w które włożyła stopę, podciągnęła się na ramieniu Jima i usiadła na oklep za jego plecami. Boczne siodła dla kobiet dopiero miały zostać wynalezione, a jazda bez siodła, siedząc bokiem na grzbiecie poruszającego się konia, groziła upadkiem. Jim poczuł, że Angie obejmuje go w pasie.

- A zatem, jadąc między drzewami, może zdążycie na czas - powiedział Brian. Odwrócił się i spojrzał na jeden z mniejszych namiotów. - Siwardzie!

- Już idę, milordzie! - zawołał niski, niebieskooki i jasnowłosy zbrojny, wypadając spomiędzy namiotów i prowadząc osiodłanego do jazdy Blancharda.

Brian podbiegł do niego, wskoczył na konia i ledwie dotknął wodzy, a Blanchard stanął dęba jak tancerz, zrobił półobrót i ruszył galopem. Wszystko stało się tak szybko, że wydawało się jednym płynnym ruchem.

Jim skierował wałacha w las po przeciwnej stronie i po chwili razem z Angie znaleźli się wśród drzew. W pobliżu zamku earla poszycie między większymi drzewami zostało oczyszczone z suchych gałęzi, krzaków i zarośli - z tych pierwszych dlatego, że wyzbierali je słudzy i dzierżawcy. Drzewo na opał można było ścinać jedynie za zgodą pana. Krzaki i chaszczce zniknęły, częściowo stratowane przez przechodzących tędy ludzi, a częściowo wycięte dlatego, że earl i mieszkańcy zamku lubili czasem zapuszczać się kawałek w las. W rezultacie Jim mógł puścić konia jeśli nie galopem, to kłusem. Poruszali się szybko, lecz i tak Jim liczył każdą sekundę, zanim dotarli na tyły trybuny, zsiadli z konia, spętali go i podeszli, aby dołączyć do tłumu widzów.

Dotarli tam w stosunkowo krótkim czasie, a kiedy skręcili za róg, znaleźli się z przodu trybuny, akurat gdy z przeciwnej strony nadjeżdżał tam Mnrogar. Troll przestał bój piętami wierzchowca i jechał spokojnie na wolno krocącym wierzchowcu. Złowrogi spokój, pomyślał Jim. Mający dwa

tysiące lat troll na pewno tak szybko nie ochłonie z wściekłości, a to samo odnosiło się do odyńca. Jednak w tym momencie obaj byli raczej milczący i złowieszczy niż potencjalnie niebezpieczni.

Jim i Angie weszli na trybunę i wspięli się do siedzącej tam nadal Geronde, wciąż pilnującej ich miejsc. Angie zdążyła już ochłonać ze wzburzenia i otrzeć twarz zwilżoną śniegiem chustą, tak więc Geronde nie dostrzegła na niej żadnych śladów emocji, kiedy wdrapali się na górę i usiedli. Brian już tam był; zajmował miejsce z drugiej strony. Wymienili z Brianem znaczące spojrzenia, gdy Angie siadała obok Geronde. Ta natychmiast zaczęła opowiadać, opisując Angie, jak wyglądały pojedynki widziane z trybuny. Jim domyślił się, że Geronde wiedziała o tym, iż Angie zamierzała pomóc mu wystawić Mnrogara do walki, ponieważ mówiła konspiracyjnym szeptem i wcale nie zamierzała zapytać Angie, gdzie ta się podziewała przez tak długi czas. W każdym razie, pomyślał Jim, nie powinienem przejmować się ich rozmową, ale tym, co Carolinus mógł powiedzieć earlowi i biskupowi, jeśli pod mnisim habitem rzeczywiście krył się de Bisby, czego Jim był prawie pewien. Wszyscy trzej siedzieli zaledwie trzy metry dalej i jeden rząd wyżej od Jima, ponieważ earl zawsze zajmował miejsce na samym środku trybuny, liczonym nie tylko od końca do końca, ale również od pierwszego rzędu do ostatniego.

Wokół unosił się gwar cichych, lecz nieustających rozmów, w których ludzie komentowali wydarzenia i snuli rozmaite domysły na temat nadjeżdżającego Czarnego Rycerza. Kiedy wreszcie odyniec-koń dotarł do trybuny, trębacz earla dwukrotnie zadał w trąbę, a herold huknął donośnie:

- Możesz podjechać do szlachetnego i łaskawego earla Somerset oraz księcia Anglii. Zbliź się!

Mnrogar nic nie odpowiedział, a gdy przejeżdżał wzdłuż trybun, gwarł cichł w miarę, jak milkli kolejni widzowie, których powoli mijał. Powoli, ponieważ Mnrogar jeszcze wstrzymywał i tak wolno podążającego wierzchowca, uważnie przyglądając się wszystkim mijanym ludziom.

Jim pomyślał, że wywęszenie drugiego trolla na trybunie zapewne wymagałoby dokładniejszych poszukiwań. Na otwartej przestrzeni, w dodatku pod wiatr, Mnrogar najwidoczniej nie mógł złowić nozdrzami zapachu stojących tak daleko osób. Jego powolny przejazd miał w sobie coś dziwnego i groźnego, chociaż troll miał twarz zakrytą hełmem i siedział nieruchomo w siodle, spoglądając przez opuszczoną przyłbicę na ludzi znajdujących się w pięciu rzędach ławek. Bezruch tej zakutej w żelazo postaci wywoływał nagłe milczenie, ogarniające trybunę jak morska fala.

Siedząc prosto w siodle na ogromnym czarnym rumaku, miał oczy na poziomie głów widzów w trzecim rzędzie ławek. Kiedy dotarł do earla, fala milczenia wyprzedziła go i pobiegła dalej. Zanim troll dotarł do szlachcica, zapadła głucha cisza.

- Uśmiechnij się do niego, Hugonie - powiedział Carolinus głosem niewiele głośniejszym od szeptu, jednak w tej kompletnej ciszy Jim usłyszał go całkiem wyraźnie.

Troll przebył ostatnie metry. Dotarł przed earla, ostro ściągnął wodze koniowi, spoglądając przez opuszczoną przyłbicę na ludzi, których miał przed sobą, aż jego wzrok spoczął na środku trybuny, gdzie siedział earl i towarzyszący mu dostojnicy.

Earl odchrząknął, co usłyszano na obu końcach trybuny.

- Sir... ee... Czarny Rycerzu - rzekł. - Aczkolwiek wielce nas boli widok naszych zacnych rycerzy powalonych ciosami twojej kopii, musimy wyrazić ci nasze uznanie z powodu pokonania wszystkich, którzy stawili ci czoło. Jednakże, jak sam oświadczyłeś, nie przybyłeś tu na turniej, który zresztą skończył się wcześniej, tak więc nie możemy uznać, iż zwyciężyłeś go w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Mimo wszystko oglądanie cię stojącego w szrankach było dla nas zaszczytne i pouczające.

Mnrogar powoli uniósł rękę i zdjął hełm. Kiedy ukazał swój paskudny łeb i okropny pysk milczenie nabrało nowego wyrazu. Nie mogło już być głębsze niż przedtem, jednak w jakiś dziwny sposób wydawało się, że wszyscy obecni wstrzymali oddech.

- To ty! - krzyknął earl.

Jednak Mnrogar nie patrzył na niego. Całą uwagę skupił na siedzącej obok earla Agacie Falon.

- Hej, wnuczko - powiedział - skąd się tu wzięłaś?

- Brać go! - ryknął earl. I blisko siedemdziesięciu uzbrojonych i zakutych w stal żołnierzy rzuciło się wykonać ten rozkaz.

## Rozdział 39

- Przeprowadźcie go tu! - rzekł earl.

Na zewnątrz był jeszcze jasny dzień i bezchmurne niebo, lecz komnata w zamkowej wieży miała tylko wąskie strzelnice zamiast okien, tak więc w środku było mroczno pomimo pochodni palących się w osadzonych w murze kagańcach i ognia płonącego na kominku. Jeśli jednak ten ogień ogrzewał kogokolwiek, to tylko osoby siedzące tuż przed nim, za stołem będącym nieoficjalnie stołem sędziowskim. Earl zajmował miejsce na środku, mając po prawej młodego księcia, który był wyraźnie nieswój. Za księciem siedział biskup w swojej zwyczajowej czarnej todze, z wielkim pektorałem jasno lśniącym na piersi, oraz jego kapelan - chudy mężczyzna w sutannie, którego Jim spotkał przy stole tego wieczoru, kiedy de Bisby był nieobecny. Po lewej stronie earla zasiadał Carolinus. Jim, Angie i Brian zajęli stołki ustawione pod ścianą. Naprzeciw nich, w wyściełanym fotelu rozparła się Agatha Falon.

Wydawała się całkiem spokojna. Jim i Angie usiedli obok siebie, robiąc dobrą minę do złej gry. Pod osłoną szerokiej spódnicy, Angie ścisnęła dłoń Jima. Towarzyszący im Brian był wyraźnie przybity. Normalnie nie miałby po temu powodów, gdyż wygrał nie tylko zbroje i konie swoich przeciwników, ale i cały turniej. Prawdę mówiąc, za wygraną w turnieju otrzymał sporą sakiewkę złota, jaką król za pośrednictwem księcia przekazał zwycięzcy. Jednak to wszystko już miał, a teraz rozmyślał o tym, czego nie miał - o porządnym obiedzie. Kiedy nadchodziła pora posiłku, Brian musiał coś zjeść, chyba że zaszły jakieś naprawdę nadzwyczajne okoliczności. Z jego punktu widzenia obiad był o wiele ważniejszy od tego, co działo się tu teraz. Oczywiście, pozwolono mu na spożycie czegoś, co nazwano obiadem. Nawet podano wino i jadło, tak jak podczas poprzednich jedenastu dni świąt, ale według Briana za mało jednego i drugiego, a poza tym zabrakło także odpowiedniego nastroju towarzyszącego takiemu posiłkowi, szczególnie że miał być ostatnim przed

rozjechaniem się do domów. Na dodatek ledwie zdążył przełknąć kilka kęsów, earl pozbawił go szansy na porządny posiłek, wzywając na tę... chyba należało określić to jako naradę, gdyż gospodarz nie chciał nazywać tego procesem.. ponieważ była w to zamieszana Agatha. Jako earl miał prawo zwołać sąd, jednak wyraźnie chciał uniknąć zbyt wielu świadków i rozgłosu.

Brian był głodny i zły. Tymczasem Jim miał na głowie ważniejsze sprawy.

Kiedy Angie wzięła go za rękę, inni obecni w komnacie byli pogrążeni w rozmowie, więc ukradkiem zdołał zamienić z żoną kilka słów.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Niepokoję się. W końcu to my pomogliśmy Mnrogarowi udawać Czarnego Rycerza.

Dziwne, lecz do tej pory Jim wcale nie przejmował się tym. Teraz rozważył tę kwestię. Jedyna osoba znająca oprócz nich sprawę Czarnego Rycerza siedziała za stołem obok earla.

- Nie martw się - powiedział do Angie. - Tylko Carolinus mógłby to wywlec na jaw, a on tego nie robi.

Czy aby na pewno? - zadawał sobie pytanie.

Angie ścisnęła jego dłoń i Jim pomyślał, że dodał jej otuchy. Jednak sam nadal zastanawiał się nad sytuacją. Ostatnio coraz częściej przychodziło mu do głowy, że Carolinus wcale nie jest taki bezinteresowny, że po prostu prowadzi własną grę i wykorzystuje ich wszystkich. Jim nie wątpił w to, iż Carolinus szczerze lubi Angie i jego. Jednak jeśli społeczność magów potrzebowała Carolinusa, to i Carolinus jej potrzebował. Gdyby jego pozycja była zagrożona, mistrz magii z pewnością rzuciłby Jima i Angie na pożarcie, nie mówiąc już o Brianie, a w obecnej sytuacji mogło okazać się to konieczne. Nagle Jim uświadomił sobie, że zbyt wiele spraw naraz przybrało zły obrót. Może za wszystkimi krył się inny, większy problem? Tylko jak to sprawdzić? Najwyraźniej w tej chwili earl, poza tym, że czuł gwałtowną niechęć do Mnrogara, chciał oczyścić Agathę Falon z podejrzeń o jakiegokolwiek związku z trollami. Jednak wyglądało na to, że właśnie ona jest tym trollem w przebraniu, którego Mnrogar od początku wyczuwał wśród gości. Dziwne, ale nigdy nikomu nie przyszło do głowy, że ów troll mógł przybrać kobiecą, a nie męską postać.

Jim gorączkowo szukał przyczyny, podstawowego problemu, z którego brały się wszystkie inne. Szukaj brakującego świadka! - powiedział Sherlock Holmes...

Właśnie w tym momencie wprowadzono Mnrogara, szczękającego stukilogramowym żelastwem w postaci łańcuchów i kajdan. Jednak troll był równie silny, jak wysoki. Zdawał się nie zwracać uwagi na te pęta, jakby były ze szmat, nie z metalu.

Zmierzył zebranych gniewnym spojrzeniem, które złagodniało tylko wtedy, kiedy na krótko spoczęło na Agacie. Jednak zaraz odwrócił wzrok, kierując go na stół oraz earla. Popatrzyli na siebie z jawną wrogością, zapominając na chwilę o innych obecnych w komnacie.



- Zamknąć drzwi. Natychmiast! - rozkazał earl, zwracając się do zebranych. - W tej komnacie są wszyscy ci, którzy wiedzą coś o trollu, oprócz tego, że udawał rycerza na dzisiejszym turnieju. Konieczne jest, aby to, czego się jeszcze dowiemy, pozostało tajemnicą dla dobra tej ziemi, królestwa i chrześcijaństwa. Dlatego też zaprzysięgniecie milczenie...

- Wybacz, milordzie - powiedział, siedzący obok biskupa chudy ksiądz, nachylając się do earla - lecz ponieważ nie jesteśmy w sądzie, nie możemy zaprzysięgać...

- Cicho, Jamesie! - powiedział biskup, nie patrząc na niego, a chudzielec szybko schował głowę i zamilkł.

Jim z zaciekawieniem patrzył na kapelana. Cokolwiek lub ktokolwiek zmieniał prawdziwą mowę tego świata w coś, co brzmiało w jego uszach jak współczesna angielszczyzna, był, co Jim zauważył już wcześniej, bardzo zręcznym tłumaczem. Wszelkie dialekty potocznego języka stawały się zrozumiałą mową, tylko z pewnymi odmianami akcentu i fonetyki, zależnymi od mówiącego. Jednak czasem te różnice były większe - tak jak w piosenkach wykonywanych przez gości podczas jednego z pierwszych obiadów, kiedy Jim upił się i śpiewał Dobrego króla Wieńczysława. Inne liryki brzmiały w jego uszach jak czternastowieczna londyńska angielszczyzna poznana na studiach uniwersyteckich. Czasem wyczuwało się łacińskie pochodzenie słów. Ponadto w mowie Neda Dunstera odnotował ślady wiejskiego akcentu, jaki słyszał w dwudziestym wieku, kiedy w lecie przebywał w Somersetshire. Teraz wydało mu się, że kapelan biskupa mówił z akcentem, który w uszach Jima brzmiał jak współczesny Oxbridge - ten szczególny akademicki akcent angielskich wyższych sfer, którego nazwa pochodzi od połączenia nazw dwóch słynnych uczelni - Oxfordu i Cambridge.

- ...zaprzysięgniecie milczenie! - powtórzył earl, złowrogo spoglądając w kierunku kapelana.

Oprócz biskupa, kapelana, Carolinusa i Jima, pozostali obecni w komnacie wydali cichy pomruk, mogący oznaczać wszystko. Earl zdawał się nie zwracać na to uwagi.

- Ty! - powiedział, skupiając uwagę na Mnrogarze. - Na turnieju zwróciłeś się do lady Falon, jakbyś ją znał. Znasz?

Mnrogar nie odpowiedział. Nieruchomym wzrokiem spoglądał w oczy earlowi.

- Możemy cię zmusić do mówienia, jeśli będzie trzeba! - warknął earl.

Mnrogar nic nie powiedział, żadnym grymasem czy gestem nie zdradzając, czy słowa earla miały dla niego jakiekolwiek znaczenie.

- Przepraszam, że przerywam, Hugonie - rzekł gładko Carolinus - ale prawdę mówiąc, wiesz, że nie możesz.

Earl odwrócił się i spojrzał nań ostro.

- Nie mogę? Nie mogę? Do licha, właśnie, że mogę!

- Hmm, możesz spróbować, Hugonie - powiedział Carolinus. Jim obserwował go z zainteresowaniem. Aż nazbyt dobrze znał ten łagodny ton głosu, który oznaczał dla kogoś złe wieści.

- No, dlaczego uważasz że nie mogę?

- Jak niewątpliwie potwierdzi kapelan Richarda - zaczął Carolinus - troll jest jednym ze stworzeń, które określamy mianem naturalnych, jednym z longaevi. Ludzie mogą załamać się pod wpływem tortur i wyczerpania, tongaevi nie. Po prostu milczą i nie odzywają się. Człowiek może zmuszać do czegoś siłą tylko innego człowieka. Na pozostałe formy życia ten sposób nie działa.

Na przykład nie mógłbyś torturami zmusić anioła, żeby mówił.

Earl pobladł, słysząc taką sugestię i jeszcze bardziej wybałuszył oczy.

- Tak więc - ciągnął Carolinus - człowiek nie może skutecznie użyć tortur przeciw innym rodzajom stworzeń, ceniom czy siłom natury. Nawet niektórych ludzi głęboka wiara czyni wyższymi nad zwyczajne ludzkie ułomności. Znane są przypadki, kiedy znosili najgorsze męczarnie. Jestem pewien, że lord biskup lub jego kapelan z łatwością znajdą stosowne przykłady, jeśli tylko zechcesz. Nawet niektórzy rycerze, o jakich zapewne słyszałeś, wiedzeni poczuciem honoru potrafili czasem zignorować najgorszy ból...

- Ha! - powiedział cicho Brian, na chwilę odrywając się od rozmyślań o farsed fesaunt - potrawy współcześnie znanej pod skromniejszą nazwą bażanta lub kurczaka nadziewanego jabłkami. Jednak tylko Jim go usłyszał.

- Naturalny - zakończył Carolinus - odpowie tylko wtedy, gdy ma na to ochotę.

Earl z impetem opadł na krzesło.

- W porządku, na świętego Antoniego! - zawołał. - Ty go wypytaj, Carolinusie. I dowiedz się, dlaczego nazywa się królem!

- Bardzo dobrze, Hugonie - rzekł Carolinus. Przeniósł uwagę na trolla. - Mnrogarze, chyba nie spotkaliśmy się jeszcze, ale większość naturalnych słyszała o Carolinusie. W ciągu tych dwóch tysięcy lat ty również musiałeś o mnie słyszeć.

- Tak - warknął Mnrogar.

- I czy mam rację, zakładając, iż słyszałeś, że Carolinus jest przyjacielem wszystkich naturalnych i w ogóle wszystkich istot, że mogą się one czuć przy nim bezpiecznie? Zgadza się?

- Tak - ponownie potwierdził Mnrogar.

- A zatem - rzekł mag - zachodzi tylko pytanie, czy wierzysz w to i zaufasz mi na tyle, żeby ze mną rozmawiać. Zrobisz to?

Mnrogar obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Tak.

- Doskonale - powiedział Carolinus. - A zatem, żeby zacząć od mniej istotnej sprawy, niektórzy z nas są trochę zdumieni tym, że ogłosiłeś się królem.

- Jestem królem - warknął Mnrogar.

- Królem czego, Mnrogarze?

- Królem trolli - odparł Mnrogar. - Ponieważ utrzymałem moją ziemię dłużej niż którykolwiek z nich i żaden nie ośmielił się na nią wkroczyć. Od blisko dwóch tysięcy lat byłem królem i broniłem mojej ziemi.

- Twojej ziemi...! - Earl zakrztusił się, a potem mruknął do Carolinusa: - Nie przerywaj sobie, magu.

- A zatem - podjął ochoczo Carolinus - skoro za takiego jesteś uważany wśród trolli, chociaż nie przez ludzi, to właściwie nie możemy stwierdzić, że skłamałeś, podając się za króla.

- Trolle nie kłamią - odparł Mnrogar. - Nie muszą.

- A kto zrobił cię rycerzem? - wrzasnął earl. - Nazwałeś się Czarnym Rycerzem. Na rycerza trzeba zostać pasowanym. Spytaj, kto uczynił go rycerzem, magu!

- Kto zrobił cię rycerzem, Mnrogarze? - zapytał Carolinus.

- Ja sam - odparł Mnrogar.

Twarz earla zrobiła się sinoczerwona z wściekłości. Carolinus spojrział na niego i uśmiechnął się łagodnie.

- Nie sądzę, abyśmy mogli się z tym spierać, Hugonie - rzekł. - Nawet wedle naszych norm, król może pasować na rycerza, prawda?

- Tak, ale on... on...

Earl poddał się i jeszcze raz opadł na fotel, z którego uniósł się ze wzburzenia, gdy wyszła sprawa Mnrogarowego prawa do tytułu rycerza.

- Dość tych głupstw - powiedział. - Spytaj go, dlaczego tak powiedział do lady Agathy.

- Dobrze - zgodził się Carolinus. - Słuchaj, Mnrogarze, odezwałeś się do lady Agathy tak, jakbyś ją znał. Jak ją rozpoznałeś?

- Wyczułem ją - odparł troll.

- Przyjmuję - rzekł mag - iż to oznacza, że rozpoznałeś jej zapach. Jak to się stało, że wyczułeś

właśnie ją, a nie kogoś innego?

- Czuję ten zapach wcześniej.

- Czy mogę zapytać, gdzie?

- W lesie.

- Gdzie? Jak? Dlaczego? Kiedy? - wypalił earl.

- Czy możesz odpowiedzieć na pytania, które teraz zadał Hugo? - zapytał Carolinus.

- Tak - odparł Mnrogar.

Zapadła cisza. Troll nie dodał nic więcej.

- Zatem ja zapytam - powiedział mu Carolinus. - Odpowiesz na nie?

- Nie.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

- Tak.

- A więc dlaczego?

Mnrogar milczał.

- Mnrogarze - rzekł mag lekko karcącym tonem. - Sądziłem, że będziesz odpowiadał na moje pytania.

- Odpowiadam. Kiedy ty pytasz. Nie on.

- No cóż, a gdybym zadał teraz te same pytania... - Carolinus zawahał się i sekunda ciszy przeciągnęła się w kolejną chwilę upartego milczenia trolla. - No tak - rzekł wreszcie mag. Odwrócił się do earla.

- Przykro mi, Hugonie - powiedział. - Ponieważ to ty zadałeś pierwszy te pytania, on nie odpowie. Obawiam się, że nic na to nie poradzimy.

- Przecież musimy znaleźć jakiś sposób! - wrzasnął earl. - Lady Agatha została znieważona przez to stworzenie udające, że ją zna. Aby zaspokoić...

Jim usłyszał go niezbyt dokładnie, jakby earl powiedział: „aby koić”. Chyba więcej do mnie dociera, kiedy nie słucham zbyt uważnie, pomyślał... „Aby koić”. To brzmiało dziwnie znajomo.

- Trzeba raz na zawsze wyjaśnić, że łągał! - dokończył earl.

- Jak już słyszałeś - przypomniał Carolinus - trolle nie kłamią. Większość naturalnych tego nie robi. W rzeczy samej, jest to ich nieodłączną cechą charakteru - można by rzec, iż częściowo sensem istnienia. Obawiam się, Hugonie, że nigdy nie dowiesz się od Mnrogara, dlaczego powiedział tak do Agathy.

- Wielkie nieba, przecież muszę to wiedzieć! - ryknął earl, waląc pięścią w stół. - Należy oczyścić jej dobre imię! Zaczyna dama została oskarżona. Tak, oskarżona gadaniną jakiegoś, jak mówisz, naturalnego, a według mnie nienaturalnego! Jak już powiedziałem, należy ją oczyścić z zarzutów. Dlatego tu jesteśmy!

- Chcesz powiedzieć - wtrącił równie głośno biskup - że trzeba ustalić prawdziwy stan rzeczy! Ten troll prawdopodobnie chciał wywęszyć drugiego trolla wśród twoich gości, earlu. Tymczasem z kim chce rozmawiać? Z lady Falon. Mówi do niej „wnuczko”. Jeśli lady Falon ma w sobie choć odrobinę krwi trolli, musimy to wiedzieć. Jest bliska naszemu królowi, niechaj Bóg ma go w opiece, a naszym obowiązkiem jest bronić monarchę przed wszelkimi niebezpieczeństwami ze strony ludzi i nieludzi. Właśnie siedzi obok ciebie królewski syn, Somersecie! Oczywiście, mamy do czynienia z kalumnią rzuconą na człowieka, jeśli istotnie jest to człowiek. Jednak nasz obowiązek względem króla jest ważniejszy od czegokolwiek, nawet od reputacji lady Falon!

Biskup i earl zerwali się na równe nogi, mierząc się gniewnym wzrokiem.

#### Rozdział 40

- Siadajcie - powiedział Carolinus głosem, jakiego nawet Jim jeszcze nigdy nie słyszał.

Biskup i earl patrzyli na siebie ze złością, lecz usiedli.

- Angie - powiedział cicho Jim, wykorzystując pokasływanie i odchrząkiwanie, jakimi biskup i earl pokryli swój gniew. Czy wiesz może, gdzie jest ta kojąca skrzynka, to pudełko, które dał mi w prezencie diabeł morski?

- W naszym drugim pokoju - odparła Angie - w szufladzie pod kołyską, którą w sekrecie kazałam naszym ludziom zrobić dla małego Roberta, kiedy tu przyjechaliśmy. Zabrałam ją, ponieważ Carolinus i Rrrnlf mówili coś o przechowywaniu w niej twojej magii. Pomyślałam, że może być ci tu potrzebna ta magia, która w niej jest, tak więc spakowałam skrzynkę razem z innymi rzeczami.

- Tutaj? To wspaniale! - rzekł Jim. - Słuchaj, zaraz udam, że zasłabłem. Nie martw się. To tylko pretekst, żeby opuścić tę komnatę i pójść po pudełko. Jesteś pewna, że jest pod kołyską, a nie w jakimś innym miejscu?

- Oczywiście, że jestem pewna - odparła Angie.

- W porządku - rzekł Jim. - Zaczynam...

Zamknął oczy i runął z krzesła na podłogę, co wyglądało - jak pochlebiał sobie w duchu - bardzo realistycznie. Rzeczywiście, rąbnął o podłogę trochę mocniej, niż zamierzał.

Miał zamknięte oczy, ale usłyszał bardzo przekonujący krzyk Angie.

- Złapał wirusa! - zawołała. - Milordzie, Wasza Miłość! Muszę natychmiast zaprowadzić go do naszych komnat. Może to tylko chwilowe i zaraz dojdzie do siebie, ale trzeba go tam zabrać!

- Sir Brianie - rzekł earl - zajmij się tym. Przed drzwiami znajdziesz zbrojnych, którzy mogą go zanieść. Lady Angelo, kiedy już umieścisz go w waszej kwaterze i upewnisz się, że nic mu nie grozi, przyjdź tutaj, zostawiając mu wiadomość, iż ma wrócić, gdy tylko będzie mógł!

Jim usłyszał łoskot tuż nad uchem. Ostrożnie unióś powiekę prawego oka, znajdującego się tuż nad podłogą. Zerknął i ujrzał Briana, który przyklęknął obok. Przyjaciel chwycił go lewą ręką za pas, drugą za przegub prawej ręki i podniósł go do pozycji siedzącej, opierając się ramieniem o jego brzuch. Potem wstał, przerzucając sobie Jima przez prawe ramię, tak że ciało zgięte wpół pozostawało w równowadze. Brian puścił pas i lewą ręką chwycił oba nadgarstki Jima, prawą zaś złapał go pod kolanami.

Potem wyszedł. Nie tyle to, co zrobił, lecz szybkość i wprawa, z jaką tego dokonał, wywarły duże wrażenie na Jimie. Widocznie Brian już nieraz był jednoosobową grupą ratunkową dla nieprzytomnych ludzi - zapewne na polu bitwy. Jednak i tak był to niezwykle pokaz dowodzący krzepy rycerza. Jim nie sądził, że można z taką łatwością podnieść i taszczyć nieprzytomnego człowieka - po prostu zarzucić go sobie na ramię, wstać i wyjść. To był kolejny z całego szeregu zaskakujących przykładów tego, jak silna była większość tych średniowiecznych ludzi w wyniku ciężkiej pracy, życia i walki.

Angie wysunęła się przed Briana, otworzyła wyjście na korytarz i przepuściła mężczyznę. Jim usłyszał, jak zamykają się za nimi drzwi, lecz nie otwierał oczu.

- Hej, chłopcy! - rzekł Brian. - Lady Angela pokaże wam, dokąd iść.

Jim poczuł, że przekazują go w inne ręce. Przynajmniej dwoje ludzi trzymało go za nogi, co najmniej dwoje podtrzymywało w pasie, a następni podpierali głowę i ramiona. Poruszali się długim i najwyraźniej krętym korytarzem. Nie był to najwygodniejszy sposób podróżowania i droga okropnie dłużyła się Jimowi. Wreszcie mniej czy bardziej delikatnie położono go na materacu w pierwszym z ich pokoi. Nie ruszał się z miejsca, aż usłyszał kroki odchodzących zbrojnych oraz trzask zamykanych drzwi. Wtedy otworzył oczy i usiadł. Angie nie było w pokoju.

Jednak niemal w tej samej chwili wyłoniła się zza skórzanej zasłony zawieszanej w przejściu do sąsiedniego pomieszczenia, trzymając kojącą skrzynkę.

- O ile mogę stwierdzić, jest pusta jak zawsze - oznajmiła. - Dlatego zastanawiałam się, czy ją zabrać. Jednak podejrzewam, że twoja magia jest niewidoczna?

- Mam nadzieję - rzekł Jim. - Jednak Carolinus wiedziałby, gdybym się nią posłużył.

- Na pewno wiedział, że ten atak wirusa jest udawany - powiedziała Angie. - Pozostali przełknęli bez zastrzeżeń. Nawiasem mówiąc, na co ci to pudełko, skoro biskup pobłogosławił cały

zamek? Czy nie jest prawdą, że do jego odjazdu nie będzie działać żadna magia?

- Żadna nowa magia - odparł Jim. - Właśnie na to liczę. Magia tkwiąca w tym pudełku może zadziałać. Jednak jest jeszcze Carolinus... no nic, będę się tym martwił w odpowiednim czasie.

- Jak wniesiesz tam pudełko, żeby nikt go nie widział? - zapytała Angie.

Jim popatrzył na nią. Po prostu jeszcze o tym nie pomyślał.

- Cóż, ja mogę to zrobić - oznajmiła Angie - jeśli to ci pomoże. Przymocuję je do sznurka owiązanego w talii i przywiążę do uda. Te szerokie suknie mogą ukryć wszystko. Pudełko jest lekkie.

- Angie - rzekł Jim - jesteś genialna!

- Och, mówisz tak wszystkim geniuszom - odparła. - Przyniosę trochę sznurka.

Poszła do drugiego pokoju i nie wróciła od razu. Kiedy przyszła, okręciła się przed Jimem.

- Czy widzisz, że mam to pod sukienką? - zapytała.

- Nie - odrzekł Jim. - Czy zdołasz bez problemu odwiązać i podać mi je, kiedy tam wrócimy? Mogłabyś podsunąć mi je za oparciem krzesła, a ja trzymałbym je za plecami, dopóki nie będę gotowy do działania.

- Z tym nie będzie problemu - powiedziała Angie. - Jednak chyba powinniśmy już wracać, prawda?

- Tak! - rzekł Jim. Nagle uzmysłowił sobie, że i podczas tak krótkiej jego nieobecności mogło dojść do sytuacji, w jakiej nawet ta kojąca skrzynka na nic się nie zda. Wstał z siennika i razem ruszyli w kierunku drzwi, przez które niedawno go wniesiono.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytała Angie, gdy wyszli.

- Jeśli dopisze mi szczęście, pudełko posłuży mi jako wykrywacz kłamstw. Wiesz, że kiedy słyszymy, jak ludzie, smoki, Aargh i wszyscy inni zdają się mówić zwyczajną nowoczesną angielszczyzną, nie jest to dokładnie ten język? Jeśli się skupisz, usłyszysz w tle prawdziwe dźwięki, jakie artykułują.

- Wiem o tym - odparła Angie.

- No cóż, nagle przypomniałem sobie coś - ciągnął Jim. - Earl właśnie powiedział „zaspokoić”, a kiedy tak rzekł, ja dosłyszałem tylko „koić”. To samo słowo, ale używane w nieco innym znaczeniu. Wtedy przypomniałem sobie, że kiedy diabeł morski dał mi to pudełko w prezencie, Carolinus mruknął coś o kojącej skrzynce. Wówczas uznałem, że chodzi o współczesne znaczenie tego słowa - uspokajając, lecząc. Jednak teraz podejrzewam, iż mówił o zaspokajaniu potrzeby prawdy. Może to pudełko oddziela prawdę od fałszu? Może dzięki niemu poznamy rzeczywisty związek między Agathą

## Falon a Mnrogarem?

Zanim skończyli tę rozmowę, dochodzili już do komnaty, w której pozostali earl, biskup i reszta. Zbrojni, znajdujący się w korytarzu przed drzwiami, podnieśli się i stanęli w pozycji będącej średniowiecznym odpowiednikiem postawy „na baczość”. Jeden z nich bez rozkazu zapukał do drzwi, otworzył je, nie czekając na odpowiedź, i zajrzał do środka. Usłyszeli jego głos.

- Sir James i lady Angela wrócili, milordzie!

- Wprowadź ich! - zagrzemiał earl.

Teraz, wchodząc przez otwarte drzwi, usłyszeli earla nadal kłóącego się zaciekle z biskupem. Zbrojny zamknął drzwi, a Jim i Angie stwierdzili, że podczas ich nieobecności nic się tu nie zmieniło. Jediną różnicą było to, że Brian siedział na pierwszym z trzech krzeseł po drugiej stronie pokoju i miał obok siebie dwa puste miejsca. Jim usiadł obok niego, tak żeby we dwóch zasłaniali Angie, kiedy poda mu pudełko.

Oprócz Carotinususa i kapelana nikt nie zwrócił na nich uwagi. Earl i biskup nadal się spierali. Książę podsyiał, nie zwracając uwagi na ich podniesione głosy. Mnrogar tkwił w środku komnaty. Wyglądał tak, jakby stał już od stu lat i mógł w razie potrzeby stać kolejne sto.

- Mój zamek to mój zamek! - mówił earl. - Jestem suwerennym...

- Nie wobec spraw Kościoła lub Królestwa! - ryczał biskup. - A ja mówię w imieniu Kościoła...

- Milordzie, milordzie - przerwał im Carolinus - ta dyskusja może trwać bez końca. Spróbujmy jeszcze raz dowiedzieć się od Mnrogara, czy rzeczywiście istnieje jakieś powiązanie między nim a lady Falon i czy naprawdę nie można jakoś rozwiązać tej zagadki. Jeśli okaże się to niemożliwe, mogę jedynie sugerować, że niczego nie osiągniemy przez dalsze przesłuchiwanie Mnrogara, tak więc musimy poszukać innego sposobu sprawdzenia, czy na zamku jest inny troll, jeżeli rzeczywiście jest.

Ten argument najwyraźniej dostarczył obu oponentom wygodnego pretekstu, aby przerwać słowną potyczkę. Jednak najpierw musieli pobulgotać, pomarudzić i zaprotestować. Jim wykorzystał to, żeby szepnąć do Angie:

- Możesz teraz podać mi pudełko?

- Chwileczkę - powiedziała.

Wsunęła rękę w fałdy szaty i siedziała tak przez kilka chwil, spoglądając niewinnie przed siebie. Potem Jim poczuł, że jakiś twardy przedmiot uciska go w plecy. Sięgnął tam ręką i pod palcami wyczuł pudełko.

- Dzięki - szepnął.



- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła. Tymczasem earl i biskup usiedli wreszcie za stołem i zaczęli słuchać, gdy Carolinus wznowił przesłuchanie trolla.

- Ach, Mnrogarze - powiedział przyjaźnie - czy lady Agatha Falon jest twoją wnuczką?

- Nie.

- Jednak tak ją nazwałeś, kiedy przemówiłeś do niej na trybunie.

Mnrogar nic nie odpowiedział.

- Dlaczego nazwałeś ją wnuczką? - nalegał Carolinus.

- Jest młoda - odparł Mnrogar.

- A ty, oczywiście w porównaniu z nią, jesteś bardzo stary. Rozumiem. To całkiem naturalne, żeby nazywać kogoś urodzonego tak niedawno wnuczkiem lub wnuczką, mam rację?

Mnrogar nie odpowiedział.

- Macie! - wybuchnął earl. - Znów ten upór!

- Jeśli pozwolisz, Hugonie - rzekł Carolinus - sądzę, że możemy uznać brak odpowiedzi na to pytanie za dowód, iż mówi tak, zwracając się do kogoś młodszego od siebie. W przeciwnym razie powiedziałby „nie”.

Znów odwrócił się do Mnorgara.

- Jednak mówiłeś nam, że jesteś zainteresowany zdemaskowaniem innego trolla, który udając człowieka, ukrywa się wśród gości dobrego earla. A kiedy masz okazję obejrzeć wszystkich zaproszonych gości, zaczynasz rozmowę z lady Falon. Gdyby wśród gości naprawdę był inny troll i gdybyś odkrył jego obecność, można by oczekiwać, że zwróciłbyś na niego uwagę. A może powiesz nam, że nigdy nie było tu żadnego innego trolla i po prostu okłamałeś nas?

- Trolle nie kłamią - rzekł Mnrogar.

- Ha! - rzekł drwiąco earl.

- Nie, Hugonie - powiedział Carolinus. - On mówi prawdę. To coś, czego mogę być pewien dzięki mojej wiedzy i pozycji. Myślę, iż możemy przyjąć jako pewnik, że on zna skądś lady Falon. Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek mieli dowiedzieć się, czy na trybunach był inny troll ani jakie związki łączą go z Agathą.

Jim odchrząknął.

- Milordzie, Carolinusie - powiedział jak najuprzejmiej - czy mogę coś zaproponować?

- Cokolwiek! Cokolwiek! - odparł earl.

Jim wyjął pudełko, które chował do tej pory za plecami.

- Przypadkiem mam magiczną skrzynkę... - zaczął.

- Magia! - ryknął biskup. - Tu nie działa żadna magia! Wszechmocny pobłogosławił to miejsce i magia zawarta w tym pudełku jest teraz bezużyteczna!

- Obawiam się, Richardzie - zwrócił się do niego Carolinus - iż to nie jest dokładnie tak. Oczywiście, nie można tu stworzyć nowej magii. Jednak to pudełko jest naprawdę bardzo stare i zawiera wyłącznie starą magię. Tak więc jest częścią wszechrzeczy, a jako takie nie może po prostu zniknąć w wyniku błogosławieństwa ex post facto. Ponadto tę skrzynkę ktoś inny podarował mojemu uczniowi w mojej obecności, w związku z tym nie mogę wzbraniać jej używania, aczkolwiek niepokoi mnie, że wykorzystując ją, może narazić się na jakieś niebezpieczeństwo. Domyślam się, co zamierza zrobić i muszę go ostrzec. Muszę ostrzec cię bardzo poważnie, Jim, że to, co uczynisz z tą skrzynką, może ostatecznie wpłynąć na twoją przyszłość.

- Ha! - rzekł Brian tuż nad uchem Jima, który obrócił się i stwierdził, że przyjaciel przestał rozmyślać o jedzeniu i miał wojowniczy błysk w oku.

Jim popatrzył na Angie, z oczu której wyczytał, że decyzję pozostawia jemu.

- Jakikolwiek przyniesie to skutek, użyję jej teraz i może zdołamy uzyskać kilka odpowiedzi, których nie udzieli nam Mnrogar - rzekł. W myślach skrzyżował palce, modląc się, żeby ten sposób podziałał. Trzymał pudełko na kolanach. Teraz otworzył wieko i przemówił do pozornie pustego wnętrza.

- Czy jest tam ojciec Agathy Falon? - zapytał.

- Jestem tu - odparł głuchy, lecz głęboki głos z pudełka. Ten głos mógł się wydobywać z ust człowieka stojącego znacznie niżej na zboczu lub z otwartego grobu. Płomienie kominka i pochodni nagle przygasły i w komnacie pociemniało. Wokół zdawał się rozchodzić chłód i zapach świeżo rozkopanej ziemi.

- Powiedz nam - rzekł Jim - wszystko, co wiesz o twojej córce i jej ewentualnych związkach z trollami.

- Powiem - odparł głos. - Jam jest sir Blandys de Falon. Urodziłem się prawie sto lat temu, a ona była dzieckiem mojej drugiej żony. Miałem tylko jednego syna, który teraz nie żyje, tak samo jak ja. Pod koniec mego życia urodziła mi się też córka, Agatha. Kochałem ją bardzo, gdyż mój syn okazał się moim księżkowym, nie zdradzającym ochoty żyć tak, jak przystoi mężczyźnie i nosić złote rycerskie ostrogi.

Głos załamał się i zamilkł, jakby to wspomnienie było zbyt bolesne. Istotnie, mimo iż brzmiał głucho i złowrogo, jakby dobiegał z odległego, wielkiego i pustego grobowca, wyraźnie było w nim słycać ból, który udzielił się wszystkim słuchaczom. Wydawało się, że głos chciał zapłakać, ale nie

mógł.

- Mów dalej - rozkazał po chwili Jim.

- Kochałem ją bardzo - ciągnął głos - aż ukończyła sześć lat. Pewnego dnia opiekunka zabrała ją na spacer po lesie niedaleko naszego domu i wróciła bez niej, zrozpaczona, rozczochrana i krwawiąca z licznych ran oraz zadrapań.

- Powiedziała mi, że moją córkę porwano. Jakaś samica trolla wyskoczyła z chaszczy i odebrała jej dziecko, chociaż piastunka usiłowała ją powstrzymać. Jednak tamta była zbyt silna i zniknęła, unosząc moją małą dziewczynkę. Nigdy więcej jej nie ujrzałem.

Głos znów umilkł.

- Kim więc...? - zaczął biskup ściszym głosem, spoglądając na Agathę Falon, siedzącą nieruchomo, z twarzą bez wyrazu, w wyściełanym fotelu pod przeciwległą ścianą.

- Czy ta piastunka może mnie teraz usłyszeć? - zapytał Jim skrzynkę. - Jeżeli tak, odpowiedz.

- Jestem tu - usłyszeli słaby i jękliwy głos, jak świst wiatru między drzewami w oddali.

- A więc opowiedz nam, jak zabrano ci dziecko - polecił Jim.

- Opowiem - rzekł cichy głos. - Jestem Winifreda Huslings, córka ubogiego rycerza, który na łożu śmierci, ponieważ moja matka już nie żyła, znalazł mi miejsce u sir Blandysa, którego córkę bawiłam. Umarłam zaledwie przed dwoma laty jako bardzo stara kobieta. Jednak dobrze pamiętam ten dzień, kiedy wzięłam małą Agathę na spacer do pobliskiego lasu, w bezpieczne miejsce nieopodal murów obronnych siedziby Falonów. Tymczasem w lesie, kiedy przechodziłyśmy przez zarośla ledwie pokryte liśćmi, gdyż była wczesna wiosna, wyskoczyła na mnie wielka samica trolla i chciała zabrać mi dziecko. Agatha trzymała mnie za rękę, a ja próbowałam ją obronić. Jednak napastniczka była silniejsza ode mnie, a poza tym miała wielkie kły i pazury. Zanim się opamiętałam, odebrała mi Agathę i uciekła. Wystarczyło mi sił tylko na to, żeby wrócić i opowiedzieć o wszystkim sir Falonowi. Potem na kilka dni straciłam przytomność. Długo dochodziłam do zdrowia, bo rany zadane mi przez trolla jątrzyły się i byłam zbyt słaba, aby wstać i cokolwiek zrobić. Kiedy w korku wydobrzałam, powierzono mi różne drobne zajęcia w zamku, gdyż druga żona sir Blandysa, matka Agathy, umarła w połogu. Głos piastunki ucichł, jakby zabrakło jej sił.

- I ty też już nigdy nie widziałaś Agathy? - zapytał Jim.

- Och, widziałam - odpowiedział cichy głos piastunki - wróciła dwa lata później. Pewnego ranka, gdy otworzyliśmy główną bramę, stała tam, w łachmanach, brudna i podrapana tak, że nie rozpoznał jej nikt oprócz mnie. Jednak ja ją poznałam. Wpuściliśmy ją, a ja umyłam ją i opatrzyłam, ale nie chciała powiedzieć albo nie wiedziała, gdzie była przez cały ten czas i co jej się przytrafiło.

- Nie powiedziała nawet tobie? - dociekał Jim. - A mówiła o tym ojcu?

- Sir Blandys nie chciał mieć z nią nic wspólnego - odparł głos z przygnębieniem. - Uważał, że

jest oszustką...

Wszyscy w pokoju oprócz Jima, Angie i Carolinusa wstrzymali oddech.

- ...a nie dziewczynką, którą straciliśmy dwa lata wcześniej - ciągnął głos. - Jednak kazał nam dbać o nią, karmić i wychowywać, jakby nigdy nie opuszczała zamku. Pod groźbą surowej kary zabronił wspominać o tym, że zaginęła na dwa lata, chociaż wiadano o tym w okolicy i pewnie jeszcze dalej. Jednak myślę, że z czasem wszyscy o tym zapomnieli. Sir Blandys umarł zaledwie cztery lata później i wszystko spadło na barki starszego brata lady Agathy. Zignorowano ją i zapomniano, a z nią jej historię.

- Sir Blandysie! - rzekł Jim. - Dlaczego nie chciałeś mieć nic wspólnego z córką po jej powrocie? Mówiłeś, że bardzo ją kochałeś.

- Bardzo ją kochałem, ale czy to, co wróciło do mego zamku, było moją córką? Nie wierzyłem w to. Minęły dwa lata. Zmieniła się. Była oszustką podesłaną przez trolla, aby zająć miejsce...

- I naprawdę nie widywałeś jej po tym, jak wróciła?

- Potem - odparł głuchy głos sir Biandysa - nie mogłem znieść widoku tego, co mi przysłano. Wszystko to, co kochałem, zniknęło. Nie znajdowałem tego w tym stworzeniu, które przybrało jej postać. Jednak dla dobrego imienia rodziny trzymałem ten fakt w tajemnicy. Wydałem rozkazy, aby zachowano to w sekrecie. I tak też się stało.

Głos sir Biandysa umilkł.

- Podrzutek - powiedział biskup ściszym głosem, patrząc na Agathę. - Lady Agatho, zaklinam cię na twą nieśmiertelną duszę, powiedz nam prawdę o tym, co wydarzyło się po tym, jak porwał cię ten troll!

Agatha nie odpowiedziała. Wydawała się nawet nie słyszeć, co biskup do niej mówi.

- Jeżeli nie odpowiesz - rzekł duchowny - będę musiał uznać, iż naprawdę jesteś podrzutkiem. Wtedy...

Agatha nagle oprzytomniała i spojrzała na niego.

- Nie jestem podrzutkiem! - krzyknęła. - To tylko słowa bez znaczenia, padające z pustego pudełka. Magia, której nie powinno tu być, gdyby Kościół miał taką władzę, jak twierdzi. To prawda, że ojciec nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Jednak nigdy mnie nie lubił, nawet gdy byłam bardzo mała. Wszyscy wam o tym powiedzą. Nie możecie oskarżyć mnie o to, że jestem kimś innym niż tą, którą jestem - córką sir Biandysa de Falon. Na pewno nie na podstawie dowodów zdobytych za pomocą magii. Tak głosi prawo, słyszałam o tym wiele razy. Czyż nie tak?

- Faktycznie, lordzie biskupie - rzekł kapelan. - To, co mówi lady Agatha, jest prawdą w sensie prawnym. Kościół w swym nieskończonym miłosierdziu nie sądzi i nie skazuje w oparciu o dowody zdobyte wyłącznie za pomocą magii. To reguła dawno ustalona i powszechnie respektowana.

Biskup zbył te wywody lekceważącym machnięciem ręki.

- Usiłujemy dowiedzieć się, czy ona jest odmieńcem i trollem, a nie wydajemy wyrok - warknął. - Oto świadkowie z za grobu, nie mogący kłamać, a także troll, który miał wywęszyć drugiego trolla i ze wszystkich obecnych wybrał właśnie ją.

Earl spojrział z przerażeniem. Nagle wydał się stary i zmęczony.

- Miły lordzie biskupie! - powiedziała nieoczekiwanie Angie donośnym, ostrym głosem. - Chyba wyciągasz pochopne wnioski, prawda? Kto twierdzi, że ci ludzie z za grobu nie mogą się mylić tylko dlatego, że mówią z zaświatów? A ponadto dlaczego jesteś taki pewny, że Mnrogar „wybrał właśnie ją”?

- Lady Angelo - zagrzmał biskup - nie przyszliśmy tu wysłuchiwać twojej opinii. Co więcej...

- Chwileczkę! - powiedział Jim i duchowny, co dziwne, usłuchał.

Jim był równie zdumiony rozkazującym tonem swego głosu, jak jego skutecznością. Rzeczywiście, w mgnieniu oka dostrzegł, iż wszyscy obecni w komnacie patrzą na niego ze zdziwieniem, oprócz Mnrogara, którego oblicze było pozbawione wszelkiego wyrazu, a także Carolinusa, który miał taką minę, jak kot oblizujący wąsy po spożyciu miski wyjątkowo gęstej śmietany. Jim pospiesznie wykorzystał przewagę zaskoczenia.

- Dwóch świadków z mojego pudełka - rzekł - udzieliło nam sprzecznych odpowiedzi. Zapytam ponownie. Winifredo Hustings, czy uważasz, iż dziewczynka, która przyszła pod bramę i została przyjęta do rodziny była tą samą, która zaginęła w twojej obecności dwa lata wcześniej?

- Tak sędzę - odparł słaby głos Winifredy. - Zmieniła się, to prawda. Miała taki kamyk, który traktowała jak skarb i zawsze nosiła ze sobą, ponadto zapomniała, jak należy przyzwoicie jeść i ubierać się, co wcześniej umiała robić. Jednak szybko przypomniała sobie i w każdym jej ruchu oraz słowie poznawałam małą Agathę, którą opiekowałam się przed jej zaginięciem.

- Słowo rycerza przeciw świadectwu służącej - rzeki biskup. - Piastunka może żywić jakąś zadawnioną urazę do sir Blandysa i dlatego kłamię.

- Nie kłamię! - jęknął głos ze szkatułki.

- Kłamię! - zaprzeczył głos sir Blandysa.

- Carolinusie - rzekł pospiesznie Jim. - Możesz zapytać Mnrogara, czy zechciałby powiedzieć nam, co jeszcze wie o Agacie Falon, teraz, kiedy usłyszeliśmy relację jej ojca i opiekunki na temat porwania dziewczynki przez trolla?

- Mnrogarze - rzekł Carolinus - czy teraz możesz powiedzieć nam coś więcej o Agathcie Falon?

Mnrogar nie odpowiedział.

- Och, zostawcie go w spokoju! - zawołała Agatha Falon. - Nie macie o niczym pojęcia. Niczego mi nie dowiedziecie.

A zresztą to, co pomyślicie czy powiecie, i tak nie ma dla mnie żadnego znaczenia!

W komnacie zapadło chwilowe milczenie: biskup był zdumiony, jego kapelan zamyślony, earl zaś ogłuszony i ponury. Jimowi nie dawały spokoju słowa Sherlocka Holmesa o brakującym świadku. Gdzieś był ktoś, kogo jeszcze nie wysłuchano. No nic, jeszcze ostatnia próba.

- Szkatułko - powiedział - czy jest jeszcze ktoś, kto widział i znał Agathę Falon przez te dwa lata jej dzieciństwa, kiedy zaginęła bez wieści? Jeśli tak, wzywam go, żeby przemówił.

Zapadła głęboka cisza, w której wszyscy obecni w komnacie czekali w napięciu, a potem z pudełka wydobył się silny głos:

- Jam jest Mnrogar i wciąż żyję! - powiedział głos i był to głos trolla.

Tylko głośny szczeł ostrzegł Jima. Oderwał oczy od szkatułki i zobaczył jak Mnrogar, mając na sobie sto kilogramów żelastwa, rzuca się na niego i na pudełko.

Rozdział 41

- Bezruch! - zawołał Carolinus, celując w trolla wskazującym palcem.

Mnrogar gwałtownie znieruchomiał, ale siłą bezwładności poleciał dalej i runął na podłogę u stóp Jima, patrząc na niego w głuchej ciszy.

- No dobrze, Mnrogarze - rzekł stanowczo Carolinus. - Teraz możesz się ruszyć, ale tylko po to, żeby wstać i wrócić na swoje miejsce. I nie próbuj tego ponownie!

Mnrogar zrobił to, wciąż nie odrywając oczu od Jima. Dopiero kiedy znalazł się z powrotem na środku komnaty, spojrzał na Carolinusa. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nikt inny nie zdążył się poruszyć ani powiedzieć słowa. Teraz głos ze szkatułki, głos Mnrogara, mówił dalej.

- Jestem Mnrogar i chodzę, gdzie chcę. Nikt nie czeka, żeby spojrzeć mi w twarz. Czasem wychodziłem daleko w las, aby sprawdzić, czy nie znajdzie się jakiś troll, który nie ucieknie, kiedy zobaczy mnie lub zwęszy...

- Ucisz to! - powiedział nagle zakuty w kajdany Mnrogar. - Sam będę mówił!

Jim pospiesznie zamknął wieczko szkatułki, uciszając głos, który zamilkł w pół zdania.

- Kiedyś byłem daleko stąd - rzekł Mnrogar. - Wyczułem zapach samicy zmieszany z wonią człowieka. Poszedłem i znalazłem jej legowisko puste co najmniej od dwóch dni. Jednak tuż przed nim, półżywy, leżał mały człowiek. Młody człowiek.

- Nie byłem głodny. Patrzyłem na niego, a on próbował podpełznąć do mnie. Nie byłem głodny.

Podniosłem go i zabrałem ze sobą. Do mojego legowiska...

Popatrzył na earla.

- A wiecie, gdzie ono jest.

Earl nic nie powiedział.

- Tu, na mojej ziemi, są jelenie, dziki, króliki, wiele różnych stworzeń. Tutaj nigdy nie byłem głodny. Podałem jedzenie małemu człowiekowi, ale on nie mógł jeść tego, co ja. Jednak mieszkając tutaj, poznałem zwyczaj ludzi. W nocy, gdy wszyscy spali, wyszedłem na górę i przyniosłem trochę ludzkiego jedzenia i wody. To zjadła. Z czasem wróciła do sił. Tamta samica nie wiedziała, jak ją karmić. Zabrała tę małą, żeby zastąpić swoje szczenię, które umarło, ale nie potrafiła się nią zaopiekować. Mały człowiek nie mógł jeść świeżego mięsa, które mu rzucała. Nie poszedł za nią, kiedy wyszła z jaskini na polowanie. Był słaby i bezużyteczny. Porzuciła go. Ja byłem mądrzejszy. Karmiłem ją i poiłem. Mała rosła. Chowała kawałek kamienia, a potem ciągnęła mnie za rękę, żebym szukał, aż go znajdę. Potem dawała mi kamyk, żebym ja go chował, a ona szukała. Przekonałem się, że lubię, kiedy wracam z polowania, a ona tam jest. Jednak po pewnym czasie przestała jeść i znów schudła. Zaprowadziłem ją z powrotem pod ludzką siedzibę, niedaleko od jaskini tej samicy, i zostawiłem przed wschodem słońca. Potem wróciłem tutaj.

Przestał mówić tak raptownie, że minęła chwila, zanim wszyscy w komnacie zdali sobie sprawę z tego, iż już skończył.

- Wszystko to bardzo dobrze - powiedział biskup. Jednak mówił trochę ciszej i łagodniej niż przedtem. - Pozostaje faktem, że ten troll powiedział, iż wyczuł innego trolla wśród tych, którzy dziś rano byli na trybunie. Tymczasem jedyną, którą wyczuł, była lady Agatha, Jeżeli lady Agatha nie jest trollem i nie ma w sobie kropli trollowej krwi, to dlaczego ma zapach trolla?

Jimowi wydało się, że to pytanie zawisło w powietrzu, jak miecz nad głową siedzącego przy biesiadnym stole Damoklesa, nieszczęsnego dworzanina króla Dionizosa. Wzrokiem poszukał pomocy u Carolinusa, ale twarz maga była obojętna i zimna. Nagle skojarzenie z wiszącym nad głową mieczem podsunęło Jimowi nowy pomysł.

- Lady Agatho - rzekł - twoja piastunka powiedziała nam, że byłaś bardzo przywiązana do kamyka, który przyniosłaś do domu i zawsze nosiłaś przy sobie. Może masz go tu teraz?

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- A co to ma za znaczenie, czy mam go, czy nie? - warknęła.

- Nie bądź głupia! - powiedziała Angie. - On próbuje pomóc tobie i temu trollowi.

- Jeśli go masz - rzekł Jim - czy mógłbym go obejrzeć?

Agatha przez moment nic nie mówiła i nie poruszyła się. Wreszcie sięgnęła do sakiewki przy pasie i wyjęła coś, co było trochę mniejsze od piłki tenisowej. Przez moment wydawało się, że

ciśnie tym z całej siły w głowę Jima, potem opuściła rękę i lekko rzuciła mu kamyk,

Złapał go jedną ręką, drugą przytrzymując szkatułkę na kolanach, ale i tak otarł sobie skórę dłoni. Kamyk był ciężki i twardy, mimo że zdawał się całkiem pokryty grubą warstwą jakiegoś drobno tkanego materiału.

Jim podniósł go pod nos i powąchał. Potem podał go Brianowi.

- Na razie nie mów niczego na głos, sir Brianie - rzekł - ale może zechcesz to powąchać?

Brian uniósł brwi i wziął podany przedmiot. Powąchał go, a potem spojrzał na Jima.

- Pamiętasz, gdzie natknęliśmy się na taki zapach? - zapytał Jim.

- Tak - odparł Brian. - To ten odór unosił się w legowisku Mnrogara, w podziemiach zamku, gdzie zeszedliśmy paktować z nim na polecenie maga Carolinusa.

- Owszem - przytaknął Jim, odbierając od niego okrągły, ciężki kamień. - To samo pomyślałem, kiedy wyczułem jego zapach. Sądząc po ciężarze, uznałbym, że to istotnie kamień, całkowicie oblepiony czymś, co silnie cuchnie trollem. Jak wszyscy wiedzą, choć zapewne wiedzieli o tym wcześniej, trolle są całe pokryte krótką sierścią czy też futrem, więc nie wątpię, że w pewnych porach roku regularnie je zrzucają, tak jak inne stworzenia. Pamiętam, że takie włosy znajdowały się na wszystkich ścianach podziemi, co jest całkiem oczywiste, skoro Mnrogar zrzucił je przez osiemnaście wieków. Gdyby ten kamień pochodził stamtąd, byłby nimi pokryty i silnie zalatywałby trollem... tak przynajmniej myślę.

- I masz rację, Jim - rzekł Carolinus. - Trolle rzeczywiście zrzucają sierść, a w ciągu tych blisko dwóch tysięcy lat Mnrogar robił to wielokrotnie. Tak więc każdy kamień w jego jaskini jest pokryty grubą warstwą włosów.

- Magu! - rzekł biskup. - Z jakim rozkazem posłałeś tych dwóch rycerzy do legowiska trolla? Co dokładnie mieli zrobić?

Carolinus odwrócił się i posłał mu niewinny uśmiech.

- Z całym szacunkiem dla twego wysokiego stanowiska w Kościele, lordzie biskupie - rzekł przyjaźnie - w sprawach związanych z magią obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

Biskup zacisnął usta i nic nie powiedział. Carolinus znów zwrócił się do Jima.

- Rozumiem, że miałeś zamiar coś zasugerować, Jim - rzekł.

- Tylko to, że mając przy sobie ten kamień, lady Agatha z daleka nie mogła nie pachnieć dla Mnrogara jak troll. Sądzę, że mimo słabego człowieczego węchu, wyczuwam zapach tego kamienia na odległość wyciągniętej ręki.

Spojrzał na lady Agathę.



- Sądzę, że nie zaprzeczysz, lady Agatho - powiedział - iż to ten sam kawałek skały, którego używałaś, bawiąc się z Mnrogarem, kiedy byłaś w podziemiach zamku?

- Nie. Nie zaprzeczę.

- A więc tak - rzekł Jim, spoglądając po siedzących za stołem oficjelach. - Z całym szacunkiem, lordzie biskupie, uważam, iż nie ma żadnych wątpliwości, że obecna w tym pokoju Agatha Falon jest tym samym dzieckiem, które kiedyś skradziono jej ojcu, ten zaś postąpił źle, nie przyznając się do niej po jej powrocie i nie chcąc mieć z nią nic do czynienia. Po prostu błędnie założył, że dziewczynka jest odmieńcem.

- Zuchwały rycerz z tego twojego ucznia, magu - rzekł ponuro biskup do Carolinusa.

- Jednakowoż, milordzie - powiedział Carolinus - ja również przychyliam się do jego zdania. A ty nie?

- Zastanawiam się - odparł biskup. - W każdym razie nadal mamy tego trolla. Przynajmniej pozbadźmy się go jak należy.

Earl zdawał się prostować, a nawet zrzucać brzemień doświadczeń, przytłaczające go wcześniej. Znowu zerwał się i nastroszył.

- Straaż! - krzyknął.

Drzwi otworzyły się i pięciu zbrojnych wpadło do komnaty, trzymając w rękach obnażone miecze lub pospiesznie dobywając je z pochew.

- Milordzie? - zapytał pierwszy, który był najstarszy i dowodził oddziałkiem.

Earl wskazał na Mnrogara.

- Zabierzcie go - powiedział - i zabijcie! Upewnijcie się, że nie żyje!

- Nie! - krzyknęła Agatha Falon.

Zerwała się, podbiegła i upadła na kolana przed earlem, ściskając rękami blat stołu przed nim.

- Milordzie, błagam cię - powiedziała - w imię miłosierdzia. ...

- Wynoście się! Wynocha! - warknął earl na swoich zbrojnych, czerwony jak burak i bardzo zmieszany. Strażnicy pospiesznie wykonali rozkaz.

- W imię miłosierdzia okazanego nam przez Pana Jezusa! - powiedziała Agatha. - Pozwól mu żyć! Przez te długie wieki ty i twoja rodzina zawdzięczacie mu więcej niż sobie wyobrażacie! Tak przywykliście, że wasze lasy obfitują w zwierzynę i są wolne od wszelkich nocnych zjaw, że pewnie zapomnieliście, jak to jest, kiedy bandy trolli włóczą się po lesie, zabijając najładniejsze jelenie i inne zwierzęta, walcząc ze sobą, a czasem nawet pożerając ludzi. On nigdy nie pożerał ludzi.

Oszczędź go, milordzie. Ja, Agatha Falon, błagam cię na klęczkach, żebyś go oszczędził. Pozwól mu żyć, a nie pożałujesz tego. Twoje ziemie pozostaną wolne od innych trolli, które mogłyby polować na ludzi. Nie będzie nocnych trolli i pozostałych okropnych stworów. Wszystkie będą trzymać się z daleka ze strachu przed nim. Oddasz sam sobie niedźwiedzią przysługę, milordzie, zabijając go. I złamiesz mi serce!

- Lady... Lady Agatho, to... to nie uchodzi...

Bełkocząc, earl zerwał się z krzesła, wywracając je przy tym. Wybiegł zza stołu i chwyciwszy ją za rękę, podniósł z podłogi.

- Nie powinnaś tak klękać przede mną, pani - rzekł. - Nie powinnaś. Może... może masz rację. Może więcej z niego pożytku niż kłopotu. Mimo to są pewne sprawy, o jakich nie wiesz, dotyczące samego istnienia tego zamku...

- Jakiegokolwiek by były, może Mnrogar zechce teraz spojrzeć na nie z twojego punktu widzenia, milordzie - odparła. Jej głos złagodniał i przeszedł w uwodzicielski pomruk. Nieznacznie przysunęła się do earla. - Jeśli zniesiesz moją obecność w zamku jeszcze przez jakiś czas, może uda się jakoś uporządkować wszystkie sprawy między nim a tobą, milordzie. Wiem, że on jest samotny i nieszczęśliwy, a gdybym tu była przynajmniej przez jakiś czas, mogłabym czasami zejść i odwiedzić go...

Obróciła się do Mnrogara.

- Chciałbyś, żebym czasem zaszła do ciebie z wizytą na godzinkę czy dwie, dziadku?

Mnrogar wytrzeszczył oczy.

- Tak - odparł.

Znowu odwróciła się do earla.

- A zatem, czy okażesz mu litość i łaskę, milordzie? - zapytała. - Az czasem wszystkie problemy związane z jego obecnością w podziemiach rozwiążą się same. Zaś ja... ja...

Dokończyła jeszcze ciszej i bardziej zmysłowo:

- ..bardzo nie chciałabym opuszczać zarówno ciebie, jak jego i tego zamku, milordzie.

- Khe! - odchrząknął earl. - Rozsądna propozycja! Czemu nie? Pozostaje jeszcze kwestia, jak on się zachowa, kiedy zdejmujemy mu kajdany...

- Och, milordzie - powiedziała Agatha - jestem pewna, najzupełniej pewna, że jeśli go uwolnisz, nie sprawi ci więcej kłopotów. Prawda, dziadku?

Mnrogar wyraźnie zawahał się, zanim odpowiedział.

- Tak - rzekł w końcu. Jednak Agatha patrzyła już na siedzącego przy stole księcia. Jakiś czas temu obudził się i z zainteresowaniem obserwował rozwój wydarzeń.

- Wasza Wysokość - powiedziała mu - oczywiście, jeśli tu zostanę, nie wrócę wraz z tobą do Londynu. Żałuję, że nie zobaczę wszystkich moich przyjaciół na królewskim dworze. Jednak uważam, iż obowiązki każą mi pozostać tutaj. Może przypomnisz mnie królowi ojcu i powiesz, że choć chciałabym kiedyś znów go zobaczyć, czy tak się stanie, czy nie, pozostaje w rękach Boga.

- Rzeczywiście - odparł bardzo uprzejmie książę - będę bardzo szczęśliwy, mogąc przekazać tę wiadomość.

- A ty, lordzie biskupie - ciągnęła Agatha, wciąż trzymając earla za ręce - czy przekonałeś się już, że nie jestem wytworem zła, lecz zwykłym człowiekiem, w którego żyłach płynie chrześcijańska krew?

- Cóрко - rzekł stanowczo biskup. - Jeżeli potrafisz odmówić Ojciec nasz...

- Jeśli Wasza Lordowska Mość sobie życzy - odparła Agatha. - Pater noster qui es in caelis, sanctifetur nomen...

Odmówiła do końca łacińskie słowa modlitwy, którą chciał usłyszeć biskup.

- Dobrze, dobrze - burknął w końcu duchowny - nie widzę, żeby dym buchał ci z uszu i nosa. Może istotnie jesteś w tej sprawie niewinna, moje dziecko. Mimo to zamierzasz czasem odwiedzać takie nieczyste stworzenie. Czy jesteś pewna, że w trakcie tych wizyt nie dojdzie do czegoś, co narażałoby na niebezpieczeństwo twoją duszę nieśmiertelną?

- Na pewno nie, lordzie biskupie - odrzekła niewinnie Agatha. - Klnę się na mą nieśmiertelną duszę, że tylko od czasu do czasu będę do niego schodziła, by nie czuł się samotny. Gdyż to samotni sprawiają światu najwięcej kłopotów i często wystarczy krótka rozmowa, żeby wszystko naprawić.

- Jeśli jest tak, jak mówisz - rzekł biskup - to nie widzę powodu... Innymi słowy, nie mogę błogosławić przedsięwzięć związanych z takim stworzeniem, jednakże widzę, iż traktujesz to jako akt miłosierdzia, a taki, oczywiście, zawsze jest godny pochwały.

W tym momencie usłyszeli gwałtowne skrobanie do drzwi, a po nim mocne pukanie.

- Wejść! - ryknął earl.

Najstarszy ze zbrojnych, którzy niedawno wkroczyli do komnaty, teraz uchylił drzwi na tyle, żeby w nich stanąć.

- Błagam o wybaczenie, że przeszkadzam, milordzie - powiedział - ale właśnie otrzymaliśmy wieści. Zamek jest otoczony przez trolle zapełniające okoliczne lasy. Posterunek na wieży donosi, że widziano całe ich gromady.

- Trolle! - powiedzieli jednocześnie earl, biskup i kapelan. Mnrogar nie odezwał się, ale miał

błysk w oku.

- Ponadto, milordzie - dodał zbrojny, przełykając ślinę - czatownik twierdzi, że jest prawie pewny, iż widział jednego czy dwa smoki lądujące nieopodal...

- Smoki! - warknął Mnrogar. Wszyscy spojrzeli na niego. - Na mojej ziemi?

- Jeśli są tam jakieś smoki - powiedział pospiesznie Jim - ja się nimi zajmę. Powiedz mi, człowieku...

Jim nie lubił używać słowa „synu”. Choć najzupełniej poprawne, jeśli używane przez zwierzchnika wobec podwładnego, którego imienia nie pamiętał, miało dla niego pewien pogardliwy kontekst. Z drugiej strony słowo „synu” implikowało znajomość z podwładnym, do którego się odnosiło, a ponadto ten zbrojny miał co najmniej trzydzieści kilka lat. Tak więc Jim musiał zaryzykować i wybrać drugi wariant.

- ...w jakiej odległości od zamku dostrzeżono trolle?

- Widziano je tylko przez moment, milordzie, gdy przechodziły przez otwartą przestrzeń wśród drzew, pojedynczo lub po dwa - odparł zbrojny - jakieś pół kilometra stąd, a może trochę dalej.

- Tak też myślałem - rzekł Jim. - Nie będą kwapić się, żeby podejść bliżej.

Zerknął na Angie.

- Jednak, lady Angelo, może lepiej rozpocząć zaplanowane przedstawienie, zanim zajdzie słońce?

- Zdejmijcie mi to - warknął Mnrogar. - Pozwólcie mi iść z wami. Tam są dwa trolle, które chcą mnie dostać - i niech spróbują. Pozostałe przyszły tylko zobaczyć, co się stanie w związku z tym, w co zdają się wierzyć ci dwaj.

- Ha! - rzekł earl, ruszając wąsikiem. - Myślisz, że tacy jak my muszą ukrywać się przed trollami za plecami innego trolla?

Nie! Te trolle podejda tu na własną zgubę, nie dbam o to, ile ich jest.

- A ja pójdę z wami! - ryknął biskup. - Z buzdyganem w ręku...

- Milordzie - przerwał mu karcąco kapelan - dni biskupa Odonu dawno minęły.

- No więc z krzyżem w ręku - poprawił się biskup - porządnym, ciężkim, żelaznym krzyżem. W tym zamku na pewno znajdzie się taki!

Angie spojrzała na Jima.

- Przedstawienie musi odbyć się blisko zamku - stwierdziła.

- A ja powiem tylko - poparł biskupa Brian - że wśród gości jest wielu rycerzy, którzy nie marzą o niczym innym, jak o znalezieniu trolla, który stawiliby im czoło. Co zaś do smoków...

- Mniejsza o smoki - rzekł stanowczo Jim. - Wartownik był wzburzony widokiem trolli i zapewne wziął jakieś duże ptaki za smoki. Zapomnij o smokach. Prawdę mówiąc, podzielałam zdanie Mnrogara. Uważam, że większość trolli nie stanowi żadnego zagrożenia. Już dawno nauczyły się uciekać przed uzbrojonymi ludźmi, a ponadto tylko dwa z nich szukają Mnrogara i chcą walczyć z nim o tę ziemię.

- Skąd ten nedorzeczny pomysł, iż zdobędą tę ziemię, zabijając jakiegoś trolla... no, do licha, dajmy temu teraz spokój - poprawił się earl.

Opanował się z trudem i ściszył głos.

- W rzeczy samej - oświadczył - nie brak mi żołnierzy i nawet gdyby nie było tu teraz innych rycerzy, wyszedłbym z zamku, kiedy tylko bym chciał, obojętnie, ile trolli dostrzeżono by z wieży.

- Dobrze! - wtrąciła pospiesznie Angie, zanim Jim zdążył coś dodać. - Cóż, to chyba przesądza sprawę, prawda, mój lordzie Jamesie?

Jim spojrzał na nią i na twarze innych. Wszystkie oprócz oblicza kapelana ożywiały bitewny zapach.

- Chyba tak - rzekł.

## Rozdział 42

- Jak zdołałaś przenieść tutaj trybunę z placu turniejowego? - zapytał Jim.

Stali w miejscu, gdzie miało się odbyć zaplanowane przez Angie przedstawienie. Drzewa zdawały się otaczać tę przestrzeń całkowicie, chociaż część z nich była złudzeniem wyczarowanym przez Jima. Scenografia spektaklu wymyślona i wyczarowana przez Jima była już gotowa.

Składała się ze ścian i kawałka sufitu tworzących fragment stajenki, w której miała znaleźć się kołyska ze śpiącym Dzieciątkiem Jezus. Z obu stron żłobu znajdowały się zagrody z osiołkiem i jakimś przedziwnym stworzeniem, które Jimowi wyglądało raczej na kucyka niż prawdziwego muła czy osła.

Angie miała już na sobie długą powiewną szatę - Jim zastanawiał się, skąd wzięła materiał - w której wyglądała dość masywnie, jako że z konieczności narzuciła ją na grubą warstwę innej odzieży, mimo że obszar wokół żłobu był ogrzewany w magiczny sposób. Robert Faion spokojnie spał w beciku umieszczonym w ciepłym żłobie.

Nieopodal miejsca, gdzie stali Jim i Angie, na pokrytej śniegiem polanie, przysiadł Mnrogar, spoglądając w las, a nie na magiczne drzewa między nim a zamkiem. Nic nie robił, tylko czekał, lecz jego całkowity bezruch tchnął złowrogą wróżbą.

- Carolinus przeniósł ją tu dla mnie - wyjaśniła Angie.

- Carolinus? - powtórzył Jim. - A więc rozmawiałaś z nim?

Nagle wpadł w gniew.

- Próbowałem zamienić z nim słowo, od kiedy spotkaliśmy się w tej komnacie, gdzie odbył się nieoficjalny sąd nad Mnrogarem i Agathą.

- Och, tak - powiedziała Angie. - Pojawił się zaraz po tym, jak tu przyszedłem i zapytał, czy może mi w czymś pomóc, więc powiedziałam mu, że miło byłoby mieć ławki, a on pomachał rękami i już były na tej polance, a nie tam, gdzie przedtem.

- Nie mam pojęcia, o co mu chodzi - rzekł Jim. - Jednak założę się, że on czegoś chce. I nie podoba mi się to.

Podciągnął swoją szatę, którą włożył na grube ubranie i lekką zbroję jako kostium do roli Józefa. Właściwie bardziej przypominała mnisi habit (którym niegdyś była) niż coś noszonego w biblijnych czasach. Jednak w kwestii kostiumów i scenografii można było liczyć na wyrozumiałość widzów.

Jim przybył tutaj, pozwoliwszy wyprzedzić się Angie ze zbrojnymi, którzy teraz zajęli stanowiska wokół polany i wcale nie byli z tego powodu szczęśliwi, ponieważ już rozeszła się wieść, że zamek jest otoczony przez trolle. Zależnie od usposobienia ludzie byli zaniepokojeni lub wzburzeni i niecierpliwie wypatrywali okazji potykania się z jakimiś potworami.

Jim spojrzał na trybunę. Na razie była na szczęście pusta. Wśród mężczyzn trwały dyskusje, czy kobiety w ogóle powinny wychodzić za mury. Damy rozstrzygnęły tę kwestię, postanawiając wyjść i przekazując protestującym mężczyznom swój punkt widzenia. Nie pozwolą pozbawić się przedstawienia tylko dlatego, że panowie nie potrafią zapewnić im bezpieczeństwa. Pięknie dziękują, ale same zatroszczą się o siebie, gdyż nie ma wśród nich ani jednej, która nie byłaby uzbrojona, oczywiście, głównie dla ozdoby, w długi sztylet lub puginał przypięty do pasa, lecz dyskretnie ukryty pod czymś przypominającym mieszek lub w fałdach sukni.

Geronde, przewodząca kobietom zdecydowanym obejrzeć sztukę, narobiła większego niż zwykle zamieszania, upierając się, że weźmie oszczep. To była jej ulubiona broń, z którą próbowała stawić czoło Jimowi, kiedy pierwszy raz wylądował w smoczym cielem w jej zamku, w którym była więziona. Niektórzy uważali, iż Geronde jest nazbyt samodzielna, szczególnie jak na niewiastę wolnego stanu. Z drugiej strony ona sama nigdy nie zwracała uwagi na nikogo poza Brianem, tak więc nie dostarczała tematu plotkarzom. Wreszcie osiągnięto kompromis. Postanowiono, że będzie jej towarzyszyć uzbrojony w oszczep żołnierz, który otrzymał wyraźny rozkaz, aby w razie niebezpieczeństwa oddać drzewce kobiecie. Oczywiście, miała też w pochwie u pasa bardzo groźnie wyglądający nóż. Jednak prawdziwym uczuciem darzyła oszczep na dziki. Lekki, poręczny i zaopatrzony we wspornik mający powstrzymać zwierzę przed szarżą na myśliwego, pokonałby każdego trolla czy innego stworza próbującego podejść do niej na odległość wyciągniętej ręki.

Prawdę mówiąc, niemal udało jej się namówić wiele innych pań, żeby uzbroiły się tak samo. Jednak nie wszystkie tak zrobiły.

W powszechnej opinii nie przystawało to damie, co powstrzymało kobiety marzące o większym orężu. Nie chciały pokazywać się z nim publicznie w obawie, że wieść o tym rozejdzie się wokół. Natomiast Geronde była znana z tego, iż w ogóle nie dba o to, co o niej mówią.

- Będziemy musieli wymyślić jakiś dialog - powiedział teraz Jim do Angie. - Na szczęście występujemy tylko ty i ja.

- Tak, to niezły kawałek - odparła Angie. - Jednak chcę najpierw opowiedzieć im całą tę historię, żeby wiedzieli, czego się spodziewać. I tak później czeka ich niespodzianka, kiedy pozwolimy im tu wejść i zobaczą, że w żłobku jest prawdziwe, żywe dziecko.

- A także, kiedy z lasu wyłonią się prawdziwe smoki i wystraszą Józefa - rzekł Jim. - Czekam na to z niecierpliwością. Ponadto, rzecz jasna, ja będę mówił za Roberta. Może to brzmieć nieco piskliwie i dziwnie, ale głos będzie dobiegał ze żłobu, który go zasłoni, więc nikt nie powinien zadawać pytań. Pomyślą, iż to wszystko czary, dopóki nie pokażą się smoki. Co mi przypomina - ciągnął - że powinienem teraz porozmawiać z Secohem i upewnić się, czy już zdecydowali, które mają tu przyjść, i czy wiedzą, co mają tu robić. Pamiętaj, Angie, że ty musisz dużo mówić i powstrzymać rycerzy takich, jak sir Harimore i inni na trybunach, by nie skoczyli, wywijając mieczami, kiedy zobaczą smoki. Musisz im wytłumaczyć, że one nikomu nie chcą zrobić krzywdy i tak dalej.

- Już to przemyślałam - odparła Angie. - Zamierzam powiedzieć, iż między nimi a sceną jest niewidzialna bariera i żadne stworzenie widoczne po drugiej stronie nie zdoła się przez nią przedostać, tak samo jak oni nie mogą przez nią przejść, chyba że otrzymają pozwolenie.

- Dobra myśl - stwierdził Jim. - Dlaczego nie zrobić tak naprawdę?

Skupił się.

- O, już jest.

- Nie wiedziałam, że umiesz robić takie rzeczy - powiedziała Angie, patrząc na niego ze zdziwieniem. - Ostatnio często używasz magii i to w dość poważnych sprawach, prawda?

- Jakoś ostatnio lepiej mi idzie - odparł Jim. - Zaczęło się od wizualizacji, ale chyba zaczynam rozumieć również inne rzeczy. Jednak teraz muszę porozmawiać z Secohem i pozostałymi smokami.

- W porządku. Zaczekam, aż wrócisz, a potem pošlę zbrojnego do zamku, by powiedział wszystkim, że mogą przyjść. A więc ruszaj do smoków. Idź!

Jim odwrócił się i przeszedł kilka kroków, lecz zaraz przystanął i odwrócił się do niej.

- Co?

- I uważaj na trolle! - zawołała Angie.

- O rany! - rzekł Jim. - Nie martw się o mnie. Potrafię załatwić każdego trolla, każdą liczbę trolli, które chciałyby mnie dopaść. Poza tym, one nawet nie zamierzają próbować!

- No cóż, uważaj - powiedziała Angie, machając ręką.

Poszedł.

Nie powiedział smokom, gdzie dokładnie mają wylądować, kazał im tylko trzymać się z daleka od polanki, na której odbędzie się przedstawienie, żeby nie dostrzeżono ich przedwcześnie. Jednak doświadczenie, jakie zdobył, przebywając czasami w ciele smoka, dało mu pewien wgląd w smoczy sposób myślenia. W tej chwili wiał południowo-wschodni wiatr, sprawnie zmiatając z nieba ostatnie chmury. Mimo kilku spędzonych tu lat, Jim zapomniał, że Anglia leży bardziej na północ niż Michigan i w zimie słońce zachodzi tu naprawdę wcześniej. Będą mieli niewiele więcej niż godzinę dziennego światła i w tym czasie musi się odbyć przedstawienie. Oczywiście, mógł oświetlić scenę za pomocą magii. Jednak mimo całej rycerskiej odwagi, żaden z gości earla nie czułby się bezpieczny za murami zamku po zmroku. To była ostatnia noc świąt Bożego Narodzenia, a więc wysoko w górze trwały jeszcze wielkie łowy i groziło znane z legendy niebezpieczeństwo, że ktoś może zostać pochwycony i porwany do diabelskiego królestwa.

No nic, przecież myślał o tym, gdzie mógłby znaleźć smoki. Raczej instynktownie podążał lasem tam, gdzie miał je zastać, bezwiednie kierując się we właściwe miejsce.

Przy wietrze z południowego wschodu podeszły do lądowania z północnego zachodu i pewnie dlatego wartownik na wieży zauważył kilku maruderów. Większość powinna już być na ziemi dawno temu. Mróz i śnieg pod nogami nie szkodziły im tak samo jak trollom. Na myśl o tym Jim stwierdził, że prawie czuje obecność smoków kawałek dalej, wśród drzew, w kierunku których właśnie zmierzał.

Jednak pierwszą istotą, którą spotkał, nie był smok, lecz stary przyjaciel. Kiedy wyszedł na niewielką polankę, Aargh już tu był i wyraźnie czekał na Jima.

- Aarghu! - powitał go Jim. - Tak przypuszczałem, że będziesz w pobliżu, lecz nie sądziłem, iż natknę się na ciebie tak wcześniej.

- Nie natknąłeś się - rzekł Aargh. - To ja przyszedłem do ciebie.

- Dobrze, dobrze - zgodził się Jim. - Wszystko jedno. Jak wyglądają sprawy?

- Tak jak zawsze - odparł Aargh. - Jeśli pytasz o trolle, to są w pobliżu. Czekają, aż bliźniaki zbiorą odwagę i rzucają wyzwanie Mnrogarowi, a wszystkie, z bliźniakami włącznie, chciałyby, żeby nie było przy nim ciebie, Angie oraz tych twoich zbrojnych.

- Obawiają się nas? To dobrze.

- Nie powiedziałbym, że obawiają się was - zaprzeczył wilk. - Jednak jesteście dodatkowym



elementem, którego nie powinno tu być i na razie nie mają pojęcia, jaką odgrywacie rolę ani jak zareagujecie, gdy bliźniaki zaatakują Mnrogara. Prawdę mówiąc, moim zdaniem, tylko to je powstrzymuje od zaatakowania go natychmiast, a mojej opinii w tej sprawie powinieneś uważnie wysłuchać, Jim.

- Wiem o tym - rzekł Jim. - Jednak to oznacza, że jeśli wahają się, czy zaatakować taką małą grupkę, to będą zastanawiać się jeszcze bardziej, kiedy wszyscy ludzie wyjdą z zamku. Nie sądzisz?

- Możliwe - odparł Aargh, siadając na śniegu i tylną łapą drapiąc się pod brodą. - W taki mróz te pchły powinny spać!

- Chcesz, żebym użył magii i uwolnił cię od nich? - zapytał Jim. - Nie sądzę, abym mógł kazać im zniknąć, ale mógłbym przenieść je w jakieś inne miejsce.

- Nie trudź się - warknął wilk. - To moje pchły. Jeśli ktoś ma im coś zrobić, to tylko ja, W lecie wszedłbym powoli do wody, aż wystawałby mi z niej tylko nos, którym dotknąłbym pnia lub liścia lilii wodnej, pozwalając im uciec, zanim całkiem się zanurzę. Jednak teraz na jeziorach jest gruby lód, a woda w strumieniach jest zbyt zimna. Daj spokój pchłom, Jim. Twoje smoki są krótką chwilę drogi stąd, nawet przy tempie, w jakim się poruszasz. Sam z nimi porozmawiasz. Gorbash to mój stary znajomy, ale z innymi smokami nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- No to zobaczymy się... - zaczął mówić Jim, ale Aargh jak zwykle już zdążył zniknąć.

Jim poszedł przez las i wyszedł na polankę, gdzie z oczywistego powodu było wyraźnie cieplej. Wokół roило się od wielkich smoków, wprawdzie wbrew legendom nie ziejących ogniem, lecz wydychających wielkie chmury ciepłego powietrza. Jak wszystkie duże zwierzęta, wydzielają znaczne ilości ciepła, szczególnie gdy zebrało się ich więcej.

- Secohu? - zawołał Jim. Jednak Secoh już wyłonił się z tłumu większych smoków i właśnie usiłował złożyć Jimowi dworski, ludzki ukłon.

- Tak, milordzie - rzekł uszczęśliwiony. - Jestem tu. Ze wszystkimi smokami z Cliffside. No, prawie wszystkimi. Stary Garnoch został w jaskiniach, ponieważ dokuczał mu reumatyzm, a Tanjara miała właśnie znieść jajko. Wszyscy chcemy wiedzieć, kiedy ujrzymy młodego księcia.

- Jeszcze nie mogę dokładnie określić - odparł Jim. - Niełatwo odpowiedzieć na takie pytanie. Po pierwsze musicie zrozumieć... Czy wszyscy mnie słyszą? Czy wszystkie smoki z Cliffside stoją dostatecznie blisko, żeby mnie słyszeć?

Zebrany wokół tłum odpowiedział chóralnym „tak”, przy czym w niektórych basowych głosach było słychać lekkie zniecierpliwienie.

- Milordzie - upomniał Jima Secoh - dobrze wiesz, jaki my, smoki, mamy dobry słuch.

- Oczywiście. Wybaczenie - powiedział Jim.

Pamiętał, jak kiedyś, gdy był w smoczym ciele i leciał w ciemnościach, słyszał nawet bardzo

odległe dźwięki. Jednak zadawał sobie pytanie, czy mając tak czuły słuch, nie głuchły, rycząc na siebie wzajemnie podczas kłótni będących dla nich formą zwyczajnej rozmowy?

- W każdym razie - powiedział - oto nasz plan. Będziecie słyszeć, co się dzieje ze mną i Angie oraz wszystkimi ludźmi oglądającymi przedstawienie.

- Przedstawienie? Przedstawienie? - powtórzyły liczne głosy na wiele różnych sposobów, jednak wszystkie z zaciekawieniem.

- Tak - odparł Jim. - Właściwie to będzie taki pokaz dla was. Angie albo ktoś inny rozpocznie go, opowiadając zebranym tam ludziom pewną historię i chciałbym, żebyście jej wysłuchały.

Myszę, że spodoba się wam. To rzecz o młodym księciu i smokach, tylko opowiedziana tak, jak było na początku, czyli wtedy, kiedy ona powstała, więc wszystko będzie powiedziane jak należy. Lubicie takie historie, prawda?

Odpowiedział mu zbiorowy pomruk aprobaty.

- Jeśli chcecie - ciągnął Jim - i możecie to zrobić niezauważone przez ludzi siedzących tam w tych drewnianych przedmiotach, które nazywamy trybunami, możecie podejść jeszcze bliżej i zobaczyć, co się dzieje. Ponieważ my nie tylko będziemy opowiadać tę historię. Używając magii oraz posługując się ludźmi robiącymi to, co robili ludzie w tej opowieści, wykonamy coś, co nazywa się odegraniem sztuki. W ten sposób odbędzie się „przedstawienie”. To tak, jakbyście na własne oczy ujrzali wydarzenia, które działy się dawno temu.

Tym razem pomruk aprobaty osiągnął natężenie, które wywołało lekki grymas na twarzy Jima. Łatwo mógł sobie wyobrazić, że Angie i pilnujący polanki zbrojni usłyszeli ten dźwięk.

- Jednak zachowujcie się bardzo cicho i nie pokazujcie się.

Zapewniły go nieskładnym chórem, że nie dadzą się zauważyć i będą cicho jak łasice, myszki, węże, cienie... oraz wiele innych stworzeń szczególnie znanych z umiejętności cichego poruszania się.

- Świetnie! - rzekł Jim.

- A co z tymi trollami, milordzie? - zapytał Secoh. - Czy mamy coś z nimi zrobić? Na przykład rozszarpać parę, a resztę przegonić precz?

- Nie, nie sądzę, Secohu - odparł Jim. - W końcu one mają swoje zwyczaje i to ich prawo. Ponadto na razie nie sprawiają nam żadnych kłopotów i nie sądzę, aby miało się to zmienić. Po prostu para bliźniaczych trolli zamierza rzucić wyzwanie mieszkającemu pod zamkiem trollowi.

- Ach, walka! - powiedział uszczęśliwiony Secoh i przez szeregi smoków przebiegł szmer zadowolenia. Chociaż pogardały trollami, jeśli tylko mogły wybierać, wołały patrzeć, jak te stworzenia biorą się za łby, niż walczyć z nimi. Oczywiście, o ile coś nie obudziło instynktownej agresji drzemającej w piersi każdego dorosłego smoka, gdyż w takim wypadku nie mogło być mowy o

niczym innym prócz walki. Jim sam tego doświadczył, będąc w ciele Gorbasha. Prawdę mówiąc, prawie zabił siebie i jego, ulegając temu instynktowi.

- No cóż, Secohu - powiedział. - Jeśli Angie jeszcze nie posłała po gości, zrobi to, gdy tylko wrócę na polankę, a potem wszystko potoczy się bardzo szybko. Powiedziałbym, że zanim słońce przesunie się wyraźnie na niebie, będziecie mogły podejść i obejrzeć przedstawienie.

- Dziękuję, milordzie - odparł Secih.

Jim odszedł, a smoki rozpoczęły ożywioną, lecz cichą dyskusję o tym, jak interesujące będzie oglądanie tego przedstawienia, obserwowanie walczących trolli i o innych, podobnych sprawach. Jim pomaszerował przez las i obchodząc stojący mu na drodze, dość gruby pień dębu, prawie wpadł na Carolinusa.

- Carolinusie! - powiedział, spoglądając na maga. - Jesteś chyba gorszy od Aargha.

- Uczeń nie powinien zwracać się w taki sposób do mistrza! - upomniał go surowo Carolinus. - Nie jestem gorszy od nikogo, Jim. Inni chcieliby być równie dobrzy jak ja, na co mają raczej niewielkie szanse.

- Oczywiście - rzekł Jim. - Przy okazji, dzięki za wyczarowanie tych trybun dla Angie.

- Ach, to - rzekł Carolinus z niedbałym machnięciem ręki - Prawie zapomniałem. To drobiazg. Sam ostatnio też często posługujesz się magią...

- Hmm, tak - powiedział ostrożnie Jim. - Musiałem... Czuł się jak przeciętny gracz w szachy, który jakimś cudem (pewnie we śnie) rozgrywał partię z arcymistrzem i zdobył pozornie nic nie znaczącą, lecz w rzeczywistości bardzo silną pozycję, zagrażającą najsilniejszej figurze przeciwnika - hetmanowi. Do tej pory czekał, aż mistrz wykona jeden nieostrożny ruch, a teraz wydawało się, że Carolinus właśnie popełnił ten błąd, zabierając bezwartościowego pionka. Nieszkodliwy i nieciekawy ruch odsłaniający drogę wieży, która mogła zagrazić hetmanowi Jima. Jednak tę wieżę mógł zbić jeden z jego dobrze rozstawionych pionków, zapewniając mu całkowite, miażdżące zwycięstwo. Tym razem mistrz zasnął.

- To dobrze! - rzekł Carolinus, przerywając Jimowi, zanim ten zdążył dokończyć zdanie.

- Dobrze? - powtórzył Jim, chwilowo zbity z tropu. - Sądziłem, że mam siedzieć cicho, jak najrzadziej używając magii.

- Wcale nie, wcale nie - powiedział z zadowoleniem Carolinus. - Pamiętaj o tym, co zawsze ci powtarzam, Jim. Praktyka! Praktyka! Praktyka! Za każdym razem, gdy używasz magii, nabierasz większej wprawy. Jestem zadowolony.

- Owszem, jednak wobec kłopotów, jakie mam z innymi magami... - zaczął Jim.

- Och, to. Co ma być, to będzie - stwierdził Carolinus. - Jeśli masz tu przetrwać, powinieneś nabrać jak największej wprawy. Jeśli nie, to i tak nic nie będzie miało większego znaczenia,

prawda?

- Zapewne - powiedział Jim. - Jestem tylko trochę zdziwiony, że tak lekko traktujesz tę sprawę. Myślałem, że martwisz się moimi kłopotami.

- Oczywiście, że się martwię! - stwierdził Carolinus. - Jednak, chociaż mogę zrobić wiele, Jim, pewnych rzeczy nie mogę. Obawiam się, że jedną z nich jest obrona twojej osoby przed zgodną opinią większości innych magów.

To stwierdzenie wyjaśniało sytuację. Nurtujące Jima od pewnego czasu podejrzenie teraz zamieniło się w pewność. W myślach sprawdził jeszcze raz swoją pozycję na wymyślonej szachownicy. Nie, miał przygniatającą przewagę. Jednym energicznym oskarżeniem zetrze Carolinusa na proch.

- Carolinusie - powiedział po namyśle - ty po prostu wykorzystywałeś mnie do swoich rozgrywek, prawda? Od chwili, gdy zaaranżowałeś wszystko tak, aby nasi przyjaciele spóźnili się z odsieczą, kiedy zamek Malencontri został zaatakowany przez sir Petera Carleya i jego bandę rabusiów?

- Oczywiście! - odparł Carolinus.

## Rozdział 43

- Pst, mój chłopcze - mówił Carolinus. - Nie mów mi, że odniosłeś inne wrażenie. Przecież właśnie po to są uczniowie. Zdaje się, że kiedy tutaj przybyłeś, mówiłeś mi, iż w tamtym świecie byłeś „magistrem sztuk”. Ha! A przynajmniej „magistrem sztuk” w kategoriach miejsca, z którego przybyłeś. Jednak nawet w tamtych warunkach musiałeś poznać wzajemne relacje między uczniem a mistrzem. To, o czym mówisz, jest częścią obowiązków ucznia, Jim! Załatwianie drobnych, kłopotliwych spraw. Zajmowanie się czasochłonnymi szczegółami, na jakie mistrz nie ma czasu, będąc zajętym sprawami, jakie adept dopiero musi się nauczyć, jeśli liczy na jakąkolwiek przyszłość w zawodzie...

Jim ze złością przypomniał sobie profesora doktora Thibaulta Shorlesa, kierownika Wydziału Historii Riveroak College, który był tam jego szefem.

- Uczeń ma zamiatać, że tak powiem - ciągnął z zadowoleniem Carolinus - wygładzać ostre brzegi pozostawione przez mistrza. Może nawet wykonywać jakieś samodzielne prace, które mistrz może później przypisać sobie. Właśnie takie są zasady ich wzajemnych stosunków, Jim. Przecież znasz to z doświadczenia. Trudno mi uwierzyć, że mogłeś o tym zapomnieć. Wstydz się, chłopcze!

Jimowi zakręciło się w głowie. Pospiesznie zbiwszy wieżę pionkiem, za późno zorientował się, że usunął jedyną osłonę swego króla, otwierając linię ataku dobrze chronionemu gońcowi mistrza i nie mogąc w żaden sposób uratować sytuacji, ponieważ skupił wszystkie siły na ataku, nie na obronie. Tak więc w rezultacie Carolinus wygrał partię. Oczywiście, mógł zarzucić swemu mistrzowi hipokryzję i udawanie przyjaźni, gdyż szczerzy związek wyklucza tak cyniczne wykorzystanie drugiej osoby. Potem nagle przyszło mu do głowy, że przecież właśnie tak

postępowano tutaj, w tym czternastowiecznym świecie. Ludzie o niższej pozycji byli nieustannie poświęceni dla dobra zwierzchników. Jeśli tego udało im się uniknąć, to tylko dlatego, że w danej chwili byli zbyt cenni, aby ich poświęcić.

Ponadto uwaga typu: „Myślałem, że lubisz mnie i Angie na tyle, że nie rzucisz nas na pożarcie dla osiągnięcia jakiś własnych celów!”, prawdopodobnie byłaby zupełnie niezrozumiała dla Carolinusa. Ten po prostu postępował tak, jak postępowano tu zawsze. Zabrzmiałoby to, jakby błagał o łaskę. W niczym nie poprawiłoby sytuacji, a ponadto Jim nie miał zamiaru błagać. To po prostu nie leżało w jego charakterze. Wziął się w garść.

- No, pozwól, że coś ci powiem, Carolinusie! - rzekł, mimo wszystko wybuchając gniewem. - Możesz robić, co chcesz, i może nic na to nie mogę poradzić, ale nie mam zamiaru udawać, że to mi się podoba!

- Jim! - powiedział wyraźnie zaszokowany Carolinus.

- Jednak powiem ci jeszcze coś - ciągnął Jim. - Wykonałem bardzo dobrą robotę, radząc sobie ze wszystkimi problemami, jakie pojawiały się, od kiedy uknułeś wszystko tak, żebyśmy z Angie musieli pojechać na to przekłete, dwunastodniowe przyjęcie. I dokończę te sprawy bez twojej cholernej pomocy!

- Mam nadzieję, chłopcze - rzekł Carolinus i zniknął.

Jim został, patrząc na śnieg, bezlistne drzewa i niebo szybko czerwieniejące od słońca, które powoli zapadało za horyzont, kończąc ten mroźny, zimowy dzień. Opanował miotający nim gniew i ruszył z powrotem między drzewami ku Angie na przedstawienie, które mieli zaprezentować.

- Wysłałam już jednego zbrojnego, żeby powiedział gościom, iż mogą przyjść, a jeśli spojrzysz na trybuny, zobaczysz, że kilku już tu jest - powiedziała Angie, gdy w końcu do niej dotarł. - Niektórzy rycerze, tacy jak sir Harimore, nawet nie czekali na zaproszenie. Zauważyłeś, jak zrobiło się ciemno? Czy w razie potrzeby możemy jakoś oświetlić scenę?

- Ach, tak - powiedział tępo Jim. - Tak. Zajmę się tym.

Używając nowo odkrytej magii, wyobraził sobie coś w rodzaju trollowej poświęty, jaką wraz z Brianem widzieli, kiedy na polecenie Carolinusa pierwszy raz zeszli do legowiska Mnrogara. Jednak tym razem światło emanowało ze wszystkich pni i gałęzi drzew otaczających polankę, włącznie z tymi, które były jedynie złudzeniem. Na razie poświęta nie była zbyt wyraźna, gdyż zza chmur sączyło się jeszcze zbyt jasne światło dnia, jednak w miarę, jak zaczęło zapadać wczesny zimowy zmierzch, stanie się ona lepiej widoczna. Dość zręcznie zrobione, powiedział sobie. Trybuny były pełne i nikt nie widział niczego niezwykłego w dodatkowym świetle padającym z okolicznych drzew. Napięcie wywołane rozmową z Carolinusem zaczęło słabnąć.

- Ach, przy okazji - powiedziała Angie. Rozmawiali za ścianą przytrzymującą żłób, niewidoczni dla oczu widzów, tak że by ci nie dostrzegli ich kostiumów przed rozpoczęciem spektaklu. - Carolinus zlikwidował tę ścianę, którą wzniosłeś między widzami a nami. Stwierdził, że

miałam rację; ona nie jest naprawdę potrzebna. Jeśli powie się ludziom na trybunach, by zostali na swoich miejscach, zrobią to, a gdybyśmy potrzebowali wsparcia zbrojnych i rycerzy, ci będą mogli przybiec nam z pomocą.

- I zlikwidował ją? Ot tak? - pytał Jim. - No, coś podobnego. ..

Połknął kilka cisnących się na usta słów. Potem nagle gniew go opuścił, pozostawiając jedynie zmęczenie. To bez sensu. Carolinus był taki, jaki był - tak samo jak wszyscy w owym czasie na tym świecie. Należało się z tym pogodzić lub... - właściwie nie było innego wyboru.

- Jim! - powiedziała Angie. - Co się dzieje?

- Nie, nic - powiedział Jim, Zerknął przez szparę w deskach nad żłobem i zobaczył, że na trybunach już prawie nie ma wolnych miejsc. Na środku dostrzegł rzucającą się w oczy czerwoną pelerynę Carolinusa, a po jego prawej ręce earla, Agathę Falon i księcia. Jim wrócił do Angie.

- Earl już jest - rzekł. - A on przywykł, że wszystko zaczyna się z jego przyjściem. Już prawie zapadł zmrok. Lepiej startujmy. Czy chcesz, żebym wyszedł i otworzył spektakl?

- Owszem - powiedziała uprzejmie Angie. - Słuchaj, Jim, coś jest nie tak!

- Nie. Naprawdę nie - zaprzeczył Jim. - Czasami jestem tylko trochę zmęczony tym czternastym wiekiem, to wszystko. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Angie uścisnęła go, pocałowała i wyszła zza ścianki, stając przed widownią.

Zły na siebie za to, że czuje się lepiej, kiedy go pocieszono, Jim wrócił do odkrytej wcześniej szpary między deskami.

Nie jestem czterolatkiem - burczał pod nosem... jednak może troszkę nim był. Przez szparę nad żłobem widział Angie i prawie wszystkich widzów na trybunach. Powiedział żonie, że ma mówić normalnym głosem, a on postara się, aby wszyscy ją usłyszeli.

Teraz skupił się na wyobrażeniu jej głosu, nie zanadto wzmocnionego, po prostu docierającego do każdego z widzów, jakby Angie stała kilka kroków od każdego z nich. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że jej słowa powinny docierać również do jego uszu, aby mógł sprawdzić, czy magia działa, czy nie. Kiedy zaczęła mówić, nabrał pewności, że postąpił rozsądnie, ustawiając sprawy w ten sposób. Jej głos brzmiał tak dźwięcznie i wyraźnie w jego uszach, jakby stała obok.

- Wasza Wysokość Księżę Anglii, earlu, lordzie biskupie oraz wszyscy zebrani tu panowie, rycerze i damy - powiedziała.

Cudownie jej idzie, pomyślał z podziwem Jim, zerkając przez szparę. Praktyka sceniczna bardzo jej się przydaje. Angie mówiła dalej.

- W ten ostatni wieczór naszych wspólnych świąt Bożego Narodzenia, za łaskawym przyzwoleniem naszego Wielmożnego Księcia, earla i lorda biskupa, chcę przedstawić wam słynną

legendę o naszym Panu Jezusie Chrystusie, właściwą w tym świętym czasie i miejscu. Po tym, jak opowiem, co się stało, zobaczycie to na własne oczy, odegrane ponownie.

Zamilkła.

- Teraz zacznę - powiedziała. Znów umilkła i po chwili mówiła dalej; - Jak głosi Pismo Święte, nadszedł taki czas w życiu młodego Chrystusa, Pana naszego, gdy Heroda, ówczesnego króla całej tej krainy doszła wieść, iż zrodziło się dziecko, które zostanie królem. Usłyszawszy to, Herod przeraził się, że owo dziecko zajmie jego miejsce na tronie. Tak więc on, Herod, kazał zabić wszystkie dzieci do czwartego roku życia, aby nie przeżyło żadne, tak więc i to, które mogłoby w przyszłości zostać królem. - Przerwała, tym razem ze względu na gniewny pomruk dobiegający z trybun. Kiedy ucichł, mówiła dalej, - Wieść o tym doszła do Marii i Józefa, którzy postanowili wywieźć małego Chrystusa do Egiptu, gdzie byłby bezpieczny przed ludźmi wysłanymi przez Heroda, aby zabijali dzieci. I tak ruszyli, a z nimi przedstawiciele wszystkich zwierząt: lew, osiołek, muł, koń, wielbłąd i inne stworzenia, które strzegły ich w drodze, a kiedy podróżowali już wiele dni, stało się tak, że gdy zapadła noc, zostali bez dachu nad głową.

Wtedy Józef rozpałił ogień i zbudował szałas dla Marii oraz dzieciątka, a zwierzęta ułożyły się wokół, pilnując ich. Tak przespali całą noc - powiedziała Angie i znów zrobiła krótką przerwę. - Jednak gdy wstał dzień, przebudzili się ludzie oraz zwierzęta pełniące wokół nich straż, po czym wszyscy: Maria, Józef i sam Jezus Chrystus, ujrzeni nieco dalej w porannym słońcu kilka skał gęsto porośniętych drzewami. I w tym samym świetle zobaczyli nagle nadciągające stamtąd ogromne smoki. Wszystkie zwierzęta przeraziły się i cofnęły. Józef był przestraszony. Jednak Chrystus przemówił do swego ojca:

„Nie lękaj się, Józefie, lecz pomnij jako rzecze prorok Dawid: Chwalcie Pana na ziemi, smoki i bestie. Te smoki przychodzą tylko po błogosławieństwo. Niechaj podejdą, abym je pobłogosławił.”  
- Odczekała chwilę, aż te słowa zapadną w pamięć słuchaczy, a potem mówiła dalej: - Wtedy Józef przestał się lękać. Stanął z boku, a smoki spokojnie i w ciszy podeszły tam, gdzie leżało dzieciątko. Jezus Chrystus pobłogosławił je i odeszły w pokoju.

Na trybunach rozległ się ściszony pomruk zadowolenia i uznania.

- Teraz patrzcie - powiedziała Angie - a zobaczycie, jak to się stało, od samego początku.

Odwróciła się i zniknęła mi z oczu, po czym weszła za ściankę, gdzie stał Jim.

- Gotowy? - zapytała męża. Skinął głową. - Wiesz już, co im powiesz?

- Och, pewnie - odparł Jim, odrywając oczy od szpary - nie ma się czym martwić. Razem możemy improwizować bez trudu.

- Ja też tak sędzę - powiedziała Angie. - Teraz wrócę do nich, tą samą drogą, a ty wyjdź z drugiego rogu i spotkamy się na scenie. Ja mówię pierwsza, dobrze?

Jim kiwnął głową.

- Ty rozpoczniesz dialog, odpowiadając na moje pytanie - dodała.

- Dobrze.

Odwrócili się i wyszli zza ścianki,- po czym stanęli na scenie, mniej więcej trzy metry od siebie. Oboje zwrócili się do widowni.

- Ja jestem Marią! - oznajmiła Angie. Obróciła się i wskazała na Jima. - A on Józefem.

Widownia przyjęła to kolejnym szmerem zadowolenia.

- A w tym żłobie - powiedziała Angie, odwracając się i wskazując palcem - leży mały Jezus Chrystus.

Jim pospiesznie stworzył dla widowni odgłos radosnego gaworzenia bardzo małego dziecka.

Tym razem reakcja widzów była jeszcze głośniejsza; Jim słyszał głośne okrzyki, jednak nie wiedział, czy wyrażały radość, czy zaskoczenie.

- Mario - rzekł, osłaniając dłonią oczy i spoglądając na czerwone od zachodzącego słońca niebo - noc już blisko, a wokół nie widać żadnego schronienia. Obawiam się, że musimy spędzić noc w tej dziczy. Jednak nie bój się, zbuduję szałas dla ciebie i dziecka, a sam będę czuwał przez całą noc, podczas gdy dobre zwierzęta legną dookoła i pomogą mi trzymać straż, gdyż opodal widzę skały, drzewa i mroczne miejsca, które bardzo mnie niepokoją. Jednak pod opieką Pana będziemy bezpieczni.

- Nie wątpię w to, mój mężu - powiedziała wyraźnie Angie i odwróciwszy się, podeszła do żłobu i zaczęła udawać, że przemawia do smacznie śpiącego Roberta. Widownia owacyjnie przyjęła jej ostatnią wypowiedź.

Jim zrozumiał, iż nadszedł czas, gdy powinien udać, że kładzie się i zasypia. Zapomniał, że w tym celu musi położyć się twarzą w dziesięciocentymetrowej warstwie śniegu. Jednak nic nie mógł na to poradzić, więc odwróciwszy się tyłem do widowni, zrobił to, obserwując Angie, która wciąż grała zajętą dzieckiem Marię. Nagle doszedł do wniosku, że to jego szansa. Miał doskonałą okazję, aby dopilnować smoki oraz ich wejście na scenę.

Zastanawiał się przez chwilę, leżąc lewym policzkiem na zimnym śniegu, w jaki sposób dokonać tego za pomocą magii. Potem, nie wykonując żadnego ruchu, jaki mogłaby dostrzec publiczność, stworzył wizerunek, którym zastąpił swoją postać, a sam przeniósł się do lasu, tam gdzie miały się zebrać smoki słuchające opowieści i czekające na swoją kolej, a niektóre - nie więcej niż pięć wybranych - szykujące się do wkroczenia na scenę.

Zamierzał pojawić się przed Secohem i tak też zrobił. Chociaż przyzwyczajony do czarów i niezwykłych wydarzeń, Secoh był bardzo zaskoczony i odruchowo rozłożył skrzydła, kiedy Jim pojawił się przed nim.

- Milordzie - sapnął, - Nie spodziewałem się...



- Cicho! - rzekł pospiesznie Jim, przerywając mu w pół słowa, gdyż smoki były tuż za drzewami w pobliżu żłobu, a Secoh przemówił prawie normalnym smoczym głosem, donośnym i dudniącym, który mogli usłyszeć widzowie.

- Słuchajcie wszystkie - powiedział Jim do Secoha i pozostałych smoków. - Bądźcie bardzo cicho, szczególnie ci, którzy mają zostać pobłogosławieni. Secohu, powiedz mi, czy ta piątka przedstawicieli jest gotowa do wyjścia?

- Tak, milordzie - odparł Secoh. - Ja, Gorbash, Tigatal, Norganosh i Arghnach.

- Dobrze, Ty idziesz pierwszy, Secohu, tamci czterej za tobą. A teraz - rzekł Jim nieco głośniej, żeby słyszano go w dalszych szeregach - młody książe pobłogosławi was wszystkich, nawet tych ukrytych w lesie, więc nikt nie powinien czuć się pominięty. Słuchajcie uważnie tego, co powie.

Z głębi lasu nadleciał basowy pomruk satysfakcji.

- Muszę wracać na scenę - oznajmił Jim. - Kiedy spojrzę na las i powiem „Nadchodzą smoki...” wasza piątka wyjdzie i podejdzie do żłobu. Stańcie trzy metry od niego, trochę z boku, lepiej przed osiołkiem, ponieważ muł może wystraszyć się i zacząć wierzgać na wasz widok... chociaż nie, zapomnijcie o tym. Mogę zająć się tym za pomocą magii. Mimo to nie podchodźcie bliżej niż do przegrody osiołka. W ten sposób widzowie będą widzieli żłób z leżącym w nim Chrystusem. W przeciwnym razie mogliby zdenerwować się, myśląc, że chcecie skrzywdzić dzieciątko.

- Och, nie zrobilibyśmy czegoś takiego, milordzie - rzekł Secoh.

- Wspaniale! - powiedział Jim. - A zatem idę.

Odwrócił się i żwawo ruszył przez las. Jednak zanim doszedł do skraju drzew, drogę zastąpił mu Aargh.

- Aarghu! - zawołał Jim. - Cieszę się, że cię widzę...!

- Możesz cieszyć się później - przerwał mu Aargh. - Bliźniacy w końcu zdobyli się na odwagę i chcą zaatakować Mnrogara, a pozostałe trolle przyjdą popatrzeć. Może lepiej powiedz wszystkim tym dwunogom na ławkach, że tamte trolle chcą tylko popatrzeć.

- Czy już tu idą? - zapytał Jim. - Pytam, czy przerwą przedstawienie?

- Nie - odparł Aargh. Zaśmiał się bezgłośnie. - Wierz mi lub nie, ale trollom też podoba się wasz pokaz. Nie wiedzą, co się dzieje, ale nigdy czegoś takiego nie widziały i chcą to obejrzyć do końca. Wszystkie, oprócz bliźniaków. Te w każdej chwili mogą zaatakować Mnrogara, jednak sądzę, że jeszcze przez jakiś czas będą z tym zwlekać.

- Dziękuję, że mi to mówisz - powiedział Jim. - Teraz naprawdę muszę wracać. Czy Mnrogar nadal siedzi tam, gdzie przedtem?

- Tak - odparł wilk. - Co bardzo dziwi twoich ludzi na trybunach. Ponieważ wcale się nie rusza, nie obawiają się go tak, jak mogliby, gdyby kręcił się tu i tam. Jednak wystarczy, żeby się poruszył, a zaraz wszyscy na niego patrzą.

- Dziękuję. Doskonale - rzekł Jim. - Będziesz w pobliżu?

- Tak - odrzekł Aargh. - Choćby po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

- Dobrze - powiedział Jim i pobiegł w kierunku sceny.

Nie zatrzymał się za kulisami nawet po to, żeby zerknąć przez szparę. Po prostu przystanął za rogiem w celu złapania oddechu, a potem wyobraził sobie siebie na miejscu sobowtóra i znów znalazł się tam, gdzie leżał poprzednio.

Ponownie poczuł pod lewym policzkiem zimny śnieg i wstał szybciej, niż zamierzał. Przeciągnął się, zerkając na Angie. Spojrzała na niego z ulgą i wstała ze stołka, który stworzył dla niej koło żłobu.

- Ach - powiedział Jim do widowni - już ranek. Jakże cieszę się, widząc świt. I pomyśleć, że w nocy bałem się tego, co może wyłonić się zza tych skał i drzew. Teraz patrzę na nie i widzę...

Dramatycznie obrócił się w kierunku lasu i już miał wyciągnąć rękę, oznajmiając nadejście smoków, kiedy na trybunie rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Trolle! - wołał ktoś piskliwym głosem. Z tej odległości Jim nie potrafił rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. - Wszędzie pełno trolli! Chcą nas pozabijać!

Ludzie na trybunach jak jeden mąż zerwali się z miejsc, a jednocześnie Jim, patrząc na polanę, ujrzał wyłaniające się spomiędzy drzew trolle. Może jeszcze nie atakowały, jak przypuszczał krzyczący, ale istotnie zajmowały pozycje do walki, którą mogły podjąć w razie zwycięstwa bliźniaków nad Mnrogarem. Gorączkowo szukał jakichś słów, którymi mógłby uspokoić widzów, lecz w tym momencie Mnrogar zmienił się z posągu w żywego trolla. Nagle wstał i wyprostował się, sprawiając wrażenie wyrastającego z ziemi olbrzyma, a w czerwono zachodzącym słońcu prześwitującym przez pnie drzew rzucał długi, długi cień sięgający krańca polany, gdzie gromadka trolli cofnęła się przed nim, ukazując bliźniaków.

- Mnrogarze! - zawołały idealnie zgodnym głosem. - Idę do ciebie!

I z wrzaskiem pognały po śniegu w kierunku czekającego Mnrogara.

Rozdział 44

Mnrogar nawet nie drgnął.

Bliźniacy pędzili z rykiem, wyciągając ku niemu szponiaste łapska, jednak w połowie drogi między lasem a Mnrogarem zaczęli zwalniać kroku, aż wreszcie zatrzymali się. Przez moment patrzyli na Mnrogara, który nadal stał nieruchomo, a potem odwrócili się i krzyknęli na trolle zgromadzone na

skraju lasu.

- Na co czekacie? - zawołali gniewnie. - Mówiłem wam, że zajmę się Mnrogarem, a wy możecie wziąć sobie tamtych. Taka była umowa. Jest was więcej niż ich. Dlaczego zwlekacie?

Wskazali na scenę jasełek.

- Tutaj jest dwoje bez żadnych ostrych narzędzi i szczenię, tych możecie zgarnąć bez trudu, a wy wciąż czekacie. Za mną!

Trolle na skraju lasu wyszły na polankę, ale wcale się nie spieszyły.

Od strony trybun nadleciał gniewny pomruk i rycerze wypadli na otwartą przestrzeń, błyskając ostrzami mieczy. Potem zarówno oni, jak i trolle zatrzymali się raptownie, słysząc inne, gniewne odgłosy dobiegające z lasu na zachód od sceny - dudniący ryk, jaki potrafią wydać tylko smoki. Smoki, które mogły nie otrzymać swojego błogosławieństwa.

Bliźniacy znów rzucili się w kierunku Mnrogara i już pokonali połowę dzielącej ich odległości, lecz słysząc ten dźwięk, również przystanęli i odwrócili się. Przez chwilę wszyscy zamarli w bezruchu.

Jim wiedział, że to tylko ostrzegawcze ryknięcie. Smoki wydały je zupełnie instynktownie. Jednak trolle dowiedziały się w ten sposób, iż są tu smoki, i ten fakt w połączeniu z przerwany atakiem bliźniaków zbił je z tropu. Natomiast ludzie na trybunie i przed nią zostali dosłownie ogłuszeni tym dźwiękiem, który rozpoznali równie szybko, jak trolle.

Przez moment trwała cisza, a potem ktoś wrzasnął ile sił w płucach:

- Zawołajcie Smoczego Rycerza! Gdzie jest Smoczy Rycerz?

Tym razem Jim był, jeśli nie ogłuszony, to zaskoczony. Potem uświadomił sobie, że w średniowieczu aktorzy po przedstawieniu wychodzili na scenę i przypominali widowni, że nie są osobami, które odgrywali. Człowiek grający diabła, gdyż większość sztuk miała religijny charakter, wychodził i mówił: „Spójrzcie, to tylko ja, wasz sąsiad. Naprawdę nie jestem diabłem”. I podszedłszy do najważniejszej ze świętych postaci sztuki, zaczynał z nią rozmowę o zwyczajnych sprawach codziennego życia, aby upewnić widownię, że nie pozostało w nim nic z diabła. Udowadniał, że w rzeczywistości nie jest postacią, na widok której obdarzonym żywą wyobraźnią widzom ciarki przebiegały po plecach.

Ta chwila niepewności, kiedy wszystko trwało w zawieszeniu, ciągnęła się kilka sekund i w tym czasie Jimowi wpadł do głowy nowy pomysł - jak iskra przeskakująca między końcami elektrod. Musiał jeszcze mocniej wstrząsnąć trollami. Nagle przypomniał sobie zorzę polarną, która w te zimowe noce czasami rozjaśniała łuną więcej niż połowę nieba.

Jeszcze nie zapadła noc, kiedy można ujrzeć taką zorzę, A jednak Jim spróbował wyobrazić ją sobie, malującą nieboskłon wszystkimi barwami tęczy.

Udało się.

Za drzewami na zachodzie, na czerwonym od słońca niebie wykwitły wielkie strugi i fale barw - żółci, zieleni i łagodniejszej, jaśniejszej czerwieni, tworząc łuk na niebie. Wszyscy, zarówno ludzie, jak i trolle obrócili głowy w tym kierunku.

Jim sprawił, że jego głos zabrzmiał jak ryk surm i dobiegał gdzieś z wysoka:

- Ziemia Mnrogara staje u boku Mnrogara!

Jakby wprowadzone w ruch tym samym impulsem, wszystkie trolle na polance odwróciły się i umknęły do lasu. Bliźniacy wytrzeszczyli oczy, a potem pobiegli za nimi, wzywając ich do powrotu. Jednak żaden nie wrócił, a bliźniacy zwolnili i przystanęli na skraju lasu. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w ciemność między drzewami, a potem odwrócili się i spojrzeli na Mnrogara.

Ten nadal stał nieruchomo jak posąg.

- Ty! - wrzasnęli jednym głosem i z podniesionymi do ciosu szponiastymi łapami, szczerząc kły, runęli do ataku, tym razem bez wahania pokonując połowę, a potem trzy czwarte drogi, aby w końcu prawie zderzyć się z Mnrogarem. Znalazłszy się niemal w zasięgu jego ręki, gwałtownie przystanęli. Spojrzeli mu w twarz, wściekle błyskając ślepiami.

Stali tak przez długą chwilę i wszyscy na polanie wstrzymali oddech. Nikt nie poruszył się, nikt nie wydał głosu. Tylko światła nad ich głowami migotały niestrudzenie, pokrywając już trzy czwarte nieba, na którym pokazały się pierwsze gwiazdy.

Mnrogar nie poruszył się i wciąż stał nieruchomo. Wtem bliźniacy cofnęli się o krok. Za chwilę o następny, jeszcze jeden, a potem o dwa. Nagle jednocześnie odwrócili się, przebiegli przez polanę, dopadli lasu i zniknęli. Odprowadziły ich drwiące okrzyki z trybun, a Jim usłyszał za plecami znajomy głos:

- Tamci uciekli, a teraz umknęli i ci dwaj - rzekł Aargh. - Już po wszystkim.

Jim ocknął się z transu i przypomniał sobie o nie dokończonym przedstawieniu oraz o tym, o czym myślał przedtem, że widzowie mogą uznać Angie i jego nie za lady Angelę i lorda Jamesa, lecz za Marię i Józefa.

- Mario! - powiedział do Angie, a ona szybko oderwała wzrok od ściany lasu i napotkała spojrzenie męża; Jim wiedział, że zrozumiała i podjęła przerwana grę.

- Mario! - powtórzył. - Słyszałem głosy smoków i patrzę teraz na te drzewa. Lękam się, że smoki nadchodzą!

- Naprawdę, Józefie?

- Tak się obawiam - odparł Jim, który istotnie dostrzegł Secoha i pozostałe cztery smoki wychodzące spomiędzy drzew. - Mario, wierne zwierzęta, które broniły nas dotychczas, już nas nie

ustrzegą. Boję się!

Secoh i towarzyszące mu smoki spokojnie wyszły z lasu, człapiąc na tylnych nogach. W innych okolicznościach byłby to komiczny widok. Jednak Jim tak wczuł się w swoją rolę, że naprawdę zląkł się, jak prawdopodobnie każdy człowiek, na widok zbliżających się do niego ogromnych stworów. Pospiesznie sprawił, że jego głos wydobył się ze złoju, najlepiej jak mógł imitując dziecięcy dyszkant.

- Nie lękaj się, Józefie - rzekł, kierując wypowiedź ku trybunom - lecz pamiętaj, co rzecze prorok David: „Chwalcie Pana na ziemi, smoki i bestie”. Te smoki przybyły tylko po błogosławieństwo. Pozwól im podejść bliżej, abym mógł je pobłogosławić.

- Nasz syn przemówił! - zawołał Jim własnym głosem do widowni. - Zróbmy, co rzecze, Mario, nie jest on bowiem zwyczajnym dzieckiem!

- Tak, zróbmy to, Józefie! - zawtórowała mu Angie.

Jim zwrócił się do Secoha, który był już całkiem blisko, oraz czterech idących za nim smoków.

- Słuchajcie smoki, nasz syn, który nie jesi zwyczajnym dzieckiem, rzekł nam, iż przybyłyście tylko po błogosławieństwo.

Czy to prawda?

Cztery smoki za Secohem były zupełnie zbite z tropu. Nie przygotowały się na takie pytania. Jednak Secoh okazał się na tyle sprytny, że kiwnął łbem.

- Tak, milordzie - powiedział.

Masz ci, pomyślał Jim. To „milordzie” mogło wszystko popsuć. Ukradkiem zerknął na widzów, lecz ci milczeli jak zakłęci. Może jednak nikt nie zauważył. Trzeba mówić szybko, powiedział sobie.

- Zatem zbliżcie się - powiedział zupełnie niepotrzebnie, gdyż Secoh i pozostali już to robili. Bezruch! - dodał pospiesznie, kierując polecenie do muła i osiołka, które już zaczęły szarpać postronki i wywracać ślepiami, wyczuwając nadejście tych olbrzymich i groźnie wyglądających drapieżników. Jednak natychmiast przypomniał sobie, że ten rozkaz nie działa na takie zwierzęta.

Zanim zdążył wymyślić coś innego, oba domowe zwierzęta uspokoiły się same, a smoki podeszły blisko.

- Tylko nie bliżej niż zagroda osiołka - przypomniał Jim.

Smoki przystanęły. - A teraz, jeśli zaczekacie w milczeniu, nasz syn pobłogosławi was.

Znów pospiesznie zmienił swój głos w piskliwy dziecienny dyszkant. W jego uszach brzmiał bardzo niewiarygodnie, ale ludzie na trybunach najwyraźniej akceptowali go. Jim doszedł do wniosku, że przełknęliby wszystko. Magia, czyniąca tę scenę realistyczną, była w nich, nie w nim.

- Bądźcie odtąd błogosławione, wy, smoki - powiedział głosem ze żłobu. - Idźcie i bądźcie lepszymi, mądrzejszymi smokami, czyńcie dobro na tej stworzonej przez mego Ojca w Niebiesich ziemi, na której wszyscy mieszkamy.

Trudno w to uwierzyć, pomyślał Jim, ale wysłuchawszy słów błogosławieństwa, smoki rzeczywiście jakby rozblęły. Głęboko wciągnęły powietrze w piersi i zdawały się puchnąć" z dumy i szczęścia.

- I niechaj to błogosławieństwo będzie dla wszystkich smoków! - rzekł Jim głosem z żłobu. - Teraz wracajcie do swoich i żyjcie w pokoju!

Osobiście nie żywił zbyt wielkich nadziei, że smoki kiedykolwiek zdołają żyć w pokoju. Był przekonany, iż za kilka godzin znów zaczną swoje zwykłe swary i dysputy, argumentując, kontrargumentując i nie zgadzając się z poglądami innych na otrzymane błogosławieństwo. Jednak to nie miało znaczenia, gdyż teraz Secoh odwrócił się, pozostałe smoki również i cała piątka ruszyła z powrotem do lasu.

Na trybunach rozległy się nowe owacje. Jim odwrócił się i zdążył jeszcze dostrzec, jak Mnrogar bez specjalnego pośpiechu oddala się w las. Średniowiecze uwielbiało zwycięzców; Jim z zainteresowaniem dojrzał wśród stojących i wiwatujących ludzi samego earla.

Jim obrócił się do Angie.

- Mario. - powiedział głośno, żeby usłyszeli go wszyscy. - Smoki otrzymały błogosławieństwo i odeszły, nie czyniąc nam krzywdy. Wszystko dobrze się skończyło.

Maria natychmiast zrozumiała jego intencje.

- Masz rację, Józefie - powiedziała i stanęła twarzą do widowni. - Przedstawienie skończone.

Potem zwróciła się bezpośrednio do trybun.

- Czy nasza łaskawa Książęca Mość, nasz earl i lord biskup zechcą zaszczyścić nas, podchodząc tu i oglądając z bliska miejsce, z którego opowiedziano tę historię i gdzie odegrano tę sztukę?

Takie zaproszenie, pomyślał Jim, to obosieczna broń. W taki uprzejmy sposób zapytano najznamienitszych gości, czy chcą być wyróżnieni możliwością obejrzenia z bliska scenografii, a jednocześnie rzucono im pewne wyzwanie, zapraszając całą trójkę do miejsca, w którym działały się cudowne i tajemnicze rzeczy.

Naturalnie żaden z tych trzech nie mógł odmówić.

Earl już stał. Książę podniósł się z ławy. Biskup zrobił to samo. Zeszli z trybuny i przeszli po śniegu na scenę, idąc dość zwawo, lecz bez specjalnego pośpiechu.

Jim ponownie zerknął na osła i muła, a może kucyka czy cokolwiek to było. Zwierzęta były zupełnie spokojne. Spojrzał również na niebo. Zorza wciąż wyczyniała tam niesamowite harce,

wywierające jeszcze większe wrażenie teraz, kiedy słońce zaszło już prawie za horyzont.

Jim nieznacznie przysunął się do Angie i wycodził przez zęby:

- Będą nadal uważali nas za Marię i Józefa, postacie ze sztuki - rzekł, nie odrywając oczu od trzech nadchodzących postaci. - Jeszcze przez chwilę pozostaniesz Marią, a ja Józefem, lecz przy pierwszej dogodnej chwili wejdziemy za scenę, zdejmujemy opończe i wyjdziemy już jako my. Dam ci znak kiedy,

- W porządku - odparła Angie.

Po krótkiej chwili earl, biskup i książę dotarli do nich. Jim zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie ku tej części lasu, gdzie czekały smoki. Zobaczył, że na szczęście czekały z odlotem, aż widzowie rozejdą się, gdyż nie dostrzegł żadnych skrzydlatych sylwetek wzbijających się w niebo. Smoki wyrażały w ten sposób swoje głębokie zadowolenie z wizyty, gdyż oprócz Gorbasha i Secoha większość ich nie lubiła latać w nocy, nawet gdy było dość jasno, z obawy przed zabłądzeniem lub złym lądowaniem. Jednak ta noc miała być wyjątkowo widna.

Księżyc dopiero zaczął wschodzić, lecz był wyraźnie widoczny nad polaną, pomimo magicznej poświaty, jaką dzięki magii Jima emanowały okoliczne drzewa. Ich blask nie równał się oczywiście światłu elektrycznych żarówek, lecz był dostatecznie jasny. Do tej pory widzowie jakby nie zauważyli, że polana jest sztucznie oświetlona.

Earl, biskup i książę dotarli do sceny. Szli tak powoli, że Jim utwierdził się w przekonaniu, iż całkowicie dali się porwać widowisku i podchodzili nie do lorda i lady Eckert, lecz do Józefa i Marii. Trudniej było to zauważyć u księcia, który jako członek królewskiej rodziny przywykł ukrywać swoje uczucia, ale rzucało się to w oczy u takich krzepkich, pewnych siebie mężczyzn, jakimi byli earl i biskup.

- Witamy, Wasza Książęca Mość, lordzie biskupie i earlu! - powiedział Jim swoim normalnym głosem. Miał nadzieję, że stworzy to pomost między postacią Józefa a Smoczym Rycerzem. Jednak najwidoczniej tak nie było. Tamci trzej wciąż spoglądali na niego jak ministranci podchodzący do biskupa. - Chętnie zaprosilibyśmy wszystkich, żeby obejrzeli z bliska naszą scenę, ale nie ma tu wiele miejsca. W każdym razie milordowie i książę zobaczą to pierwsi.

Nadal patrzyli na niego bez słowa.

- Tedy, milordowie - powiedziała stanowczo Angie. - Pozwólcie, że pokażę wam żłobek i Dzieciątko Jezus.

Poszli za nią do atrapy żłobu, z chrzęstem deptając po śniegu nawiewającym do środka, od kiedy Jim ustawił dekorację.

- Przecież tu jest ciepło! - zawołał zdumiony biskup, gdy znaleźli się w środku.

Jim szybko znalazł wyjaśnienie,

- Tutaj - rzekł głosem Józefa - w tych krainach szybko robi się ciepło, gdy wszędzie słońce jak teraz. Czyż nie tak, Mario?

- Masz rację, mój mężu - odparła Angie słowami i tonem pasującym do granej postaci. Ponownie skupiła uwagę na trzech mężczyznach, którzy stanęli trzy metry od żłobu. - Proszę bliżej, milordowie.

Z pewnym ociąganiem podeszli do żłobka i zajrzeli do środka.

- To On! - wykrzyknął ze zdumieniem biskup.

- Nie, milordzie - powiedziała Angie swoim normalnym, rzeczowym głosem lady Eckert. - To tylko mały Robert Falon, który dostąpił zaszczytu odegrania roli Dzieciątka Jezus.

Trzej goście spojrzeli na nią z powątpiewaniem.

- Mimo wszystko - rzekł biskup i uklęknął przed żłobem, splatając dłonie w modlitwie nad śpiącym niemowlęciem. Pozostali dwaj poszli w jego ślady.

Angie popatrzyła na Jima, a on na nią. Najwidoczniej nic nie można było na to poradzić. Tamtym kompletnie pomieszała się fikcja z rzeczywistością. Jim w milczeniu skinął na Angie, która, najciszej jak mogła na skrzypiącym śniegu, cofnęła się kilka kroków i stanęła przy nim.

- Słuchaj - szepnął jej do ucha Jim - o ile biskup też nie uległ jakiejś cudownej przemianie, będzie się modlił co najmniej przez minutę czy dwie. Ponadto oni wcale nie zwracają na nas uwagi. Chyba nawet nie słyszeli, jak tu podeszłaś. Chodźmy teraz za scenę, zdejmijmy szaty Marii i Józefa, a potem wrócmy w normalnym odzieniu. Ja założę nawet pas z mieczem, a kiedy wreszcie wstaną i odwrócą się, ujrzą lady i lorda Eckertów.

Skinęła głową. Odwrócili się i poszli.

Ściągnięcie opończy zakrywających normalne stroje nie zajęło im więcej niż minutę czy dwie. Angie wepchnęła oba kostiumy do sakwy, którą zostawiła za sceną. Wygładziła suknię i poprawiła kubrak Jimowi. Ruszyli z powrotem na podium i stanęli.

Przed nimi, odziany w czerwoną szatę i promieniejący, pojawił się Carolinus.

- Kalej! Kalu! - krzyknął. - Nie martwcie się, tamci mnie nie słyszą... Cudowny mój, uściśnij mnie!

I uściskał Jima, co było całkiem niepodobne do Carolinusa. Jim nigdy nie widział, żeby mag choćby otarł się o inną osobę. Jednak teraz odwrócił się i uściśnął Angie, która przyjęła to bardziej naturalnie. Mimo to, kiedy ją puścił, powiedziała do niego ostro:

- Skąd to znasz?

- To fragment Dżabbersmoka, poematu z Alicji po drugiej stronie lustra Lewisa Carrolla.\*



- Wiem, że to fragment Dtabbersmoka! - warknęła Angie. - Pytam, skąd ty go znasz!

- Jestem magiem klasy AAA+, moja droga - odparł Carolinus. Odwrócił się do Jima. - Jim, mój chłopcze! Dokonałeś tego. Stworzyłeś nową magię!

- Nową magię? - zapytał Jim. - Jaką nową magię?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia - rzekł Carolinus. - Powiem ci później! Żegnajcie!

I zniknął, pozostawiając w powietrzu tylko echo kolejnego Kalej! Kalu!

Jim i Angie popatrzyli po sobie,

- Lepiej wracajmy do księcia, biskupa i earla – stwierdziła Angie.

Jim kiwnął głową i pospiesznie wyszli na scenę. Nikt nie opuścił trybun. Widocznie w oczach widowni to, co działo się teraz, było równie ważne jak samo przedstawienie, Jim i Angie stanęli tyłem do widowni i musieli odczekać jeszcze kilka minut, zanim biskup powoli wstał, a za nim earl i książę.

- Sir James? - powiedział pytającym tonem biskup.

- Tak, milordzie - odparł Jim,

Biskupowi wydłużyła się mina, tak samo jak earlowi i księciu.

- Miałem nadzieję... - zawahał się, - Miałem nadzieję, że On mógłby pobłogosławić i mnie, tak jak pobłogosławił smoki.

\* Lewis Carroll. O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra. Czytelnik 1972, przekład Macieja Słomczyńskiego.

Było to raczej pełne nadziei pytanie niż stwierdzenie, - Jestem pewien, że zrobiłby to, lordzie biskupie - powiedział szybko Jim - lecz jak widzieliście, teraz śpi. Jednak jestem przekonany, iż udzieliliby wam błogosławieństwa, gdyby mógł. Niewątpliwie, pobłogosławiłby wszystkich trzech. Sądzę, że możecie uznać, iż zostaliście pobłogosławieni.

Na trzech twarzach nadal widział rozczarowanie, ale teraz jakby trochę mniej dotkliwe.

- Milordzie - rzekł biskup swym zwykłym, stanowczym głosem, zwracając się do earla - proponuję, abyśmy jak najszybciej wrócili do pozostałych i przekazali im dobrą nowinę.

- Tak. Tak, oczywiście! - odparł earl, a książę chrząknął potakująco. Biskup znowu zwrócił się do Jima.

- Czy możemy odejść, święty Jó... - urwał. - Chciałem rzec, sir Jamesie, że musimy już was opuścić.

- Oczywiście, milordzie - powiedział Jim. - Jak sobie Wasza Lordowska Mość życzy.

Trzej dostojnicy bez słowa odwrócili się i ruszyli przez polanę znacznie zwawiej, niż podchodzili do sceny.

- To jedna z wielu zalet małego Roberta - podsumowała Angie. - Nie tylko rzadko marudzi za dnia, ale też śpi jak aniołek... - urwała, słysząc cichy, niespokojny dźwięk dolatujący ze żłobu.

- Nie powinnam tego mówić - westchnęła. Szybko podeszła do żłobu i obejrzała jego lokatora. - Jim, lepiej jak najszybciej zanieśmy małego do naszych komnat, jeżeli możesz, to za pomocą magii. Mam tam szmacianą lalkę, którą zrobiła Enna, zanim wpadliśmy na pomysł, żeby położyć w żłobie Roberta. Podeślę ci tę kukłę i jeśli ktoś zajrzy do żłobu, zobaczy ją. Wystarczy, że biskup, earl i książę widzieli żywe dziecko.

- Masz rację - zgodził się Jim. - Ty weź Roberta, ja stanę przed tobą, jakbyśmy rozmawiali, a potem pošlę was oboje pod bramę zamku. Stamtąd będziesz musiała pójść pieszo. Kiedy znajdziesz się w pokoju, weź lalkę, wyrzuć ją przez okno i powiedz „excelsior”.

- I co się wtedy stanie?

- Postaram się w magiczny sposób pochwycić lalkę i przenieść ją do żłobu, na wypadek, gdyby ktoś przyszedł tutaj, zanim złożę dekoracje. Tymczasem każę Theolufowi odprowadzić osła i muła tam, skąd je wziął.

Podszedł z Angie do żłobu, a kiedy żona wzięła Roberta na ręce, wyobraził sobie ich oboje przed zamkową bramą. Zniknęli. Potem wyobraził sobie magiczną sieć chwytającą rzuconą lalkę i przenoszącą ją do stajenki, a następnie odwrócił się, podszedł na skraj sceny i zawołał do najbliższego zbrojnego:

- Hej! Edgarze! Przyjdź tu z kimś i we dwóch odprowadźcie osła i muła. Znajdźcie mojego giermka i spytajcie go, skąd je wziął.

Widocznie jego okrzyk usłyszano na trybunach, ponieważ niektórzy zaczęli je opuszczać, chociaż spora grupa nadal tam była, skupiona wokół biskupa, który zdawał się wygłaszać jakąś przemowę lub kazanie. Jim słyszał słabe echo jego głosu, jednak nie zdołał rozróżnić słów, tylko pełen pasji ton.

Zbrojni też jeszcze nie przyszli zabrać zwierząt.

Jim ponownie spojrzął na las, w którym skryły się smoki. Wciąż nie widział, aby odlatywały, wzbijając się w niebo i lecąc całym stadem w kierunku Cliffside. Jeśli to zrobią, Secoh je poprowadzi, powiedział sobie Jim.

Przez jakiś czas stał, patrząc na polanę, a potem nagle znalazła się przy nim Angie, przyciskając do piersi szmacianą lalkę.

- Angie - powiedział - miałaś tu nie wracać.

- Jednak chciałam ~ odparła. - Dlatego tak mocno trzymałam się lalki. Teraz położę ją w żłobie.

Zaniosła kukiełkę i na oczach Jima włożyła ją do żłobu, po czym wróciła i wsunęła rękę w jego dłoń.

- Czy wydarzyło się coś ciekawego? - zapytała.

- Nie - odrzekł - oprócz tego, że smoki jeszcze nie odleciały, a biskup przemawia do gości na trybunach. Nikt nie odszedł...

Urwał. Biskup przestał przemawiać. Nagle ludzie z drugiej strony polany ruszyli w kierunku sceny oraz stojących tam Jima i Angie.

- Miałem rację - powiedział Jim. - Nie podoba mi się to, Angie. Zamierzam odesłać cię z powrotem do zamku. Weź Roberta, Ennę i piastunkę, wszystko co chcesz, a także naszych ludzi... Brian, nie, Brian jest tu, ale ty i Robert możecie się wymknąć. Weź konie, zbierz tych zbrojnych, których zdołasz znaleźć, i natychmiast ruszaj do domu,

- Nie - powiedziała Angie. - Zostanę tu z tobą.

Tłum przepłynął przez polanę i zatrzymał się przed nimi. Potem wszyscy, włącznie z księciem i earlem, uklękli kilka metrów od sceny, a biskup odmówił modlitwę. Znow wstali. Jim i Angie czekali.

Nagle nieoczekiwanie mocny bas zaintonował Dobrego króla Wieńczysława i wszyscy podjęli pieśń.

- Jim! - szepnęła Angie. - Wszystko w porządku. Oni nam dziękują. Pokazują, jacy są szczęśliwi! Już wszystko jest w porządku!

Teraz już wszyscy śpiewali Dobrego króla Wieńczysława, a z lasu po prawej rytmicznie porykiwały smoki. Te były kompletnie pozbawione słuchu muzycznego i nie potrafiły śpiewać, chociaż miały wyjątkowo silne głosy. Jednak teraz usiłowały dołączyć do chóru, wtórując mu basowymi pomrukami... które, co niezwykle, wcale nie kolidowały ze śpiewem ludzi, lecz uzupełniały go.

- Widzisz, Jim - odetchnęła Angie - mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze. Patrz! Patrz!

Jim patrzył na nią przez chwilę, a potem spojrzał w górę. Zorza polarna wciąż tam była, lecz na jej tle, przyćmiewając ją swym blaskiem niczym kometa o wielobarwnym ogonie, przemknął Feniks - obudzony i przemierzający niebo, rozświetlający niebiosy swoim różnokolorowym ogonem, i lepiej późno niż wcale, obiecujący nowe, niezwykle wydarzenia w nadchodzącym tysiącleciu.

Epilog

- Zatem widzicie - rzekł Carolinus do Jima i Angie, gdy siedzieli w słonecznym pokoju wieży

zamku Malencontri (gospodarze po dwudniowej jeździe przez śniegi w towarzystwie zbrojnych i piastunki, a Carolinus po zwykłym dla niego, niespodziewanym przybyciu kilka minut wcześniej) - magia jest jednocześnie umiejętnością i sztuką.

- Też doszedłem do tego wniosku - powiedział ze znużeniem Jim,

- To dobrze, I nigdy o tym nie zapominaj, mój chłopcze.

Umiejętność i sztuka, tak. Pierwszej można się nauczyć i jest ona właściwa dla uczniów i magów ostatnich klas. Jednak sztuki, zapewniającej awans do wyższych klas, nie można wyuczyć, można jej się tylko nauczyć. A to dlatego, że sztukę opanowuje się dopiero wtedy, gdy posiada się umiejętności. W rezultacie nie ma dwóch magów kompetentnych w swej sztuce - co zazwyczaj następuje dopiero po osiągnięciu klasy A - którzy posługiwaliby się magią w ten sam sposób.

Na ostatnie słowa położył szczególny nacisk.

- Dopiero wtedy - ciągnął - kiedy zaczynają wykorzystywać swój indywidualny sposób uprawiania magii do zgłębiania nowych dziedzin, odkrywania nowych terytoriów. Prawdę mówiąc, dotyczy to wszelkich sztuk, jednak, rzecz jasna, magia jest najważniejszą z nich wszystkich.

Przerwał, upił łyk wina ze stojącego przed nim kubka i spojrzał badawczo na Jima i Angie.

- Nadążacie?

- Oczywiście - odparł Jim. - O ile chodzi o sztukę, każdy wie...

- Jeśli pozwolisz, Jim - rzekł poważnie Carolinus. - Usiłuję coś ci wytłumaczyć.

- Przepraszam - powiedział Jim.

Carolinus upił kolejny łyk wina.

- Takie eksperymenty - mówił dalej - zaczynają się zazwyczaj, kiedy mag odkrywa celowość połączenia dwóch fragmentów wiedzy magicznej w nowy i odmienny sposób, aby uzyskać konkretny wynik, albo staje w obliczu problemu, który zdaje się nie mieć rozwiązania lub ma, ale niestrawne. Przez niestrawne rozumiem takie, które jest nie do przyjęcia. W rezultacie sięga w nieznaną, tworząc - kreując - zupełnie inną drogę rozwiązania problemu, niż podaje nekromancja...

Jim skrzywił się na wspomnienie opasłego tomu wiedzy magicznej, którą Carolinus kazał mu przełknąć, kiedy Jim został jego uczniem. To prawda, Carolinus zmniejszył ją do rozmiarów niewiele większych od pigułki. Jednak legła mu na żołądku tak, jakby odzyskała w nim oryginalną wielkość i ciężar.

- Nie słuchasz, Jim - stwierdził Carolinus. - Będę mówił dalej. On lub ona sięga do kreatywności, jak powiedziałem, I co on czy ona znajduje?

Przerwał. Jim miał ochotę coś powiedzieć, lecz stwierdził, że oczekuje się od niego, aby tylko siedział i spoglądał wyczekująco. Tak też zrobił. Widocznie Angie też już doszła do tego wniosku. Usiadła wygodnie, słuchając spokojnie i cierpliwie.

- On lub ona - rzekł z emfazą Carolinus - prokurują wtedy nową magię. Taką, jakiej nikt inny przedtem nie stworzył, ale którą inni magowie, wiedząc już o jej istnieniu, mogą wykorzystać w ramach własnych zdolności i wiedzy do poszukiwań równoległych dróg, prowadzących do tych samych rezultatów. Innymi słowy, nowej magii nie można podrobić, a więc jest bezcenna.

- Mogę to zrozumieć - rzekł Jim. - Jednak...

- Jim, kategorycznie musisz zrzucić zwyczaj przerywania mi w połowie każdego zdania. O czym to mówiłem? Ach tak. W twoim przypadku stanąłeś przed wielorakimi problemami. A były to problemy, które - wszystkie razem - zagrażały zaburzeniem historii całej ludzkiej rasy, a więc wszystkich żywych istot na świecie. - Przerwał i zmarszczył brwi. - Szczerze mówiąc - kontynuował - gdyby w takiej, niezwykle dogodnej sytuacji znalazł się ktoś inny, oczekiwano by, że rozwiąże ją inny mag najwyższej klasy, taki jak ja, a nie było pewności, że komukolwiek się to uda.

- A więc - powiedział ponuro Jim - od początku wiedziałeś, że to istna gmatwanina!

- Och, pewnie - rzekł Carolinus. - Oczywiście, że dobrze o tym wiedziałem. Jednak nic nie mogłem zrobić. Wszystkie czynniki miały zupełnie naturalny charakter. Bliźniaki urodziły się zwyczajnie, mimo iż były wybrykiem natury, nawet jak na trolle. Mnrogar był w zamku od prawie dwóch tysięcy lat. Agatha Falon już od pewnego czasu starała się wkraść w łaski króla Anglii... Wszystkie te sprawy miały się zająć podczas świąt Bożego Narodzenia u earla, rozumiecie?

Spojrzał przenikliwie na Jima i Angie.

- Rozumiemy - powiedziała Angie.

- Wiedziałem, że tak będzie. Tak więc ty, Jim, stawiałeś czoło sytuacji i rozwiązałeś po kolei wszystkie problemy, a trzeba ci przyznać, mój chłopcze, że udowodniłeś, iż nie gustujesz w łatwych rozwiązaniach. Na przykład ewentualnego zniszczenia zamku earla można było uniknąć, gdyby pozwolić bliźniakom zabić Mnrogara. Oni nie mieliby odwagi zamieszkać w jego jaskini, a zresztą wkrótce zostaliby zaatakowani przez całą hordę trolli, po tym, jak sami dali przykład, że można napadać w kilku na jednego. Zostaliby zabici, zjedzeni i w królestwie trolli zapanowałaby anarchia. Podobnie prostym rozwiązaniem byłoby zniszczenie Agathy Falon.

- Nawet nie przyszło mi to do głowy - rzekł Jim.

- Zgadza się - przytaknął Carolinus, pochylając się. - I to przynosi ci zaszczyt, Jim. Masz coś, czego w tym momencie nie potrafię określić słowami - rzadko spotykane w tym miejscu i czasie współczucie dla innych ludzi i stworzeń. W każdym razie twój sposób załatwiania spraw nie tylko uczynił życie Mnrogara szczęśliwszym, a jednocześnie Agathę Falon bardziej godną podziwu, lecz rozwiązał problem earla, zgromadzenia trolli oraz smoków, całkowicie błędnie interpretujących idee świąt Bożego Narodzenia, które to nieporozumienie mogło wywołać prawdziwe zamieszanie między

nimi a ludźmi.

- Dziękuję - powiedział Jim.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Carolinus. - Teraz wiesz, dlaczego pozostawiłem ci wolną rękę w załatwianiu tych spraw. Jednak opłaciło się to. Cóż, twoją zasługą jest nawet obudzenie Feniksa. Tyle szczęścia i perspektywy świetlanej przyszłości, jakie dzięki tobie dostrzeżono na ziemi, obudziłyby kilka Feniksów, nie tylko takiego jednego śpiocha jak ten. Może zainteresuje cię, że nasz obecny Feniks był bardzo zadowolony, kiedy już wstał i poleciał?

- Najwyższy czas - powiedziała Angie.

- Zgadzam się z tobą, Angie - rzekł Carolinus. Jednak potem zamilkł i przybrał poważny wyraz twarzy.

- A teraz - powiedział - dochodzimy do pewnej niemiłej kwestii, Jim. Chociaż doskonale poradziłeś sobie ze wszystkimi problemami, jakie przed tobą postawiliśmy, w pewnej zupełnie innej, drobnej sprawie popełniłeś niewybaczalny błąd. Musisz go zaraz naprawić. Przykro mi to mówić, ale tak jest.

W pokoju zapadła cisza. Jim i Angie wpatrywali się w Carolinusa.

- No cóż - rzekł po chwili Jim - zatem wyjaśnij mi, co mam robić.

Carolinus uczynił to.

- Hobie Jeden? - zapytał Jim, usiłując zajrzeć do komina nad ledwie tłącym się ogniem.

Chwila ciszy. Potem odpowiedział mu znajomy głos. - Tak, milordzie?

- Hobie... nie, nie musisz wychodzić - dorzucił pośpiesznie Jim, gdy maleńka twarzyczka wyjrzała spod okapu kominka.

- To dobrze, milordzie - powiedział i zniknął.

- Chodzi o to, że mam dla ciebie dość niewesołe wieści - powiedział Jim. - Obawiam się, że władze dostrzegły pewną nieprawidłowość dotyczącą twojej osoby. Nie mam na to żadnego wpływu. W przeciwnym razie, zapewniam cię, nic by się nie zmieniło.

- Zmieniło, milordzie?

- Obawiam się, że tak - odparł Jim. - Wygląda na to... Krótko mówiąc, powiedziano mi, że obdarzając cię imieniem Hob Jeden de Malencontri pogwałciłem pewne prawo dotyczące magów i ich stosunków z istotami należącymi do innego królestwa. Oczywiście, wy, skrzaty, macie własne królestwo, a zatem - przykro mi - nie miałem prawa nadawać ci imienia.

Chwila ciszy, a potem zduszony głos.

- Błąd, milordzie?

- Tak - odpowiedział mu ponuro Jim. - Nie wdając się w szczegóły, masz być znany całemu światu, nawet tu, w zamku, nie jako Hob Jeden de Malencontri, lecz po prostu jako Hob. Ponadto obawiam się, że będziesz musiał wyjaśnić wszystkim skrzatom, z którymi rozmawiałeś, włącznie z tym z zamku earla, iż pomyliłeś się, podając inne imię.

Tym razem cisza trwała dłużej.

- Nie... Hob Jeden de Malencontri? - wykrztusił cichy głosik.

- Nie - rzekł Jim. - Przykro mi, lecz tak musi być.

Z komina dobiegło wyraźne łkanie.

- Hmm, lady Angela i ja nadal będziemy nazywali cię Hobem Jeden - dodał pospiesznie Jim. - To nasz przywilej i nikt nie może go nam odebrać. Jednak, niestety, musi to pozostać między nami. Dla całej reszty świata nie będzie to twoje oficjalne imię.

Kolejny szloch.

- Gdyby istniał jakiś sposób, żeby tego uniknąć, Hobie Jeden - ciągnął Jim - skorzystałbym z niego, wierz mi. Jednak z czasem jesteśmy zmuszeni stosować się do pewnych reguł. Ja złamałem jedną z nich i teraz muszę to naprawić.

- Ja... rozumiem, milordzie.

- Cieszę się, że rozumiesz. I powtarzam, że jest mi bardzo, bardzo przykro.

- W porządku, milordzie.

- Może w przyszłości da się to zmienić. Na dłuższą metę wszystko jest możliwe.

- Tak... tak, pewnie tak, milordzie. Nie... nie zaprzataj sobie tym głowy, milordzie.

- Jednak będę, Hobie Jeden - zapewnił Jim. - Nigdy nie przestanę szukać sposobu, w jaki mógłbym przywrócić ci imię.

- To ładnie z twojej strony, milordzie.

Jim czekał, aż Hob powie jeszcze coś, lecz z kominka nie dochodził żaden dźwięk.

- No cóż, dobrej nocy, Hobie Jeden - powiedział.

- Dobranoc, milordzie.

- Śpij dobrze! - rzekł Jim, siląc się na wesołość.

Jednak z głębi komina nie padła żadna odpowiedź.